

KOMISARZ KURT WALLANDER

HENNING
MANKELL

Piąta kobieta

HENNING
MANKELL

PIĄTA KOBIETA

przełożyła Halina Thylwe

Patronat medialny:



Tytuł oryginału: *Den femte koinnan*

Copyright © 1996 by Henning Mankell

Published by agreement with Ordfronts Forlag AB, Stockholm and Leonhardt & Høier Literary Agency aps, København

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2004

Copyright © for the Polish translation by Halina Thylwe, 2004

Wydanie I

Warszawa 2006

Spis treści

[Motto](#)

[Algieria – Szwecja](#)

[Skania](#)

[Skania](#)

[Skania](#)

[Skania](#)

[Posłowie](#)

[Przypisy](#)

*Widziałem we śnie Boga, miał dwie twarze. Jedna była łagodna i czuła jak
twarz matki, a druga przypominała twarz Szatana.*

z Upadku imama Nawala el Saadawiego

Pajęczyna oplata pająka miłością i troską.

afrykańskie, źródło nieznane

Algieria – Szwecja

maj-sierpień 1993

Prolog

Tej nocy, kiedy przyszli spełnić świętą misję, panowała głęboka cisza.

Farid, najmłodszy z czterech mężczyzn, pomyślał później, że nawet psy nie wydały żadnego dźwięku. Otulała ich ciepła noc, podmuchy wiatru znad pustyni były ledwie wyczuwalne. Czekali do zapadnięcia ciemności. Długą drogę z Algieru, z Dar Azizy, przebyli starym, źle resorowanym samochodem. Dwa razy musieli przerwać podróż. Pierwszy raz – żeby naprawić lewe tylne koło. Nie byli nawet w połowie drogi. Farid, który nigdy dotąd nie opuszczał stolicy, usiadł w cieniu kamiennego bloku i ze zdziwieniem patrzył na nieznany mu krajobraz. Łysa, spękana opona rozleciała się na północ od Bu Saady. Dużo czasu zajęło odkręcenie zardzewiałych muter i zamontowanie zapasowego koła. Farid zrozumiał z cichej rozmowy współtowarzyszy, że wskutek opóźnienia nie zatrzymają się na posiłek. Później, tuż pod El Quedem, zgasł silnik. Dopiero po godzinie udało im się znaleźć przyczynę awarii i jakoś temu zaradzić. Ich przywódca, blady trzydziestoletni mężczyzna o ciemnej brodzie i gorejących oczach, takich jakie mógł mieć wyłącznie wybraniec Proroka, wściekłymi sykami ponaglał kierowcę, pocącego się nad gorącym silnikiem. Farid nie znał imienia przywódcy. Ze względów bezpieczeństwa nie wiedział, kim jest ani skąd pochodzi.

Nie wiedział także, jak nazywają się dwaj inni mężczyźni.

Znał jedynie swoje imię.

Potem kontynuowali podróż. Było już ciemno. Mieli tylko wodę do picia, nic do jedzenia.

Dotarli do El Quedu nocą. Wokół panowała cisza. Zaparkowali gdzieś w labiryncie ulic, niedaleko targowiska, i ledwie wysiedli, samochód odjechał. Po chwili z ciemności wyłonił się piąty mężczyzna, który miał im

wskazać drogę.

Dopiero kiedy pośpiesznie przemierzali nieznane zaułki, Farid zaczął myśleć o tym, co się niebawem stanie. Pod palcami wyczuwał pochwę noża o lekko zakrzywionym ostrzu, ukrytego w kieszeni kaftana.

O cudzoziemcach po raz pierwszy usłyszał od brata, Raszida ben Mehidiego. W ciepłe wieczory siadali na dachu domu ich ojca i patrzyli na połyskujące światła Algieru. Farid wiedział, że Raszid jest zaangażowany w walkę o przekształcenie ich kraju w państwo islamskie, przestrzegające zbioru praw ustanowionych przez Proroka. Każdego wieczora mówił mu, jakie to ważne, by pozbyć się cudzoziemców. Faridowi schlebiało to, że brat znajduje dla niego czas na rozmowy o polityce. Początkowo nie wszystko rozumiał. Dopiero później zdał sobie sprawę, że Raszid ma wobec niego określone plany. Chciał, żeby Farid uczestniczył w akcjach usuwania cudzoziemców z ich kraju.

To było przeszło rok temu. Teraz, idąc ciemnymi wąskimi uliczkami w towarzystwie ubranych na czarno mężczyzn, spełniał życzenie Raszida. Cudzoziemcy zostaną usunięci. Nie będą nigdzie deportowani. Zginą. To odstraszy tych wszystkich, którzy mieliby ochotę do nich przyjechać.

„To święta misja – powtarzał Raszid. – Ucieszy Proroka. Przebudowa kraju wedle Jego wskazań zapewni ci świetlaną przyszłość”.

Farid dotknął noża. Dostał go poprzedniego wieczora od Raszida, kiedy się żegnali na dachu. Miał ładną rękojeść z kości słoniowej.

Dotarli do obrzeży miasta. Uliczki wychodziły na plac targowy. Na bezchmurnym niebie świeciły gwiazdy. Zatrzymali się przed długim murem o opuszczonych żaluzjach. Po drugiej stronie ulicy, za wysokim żelaznym ogrodzeniem, stała duża willa. Ich przewodnik bezgłośnie rozpląnął się w ciemnościach. Znowu byli we czwórce. Panowała absolutna cisza. Farid nigdy czegoś podobnego nie doświadczył. Przez dziewiętnaście lat, które przeżył w Algierze, nie zaznał takiej ciszy.

Nie słyszeć nawet psów, pomyślał, a przecież muszą tu gdzieś być.

W kilku oknach willi paliło się światło. Ulicą przejechał z łoskotem autobus o zdezelowanych reflektorach. Potem znowu zaległa cisza.

Zgasło światło w jednym oknie. Farid próbował oszacować czas. Czekali chyba od pół godziny. Był bardzo głodny, od rana nic nie jadł. Wypili już dwie butelki wody, które z sobą zabrali. Nie chciał o nic prosić. Przywódca byłby oburzony. Mieli spełnić świętą misję, a on pyta o wodę.

Zgasło światło w drugim oknie. Po chwili willę spowiła ciemność. Cze-

kali. W końcu przywódca dał im znak i pospiesznie przecięli ulicę. Przy furtce siedział stróż. Spał. W rękę trzymał drewnianą pałkę. Przywódca obudził go kopniakiem, przytknął nóż do twarzy i coś szepnął do ucha. Mimo słabego oświetlenia Farid dostrzegł strach w oczach staruszka; wstał i odszedł, kuśtykając na zeszywniałych nogach. Otworzyli furtkę – cicho zaskrzypiała – i wślizgnęli się do ogrodu. Mocno pachniał jaśmin i jakieś zioło, którego nazwy Farid nie pamiętał. Wciąż panowała cisza. Na tabliczce przy wysokich drzwiach wejściowych zobaczył napis: „Zakon Sióstr Chrześcijańskich”. Zastanawiał się, co to może znaczyć. W tym momencie poczuł na ramieniu czyjaś dłoń.

Drgnął. To przywódca go dotknął i po raz pierwszy się odezwał.

– Jest nas czterech – wyszeptał tak cicho, że nawet wiatr by go nie usłyszał. – W środku też są cztery osoby. Śpią w pojedynczych pokojach usytuowanych po dwóch stronach korytarza. Są stare, nie będą stawiać oporu.

Farid popatrzył na stojących obok dwóch mężczyzn. Byli kilka lat od niego starsi. Nagle nabrał przekonania, że uczestniczyli już w podobnej misji. Tylko on był nowicjuszem. Ale nie odczuwał lęku. Raszid zapewnił go, że robi to dla Proroka.

Przywódca spojrzał na niego, jakby czytał w jego myślach.

– Mieszkają tu cztery cudzoziemki – powiedział po chwili. – Nie zgodziły się dobrowolnie opuścić naszego kraju. Czyli wybrały śmierć. Poza tym to chrześcijanki.

Zabiję kobietę, pomyślał Farid. Raszid o tym nie wspomniał.

Mogło być tylko jedno wytłumaczenie.

To nie miało znaczenia.

Weszli do willi. Bez trudu otworzyli zamek nożem. W ciepłym mroku zapalili latarki i ruszyli po szerokich schodach. W korytarzu na piętrze wisiała samotna żarówka. Ciągle było bardzo cicho. Mieli przed sobą czworo zamkniętych drzwi. Wyjęli noże. Przywódca wskazywał na drzwi i kiwał głową. Farid wiedział, że nie może się wahać. Raszid mówił, że wszystko musi się odbyć błyskawicznie. Nie powinien patrzeć na twarz. Niech patrzy na szyję i tnie. Mocno i pewnie.

Później niewiele pamiętał z tego, co zaszło. Kobieta przykryta białym prześcieradłem miała chyba siwe włosy. W słabym świetle padającym z ulicy nie widział jej wyraźnie. Obudziła się w momencie, w którym ściągnął prześcieradło, ale nie zdążyła krzyknąć ani zrozumieć, co się

dzieje, kiedy jednym ruchem poderżnął jej gardło i szybko odskoczył, żeby się nie pobrudzić krwią. Potem się odwrócił i wyszedł na korytarz. Wszystko trwało krócej niż pół minuty. Gdzieś w nim tykały sekundy. Już mieli odchodzić, gdy odezwał się jeden z mężczyzn. Przywódca zastygł w bezruchu, jakby nie wiedział, co robić.

W jednym z pokoi była jeszcze jedna kobieta. Piąta kobieta.

Nie powinno jej tam być. Może przyjechała z wizytą.

W każdym razie to cudzoziemka. Mężczyzna, który ją zauważył, nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

Przywódca wszedł do pokoju. Farid, który stał przy drzwiach, zobaczył skuloną ze strachu postać. Jej przerażenie przyprawiło go o mdłości. Na sąsiednim łóżku leżała martwa kobieta. Białe prześcieradło było prześlgnięte krwią.

Przywódca wyjął nóż z kieszeni i poderżnął gardło piątej kobiecie.

Potem opuścili willę równie niepostrzeżenie, jak do niej weszli. Gdzieś w ciemnościach czekał na nich samochód.

O świcie byli już daleko od El Quedu i pięciu martwych kobiet.

Był maj 1993 roku.

*

List przyszedł do Ystadu 19 sierpnia.

Ponieważ na kopercie miał algierski stempel, wiedziała, że jest od matki, i nie spieszyła się z otwieraniem. Chciała go przeczytać w ciszy i spokoju. Koperta była gruba, list musiał liczyć wiele stron. Matka nie kontaktowała się z nią od przeszło trzech miesięcy. Z pewnością miała jej dużo do opowiedzenia. Położyła list na stole w salonie. Nie opuszczało jej lekkie zdziwienie. Dlaczego matka tym razem napisała adres na maszynie? Pomyślała, że znajdzie na to odpowiedź w liście. Dopiero przed północą wyszła na balkon i usiadła na leżaku, który ledwie się mieścił między doniczkami. Była ciepła sierpniowa noc. Może jedna z ostatnich takich nocy w tym roku. Jesień czekała za progiem. Otworzyła kopertę.

Dopiero kiedy przeczytała list do końca, rozplakała się.

Wiedziała, że autorką jest kobieta. Świadczył o tym nie tylko ładny charakter pisma, ale także dobór słów. Aby ją maksymalnie oszczędzić,

z niezwykłą delikatnością opowiedziała o tym okropnym zdarzeniu.

Delikatność nic nie znaczyła. Liczył się fakt. Nic więcej.

List napisała Françoise Bertrand, policjantka pracująca najprawdopodobniej w centralnej algierskiej komisji do spraw zabójstw. Drogą służbową zapoznała się z wydarzeniami, które rozegrały się pewnej majowej nocy w mieście El Qued, na południowy zachód od Algieru.

Wszystko było jasne, przejrzyste i przerażające. Nieznani sprawcy zamordowali cztery francuskie zakonnice. Z pewnością należeli do jednego z odłamów fundamentalistów, którzy chcieli się pozbyć cudzoziemców, doprowadzić kraj do upadku i, wykorzystując powstałą próżnię, ustanowić państwo islamskie. Czterem zakonnicom podierznięto gardła, po sprawcach nie było śladu, pozostała jedynie krew, gęsta, zakrzepła krew.

Kiedy nieznani mężczyźni przyszli z nożami, w willi przebywała piąta kobieta, szwedzka turystka, która kilkakrotnie przedłużała pozwolenie na pobyt i przypadkiem zatrzymała się u zakonnicy tej nocy. Z paszportu znalezionej w jej torebce dowiedzieli się, że nazywa się Anna Ander, ma sześćdziesiąt sześć lat i posiada ważną wizę turystyczną. Prócz paszportu był tam również bilet lotniczy z otwartym powrotem. Ponieważ zamordowanie czterech zakonnicy stwarzało wystarczająco dużo problemów, funkcjonariusze komisji do spraw zabójstw pod wpływem nacisków politycznych postanowili pominąć piątą kobietę, zwłaszcza że podróżowała samotnie. Po prostu nie było jej tam owej fatalnej nocy. Zginęła w wypadku samochodowym i została pochowana w bezimiennej grobie. Wszystkie jej rzeczy usunięto. I w tym momencie pojawia się Françoise Bertrand. Jak napisała w swoim długim liście, szef wezwał ją do siebie wcześniej rano i wydał polecenie, aby natychmiast udała się do El Quedu. Piątą kobietę już pochowano. Françoise Bertrand miała znaleźć ewentualne ślady, a potem zniszczyć paszport i inne rzeczy.

Anna Ander nigdy nie była w Algierii. Miała zniknąć ze wszystkich rejestrów. I właśnie wtedy Françoise Bertrand znalazła torbę, którą przeoczyli niestaranni śledczy. Leżała za szafą. Może z niej spadła, nie potrafiła tego rozstrzygnąć. W torbie były listy, które Anna Ander pisała do córki mieszkającej w Ystadzie, w odległej Szwecji. Françoise Bertrand przepraszała za to, że przeglądała prywatną korespondencję. Wzięła do pomocy pewnego zapijaczonego szwedzkiego malarza, którego poznała w Algierze. Przetłumaczył listy, nie mając pojęcia, o co właściwie chodzi. Na ich podstawie wyrobiła sobie określony pogląd. Już wcześniej

nękały ją wyrzuty sumienia z powodu piątej kobiety. Nie tylko dlatego, że tak brutalnie została zamordowana w targanej wewnętrznymi waściami Algierii, którą Françoise szczerze kochała. Próbowwała wyjaśnić, co się dzieje w jej kraju, a przy okazji napisała kilka słów o sobie. Jej ojciec urodził się we Francji, przyjechał do Algierii z rodzicami jako dziecko, tam dorósł i tam się potem ożenił z Algierką. Françoise, ich pierwsze dziecko, długo czuła się rozdarta pomiędzy Francją i Algierią. Ale teraz wszystkie wątpliwości zniknęły. Jej ojczyzną jest Algieria. Cierpiała z powodu antagonizmów, które mogły doprowadzić do rozpadu państwa. Skazując tę kobietę na niebyt, godząc się na fikcyjny wypadek samochodowy i nie biorąc odpowiedzialności za to, że Anna Ander była w Algierii, pogorszyłaby i tak już zszargany wizerunek kraju. Françoise Bertrand nie mogła spać. W końcu postanowiła się skontaktować z córką zmarłej kobiety. Musiała zapomnieć o lojalności wobec przełożonych. Prosiła, by nie ujawniać jej nazwiska. Na zakończenie napisała: „Wyznałam całą prawdę. Może robię błąd, opowiadając o tym, ale czy mogłam postąpić inaczej? Znalazłam torbę z listami do córki. Zdaję relację z tego, jak weszłam w ich posiadanie, i odsyłam je do adresata”.

Do listu Françoise Bertrand dołączyła niedokończoną korespondencję matki i paszport.

Córka położyła przesyłkę na balkonowej posadzce i długo płakała. Dopiero o świcie podniosła się z leżaka i poszła do kuchni. Usiadła przy stole. W głowie miała kompletną pustkę. Ale po jakimś czasie zaczęła myśleć. Nagle wszystko stało się proste. Uświadomiła sobie, że przez całe lata nie robiła nic innego, tylko czekała. Do tej pory nie miała pojęcia ani o tym, że czeka, ani o tym, na co czeka. Teraz wiedziała. Najwyższy czas spełnić misję. Matki nie było. Drzwi stanęły przed nią otworem.

Poszła do sypialni i wyjęła spod łóżka pudełko z karteczkami i dziennikiem. Położyła karteczki na stole. Wiedziała, że jest ich czterdzieści trzy i że na jednej musi być czarny krzyżyk. Zaczęła je kolejno przeglądać.

Krzyżyk był na dwudziestej siódmej karteczce. Otworzyła dziennik i przebiegała wzrokiem rzędy nazwisk, dopóki nie dotarła do dwudziestej siódmej pozycji. Odczytała imię i nazwisko, które sama tam wpisała, i powoli zaczęła sobie przypominać twarz.

Zamknęła dziennik i włożyła karteczki do pudełka.

Matka nie żyje.

Wyzbyła się wątpliwości. Klamka zapadła.

Da sobie rok. Żeby uporać się z żałobą i poczynić wszystkie niezbędne przygotowania. Rok. Nie dłużej.

Wyszła na balkon. Palila papierosa i patrzyła na budzące się miasto. Znad morza nadciągała ślota.

Położyła się tuż po siódmej.

Był ranek 20 sierpnia 1993 roku.

Skania

21 września – 11 października 1994

1

Parę minut po dziesiątej wieczorem nareszcie skończył.

Napisanie ostatnich zwrotek zajęło mu dużo czasu. Chciał, by były melancholijne i piękne. Po wielekroć wyrzucał nieudane wersje do kosza. Dwa razy miał ochotę zrezygnować. Ale teraz wiersz leżał przed nim na biurku. Tren dedykowany dzięciołowi średniemu, który od wczesnych lat osiemdziesiątych przestał się pojawiać w Szwecji. Jeszcze jeden gatunek ptaków wytrzebiony przez człowieka.

Wstał i rozprostował plecy. Z każdym rokiem długie chwile spędzane przy biurku stawały się coraz bardziej uciążliwe.

Taki starzec jak ja, myślał, nie powinien już pisać wierszy. Przemysłownia siedemdziesięcioośmiolatka mają wartość wyłącznie dla niego samego. Jednocześnie wiedział, że to nieprawda. Tylko w świecie zachodnim ludzi starych traktuje się z pobłażaniem lub pogardą. W innych kulturach darzy się ich szacunkiem, a starość utożsamia z mądrością. Nie przestanie pisać dopóty, dopóki starczy mu sił, żeby utrzymać pióro w dłoni, i dopóki jego umysł będzie tak jasny jak teraz. Nic innego mu nie pozostało. Kiedyś sprzedawał samochody. Praktycznie nie miał sobie równych. Owszem, był szorstki w interesach, ale znał się na tym jak mało kto.

W dobrych latach prowadził filie w Tomelilli i Sjobo. Zarobił dosyć pieniędzy, by go było stać na wygodne życie.

Liczyły się jednak tylko wiersze. Cała reszta stanowiła ulotną doczesność. Wiersze dostarczały mu jedynej niekłamanej satysfakcji.

Zaciągnął zasłony w oknach wychodzących na pola, które łagodnie opadały ku morzu, szumiącemu gdzieś za horyzontem. Potem podszedł do regału. Wydał dotąd dziewięć tomików wierszy. Stały na jednej półce.

Wyszły w niewielkich nakładach, po trzysta egzemplarzy, czasami ciut więcej. Zwroty przechowywał w kartonach, w piwnicy, co bynajmniej nie znaczyło, że o nich zapomniał. Przeciwnie, wciąż były jego dumą. Dawno jednak postanowił, że pewnego dnia je zniszczy. Wyniesie na podwórze i podpali. Pozbędzie się tych skromnych książeczek, których nikt nie chciał kupić, kiedy lekarz wyda na niego wyrok śmierci lub on sam będzie przeczuwał swój rychły koniec. Nikomu nie pozwoli wyrzucić ich na śmietnik.

Patrzył na grzbiety książek. Przez całe życie czytał wiersze. Dużo znał na pamięć. Nie miał złudzeń. Jego poezja nie zaliczała się do najlepszej, ale też nie była najgorsza. Od końca lat czterdziestych, mniej więcej co pięć lat, wydawał nowy tomik i w każdym można było znaleźć jakąś zwrotkę na przyzwoitym poziomie. Był jednak sprzedawcą samochodów, a nie poetą, nikt nie recenzował jego twórczości w prasie, nikt nie przyznał mu żadnej nagrody literackiej. Poza tym drukował swoje tomiki na własny koszt. Pierwszy wysłał do renomowanych sztokholmskich wydawnictw. Otrzymał zwięzłe odpowiedzi odmowne na gotowych formularzach. Jeden z redaktorów zadał sobie trud, by dodać kilka uwag od siebie i poinformować, że nikt nie ma siły czytać wierszy niemal wyłącznie o ptakach. „Życie duchowe pliszki jest nieinteresujące” – napisał.

Później zaniechał kontaktów z wydawnictwami i sam pokrywał koszty druku. Tania, ascetyczna okładka, czarne litery na białym tle. Liczyło się to, co w środku. Mimo wszystko miał wielu czytelników. I wielu wyrażało się o nim z uznaniem.

Teraz napisał wiersz o dzięciole średnim, pięknym ptaku, którego nie można już było zobaczyć w Szwecji.

Ptasi poeta, pomyślał.

Prawie wszystko miało związek z ptakami. Łopot skrzydeł, nocne krzyki, wabiące nawoływania. W ptasim świecie dostrzegał najskrytsze tajemnice życia.

Podszedł do biurka i wziął wiersz. Ostatnia zwrotka nareszcie się udała. Odłożył kartkę. Coś zakłuło go w plecach. Czyżby miał zachorować? Codziennie nasłuchiwał, czy przypadkiem organizm nie odmawia posłuszeństwa. Zawsze był sprawny fizycznie. Nie palił, jadł i pił z umiarem. Dzięki temu cieszył się dobrym zdrowiem. Ale niedługo stuknie mu osiemdziesiątka. Jego czas dobiegał końca. Poszedł do kuchni i nalał so-

bie kawy z wiecznie włączonego ekspresu. Najnowszy wiersz przepelił go melancholią i radością.

Jesień życia, pomyślał. Trafne określenie. Wszystko, co teraz piszę, może być ostatnie. I jest wrzesień. Jesień kalendarzowa i jesień mojego życia.

Zaniósł kawę do salonu i ostrożnie usiadł w jednym z brązowych skórzanych foteli, które miał od ponad czterdziestu lat. Kupił je dla uczczenia sukcesu, jakim było uzyskanie zgody na prowadzenie przedstawicielstwa Volkswagena w południowej Szwecji. Na stoliku obok stało zdjęcie owczarka niemieckiego, Wenera. Brakowało mu go najbardziej ze wszystkich psów, które miał. Starość równa się samotności. Ludzie kiedyś obecni w naszym życiu odeszli. Potem do krainy cieni przeniosły się psy. Niebawem zostanie tylko on. W pewnym momencie każdy jest sam na świecie. Chciał o tym napisać wiersz. Niestety, bez powodzenia. Teraz, kiedy uporał się z trenem o dzieciole, może powinien spróbować jeszcze raz? Wiedział, jak pisać o ptakach, ale nie o ludziach. Ptaki można zrozumieć. Ludzie są najczęściej nieprzeniknieni. Czy kiedykolwiek udało mu się rozgryźć samego siebie? Pisanie o tym, co niepojęte, byłoby równoznaczne z wtargnięciem na teren opatrzony tablicą: „Wstęp surowo wzbroniony”.

Zamknął oczy. Nagle przypomniało mu się pytanie za dziesięć tysięcy koron. To była końcówka lat pięćdziesiątych albo początek sześćdziesiątych. Czarno-białe telewizory. Jakiś młody zezowaty mężczyzna uczesany na wodę wybrał sobie temat „ptaki”. Odpowiedział na wszystkie pytania i dostał czek na zawrotną wówczas sumę dziesięciu tysięcy.

Nie było go w studiu telewizyjnym, nie stał w dźwiękoszczelnej kabine ze słuchawkami na uszach, siedział wygodnie w tym właśnie skórzanym fotelu i też znał odpowiedzi na wszystkie pytania. Nie potrzebował żadnego czasu do namysłu. Ale nikt mu za to nie dał dziesięciu tysięcy koron. Nikt nie wiedział o jego imponującej wiedzy o ptakach. Nadal poświęcał im swoje wiersze.

Drgnął. Coś wyrwało go z zamyślenia. Jakiś dźwięk. Nasłuchiwał. Czyżby ktoś był na podwórzu?

Nie, to niemożliwe. Na pewno się przesłyszał. Im człowiek starszy, tym bardziej bojaźliwy. Pozakładał porządne zamki. W sypialni na piętrze miał strzelbę, a w szufladzie w kuchni pistolet. Gdyby do jego odludnego domu pod Ystadem przyszli intruzi, potrafiłby się obronić.

W ogóle by się nie zawahał.

Wstał z fotela. Znów zakłuło go w plecach. Ból przychodził falami. Wstawił filiżankę do zlewu i spojrzął na zegarek. Dochodziła jedenasta. Już czas. Termometr za oknem wskazywał plus siedem stopni. Ciśnienie rosło. Nad Skanią przeciągał słaby wiatr z południowego zachodu. Idealne warunki, pomyślał. Tej nocy stada powinny ruszyć na południe. Tysiące skrzydlatych długodystansowców przefrunie nad jego głową. Nie zobaczy ich w ciemnościach, ale je wyczuje. Przez te przeszło pięćdziesiąt lat spędził niezliczoną ilość jesiennych nocy na polach tylko po to, żeby gdzieś wysoko czuć obecność tysięcy ptaków.

Często myślał, że przemieszcza się całe niebo.

Ptaki śpiewające niczym orkiestry symfoniczne umykają na zimę do cieplejszych krajów. Mają w swoich genach instynkt odlotu. Niezrównana umiejętność nawigacji według gwiazd i pola magnetycznego nigdy ich nie zawodzi. Szukają sprzyjających wiatrów, dzięki zmagazynowanym zapasom tłuszczu godzinami mogą się unosić w powietrzu.

Wibrujące od skrzydeł niebo wyrusza na doroczną pielgrzymkę. Ptasie loty do Mekki.

Czym jest człowiek w porównaniu z nocnym wędrowcem? Samotnym starcem przykutym do ziemi? A tam, wysoko, niebo udaje się w drogę.

Często myślał, że uczestniczy w świętym obrzędzie. W jesiennej mszy. Stał w ciemnościach i wyczuwał obecność odlatujących ptaków. A z nadejściem wiosny wychodził im na powitanie.

Nocne przeloty były jego religią.

Zatrzymał się w przedpokoju, z dłonią na wieszaku. Po chwili wrócił do salonu i włożył sweter, który leżał na stołku przy biurku.

Starość prócz rozlicznych udręk ma również to do siebie, że szybciej się marznie.

Jeszcze raz spojrzął na tren o dziecięciu. Udał mu się. Może pożyje jeszcze dostatecznie długo, żeby wydać dziesiąty, ostatni tomik? Tytuł już miał. *Nocna msza*.

Poszedł do przedpokoju, włożył kurtkę i wcisnął na czoło cyklistówkę. Otworzył drzwi. Jesienne powietrze pachniało mokrą gliną. Zamknął drzwi i przyzwyczajając oczy do ciemności. Opuszczony ogród. Gdzieś w dali domyślał się światła Ystadu. Od najbliższego sąsiada dzielił go szmat drogi. Na pogodnym niebie świeciły gwiazdy. Tylko na horyzoncie wisały pojedyncze chmurki.

W taką noc skrzydlate stada przefruną nad jego głową.

Mieszkał w starej zagrodzie, na którą składały się trzy zabudowania. Czwarte spłonęło na początku tego stulecia. Bruk na podwórzu zostawił. Włożył dużo pieniędzy w gruntowną renowację. Po jego śmierci wszystko przejmie Muzeum Kultury w Lundzie. Nie ożenił się, był bezdzietny. Dorobił się na sprzedaży samochodów. Miał psy. I, rzecz jasna, ptaki nad głową.

Niczego nie żałuję, pomyślał, idąc ścieżką prowadzącą do wieży, którą sam zbudował i z której wypatrywał nocnych ptaków. Niczego nie żałuję, bo żałowanie czegokolwiek jest pozbawione sensu.

Była ładna wrześnieowa noc.

A jednak coś go zaniepokoiło.

Przystanął i nasłuchiwał. Nic, tylko słaby szum wiatru. Ruszył. Może to ból go martwi? Te nagłe ukłucia w plecach? Niepokój miał swoje źródło w nim samym.

Znów przystanął i odwrócił się. Nikogo. Był sam. Ścieżka opadała w dół. Potem będzie pagórek, a tuż przed nim szeroki rów, przez który przerzucił kładkę. Jego wieża stała na szczycie pagórka. W odległości dwustu czterdziestu siedmiu metrów od drzwi jego domu. Zastanawiał się, ile razy tędy chodził. Znał każde zakole tej ścieżki, każdą jej krzywiznę. Mimo to szedł wolno i ostrożnie. Nie chciał ryzykować, że się przewróci i coś sobie złamie. Starzy ludzie mają kruche kości. Gdyby trafił do szpitala z pękniętą kością udową, na pewno umarłby wskutek bezczynności. Zaczęłyby rozmyślać o swoim życiu. A to byłby jego koniec.

Nagle się zatrzymał. Zahukała sowa. Gdzieś trzasnęła gałązka. Chyba w zagajniku za pagórkiem. Stał bez ruchu i wyęczał wszystkie zmysły. Znowu hukanie sowy i cisza. Ruszył przed siebie, mrużąc pod nosem.

Stary i strachliwy, pomyślał. Boi się duchów i ciemności.

Już widział wieżę. Na nocnym niebie odcinała się jej czarna sylweta. Jeszcze dwadzieścia metrów i będzie przy kładce. Sowa umilkła. To puszczyk, pomyślał, nic tylko puszczyk.

Z całą pewnością puszczyk.

Przed kładką stanął jak wryty. Coś było nie tak z wieżą. Zmrużył oczy, żeby lepiej rozróżnić szczegóły. Nie potrafił rozstrzygnąć, co to takiego. W każdym razie coś się zmieniło.

Mam przywidzenia, pomyślał. Wieża, którą postawiłem dziesięć lat temu, nie mogła się zmienić. Oczy mi zmętniały. Nic więcej. Kiedy

wszedł na kładkę i poczuł deski pod stopami, ciągle patrzył na wieżę.

Coś się nie zgadza, pomyślał. Gdybym jej tak dobrze nie znał, mógłbym dojść do wniosku, że od wczorajszego wieczora urosła o metr. Albo śnię. Śni mi się, że widzę siebie na wieży.

W tym momencie dotarło do niego, że na wieży rzeczywiście ktoś stoi. Nieruchomy cień. Niczym powiew wiatru przeszył go lęk. Po chwili wpadł w złość. Ktoś, nie spytawszy go o zgodę, wtargnął na jego teren i wszedł na wieżę. Przypuszczalnie kłusownik wypatrujący saren, które żerowały w zagajniku. Nie wyobrażał sobie, by miał do czynienia z miłośnikiem ptaków.

Zawołał do nieruchomego cienia. Nic, żadnego odzewu. Stracił pewność siebie. Zmętniałe oczy płatały mu figła.

Zawołał jeszcze raz, nie doczekał się odpowiedzi i ruszył dalej kładką.

Deski się pod nim załamały i runął bezwładnie w dół. Rów miał ponad dwa metry głębokości. Nie zdążył rozrzucić ramion, żeby zmniejszyć siłę upadku.

Czuł narastający ból. Przeszywał go na wylot, jakby ktoś przykładał mu do ciała rozżarzone żelazo. Był tak dojmujący, że nawet nie mógł krzyczeć. Tuż przed śmiercią zorientował się, że nie leży na dnie rowu. Wisiał na swoim bólu.

Pomyślał o ptakach gdzieś nad nim.

O niebie udającym się na południe.

Jeszcze raz próbował uwolnić się od bólu.

I tyle.

Było dwadzieścia po jedenastej 21 września 1994 roku.

Tej nocy przelatywały duże stada drozdów śpiewaków i drozdów rdzawoskrzydłych. Trzymając kurs południowo-zachodni, tuż nad Falsterbo, podążały z północy ku odległym ciepłym krajom.

*

Kiedy zapadła cisza, ostrożnie zeszła z wieży. Oświetliła rów latarką. Holger Eriksson nie żył.

Zgasła latarkę i stała nieruchomo w ciemnościach. Po chwili szybko odeszła.

2

W poniedziałek 26 września Kurt Wallander obudził się tuż po piątej w swoim mieszkaniu przy Mariagatan w śródmieściu Ystadu.

Ledwie otworzył oczy, usiadł i spojrzął na ręce. Były brązowe. Opadł na poduszkę i słuchał deszczu bębniącego w okno sypialni. Z przyjemnością pomyślał o podróży, którą dwa dni temu zakończył na lotnisku Kastrup. Cały tydzień spędził z ojcem w Rzymie. Było bardzo ciepło, opalił się. W największe upały siadali po południu na ławce w Villa Borghese; ojciec w cieniu, on – bez koszuli – na słońcu. Był to jedyny punkt sporny w trakcie ich wspólnej wyprawy. Ojciec nie potrafił pojąć jego próżności polegającej na oddawaniu się słonecznym kąpielom. Ale ta różnica zdań nie miała znaczenia, chodziło raczej o to, żeby nadać ich podróży jakiś wymiar.

Wspaniała podróż, pomyślał Wallander, leżąc w łóżku. Byłem z ojcem w Rzymie i wszystko się udało nadspodziewanie dobrze.

Spojrzał na zegarek stojący na stoliku tuż obok. Tego dnia wracał na służbę. Ale się nie spieszył. Mógł sobie jeszcze poleżeć. Zabrał się do lektury gazet, które przeglądał poprzedniego wieczora. Zaczął od wyników wyborów parlamentarnych. Ponieważ był wtedy w Rzymie, głosował za pośrednictwem poczty. Okazało się, że socjaldemokraci dostali przeszło czterdzieści pięć procent głosów. Ale co to właściwie znaczy? Czy coś się zmieni?

Położył gazetę na podłodze i wrócił myślami do Rzymu.

Zatrzymali się w tanim hoteliku koło Campo dei Fiori. Z tarasu na dachu mieli piękny widok na całe miasto. Tam pili rano kawę i planowali, jak spędzą dzień. Nigdy nie doszło między nimi do kontrowersji. Ojciec wiedział, co chce zobaczyć. Wallander czasami się niepokoił, że to za dużo, że ojciec nie da rady. I bez przerwy go obserwował, wypatrując jakichś zaburzeń i oznak duchowej nieobecności. Obaj wiedzieli, że choroba o dziwacznej nazwie Alzheimer gdzieś tam czyha. Ale przez cały tydzień ich wspaniałej eskapady ojcu dopisywał humor. Wallander czuł ucisk w gardle, myśląc o tym, że podróż należy do przeszłości i stała się jedynie wspomnieniem. Nie wrócą do Rzymu, pojechali tam tylko raz. On i blisko osiemdziesięcioletni ojciec.

Chwilami łączyła ich duża zażyłość. Co nie zdarzyło się od czterdziestu lat.

Wallander odkrył, że – choć nie chciał się do tego przyznać – są do siebie bardzo podobni. Obaj byli rannymi ptaszkami. Kiedy Wallander poinformował ojca, że w hotelu nie podaje się śniadania przed siódmą, ten od razu zaprotestował. Zaciągnął go do recepcji i po skansku, angielsku, niemiecku tudzież włosku w wydaniu elementarnym wyjaśnił, że chce *breakfast presto*. Nie *tardi*. Absolutnie nie *tardi*. Nie wiedzieć czemu kilka razy powtórzył *passaggio a livello*, domagając się przesunięcia śniadania co najmniej na szóstą, bo jeśli o tej porze nie dostaną kawy, to będą zmuszeni poszukać sobie innego hotelu. Ojcowe *passaggio a livello* personel przyjął ze zdziwieniem i z szacunkiem. Oczywiście przynoszono im śniadanie o szóstej. Wallander później sprawdził w słowniku, że *passaggio a livello* to „przejazd kolejowy”. Prawdopodobnie ojciec pomylił to z czymś innym. Nie miał pojęcia, z czym, i wołał nie pytać.

Wallander wsłuchiwał się w deszcz. Zaledwie tydzień spędzony w Rzymie wydawał się niemającym końca, oszałamiającym przeżyciem. Ojciec był stanowczy nie tylko w kwestii porannej kawy, z dużą pewnością siebie oprowadzał go po mieście. Po prostu wiedział, co chce zobaczyć. Żadnych na chybił trafił. Wallander zrozumiał, że ojciec planował tę podróż od lat, on zaś wziął udział w pielgrzymce w charakterze stale obecnego, acz niewidzialnego giermka. Nigdy nie pozna wszystkich jej tajników. Ojciec pojechał do Rzymu, by zobaczyć coś, co dużo wcześniej przeżył.

Trzeciego dnia zwiedzali Kaplicę Sykstyńską. Blisko godzinę ojciec wpatrywał się w sklepienie z freskami Michała Anioła. Jakby kierował bezsłowną modlitwą wprost do nieba. Wallander szybko się poddał, od zadzierania głowy rozboleł go kark. Owszem, zobaczył coś pięknego, ale ojciec z pewnością widział dużo, dużo więcej. Pomyślał bluźnierczo, czy przypadkiem nie szuka tam głuszca albo zachodu słońca. Nie, bzdura. Nie ulegało wątpliwości, że jego ojciec, odpustowy malarz, podziwiał dzieło mistrza w intensywnym skupieniu.

Wallander otworzył oczy. Deszcz bębnił o szyby.

Tego samego dnia wieczorem, a był to trzeci dzień ich rzymskiej przygody, nie wiedzieć czemu powziął podejrzenie, że ojciec szykuje się do czegoś, co zamierza zachować w tajemnicy. Zjedli kolację na Via Vittorio Veneto, zdaniem Wallandera było tam stanowczo za drogo, ale ojciec się

uparł. To ich pierwsza i ostatnia wspólna podróż do Rzymu, więc mogą sobie pozwolić na przyzwoity posiłek. Później powoli ruszyli do hotelu. Był ciepły wieczór, dookoła pełno ludzi. Ojciec opowiadał o freskach w Kaplicy Sykstyńskiej. Dwa razy zabłądzili. Po śniadaniowym buncie ojca traktowano z dużą atencją. Odebrali klucze, czemu towarzyszyły grzeczne ukłony, i poszli na piętro. W korytarzu życzyli sobie dobrej nocy i zniknęli w swoich pokojach. Wallander położył się i słuchał dźwięków dobiegających z ulicy. Może myślał o Bajbie, a może po prostu już zasypiał, gdy nagle coś go zaniepokoiło. Włożył szlafrok i zszedł do recepcji. Było bardzo cicho. Na zapleczu portier i recepcjonista w jednej osobie oglądał telewizję. Wallander kupił u niego butelkę wody mineralnej. Młody człowiek o ciemnych falujących włosach pracował nocami, żeby sfinansować swoje studia teologiczne. Powiedział o tym Wallanderowi przy pierwszej okazji. Miał na imię Mario, urodził się w Padwie i znakomicie mówił po angielsku. Stojąc z butelką w ręku, Wallander nagle usłyszał samego siebie proszącego Maria, żeby go obudził, gdyby ojciec chciał nocą opuścić hotel. Młody człowiek spojrzął na niego; może się zdziwił, a może pracował już tak długo, że żadne życzenia hotelowych gości nie były w stanie go zaskoczyć. Skinął głową. Oczywiście, jeśli starszy pan Wallander wyjdzie w nocy, on natychmiast zapuka do pokoju trzydzieści dwa.

I szóstej nocy zapukał. W ciągu dnia krążyli po Forum Romanum i zajrzeli do Galerii Doria Pamphili. Później przeszli podziemnymi korytarzami z Villa Borghese do Schodów Hiszpańskich i zjedli kolację. Na widok rachunku Wallander osłupiał. To był jeden z ich ostatnich wspólnych wieczorów, równie ciepły jak wszystkie poprzednie, wspaniała podróż dobiegała końca. Ojciec jak zwykle tryskał energią. Spacerowali po mieście, w jednej z kafejek wypili kawę i stuknęli się kieliszkami grappy. W hotelu odebrali klucze i Wallander natychmiast zasnął.

Pukanie rozległo się o wpół do drugiej w nocy.

W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Mało przytomny zerwał się z łóżka i otworzył drzwi. Mario nienagannym angielskim poinformował, że starszy pan, ojciec signora Wallandera, właśnie opuścił hotel. Wallander błyskawicznie się ubrał i wybiegł. Ojciec pewnym krokiem maszerował po drugiej stronie ulicy. Ruszył za nim, zachowując bezpieczną odległość. Pomyślał, że po raz pierwszy śledzi własnego ojca. Jego przecucia się potwierdziły. Początkowo nie bardzo wiedział, dokąd idą. Ale kie-

dy zanurzyli się w wąskie zaułki, nie miał wątpliwości. Schody Hiszpańskie. Ojciec dotarł do kościoła u ich szczytu i usiadł. Czarna kropka wysoko w górze. Spędził tam blisko godzinę. Wallander trzymał się w ukryciu. Nie przypominał sobie równie zagadkowej misji. Wkrótce znaleźli się przy fontannie di Trevi. Ojciec nie wrzucił monety przez ramię, tylko patrzył na tryskające strumienie. W świetle ulicznej latarni Wallander widział, jak błyszczą mu oczy.

Potem wrócili do hotelu.

Następnego dnia lecieli Alitalia do Kopenhagi; ojciec, tak jak podczas podróży do Rzymu, siedział przy oknie. Wallander zauważył, że się opalił. Dopiero na promie do Limhamnu spytał ojca, czy jest zadowolony z podróży. Ojciec pokiwał głową i coś wymruczał. Wallander nie mógł liczyć na większy entuzjizm. Gertruda przyjechała po nich. Wallander wysiadł w Ystadzie. Wieczorem zadzwonił, żeby się dowiedzieć, czy wszystko w porządku, i usłyszał od Gertrudy, że ojciec maluje w atelier swój stały motyw: zachód słońca nad bezwietrznym krajobrazem.

Wallander wstał z łóżka i poszedł do kuchni. Było wpół do szóstej. Nastawił wodę na kawę. Dlaczego ojciec wymknął się w nocy? Dlaczego siedział na schodach? Co błyszczało w jego oczach, kiedy stał koło fontanny?

Nie wiedział. Zrozumiał jednak, że ojciec ma swój sekretny pejzaż wewnętrzny. Nie zamierzał tam zaglądać, pozostał za niewidzialną granicą. Nigdy go nie zapyta o ten samotny nocny spacer po Rzymie.

Kiedy kawa się gotowała, poszedł do łazienki. Z zadowoleniem zauważył, że wygląda zdrowo i że nie brak mu energii. Włosy spłowieły od słońca. Przytył. Być może za sprawą spaghetti. Wolał się nie ważyć. Najważniejsze, że wypoczął. I cieszył się, że podróż doszła do skutku.

Nie odczuwał przykrości na myśl, że wkrótce znowu będzie policjantem. W ostatnich latach nie palił się do pracy po powrocie z urlopu. Zastanawiał się nawet nad znalezieniem sobie innego zajęcia, na przykład jako ochroniarz w jakiejś firmie. Był jednak policjantem. Dojrzewał do tego powoli, ale nieodwołalnie. Był i będzie policjantem.

Biorąc prysznic, przypomniał sobie wydarzenia sprzed kilku miesięcy, kiedy Szwecji poszczęściło się w mistrzostwach świata w piłce nożnej. Ciągłe przeżywał katusze, myśląc o pościgu za seryjnym mordercą, którym okazał się zaburzony emocjonalnie czternastoletni chłopiec. W Rzymie pamięć o tej tragedii rozplynęła się w podświadomości. Teraz

wróciła. Rzymskie wakacje niczego nie zmieniły. Znowu był w tej samej rzeczywistości.

Siedział przy stole w kuchni do siódmej. Deszcz bębnił nieprzerwanie. Włoskie upały były już tylko odległym wspomnieniem. Do Skanii zawiatała jesień.

O wpół do ósmej pojechał do komendy. Na parkingu spotkał Martinsona. Ciągle padało. Szybko się przywitali i ruszyli do wejścia.

– Jak podróż? – spytał Martinsson. – A tak w ogóle to miło cię znowu widzieć.

– Ojcu się bardzo podobało.

– A tobie?

– Przyjemna podróż. I było ciepło.

Weszli do środka. Ebba, od przeszło trzydziestu lat na etacie recepcjonistki ystadzkiej komendzie, przywitała go ciepłym uśmiechem.

– Czy można się aż tak opalić we Włoszech we wrześniu? – zapytała, zdziwiona.

– Owszem. Jeśli się przebywa na słońcu.

Idąc korytarzem, Wallander pomyślał, że powinien być coś kupić dla Ebby. Wkurzył się na siebie.

– Tutaj cisza i spokój – powiedział Martinsson. – Żadnych poważniejszych spraw. Właściwie jedno wielkie nic.

– Może będziemy mieli spokojną jesień.

Martinsson poszedł po kawę. Wallander otworzył drzwi do swojego pokoju. Nic się w nim nie zmieniło. Biurko było puste. Zdjął kurtkę, powiesił ją na wieszaku i uchylił okno. W pojemniku na korespondencję zobaczył kilka okólników z Głównego Zarządu Policji. Wziął pierwszy z brzegu i, nie czytając, położył na biurku.

Pomyślał o skomplikowanym dochodzeniu w sprawie przemytu samochodów ze Szwecji do byłych państw bloku wschodniego. Zajmował się tym od blisko roku. I pewnie do tego wróci, jeśli podczas jego urlopu nie zaszło nic szczególnego.

Zastanawiał się, czy będzie nad tym ślęczał aż do emerytury, czyli mniej więcej przez piętnaście lat.

Kwadrans po ósmej poszedł do sali zebrania. O wpół do dziewiątej policjanci z wydziału kryminalnego zbierali się, by omówić zadania na najbliższy tydzień. Przywitał się – wszyscy podziwiali jego opaleniznę – i usiadł na swoim miejscu. Panował smętawy, senny nastrój, jak zwykle

w jesienne poniedziałki. Ciekawe, ile poniedziałkowych poranków tutaj przesiedział. Ponieważ Lisa Holgersson, ich nowa szefowa, była w Sztokholmie, zebranie prowadził Hansson. Martinsson miał rację. Niewiele się wydarzyło pod jego nieobecność.

– No to będę musiał wrócić do przemytu samochodów – powiedział Wallander, nie kryjąc rezygnacji.

– Chyba żebyś chciał się zająć włamaniem do kwiaciarni – pocieszającym tonem zauważył Hansson.

Wallander popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Włamanie do kwiaciarni? Co zginęło? Tulipany?

– O ile wiemy, nic – odparł Svedberg, drapiąc się po łysinie.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju szybkim krokiem weszła Ann-Britt Höglund. Ponieważ jej mąż był w ciągłych rozjazdach i nieustannie podróżował do tak odległych krajów, o których nikt nie słyszał, sama opiekowała się dwójką dzieci. Jej poranki wyglądały dosyć chaotycznie, często spóźniała się na zebrania. Ann-Britt Höglund pracowała w ystadzkiej policji od ponad roku. Była najmłodsza w wydziale kryminalnym. Początkowo niektórzy koledzy, między innymi Svedberg i Hansson, otwarcie manifestowali swoje niezadowolenie, że muszą pracować z kobietą. Wallander szybko się na niej poznał i wziął ją w obronę. Nikt już nie komentował jej spóźnień. Przynajmniej nie w jego obecności. Usiadła przy stole, spojrzała na niego, uśmiechnęła się i skinęła głową, jakby ją zaskoczył jego powrót.

– Mówimy o kwiaciarni – poinformował ją Hansson. – Pomyśleliśmy, że może Kurt by się temu przyjrzał.

– Do włamania doszło w czwartek w nocy – powiedziała.

– Ekspedientka odkryła to w piątek rano. Złodzieje weszli przez okno z tyłu domu.

– Co zginęło? – spytał Wallander.

– Nic.

Wallander skrzywił się.

– Jak to „nic”?

Ann-Britt Höglund wzruszyła ramionami.

– Po prostu nic.

– Na podłodze były plamy krwi – dodał Svedberg. – Właściciel kwiaciarni wyjechał.

– Wydaje mi się to bardzo dziwne – powiedział Wallander. – Czy na-

prawdę warto zaprzątać sobie tym głowę?

– To jest dziwne – stwierdziła Ann-Britt Höglund. – Nie umiem odpowiedzieć, czy warto zaprzątać sobie tym głowę.

Wallander pomyślał, że przynajmniej przez jakiś czas nie będzie musiał ślęczeć nad tym beznadziejnym dochodzeniem w sprawie samochodów, które nieustannie przemycano za granicę. Powinien mieć jeden dzień na oswojenie się z faktem, że nie jest już w Rzymie.

– Mogę się przyrzec – powiedział.

– Zaczęłam się tym zajmować – rzekła Ann-Britt Höglund.

– Kwiaciarnia jest w śródmieściu.

Zebranie dobiegło końca. Ciągłe lało. Wallander poszedł po kurtkę i pojechali do śródmieścia jego samochodem.

– Jak podróż? – spytała, kiedy się zatrzymali na czerwonym świetle przed szpitalem.

– Widziałem Kaplicę Sykstyńską – odparł Wallander, wpatrując się w deszcz. – A ojcu przez cały tydzień dopisywał humor.

– Wygląda na to, że wszystko się udało.

Światło się zmieniło. Ruszyli. Pilotowała go, bo nie bardzo wiedział, gdzie jest ta kwiaciarnia.

– A tu jak było? – spytał Wallander.

– Spokojnie. Przez tydzień nic się nie zmieniło.

– A nasza nowa szefowa?

– Jest w Sztokholmie i omawia kolejne propozycje cięć. Będzie dobra. Co najmniej tak dobra jak Bjork.

Wallander obrzucił ją spojrzeniem.

– Nie sądziłem, że go lubiłaś.

– Robił tyle, ile mógł. Czego więcej można wymagać?

– Niczego. Absolutnie niczego.

Zaparkowali na Vastra Vallgatan przy Pottmakargrand. Na porywistym wietrze huśtała się tabliczka z nazwą kwiaciarni. „Cymbia”. Siedzieli w samochodzie. Ann-Britt Höglund dała mu kilka kartek w plastikowej koszulce. Wallander przeglądał je i słuchał.

– Właścicielem jest Gösta Runfeldt – mówiła Ann-Britt Höglund. – Wyjechał. Ekspedientka przyszła w piątek rano, tuż przed dziewiątą. Zauważyła wybitą szybę. Po obu stronach leżały odłamki szkła, a w kwiaciarni były ślady krwi. Nic nie zginęło. Pieniądzy nie zostawiano tam na noc. Ekspedientka zadzwoniła na policję trzy minuty po dziewiątej. Przy-

jechałam tam chwilę po dziesiątej. Wszystko się zgadzało. Zbita szyba. Plamy krwi na podłodze. Nic nie zginęło. Dziwne.

Wallander zastanawiał się.

– Nie brakowało ani jednego kwiatka?

– Według ekspedientki, nie.

– Czy naprawdę można zapamiętać, ile kwiatów jest w każdym wazonie?

Zwrócił jej papiery.

– Możemy ją o to zapytać – odrzekła Ann-Britt Höglund. – Kwiaciarnia jest otwarta.

Kiedy Wallander otworzył drzwi, zadźwięczał staroświecki dzwonek. Zapachy przypomniały mu o rzymskich ogrodach. Nie było klientów. Z zaplecza wyszła kobieta w średnim wieku. Na ich widok skinęła głową.

– Przeprowadziłam kolegę – powiedziała Ann-Britt Höglund.

Wallander się przywitał.

– Czytałam o panu w gazetach.

– Mam nadzieję, że nic złego.

– Ach, skąd, same miłe słowa.

Wallander dowiedział się z notatek Ann-Britt Höglund, że kobieta nazywa się Wania Andersson i ma pięćdziesiąt trzy lata.

Powoli obchodził kwiaciarnię. Z nawyku patrzył, gdzie stawia stopy. Wilgotny zapach kwiatów przywoływał wspomnienia. Wyszedł na zaplecze i stanął pod drzwiami, których górna część była przeszklona. Zauważył świeży kit. Tędy dostał się złodziej – lub złodziejka. Przyglądał się podłodze wyłożonej płytkami ze sztucznego tworzywa.

– Przypuszczam, że krew była tutaj – powiedział.

– Nie – zaprzeczyła Ann-Britt Höglund.

Wallander zmarszczył czoło i poszedł za nią do kwiaciarni.

Stała pośrodku.

– O, dokładnie w tym miejscu.

– A przy stłuczonej szybie nie było żadnych plam?

– Nie. Teraz rozumiesz, dlaczego to wszystko jest dziwne? Dlaczego krew jest tutaj, a nie przy drzwiach? Jeśli przyjąć, że to włamywacz się skaleczył.

– A niby kto miałby się skaleczyć?

– No właśnie. Kto?

Wallander jeszcze raz obszedł kwiaciarnię. Próbował sobie wyobrazić,

jak się to odbyło. Ktoś wybija szybę i wchodzi. Pośrodku jest krew. Nic nie zginęło.

W każdym przestępstwie jest coś z planowego działania. Chyba że przestępcą jest szaleniec. Wiedział to z doświadczenia. Ale przecież żaden szaleniec nie włamie się do kwiaciarni, żeby nic nie ukraść.

To się po prostu nie trzymało kupy.

– Zakładam – powiedział – że to były krople krwi.

Ku jego zdziwieniu Ann-Britt Höglund pokręciła głową.

– Nie, żadnych kropli, tylko malutka kałuża.

Zastanawiał się. Nic nie wymyślił.

– A więc nic nie zginęło? – zwrócił się po chwili do stojącej w głębi ekspedientki.

– Nic.

– Nawet kilka kwiatów?

– O ile się orientuję, nie.

– Czy zawsze wie pani dokładnie, ile jest kwiatów?

– Tak

Odpowiedziała szybko i zdecydowanie.

Pokiwał głową.

– Czy znajduje pani jakieś wyjaśnienie tego włamania?

– Nie.

– To nie pani kwiaciarnia?

– Nie. Właściciel nazywa się Gösta Runfeldt. Pracuję u niego.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, wyjechał. Czy skontaktowała się pani z nim?

– To niemożliwe.

Popatrzył na nią z uwagą.

– Dlaczego?

– Bo jest na safari. Ogląda orchidee.

Wallander zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

– Czy mogłaby pani powiedzieć coś więcej?

– Gösta to miłośnik orchidei. Wie o nich wszystko. Jeździ po świecie i ogląda wszelkie możliwe gatunki i odmiany, jakie tylko istnieją. Píše o nich książkę. Teraz jest w Afryce. Nie mam pojęcia, gdzie. W każdym razie będzie z powrotem w przyszłym tygodniu, w środę.

Wallander skinął głową.

– Porozmawiamy z nim, kiedy wróci. Czy mogłaby go pani poprosić,

żeby się do nas zgłosił?

Wania obiecała przekazać wiadomość. Do kwiaciarni wszedł klient. Ann-Britt Höglund i Wallander wyszli w deszcz i wsiedli do samochodu.

Wallander zwlekał z włączeniem silnika.

– Można sobie naturalnie wyobrazić złodzieja, który popełnia błąd. Wybija nie tę szybę. Tuż obok jest sklep ze sprzętem komputerowym.

– A kałuża krwi?

Wzruszył ramionami.

– Mógł nie zauważyć, że się skaleczył. Stał z opuszczoną ręką i rozglądał się. Krew kapiała w jedno miejsce i powstała kałuża.

Pokiwiała głową.

Wallander zapalił samochód.

– Będzie sprawa o ubezpieczenie. Nic poza tym.

Wrócili w deszczu do komendy.

Była jedenasta.

Poniedziałek 26 września 1994 roku.

Wspomnienie podróży do Rzymu stawało się coraz bardziej odległe. Jak zanikająca fatamorgana.

3

We wtorek 27 września w Skanii nadal padało. Meteorolodzy zapowiedzieli, że po ciepłym lecie jesień będzie deszczowa. Na razie nic nie wskazywało na pomyłkę w prognozach.

Poprzedniego wieczora, kiedy Wallander wrócił z pracy pierwszego dnia po podróży do Włoch i zrobił byle jaką kolację, którą spożył z wyraźną niechęcią, wielokrotnie próbował się dodzwonić do Sztokholmu, gdzie mieszkała jego córka Linda. Na chwilę przestało lać i otworzył drzwi na balkon. Irytowało go, że Linda się nie odezwała, by spytać, jak się udała podróż. Wmawiał sobie, acz bez powodzenia, że córka ma dużo pracy. Tej jesieni podjęła studia w prywatnej szkole teatralnej i pracowała jako kelnerka w restauracji lunchowej na Kungsholmen.

O jedenastej zadzwonił do Bajby do Rygi. Znowu się rozpadało i zerwał się wiatr. Niemal zdążył zapomnieć o ciepłych dniach w Rzymie. Prócz rozkoszowania się wspaniałą pogodą i służenia ojcu za towarzysza

podróży myślał o Bajbie. Latem wybrali się do Danii. Był wykończony i przygnębiony męczącym pościgiem za czternastoletnim mordercą. Pod koniec pobytu spytał ją, czy za niego wyjdzie. Odpowiedziała wymijająco, ale nie zamknęła za sobą wszystkich drzwi. Nie próbowała też ukrywać przyczyn swoich wątpliwości. Szli niekończącym się wybrzeżem w Skagen, tam gdzie spotykają się dwie cieśniny i gdzie wiele lat temu spacerował z ówczesną żoną, a później odbywał samotne przechadzki, kiedy cierpiał na depresję i poważnie się zastanawiał nad odejściem z policji. Wieczory były niesamowicie ciepłe. Mistrzostwa świata w piłce nożnej przykuły ludzi do telewizorów i wyludniły wybrzeże. Zbierali kamyki i muszelki. I Bajba powiedziała, że nie bardzo sobie wyobraża wspólne życie z policjantem.

Jej mąż, Karlis, major łotewskiej policji, został zamordowany w 1992 roku. Właśnie wtedy ją poznał, podczas pełnych zawirowań i nierzeczywistych dni spędzonych w Rydze. W Rzymie zadawał sobie pytanie, czy on sam naprawdę chce się ponownie ożenić. Czy małżeństwo w ogóle jest konieczne? Łączyć się skomplikowanymi i formalnymi więzami, które dzisiaj prawie nic nie znaczą? Był w długim związku z matką Lindy, Moną. Kiedy pięć lat temu nieoczekiwanie mu oznajmiła, że chce się rozwieść, nic nie rozumiał. Dopiero teraz przynajmniej częściowo przyjął do wiadomości powody, dla których zamierzała rozpocząć nowe życie bez niego. Zdawał sobie sprawę, dlaczego tak się musiało stać. Potrafił ocenić samego siebie i przyznać, że ponosi większą część winy, ponieważ grzeszył permanentną nieobecnością w domu i notorycznym brakiem zainteresowania tym wszystkim, co było dla niej ważne. Jeśli w ogóle można mówić o winie. Najpierw szli obok siebie. Potem ich drogi zaczęły się rozchodzić tak powoli i niezauważalnie, że stało się to jasne dopiero po fakcie, kiedy było już za późno, kiedy stracili się z oczu.

Często o tym myślał w Rzymie. I doszedł do wniosku, że chce się ożenić z Bajbą. Chciał, żeby się do niego przeprowadziła. Postanowił kupić dom pod miastem. Dom z ogrodem. Niedrogi, ale w takim stanie, żeby sam mógł się uporać z remontem. Kupi też psa, o którym marzył od lat.

I w poniedziałkowy wieczór, kiedy w Ystadzie znowu się rozpadało, powiedział o tym Bajbie. Miał wrażenie, że kontynuuje rozmowę, którą toczył z nią w myślach w Rzymie. Kilka razy zaczął mówić na głos. Nie uszło to naturalnie uwagi ojca drepczącego w upale tuż obok. Uszczypli-

wie, ale z pewną życzliwością spytał, kto tu się właściwie starzeje i komu grozi pomieszanie zmysłów.

Odebrała natychmiast. Usłyszał radość w jej głosie. Opowiedział o podróży, a potem powtórzył pytanie sprzed kilku miesięcy. Przez moment między Rygą i Ystadem wędrowała cisza. Potem przyznała, że myślała o tym. Nadal ma wątpliwości, nie jest ich ani mniej, ani więcej.

– Przyjedź do mnie – powiedział Wallander. – Nie będziemy o tym rozmawiać przez telefon.

– Dobrze. Przyjadę.

Na razie nie ustalili terminu. Bajba pracowała na ryskim uniwersytecie i musiała planować wolne dni z dużym wyprzedzeniem. Ale kiedy Wallander odłożył słuchawkę, był niemal pewien, że wkracza w nową fazę swojego życia. Bajba przyjedzie i on po raz drugi się ożeni.

Potem długo nie mógł zasnąć. Kilka razy wychodził do kuchni, stawał przy oknie i patrzył w deszcz. Będzie mu brakowało samotnej latarni kołyszącej się na wietrze.

Chociaż późno zasnął, wcześniej był na nogach. Chwilę po siódmej zaparkował przed komendą i szybkim krokiem, w zacinającym deszczu, wszedł do środka. Postanowił od razu zabrać się do lektury obszernego materiału o kradzieżach samochodów. Im dłużej będzie zwlekał, tym większej nabierze do tego niechęci i straci wszelki zapał. Powiesił kurtkę na krześle dla gości, żeby wyschła, po czym zdjął z półki blisko półmetrowy plik akt dochodzeniowych. Właśnie zaczął porządkować skoroszyty, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Wallander usłyszał, że to Martinsson.

– Wejdz!

– Jak cię nie ma, zawsze przychodzę pierwszy – skonstatował Martinsson. – Teraz znowu będę drugi.

– Stęskniłem się za moimi samochodami – wyjaśnił Wallander, pokazując zawalone skoroszytami biurko.

Martinsson trzymał w ręku jakiś papier.

– Zapomniałem ci to dać wczoraj. Lisa Holgersson chciała, żebyś na to spojrział.

– Co to jest?

– Przeczytaj. Wiesz, że policja ma się wypowiadać w najróżniejszych sprawach.

– Rozpatrzenie wniosku?

– Mniej więcej.

Wallander nieco się zdziwił. Martinsson rzadko udzielał mętnych odpowiedzi. Kilka lat temu był aktywnym członkiem liberałów i przypuszczalnie marzyła mu się kariera polityczna. O ile Wallander wiedział, ambitne plany rozwiewały się w miarę kurczenia się elektoratu. Postanowił nie komentować wyników ostatnich wyborów.

Kiedy Martinsson wyszedł, Wallander usiadł i przeczytał to, co od niego dostał. Skończył i przeczytał jeszcze raz.

I szlag go trafił. Już dawno nie był taki wściekły. Wybiegł na korytarz i wparował do pokoju Svedberga, który nie miał zwyczaju zamykania drzwi.

– Widziałeś to? – spytał, wymachując kartką od Martinssona.

Svedberg pokręcił głową.

– Nie. Co to jest?

– Pismo od nowo powstałej organizacji, która chce się dowiedzieć, czy policja nie ma jakichś uwag do nazwy.

– Czyli?

– „Przyjaciele Siekiery”.

Svedberg tępo popatrzył na Wallandera.

– „Przyjaciele Siekiery”?

– „Przyjaciele Siekiery”. Biorąc pod uwagę wydarzenia sprzed kilku miesięcy, pytają, czy ta nazwa przypadkiem nie zostanie źle odebrana. Bo bynajmniej nie zamierzają skalpować ludzi.

– A co zamierzają?

– Jeśli dobrze zrozumiałem, ma to być coś w rodzaju regionalnego stowarzyszenia, które chciałoby otworzyć muzeum starych narzędzi pracy.

– To chyba nieźle brzmi. Dlaczego jesteś taki wściekły?

– Dlatego, że ich zdaniem policja ma czas na takie rzeczy. Osobiście uważam, że „Przyjaciele Siekiery” to dosyć dziwaczna nazwa jak na regionalne stowarzyszenie. Ale najbardziej wkurza mnie to, że musimy się czymś takim zajmować.

– Powiedz to szefowej.

– Owszem, powiem.

– Chyba się z tobą nie zgodzi. Teraz znowu wszyscy będziemy w prewencji.

Wallander uświadomił sobie, że Svedberg ma sporo racji. Za jego pamięci w policji bez przerwy dokonywały się radykalne zmiany.

Zwłaszcza w zakresie skomplikowanego stosunku do mglistego i groźnego cienia, zwanego ogółem. Ów ogół, nękający niczym zmore Główny Zarząd Policji i każdego policjanta z osobna, posiadał jedną cechę: niewierność.

Obecnie, by go zaspokoić, postanowiono przekształcić szwedzki organ strzegący porządku i bezpieczeństwa w ogólnokrajową policję prewencyjną. Nikt nie wiedział, jak miałyby to wyglądać. Szef Głównego Zarządu na wszystkich bramach poprzybijał swoje tezy o tym, że policja powinna być widoczna. Ponieważ nikt nigdy nie słyszał, żeby była niewidoczna, praktykowanie nowej liturgii okazało się dość utrudnione. Utworzono już piesze patrole i minioddziały żwawo pedaujące na rowerach. Szef Głównego Zarządu miał przypuszczalnie na myśli widzialność duchową. Stąd pomysł na odkurzenie koncepcji policji prewencyjnej, czyli przyjaznej, miękkiej jak poduszka pod głową. Nikt jednak nie potrafił wyjaśnić jej związków ze wzrostem coraz brutalniejszej przestępczości w Szwecji. W każdym razie stanowiła element nowej strategii, polegającej między innymi na rozstrzygnięciu, czy nowo powstała organizacja regionalna może przyjąć nazwę „Przyjaciele Siekiery”.

Wallander poszedł po kawę, wrócił do swojego pokoju i zabrał się do opasyłych materiałów dochodzeniowych. Nie mógł się skupić, myślał o ostatniej rozmowie z Bajbą, ale w końcu się przemógł i po kilku godzinach dotarł do tego punktu, na którym się zatrzymał przed podróżą do Włoch. Zadzwoił do kolegi z Goteborga. Omówili kilka wspólnych kwestii. Kiedy skończyli, była dwunasta. Wallander zgłodniał. Ciągle padało. Wsiadł do samochodu i pojechał na lunch do jednej ze śródmiejskich restauracji. O pierwszej był z powrotem w komendzie. Ledwie usiadł na krześle, zadzwonił telefon. Ebba z recepcji.

- Masz gościa – powiedziała.
- Kto to?
- Nazywa się Tyren i chce z tobą porozmawiać.
- O czym?
- O ewentualnym zaginięciu.
- Czy nikt inny nie może się tym zająć?
- Mówi, że musi porozmawiać z tobą.

Wallander popatrzył na rozłożone przed sobą papiery. Nie było tam nic aż tak pilnego, żeby nie mógł przyjąć zgłoszenia o zaginięciu.

- Przyślij go tutaj – powiedział i odłożył słuchawkę.

Otworzył drzwi i zaczął porządkować biurko. Kiedy podniósł wzrok, w progu stał mężczyzna. Wallander widział go po raz pierwszy. Miał na sobie firmowy kombinezon OK. W pokoju zapachniało ropą i benzyną.

Wallander podał mu rękę i poprosił, żeby usiadł. Mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna, który przedstawił się jako Sven Tyren, miał rzadkie siwe włosy i był nieogolony.

– Chciał pan ze mną rozmawiać – zaczął Wallander.

– Rozumiem, że jest pan dobrym policjantem – powiedział Sven Tyren.

Jego akcent świadczył o tym, że pochodzi z zachodniej Skanii, z rodzinnych stron Wallandera.

– Policjanci w większości są dobrzy – odparł Wallander.

– Wcale nie. Siedziałem swego czasu za takie tam drobiazgi i dużo policjantów było zwyczajnie do bani.

Powiedział to z takim naciskiem, że Wallandera zatkało.

Postanowił puścić to mimo uszu.

– Chyba nie przyszedł pan tu po to, żeby mi o tym powiedzieć. Chodzi o zaginięcie?

Sven Tyren miał w rękach cyklistówkę OK.

– W każdym razie to dziwne.

Wallander wyjął z szuflady kołonoatnik i otworzył na czystej stronie.

– Zaczniemy od początku. Kto ewentualnie zaginął? I co jest dziwne?

– Holger Eriksson.

– Kto to jest?

– Jeden z klientów.

– Domyślam się, że prowadzi pan stację benzynową.

Sven Tyren pokręcił głową.

– Rozwożę ropę opałową na północ od Ystadu. Holger Eriksson mieszka między Hogestadem i Lödinge. Zadzwoił do biura i powiedział, że niewiele mu zostało w baku. Umówiliśmy się na dostawę w czwartek rano. Ale kiedy przyjechałem, nikogo nie było.

Wallander notował.

– Mówi pan o ubiegłym czwartku?

– Dwudziestego drugiego.

– A kiedy on zadzwonił?

– W poniedziałek.

Wallander zastanawiał się.

- Czy nie zaszła jakaś pomyłka co do dnia i godziny?
- Przywożę mu ropę od przeszło dziesięciu lat. Nigdy przedtem nie było żadnych pomyłek.
- I co pan zrobił, kiedy się okazało, że go nie ma?
- Wlew do baku był zamknięty, to odjechałem. Zostawiłem mu wiadomość w skrzynce pocztowej.
- Co było potem?
- Nic.

Wallander odłożył długopis.

– Jak się rozwozi ropę, to się poznaje ludzi – mówił Sven Tyren. – Nie mogłem tego tak zostawić. Holger Eriksson nie mógł nigdzie wyjechać. Wczoraj po południu znowu tam pojechałem. Po pracy. Swoim samochodem. Moja kartka ciągle leżała w skrzynce. Pod pocztą, która przyszła po czwartku. Wszedłem na podwórze i zadzwoniłem do drzwi. Nikogo nie było. Jego wóz stał w garażu.

- Czy Holger Eriksson mieszka sam?
- Nie ma żony. Dorobił się majątku na sprzedaży samochodów. Poza tym pisze wiersze. Raz dostałem od niego książkę.

Nagle Wallander przypomniał sobie, że w głównej w ystadzkiej księgarni widział kiedyś nazwisko Erikssona na półce z literaturą regionalną. Szukał czegoś na czterdzieste urodziny Svedberga.

– Jeszcze jedno się nie zgadzało – powiedział Sven Tyren. – Drzwi były otwarte. Pomyślałem, że może jest chory. W końcu ma prawie osiemdziesiąt lat. No to wszedłem, ale nikogo nie było. W kuchni zobaczyłem włączony ekspres. Zalaatywało przypaloną kawą. I wtedy postanowiłem tutaj przyjść. Coś jest nie tak.

Sven Tyren wydawał się autentycznie zaniepokojony. Wallander wiedział jednak z doświadczenia, że większość zaginięć wyjaśnia się samistnie. Bardzo rzadko przydarzało się coś poważnego.

- Czy on nie ma sąsiadów? – spytał.
- Dom leży na odludziu.
- Co się, pana zdaniem, mogło stać?
- Myślę, że nie żyje – szybko i stanowczo odpowiedział Sven Tyren. – Myślę, że ktoś go zabił.

Wallander czekał na dalszy ciąg. Ale się nie doczekał.

- Dlaczego pan tak myśli? – spytał po chwili.
- Bo to się nie zgadza. Zamówił ropę. Zawsze był w domu, kiedy przy-

jeźdzałem. Nie zostawiłby włączonego ekspresu do kawy. I zamknąłby drzwi, nawet gdyby chodziło o krótki spacer na terenie posiadłości.

– Czy nie miał pan wrażenia, że ktoś się tam włamał?

– Nie, wszystko wyglądało jak zwykle. Oprócz tego ekspresu.

– To znaczy, że nie po raz pierwszy był pan u niego w domu.

– Zawsze kiedy przywoziłem ropę, zapraszał mnie na kawę i czytał swoje wiersze. Chyba się cieszył z moich wizyt, bo był dosyć samotny.

Wallander zastanawiał się.

– Powiedział pan, że Holger Eriksson nie żyje i że być może ktoś go zabił. Dlaczego miałby to zrobić? Czy miał wrogów?

– Nic o tym nie wiem.

– Ale był zamożny?

– Tak.

– Skąd pan o tym wie?

– Wszyscy to wiedzą.

Wallander zostawił ten wątek.

– Dobrze – powiedział – przyjrzymy się temu. Na pewno znajdzie się jakieś naturalne wytłumaczenie jego nieobecności. Przeważnie tak jest.

Zanotował adres. Zdziwił się, słysząc, że posiadłość nazywa się „Samotnia”.

Odprowadził Svena Tyrena do recepcji.

– Jestem pewien, że coś się stało – powiedział Sven Tyren na pożegnanie. – To nie w porządku, że go nie ma, kiedy przywożę ropę.

– Odezwę się do pana.

W tym momencie do recepcji wpadł Hansson.

– Kto, do jasnej cholery, zablokował wjazd cysterną?! – rzucił wściekle.

– Ja – spokojnie odparł Sven Tyren. – Już odjeżdżam.

– Kto to był? – spytał Hansson, kiedy Tyren wyszedł.

– Zgłosił zaginięcie – odpowiedział Wallander. – Słyszałeś o pisarzu Holgerze Erikssonie?

– O pisarzu?

– Albo o sprzedawcy samochodów.

– O pisarzu czy sprzedawcy?

– Podobno jest jednym i drugim. I, zdaniem kierowcy tej cysterny, zaginął.

Poszli po kawę.

– To coś poważnego? – spytał Hansson.

– Facet był zaniepokojony.

– Chyba skądś go znam.

Wallander mógł polegać na pamięci Hanssona. Kiedy wypadło mu z głowy jakieś nazwisko, najczęściej właśnie jego prosił o pomoc.

– Nazywa się Sven Tyren – powiedział Wallander. – Podobno siedział za jakieś drobiazgi.

Hansson myślał.

– Wydaje mi się, że był zamieszany w pobicia – odezwał się po chwili.

– Dostyc dawno temu.

– Chyba zajrzę do tego Erikssona. I wpiszę go do rejestru zgłoszonych zaginięć.

Poszedł do siebie po kurtkę i włożył do kieszeni adres „Samotni”. Powinien był najpierw wypełnić formularz potrzebny do rejestracji osób zaginionych, ale odłożył to na później. Było wpół do trzeciej, kiedy opuścił komendę. Ulewny deszcz zamienił się w mżawkę. Idąc do samochodu, drżał z zimna. Pojechał na północ i bez trudu odnalazł posiadłość Erikssona. Zgodnie z nazwą, leżała na odludziu. Brązowe pola opadały ku morzu, którego nie było stąd widać. Gdzieś na drzewie wrzeszczały wrony. Wallander otworzył skrzynkę pocztową. Żadnej korespondencji. Podejrzał, że wyjął ją Sven Tyren. Wszedł na brukowane podwórze. Wszystko tu było zadbane. Wsłuchiwał się w ciszę. Na zagrodę składały się trzy zabudowania. Kiedyś były cztery, ale jedno albo rozebrano, albo spłonęło. Wallander podziwiał słomiany dach. Sven Tyren miał rację. Tylko ktoś zamożny może sobie na to pozwolić. Zadzwoił do drzwi. Po chwili zapukał, nacisnął klamkę i wszedł do środka. Nasłuchiwał. Poczta leżała na stołku obok stojaka na parasole. Na ścianie wisiały lornetki. Jeden futerał był otwarty i pusty. Wallander wolno obchodził dom. Ciągle pachniało przypaloną kawą. Zatrzymał się przy biurku w salonie o dwóch kondygnacjach i widocznych belkach stropowych i popatrzył na leżącą na brązowym blacie kartkę. Światło było słabe, więc ujął ją w dwa palce i podszedł do okna.

Wiersz o ptaku. O dzięciole.

Pod spodem widniała data: „21 września 1994. Godzina 22.12”.

Wallander jadł wtedy z ojcem kolację w restauracji przy Piazza del Popolo.

Teraz, stojąc w tym cichym domu, miał wrażenie, że był to jedynie

sen.

Odłożył kartkę na miejsce. O dziesiątej w środę wieczorem Holger Eriksson napisał wiersz. Dzień później Sven Tyren miał przywieźć ropę. Ale dzień później go nie ma. I drzwi są otwarte.

Tknięty pewną myślą, udał się na poszukiwania baku. Według wskazań licznika, był niemal pusty.

Wrócił do domu, usiadł na starym żeberkowym krześle i rozglądał się.

Coś mu mówiło, że Sven Tyren się nie mylił. Że Holger Eriksson rzeczywiście zaginął.

Po chwili wstał i przepatrzył sporo szafek, zanim znalazł zapasowe klucze. Zamknął drzwi i odjechał. Deszcz znowu przybrał na sile. Tuż przed piątą był w komendzie i wypełnił formularz o zaginięciu Holgera Erikssona. Jutro z samego rana rozpoczną poszukiwania.

W drodze do domu kupił pizzę, którą zjadł, siedząc przed telewizorem. Linda się nie odezwała. Parę minut po jedenastej położył się i niemal natychmiast zasnął.

W środę o czwartej rano obudziły go nudności. Zwymiotował, zanim zdążył dobiec do łazienki. Przy okazji dostał biegunki. Nie miał pojęcia, czy zaszkoziła mu pizza, czy może przywlekł z Włoch grypę żołądkową. O siódmej był tak wycieńczony, że zadzwonił do komendy. Złapał Martinssona.

– Oczywiście wiesz, co się stało? – spytał Martinsson.

– Wiem tylko tyle, że rzygam i mam sraczkę.

– Dzisiaj w nocy zatonął prom. Niedaleko Tallina. Zginęły setki ludzi. Większość to Szwedzi. Na pokładzie było podobno sporo osób zatrudnionych w policji.

Wallanderowi znów zbierało się na wymioty, ale nie odchodził od telefonu.

– W ystadzkiej policji? – spytał z niepokojem.

– Nie. Coś okropnego.

Wallanderowi trudno było w to uwierzyć. Kilkaset osób zginęło w katastrofie promu? Takie rzeczy się nie zdarzają. W każdym razie nie w pobliżu Szwecji.

– Nie mogę dłużej rozmawiać – powiedział. – Znowu będę rzygał. Na biurku zostawiłem formularz o zaginięciu Holgera Erikssona. Niech się ktoś tym zajmie.

Rzucił słuchawkę na widełki i w ostatniej chwili dopadł łazienki. Kie-

dy wracał do łóżka, zadzwonił telefon.

To była Mona. Jego eksmałżonka. Natychmiast się zaniepokoił. Kontaktowała się z nim tylko wtedy, kiedy coś się działo z Lindą.

– Rozmawiałam z Lindą – powiedziała. – Nie było jej na promie.

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, o czym mówi.

– Masz na myśli ten prom, który zatonął?

– A niby co miałabym mieć na myśli? Kiedy giną setki ludzi, dzwonię do córki, żeby się upewnić, czy wszystko w porządku.

– Naturalnie masz rację. Nie kojarzę najlepiej, bo jestem chory. Wymiotuję. Mam grypę żołądkową. Czy możemy porozmawiać innego dnia?

– Chodziło mi tylko o to, żebyś się nie niepokoił.

Po skończonej rozmowie Wallander się położył.

Przez chwilę myślał o Holgerze Erikssonie i o katastrofie promu.

Miał gorączkę. Wkrótce zasnął.

Mniej więcej w tym samym czasie przestało padać.

4

Po kilku godzinach zaczął przegryzać sznur.

Cały czas towarzyszyło mu uczucie, że za chwilę zwariuje. Nic nie widział, bo coś zasłaniało mu oczy i pograżyło świat w ciemnościach. Nic nie słyszał, bo to, co wetknięto mu w uszy, szczelnie przywierało do błon bębenkowych. Jedyne dźwięki były w nim, przypominały szum, który chciał się wydostać na zewnątrz. Najbardziej dokuczało mu to, że nie może się ruszyć. Dlatego miał wrażenie, że jest na dobrej drodze do obłądu. Choć leżał poziomo na plecach, wydawało mu się, że z zawrotną szybkością spada w otchłań. Może była to jedynie halucynacja, wyraz jego wewnętrznego rozkładu. Szaleństwo powoli dzieliło jego ciało i świadomość na części, które nie miały już ze sobą nic wspólnego.

Za wszelką cenę próbował się trzymać rzeczywistości, zmuszał się do myślenia. Dzięki przytomności umysłu i opanowaniu może znajdzie odpowiedź na to, co się stało. Dlaczego nie jest w stanie się ruszać? Gdzie jest? I z jakiego powodu?

Żeby nie dać się ponieść panice i zdławić czający się obłąd, starał się zachować kontrolę nad czasem. Z niesamowitą dyscypliną liczył minuty

i godziny. Ponieważ ocknął się w ciemnościach, związany i rozciągnięty na plecach, nie istniał żaden początek. Równie dobrze mógł się tutaj urodzić.

W tym doznaniu tkwiło źródło obłądu. W przebłyskach świadomości usiłował się wczepić w cokolwiek, co wydawało się mieć związek z rzeczywistością. Od czego mógłby wyjść.

Na przykład, na czym leży. To nie było przywidzenie. Wiedział, że ma pod sobą coś twardego. Koszula podsunęła się powyżej lewego biodra, wyczuwał chropowatą powierzchnię. Kiedy próbował się ruszyć, drapała mu skórę. Leżał na cementowej posadzce. Dlaczego? Jak się tam znalazł?

Wracał do ostatniego normalnego punktu wyjścia, zanim opadły go te nagłe ciemności. Ale już tam nie wszystko było jasne. Niby wiedział, co się stało, a jednak nie wiedział. Przystawał rozróżniać przywidzenie od prawdy i wpadał w panikę. Wtedy szlochał. Krótko, gwałtownie, i równie gwałtownie milkł, ponieważ nikt nie mógł go usłyszeć. Nie miał zwyczaju płakać, kiedy nikt go nie słyszał. Nie zaliczał się do tych, którzy płaczą wyłącznie w samotności.

Właściwie tylko tego jednego był pewien. Że nikt go nie słyszy. Gdziekolwiek jest ta przerażająca cementowa posadzka, czy unosi się w kompletnie mu obcym wszechświecie, czy w dobrze znanym, w pobliżu nie było nikogo. Nikogo, kto by go usłyszał.

Prócz czającego się obłądu pozostało mu jedynie kilka punktów oparcia. Wszystko inne mu odebrano, nie tylko tożsamość, ale i spodnie. Zbliżała się północ, następnego dnia miał jechać do Nairobi. Zamknął walizkę i usiadł przy biurku, żeby po raz ostatni przejrzeć dokumenty. Widział to bardzo wyraźnie. Nie miał wtedy pojęcia, że jest w poczekalni śmierci, którą ktoś dla niego przygotował. Paszport leżał na biurku po lewej stronie. W rękę trzymał bilety lotnicze, a na kolanach, w plastikowej koszulce, były dolary, karty kredytowe i czeki podróżne, które zamierzał potwierdzić. Zadzwoił telefon. Wszystko odłożył i podniósł słuchawkę.

Ponieważ był to ostatni ludzki głos, jaki usłyszał, kurczowo się go chwycił. Stanowił ostatnie ogniwo łączące go z rzeczywistością, które przynajmniej na razie chroniło go przed obłądem.

Ładny, miękki i przyjemny głos. Miał pewność, że słyszy go po raz pierwszy. Dzwoniła kobieta, której nigdy przedtem nie spotkał. Chciała kupić róże. Najpierw przeprosiła, że zakłóca mu spokój o tak późnej porze, bardzo jej jednak zależało na tych różach. Nie powiedziała, dlacze-

go. Ale od razu jej uwierzył. Nikt przecież nie będzie kłamał w takiej sprawie. Nie pamiętał, żeby zadał jej lub sobie pytanie, co się stało, dlaczego dopiero w nocy, kiedy wszystkie kwaciarnie są pozamykane, przypomniała sobie, że musi mieć róże.

Ale się nie wahał. Mieszkał blisko kwaciarni, jeszcze nie spał. Mógł to załatwić w niespełna dziesięć minut.

Teraz, leżąc w ciemnościach i cofając się myślami, uświadomił sobie, że jednego nie potrafi wyjaśnić. Wiedział, że kobieta, która do niego zadzwoniła, jest gdzieś w pobliżu. Miała więc jakiś powód, by wybrać właśnie jego. Jaki? Kto to jest?

Włożył płaszcz i opuścił mieszkanie. W rękę trzymał klucze do kwaciarni. Owiąło go chłodne powietrze. Wcześniej tego wieczora lunął deszcz. Zatrzymał się przed drzwiami od ulicy. Pamiętał, że je otworzył i wszedł do środka. A potem świat eksplodował.

Nie wiedział, ile razy – kiedy panika na chwilę ustępowała – przemierzał w myślach ten krótki odcinek. Spodziewałem się, że spotkam tę kobietę koło kwaciarni. Tymczasem nikogo tam nie było. Mogłem wrócić do domu. Mogłem się zezłościć, że ktoś mi zrobił głupi żart. Ale ja spokojnie otworzyłem drzwi, przekonany, że ona przyjdzie. Przecież powiedziała, że bardzo jej zależy na różach. A kto kłamie w sprawie róż?

Ulica była pusta. Nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Zaniepokoił go tylko jeden drobiazg. Gdzieś w pobliżu stał samochód z włączonymi reflektorami. Kiedy się odwrócił do drzwi, żeby je otworzyć, był za jego plecami. Potem wszystko szeszło w ostrym białym świetle.

Istniało tylko jedno wytłumaczenie. Przyprawiało go o histeryczny strach. Ktoś na niego napadł. Z tyłu w ciemnościach czaił się ktoś, kogo nie zauważył. Ale żeby tym kimś miała być kobieta, której zależało na różach?

Od tego momentu niczego już nie potrafił ogarnąć rozumem. I wtedy z ogromnym wysiłkiem przysunął związane ręce do ust i zaczął przegryzać sznury. Początkowo szarpał je jak wygłodzony drapieznik rzucający się na padlinę. Bardzo szybko wyłamał sobie ząb w dolnej szczęce. Przeszył go ból, na szczęście krótkotrwały. Potem – porównując się ze schwytanym zwierzęciem, które odgryza własną nogę, żeby się uwolnić – już się nie spieszył.

Gryzienie suchych i twardych sznurów przyniosło mu pociechę. Nawet gdyby miało się to skończyć porażką, trzymało obłąd na odległość, po-

zwaląco w miarę jasno myśleć. Napadnięto na niego i uwięziono. Dwa razy w ciągu dnia albo w nocy tuż obok siebie słyszał chrobot. Po chwili dłoń w rękawiczce raczej stanowczo niż brutalnie otwierała mu usta, wlewała chłodną wodę i wsuwała słomkę, przez którą pił ciepłą wazę. Potem znów był sam w ciemnościach i ciszy.

Napadnięto na niego i skrepowano. Leżał na cementowej posadzce. Ktoś utrzymywał go przy życiu. Pomyślał, że jest tu od tygodnia. Starał się zrozumieć, dlaczego. To z pewnością pomyłka. Po co kogoś wiązać i skazywać na ciemność? Przeczuwał, że obłąd brał się z przeświadczenia o czymś, do czego nie miał odwagi się przyznać. Że to nie była pomyłka. Że chodziło właśnie o niego. I co dalej? Ten koszmar być może nigdy się nie skończy, a on nigdy nie pozna powodów.

Dwa razy w ciągu dnia albo w nocy dostawał wodę i wazę. Dwa razy ktoś chwycił go za nogi i przeciągał do otworu w posadzce. Był w samej koszuli. Kiedy się załatwił, przesuwano go z powrotem na miejsce. Niczym nie mógł się podetrzeć. Poza tym miał związane ręce.

Smród własnych odchodów. I zapach perfum.

Czy w pobliżu był jakiś człowiek? Kobieta, która chciała kupić róże? Czy tylko dłonie w rękawiczkach? Po posiłkach i wizytach w toalecie unosił się słaby, ledwie wyczuwalny zapach perfum. Dłonie i perfumy nie brały się znikąd.

Naturalnie próbował rozmawiać z tymi dłońmi. Gdzieś musiały być usta. I uszy. Ktokolwiek mu to zrobił, powinien go wysłuchać. Ilekroć czuł dotyk rękawiczek na twarzy i ramionach, prosił, pieklił się albo występował w roli własnego adwokata, rozumnie i spokojnie.

„Každy – argumentował, to popłakując, to się złoścąc – nawet człowiek związany i pozbawiony wszelkich praw, powinien znać powód, dla którego tych praw go pozbawiono. Inaczej wszechświat nie miałby sensu”.

Nie prosił o uwolnienie. Chciał się dowiedzieć, dlaczego jest więziony. Nic więcej. Tylko tyle.

Nie doczekał się odpowiedzi. Prócz rąk nie było nic, żadnych ust ani uszu. Nawet pełne rozpaczy okrzyki nie miały wpływu na ich reakcję. Słomka w usta, słaby zapach perfum – to wszystko.

Przeczuwał swój koniec. Trzymało go przy życiu uporczywe żucie sznurów. Choć po tygodniu zdołał jedynie nadgryźć twardą powierzchnię, tylko w tym upatrywał swojego ewentualnego wybawienia. Gdyby

nie poszedł do kwiaciarni po bukiet róż, za tydzień wracałby z podróży. Teraz byłby gdzieś w głębi kenijskiego lasu pełnego orchidei, gdzie by się rozkoszował najpiękniejszymi zapachami świata. Za tydzień, kiedy nie wróci, Wania Andersson zacznie się zastanawiać, co się stało. Może już się zastanawiała. Biuro podróży powinno chyba mieć jakąś kontrolę nad swoimi klientami. Zapłacił za bilet, ale nie stawił się na lotnisku Kastrup. Wania Andersson i biuro podróży to jego jedyne deski ratunku. Tymczasem, by zachować resztki rozumu, będzie przegryzał sznury.

Wiedział, że jest w piekle. Ale nie wiedział, dlaczego.

W zębach jego szansa na ewentualne ocalenie.

Gryzł i płakał. Chwytały go skurcze. Ale nie przestawał gryźć.

*

Urządziła pomieszczenie jak miejsce ofiarne.

Ktoś, kto o tym nie wie, nigdy nie odkryje tej tajemnicy. Znała ją tylko ona.

Kiedyś było tutaj dużo małych pokoi. Niskich, o ponurych ścianach, z głęboko osadzonymi w grubych murach okienkami, przez które ledwie sączyło się światło. Tak to zapamiętała, gdy przyjechała do tego domu po raz pierwszy. Ciągle mogła przywołać wspomnienie tamtego lata. Jej ostatnie spotkanie z babcią, która umarła parę miesięcy później, wczesną jesienią. Siedziała pod jabłonią i wyglądała jak cień. Miała niemal dziewięćdziesiąt lat i chorowała na raka. Siedziała nieruchomo, niedostępna, wnukom nie wolno było zakłócać jej spokoju, nie mogli krzyczeć ani się do niej zbliżać, chyba żeby sama tego chciała.

Jeden jedyne raz babcia przywołała ją do siebie skinieniem dłoni. Po-deszła z lękiem. Starość była czymś niebezpiecznym, czaiły się w niej choroby i śmierć, mroczne otchłanie i trwoga. Ale babcia popatrzyła na nią z łagodnym uśmiechem, którego rakowi nie udało się pokonać. Możliwe, że coś do niej powiedziała. Tak, była babcia i było wspaniałe lato. Niesamowicie dawno temu. W 1952 lub 1953 roku. Na długo przed katastrofami.

Wtedy właśnie było dużo małych pokoi. Wszystko się zmieniło pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy to ona stała się właścicielką tego domu. W wyburzeniu ścian działowych, które można było usunąć bez ryzyka,

że zawali się dach, pomogli jej kuzyni, młodzi mężczyźni, skorzy do demonstrowania swojej tężyzny fizycznej. Ona też waliła młotem, aż drżał cały dom i sypały się tynki. Kiedy opadł pył, zobaczyła przestronne pomieszczenie z dużym chlebowym piecem pośrodku, który postanowiła zostawić i który teraz tronował w jej salonie, przypominając przedziwną skałę. Każdy, kto do niej przychodził, nie mógł wyjść ze zdziwienia i z zachwytu. Dom, choć stary, w niczym nie przypominał innych podobnych domów. Przez nowe okna wpadało mnóstwo światła. Jeśli chciała posiedzieć w półmroku, zamykała solidne dębowe okiennice, które obstalowała. Wyeksponowała starą drewnianą podłogę i belki stropowe.

Ktoś porównał to pomieszczenie z kaplicą.

Sama zaczęła je traktować jak prywatne sanktuarium. Kiedy była sama, miała wrażenie, że jest w centrum świata. Ogarniał ją błogi spokój, czuła się bezpiecznie.

Nie zawsze mogła odwiedzać swoją katedrę. Często zmieniał się rozkład jej zajęć. Nieraz się zastanawiała, czy nie powinna sprzedać tego domu. Młoty nie były w stanie zburzyć wszystkich wspomnień. Nie potrafiła się jednak wyrzec salonu z dużym piecem, tą białą skałą, którą zostawiła. Piec stał się częścią niej samej. Czasami patrzyła nań jak na swój ostatni szaniec.

Potem przyszedł list z Algieru.

I wszystko się zmieniło.

Już nie myślała o opuszczeniu tego domu.

W środę 28 września przyjechała z Hässleholmu do Yollsjo parę minut po trzeciej. Po drodze wstąpiła do sklepu.

Wiedziała, co chce kupić. Zastanawiała się tylko nad słómkami. Na wszelki wypadek wzięła jedno opakowanie. Ekspedientka skinęła głową. Uśmiechnęła się do niej, powiedziała kilka słów o pogodzie, a potem rozmawiały przez chwilę o katastrofie promu. Zapłaciła i udała się do swojego domu na obrzeżach miejsciny. Najbliższych sąsiadów nie było. Spędzali w Vollsjö tylko jeden miesiąc w lecie. Byli Niemcami, mieszkali w Hamburgu i przyjeżdżali do Skanii w lipcu. Wtedy się witali – i to wszystko.

Otworzyła drzwi. Zatrzymała się w przedpokoju i nasłuchiwała. Potem weszła do salonu i stanęła przy piecu. Cisza. Chciała, żeby na świecie było tak cicho.

Ten w piecu nie mógł jej słyszeć. Wiedziała, że żyje. Jego oddech

i płacz tylko by jej przeszkadzały.

Pomyślała, że powodował ją tajemny impuls. Wtedy, kiedy postanowiła nie sprzedawać domu i nie lokować pieniędzy w banku i kiedy zostawiła piec, którego przeznaczenie stało się jasne po otrzymaniu przesyłki z Algieru, uświadamiającej jej, co musi zrobić.

Z zamyślenia wyrwał ją sygnał zegarka. Za godzinę przyjdą goście. Przedtem powinna nakarmić mężczyznę leżącego w piecu. Niedługo opadnie z sił i nie będzie mógł się bronić. Wyjęła z torebki harmonogram. Ma wolne od niedzieli po południu do wtorku rano. Wtedy się to stanie. Wyciągnie go i powie, o co chodzi.

Jeszcze nie zdecydowała, jak go zabije. Były różne możliwości. Miała czas. Przemyśli to, co zrobił, i będzie wiedziała, jak powinien umrzeć.

Poszła do kuchni podgrzać zupę. Ponieważ dbała o higienę, umyła plastikowy kubek, w którym mu ją podawała. Do drugiego kubka wlała wodę. Codziennie zmniejszała porcje. Dostawał wyłącznie tyle, żeby przeżył. Kiedy wszystko było gotowe, włożyła rękawiczki, wyperfumowała się za uszami i weszła do salonu. W piecu za kilkoma luźnymi kamieniami były drzwiczki zespolone z blisko metrowej długości rurą, które ostrożnie mogła wyciągnąć. Zanim umieściła mężczyznę w piecu, wstawiła tam duży głośnik, wsunęła drzwiczki na miejsce i puściła muzykę na pełny regulator. Nic nie było słychać.

Pochyliła się, żeby go widzieć. Położyła mu rękę na nodze. Nie poruszył się. Zaniepokoiła się, czy przypadkiem nie umarł. Nie. Sapał. Jest osłabiony, pomyślała. Niedługo czas oczekiwania dobiegnie końca.

Kiedy zjadł, pozwoliła mu skorzystać z otworu i wsunęła drzwiczki. Potem pozmywała, ogarnęła kuchnię, usiadła przy stole, wypila kawę i przejrzała gazetkę zakładową. Zgodnie z nowymi stawkami, od lipca włącznie miała zarabiać sto siedemdziesiąt cztery korony więcej. Spojrzała na zegarek. Robiła to co jakieś dziesięć minut. Ten nawyk stał się częścią jej tożsamości. Życie i praca wymagały starannie dopracowanych harmonogramów. Nic nie sprawiało jej więcej przykrości niż odstępstwo od nich. Nie istniały żadne ale. Zawsze czuła się za to osobiście odpowiedzialna. Wiedziała, że koledzy śmieją się za jej plecami. Bolało ją to, lecz nic nie mówiła. Cisza była częścią niej samej. Jej mechanizmem. Ale nie od początku.

Pamiętała swój głos z dzieciństwa. Mocny i łagodny. Cisza przyszła później. Kiedy zobaczyła krew. I matkę na stole, bliską śmierci. Nie krzy-

czała. Ukryła się w ciszy. Tam była niewidzialna.

Stało się to właśnie wtedy, gdy płacząca i krwawiąca matka pozbawiła ją siostry, na którą tak długo czekała.

Spojrzała na zegarek. Wkrótce przyjdą. Była środa. Wolałaby, żeby zawsze spotykały się w środy. Wprowadzałoby to określony porządek. Musiała jednak stosować się do harmonogramu, na który nigdy nie będzie miała wpływu.

Ustawiła pięć krzesel. Z myślą o kameralnym nastroju nie chciała zapraszać więcej osób. Wytworzenie swoistej zażyłości, która ośmieliłaby te kobiety do mówienia, wcale nie było takie proste. Weszła do sypialni i zaczęła zdejmować służbowy strój. Jedna zdjęta część garderoby – jedna modlitwa.

Wspominała. Matka opowiedziała jej o Antoniu, którego na długo przed drugą wojną światową spotkała w pociągu między Kilonią a Monachium. Nie znaleźli miejsc siedzących i przypadkiem stanęli obok siebie w zatłoczonym i zadymionym korytarzu. Była noc. Za brudnymi szybami migotały światełka statków na Renie. I Antonio powiedział, że zostanie katolickim księdzem. Mówił, że msza zaczyna się już wtedy, kiedy księża się przebierają, że zgodnie z rytuałem poddają się procesowi oczyszczenia. Każdej zdejmowanej lub wkładanej części garderoby była przypisana inna modlitwa. Z każdą częścią garderoby przybliżali się do swojej świętej misji.

Opowieść matki o spotkaniu z Antoniem na zawsze wryła jej się w pamięć. Teraz, kiedy uzmysłowiła sobie, że i ona jest kapłanką, która podjęła się wielkiej misji krzewienia sprawiedliwości, zaczęła patrzeć na zmianę ubrania jak na coś więcej niż zwyczajną czynność. Ale odmawiane przez nią modlitwy nie miały nic wspólnego z Bogiem. W chaotycznym i niedorzecznym świecie Bóg był najbardziej niedorzeczny. I nieobecny. Modliła się do siebie sprzed lat, zanim wszystko się dla niej skończyło, zanim matka pozbawiła ją tego, czego najbardziej pragnęła, i zanim ponurzy mężczyźni zaczęli ją przeszywać zmijowatym spojrzeniem.

Przebierała się i kierowała modlitwy do dziecka. Włożyła na siebie ubranie z miękkiego materiału w ciepłych kolorach i miała wrażenie, że zmienia się jej skóra, że nawet ona staje się częścią jej dzieciństwa.

Na końcu włożyła perukę i okulary. Wybrzmiała ostatnia modlitwa: „Patataj, patataj, konik nie ma imienia, nie ma imienia, nie ma imie-

nia...”

Na podwórze wjechał pierwszy samochód. Przyjrzała się swojej twarzy w dużym lustrze. Nie była to Śpiąca Królewna, która obudziła się z koszmaru, tylko Kopciuszek.

Wszystko gotowe. Jest kim innym. Wsunęła służbowy strój do plastikowego pokrowca, wygładziła narzutę na łóżku i opuściła sypialnię. Choć nikt prócz niej by tam nie wszedł, przekręciła klucz w drzwiach i nacisnęła klamkę, żeby się upewnić, czy zamknęła.

Zjawiły się tuż przed szóstą. Jedna z kobiet nie przyszła. Poprzedniego dnia wieczorem dostała bóli i została odwieziona do szpitala. Dwa tygodnie przed terminem. Możliwe, że już urodziła.

Postanowiła ją odwiedzić następnego dnia. Chciała ją zobaczyć. Chciała zobaczyć jej twarz po tym wszystkim, co przeżyła.

Potem wysłuchiwała ich relacji. Od czasu do czasu zapisywała coś w notatniku. Ale były to tylko liczby. Bez przerwy układała harmonogramy. Cyfry, godziny, odległości. Taka zabawa towarzysząca jej od zawsze i coraz bardziej przypominająca zaklinanie rzeczywistości. Nie musiała niczego notować. Wszystkie słowa wypowiedane załęcznionymi głosami, udręka, której miały odwagę dać wyraz, głęboko zapadały jej w pamięć. Widziała, że odczuwają ulgę. Może tylko przez chwilę, ale czym jest życie jak nie chwilą? Jeszcze jeden harmonogram. Nakładające się na siebie godziny. Życie można porównać do wahadła. Kołysze się między cierpieniem i uśmierzaniem bólu. Zawsze. Bez końca.

Stamtąd, gdzie siedziała, mogła widzieć duży piec. Salon spowijał ciepły półmrok. Kobiece światło. I piec podobny do nieruchomej, głuchej skały pośrodku oceanu.

Rozmawiały przez dwie godziny. Potem wypity herbatę w kuchni. Znały datę następnego spotkania. Nigdy nie miały wątpliwości co do terminów, które im wyznaczała.

O wpół do dziewiątej wyszła z nimi na podwórze. Podawała dłoń na pożegnanie i przyjmowała wyrazy wdzięczności. Kiedy zniknął ostatni samochód, wróciła do domu.

W sypialni przebrała się, zdjęła perukę i okulary i wzięła służbowy strój w plastikowym pokrowcu. W kuchni umyła filiżanki, po czym pogasiła wszystkie światła i wzięła torebkę.

Przez moment stała przy piecu. Było bardzo cicho.

Opuściła dom. Mżyło. Wsiadła do samochodu i pojechała do Ystadu.

Przed północą była już w swoim łóżku i spała.

5

W czwartkowy poranek Wallander obudził się wypoczęty. Dolegliwości żołądkowe zniknęły bez śladu. Wstał parę minut po szóstej. Termometr za kuchennym oknem pokazywał plus pięć stopni. Niebo przesłaniały ciężkie chmury. Ulice były mokre. Ale nie padało. Był w komendzie chwilę po siódmej. Panował tu jeszcze poranny spokój. Idąc korytarzem do swojego pokoju, zastanawiał się, czy udało im się odnaleźć Holgera Erikssona. Zdjął kurtkę i usiadł. Na biurku leżało kilka kartek z numerami telefonów. Ebba przypominała mu o wizycie u optyka. Kompletnie o tym zapomniał. Wiedział jednak, że to konieczne. Musi mieć okulary do czytania. Gdy zbyt długo ślęczał nad papierami, zaczynała go boleć głowa, litery się zlewały i rozmazywały. Niedługo skończy czterdzieści siedem lat. Cóż, wiek dawał o sobie znać. Na innej kartce prosił o kontakt Per Åkeson. Ponieważ Åkeson był rannym ptaszkiem, od razu wybrał numer do prokuratury, która mieściła się w gmachu komendy. Dowiedział się, że Åkeson cały dzień będzie w Malmö. Odłożył kartkę i poszedł po kawę. Potem, odchyliwszy się na krzesło, próbował obmyślić strategię dochodzenia w sprawie przemytu samochodów. W przestępczości zorganizowanej najczęściej jest jakiś słaby punkt, nadwątlone ogniwo, które może pęknąć, jeśli się je dostatecznie mocno obciąży. Żeby zapewnić sobie cięń szansy na złapanie przemytników, muszą się skupić na znalezieniu tego punktu.

Jego rozmyślania przerwał dzwonek telefonu.

– Witaj w pracy – powiedziała Lisa Holgersson, ich nowy szef. – Jak podróż?

– Bardzo udana.

– Odkrywa się rodziców na nowo.

– A rodzice inaczej patrzą na swoje dzieci.

Na chwilę go przeprosiła. Wallander usłyszał, że ktoś wszedł do jej pokoju. Pomyślał, że Bjork nigdy by go nie spytał o podróż.

– Byłam parę dni w Sztokholmie – odezwała się po kilkunastu sekundach. – Było mniej przyjemnie.

– Co tym razem wykombinowali?

– Myślę o „Estonii”. O policjantach, którzy zginęli.

Wallander milczał. Sam powinien był o tym pomyśleć.

– Chyba rozumiesz, jaki panował nastrój – podjęła. – Nie mogliśmy przecież siedzieć i dyskutować wyłącznie o problemach koordynacji działań naczelnego wydziału kryminalnego i wydziałów lokalnych.

– Wszyscy jesteśmy bezsilni wobec śmierci. Chociaż może nie powinno tak być. Za dużo widzieliśmy. Wydaje nam się, że do tego przywykliśmy. Ale to nieprawda.

– Pewnej wietrznej nocy tonie prom i nagle śmierć znowu staje się w Szwecji widoczna. Po latach coraz skrzętniejszego jej ukrywania i negowania.

– Z pewnością masz rację. Mimo że tak o tym nie myślałem.

Odchrząknęła.

– Omawialiśmy problemy koordynacji – podjęła – i ciągle powracającą sprawę priorytetów.

– Powinniśmy łapać przestępców – powiedział Wallander. – Doprowadzić ich do sądu i zbierać niepodważalne dowody.

Westchnęła.

– Gdyby to było takie proste.

– Cieszę się, że nie jestem szefem.

– Sama się czasem zastanawiam...

Wallander sądził, że zakończy rozmowę, ale się pomylił.

– Obiecałam – powiedziała po chwili – że będziesz w szkole policyjnej na początku grudnia. Chcą, żebyś miał wykład na temat śledztwa, które prowadziliśmy w lecie. Jeśli dobrze zrozumiałam, zażądali tego uczniowie.

Wallander się przeraził.

– Nie poradzę sobie. Nie mogę stanąć przed grupą ludzi i udawać, że ich uczę. Niech to zrobi kto inny. Martinsson jest dobry w mówieniu. Kiedyś powinien zostać politykiem.

– Obiecałam, że przyjedziesz. – Roześmiała się. – Na pewno dobrze ci pójdzie.

– Rozchoruję się.

– Do grudnia daleko. Porozmawiamy o tym później. Chciałam się jedynie dowiedzieć, jak się udała podróż. I już wiem.

– A tutaj spokój. Jest tylko jedno zaginięcie. Inni się tym zajmują.

– Zaginięcie?

Wallander krótko zreferował przebieg wtorkowej rozmowy ze Svenem Tyrenem, którego zaniepokoiło to, że Holgera Erikssona nie było w domu i że nie odebrał ropy.

– Jak często za zaginięciami kryje się coś poważnego? – zapytała. – Co mówią statystyki?

– Nie wiem, co mówią, ale wiem, że rzadko dochodzi do przestępstwa lub nieszczęśliwego wypadku. Ludzie starzy i zgrzybiali gubią się, a młodzież przeważnie wyraża w ten sposób bunt przeciwko rodzicom albo łaknie przygód. Naprawdę rzadko zdarza się coś poważnego.

Wallander przypomniał sobie ostatni taki wypadek sprzed kilku lat. Z przykrością pomyślał o zaginionej agentce handlu nieruchomościami, którą odnaleziono martwą w studni. Było to jedno z najbardziej nieprzyjemnych doświadczeń w jego policyjnej karierze.

Zakończyli rozmowę. Wallander nie miał zamiaru prowadzić żadnych wykładów w szkole policyjnej. Schlebiało mu, rzecz jasna, że go o to poproszono. Ale niechęć była silniejsza. Na pewno uda mu się namówić Martinssona, żeby go wyręczył.

Wrócił do przemytu samochodów. Szukał słabego punktu, który pozwoliby im na rozbite całej grupy. Tuż po ósmej poszedł po następną kawę. Przy okazji wziął kilka sucharków. Żołądek milczał. Właśnie usiadł, kiedy do drzwi zapukał Martinsson.

– Lepiej się czujesz? – spytał, wchodząc do pokoju.

– W porządku. Co z Holgerem Erikssonem?

Martinsson popatrzył na niego pytająco.

– Z kim?

– Z Holgerem Erikssonem. Tym, który zaginął. Wypełniłem formularz. Mówiłem ci o nim przez telefon.

Martinsson pokręcił głową.

– Kiedy?

– Wczoraj rano. Kiedy byłem chory.

– W ogóle to do mnie nie dotarło. Byłem przejęty katastrofą promu.

Wallander wstał.

– Czy Hansson już przyszedł? – spytał. – Musimy się tym natychmiast zająć.

– Widziałem go na korytarzu.

Poszli do pokoju Hanssona, który siedział i wpatrywał się w zdrapkę.

Na ich widok podarł ją i wyrzucił do kosza.

– Holger Eriksson – zaczął Wallander. – Człowiek, który być może zaginął. Pamiętasz cysterne, która we wtorek zablokowała wjazd do komendy?

Hansson skinął głową.

– Sven Tyren – kontynuował Wallander. – Wedle twojej pamięci był zamieszany w kilka pobić.

– Pamiętam – powiedział Hansson.

Wallander z trudem ukrywał zniecierpliwienie.

– Sven Tyren zgłosił zaginięcie Holgera Erikssona. Pojechałem do domu Erikssona, napisałem raport, a wczoraj rano zadzwoniłem do was i przekazałem wiadomość, żebyście się tym zajęli. Uznałem, że sprawa jest poważna.

– Nic się z tym nie działo – przyznał Martinsson. – Całą odpowiedzialność biorę na siebie.

Wallander nie mógł się złościć.

– To nie powinno się było zdarzyć. Ale możemy przyjąć, że zaszły nieprzewidziane okoliczności. Pojadę tam jeszcze raz. Jeśli go nie będzie, rozpoczniemy poszukiwania. Mam nadzieję, że nie znajdziemy go martwego. Biorąc pod uwagę to, że przez całą dobę nic nie robiliśmy.

– Czy zarządzymy przeczesywanie terenu? – spytał Martinsson.

– Jeszcze nie. Najpierw tam pojadę. Odezwę się.

Wallander poszedł do siebie i odszukał w książce telefonicznej numer telefonu OK. Po pierwszym sygnale zgłosiła się jakaś młoda dziewczyna. Wallander przedstawił się i poprosił o kontakt ze Svenem Tyrenem.

– Rozwozi ropę – powiedziała. – Ale ma telefon w kabinie.

Wallander zapisał numer na marginesie okólnika Głównego Zarządu Policji. I zadzwonił. W słuchawce zatrzeszczało.

– Chyba ma pan rację, że Holger Eriksson zaginął.

– Jasne, kurna, że mam rację – odparł Tyren. – Trzeba było aż tyle czasu, żeby to zrozumieć?

Wallander darował sobie odpowiedź.

– Czy ma pan coś jeszcze do dodania? – zapytał.

– Niby co?

– Sam pan wie najlepiej. Czy Holger Eriksson nie ma jakichś krewnych, których czasami odwiedza? Czy nigdy nigdzie nie wyjeżdża? Kto go zna najlepiej? Wszystko, co pomogłoby w sensownym wyjaśnieniu,

dlaczego zniknął.

– Nie ma żadnego sensownego wyjaśnienia. Już to mówiłem. Dlatego poszedłem na policję.

Wallander zastanawiał się. Sven Tyren nie miał powodów, żeby kłamać. Jego niepokój był absolutnie szczery.

– Gdzie pan jest? – spytał Wallander.

– Wracam z Malmö. Byłem w terminalu, żeby uzupełnić ropę.

– Jadę do domu Erikssona. Czy możemy się tam spotkać?

– Tak. Będę w ciągu godziny. Muszę tylko zawieźć trochę ropy do domu opieki. Starsi ludzie nie powinni marznąć, prawda?

Wallander zakończył rozmowę, po czym opuścił komendę. Zaczęło mżyć.

Czuł się nieswojo. Gdyby nie rozstrój żołądka, nigdy nie doszłoby do nieporozumienia.

Był przekonany, że Sven Tyren miał powody do niepokoju. Wiedział o tym już we wtorek. A od wtorku sprawa nie ruszyła z miejsca.

Kiedy dojechał do domu Holgera Erikssona, deszcz przybrał na sile. Wyjął kalosze z bagażnika. W skrzynce pocztowej leżała gazeta i kilka listów. Podeszedł do drzwi i zadzwonił. Cisza. Otworzył zamki zapasowymi kluczami. Próbował się zorientować, czy nic się nie zmieniło. Nie, wszystko było tak, jak to zapamiętał. Pusty futerał na lornetkę w przedpokoju. Wiersz na biurku. Wyszedł na podwórze. Przez chwilę stał bez ruchu i w zamyśleniu patrzył na psią klatkę. Gdzieś na polu krzyczały wrony. Pewnie martwy zając, pomyślał. Przyniósł z samochodu latarkę i metodycznie zaczął przeszukiwać dom. Wszędzie był porządek. Wallander długo podziwiał zadbanego, lśniącego harleya davidsona stojącego w pomieszczeniu służącym za garaż i warsztat.

Usłyszał nadjeżdżający samochód. Przecząco pokręcił głową, kiedy Sven Tyren wysiadł z szoferki cysterny i spojrzał na niego.

– Nie ma go – powiedział.

Weszli do domu. Wallander zaprowadził Tyrena do kuchni. W kieszeni kurtki znalazł kilka złożonych kartek. Ale nie miał długopisu. Pożyczył sobie pióro leżące na biurku obok wiersza o dziecięciu średnim.

– Nie mam nic do dodania – burknął Sven Tyren. – Czy nie byłoby lepiej, gdybyście zaczęli go szukać?

– Zawsze wiemy więcej, niż nam się zdaje – zareplikował Wallander, nie ukrywając, że zirytowała go postawa Tyrena.

– O czym na przykład nie wiem, że wiem?
– Czy rozmawiał pan z nim osobiście, kiedy ostatnio zamawiał ropę?
– Zadzwoił do biura. Mamy tam dziewczynę. To ona wypisuje mi zlecenia. Zawsze wie, gdzie jestem. Rozmawiam z nią przez telefon kilka razy dziennie.

– Czy kiedy zadzwonił, zachowywał się tak jak zwykle?

– Niech pan ją o to spyta.

– Spytam. Jak się nazywa?

– Rut Eriksson.

Wallander zapisał.

– Zajrzałem tutaj na początku sierpnia – powiedział Tyren. – Wtedy widziałem go ostatni raz. I wtedy był taki jak zwykle. Zaprosił mnie na kawę i przeczytał parę nowych wierszy. Poza tym umiał opowiadać rozmaite historie. Sprośne.

– To znaczy jakie?

– No takie, że się czerwieniłem.

Patrząc na Tyrena, Wallander nagle zdał sobie sprawę, że myśli o ojcu, który też umiał opowiadać sprośne historie.

– Czy nie miał pan wrażenia, że jest zgrzybiały?

– Myślał tak jasno jak pan i ja razem wzięci.

Wallander zastanawiał się przez chwilę, czy nie został przypadkiem znieważony.

– Czy Holger Eriksson nie miał krewnych? – spytał.

– Nigdy się nie ożenił. Nie miał dzieci. Ani przyjaciółki.

– A dalsi krewni?

– Nigdy o tym nie mówił. Cały jego majątek miała dostać jakaś organizacja z Lundu.

– Jaka organizacja?

Tyren wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem? Jakieś regionalne stowarzyszenie.

Wallander z przykrością pomyślał o „Przyjaciółkach Siekiery”. Holger Eriksson chciał pewnie przekazać zagrodę Muzeum Kultury w Lundzie. Zanotował to.

– Czy mógł posiadać coś jeszcze? – zapytał.

– Na przykład co?

– Drugi dom, jakąś nieruchomość w mieście albo mieszkanie...

– Nie – odparł po namyśle Tyren. – Miał tylko tę posiadłość. A pie-

niądze trzymał w banku. W Handelsbanken.

– Skąd pan to wie?

– Bo faktury na ropę przechodziły przez Handelsbanken.

Wallander skinął głową. Złożył kartki. Nie miał więcej pytań. Tak, coś się musiało stać Holgerowi Erikssonowi.

– Odezwę się – powiedział i wstał.

– I co teraz?

– Policja ma swoje procedury.

Wyszli na podwórze.

– Chętnie pomogę w poszukiwaniach – zaproponował Tyren.

– Raczej nie. Wolimy to robić po swojemu.

Sven Tyren nie oponował. Wdrapał się do szoferki i bardzo wprawnie zawrócił na niewielkiej powierzchni. Cysterna odjechała. Wallander zatrzymał się na skraju pola i patrzył na majaczący w oddali zagajnik. Wrony ciągle krzyczały. Wyjął z kieszeni telefon i połączył się z Martinssonem.

– No i jak? – spytał Martinsson.

– Przeczesujemy. Hansson ma adres. Chcę, żebyśmy zaczęli jak najszybciej. Ściągnij na początek dwa patrole z psami.

Chciał zakończyć rozmowę, ale Martinsson go powstrzymał.

– Jeszcze jedno – powiedział. – Zajrzałem do komputera, żeby sprawdzić, czy nie mamy czegoś o Holgerze Erikssonie. Rutynowa kontrola. I okazało się, że mamy.

Wallander przycisnął słuchawkę do ucha.

– Co?

– Mniej więcej rok temu zgłosił włamanie. Tak przy okazji, czy jego zagroda nazywa się „Samotnia”?

– Tak. Mów dalej!

– Zgłoszenie przyjęto dziewiętnastego października dziewięćdziesiątego trzeciego. Svedberg się tym zajmował. Ale naturalnie nic nie pamięta.

– Co się stało?

– Zgłoszenie było dosyć dziwne – powiedział z wahaniem Martinsson.

– Dlaczego dziwne?

– Bo nic nie zginęło. Ale on był pewien, że ktoś się włamał do domu.

– I co było potem?

– Nic. Umorziliśmy sprawę. Nikogo tam nawet nie wysłaliśmy. Ale

zgłoszenie jest.

– To ciekawe. Przyjrzymy się temu później. Na razie jak najszybciej pchnij tu patrole z psami.

Martinsson zachichotał.

– Czy nic cię nie uderza w zgłoszeniu Erikssona?

– Co na przykład?

– Że po raz drugi w ciągu kilku dni mówimy o włamaniu, gdzie nic nie zginęło.

Wallander przyznał mu rację. W kwaciarni przy Vastra Vallgatan też niczego nie ukradziono.

– I na tym podobieństwa się kończą.

– Właściciel kwaciarni też zaginął – zauważył Martinsson.

– Nie. Podróżuje po Kenii. Ale najwyraźniej zaginął Holger Eriksson.

Wallander zakończył rozmowę, wsunął telefon do kieszeni i szczerzej owinął się kurtką. Poszedł do garażu, żeby kontynuować przeszukiwanie. Nie bardzo wiedział, czego szukać. Trzeba poczekać na psy, a potem zacząć przeczesać teren i rozmawiać z najbliższymi sąsiadami. Wrócił do domu. W kuchni nalał sobie wody. Kiedy odkręcał kran, zasyczało w rurach. Kolejny dowód, że od kilku dni nikogo tu nie było. Pijąc, bezmyślnie patrzył na wrzaskliwe wrony. Odstawił szklanekę i wyszedł na podwórze. Ciągle padało. Ciągle wydzierały się ptaki. Przystanął. Pomyślał o pustym futerale, który wisiał tuż przy drzwiach w przedpokoju, i popatrzył na wrony. Nieco dalej, na pagórku, była wieża. Zastygł w bezruchu. Myślał. Po chwili wolno ruszył skrajem pola. Glina zbijała się w grudki pod podszwami kaloszy. Zobaczył ścieżkę prowadzącą do wieży i skręcił. Wrony pikowały, ginęły mu z oczu i podrywały się do lotu. Uznał, że jest tam jakaś niecka albo rów. Coraz wyraźniej widział wieżę. Podejrzewał, że korzystano z niej podczas polowań na zające albo sarny. Po drugiej stronie, u podnóża pagórka, był zagajnik. Możliwe, że należał do Holgera Erikssona. Z pewnej odległości zobaczył rów. Obsunęło się chyba kilka desek. Coraz głośniejszy krzyczały wrony. Po chwili wszystkie naraz wzbily się w powietrze i odfrunęły. Wallander podszedł do krawędzi rowu i spojrzął w dół.

Drgnął. Cofnął się o krok. Zbierało mu się na mdłości.

Później przyzna, że czegoś równie okropnego chyba nigdy przedtem nie widział. Choć w swojej policyjnej karierze zdążył się napatrzeć na różne rzeczy, których wolałby nie oglądać.

Stał w strugach deszczu wdzierającego się pod kurtkę i koszulę i nie miał pojęcia, na co patrzy. Było to coś obcego i nierzeczywistego, coś, o co nigdy dotąd nawet się nie otarł.

Jedno nie budziło najmniejszych wątpliwości. W rowie był martwy mężczyzna.

Kucnął i lekko się pochylił. Zmusił się do patrzenia. Rów miał co najmniej dwa metry głębokości. Na wbitych palach wisiał człowiek. Ostre jak oszczep, przeszły ciało na wylot. Mężczyzna był zwrócony twarzą do rowu. Wrony dobrały się do jego karku. Wallander wstał. Drżały mu nogi. Gdzieś daleko usłyszał nadjeżdżające samochody. Przypuszczał, że to patrol z psami.

Cofnął się. Pale były chyba bambusowe. Przypominały grube wędziska o czubkach ostrych jak igła. Spojrzał na deski, które zwały się do rowu. Ponieważ po drugiej stronie ścieżka biegła dalej, musiała tu być kładka. Dlaczego się załamały? Solidne deski o dużym udźwigu. Poza tym rów nie miał więcej niż dwa metry szerokości.

Kiedy usłyszał szczekanie psa, zawrócił. Podle się czuł. I bał się. Owszem, nie po raz pierwszy widział ofiarę zabójstwa. Ale sposób, w jaki została uśmiercona? Żeby nabijać ludzi na pale?

Przystanął na ścieżce i wziął głęboki oddech.

Przypomniawszy sobie o wydarzeniach z ostatniego lata. Czy koszmar znowu ma się powtórzyć? Czy w tym kraju wszystko jest możliwe? Kto skazuje starszego człowieka na śmierć, nadziewając go na pale?

Przed domem czekali dwaj policjanci z psami. Dostrzegł również Ann-Britt Höglund i Hanssona. Mieli na sobie przeciwdeszczowe kurtki z kapturem.

Ledwie się pojawił na brukowanym podwórzu, wiedzieli, że coś się stało.

Otarł deszcz z twarzy i zdał im relację. Słyszał, że głos mu drży. Odwrócił się i wskazał na stado wron, które natychmiast wróciły, gdy tylko stamtąd odszedł.

– Jest tam. Nie żyje. To morderstwo. Pełna mobilizacja.

Czekali, że powie coś jeszcze.

Nie powiedział.

6

Kiedy w czwartek 29 września zapadły ciemności, policjanci rozpięli przeciwdeszczową osłonę nad rowem, tam gdzie wisiał na dziesięciu grubych palach bambusowych Holger Eriksson. Szuflami usunięto z dna krwawą breję. Makabryczna praca i uporczywy deszcz sprawiły, że było to jedno z najkoszmarniejszych miejsc zbrodni, jakie Wallander i jego koledzy kiedykolwiek widzieli. Gлина lepiła się do butów, potykali się o przewody elektryczne, a rześiste światło reflektorów potęgowało wrażenie czegoś porażająco nierzeczywistego. Sven Tyren zidentyfikował zwłoki mężczyzny wiszącego na palach. Nie było cienia wątpliwości, że to Holger Eriksson. Poszukiwania zaginionego jeszcze się nie zaczęły, a już się skończyły. Tyren wydawał się dziwnie opanowany, jakby nie do końca sobie uświadamiał, co widzi. Potem przez kilka godzin krążył za blokadami i nagle zniknął.

Wallander czuł się w rowie jak przemoczona mysz w pułapce. Zauważył, że koledzy z największym wysiłkiem robią swoje. Svedberg i Hansson kilka razy musieli odejść, bo łapały ich mdłości. Tylko Ann-Britt Höglund, którą najchętniej wysłałby wcześniej do domu, okazywała zadziwiającą obojętność. Lisa Holgersson przyjechała zaraz po znalezieniu zwłok. Tak zorganizowała pracę, żeby się o siebie nie potykali i wzajemnie sobie nie przeszkadzali. Jeden z młodych aspirantów pośliznął się na glinie, runął do rowu i skaleczył rękę o pal. Musiał mu ją opatrzyć lekarz, który się właśnie zastanawiał, jak zdjąć ciało. Wallander widział ten niefortunny upadek i wyobraził sobie, co spotkało Holgera Erikssona. Razem z ich policyjnym technikiem, Svenem Nybergiem, dokładnie obejrzał grube deski. Sven Tyren zaświadczył, że była tu kładka, którą Holger Eriksson sam zrobił. Tyren poszedł z nim kiedyś do wieży. Nie była to myśliwska ambona, tylko punkt widokowy służący Holgerowi Erikssonowi do obserwacji ptaków. Na szyi denata wisiała lornetka z pustego futerału, który Wallander zauważył w przedpokoju. Już po kilku minutach Nyberg stwierdził, że deski zostały podpiłowane. Wallander wygramolił się z rowu. Musiał pomyśleć. Próbował odtworzyć przebieg wydarzeń. Daremnie. Dopiero kiedy Nyberg powiedział, że lornetka ma noktowizor, coś mu zaczęło świtać. Nie dawał jednak wiary swoim podejrze-

niom.

Niesamowicie brutalna perfekcja, z jaką przygotowano i zaplanowano miejsce zbrodni, wydawała się wręcz nieprawdopodobna.

Późnym wieczorem przystąpili do usuwania zwłok Holgera Erikssona. Wspólnie z lekarzem i Lisą Holgersson musieli zdecydować, jak to zrobić. Wykopać pale, ściąć je czy wybrać najgorszy ze sposobów i ściągnąć ciało, zostawiając pale tam, gdzie były.

Za poradą Wallandera wybrali ten ostatni. Chcieli zobaczyć to miejsce, zanim Holger Eriksson wszedł na kładkę i wpadł w objęcia śmierci. Wallander czuł się zmuszony do udziału w tej przykrew operacji. Skończyli po północy. Zwłoki odwieziono. Deszcz osłabł, ale nic nie wskazywało na to, że przestanie padać. Słyszeli pracę generatora i chlupot gliny pod podszwami.

Potem nastął moment bezczynności. Nic się nie działo. Ktoś przyniósł kawę. W ostrym świetle upiornie połyskiwały zmęczone twarze. Wallander uznał, że musi wszystko podsumować. Co się właściwie stało? Co mają teraz robić? Byli wykończeni, wstrząśnięci, mokrzy i głodni. Martinsson stał ze słuchawką przy uchu. Wallander zastanawiał się, czy przypadkiem nie rozmawia z wiecznie niespokojną żoną. Ale kiedy włożył telefon do kieszeni, poinformował, że, zdaniem dyżurnego meteorologa deszcz ustanie w ciągu nocy. Wallander zdecydował, że w tej sytuacji najlepiej poczekać do świtu. Nikogo jeszcze nie ścigają, nadal szukają punktów zaczepienia, psy nie podjęły żadnego tropu. Wcześniej tego wieczora Wallander i Nyberg weszli na ptasią wieżę. Nie znaleźli tam nic, co naprowadziłoby ich na jakiś ślad.

– Teraz do niczego nie dojdziemy – zwrócił się do Lisy Holgersson. – Proponuję, żebyśmy się tu zebrali z samego rana. Potrzebny nam odpoczynek.

Nikt nie zaproponował. Wszyscy chcieli się stamtąd wynieść. Nie licząc Svena Nyberga, który miał pracować przez całą noc aż do ich powrotu. Kiedy koledzy poszli do zaparkowanych na podwórzu samochodów, Wallander został przez chwilę z Nybergiem.

– Co o tym myślisz? – spytał.

– Nic nie myślę – odparł Nyberg. – W życiu nie widziałem czegoś podobnego.

Wallander przytaknął. On też nigdy czegoś podobnego nie widział.

Patrzyli na dno rowu. Plandeka była odwinięta.

– Co to właściwie jest? – zapytał Wallander.

– Kopia azjatyckiej pułapki na drapieżniki. Używało się takich również w czasie wojny.

Wallander pokiwał głową.

– Takie masywne bambusy nie rosną w Szwecji – kontynuował Nyberg. – Nadają się na wędziska i jako materiał do wyrobu mebli lub wystroju wnętrz.

– Poza tym w Skanii nie ma drapieżników. I nie toczy się wojna. Na co więc patrzymy?

– Na coś, co tutaj nie pasuje. Co jest zgrzytem. I co napawa mnie strachem.

Wallander przyglądał mu się z uwagą. Rzadko Nyberg był taki rozmowny. A, co wręcz niezwykle, dał wyraz osobistym odczuciom.

– Nie pracuj za długo – rzucił na odchodne.

Nyberg milczał.

Wallander przeszedł przez blokady, skinieniem głowy pożegnał się z policjantami, którzy mieli pilnować tego miejsca w nocy, i ruszył do samochodu. Mniej więcej w połowie ścieżki czekała na niego Lisa Holgersson. Z latarką w ręku.

– Przed domem są dziennikarze – poinformowała. – Co im powiemy?

– Niewiele.

– Nie możemy im nawet podać nazwiska Erikssona.

– Chyba możemy – odparł po namyśle. – Zakładam, że kierowca cysterny wie, co mówi, to znaczy, że Holger Eriksson nie miał krewnych. A jeśli nikogo z rodziny nie musimy powiadamiać o jego śmierci, równie dobrze możemy ujawnić nazwisko. To może nam tylko pomóc.

Ruszyli. Za nimi upiornie świeciły reflektory.

– Co jeszcze możemy powiedzieć? – spytała.

– Że to z całą pewnością morderstwo. Że nie znamy motywu i nie mamy żadnych śladów prowadzących do sprawcy.

– Wyrobiłeś sobie na to wszystko jakiś pogład?

Wallander dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo jest zmęczony. Myślenie i mówienie było niemal ponad jego siły.

– Widziałas to samo co ja – powiedział. – Wszystko zostało starannie zaplanowane. Holger Eriksson wpadł w pułapkę, która spełniła swoje zadanie. Nasuwają się co najmniej trzy wnioski.

Zatrzymali się. Deszcz osłabł.

– Pierwszy, że sprawca znał Holgera Erikssona i przynajmniej niektóre jego zwyczaje. Drugi, że chciał pozbawić go życia.

Wallander ruszył przed siebie.

– A trzeci?

Popatrzył na jej bladą twarz w świetle latarki. Ciekawe, jak on wygląda. Czy włoska opalenizna spłynęła z deszczem?

– Sprawca nie tylko chciał go pozbawić życia – powiedział. – Chciał mu zadać ból. Holger Eriksson, zanim umarł, mógł dosyć długo wisieć na palach. Nikt go nie słyszał prócz wron. Może dowiemy się od lekarzy, ile czasu cierpiał.

Lisa Holgersson skrzywiła się z niesmakiem.

– Kto robi coś takiego?

– Nie wiem. Wiem tylko, że mi niedobrze.

Na skraju pola czekali na nich dwaj zmarznięci dziennikarze i fotograf. Wallander znał ich. Popatrzył na Lisę Holgersson. Pokręciła przecząco głową. Najzwięźle jak umiał powiedział o tym, co się stało. Kiedy szykowali się do zadawania pytań, podniósł rękę w odmownym geście. Odeszli.

– Cieszysz się opinią dobrego policjanta – powiedziała Lisa Holgersson. – W lecie mogłam się przekonać, jaki masz potencjał. Każdy okręg w Szwecji chciałby cię widzieć w swoim gronie.

Zatrzymali się koło jej samochodu. Z pewnością powiedziała to, co naprawdę myśli, zbyt był jednak zmęczony, żeby jakoś zareagować.

– Rób, co uznasz za stosowne – kontynuowała. – Mów, czego ci trzeba, a ja postaram się wszystko załatwić.

Wallander skinął głową.

– Zobaczymy się za kilka godzin. Tymczasem musimy się przespać.

Wallander był na Mariagatan przed drugą. Zrobił sobie kanapki, zjadł je przy kuchennym stole, a potem w ubraniu położył się na łóżku w sypialni. Nastawił budzik na piątą.

Spotkali się o siódmej rano, w siwym brzasku. Meteorolog się nie pomylił. Przystało padać. Ale zerwał się wiatr i ochłodziło się. Nyberg i policjanci, którzy pracowali w nocy, musieli prowizorycznie zabezpieczyć plandekę rozpiętą nad miejscem zbrodni, żeby jej nie zwiało. Kiedy deszcz ustał, Nyberg wpadł w szał i przeklinał kapryśnych bożków pogody. Ponieważ nie zapowiadało się na rychły powrót opadów, zdjęli brezentowe zadaszenie. W rezultacie Nyberg i inni technicy uwijali się w ro-

wie nieosłonięci od przenikliwego wiatru.

Wallander, jadąc do domu Erikssona, zastanawiał się, jak rozplanować postępowanie dochodzeniowe. Nic nie wiedzą o Holgerze Erikssonie. Jego majątek mógł stanowić ewentualny motyw. Wallander miał jednak co do tego poważne wątpliwości. Ostre pale bambusowe przemawiały innym językiem. Nie rozumiał go, nie wiedział, do czego odsyła, i już teraz się niepokoił, że nie będą w stanie dociec jakichś normalnych przesłanek.

Jak zwykle, kiedy czuł się niepewnie, pomyślał o Rydbergu, swoim nauczycielu, którego wiedzy zawdzięczał to, że nie został przeciętnym śledczym. Rydberg blisko cztery lata temu zmarł na raka. Wallander wzdrygnął się. Jak ten czas leci. Co zrobiłby Rydberg? Doradziłby cierpliwość. Rydberg w swoim Kazaniu na Górze przeszedłby do sedna i powiedział, że najważniejsza jest cierpliwość.

Założyli prowizoryczną kwaterę w domu Erikssona. Wallander próbował określić najpilniejsze zadania i najefektywniej je rozdzielić.

O tej wczesnej porannej godzinie, kiedy wszyscy byli zmęczeni i blado, porwał się na podsumowanie. Na dobrą sprawę mógł powiedzieć tylko jedno. Że nic nie mają.

– Wiemy bardzo mało – zaczął. – We wtorek Sven Tyren, kierowca cysterny, zgłasza zaginięcie. Przyjmując za punkt wyjścia słowa Tyrena i datowanie wiersza, możemy założyć, że Holger Eriksson zginął w środę po dziesiątej wieczorem. Dokładniejszego czasu nie znamy. W każdym razie nie wcześniej. Musimy poczekać na wyniki ekspertyzy sądowo-lekarskiej.

Zrobił pauzę. Nie było pytań. Svedberg wytarł nos. Oczy mu błyszczały. Wallander pomyślał, że pewnie ma gorączkę i powinien się położyć do łóżka. Ale obaj zdawali sobie sprawę, że wszyscy są teraz niezbędni.

– Nie za wiele wiemy o Holgerze Erikssonie – kontynuował. – Był sprzedawca samochodów, zamożny, nieżonaty, bez dzieci, ktoś w rodzaju miejscowego poety i miłośnik ptaków.

– Może jednak wiemy ciut więcej – przerwał mu Hansson. – Dziesięć, dwadzieścia lat temu Holger Eriksson był w tych okolicach osobą znaną. Miał w branży samochodowej opinię handlarza koni. Szorstki w obejściu. Nie cierpiał związków zawodowych. Zarabiał ciężkie pieniądze. Zamieszany w matactwa podatkowe i podejrzewany o łamanie

prawa. Jeśli dobrze pamiętam, nigdy nie został skazany.

– Chodzi ci o to, że mógł mieć wrogów – uściślił Wallander.

– Na pewno. Ale to nie znaczy, że byliby gotowi go zamordować. W każdym razie nie w taki sposób.

Wallander postanowił się wstrzymać z dyskusją na temat zaostrzonych pali i podpiłowanych desek. Przyjdzie na to czas. Najpierw powinien poukładać wszystkie szczegóły w swojej zmęczonej głowie. Rydberg często mu o tym przypominał. „Śledztwo jest jak plac budowy. Obowiązuje określony porządek”.

– Najpierw musimy zebrać co się tylko da o Holgerze Erikssonie – powiedział. – Ale zanim się podzielimy zadaniami, chciałbym przedstawić ewentualny przebieg wydarzeń.

Siedzieli w kuchni przy dużym okrągłym stole. Z okna widzieli blokadę i białą plandekę, która furkotała na wietrze. Nyberg przypominał stracha na wróble; stał w żółtym kombinezonie i wymachiwał ramionami. Zmęczony i poirytowany. Ale Wallander wiedział, że jest zdolny i dokładny. Jeśli wymachiwał ramionami, to znaczy, że miał ku temu powody.

Zauważył, że stopniowo rośnie zainteresowanie. Doświadczył tego nieraz. W tym momencie grupa śledcza zaczynała tropić mordercę.

– Myślę, że to było tak. – Wallander mówił wolno i starannie dobierał słowa. – W środę po dziesiątej wieczorem albo w czwartek rano Holger Eriksson wychodzi z domu. Nie zamyka drzwi, bo wychodzi na krótko, a poza tym nie zamierza opuszczać swojej posiadłości. Zabiera lornetkę. Nyberg stwierdził, że jest wyposażona w noktowizor. Idzie ścieżką prowadzącą do kładki. Przypuszczalnie chciał wejść na wieżę po drugiej stronie rowu. Holger Eriksson interesuje się ptakami. We wrześniu i w październiku odbywają się przeloty wędrownych ptaków. Nie bardzo wiem, jak to wygląda ani jakie to ptaki. Podobno największe stada przelatują nocami. To by tłumaczyło noktowizor i późną godzinę. Jeśli się to nie stało rano. Wchodzi na kładkę, która się załamuje, ponieważ ktoś podpiłował deski. Wpada do rowu i nadziewa się na pale. Tam umiera. Nawet gdyby wzywał pomocy, nikt by go nie usłyszał. Zagroda, jak zdążyliście zauważyć, jest położona na odludziu. Nie bez kozery nazywa się „Samotnią”. – Nalał sobie kawy z policyjnego termosu.

– Myślę, że tak to wyglądało. Więcej tu znaków zapytania niż odpowiedzi. Ale od tego musimy zacząć. Mamy do czynienia z dobrze zapla-

nowanym morderstwem. Brutalnym i przerażającym. Nie znamy żadnego oczywistego ani prawdopodobnego motywu, nie dysponujemy żadnymi wyraźnymi śladami.

Zapadła cisza. Wallander spojrział na siedzących przy stole.

– Jedno jest ważne – odezwała się po chwili Ann-Britt Höglund. – Ten, kto to zrobił, nie miał zamiaru niczego ukrywać.

Wallander skinął głową. Chciał się tym zająć.

– Myślę, że chodzi tu o coś więcej – powiedział. – Tę bestialską pułapkę można by uznać za demonstrację okropności.

– Czy znowu trafił nam się szaleniec? – spytał Svedberg.

Wiedzieli, o czym mówi. Od lata minęło zaledwie kilka miesięcy.

– Nie możemy tego wykluczyć – przyznał Wallander.

– W ogóle niczego nie możemy wykluczyć.

– To wygląda jak dół na niedźwiedzie – zauważył Hansson. – Albo coś, co się widuje na filmach wojennych rozgrywających się w Azji. Przewdziwna kombinacja. Niedźwiedzi dół i obserwator ptaków.

– Albo sprzedawca samochodów – wtrącił Martinsson, który do tej pory siedział cicho.

– Albo poeta – dodała Ann-Britt Höglund. – Mamy duży wybór.

Było wpół do ósmej. Zakończyli zebranie. Gdyby chcieli się spotkać, mieli do dyspozycji kuchnię Holgera Erikssona. Svedberg pojechał przesłuchać Svena Tyrena i dziewczynę ze spółki naftowej, która przyjęła zamówienie Erikssona. Ann-Britt Höglund miała dopilnować, żeby przeprowadzono wywiady z najbliższymi sąsiadami. Wallander poprosił ją, by porozmawiała też z listonoszem. Hanssona czekało przeszukanie domu wspólnie z jednym z techników Nyberga. Lisa Holgersson i Martinsson mieli zadbać o pozostałe czynności operacyjne.

Koło śledztwa zaczęło się obracać.

Wallander włożył kurtkę i poszedł do rowu, gdzie furkotała plandeka. Niebem pędziły poszarpane chmury. Kulił się na wietrze. Nagle usłyszał charakterystyczny odgłos lecących gęsi. Zatrzymał się i zadarł głowę. Dopiero po chwili je zauważył. Małe stadko wysoko, tuż pod chmurami, podążało na południowy zachód. Przypuszczał, że tak jak wszystkie wędrowne ptaki opuszczają Skanię przy Falsterbonaset.

Patrząc na gęsi, pomyślał o wierszu Holgera Erikssona. Jego niepokój nieustannie narastał. W tym brutalnym czynie było coś wstrząsającego. Ślepa nienawiść albo szaleństwo. Albo wyrachowanie i chłód. Nie wie-

dział, co go bardziej przeraża.

Kiedy doszedł do rowu, Nyberg i jego pomocnicy zaczęli wyciągać z gliny zakrwawione pale. Zawijali je w brezent i wkładali do samochodu. Nyberg, z ubłoconą twarzą, poruszał się nerwowo i ciężko.

Wallander pomyślał, że patrzy na grób.

– Jak leci? – zapytał, siląc się na ton pełen otuchy.

Nyberg burknął coś w odpowiedzi. Wallander zrezygnował z dalszych pytań. Nyberg łatwo wpadał w irytację, bywał chimeryczny i bez obiektywności wszczynał kłótnie ze wszystkimi, którzy się nawinęli. W ystadzkiej komendzie panowała opinia, że – gdyby tylko znalazł ku temu najmniejszy powód – bez chwili wahania wydarłby się na szefa Głównego Zarządu Policji.

Przerzucili nad rowem prowizoryczny mostek. Wallander ruszył do pagórka. Wiatr targał mu kurtkę. Przyglądał się wieży. Miała około trzech metrów wysokości. Holger Eriksson zbudował ją z takich samych desek, jakich użył na kładkę. Wdrapał się na górę. Platforma miała niewiele powyżej metra kwadratowego. Wiatr siekł go po twarzy. Widział pracującego w rowie Nyberga i zagrodę Erikssona. Przykucnął i zaczął badać platformę. Nagle uznał, że nie powinien być tu wchodzić, dopóki Nyberg nie dokona oględzin, i czym prędzej zszedł. Potem próbował się ustawić od zawietrznej. Czuł ogromne zmęczenie. I coś jeszcze. Zastanawiał się, jak to nazwać. Przygnębienie? Radość trwała bardzo krótko. Podróż do Włoch. Nowy dom. Może pies. Bajba, która miała do niego przyjechać.

W rowie wisi na palach starszy mężczyzna i świat zaczyna mu się usuwać spod nóg.

Ciekawe, na jak długo starczy mu sił.

Z trudem przegonił posępne myśli. Muszą jak najszybciej znaleźć tego kogoś, kto zastawił tę makabryczną pułapkę na Holgera Erikssona. Ostrożnie zsunął się z pagórka. Zauważył idącego ścieżką Martinssona. Jak zwykle się spieszył. Wallander wyszedł mu naprzeciw. Ciągle czuł się nieswojo. Jak ugryźć tę sprawę? Szukał punktu zaczepienia. Ale na razie bez skutku.

Odczytał z twarzy Martinssona, że coś się stało.

– O co chodzi? – spytał.

– Zadzwoń do Wanii Andersson.

Wallander musiał poszukać w pamięci, zanim sobie przypomniał. Aha.

Kwiaciarnia na Vastra Vallgatan. Zdziwił się.

– To może poczekać – powiedział. – Nie mamy teraz na to czasu.

– No, nie byłbym wcale taki pewien – odparł Martinsson, lekko urażony, że musi to mówić.

– Dlaczego?

– Wygląda na to, że właściciel kwiaciarni, Gösta Runfeldt, nie pojechał do Nairobi.

Wallander wciąż nie bardzo rozumiał.

– Wania Andersson zadzwoniła do biura podróży, żeby spytać o dzień i godzinę jego powrotu.

– No i?

– No i się dowiedziała, że Gösta Runfeldt nie stawił się na lotnisku Kastrup i nie poleciał do Afryki. Mimo że wykupił bilet.

Wallander wpatrywał się w Martinssona. – To znaczy, że mamy drugiego zaginionego – powiedział z wahaniem Martinsson. Wallander milczał.

Była dziewiąta rano, piątek 30 września.

7

Po dwóch godzinach Wallander musiał przyznać, że Martinsson ma rację. Jadąc do Ystadu, żeby porozmawiać z Wanią Andersson, przypomniał sobie, że swego czasu mówili o pewnym podobieństwie łączącym obydwie sprawy. Holger Eriksson rok temu zgłosił włamanie, w którego wyniku nic nie zginęło. Ktoś, kto włamał się do kwiaciarni Gösty Runfeldta, też niczego nie ukradł. Wallander czuł narastający lęk. Wystarczy aż nadto, że zamordowano Holgera Erikssona. Obejdzie się bez kolejnych zaginięć. W każdym razie nie takich, które miałyby jakiś związek z Erikssonem. Żadnych następnych rowów z palami. Jechał zdecydowanie za szybko. Może chciał przegonić tę myśl, że znów czeka go koszmar. Od czasu do czasu ostro hamował, jakby nakazywał samochodowi, a nie sobie, opamiętanie się i spokój. Co przemawiało za tym, że Gösta Runfeldt zaginął? Przecież mogło być całkiem naturalne wyjaśnienie. To, co się stało z Holgerem Erikssonem, nie ma tu nic do rzeczy. Jakby się nigdy nie stało. A już na pewno nie dwa razy. Nie w Skanii i nie w Ystadzie.

Musi istnieć sensowne wytłumaczenie, które usłyszy od Wanii Andersson.

Nie udało mu się jednak przekonać samego siebie. Zanim pojechał do kwiaciarni na Vastra Vallgatan, zajrzał do komendy. Na korytarzu spotkał Ann-Britt Höglund i poszli razem do stołówki, w której przy jednym stole przysypiało nad lunchem kilku zmęczonych policjantów z drogówki. Wzięli kawę, usiedli i Wallander zrelacjonował rozmowę telefoniczną

Martinssona. Zareagowała tak jak on. To na pewno zbieg okoliczności. Poprosił ją, by odszukała zgłoszenie Holgera Erikssona o włamaniu i sprawdziła, czy jest jakiś związek między Erikssonem a Göstą Runfeldtem. Jeśli tak, powinni to bez trudu odnaleźć w komputerze. Wiedział, że Ann-Britt Höglund ma dużo innych rzeczy na głowie. Ta jednak była najpilniejsza. Żeby „posprzątać, zanim przyjdą goście”. Słyszał, że to kompletnie chybiona metafora. Nie miał pojęcia, skąd ją wytrzasnął. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem i czekała na ciąg dalszy.

– Musimy się spieszyć – dodał. – Im mniej energii spożytkujemy na konstatację, że nie ma żadnych związków, tym lepiej.

Wstał.

– Kto to mógł zrobić? – spytała.

Znowu usiadł. Przypomniał sobie zakrwawione pale. Koszmar.

– Nie wiem – powiedział. – Tyle w tym sadyzmu i makabry, że nie widzę żadnych racjonalnych motywów. Jeśli w ogóle takie są, żeby kogokolwiek pozbawić życia.

– Są – odparła stanowczo. – I ty, i ja jesteśmy czasami tak wściekli, że życzymy komuś śmierci. Niektórzy nie mają żadnych hamulców i zabijają.

– To musiało być bardzo starannie zaplanowane. I to mnie niepokoi. Ten ktoś się nie spieszył. Znał zwyczaje Holgera Erikssona. Przypuszczał, że go obserwował.

– Może tu jest jakiś punkt zaczepienia? Holger Eriksson chyba nie miał przyjaciół. Ale człowiek, który go zabił, gdzieś się kręcił w pobliżu. Na pewno był przy rowie. Przepiłował deski. Którędyś tam przychodził i odchodził. Ktoś mógł go zauważyć. Jego albo jakiś obcy samochód. Ludzie z prowincji mają oko na wszystko, co się dzieje. Są jak leśne zwierzęta. Przyglądają się nam. A my ich nie widzimy.

Wallander skinął głową. Był rozkojarzony, nie słuchał jej w należyтым

skupieniu.

– Później o tym porozmawiamy – powiedział. – Jadę do kwiaciarni.

– Zobaczą, co mi się uda znaleźć.

Rozstali się w drzwiach stołówki. Kiedy przechodził koło recepcji, Ebba przekazała mu wiadomość, że dzwonił ojciec.

– Nie teraz – odparł.

– To straszne – powiedziała.

Wallander odniósł wrażenie, jakby mu osobiście współczuła.

– Kiedyś kupiłam od niego samochód. PV 444.

Nie od razu zrozumiał, że mówi o Holgerze Erikssonie.

– Umiesz prowadzić samochód? – zapytał, zdziwiony. – Nawet nie wiedziałem, że masz prawo jazdy.

– Jeżdżę od trzydziestu dziewięciu lat i nie dostałam ani jednego punktu karnego. Do tej pory mam pv.

Wallander przypomniał sobie, że nieraz widział na parkingu przed komendą czarnego, świetnie utrzymanego pv, ale nigdy się nie zastanawiał, do kogo może należeć.

– Chyba zrobiłaś dobry interes – powiedział.

– Holger Eriksson zrobił dobry interes. Grubo przepłaciłam. Ale ponieważ o niego dbałam, w ostatecznym rozrachunku dobrze na tym wyszłam. Obecnie zalicza się do weteranów.

– Muszę już iść. Ale któregoś dnia musisz mnie zaprosić na przejażdżkę.

– Nie zapomnij odezwać się do ojca.

Wallander zatrzymał się w pół kroku.

– Zrób mi przysługę i zadzwoń do niego. Wyjaśnij mu, czym się teraz zajmuję, i powiedz, że skontaktuję się z nim najszybciej, jak to tylko będzie możliwe. Chyba nie miał jakiejś pilnej sprawy?

– Chciał porozmawiać o Włoszech.

Wallander skinął głową.

– Porozmawiamy o Włoszech. Ale nie teraz. Przekaż mu to.

Pojechał na Vastra Vallgatan. Zaparkował niedbale na wąskim chodniku i wszedł do kwiaciarni. Było kilku klientów. Dał znak Wanii Andersson, że poczeka. Mniej więcej po dziesięciu minutach zostali sami. Wania Andersson przykleiła na szybie kartkę i zamknęła drzwi na klucz. Weszli do małego kantorka na zapleczu. Od zapachu kwiatów Wallanderowi zakręciło się w głowie. Ponieważ jak zwykle nie miał na czym pisać,

zgarnął plik bilecików. Na ścianie wisiał zegar. Za pięć jedenasta.

– Zaczniemy od początku – powiedziała. – Zadzwoiła pani do biura podróży. Po co?

Wania Andersson była zmieszana i niespokojna. Na stole leżała „Ystads Allehanda”, otwarta na obszernym artykule o morderstwie Holgera Erikssona. Dobrze, że nie wie, pomyślał Wallander, że jestem tu między innymi po to, żeby ustalić ewentualny związek między Holgerem Erikssonem i Göstą Runfeldtem. Mam nadzieję, że takowy nie istnieje.

– Gösta napisał, kiedy wraca – zaczęła. – Ale gdzieś mi się ta kartka zawieruszyła. Szukałam i nie znalazłam. Wtedy zadzwoniłam do biura podróży. Dowiedziałam się, że miał wylecieć dwudziestego trzeciego, ale w ogóle się nie pokazał na lotnisku Kastrup.

– Co to za biuro?

– „Podróże Specjalne”. Z Malmö.

– Z kim pani rozmawiała?

– Z Anitą Lagergren.

Wallander zapisał.

– O której pani dzwoniła?

Podawała mu godzinę.

– Co jeszcze mówiła Anita Lagergren?

– Gösta nie wyjechał. Nie zgłosił się do odprawy. Dzwonili do niego pod numer, który im zostawił. Ale nikt nie odpowiadał. Samolot odleciał bez Gösty.

– A potem nic już nie zrobili?

– Anita Lagergren powiedziała, że wysłali list z informacją, że Gösta nie może liczyć na zwrot kosztów podróży.

Wallander zauważył, że chciała coś dodać, ale się powstrzymała.

– O czym pani pomyślała? – zapytał życzliwie.

– To była bardzo droga podróż. Anita Lagergren wymieniła cenę.

– Ile kosztowała?

– Prawie trzydzieści tysięcy koron. Za czternaście dni. Wallander przyznał jej rację. Rzeczywiście bardzo drogo.

On w ogóle by nie brał pod uwagę takiej wyprawy. Za tygodniową wycieczkę do Rzymu zapłacili z ojcem mniej więcej jedną trzecią tej sumy.

– Nie rozumiem tego – powiedziała nagle. – Gösta nigdy by tak nie postąpił.

– Jak długo pracuje pani u niego?
– Prawie jedenaście lat.
– I wszystko było dobrze?
– Gösta jest miły. Kocha kwiaty. Nie tylko orchidee.
– Wrócimy do tego później. Jak mogłaby go pani opisać? Zastanawiała się.

– Miły – powiedziała. – Trochę dziwak i odludek. Wallander pomyślał, że ten opis pasowałby do Holgera Erikssona. Pomijając to, że był miły. Ogarnęło go przykre uczucie.

– Nie ma żony?
– Jest wdowcem.
– Czy ma dzieci?
– Tak, dwoje. Pozakładały własne rodziny. Nie mieszkają w Skanii.
– Ile lat ma Gösta Runfeldt?
– Czterdzieści dziewięć. Wallander popatrzył na swoje zapiski.
– Wdowiec. Żona musiała młodo umrzeć. Czy to był jakiś nieszczęśliwy wypadek?

– Nie bardzo wiem. Nigdy o tym nie mówił. Wydaje mi się, że utonęła. Wallander zostawił tę kwestię. W swoim czasie przyjrzą się wszystkim szczegółom. Jeśli to będzie konieczne. Miał nadzieję, że nie.

– Z pewnością się pani zastanawiała, dlaczego nie pojechał do Afryki i gdzie teraz jest.

Wania Andersson skinęła głową. Zobaczył, że ma łzy w oczach.

– Coś się musiało stać – powiedziała. – Zaraz po rozmowie z biurem podróży poszłam do jego mieszkania. To tuż obok. Zostawił mi klucze. Podlewałam mu kwiaty. Byłam tam już dwa razy. No i kiedy poszłam trzeci raz, nikogo nie zastałam. Od tamtej pory nikt tam nie był.

– Skąd pani wie?
– Bobym zauważyła.
– Co się, pani zdaniem, stało?
– Nie wiem. Cieszył się na tę podróż. W zimie miał skończyć książkę o orchideach.

Wallander niepokoił się coraz bardziej. Zaczął w nim tykać zegar ostrzegawczy. Znał te bezgłośnie alarmy. Zebrał bileciki, na których robił notatki.

– Chciałbym obejrzeć jego mieszkanie – powiedział. – Może pani otworzyć kwaciarnię. Z pewnością istnieje jakieś naturalne wytłumacze-

nie.

Szukała w jego twarzy potwierdzenia, że naprawdę tak myśli. Wallander nie sądził, by je znalazła.

Dostał klucze. Gösta Runfeldt mieszkał na tej samej ulicy, jedną przecznicę bliżej śródmieścia.

– Oddam je, kiedy skończę – powiedział.

Wyszedł. Jakieś starsze małżeństwo z trudem przeciskało się obok jego zaparkowanego byle jak samochodu. Popatrzyli na niego wyczekująco. Udał, że nic nie widzi.

Mieszkanie znajdowało się na drugim piętrze kamienicy zbudowanej, wedle oceny Wallandera, na przełomie wieku. Nie skorzystał z windy. Kilka lat temu myślał o przeprowadzce do podobnego domu. Teraz ta myśl była mu całkiem obca. Jeśli nie Mariagatan, to tylko domek z ogródkiem. W którym zamieszkałaby Bajba. I pies. Otworzył drzwi. Ciekawe, ile razy w życiu wchodził do obcych sobie miejsc, będących własnością nieznanym mu osób. Zatrzymał się za drzwiami i stał bez ruchu. Każde mieszkanie miało swój charakter. Z upływem lat Wallander potrafił go wyczuć. Powoli obchodził mieszkanie. Często najważniejszy był pierwszy krok. Pierwsze wrażenie. Potem będzie do tego wracał. Tutaj mieszkał mężczyzna o nazwisku Runfeldt, który pewnego wczesnego ranka nie zjawił się tam, gdzie powinien, czyli na lotnisku Kastrup. Wania Andersson powiedziała, że cieszył się na tę podróż. Wallander niepokoił się coraz bardziej.

Obejrzał cztery pokoje i kuchnię, po czym stanął pośrodku salonu. Duże jasne mieszkanie. Raczej nieciekawie umeblowane. Tylko gabinet miał jakąś osobowość. Panował tam sympatyczny nieład. Książki, papiery, litografie o motywach kwiatowych, mapy. Zagracone biurko. Wyłączony komputer. Na parapecie kilka zdjęć. Dzieci i wnuki. Gösta Runfeldt na tle azjatyckiego krajobrazu wśród ogromnych orchidei. Na odwrocie atramentowy napis, że było zrobione w Birmie w roku 1972. Gösta Runfeldt uśmiechał się do nieznanego fotografa. Miły uśmiech opalonego mężczyzny. Kolory wyblakły, ale uśmiech pozostał. Wallander odstawił zdjęcie i przyglądał się mapie świata wiszącej na ścianie. Z pewnym trudem odszukał Birnę. Potem usiadł na krześle przy biurku. Gösta Runfeldt wybierał się w podróż. Ale nigdzie nie pojechał. W każdym razie nie do Nairobi czarterem „Podróży Specjalnych”. Wstał i poszedł do sypialni. Poślane łóżko. Wąskie, jednoosobowe. Na nocnej

szafce stos książek. Popatrzył na tytuły. Prócz jednej o międzynarodowym obrocie dewizowym wszystkie były o kwiatach. Nie tego szukał. Schylił się i zajrzał pod łóżko. Nic. Otworzył szafę. Na najwyższej półce leżały dwie walizki. Wspiął się na palce i zdjął je. Były puste. Przyniósł krzesło z kuchni i lustrował półkę. Znalazł to, czego szukał. Mieszkania samotnych mężczyzn rzadko są wolne od kurzu. Mieszkanie Gösta Runfeldta nie było wyjątkiem. Wyraźnie widział obwódki kurzu. Musiała tam leżeć jeszcze jedna walizka. Ponieważ te, które zdjął, były stare, poza tym jedna miała popsuty zamek, uznał, że Gösta Runfeldt skorzystał z trzeciej walizki. Jeśli wyjechał. I jeśli nie stała gdzie indziej. Powiesił kurtkę na oparciu krzesła i przepatrzył wszystkie szafki i schowki, w których ewentualnie mogłaby się zmieścić. Nigdzie jej nie było. Wrócił do gabinetu. Jeśli Gösta Runfeldt wyjechał, musiał mieć przy sobie paszport. Przeszukał szuflady biurka. W jednej leżał stary zielnik. Otworzył go. „Gösta Runfeldt 1955”. Już w szkole zasuszał rośliny. Wallander patrzył na czterdziestoletniego bławatka. Niebieski kolor przypominał spłowiełe wspomnienie. On nigdy nie kolekcjonował roślin. Szukał dalej. Nie znalazł paszportu. Zmarszczył czoło. Walizki nie ma. Paszportu też. Ani żadnych biletów. Poszedł do salonu i usiadł w fotelu. Zmiana miejsca pomagała mu czasami zebrać myśli. Wiele przemawiało za tym, że Gösta Runfeldt opuścił mieszkanie z paszportem, biletami i spakowaną walizką.

Czy mogło się coś stać w drodze do Kopenhagi? Czy wypadł za burte któregoś z promów? Jeśli tak, powinna zostać walizka. Wyjął z kieszeni bileciki. Na jednym z nich zanotował numer telefonu do kwiaciarni. Poszedł do kuchni i zadzwonił. Z okna widział wysoki silos w ystadzkim porcie. Wzdłuż kamiennego pirsu płynął prom do Polski. Wania Andersson podniosła słuchawkę.

– Jeszcze jestem w mieszkaniu – powiedział. – Mam parę pytań. Czy mówił coś, jak się dostanie do Kopenhagi?

– Zawsze jeździł przez Limhamn i Dragor – odparła bez namysłu.

– I jeszcze jedno. Czy wie pani, ile miał walizek?

– Nie. Skąd miałabym wiedzieć?

Uznał, że powinien zapytać inaczej.

– A jak wyglądała jego walizka? Może ją pani kiedyś widziała?

– Rzadko zabierał duży bagaż. Znał się na podróżowaniu. Miał torbę na ramię i neseser z wysuwanymi kółkami.

– A jakiego był koloru?

– Czarnego.

– Jest pani pewna?

– Tak. Jestem pewna. Kilka razy wyjeżdżałam po niego. Na dworzec albo na lotnisko Sturup. Gösta nigdy niczego bez potrzeby nie wyrzucał. Gdyby musiał kupić nową walizkę, wiedziałabym o tym. Bobby narzekał na cenę. Czasami bywał skąpy.

Ale podróż do Nairobi kosztowała prawie trzydzieści tysięcy koron, pomyślał. I były to wyrzucone pieniądze. Pewnie nie z jego woli.

Nieprzyjemne uczucie narastało. Zakończył rozmowę i obiecał, że w ciągu pół godziny zwróci klucze.

Dopiero kiedy odłożył słuchawkę, uświadomił sobie, że Wania Andersson przypuszczalnie zamyka kwiaciarnię w porze lunchu. Potem pomyślał o tym, co mu powiedziała. Czarny neseser. Walizki, które znalazł w szafie w sypialni, były szare. Torby na ramię też nigdzie nie zauważył. Poza tym już wiedział, że Gösta Runfeldt jeździł w świat przez Limhamn. Stał przy oknie i patrzył na port. Promu do Polski nie było.

Coś tu się nie zgadza, pomyślał. Gösta Runfeldt nie zniknął dobrowolnie. Mógł się zdarzyć jakiś wypadek. Ale niekoniecznie.

Żeby od razu otrzymać odpowiedź na jedno z rozstrzygających pytań, zadzwonił do biura numerów i poprosił o telefon linii promowej obsługującej Limhamn i Dragor. Na szczęście od razu połączył się z osobą odpowiedzialną za rzeczy pozostawione na pokładzie. Mężczyzna mówił po duńsku. Wallander wyjaśnił, kim jest, i spytał o czarny neseser. Podał datę. I czekał. Duńczyk, który przedstawił się jako Mogenssen, wrócił po kilku minutach.

– Nic nie ma – powiedział.

Wallander zastanawiał się.

– Czy zdarza się, że ludzie znikają z pokładu? Że wypadają za burtę?

– Bardzo rzadko.

Mogenssen wydawał się przekonujący.

– Ale to się zdarza?

– Jak w każdej żegludze. Ludzie odbierają sobie życie. Upijają się. Niektórzy są obłąkani i balansują na relingu. Ale to się zdarza bardzo rzadko.

– Czy ci, którzy wypadają, są odnajdywani? Czy ma pan jakieś statystyki?

– Nie, nie mam. Wiem ze słyszenia, że większość ciał morze wyrzuca na brzeg. Niektóre więzną w sieciach rybackich. Inne przepadają na dobre. Ale nie ma ich wiele.

Wallander podziękował za pomoc i zakończył rozmowę.

Nic nie wiedział na pewno. A mimo to był przeświadczony, że Gösta Runfeldt nie pojechał do Kopenhagi. Spakował walizkę, wziął paszport i bilety, opuścił mieszkanie i ślad po nim zaginął.

Wallander pomyślał o kałuży krwi w kwiaciarni. Co oznaczała? Może popełnili błąd. Przecież mogło być tak, że włamanie wcale nie było pomyłką.

Chodził po mieszkaniu. Próbował coś zrozumieć. Było kwadrans po dwunastej. W kuchni zadzwonił telefon. Drgnął, po czym szybko odebrał. Hansson dzwonił z miejsca zbrodni.

– Słyszałem od Martinssona, że Runfeldt zaginął – powiedział. – Jak ci idzie?

– W każdym razie tutaj go nie ma.

– Wyrobiłeś sobie jakieś zdanie?

– Nie. Ale wydaje mi się, że miał zamiar wyjechać i coś mu w tym przeszkodziło.

– Myślisz, że ma to jakiś związek z Holgerem Erikssonem?

Wallander zastanawiał się. Co on właściwie myśli? Nie wiedział.

– Nie można tego wykluczyć – odparł. – Niczego nie można wykluczyć.

Potem spytał, czy wydarzyło się coś nowego. Nie, nic. Po rozmowie jeszcze raz obszedł mieszkanie. Wydawało mu się, że wie, na co powinien zwrócić uwagę. W końcu się poddał. Przejrzał pocztę w przedpokoju. Był tam list z biura podróży, rachunek za światło i zawiadomienie o paczce z firmy wysyłkowej z Borasu, którą można było otrzymać za zaliczeniem pocztowym. Wallander włożył awizo do kieszeni.

Wania Andersson czekała na niego w kwiaciarni. Oddał klucze i poprosił, żeby się odezwała, jeśli sobie przypomni coś ważnego.

Potem pojechał do komendy. Zostawił awizo Ebbie.

O pierwszej zamknął drzwi do swojego pokoju.

Był głodny.

Ale niepokój był większy niż głód. Znał to uczucie. Wiedział, co znaczy.

Wątpił, by kiedykolwiek odnaleźli Göstę Runfeldta żywego.

8

O północy Ylva Brink nareszcie mogła usiąść i napić się kawy. Była jedną z dwóch położnych, które w nocy z 29 na 30 września miały dyżur na oddziale położniczym w ystadzkim szpitalu. Jej koleżanka, Lena Soderstrom, poszła do pacjentki, u której zaczęły się bóle partu. Noc mijała pracownicy, ale bez żadnych nagłych przypadków; stałe, rutynowe obowiązki.

Brakowało personelu. Wszystkiemu musiały podołać dwie położne i dwie pielęgniarki. Gdyby wystąpił krwotok lub inne komplikacje, mogły wezwać lekarza. Ale bywało gorzej, pomyślała Ylva Brink, siadając na kanapie z filiżanką kawy w dłoni. Kilka lat temu była jedyną położną na trzeciej zmianie. Parę razy okazało się, że musi być w dwóch miejscach jednocześnie. Udało im się wówczas przemówić do rozsądku kierownictwu szpitala i uzyskali zgodę na zatrudnienie jeszcze jednej położnej.

Kantorek, w którym siedziała, mieścił się pośrodku oddziału. Dzięki szklanym ścianom widziała, co się dzieje na korytarzu. W ciągu dnia panowała tu bezustanna krzątanina. Ale w nocy było inaczej. Lubiła nocne dyżury. W przeciwieństwie do większości koleżanek, które miały rodziny i nie mogły się wyspać w ciągu dnia. Dzieci Ylvy Brink były dorosłe, a mąż pływał jako maszynista na zbiornikowcu kursującym między portami Bliskiego Wschodu i Azji. Praca wtedy, kiedy inni spali, uspokajała ją.

Z przyjemnością wypija łyk kawy i wzięła z półmiska kawałek babki. Do kantorka weszła pielęgniarka, po chwili zjawiała się następna. W kącie cicho grało radio. Zaczęły rozmawiać o jesieni, o uporczywym deszczu. Matka jednej z pielęgniarek, która umiała przepowiadać pogodę, powiedziała, że czeka ich długa i mroźna zima. Ylva Brink próbowała sobie przypomnieć Skanie zasypaną śniegiem. Nie zdarzało się to często, ale kiedy się zdarzało, rodzące kobiety nie mogły dotrzeć do szpitala, co prowadziło do dramatycznych sytuacji. Raz, w śnieżnej zamieci, trzęsła się z zimna, jadąc na traktorze, który przedzierał się przez zaspy do położonej na uboczu zagrody na północ od miasta. Rodząca mocno krwawiła. Po raz pierwszy i ostatni w swojej karierze Ylva Brink miała

poważne obawy, że kobieta umrze. A przecież nie powinno do tego dojść. W Szwecji rodzące kobiety nie umierają.

Ale na razie była jesień. Pora jarzębin. Ylva Brink pochodziła z północy i czasami tęskniła do melancholijnych lasów Norrlandii. Nigdy nie przywykła do skańskiego krajobrazu i hulających wiatrów. Mąż postawił na swoim. Urodził się w Trelleborgu i nie wyobrażał sobie życia poza Skanią. Wtedy kiedy miał na to chwilę czasu.

Do kantorka weszła Lena Soderstrom. Miała trzydzieści jeden lat. Mogłaby być moją córką, pomyślała Ylva. Jestem od niej dokładnie dwa razy starsza.

– Chyba urodzi dopiero jutro rano – powiedziała Lena Soderstrom. – Zdążymy wrócić do domu.

– Dzisiaj będzie spokojnie. Prześpij się, jeśli jesteś zmęczona.

Noce bywały długie. Piętnaście minut albo pół godziny drzemki bardzo dużo znaczyło. Zmęczenie mijało jak ręką odjął. Ale Ylva nie spała. Kiedy skończyła pięćdziesiąt pięć lat, zauważyła, że wystarcza jej coraz mniej snu. Pomyślała, że to życie przypomina o swojej ulotności. Nie powinno się go więc bez potrzeby przesypiać.

Korytarzem przemknęła pielęgniarka. Lena Soderstrom piła herbatę. Pielęgniarki pochylały się nad krzyżówką. Było dziewiętnaście po dwunastej. Niebawem październik, pomyślała Ylva. Jesień postępuje. Niedługo przyjdzie zima. W grudniu Harry ma urlop. Cały miesiąc. Wtedy przebudujemy kuchnię. Nie dlatego, że to konieczne, ale żeby miał co robić. Urlop to dla Harry'ego okres niepokoju. Rozbrzmiał dzwonek. Jedna z pielęgniarek wstała i wyszła. Po kilku minutach była z powrotem.

– Marię z trójki boli głowa – powiedziała i usiadła nad krzyżówką.

Ylva piła kawę. Nagle uświadomiła sobie, że coś ją dręczy. Aha, już sobie przypomniała. Korytarzem przeszła pielęgniarka.

Coś było nie tak. Czy nie siedziały wtedy w kantorku? Nie było też żadnych sygnałów z ostrego dyżuru.

Pokręciła głową. Chyba jej się przywidziało.

Jednocześnie wiedziała, że tak nie jest. Pielęgniarka, której nie powinno tu być, rzeczywiście przeszła korytarzem.

– Kto tędy przechodził? – zapytała.

Popatrzyły na nią zdziwione.

– O kim ty mówisz? – powiedziała Lena Soderstrom.

– Kilka minut temu przeszła jakaś pielęgniarka. Kiedy siedzieliśmy

w kantorku.

Nie rozumiały, o co jej chodzi. Sama też tego nie rozumiała. Znów odezwał się dzwonek.

Ylva szybko odstawiła filiżankę.

– Ja się tym zajmę.

Kobieta z dwójki dostała mdłości. Miała urodzić trzecie dziecko. Ylva podejrzewała, że ta ciąża nie była najlepiej zaplanowana. Podała kobiecie coś do picia, wyszła na korytarz i rozejrzała się. Drzwi były zamknięte. Obok przeszła pielęgniarka. Coś się nie zgadzało. Nasłuchiwała. Z kantorka dobiegał przyciszony głos z radia. Wróciła i wzięła swoją filiżankę.

– Nic się nie dzieje – powiedziała.

W tym momencie znowu pojawiła się nieznana pielęgniarka. Tym razem Lena Söderström też ją zobaczyła. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Chwilę później usłyszały trzask drzwi prowadzących do głównego korytarza.

– Kto to był? – spytała Lena Söderström.

Ylva Brink pokręciła głową. Pielęgniarki oderwały się od krzyżówki.

– O kim mówicie? – zainteresowała się jedna z nich.

– O pielęgniarce, która przeszła obok.

Ta, która siedziała z długopisem w ręku, roześmiała się.

– Przecież jesteśmy tutaj – powiedziała.

Ylva szybko wstała, podeszła do drzwi dzielących oddział położniczy od reszty szpitala i otworzyła je. Korytarz był pusty. Gdzieś daleko trzasnęły zamykające się drzwi. Wróciła do kantorka. Pokręciła głową. Nie, nikogo nie widziała.

– Co tu robi pielęgniarka z innego oddziału? – spytała Lena Söderström. – I dlaczego się nie przywitała?

Ylva Brink nie miała pojęcia. W każdym razie nic jej się nie przywitało.

– Zajrzyjmy do wszystkich pokoi – zaproponowała. – I sprawdzimy, czy wszystko jest w porządku.

Lena Söderström popatrzyła na nią badawczo.

– A co miałyby nie być w porządku?

– Na wszelki wypadek.

Zajrzały. Wszystko było w porządku. O pierwszej jedna z kobiet zaczęła krwawić. Dyżur minął im na pracy. O siódmej, po złożeniu ra-

portu, Ylva Brink poszła do domu. Mieszkała w willi tuż obok szpitala. W domu znów myślała o nieznannej pielęgniarce przemykającej korytarzem. Nagle poczuła pewność, że to nie była pielęgniarka. Mimo fartucha. Żadna pielęgniarka nie przysłaby na ich oddział w nocy, a jeśli nawet, toby się przedstawiła i powiedziała, co ją sprowadza.

Zaniepokoiła ją ta nocna wizyta. Nieznana kobieta przyszła w jakimś celu i dziesięć minut później wyszła. Dziesięć minut spędziła w jednym z pokoi. W którym? U kogo? I po co?

Położyła się, ale nie mogła zasnąć. Obca kobieta nie dawała jej spokoju. O jedenastej poddała się. Wstała i zaparzyła kawę. Uznała, że powinna z kimś o tym porozmawiać. Mam kuzyna policjanta, pomyślała. Ponieważ do komendy nie było daleko, postanowiła tam pójść. Niebem pędziły postrzępione chmury. Pomyślała o tym koszarze, o którym pisały gazety. Bodaj koło Lödinge został zamordowany i wrzucony do rowu jakiś sprzedawca samochodów. Mogą nie mieć dla niej czasu.

Weszła do recepcji i spytała o inspektora Svedberga. Był bardzo zajęty.

– Proszę mu powiedzieć, że przyszła Ylva. Jestem jego kuzynką.

Kilka minut później Svedberg zaprowadził ją do swojego pokoju. Zbyt lubił Ylvę Brink, by jej nie poświęcić choćby kilku minut. Przyniósł kawę. Opowiedziała mu o nocnym zdarzeniu. Przyznał, że to dziwne, ale nie ma się czym przejmować. To ją uspokoiło. Miała trzy dni wolne i szybko zapomniała o pielęgniarce, która w nocy z 29 na 30 września przeszła przez oddział położniczy.

W piątek o dziesiątej wieczorem Wallander zebrał swoich zmęczonych współpracowników na naradę. Skończyli dobrze po północy. Zaczął od konstatacji, że mają na głowie następnego zaginionego. Martinsson i Ann-Britt Höglund pobieżnie przejrzyli dostępne rejestry. Wynik był negatywny. Nie dysponowali żadnym materiałem, który potwierdzałby związek między Holgerem Erikssonem i Göstą Runfeldtem. Wania Andersson też sobie nie przypominała, żeby Gösta Runfeldt kiedykolwiek mówił o Erikssonie. Wallander uznał, że nie powinni się niczym sugerować. Gösta Runfeldt mógł się w każdej chwili odnaleźć cały i zdrowy, choć, rzecz jasna, nie wolno im lekceważyć dosyć niepokojących faktów związanych z jego zniknięciem. Poprosił, żeby zajęła się tym Ann-Britt Höglund, co wcale nie oznacza, że zostanie wyłączona ze sprawy Holgera Erikssona. Wallander, na ogół przeciwny angażowaniu dodatkowych posiłków w skomplikowanych śledztwach, tym razem uważał, że od sa-

mego początku powinni o nie poprosić. Postanowili z tym poczekać do przyszłego tygodnia. Mogło się przecież zdarzyć, że przełom nastąpi szybciej, niż im się wydaje.

Omawiali to, co do tej pory zrobili. Wallander jak zwykle zaczął od pytania, czy ktoś ma jakieś istotne informacje. Popatrzył na nich. Wszyscy pokręcili głowami. Nyberg, który siedział osobno, głośno wytarł nos. Wallander najpierw jemu udzielił głosu.

– Na razie nie mamy nic nowego – powiedział Nyberg.

– Sami widzieliście. Maksymalnie podpiłowane deski. Spadł i nadział się. W rowie niczego nie znaleźliśmy. Jeszcze nie wiemy, skąd są te bambusowe pale.

– A wieża? – spytał Wallander.

– Nic. Ale do końca jeszcze daleko. Byłoby łatwiej, gdybyś powiedział, czego mamy szukać.

– Nie wiem. Ten, kto to zrobił, musiał skądś przyjść. Jest ścieżka, dookoła pola i zagajnik przy pagórku.

– Do zagajnika prowadzi gruntowa droga – odezwała się Ann-Britt Höglund. – Są tam ślady opon. Ale nikt z sąsiadów nie zauważył niczego podejrzanego.

– Holger Eriksson miał dużo ziemi – wtrącił Svedberg.

– Rozmawiałem z niejakim Lundbergiem. Dziesięć lat temu sprzedał Holgerowi Erikssonowi ponad pięćdziesiąt hektarów. Nikt nie miał interesu, żeby się tam kręcić.

– Musimy porozmawiać z wieloma osobami – powiedział Martinsson, przeglądając papiery. – Skontaktowałem się z placówką medycyny sądowej w Lundzie. Powinni coś wiedzieć w poniedziałek rano.

Wallander zanotował to, po czym znów zwrócił się do Nyberga.

– Co z domem Erikssona?

– Nie możesz mieć wszystkiego naraz – odparł Nyberg niezbyt przychylnie. – Sterczymy w tej brei, bo niedługo znowu może się rozpadać. Może jutro rano zajmiemy się domem.

– Dobrze – powiedział przyjaźnie Wallander.

Nie mógł dopuścić do tego, żeby Nyberg się zdenerwował. Wszystkim by się udzielił jego nastrój. Ale chimeryczność Nyberga wkurzała go. Zauważył, że Lisa Holgersson, która siedziała pośrodku przy dłuższej krawędzi stołu, zarejestrowała opryskliwą odpowiedź Nyberga.

Ciągle byli we wstępnej fazie dochodzenia. Wallanderowi przypomi-

nało to karczowanie. Powoli posuwali się naprzód. Dopóki nie mieli żadnych punktów zaczepienia, wszystko było równie ważne. Dopiero kiedy niektóre rzeczy okazały się mniej istotne od innych, podejmą jeden lub kilka tropów.

Przed pierwszą Wallander uznał, że nadal poruszają się po omacku. Rozmowy z Rut Eriksson i Svenem Tyrenem nic nie wniosły do sprawy. Holger Eriksson złożył zamówienie na cztery metry sześciennie ropy opałowej. Nie było w tym nic dziwnego ani niepokojącego. Zagadkowe włamanie, które zgłosił rok temu, nie zostało wyjaśnione. Rozpracowywanie Holgera Erikssona ledwie osiągnęło sterowność. Ciągnął ich hallownik, składający się z najbardziej elementarnych działań rutynowych. Dochodzenie jeszcze nie zaczęło żyć własnym życiem. Mieli bardzo mało danych. Po dziesiątej wieczorem w środę 21 września Eriksson opuścił dom z lornetką na szyi. Śmiertelna pułapka była już gotowa. Wszedł na kładkę i wpadł prosto w objęcia śmierci.

Kiedy nikt nie miał nic więcej do powiedzenia, Wallander przystąpił do podsumowania. Cały czas miał uczucie, że widział na miejscu zbrodni coś, co powinno skłaniać do określonej interpretacji. Widział coś, czego nie potrafił rozszyfrować. Coś mającego związek z palami. Morderca świadomie wybrał sposób komunikowania się, swój język. Dlaczego przebija ofiarę? Dlaczego zadaje sobie tyle trudu?

Na razie zatrzymał te myśli dla siebie. Były zbyt mętne, żeby się nimi podzielić z kolegami.

Nalał sobie wody mineralnej i odsunął leżące przed nim papiery.

– Cały czas szukamy punktu zaczepienia – zaczął. – Mamy morderstwo niepodobne do żadnych innych. Możliwe, że nigdy dotąd nie zetknęliśmy się ani z takim motywem, ani ze sprawcą. W pewnym sensie przypomina to śledztwo, które prowadziliśmy w lecie. Udało nam się, ponieważ niczego się ślepo nie trzymaliśmy. Teraz też musimy o tym pamiętać. Mamy mnóstwo pracy. – Zwrócił się do Lisy Holgersson. – Jest już sobota. Dzisiaj i jutro musimy kontynuować to, co zaczęliśmy. Nie możemy czekać do poniedziałku.

Lisa Holgersson skinęła głową. Nie miała zastrzeżeń.

Skończyli zebranie. Wszyscy byli zmęczeni. Lisa Holgersson, Ann-Britt Höglund i Wallander zostali. Wallander pomyślał, że chociaż raz kobiety są w większości.

– Per Åkeson prosi o kontakt – powiedziała Lisa Holgersson.

Wallander uświadomił sobie, że wyleciało mu to z głowy.

– Zadzwońię do niego jutro.

Lisa Holgersson włożyła płaszcz.

– Czy cokolwiek przemawia za tym, że tego mordu dopuścił się szale-
niec? – spytała. – To czyste średniowiecze, żeby nabijać ludzi na pale.

– Niekoniecznie – zaoponował Wallander. – Takie doły robiono pod-
czas drugiej wojny światowej. Bestialstwo i szaleństwo nie zawsze idą
w parze.

Nie usatysfakcjonowała jej ta odpowiedź. Oparła się o futrynę i pa-
trzyła na niego.

– Nie jestem przekonana. Może skorzystalibyśmy z pomocy psycholo-
ga, który był tu w lecie? Jeśli dobrze cię zrozumiałam, bardzo się przy-
dał.

Wallander nie przeczył, że Mats Ekholm miał swój udział
w pomyślnym zakończeniu śledztwa. Pomógł im ustalić portret sprawcy.
Uważał jednak, że wzywanie go jest przedwczesne. Poza tym bał się ana-
logii.

– Może – powiedział z wahaniem. – Ale chyba się jeszcze wstrzyma-
my.

Spojrzała na niego badawczo.

– Chyba nie myślisz, że to się powtórzy? Następny dół z palami?

– Nie.

– A Gösta Runfeldt? Drugie zaginięcie?

Wallander nie był pewien, czy przypadkiem nie mówi czegoś, w co
sam nie wierzy. Pokręcił głową. Nie, nie sądzi, żeby to się powtórzyło.
A może tylko taką ma nadzieję?

– Zamordowanie Holgera Erikssona wymagało dużych przygotowań –
powiedział. – Coś takiego robi się tylko raz. Poza tym muszą być po
temu odpowiednie warunki. Na przykład dostatecznie głęboki rów.
I kładka. I ofiara, która na nią wchodzi wieczorem albo o świcie, żeby
popatrzeć na ptaki. Wiem, że połączyłem zaginięcie Gösty Runfeldta
z zabójstwem w Lódinge. Ale to przezorność. Prowadząc to śledztwo,
muszę korzystać i z paska, i z szelek.

Lisę Holgersson zdziwiła jego metafora. Ann-Britt Höglund zachicho-
tała.

– Chyba rozumiem, co masz na myśli. – Lisa Holgersson pokiwała
głową. – Ale zastanów się nad Ekholmem.

– Dobrze. Nie wykluczam, że możesz mieć rację. Jednak wydaje mi się, że jeszcze na to za wcześnie. O skuteczności często decyduje właściwy moment wykorzystania danego środka.

– Potrzebujecie snu – powiedziała Lisa Holgersson, zapinając płaszcz.
– Nie siedźcie za długo.

– Szelki i pasek – odezwała się Ann-Britt Höglund, kiedy zostali sami.
– Rydberg cię tego nauczył?

Wallander nie obraził się. Wzruszył ramionami i zaczął zbierać papiery.

– Czasami coś się wymyśla samodzielnie. Pamiętasz, co mówiłaś, kiedy tu przysłałaś? Że wiele mogę cię nauczyć. Może teraz rozumiałaś, jak bardzo się pomyliłaś.

Usiadła na stole i oglądała paznokcie. Błada, zmęczona, nie najładniejsza, ale zdolna. Oddany policjant to rzadkość. Pod tym względem byli do siebie podobni.

Usiadł na krześle.

– Powiedz mi, co widzisz – zaczął.

– Coś, co napawa mnie lękiem.

– Dlaczego?

– Bo świadczy o brutalności i wyrachowaniu. Poza tym nie znamy motywu.

– Holger Eriksson był bogaty. I twardy w interesach. Mógł mieć wrogów.

– To nie tłumaczy konieczności wbijania go na pale.

– Nienawiść zaślepiła. Tak jak zawiść albo zazdrość.

Pokręciła głową.

– Odniosłam wrażenie, że chodzi nie tylko o zamordowanie starego człowieka. Nie potrafię tego lepiej wyjaśnić. W każdym razie pozostało we mnie takie uczucie. Bardzo silne.

Wallander zapomniał o zmęczeniu. Ann-Britt Höglund powiedziała coś ważnego, co na swój sposób pokrywało się z jego przelotnymi myślami.

– Mów dalej – poprosił.

– Niewiele mogę do tego dodać. Nikt, kto go zobaczył, nie miał wątpliwości, co i jak się stało. To było morderstwo. I coś jeszcze.

– Chodzi ci o to, że każdy morderca mówi swoim językiem?

– Mniej więcej.

– Sądzisz, że chciał nam coś przekazać?

– Może.

Kod, pomyślał, którego na razie nie umiemy odczytać.

– Niewykluczone, że masz rację – powiedział głośno.

Milczeli. Po chwili Wallander ciężko podniósł się z krzesła i kontynuował zbieranie papierów.

– To twoje? – spytał, widząc cudzy karteluszek.

Rzuciła okiem na charakter pisma.

– To styl Svedberga.

Wallander próbował rozszyfrować ołówkową bazgraninę. Oddział położniczy. Nieznana kobieta.

– A cóż to jest, do cholery?! – Nie taił zdziwienia. – Svedberg będzie miał dziecko? Czy on w ogóle z kimś jest?

Ann-Britt Höglund wyjęła mu kartkę z ręki.

– Ktoś go poinformował, że po oddziale położniczym kręci się jakaś kobieta przebrana za pielęgniarkę – powiedziała, zwracając mu papier.

– Sprawdzimy to, jak będziemy mieli czas – odparł nie bez ironii.

Już miał wyrzucić to do kosza, ale się w ostatniej chwili rozmyślił. Nie, jutro zwróci notatkę Svedbergowi.

Stali na korytarzu.

– Kto się opiekuje twoimi dziećmi? – spytał. – Czy mąż jest w domu?

– Nie, jest w Mali.

Nie miał pojęcia, gdzie leży Mali.

Kiedy zniknęła w opustoszałej komendzie, poszedł do swojego pokoju, położył papiery na biurku i wziął kurtkę. W drodze do recepcji zatrzymał się koło centralki, w której pełniący dyżur policjant czytał gazetę.

– Nikt nie dzwonił w sprawie Lödinge? – zapytał.

– Nie.

Na parkingu hulał wiatr. Wallander nie doczekał się odpowiedzi, jak Ann-Britt Höglund radzi sobie z opieką nad dziećmi. Długo szukał po kieszeniach kluczyków do samochodu. W końcu znalazł i pojechał do domu. Choć był bardzo zmęczony, usiadł na kanapie i myślał o tym, co się wydarzyło w ciągu dnia. Zwłaszcza o tym, co powiedziała mu Ann-Britt Höglund. Że chodzi nie tylko o zamordowanie starego człowieka.

Czy morderstwo może być czymś więcej niż morderstwem?

Położył się przed trzecią. Zanim zasnął, pomyślał, że musi zadzwonić do ojca i do Lindy.

Obudził się o szóstej, kiedy w jego śnie pod Holgerem Erikssonem załamała się kładka. Zmusił się, żeby wyjść z łóżka. Znowu padało. Okazało się, że nie ma kawy. Połknął dwie tabletki od bólu głowy i usiadł przy kuchennym stole, podpierając dłonią czoło.

Kwadrans po siódmej był w komendzie. W drodze do swojego pokoju zaopatrzył się w kawę. Na krześle pod oknem zobaczył paczkę. Kiedy się jej bliżej przyjrzał, przypomniał sobie o awizie, które wziął z mieszkania Gösty Runfeldta i przekazał Ebbie. Powiesił kurtkę i zabrał się do zdejmowania papieru pakowego, zastanawiając się w przelocie, czy nie jest to przypadkiem niezgodne z prawem. Otworzył karton i lustrował jego zawartość ze zmarszczonym czołem.

Drzwi były otwarte. Korytarzem szedł Martinsson. Zawołał go.

– Wejdz – powiedział. – Wejdz i zobacz.

9

Pochylali się nad przesyłką dla Gösty Runfeldta. Wallander widział przewody elektryczne, złączki przekaźnikowe i czarne miniaturowe puszkiki, których przeznaczenia nie znał. Ale Martinsson nie miał wątpliwości, co zamówił Gösta Runfeldt i za co policja zapłaciła.

– To specjalistyczny sprzęt do podsłuchu – skonstatował, oglądając jedną z puszek.

Wallander popatrzył na niego sceptycznie.

– Czy za pośrednictwem firmy wysyłkowej z Borasu naprawdę można kupić wyrefinowaną aparaturę elektroniczną?

– Za zamówieniem pocztowym kupisz wszystko. To już nie te czasy, kiedy wciskano nam buble. Może takie firmy ciągle istnieją, ale te akcesoria są wysokiej jakości. Warto jednak sprawdzić, czy ktoś się nie mija z prawem, bo import czegoś takiego podlega określonym procedurom.

Kiedy zawartość kartonu wylądowała na biurku Wallandera, okazało się – ku ich niekłamanemu zdumieniu – że prócz aparatury podsłuchowej jest magnetyczny pędzelek i opiłki żelaza. Nic dodać, nic ująć. Runfeldt zamierzał zdejmować odciski palców.

– Jak to wytłumaczyć? – spytał Wallander.

Martinsson pokręcił głową.

– Bardzo dziwne.

– Po co kwiaciarzowi urządzenie podsłuchowe? Żeby szpiegować konkurencję od tulipanów?

– Odciski palców są jeszcze dziwniejsze.

Wallander zmarszczył czoło. Nie rozumiał tego. Drogie urządzenie. Zaawansowana technologia. Ufał ocenie Martinssona. Firma wysyłkowa nazywała się Secur i mieściła przy Getangsvagen w Borasie.

– Zadzwońmy tam i spytajmy, czy Gösta Runfeldt kupował u nich inne rzeczy – powiedział Wallander.

– Podejrzewam, że nie będą zbyt chętni do udzielania informacji o swoich klientach. Poza tym jest sobota rano.

Wallander pokazał na list przewozowy.

– Telefon, pod którym można składać zamówienia, jest czynny przez całą dobę.

– To pewnie automatyczna sekretarka. Kupowałem kiedyś narzędzia ogrodnicze za pośrednictwem firmy wysyłkowej z Borasu. Nikt tam nie siedzi na okrągło.

Wallander patrzył na małe mikrofon.

– Czy to jest legalne? Masz rację, musimy się tego dowiedzieć.

– Chyba od razu będę mógł to sprawdzić. Mam kilka podsumowań na ten temat.

Wyszedł do swojego pokoju i niebawem wrócił z broszurami w ręku.

– Wydaje to dział informacji Głównego Zarządu Policji. Mają sporo niezłych publikacji.

– Czytam tak często, jak mi czas pozwala. Ale nie wiem, czy przypadkiem nie wydają tego za dużo.

– *Podsłuch jako karnoprocesowy środek przymusu.* – Martinsson położył jedną broszurę na biurku. – Nie to nas przede wszystkim interesuje, tylko to. „Aparatura podsłuchowa”. – Kartkował okólnik. – Według szwedzkiego prawa posiadanie, sprzedaż i wwóz aparatury podsłuchowej są nielegalne. Czyli na dobrą sprawę produkcja też jest zabroniona.

– Poprosimy kolegów z Borasu, żeby się tym zajęli. Firma trudni się nielegalną sprzedażą i nielegalnym importem.

– Firmy wysyłkowe są zazwyczaj bardzo porządne. Przypuszczam, że ludzie z branży chętnie się pozbędą takiego zgniłego jabłka.

– Skontaktuj się z Borasem – powiedział Wallander. – Jak najszybciej.

Pomyślał o mieszkaniu Gösty Runfeldta. Kiedy przeszukiwał szuflady

biurka i szafy, nie zauważył tego rodzaju sprzętu technicznego.

– Poprosimy Nyberga, żeby na to spojrział. Tymczasem to zostawmy. W każdym razie uważam, że to dziwne.

Martinsson też nie mógł pojąć, po co miłośnikowi orchidei aparatura podsłuchowa. Wallander włożył wszystko do kartonu.

– Jadę do Lódinge – powiedział.

– Namierzyłem człowieka, który przez ponad dwadzieścia lat był sprzedawcą u Holgera Erikssona. Za pół godziny mam się z nim spotkać w Svarte. Kto jak kto, ale on powinien dużo wiedzieć o Erikssonie.

Rozstali się przy recepcji. Wallander trzymał pod pachą karton Runfeldta.

– Co powiedział ojciec? – spytał Ebbę.

– Żebyś zadzwonił wtedy, kiedy będziesz miał czas.

Wallander natychmiast nabrał podejrzeń.

– Czy mówił to ironicznie?

Ebba popatrzyła na niego z powagą.

– Twój ojciec jest bardzo uprzejmy. Ma ogromny szacunek dla tego, co robisz.

Wiedział, że prawda jest zupełnie inna, i pokręcił głową.

Ebba wskazała na karton.

– Zapłaciłam z własnych pieniędzy. Dzisiaj nie ma już w policji żadnych podręcznych kas.

– Zostaw mi rachunek. Czy możesz poczekać na zwrot do poniedziałku?

Mogła. Wallander wyszedł z komendy. Deszcz ustał, chmury się rozproszyły, zapowiadał się pogodny jesienny dzień. Umieścił karton na tylnym siedzeniu. Kiedy świeciło słońce, krajobraz był mniej przygnębiający. Uczucie niepokoju na moment zelżało. Zabójstwo Holgera Erikssona przypominało koszmar. Ale może jednak istniało jakieś w miarę normalne wytłumaczenie. Zaginięcie Gösty Runfeldta wcale nie musiało oznaczać, że stało się coś poważnego. Aparatura podsłuchowa, którą zamówił – a czego Wallander nie rozumiał – mogła paradoksalnie stanowić dowód, że Gösta Runfeldt żyje. Możliwość, że popełnił samobójstwo, Wallander odrzucił. Radość z powodu rychłej podróży, o czym mówiła Wania Andersson, nie zapowiadała samobójstwa.

Jechał przez pogodny jesienny krajobraz i myślał, że czasami zbyt łatwo ulega swoim demonom.

Skręcił do domu Holgera Erikssona i zaparkował. W mężczyźnie, który do niego podszedł, rozpoznał dziennikarza z „Arbetet”. Przywitani się.

Dziennikarz wskazał głową na karton Runfeldta.

– Ma pan tutaj rozwiązanie?

– Nic z tych rzeczy.

– Mówiąc poważnie, jak wygląda sytuacja?

– W poniedziałek będzie konferencja prasowa. Do tego czasu niewiele możemy powiedzieć.

– Czy to prawda, że był przebity stalowymi rurami?

Wallander popatrzył na niego zdziwiony.

– Kto tak twierdzi?

– Jeden z pańskich kolegów.

Wallanderowi nie chciało się w to wierzyć.

– To z pewnością jakieś nieporozumienie. Nie było żadnych stalowych rur.

– Ale był przebity?

– Owszem.

– Taka komora tortur wykopana na skanskim polu.

– To nie moje słowa.

– A jakie są pana słowa?

– W poniedziałek będzie konferencja.

Dziennikarz pokręcił głową.

– Coś może mi pan chyba powiedzieć.

– Jesteśmy na początku śledztwa. Na pewno popełniono morderstwo. Nie mamy żadnych tropów.

– Zupełnie nic?

– Na razie nic więcej nie powiem.

Dziennikarz musiał się tym zadowolić. Wallander wiedział, że może liczyć na jego rzetelność. Był jednym z niewielu dziennikarzy, którzy ani razu nie przekreśli jego wypowiedzi.

Wszedł na brukowane podwórze. Przy rowie furkotała plandeka. Blokadę ciągle były. Koło ptasiej wieży kręcił się policjant. Wallander pomyślał, że mogą zdjąć ochronę. Ledwie podszedł do domu, drzwi się otworzyły i na progu stanął Nyberg w plastikowych osłonach na butach.

– Zobaczyłem cię przez okno – wyjaśnił.

Wallander od razu się zorientował, że Nybergowi dopisuje humor. To dobrze wróżyło ich pracy.

– Mam coś dla ciebie – powiedział i wszedł do środka. – Chcę, żebyś to obejrzał.

– Ma to jakiś związek z Holgerem Erikssonem?

– Nie, z Runfeldtem. Tym od kwiatów.

Postawił karton na biurku. Nyberg odsunął wiersz, żeby zrobić miejsce na zawartość. Powiedział to samo co Martinsson. To rzeczywiście zaawansowany sprzęt do podsłuchu.

Nyberg włożył okulary i szukał stempla producenta.

– Tu jest „Singapur” – stwierdził. – Ale przypuszczalnie wyprodukowali to gdzie indziej.

– Gdzie?

– W USA albo w Izraelu.

– To dlaczego na stemple jest „Singapur”?

– Niektórzy producenci mają zszarganą opinię i takie firmy stanowią część międzynarodowego przemysłu zbrojeniowego. Nie ujawniają sobie nawzajem żadnych tajemnic. Komponenty robi się w różnych miejscach na świecie i składa się je gdzie indziej. Udział jakiegoś kraju może na przykład polegać na udostępnieniu stempla.

– Do czego to można wykorzystać?

– Do podsłuchu mieszkania. Albo samochodu.

Wallander, zrezygnowany, pokręcił głową.

– Gösta Runfeldt jest kwiaciarem. Po co mu to?

– Znajdź go i spytaj.

Włożyli wszystko do kartonu. Nyberg wytarł nos. Był nielecho przeziębiony.

– Zwolnij tempo – powiedział Wallander. – Powinieneś się przespać.

– To przez tę cholerną glinę i sterczenie na deszczu. Pojęcia nie mam, dlaczego nie można zrobić przenośnego zadaszania, które zdałoby egzamin w skańskich warunkach pogodowych.

– Napisz o tym do „Svensk Polis” – zaproponował Wallander.

– Ciekawe, kiedy miałbym na to czas.

Obchodzili dom.

– Nie znalazłem nic godnego uwagi – powiedział Nyberg. – Przynajmniej na razie. Ale dużo tu zakamarków.

– Jeszcze chwilę zostanę. Chcę się rozejrzeć.

Nyberg wrócił do swoich techników. Wallander usiadł przy oknie w salonie. Promień słońca ogrzewał mu dłoń. Wciąż była brązowa.

Pomyślał o wierszu. Kto pisze wiersze o dzieciach? Wziął go z biurka i jeszcze raz przeczytał. Były tam ładne sformułowania. Wallander wpiśwał się za młodu do pamiętników koleżanek z klasy. Ale nigdy nie czytał poezji. Linda miała pretensję, że w jej rodzinnym domu nie istniały książki. Wallander nie mógł temu zaprzeczyć. Obrzucał wzrokiem ściany. Blisko osiemdziesięcioletni zamożny sprzedawca samochodów pisze wiersze. I interesuje się ptakami do tego stopnia, że późną nocą albo o świcie śledzi ich przeloty. Promień słońca ciągle ogrzewał Wallanderowi lewą dłoń. Nagle przypomniał sobie o czymś, co było w zgłoszeniu włamania, które wygrzebali z archiwum. „Według Erikssona, drzwi wyważono łomem albo czymś podobnym. Eriksson nie stwierdził, żeby coś zginęło”. Było tam coś jeszcze. Szukał w pamięci. Tak. „Kasa pancerna pozostała nietknięta”. Podniósł się i poszedł do Nyberga do sypialni.

Staął w drzwiach.

– Widziałeś jakąś kasę pancerną?

– Nie.

– Powinna być. Poszukajmy jej.

Nyberg klęczał obok łóżka. Kiedy się podniósł, Wallander zobaczył, że ma ochraniacze na kolanach.

– Na pewno? – spytał Nyberg. – Zauważyłbym.

– Tak. Jest tu kasa pancerna.

Metodycznie przepatrywali dom. Po półgodzinie znaleźli. Odkrył ją współpracownik Nyberga. Była za drzwiczkami piekarnika w kuchennym pomieszczeniu serwisowym. Wmurowana w ścianę. Miała zamek szyfrowy.

– Chyba wiem, gdzie jest szyfr – powiedział Nyberg. – Holger Eriksson bał się, że na stare lata może go zawieść pamięć.

Wyjął z szuflady biurka pudełeczko, a z niego kartkę, na której były zapisane cyfry. Wprowadzili je i zamki puściły. Nyberg odsunął się, żeby Wallander mógł otworzyć. Otworzył i zajrzał, wzdrygnął się, cofnął o krok i nadepnął Nybergowi na palce.

– Co tam jest? – spytał Nyberg.

Wallander dał mu znak, żeby sam zobaczył. Nyberg pochylił się. I drgnął. Ale nie tak gwałtownie jak Wallander.

– To mi wygląda na ludzką głowę.

Odwrócił się i poprosił jednego ze swoich współpracowników, który zbladł jak ściana, żeby przyniósł latarkę. Czekali, stojąc bez ruchu. Wal-

landerowi zakręciło się w głowie. Kilka razy głęboko odetchnął. Nyberg patrzył na niego pytająco. Wziął latarkę i poświecił. Rzeczywiście, w kasie pancерnej leżała głowa obcięta w połowie szyi. Miała otwarte oczy. Nie była to jednak zwyczajna głowa. Ktoś ją spreparował i zaszuszył. Nie potrafili rozstrzygnąć, czy należała do małpy, czy człowieka. Prócz niej w kasie było kilka kalendarzy i notatnik. W tym momencie pojawiła się Ann-Britt Höglund. Z ich skupienia wywnioskowała, że coś się stało. Nie spytała, co, stanęła z boku i milczała.

– Wezwiemy fotografa? – spytał Nyberg.

– Nie, sam zrób parę zdjęć. Najważniejsze, żebyśmy to stąd wyjęli. W kasie jest głowa – zwrócił się do Ann-Britt Höglund. – Skurczona ludzka głowa. Albo głowa małpy.

Pochyliła się i zajrzała. Wallander zauważył, że nie drgnęła. Żeby zrobić miejsce Nybergowi i jego współpracownikom, wyszli z pomieszczenia serwisowego. Wallander był spocony.

– Głowa w kasie pancерnej – powiedziała. – Skurczona albo nie, małpia albo nie. Jak to wyjaśnić?

– Holger Eriksson był dużo bardziej skomplikowany, niż nam się zdawało.

Czekali, aż Nyberg opróżni kasę. Była dziewiąta. Wallander poinformował Ann-Britt Höglund o przesyłce z Borasu. Obejrzała zawartość kartonu i zastanawiała się, co to może znaczyć. Ustalili, że trzeba gruntownie przeszukać mieszkanie Gösty Runfeldta. Najlepiej byłoby wypożyczyć kogoś ze współpracowników Nyberga. Ann-Britt Höglund zadzwoniła do komendy i dowiedziała się, że duńska policja nie otrzymała w ostatnich dniach żadnego zgłoszenia dotyczącego zwłok wyrzucanych na brzeg. Policja w Malmö i morskie służby ratownicze również nie miały żadnych tego rodzaju sygnałów. O wpół do dziesiątej Nyberg wniósł zawartość kasy pancерnej do salonu. Wallander przesunął wiersz o dzieciocie, żeby zrobić miejsce.

Choć w kasie było także kilka starych kalendarzy, notatnik i pudełeczko z medalem, zainteresowali się zaszuszoną głową. W dziennym świetle nie mieli już wątpliwości. To była ludzka głowa. Czarna. Może dziecka. Albo młodego człowieka. Nyberg oglądał ją przez szkło powiększające. Zauważył mole. Potem ją powąchał.

Wallander wykrzywił się z niesmakiem.

– Kto może coś wiedzieć o takich głowach?

– Muzeum etnograficzne – odparł Nyberg. – Teraz to się nazywa Muzeum Ludzi. Główny Zarząd Policji wydał taką niewielką broszurę z informacjami, gdzie czerpać wiedzę na temat najróżniejszych osobliwości. Świetna rzecz.

– Skontaktujemy się z nimi – powiedział Wallander. – Dobrze byłoby kogoś złapać dzisiaj albo jutro.

Nyberg zaczął wkładać głowę do plastikowego worka. Wallander i Ann-Britt Höglund usiedli przy stole i oglądali pozostałe przedmioty z kasy pancерnej. Medal na małej jedwabnej poduszeczce był zagraniczny. Miał francuską inskrypcję. Nie wiedzieli, co znaczy. Nyberga nie warto było nawet pytać. Po angielsku mówił źle, to co dopiero po francusku. Pewnie w ogóle nie miał o nim pojęcia. Sięgnęli po kalendarze. Były z pierwszej połowy lat sześćdziesiątych. Na stronach tytułowych widniało imię i nazwisko: „Harald Berggren”. Wallander spojrzał pytająco na Ann-Britt Höglund. Pokręciła głową przecząco. Niewiele tam było zapisków. Godziny. Inicjały. Pod datą 10 lutego 1960 roku dwie litery: „HE”. Przeszło trzydzieści lat temu.

Wallander otworzył notatnik. Zorientował się, że to dziennik. Pierwszy zapisek pochodził z listopada 1960 roku, ostatni z lipca następnego roku. Małe litery, niewyraźny charakter pisma. Przypomniał sobie, że oczywiście nie poszedł do optyka, z którym był umówiony. Pożyczył od Nyberga szkło powiększające i wertował notatnik.

– O Kongu Belgijskim – powiedział. – Był tam w czasie wojny. Jako żołnierz.

– Holger Eriksson czy Harald Berggren?

– Harald Berggren.

Odłożył notatnik. Może się okazać ważny, musi go dokładnie przeczytać. Popatrzyli na siebie. Wallander wiedział, że myślą o tym samym.

– Skurczona głowa ludzka – powiedział. – I dziennik wojenny z Afryki.

– Dół z palami. Kojarzy się z wojną. W moich wyobrażeniach skurczone głowy łączą się z ludźmi nabitymi na pale.

– W moich też. Może jednak znaleźliśmy jakiś trop.

– Kim jest Harald Berggren?

– Musimy się tego jak najszybciej dowiedzieć.

Wallander przypomniał sobie, że Martinsson akurat pojechał do Svarte zobaczyć się z kimś, kto bardzo długo znał Holgera Erikssona. Poprosił Ann-Britt Höglund, żeby do niego zadzwoniła. Od tej chwili nazwisko

Berggren należy sprawdzać we wszystkich możliwych kontekstach. Wybrała numer. Czekala. Potem pokręciła głową.

– Wyłączył komórkę.

Wallander się zirytował.

– Jak mamy prowadzić śledztwo, skoro jesteśmy nieosiągalni?

Wiedział, że sam grzeszy przeciwko tej zasadzie. Prawdopodobnie to on był najrzadziej osiągalny. Przynajmniej okresowo. Ann-Britt Höglund nie odezwała się słowem.

– Poszukam go – powiedziała po chwili i wstała.

– Harald Berggren. To ważne nazwisko. Wszyscy powinni je zapamiętać.

– Postaram się, żeby wypłynęło.

Zapalił lampkę na biurku. Już miał otworzyć dziennik, kiedy zauważył, że w skórzanej okładce coś jest. Zdjęcie. Ostrożnie je wysunął. Czarno-białe, sfatygowane i poplamione. Jeden róg był oberwany. Przedstawiało trzech mężczyzn pozujących nieznanemu fotografowi. Młodzi, roześmiani, w jakichś mundurach. Przypomnił sobie zdjęcie, które widział w mieszkaniu Runfeldta. Gösta Runfeldt w tropikach wśród ogromnych orchidei. Tutaj też krajobraz nie był szwedzki. Oglądał fotografię przez szkło powiększające. Słońce pewnie stało w zenicie, bo nie było cieni. Mężczyźni opaleni na brąz, rozpięte koszule, rękawy podwinięte, u nóg karabiny. Opierali się o dziwnego kształtu kamień, za którym była otwarta, pozbawiona konturów przestrzeń. Pod stopami mieli drobny żwir albo piasek. Patrzył na ich twarze. Od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat. Odwrócił zdjęcie. Nic. Zrobiono je chyba w tym czasie, kiedy był pisany dziennik. Czyli wczesne lata sześćdziesiąte. Świadczyłyby też o tym fryzury mężczyzn. Żaden nie nosił długich włosów. Ich wiek wykluczał, że jednym z nich mógł być Holger Eriksson. Miał wtedy między czterdziestką a pięćdziesiątką.

Wallander odłożył fotografię i wysunął szufladę biurka. Pamiętał, że w kopercie były zdjęcia paszportowe Erikssona. Wyjął jedno. Zrobione stosunkowo niedawno. Na odwrocie widniał napisany ołówkiem rok. „1989”. Holger Eriksson miał wtedy siedemdziesiąt trzy lata. Spiczasty nos, wąskie wargi. Próbował zapomnieć o zmarszczkach i zobaczyć młodszą twarz. Wrócił do fotografii z trzema pozującymi mężczyznami. Kolejno się im przyglądał. Mężczyzna z lewej nieco przypominał Holgera Erikssona. Wallander odchylił się na krześle i zamknął oczy. Holger

Eriksson leży martwy w rowie. W jego kasie pancernej znajdujemy skurczoną ludzką głowę, dziennik i fotografię. Nagle usiadł prosto i otworzył oczy. Włamanie sprzed roku. „Kasa pancerna pozostała nietknięta”. Założmy, pomyślał, że włamywacz miał taki sam problem z jej znalezieniem jak my. Założmy dalej, że było w niej to samo co teraz. I że właśnie tego szukał. Nie udało mu się i już nie ponawia próby. A rok później Holger Eriksson ginie.

Uznał, że przynajmniej częściowo trzyma się to kupy. Tylko jedna rzecz wyraźnie burzyła związki łączące różne wydarzenia. Po śmierci Holgera Erikssona prędzej czy później ktoś znajdzie kasę pancerną. Choćby spadkobiercy. Włamywacz musiał zdawać sobie z tego sprawę.

A jednak coś w tym było. Jakiś trop.

Jeszcze raz przyjrzał się zdjęciu. Roześmiani mężczyźni. Od trzydziestu lat te same uśmiechy. Przemknęło mu przez głowę, że Holger Eriksson mógłby być fotografem. Ale on w tym czasie z powodzeniem sprzedawał samochody w Ystadzie, Tomelilli i Sjobo. Nie brał udziału w afrykańskiej wojnie. A może brał? Ciągle znali tylko ułamek jego życiorysu.

Wallander w zamyśleniu patrzył na leżący przed nim dziennik. Wsunął fotografię do kieszeni kurtki, wziął dziennik i poszedł do Nyberga, który robił oględziny techniczne łazienki.

– Zabieram dziennik – powiedział. – Kalendarze zostawiam.

– Czy to coś da? – spytał Nyberg.

– Myślę, że tak. Gdyby ktoś mnie szukał, jestem w domu.

Kiedy wyszedł na podwórze, policjanci zdejmowali blokadę wokół rowu. Plandeki przeciwdeszczowej już nie było.

Godzinę później siedział przy kuchennym stole. Wolno zaczął czytać dziennik.

Pierwszy zapis pochodził z 20 listopada 1960 roku.

10

Przeczytanie dziennika Haralda Berggrena zajęło Wallanderowi prawie sześć godzin. Raz po raz dzwonił telefon i odrywał go od lektury. Po czwartej po południu zajrzała Ann-Britt Höglund. Wallander starał się, żeby przerwy były krótkie. Nigdy nie miał w ręku czegoś równie fascy-

nującego i przerażającego. Czytając o kilku miesiącach z życia autora, wkroczył w obcy sobie świat. Choć Harald Berggren, kimkolwiek był, nie należał do stylistycznych geniuszy – przeciwnie, często grzeszył sentymentalizmem i ocierającą się o bezradność niepewnością – waga jego doświadczeń przesłaniała językowe łamańce, przez które Wallander musiał się przedzierać. Czuł, że dziennik pomoże im zrozumieć, co się przydarzyło Holgerowi Erikssonowi. Jednocześnie nie opuszczał go sygnał ostrzegawczy. Ten trop mógł prowadzić na manowce. Prawdy bywają jednocześnie oczekiwane i nieoczekiwane. Trzeba wiedzieć, jak interpretować zależności i powiązania. Jedno śledztwo nigdy nie przypominało drugiego, różniły się wewnątrznie, ilekroć udało im się wniknąć pod skorupę powierzchownych podobieństw.

Harald Berggren napisał dziennik wojenny. Wallander zidentyfikował dwóch pozostałych mężczyzn ze zdjęcia, nie potrafił jednak wskazać, kto jest kto. W każdym razie Berggrenowi towarzyszył Irlandczyk Terry O'Banion i Francuz Simon Marchand. Sfotografował ich niejaki Raul o nieznanym narodowości. Wszyscy brali udział w afrykańskiej wojnie jako najemnicy. Już w Nowy Rok 1958 Harald Berggren usłyszał w Sztokholmie o pewnej brukselskiej kawiarni, w której można nawiązać kontakt z sekretnym światem najemników.

Nie wyjaśnia, dlaczego parę lat później do niego przystał. W dzienniku jawi się jako ktoś znikąd. Bez przeszłości, bez rodziców. Nic. Stoi na pustej scenie. Wiadomo tylko, że ma dwadzieścia trzy lata i boleje nad tym, że piętnaście lat wcześniej Hitler przegrał wojnę.

Wallander zatrzymał się w tym miejscu i kilka razy czytał jedno zdanie: „Rozpacзлиwa porażka, do której przywiedli Hitlera jego wiarołomni generałowie”. Próbował to zrozumieć. Słowo „rozpacзлиwa” mówiło coś bardzo ważnego o Haraldzie Berggrenie. Czy dawał wyraz swoim przekonaniom politycznym? Czy był przewrażliwiony i zdezorientowany? Wallander nie znalazł żadnych wskazówek, które pomogłyby mu to rozstrzygnąć. Harald Berggren nie pokusił się o komentarz. Wyjeżdża ze Szwecji w czerwcu 1960 roku. Na jeden dzień zatrzymuje się w Kopenhadze, żeby pójść do Tivoli. Tam tańczy w ciepły wieczór z kimś o imieniu Irene. Jest „urocza, ale zdecydowanie za wysoka”. Następnego dnia dociera do Hamburga, a dzień później, 12 czerwca 1960 roku, jest w Brukseli. Mniej więcej po miesiącu dopina swego i podpisuje kontrakt. Zauważa z dumą, że dostaje żołd i pójdzie na wojnę. Jest bliski euforii,

jakby się niedługo miały spełnić jego marzenia. Wspomina o tym dużo później, 20 listopada 1960 roku, w pierwszym i najdłuższym zapisku w dzienniku. Dokonuje podsumowania wydarzeń, które przywiodły go do miejsca, gdzie zaczyna notować swoje przeżycia, czyli do Afryki, do Omerutu. Wallander wyciągnął z kartonu na dnie szafy swój stary szkolny atlas, ale, naturalnie, nie było tam Omerutu. Zostawił atlas na kuchennym stole i czytał dalej. Harald Berggren, Terry O'Banion i Simon Marchand są w oddziale złożonym wyłącznie z najemników. Dowódca, o którym Harald Berggren wyraża się bardzo powściągliwie, jest Kanadyjczykiem i ma na imię Sam. Harald Berggren nie przejawia zainteresowania tym, o co chodzi w tej wojnie. Wallander sam niewiele wiedział, co się działo w kraju, który wówczas – i na starej mapie Wallandera – nosił nazwę Kongo Belgijskie. Harald Berggren nie czuje potrzeby usprawiedliwiania swojej tam obecności w charakterze najemnika. Zaznacza jedynie, że walczą o wolność. Ale o czyją wolność? Kilka razy, między innymi 11 grudnia 1960 roku i 19 stycznia 1961 roku pisze, że nie zaważa się użyć broni, gdyby musiał stanąć oko w oko z żołnierzami szwedzkimi z sił ONZ. Ostatniego dnia każdego miesiąca Harald Berggren skrupulatnie odnotowuje swoje zarobki. Prowadzi miniksięgowość. Dochody, wydatki, oszczędności. Chwali się swoimi łupami wojennymi. W wyjątkowo nieprzyjemnym passusie opowiada o spalonej plantacji, gdzie zastali na wpół zgniłe ciała – właściciela i jego żony, oboje byli Belgami – wokół których kłębiły się chmary czarnych much. Leżeli w swoich łóżkach z odciętymi rękami i nogami. Smród niewyobrażalny. Najemnicy przeszukali dom i znaleźli trochę diamentów i złotą biżuterię, które libański jubiler wycenił później na przeszło dwadzieścia tysięcy koron. Harald Berggren konstatuje, że godziwe zyski usprawiedliwiają jego działania. W jedynej osobistej refleksji zadaje sobie pytanie, czy doszedłby do takiego dobrobytu, gdyby został w Szwecji i zarabiał na swoje utrzymanie jako mechanik samochodowy. I odpowiada przecząco. Nigdy by się w życiu nie ustawił. Z zapalem walczy dalej.

Owładnięty zarabianiem pieniędzy, prowadzi nie tylko skrupulatną buchalterię, dokonuje także innych bilansów. Na tej afrykańskiej wojnie Harald Berggren zabija ludzi. Podaje daty i liczby. Jeśli może obejrzeć swoje ofiary z bliska, odnotowuje płeć, wiek i miejsce trafienia. Wallander czytał te pojawiające się co jakiś czas informacje z narastającym wzburzeniem i wściekłością. Harald Berggren nie miał tam nic do robo-

ty. Płacą mu – nie bardzo wiadomo, kto – za zabijanie. Rzadko jego ofiarami są ludzie w mundurach. Najemnicy napadają na wioski, których mieszkańcy uchodzą za przeciwników bronionej przez nich wolności. Mordują, grabią i wycofują się. Złożony z Europejczyków patrol zabójców z pogardą traktujący czarnych tubylców. Harald Berggren wcale tego nie ukrywa. „Kiedy się zbliżamy, czmychają jak oszalałe kozy. Ale nasze pociski śmigają szybciej”. Po przeczytaniu tych słów Wallander miał nieprzemyślaną ochotę rzucić dziennikiem w ścianę. Z trudem się powstrzymał i zrobił krótką przerwę, żeby przemyć podrażnione oczy. Brak okularów doskwierał mu bardziej niż kiedykolwiek. Harald Berggren zabija średnio dziesięć osób miesięcznie. Oczywiście, jeśli nie kłamie. Po czterech miesiącach walk zapada na amebozę i trafia do szpitala w Leopoldville. Przez kilka tygodni jest z nim źle. W tym okresie nie prowadzi żadnych zapisków. W każdym razie do czasu gdy go przewożą samolotem do szpitala, zdążył zastrzelić ponad czterdzieści osób. Wraca do zdrowia i do swojego oddziału. Miesiąc później są w Omerutu. Wtedy Harald Berggren, Terry O'Banion i Simon Marchand ustawiają się przed kamieniem – a ściślej rzecz biorąc, przed gniazdem termitów – i Raul robi im zdjęcie. Wallander podszedł z fotką do okna. Nigdy nie widział gniazda termitów. Nie miał jednak wątpliwości, że Harald Berggren ten właśnie moment odnotował w swoim dzienniku. Trzy tygodnie później wpadają w zasadzkę. Ginie Terry O'Banion. Muszą się wycofać. Nie mają szans na odpór. Uciekają w panice. Wallander próbuje się doszukać lęku, jest przekonany, że Harald Berggren się bał. Ale to ukrywa. Odnotowuje jedynie, że grzebią poległych w buszu i stawiają na ich grobach proste drewniane krzyże. Wojna toczy się dalej. Raz strzelają do stada małp, innym razem zbierają nad rzeką krokodyla jaja. Jego oszczędności wynoszą blisko trzydzieści tysięcy koron.

Latem 1961 roku wszystko się nagle urywa. Dziennik kończy się dosyć nieoczekiwanie. Przypuszczalnie Harald Berggren doszedł do wniosku, że ta przedziwna wojna w dżungli może trwać wiecznie. W ostatnim zapisku opowiada o tym, że wyjeżdżają nocą w wyciemnionym transportowcu i że jeden silnik zaciął się zaraz po starcie z pasa, który sami wykarczowali w buszu. I tyle. Jakby Harald Berggren nie miał już nic więcej do powiedzenia. Wszystko urywa się na pokładzie samolotu, który dokądś leci w afrykańskich ciemnościach, dźwięk silników zamiera i Harald milknie na dobre.

Była piąta po południu. Wallander rozprostował plecy i wyszedł na balkon. Znad morza nadciągały chmury. Znowu się rozpada. Pomyślał o tym, co przeczytał. Dlaczego dziennik był w kasie pancерnej Holgera Erikssona razem z ludzką głową? Jeśli Harald Berggren żyje, ma dzisiaj przeszło pięćdziesiąt lat. Wallander zmarzył na balkonie. Wszedł do pokoju, zamknął drzwi i usiadł na kanapie. Bolały go oczy. Dla kogo Harald Berggren pisał dziennik? Dla siebie czy dla kogoś innego?

Czegoś tu brakowało.

Młody mężczyzna pisze dziennik wojenny w odległej Afryce. Często skupia się na wybranych szczegółach, ale mimo to czegoś tu brakuje. Wallander nie potrafił tego odczytać między wierszami.

Udało mu się dopiero wtedy, kiedy Ann-Britt Höglund po raz drugi do niego przysłała. Ledwie stanęła w drzwiach, już wiedział, czego mu zabrakło w dzienniku Haralda Berggrena. Jego świat był zdominowany przez mężczyzn. Kobiety, o których wspomina, nie żyją albo w popłochu uciekają. Nie licząc Irene, którą spotkał w kopenhaskim Tivoli. Uroczej, ale zdecydowanie za wysokiej. I to wszystko. Pisze o przepustkach w różnych kongijskich miastach, o tym, jak się upił i wdał w bójkę. Ale ani słowa o kobietach.

Wallander nie mógł się wyzbyć uczucia, że to musi coś znaczyć. Harald Berggren jest młody, kiedy jedzie do Afryki. Wojna to przygoda. A kobiety w życiu młodego mężczyzny stanowią ważny element przygody.

Zaczął się nad tym zastanawiać. Na razie zachował te myśli dla siebie.

Ann-Britt Höglund chciała go poinformować, że przeszukała mieszkanie Gösty Runfeldta razem z jednym ze współpracowników Nyberga i że nie znaleźli nic, co mogłoby tłumaczyć zakup aparatury podsłuchowej.

– W świecie Gösty Runfeldta są tylko orchidee – powiedziała. – Odniosłam wrażenie, że to miły wdowiec z pasją.

– Jego żona podobno utonęła.

– Była bardzo ładna. Widziałam ich zdjęcie ślubne.

– Może warto by sprawdzić, jak do tego doszło.

– Martinsson i Svedberg mają się skontaktować z jego dziećmi. Nie wiem, czy nie powinniśmy się temu baczniej przyjrzeć.

Wallander już rozmawiał z Martinssonem, który dodzwonił się do córki Gösty Runfeldta. Była kompletnie zaskoczona. Ojciec miałby dobrowolnie zniknąć? Bardzo się zaniepokoiła. Wiedziała o jego podróży

do Nairobi i sądziła, że tam właśnie jest.

Wallander przyznał rację Ann-Britt Höglund. Od tej chwili zaginięcie Gösty Runfeldta będzie dla nich bardzo ważne.

– Za dużo się tu nie zgadza – powiedział. – Svedberg da znać, jak tylko złapie syna Runfeldta. Podobno jest w jakimś domku letniskowym w Halsinglandzie, gdzie nie ma telefonu.

Postanowili zwołać zebranie w niedzielę wczesnym popołudniem. Ann-Britt Höglund obiecała zadbać o stronę organizacyjną. Potem Wallander streścił jej dziennik Haralda Berggrena. Nie spieszył się, chciał być dokładny, jakby jednocześnie dokonywał podsumowania na własny użytek.

– Czy to może być on? – spytała, kiedy skończył. – Harald Berggren?

– W młodości dopuszczał się okrucieństw za pieniądze. Jego dziennik to, naturalnie, przerażająca lektura. Może dzisiaj się boi, że wszystko wyjdzie na jaw?

– To znaczy, że musimy go odszukać. Ale jak?

Wallander skinął głową.

– Dziennik był w kasie pancерnej Erikssona. To na razie najbardziej wyraźny trop. Ale, oczywiście, nie wolno nam zapominać o obiektywizmie.

– Wiesz, że to niemożliwe. Z chwilą znalezienia tropu kończy się obiektywizm.

– Mówię o tym ku przestrodze – odparł wymijająco. – Przecież możemy się mylić.

Tuż przed jej wyjściem zadzwonił Svedberg. Udało mu się porozmawiać z synem Gösty Runfeldta.

– Był bardzo poruszony – powiedział. – Chciał przylecieć pierwszym samolotem.

– Kiedy się ostatnio kontaktował z ojcem?

– Kilka dni przed jego podróżą do Nairobi. To znaczy przed planowaną podróżą. Jak zwykle się na nią cieszył.

– Aha.

Wallander oddał słuchawkę Ann-Britt Höglund, żeby go poinformowała o zebraniu, które miało się odbyć następnego dnia. Dopiero kiedy się rozłączyła, przypomniał sobie o notatce Svedberga. O kobiecie, która się dziwnie zachowywała na oddziale położniczym ystadzkiego szpitala.

Ann-Britt Höglund spieszyła się do domu, do dzieci. Po jej wyjściu

Wallander zadzwonił do ojca. Umówili się na spotkanie w niedzielę wczesnym rankiem. Były już zdjęcia, które ojciec zrobił swoim staroświeckim aparatem.

Resztę dnia Wallander poświęcił Holgerowi Erikssonowi, mając jednocześnie w pamięci sprawę zaginięcia Gösty Runfeldta. Był niespokojny, podniecony, nie mógł się skupić. Narastało w nim przeczucie, że drepczą na obrzeżach czegoś bardzo dużego.

O dziewiątej wieczorem zmęczenie wzięło górę. Zamknął kołonotatnik i zadzwonił do Lindy. Sygnały rozbrzmiewały w pustce. Nie było jej w domu. Włożył ciepłą kurtkę i poszedł do śródmieścia. Postanowił zjeść kolację w chińskiej restauracji przy rynku. Siedziało tam wyjątkowo dużo ludzi. Przypomniał sobie, że jest sobota. Zamówił karafkę wina i niemal natychmiast rozboleła go głowa. Kiedy wracał do domu, znowu zaczęło padać.

Tej nocy śniły mu się fragmenty dziennika. Smoliste ciemności, gorąco, Harald Berggren mierzy do niego z karabinu...

Obudził się wcześniej.

Deszcz ustał. Przejaśniło się.

Kwadrans po siódmej jechał do ojca, do Loderupu. Poranne światło wyostrzało kontury krajobrazu. Powinien wyciągnąć ojca i Gertrudę nad morze. Niedługo zrobi się zimno i nie będzie to już możliwe.

Z niechęcią pomyślał o śnie. Po południu, na zebraniu, muszą sporządzić harmonogram. Co i kiedy. Szybko powinni odszukać Haralda Berggrena, żeby ewentualnie wykluczyć fałszywy trop.

Kiedy wjechał na podwórze, ojciec czekał na schodach. Nie widzieli się od czasu wspólnej podróży do Rzymu. W kuchni Gertruda szykowała śniadanie. Obejrzel zdjęcia. Sporo było nieostrych, na niektórych główny motyw znalazł się częściowo poza kadrem. Ale ponieważ ojciec wydawał się zadowolony, wręcz dumny, Wallander z uznaniem kiwał głową.

Jedno zdjęcie różniło się od pozostałych. Zrobił je kelner podczas ich ostatniego wieczora w Rzymie. Zjedli kolację i usiedli blisko siebie. Na białym obrusie do połowy opróżniona butelka czerwonego wina. Uśmiechają się do obiektywu.

Przez moment pomyślał o wyblakłej fotografii z dziennika Haralda Berggrena. Nie. Teraz chciał oglądać tylko siebie i ojca. To zdjęcie potwierdziło spostrzeżenia, jakie poczynił we Włoszech.

Byli do siebie bardzo podobni.

– Chciałbym odbitkę – powiedział Wallander.

– Proszę uprzejmie – odparł ojciec i podał mu kopertę ze zdjęciem.

Po śniadaniu poszli do atelier. Ojciec kończył pejzaż z głuszcem. Ptak zawsze wieńczył dzieło.

– Ile obrazów namalowałeś? – spytał Wallander.

– Za każdym razem, kiedy tu jesteś, zadajesz mi to pytanie. Nie mam pojęcia. Czy to takie ważne? Liczy się to, że wszystkie są niemal identyczne.

Wallander już dość dawno zrozumiał, że tylko jedno może tłumaczyć jego przywiązanie do tego samego motywu. W ten sposób ojciec zaklinał wszystko, co się wokół zmieniało. W swoich obrazach panował nawet nad zachodem słońca. Zawsze wisiało nad lasem nieruchomo i nieubłaganie.

– To była udana podróż – powiedział Wallander, przyglądając się ojcu, który mieszał farby.

– A co ja niby mówiłem? Umarłbyś, nie widząc Kaplicy Sykstyńskiej.

Wallander zastanawiał się przez moment, czy nie zapytać o tę nocną wędrówkę do Schodów Hiszpańskich, ale dał temu spokój. Nie była to jego tajemnica.

Zaproponował spacer brzegiem morza. Ku jego zdumieniu ojciec od razu się zgodził. Gertruda wolała zostać w domu. Parę minut po dziesiątej wsiedli do samochodu i pojechali do Sandhammarenu. Było niemal bezwietrznie. Szli plażą. Kiedy forsowali ostatnią skałę, ojciec wziął go pod ramię. Mieli przed sobą otwarte morze. Na brzegu niemal nikogo, wyjąwszy parę osób bawiących się z psem.

– Pięknie – powiedział ojciec.

Wallander zerknął na niego ukradkiem. Wycieczka do Rzymu zdecydowanie poprawiła mu humor. Kto wie, czy nie miała zbawiennego wpływu na czającą się chorobę, której symptomy stwierdzili lekarze? Uświadomił sobie, że nigdy do końca nie zrozumie, ile ta podróż dla niego znaczyła. Podróż jego życia, w której Wallander miał zaszczyt mu towarzyszyć.

Rzym był dla ojca Mekką.

Wolno spacerowali brzegiem. Wallander pomyślał, że może teraz będzie mógł z nim porozmawiać o przeszłości. Ale nie było pośpiechu.

Nagle ojciec przystanął w pół kroku.

- Co ci jest? – zaniepokoił się Wallander.
- Od kilku dni mam mdłości. Ale zaraz mi przejdzie.
- Chcesz, żebyśmy wrócili?
- Powiedziałem, że zaraz mi przejdzie.

Ojciec znów zaczynał udzielać opryskliwych odpowiedzi. Postanowił to przemilczeć.

Nad ich głowami przeleciało na zachód stado wędrownych ptaków. Przeszło dwie godziny później ojciec miał dosyć spaceru. Do Wallandera, który zapomniał o bożym świecie, dotarło nagle, że musi się spieszyć na zebranie w komendzie.

Odwiózł ojca do Loderupu i wracał do Ystadu z uczuciem ulgi. Nawet jeśli go zaatakuje ta podstępna choroba, podróż do Rzymu zrobiła swoje. Może nareszcie będą się mogli porozumiewać tak jak przed laty, zanim Wallander postanowił zostać policjantem. Ojciec nigdy nie zaakceptował jego decyzji. I nigdy nie pozwolił sobie wyjaśnić jej powodów. Jadąc do Ystadu, Wallander pomyślał, że może w końcu doczeka się odpowiedzi, nad którą deliberował zdecydowanie za długo. O wpół do trzeciej zamknęli drzwi do sali zebrań. Przyszła także Lisa Holgersson. Widząc ją, Wallander przypomniał sobie, że miał zadzwonić do Pera Åkesona. Na wszelki wypadek zapisał to w kołonoatniku.

Powiedział o zasuszonej głowie i dzienniku Haralda Berggrena. Wszyscy uznali, że jest to jakiś trop. Wallander rozdzielił zadania i zajął się Göstą Runfeldtem.

– Musimy przyjąć, że coś mu się stało – zaczął. – Nie powinniśmy wykluczać nieszczęśliwego wypadku ani morderstwa. Oczywiście, mógł zniknąć z własnej woli. Związek między Holgerem Erikssonem a Göstą Runfeldtem uważam za mało prawdopodobny. Praktycznie nic za tym nie przemawia.

Chciał jak najszybciej zakończyć zebranie. Nie mógł przecież zapomnieć, że jest niedziela. Wiedział, że dają z siebie wszystko, żeby się wywiązać z powierzonych im zadań. Ale wiedział i to, że czasami liczy się tylko wypoczynek.

Godziny, które spędził z ojcem, dały mu zastrzyk energii. Kiedy tuż po czwartej wychodził z komendy, miał wrażenie, że od kilku dni nie czuł się tak rozluźniony i przez chwilę nie dręczył go niepokój.

Sporo przemawiało za tym, że jeśli odszukają Haralda Berggrena, wszystko się wyjaśni. Sposób, w jaki dokonano zabójstwa, wskazywał na

wyrafinowanego mordercę. Harald Berggren mógł nim być.

Jadąc na Mariagatan, zatrzymał się przed czynną w niedzielę wypożyczalnią wideofilmów. Czuł, że musi obejrzeć *Pożegnalny walc*. Widział go w Malmö z Moną na początku ich małżeństwa, ale niewiele zapamiętał.

W połowie filmu zadzwoniła Linda. Powiedział, że zaraz do niej odzwoni, wyłączył film i usiadł w kuchni. Rozmawiali pół godziny. Ani słowem nie wspomniała o ewentualnych wyrzutach sumienia, że nie odezwała się wcześniej. On też o tym nie mówił. Wiedział, że są do siebie podobni. Bywali roztargnieni, ale kiedy coś wymagało rozwiązania, potrafili się skoncentrować. Wszystko u niej w porządku, pracuje w restauracji lunchowej na Kungsholmen i ma zajęcia w szkole teatralnej. Nie zapytał, jak sobie tam radzi. Czuł, że nie jest pewna swoich predyspozycji.

Potem opowiedział jej o przedpołudniu spędzonym nad morzem.

– Wygląda na to, że mieliście wspaniały dzień – zauważyła.

– Tak. Myślę, że coś się zmieniło.

Kiedy zakończyli rozmowę, Wallander wyszedł na balkon. Wciąż było niemal bezwietrznie. W Skanii to rzadkość.

Niepokój odpłynął. Teraz powinien spać. Od jutra znowu się weźmie do pracy.

Gasząc światło w kuchni, zobaczył dziennik.

Zastanawiał się, gdzie się w tym momencie znajduje Harald Berggren.

11

W poniedziałek rano 3 października Wallander obudził się z uczuciem, że natychmiast powinien porozmawiać ze Svenem Tyrenem. Nie potrafił rozstrzygnąć, czy doszedł do tego wniosku we śnie, ale nie miał wątpliwości, że to pilne. Dlatego nie zwlekał z tym do chwili, aż będzie w komendzie. Kiedy parzyła się kawa, zadzwonił do biura numerów i poprosił o domowy numer telefonu Svena Tyrena. Odebrała jego żona. Sven już wyjechał. Wallander dostał numer jego komórki. Na linii coś trzeszczało i szumiało, w tle głucho pracował silnik cysterny. Sven Tyren był pod Hogestadem. Miał dwie dostawy, potem będzie w terminalu

w Malmö. Wallanderowi zależało na tym, żeby jak najszybciej stawił się w komendzie. Na pytanie Svena Tyrena, czy schwytali zabójcę Holgera Erikssona, Wallander odpowiedział, że chodzi wyłącznie o rutynową rozmowę. Nadal są we wstępnej fazie śledztwa, ale złapią zabójcę Holgera Erikssona. Możliwe, że dosyć szybko. Choć niewykluczone, że to trochę potrwa. Sven Tyren obiecał przyjechać około dziewiątej.

– Tylko proszę nie parkować przed wejściem – przestrzegł Wallander – bo zrobi się bałagan.

Sven Tyren wymruczał coś niewyraźnie w odpowiedzi.

Kwadrans po siódmej Wallander zjawił się w komendzie. Tuż przed szklanymi drzwiami skręcił w lewo, do prokuratury, która miała osobne wejście. Wiedział, że ten, z kim chce się spotkać, przychodzi równie wcześnie jak on. Zapukał do drzwi i został zaproszony do środka. Per Åkeson siedział za permanentnie zawalonym biurkiem. Wszędzie w pokoju poniewierały się sterty papierów i skoroszyty. Ale chaos był pozorny. Per Åkeson słynął ze skuteczności i porządku i Wallander lubił z nim współpracować. Znali się długo, z upływem lat ich kontakty nie dotyczyły wyłącznie spraw służbowych. Zdarzało się, że szukali u siebie pomocy albo rady. Istniała jednak między nimi niewidzialna granica, której nigdy nie przekroczyli. Nie mogliby zostać przyjaciółmi, ponieważ za nadto się różnili. Na widok Wallandera Per Åkeson radośnie skinął głową, podniósł się i zdjął z krzesła dla gości karton z dokumentami sprawy, która tego samego dnia miała stanąć na wokandzie sądu rejonowego. Wallander usiadł. Per Åkeson wyłączył telefon.

– Czekałem, że się odezwiesz. Aha, dziękuję za kartkę.

Wallander zapomniał, że wysłał mu z Rzymu pocztówkę.

Bodaj z Forum Romanum.

– To była udana podróż – powiedział. – I dla ojca, i dla mnie.

– Nigdy nie byłem w Rzymie. Jak to się mówi? „Zobaczyć Rzym i umrzeć”? Rzym czy Neapol?

Wallander pokręcił głową. Nie wiedział.

– Miałem nadzieję, że jesień będzie spokojna, a tymczasem ledwie zdążyłem wrócić, starszy człowiek ginie w rowie przeszyty palami.

Per Åkeson wykrzywił się.

– Widziałem kilka zdjęć. Poza tym Lisa Holgersson zdała mi relację. Macie jakiś trop?

– Może.

Wallander pokrótce opowiedział o znalezisku w kasie panczernej Holgera Erikssona. Wiedział, że Per Åkeson z respektem odnosi się do jego umiejętności. Bardzo rzadko nie zgadzał się z jego wnioskami lub sposobem prowadzenia śledztwa. – Wbijanie bambusowych pali może świadczyć o szaleństwie – powiedział Per Åkeson – ale żyjemy w takich czasach, w których coraz trudniej dostrzec różnicę między obłędem a normalnością.

– Co z Ugandą?

– Domyślam się, że chodzi ci o Sudan.

Per Åkeson starał się o posadę w Urzędzie Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców. Chciał na jakiś czas wyjechać z Ystadu, spróbować czegoś innego, zanim będzie za późno. Był kilka lat starszy od Wallandera. Skończył już pięćdziesiątkę.

– Tak, Sudan – poprawił się Wallander. – Rozmawiałeś z żoną?

Per Åkeson skinął głową.

– Zdobyłem się na odwagę parę tygodni temu. Okazało się, że jest dużo wyrozumialsza, niż przypuszczałem. Odniosłem wrażenie, że chętnie się mnie pozbędzie z domu na jakiś czas. Nie mam jeszcze odpowiedzi, ale bym się zdziwił, gdybym nie dostał tej pracy. Jak wiesz, mam swoje dojścia.

Wallander z biegiem lat nabrał przekonania, że Per Åkeson ma wybitne zdolności pozyskiwania poufnych informacji. Nie wiedział, jak to robi, w każdym razie zawsze był świetnie zorientowany, o czym się na przykład dyskutuje w różnych komisjach parlamentarnych lub ścisłych kręgach kierownictwa Głównego Zarządu Policji.

– Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wybywam w Nowy Rok – powiedział. – Nie będzie mnie co najmniej dwa lata.

– Miejmy nadzieję, że zanim wyjedziesz, rozwiążemy sprawę zabójstwa Holgera Erikssona. Czy chciałbyś mi udzielić jakichś wskazówek?

– Przychodź, jak tylko będziesz miał jakieś życzenia.

– Na razie nie mam – powiedział Wallander po namyśle. – Lisa Holgersson uważa, że powinniśmy zaangażować Matsa Ekholma. Pamiętasz go? Ten od portretów psychologicznych, który ściga szaleńców, próbując ich katalogować. Ale tak w ogóle jest bardzo zdolny. Per Åkeson dobrze go pamiętał.

– Myślę, że trzeba z tym poczekać – kontynuował Wallander. – Wcale

nie jestem pewien, czy mamy do czynienia z osobą psychicznie chorą.

– Skoro tak, to poczekamy. – Per Åkeson podniósł się i pokazał na karton. – Mam dzisiaj wyjątkowo zagmatwaną sprawę. Muszę się przygotować.

Wallander wstał.

– Co ty właściwie będziesz robił w Sudanie? – spytał. – Czy uchodźcy potrzebują pomocy szwedzkiego prawnika?

– Potrzebna im każda pomoc. – Per Åkeson odprowadzał Wallandera do recepcji. – Dotyczy to nie tylko Szwecji. Kiedy byłeś w Rzymie, spędziłem parę dni w Sztokholmie. Przypadkiem spotkałem Anette Brolin. Prosiła, żebym wszystkich pozdrowił. Zwłaszcza ciebie. Wallander popatrzył na niego z niedowierzaniem. Kilka lat temu Anette Brolin zastępowała Pera Åkesona. Mimo że była mężatką, Wallander pozwolił sobie na pewną poufałość, co nie skończyło się zbyt dobrze. Najchętniej by o tym zapomniał.

Opuścił prokuraturę. Wiał porywisty wiatr. Niebo było szare. Podejrzewał, że jest nie więcej niż osiem stopni. W drzwiach komendy zderzył się ze Svedbergiem, który właśnie wychodził.

Przypomniał sobie o jego zapiskach.

– Po piątkowo-sobotnim zebraniu przez pomyłkę wzięłem twoje notatki.

Svedberg nie bardzo rozumiał.

– Nie zauważyłem, żeby czegoś mi brakowało.

– Chodziło o jakąś kobietę, która dziwnie się zachowywała na oddziale położniczym.

– Możesz to wyrzucić. Ktoś widział ducha.

– Sam wyrzucić. Położę ci na biurku.

– Kontynuujemy rozmowy z sąsiadami Erikssona. Zajmę się też listonoszem.

Wallander skinął głową. Rozstali się.

Wallander wszedł do swojego pokoju i zapomniał o notatce Svedberga. Wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki dziennik Haralda Berggrena i wsunął go do szuflady. Położył na biurku zdjęcie trzech mężczyzn pozujących przed termitierą. Czekał na Svena Tyrena, przejrzał część materiałów, które mu zostawili koledzy z grupy śledczej. Za kwadrans dziewczęta udał się po kawę. Akurat przechodziła Ann-Britt Höglund.

Powiedziała, że zaginięcie Gösty Runfeldta zostało formalnie zareje-

strowane i uznane za pilną sprawę.

– Rozmawiałam z jednym z sąsiadów Runfeldta – poinformowała. – Uczy w gimnazjum. Wzbudza zaufanie. Twierdzi, że ostatni raz słyszał Runfeldta we wtorek wieczorem.

– Co świadczy o tym, że jednak wyjechał. Ale nie do Nairobi.

– Spytałam go, czy nie zauważył czegoś szczególnego w zachowaniu Runfeldta. Runfeldt był podobno zamknięty w sobie, uprzejmy, miał stałe przyzwyczajenia, rzadko go ktoś odwiedzał. Czasami wracał późno w nocy. Nauczyciel mieszka pod nim, dom jest akustyczny. Myślę, że możemy mu wierzyć.

Wallander stał z kubkiem kawy w ręku i myślał o tym, co usłyszał.

– Musimy zrozumieć, o co chodzi z tym kartonem – powiedział po chwili. – Byłoby dobrze, gdyby jeszcze dzisiaj ktoś z was zadzwonił do firmy wysyłkowej. Mam nadzieję, że koledzy z Borasu są o wszystkim poinformowani. Jak się ta firma nazywa? Secur? Nyberg to wie. Musimy ustalić, czy Runfeldt nie kupował u nich czegoś wcześniej. Na pewno nie składałby zamówienia, gdyby nie zamierzał korzystać z tego sprzętu.

– Aparatura podsłuchowa. Akcesoria do zdejmowania odcisków palców. Komu to potrzebne?

– Nam.

– Komu jeszcze?

Wallander uznał, że chodzi jej o coś konkretnego.

– Podsłuch można, rzecz jasna, wykorzystywać w niecznych zamiarach.

– Myślę głównie o odciskach palców.

Już rozumiał.

– Prywatny wywiadowca – powiedział. – Prywatny detektyw. Też mi to przeleciało przez głowę. Ale Gösta Runfeldt jest kwiaciarzem, oddanym miłośnikiem orchidei.

– Tak tylko pomyślałam. Skontaktuję się z firmą wysyłkową.

Wallander wrócił do siebie. Zadzwonił telefon. Ebba chciała mu przekazać, że w recepcji czeka Sven Tyren.

– Chyba nie zaparkował przed wejściem? – spytał Wallander. – Bo Hansson się wścieknie.

– Nie widzę tu żadnego samochodu – odparła Ebba. – Przyjdiesz po niego? Poza tym Martinsson chce z tobą mówić.

– Gdzie on jest?

– W swoim pokoju.

– Powiedz Tyrenowi, że będę za kilka minut.

Martinsson wisiał na telefonie. Na widok Wallandera szybko się rozłączył. Wallander przypuszczał, że dzwoniła jego żona. Codziennie z sobą konferowali. Nikt nie wiedział, o czym.

– Skontaktowałem się z lekarzem sądowym z Lundu – zaczął Martinsson. – Mają część wstępnych wyników. Problem polega na tym, że trudno im odpowiedzieć na to, co najbardziej nas interesuje.

– To znaczy kiedy umarł?

Martinsson skinął głową.

– Ani jeden pal nie przebił serca. Żadna tętnica nie została perforowana. Mógł więc wisieć dosyć długo, zanim zmarł. Bezpośrednią przyczyną śmierci jest utonięcie.

– Jak to? Przecież on wisiał nad wodą. Chyba nie mógł się utopić.

– Lekarz, z którym rozmawiałem, podał mi mnóstwo nieprzyjemnych szczegółów. Powiedział, że w płucach zebrało się tyle krwi, że w pewnym momencie Holger Eriksson nie był w stanie dłużej oddychać. To mniej więcej tak, jakby się utopił.

– Musimy znać orientacyjną godzinę śmierci. Zadzwoń do nich jeszcze raz. Coś przecież wiedzą.

– Dostaniesz wyniki, jak tylko przyjdą.

– Uwierzę, kiedy je zobaczę. Tyle rzeczy się tu zapodziewa.

Nie chciał krytykować Martinssona. Już na korytarzu uświadomił sobie, że mógł zostać źle zrozumiany. Ale było za późno, żeby to wyjaśniać. Poszedł do recepcji po Svena Tyrena, który tkwił na plastikowej kanapie i wpatrywał się w podłogę. Był nieogolony i miał przekrwione oczy. Silnie zalatywało od niego ropą.

– Dlaczego nie złapaliście zabójcy Holgera? – spytał Sven Tyren, kiedy usiedli w pokoju Wallandera.

– Jeśli mi pan powie, kto to jest, osobiście po niego pojedę – odparł z irytacją.

– Ja nie jestem policjantem.

– To oczywiste. Gdyby pan był, nie zadawałby pan głupich pytań. – Podniósł rękę, widząc, że Tyren otwiera usta, żeby zaprotestować. – Ja tutaj pytam.

– Czy jestem o coś podejrzany?

– Nie. Ale od zadawania pytań jestem ja. A pan ma odpowiadać. Nic więcej.

Sven Tyren wzruszył ramionami. Wallander odniósł wrażenie, że ma się na baczności. Od razu wyostrzyły się jego policyjne instynkty. Przygotował tylko jedno pytanie.

– Czy mówi panu coś nazwisko Berggren? Harald Berggren.

Sven Tyren popatrzył na niego.

– Nie znam nikogo, kto by się nazywał Harald Berggren. A powinienem?

– Jest pan pewien?

– Tak.

– Proszę się zastanowić!

– Nie muszę. Jak jestem pewien, to jestem pewien.

Wallander podsunął mu fotografię. Sven Tyren pochylił się nad nią.

– Proszę powiedzieć, czy rozpoznaje pan kogoś na tym zdjęciu. Proszę się uważnie przyjrzeć. Niech się pan nie spieszy.

Sven Tyren wziął fotografię w upaprane ropą palce. Długo ją oglądał. Wallander zaczął mieć cień nadziei.

– Nigdy żadnego z nich wcześniej nie widziałem – powiedział Sven Tyren, odkładając zdjęcie na biurko.

– Długo się pan przyglądał. Czy ktoś wydał się panu znajomy?

– Czy nie powiedział pan przypadkiem, żebym się nie spieszył? Kim oni są? I gdzie to zostało zrobione?

– Jest pan pewien?

– Nigdy wcześniej ich nie widziałem.

Wallander uznał, że Sven Tyren mówi prawdę.

– To najemnicy – powiedział. – Zdjęcie zostało zrobione w Afryce przeszło trzydzieści lat temu.

– Legia Cudzoziemska?

– Niezupełnie. Walczą dla tych, którzy najwięcej zapłacą.

– Człowiek musi przecież z czegoś żyć.

Wallander spojrział na niego ze zdziwieniem. Ale nie spytał, o co mu właściwie chodzi.

– Czy słyszał pan o tym, żeby Holger Eriksson miał jakieś kontakty z najemnikami?

– Holger Eriksson sprzedawał samochody. Myślałem, że to do pana do tarło.

– Poza tym pisał wiersze i obserwował ptaki – wycedził Wallander, nie kryjąc irytacji. – Czy Holger Eriksson mówił coś o najemnikach? Albo

o wojnie w Afryce? Mówił czy nie mówił?

Sven Tyren wpatrywał się w niego.

– Dlaczego policjanci są tacy nieprzyjemni?

– Dlatego, że nie zawsze zajmujemy się przyjemnymi rzeczami. Od tej chwili proszę wyłącznie odpowiadać na pytania. Nic poza tym. Żadnych osobistych komentarzy, które nie mają związku ze sprawą.

– A jeśli nie zechcę?

– Wtedy będę pana codziennie wzywał na rozmowę. I zażądam od prokuratora nakazu rewizji pańskiego mieszkania.

No tak, dopuścił się przewinienia, ale miał to w nosie. W mężczyźnie, który siedział po drugiej stronie biurka, było coś, czego szczerze nie znosił.

– Ciekawe, co pan tam znajdzie – powiedział Sven Tyren.

– To nie ma nic do rzeczy. Zrozumiał pan?

Wallander wiedział, że sporo ryzykuje. Sven Tyren mógł go przejrzeć. Wolał się jednak zastosować do polecenia Wallandera.

– Holger był spokojnym człowiekiem – zaczął. – Mimo że w interesach potrafił być twardy. Nigdy nie wspominał o najemnikach. Chociaż z pewnością mógłby.

– Co to znaczy, że mógłby?

– Zdaje się, że najemnicy biją się z rewolucjonistami i komunistami. A Holger, oględnie mówiąc, był konserwatywny.

– Jak to, konserwatywny?

– Uważał, że ten cały postęp społeczny jest gównem wart. Według niego powinno się przywrócić karę chłosty i wieszać morderców. Gdyby Holger mógł decydować, to ten, kto go zabił, zasłużyłby na stryczek.

– Rozmawiał o tym z panem?

– Rozmawiał o tym ze wszystkimi. Nie ukrywał swoich poglądów.

– Czy miał kontakty z jakąś konserwatywną organizacją?

– Skąd mam wiedzieć?

– Wie pan jedno, może pan wiedzieć drugie. Proszę odpowiadać na pytania!

– Nie wiem.

– Z neonazystami?

– Nie wiem.

– Czy on był nazistą?

– Nic nie wiem o nazistach. Holger uważał, że społeczeństwo stacza

się do piekła. Nie widział żadnej różnicy między socjaldemokratami i komunistami. Najbardziej radykalną partią, którą mógł zaakceptować, byli liberałowie.

Wallander zastanawiał się chwilę nad słowami Tyrena. To poszerzało i zmieniało dotychczasowy wizerunek Holgera Erikssona. Najwyraźniej był człowiekiem skomplikowanym i pełnym sprzeczności. Poeta i ultra-konserwatysta, miłośnik ptaków i rzecznik kary śmierci. Wallander przypominał sobie wiersz o dzięciole. Eriksson ubolewał nad tym, że w Szwecji zanika jakiś jeden gatunek. Ale przestępców powinno się wieszać.

– Czy kiedykolwiek mówił panu o tym, że ma wrogów?

– Już pan o to pytał.

– Wiem. Pytam jeszcze raz.

– Nigdy nie powiedział tego wprost. Ale w nocy zamykał drzwi na klucz.

– Dlaczego?

– Bo miał wrogów.

– Ale nie wie pan, jakich?

– Nie.

– Nie mówił, dlaczego ma wrogów?

– Nigdy nie powiedział, że ma wrogów. To ja to mówię. Ile razy mam powtarzać?

Wallander podniósł ostrzegawczo rękę.

– Jeśli mi się spodoba, będę panu zadawał to samo pytanie dzień w dzień przez najbliższych pięć lat. Nie miał wrogów, ale w nocy zamykał drzwi na klucz. Czy tak?

– Tak.

– Skąd pan wie?

– Powiedział mi o tym. Niby skąd miałbym wiedzieć? Nie jeździłem tam przecież i nie sprawdzałem. Nie naciskałem klamki. W Szwecji nikomu dzisiaj nie można ufać. To jego słowa.

Wallander postanowił na razie zakończyć rozmowę ze Svenem Tyrenem. Przeczynał, że wie więcej, niż powiedział. Chciał jednak ostrożnie posuwać się naprzód. Jeśli Tyrena zanadto wystraszy, trudno go będzie potem oswoić.

– Myślę, że to na razie wystarczy – skonstatował.

– Na razie? Znowu będę musiał tu przyjść? A kiedy mam pracować?

– Odezwiemy się. Dziękuję.

Wallander wstał i wyciągnął rękę. Taka uprzejmość zaskoczyła Tyrena. Miał mocny uścisk.

– Chyba trafi pan do wyjścia – powiedział.

Kiedy Tyren wyszedł, Wallander zadzwonił do Hanssona. Miał szczęście, złapał go natychmiast.

– Pamiętasz Svena Tyrena? – zaczął. – Kierowca cysterny. Ten, który był zamieszany w bójki.

– Pamiętam.

– Zobacz, co o nim mamy.

– Czy to pilne?

– Nie bardziej niż co innego. Ani nie mniej.

Hansson obiecał się tym zająć.

Była dziesiąta. Wallander przyniósł sobie kawę. Potem zapisał przebieg rozmowy ze Svenem Tyrenem. Na najbliższym zebraniu muszą gruntownie omówić wszystkie jej szczegóły. Był przekonany, że to ważne.

Kiedy uporał się ze streszczeniem i zamknął kołonotatnik, zauważył kartkę z ołówkowymi zapiskami, którą kilka razy zapomniał oddać Svedbergowi. Zaraz mu to zanieś, a potem się zajmie innymi sprawami. Wyszedł z pokoju. Na korytarzu usłyszał, że dzwoni jego telefon. Wahał się przez chwilę. Potem wrócił i podniósł słuchawkę. To była Gertruda.

Płakała.

– Musisz przyjechać.

Wallander zamarł.

– Co się stało?

– Twój ojciec nie żyje. Leży w atelier pośród swoich obrazów.

Było kwadrans po dziesiątej, poniedziałek 3 października 1994 roku.

12

Ojciec Kurta Wallandera został pochowany na Nowym Cmentarzu w Ystadzie 11 października. Tego dnia szalał wiatr i przechodziły nawałnice; rzadko pojawiało się słońce. W tydzień od otrzymania wiadomości o śmierci ojca Wallander ciągle nie rozumiał, co się stało. Wyparł to, gdy tylko odłożył słuchawkę. Myśl, że ojciec miałby umrzeć, wyda-

wała się nedorzeczna. Nie teraz, w kilka dni po powrocie z podróży do Rzymu. Nie teraz, kiedy zaczynały się odradzać łączące ich przed laty więzi. Nic nikomu nie mówiąc, Wallander opuścił komendę. Był pewien, że Gertrudzie coś się pomyliło. Ale kiedy dotarł do Loderupu i wbiegł do atelier, gdzie zawsze pachniało terpentyną, od razu się zorientował, że miała rację. Ojciec leżał przy obrazie, nad którym pracował. Oczy miał zamknięte, w dłoni kurczowo ścisnął pędzel, jakby właśnie domalowywał głuszcowi białe cętki. Wallander domyślił się, że kończył pejzaż, którym zajmował się poprzedniego dnia. Tego samego dnia odbyli długi spacer brzegiem morza w Sandhammarne. Śmierć przyszła nagle. Gertruda – kiedy się jako tako uspokoiła i mogła w miarę składnie mówić – powiedziała, że ojciec jak zwykle zjadł śniadanie i jak zwykle o wpół do siódmej poszedł do atelier. Ponieważ nie wrócił o dziesiątej, żeby napić się kawy, postanowiła mu o tym przypomnieć. I zastała go martwego. Wallander pomyślał, że śmierć zawsze przychodzi nie w porę. Nieważne, czy chodzi o niewypitą kawę, czy o coś innego.

Czekali na karetkę. Gertruda mocno trzymała go za ramię. Nie czuł kompletnie nic, żadnego smutku, była w nim pustka i mgliste przeświadczenie, że to niesprawiedliwe. Nie obwiniał o to zmarłego ojca. Mógł się jedynie uzalać nad sobą.

Wallander znał kierowcę karetki. Nazywał się Prytz i od razu się domyślił, że mają zabrać jego ojca.

– Nie chorował – powiedział Wallander. – Wczoraj byliśmy nad morzem. Skarżył się na mdłości. Nic poza tym.

– Chyba miał udar mózgu – odparł Prytz wyrozumiale. – Takie mogą być objawy.

To samo Wallander usłyszał później od lekarzy. Wszystko trwało sekundy. Ojciec nie zdążył sobie uświadomić, że umiera. W mózgu pękło naczynie krwionośne, był martwy, zanim uderzył głową w niedokończony obraz. Zrozpaczona i zszokowana Gertruda odczuła ulgę. To dobrze, że umarł tak nagle, że nie będzie skazany na powolne gaśnięcie w świecie będącym wytworem jego zaburzonej świadomości.

Wallander myślał o czym innym. Ojciec umarł w samotności. Kiedy nadchodzi ostatnia chwila, nikt nie powinien być sam. Miał wyrzuty sumienia, że nie przejął się nudnościami ojca, które mogły stanowić zapowiedź zawału lub udaru. Ale najgorsze było to, że śmierć wybrała sobie niewłaściwą porę. Mimo że ojciec miał osiemdziesiąt lat, przyszła za

wcześniej. Powinno się to stać później. Nie teraz. Nie w taki sposób. W pierwszej chwili, w atelier, Wallander próbował przywrócić ojca do życia. Nic jednak nie mógł zrobić. Głuszcak nigdy nie będzie skończony.

Mimo uczucia chaosu, jaki niesie z sobą śmierć, Wallanderowi udało się zachować spokój i zdolność racjonalnego działania. Kiedy Gertruda odjechała z ojcem, wrócił do atelier. Stojąc w ciszy i wdychając zapach terpentyny, pomyślał ze łzami w oczach, że ojciec na pewno nie chciałby zostawiać głuszcaka w takim stanie. W geście zrozumienia dla niewidzialnej granicy życia i śmierci domalował ptakowi dwie brakujące cętki. Pierwszy raz w życiu dotknął obrazu ojca pędzlem. Potem go umył i wstawił do innych pędzli, do puszek po konfiturach. Nie wiedział, co się stało, nawet nie przeczuwał, ile to będzie znaczyć dla niego samego, nie miał pojęcia, jak się powinien zachować w żałobie.

Wszedł do domu i zadzwonił do Ebby. Wzruszyła się. Wallander mówił z trudem. Poprosił ją o przekazanie tej wiadomości kolegom. Niech robią swoje i niech go informują, gdyby wydarzyło się coś naprawdę ważnego. Tego dnia nie wróci do pracy. Jeszcze nie wiedział, co będzie jutro. Potem zadzwonił do siostry Kristiny. Długo rozmawiali. Miał wrażenie, że zupełnie inaczej niż on oswajała się z myślą, że ojciec może nagle odejść. Obiecała mu pomóc w odszukaniu Lindy. Nie znał numeru telefonu do restauracji, w której pracowała. Następnie skontaktował się z Moną. Nie pamiętał nazwy jej zakładu fryzjerskiego w Malmö, ale kiedy wyjaśnił sympatycznej telefonistce z biura numerów, o co mu chodzi, dostał właściwy numer. Mona zdziwiła się, słysząc jego głos. Przypuszczała, że coś się stało z Lindą. Gdy poinformował ją o śmierci ojca, odetchnęła z ulgą. Oburzyło go to, ale nic nie powiedział. Mona i ojciec dobrze się rozumieli. To naturalne, że martwiła się o Lindę. Przypomniał sobie, że zadzwoniła tego dnia, kiedy zatonała „Estonia”.

– Wiem, co czujesz – przyznała. – Przez całe życie bałeś się tej chwili.

– Nareszcie się odnaleźliśmy, mieliśmy sobie tyle do powiedzenia. A teraz jest za późno.

– Zawsze jest za późno.

Obiecała przyjechać na pogrzeb i zaofiarowała się z pomocą, gdyby tylko jej potrzebował. Po rozmowie z Moną ogarnęła go przeraźliwa pustka. Wybrał numer do Bajby. Nikt nie odbierał. Dzwonił kilka razy. Nie było jej w domu.

Poszedł do atelier i starym zwyczajem usiadł na sankach, gdzie zawsze pił kawę. O dach uderzały krople deszczu. Znowu zaczęło padać. Pomyślał, że trzyma w dłoniach lęk przed śmiercią. Atelier stało się kryptą. Błyskawicznie wstał i wyszedł. Kiedy był w kuchni, zadzwonił telefon. Linda. Płakała. Też się rozplakał. Chciała jak najszybciej przyjechać. Zapytał, czy nie powinien porozmawiać z jej pracodawcą. Już to załatwiła. Zaraz jedzie na Arlandę i postara się przylecieć tego samego dnia. Chciał po nią wyjść, ale się nie zgodziła. Niech zostanie u Gertrudy. Sama sobie poradzi.

Wieczorem siedzieli we trójkę w domu w Loderupie. Gertruda była bardzo spokojna. Rozmawiali o pogrzebie. Wallander miał wątpliwości, czy ojciec życzyłby sobie pastora. Ale decyzja należała do Gertrudy. To ona była wdową po nim.

– Nigdy nie mówił o śmierci – powiedziała. – Nie wiem, czy się jej bał. Nie wiem, gdzie chciałby być pochowany. Ale życzę sobie obecności pastora.

Zdecydowali się na Nowy Cmentarz w Ystadzie. I na skromny pogrzeb. Ojciec nie miał wielu przyjaciół. Linda chciała przeczytać wiersz, Wallander obiecał, że nie wygłosi żadnej mowy, ustalili, że wspólnie odśpiewają hymn *Wspaniała jest ziemia*.

Następnego dnia przyjechała Kristina. Zatrzymała się u Gertrudy. Linda była z Wallanderem w Ystadzie. Śmierć ojca połączyła ich na tydzień. Teraz, zdaniem Kristiny, była ich kolej. Wallander odczuwał coraz większy lęk przed śmiercią. Ale zachował to dla siebie. Może kiedyś mógłby się tym podzielić z Bajbą. Kiedy się do niej w końcu dodzwonił, była niezwykle przejęta, i rozmawiali blisko godzinę. Opowiedziała o swoich odczuciach po śmierci ojca, który odszedł dziesięć lat temu, i Karlisa, jej męża. Wallanderowi nieco ulżyło. Miał Bajbę.

W dniu publikacji nekrologu w „Ystads Allehanda” zadzwonił ze swojej stadniny pod Skurupem Sten Widen, z którym Wallander nie kontaktował się co najmniej od roku. Swego czasu łączyła ich przyjaźń, słabość do opery i wspólne marzenia. Sten Widen ładnie śpiewał. Wallander miał zostać jego impresariem. Wszystko się zmieniło z chwilą nagłej śmierci ojca Widena. Sten musiał przejąć po nim schedę, niewielką stadninę koni wyścigowych. Wallander podjął pracę w policji i ich drogi się rozeszły. W każdym razie Sten Widen zadzwonił z kondolencjami. Wallander zastanawiał się, czy jego były przyjaciel kiedykolwiek miał okazję poznać

ojca. Miał czy nie miał, był mu wdzięczny za pamięć.

Wallander zmusił się do pracy. Następnego dnia po śmierci ojca, we wtorek 4 października, wrócił do komendy. Tej nocy nie zmrużył oka. Linda spała w swoim dawnym pokoju. Wieczorem przyszła Mona, przyniosła coś na kolację, żeby – jak powiedziała – mogli przez chwilę pomyśleć o czym innym. Wallander po raz pierwszy od pięciu lat, które upłynęły od wycieńczającego psychicznie rozwodu, skonstatował, że ich związek definitywnie się skończył. Zdecydowanie za długo prosił ją, żeby wróciła, i snuł nierealne marzenia, że wszystko się z czasem uładzi. Daremnie. Teraz myślał o Bajbie. Śmierć ojca uzmysłowiła mu, że to, co kiedyś łączyło go z Moną, minęło bezpowrotnie.

Przez siedem dni poprzedzających pogrzeb źle spał. Nie było w tym chyba nic dziwnego. Koledzy nie zauważyli zmiany w jego zachowaniu. Podziękował za kondolencje i od razu przeszedł do śledztwa. Lisa Holgersson zaproponowała mu, żeby wziął kilka wolnych dni. Odmówił. Godziny spędzane w pracy tłumiły jego ból.

Trudno stwierdzić, czy na spowolnienie śledztwa wpłynęła nieobecność Wallandera. W każdym razie przez wspomniane siedem dni niemal nic się nie działo. Poza tym zajmowali się także sprawą zaginięcia Gösty Runfeldta, która położyła się cieniem na zabójstwie Holgera Erikssona. Nie mieli pojęcia, co się mogło stać. Przepadł jak kamień w wodę. Nikt już nie wierzył w naturalne wyjaśnienie tej zagadki. Nie znaleźli żadnych związków między Holgerem Erikssonem i Göstą Runfeldtem. Tylko jedno nie budziło wątpliwości: orchidee stanowiły życiową pasję Runfeldta.

– Powinniśmy sprawdzić, w jakich okolicznościach utonęła jego żona – zdecydował Wallander podczas jednego z zebrań, w którym uczestniczył przed pogrzebem ojca.

Ann-Britt Höglund obiecała się tym zająć.

– Co z firmą wysyłkową z Borasu? – spytał. – Co mówią koledzy?

– Natychmiast się do tego wzięli – odparł Svedberg.

– Okazuje się, że nie po raz pierwszy łamią prawo, handlując aparaturą podsłuchową. Według boraskiej policji, często zmieniali nazwę i adres. Czasami pojawiał się nowy właściciel. Jeśli dobrze zrozumiałem, przeprowadzili akcję, czekamy tylko na raport.

– Przede wszystkim musimy wiedzieć, czy Gösta Runfeldt zamawiał coś u nich wcześniej – powiedział Wallander. – Reszta nas nie obchodzi.

– Podobno rejestr ich klientów jest niekompletny. W każdym razie ko-

ledzy znaleźli tam nielegalnie sprowadzony, profesjonalny sprzęt. Z ich wypowiedzi wynika, że Runfeldt mógłby być szpiegiem.

Wallander zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Svedberga.

– A czemu nie – stwierdził po chwili. – Niczego nie możemy wykluczyć. Kupował to przecież w jakimś celu.

Bardzo poważnie potraktowali zaginięcie Gösty Runfeldta, nie zapominając o mordercy lub mordercach Holgera Erikssona. Poszukiwania Harald Berggrena spełżyły na niczym. Ze sztokholmskiego muzeum otrzymali informację, że głowa z kasy pancerniej Holgera Erikssona najprawdopodobniej pochodziła z Konga, czyli z dzisiejszego Zairu, i że była to głowa ludzka. Na razie wszystko się zgadzało. Ale kim był Harald Berggren? Rozmawiali z wieloma ludźmi, którzy znali Holgera Erikssona w różnych okresach jego życia. Nikt nie słyszał o Berggrenie ani o tym, by miał kontakt z półświatkiem płochliwych jak szczury najemników podpisujących kontrakty z wysłannikami Szatana.

W końcu Wallanderowi zaświtała pewna myśl.

– W życiu Holgera Erikssona jest dużo niewiadomych. Na przykład ani razu nie pojawia się kobieta. Zastanawiam się, czy Holgera Erikssona i Harald Berggrena nie łączą jakieś homoseksualne więzi. W dzienniku Berggrena też nie ma mowy o kobietach.

W sali zebrań zaległa cisza. Chyba nie wzięli pod uwagę tej możliwości.

– Homoseksualista i żołnierz? – odezwała się po chwili Ann-Britt Höglund.

– Nie ma w tym nic niezwykłego – powiedział Wallander – że homoseksualiści się na to decydują, żeby ukryć swoją orientację. Albo z innych powodów.

Martinsson bacznie lustrował zdjęcie trzech mężczyzn pozujących przed termitierą.

– Kto wie, czy nie masz racji – przyznał. – Jest w nich coś kobiecego.

– Co? – zainteresowała się Ann-Britt Höglund.

– Nie wiem – odpowiedział Martinsson. – Może sposób, w jaki się pochylają. Może ich włosy.

– Gdybanie nie ma najmniejszego sensu – przerwał mu Wallander. – Mówię o tym tylko dlatego, żebyśmy nie pominęli i takiej możliwości.

– Aha – mruknął Martinsson. – Szukamy najemnika homoseksualisty. A gdzie oni są?

– Tego nie wiemy – powiedział Wallander – ale nie wolno nam lekceważyć takiej ewentualności.

– Nikt, z kim rozmawiałem, nawet się nie zająknął, że Holger Eriksson mógłby się otrzeć o homoseksualizm – odezwał się milczący dotąd Hansson.

– Bo nikt się z czymś takim nie wychyla – zauważył Wallander. – W każdym razie nikt ze starszego pokolenia. Jeśli Holger Eriksson był homoseksualistą, toby go sekowano.

– Chodzi ci o to, żebyśmy zaczęli wypytywać o jego seksualne preferencje? – zainteresował się Svedberg, który był równie milczący jak Hansson.

– Decyzja należy do was – powiedział Wallander. – Nie wiem, czy się nie mylę. Ale nie możemy tego pominąć.

Dopiero później Wallander zdał sobie sprawę, że w tym momencie śledztwo weszło w nową fazę. Jakby wszyscy uznali to za coś oczywistego. Przebiegłym sprawcą lub sprawcami powodowały motywy z niedostępnej im przeszłości. Nie ustawiali w żmudnym dociekaniu przyczyn, analizowali wszystko, co tylko wpadło im w ręce o Holgerze Erikssonie. Svedberg zarwał kilka nocy nad lekturą dziewięciu tomików poetyckich. W końcu miał wrażenie, że zwariuje od tych duchowych komplikacji, które nękały ptasi świat. Ale niczego się nie dowiedział o Holgerze Erikssonie. Martinsson wybrał się pewnego wietrznego popołudnia wraz z córką Terese do Falsterbonaset, żeby pogawędzić z miłośnikami ptaków wpatrującymi się z napięciem w siwe chmury. Prócz obcowania z córką, która się nagle zainteresowała biologią, ustalił, że Holger Eriksson zginął tej nocy, kiedy Szwecję opuszczały drozdy rdzawoskrzydłe. Martinsson podzielił się później swoją wiedzą ze Svedbergiem, który stwierdził, że Holger Eriksson nie poświęcił drozdowi rdzawoskrzydłemu ani jednego wiersza.

– Ale są trzy poematy o krzykach – zauważył z wahaniem. – Czy jest coś, co się nazywa szept?

Martinsson nie wiedział.

W końcu nadszedł dzień pogrzebu. Mieli się spotkać przed krematorium. Kilka dni wcześniej Wallander dowiedział się, że celebrantem będzie kobieta. Nie pierwsza lepsza. Miał okazję ją poznać kilka miesięcy temu. Mówiła zwyczajnie, wystrzegając się patosu. Zadzwoiła do niego w przeddzień pogrzebu i spytała, czy ojciec był religijny. Zaprzeczył.

Opowiedział o jego obrazach i ich wspólnej podróży do Rzymu. Pogrzeb sprawił mu mniejszą przykrość, niż myślał. Drewnianą trumnę ozdobiły róże. Najwylewniejsza w uczuciach okazała się Linda. Nikt nie wątpił w ich szczerość. Może to właśnie jej najbardziej brakowało dziadka.

Po pogrzebie pojechali do Loderupu. Wallanderowi ulżyło. Nie wiedział, co będzie dalej, jakby ciągle nie przyjmował do wiadomości tego, co się stało. Myślał, że jego pokolenie nie bierze pod uwagę wszechobecności śmierci. W jego wypadku uczucie to potęgował fakt, że jako policjant nierzadko miał do czynienia z nieboszczykami. Tym razem był równie bezbronny jak inni. Pomyślał o rozmowie z Lisą Holgersson sprzed tygodnia.

Wieczorem długo siedział z Lindą. Miała wyjechać do Sztokholmu następnego dnia rano. Spytał, czy po śmierci dziadka będzie go rzadziej odwiedzać. Zapewniła, że częściej. On z kolei obiecał, że nie zapomni o Gertrudzie.

Leżąc w łóżku, czuł, że musi wrócić do pracy. I dać z siebie wszystko. Nie było go przez tydzień. Dopiero kiedy nabierze dystansu do śmierci ojca, może uda mu się coś zrozumieć. Ale żeby mieć ten dystans, musi pracować.

Nie odpowiedział mi na pytanie, dlaczego nie chciał, żebym został policjantem, pomyślał, zanim zasnął. Nigdy się tego nie dowiem.

Jeśli istnieje świat duchowy, w co wątpię, ojciec i Rydberg mogliby się zakolegować. Choć rzadko się widywali za życia, powinni znaleźć dużo wspólnych tematów.

*

Sporządziła szczegółowy harmonogram ostatnich chwil życia Gösty Runfeldta. Uznała, że jest wystarczająco osłabiony i nie będzie stawiał oporu. Pokonała go w tym momencie, w którym się załamał. Robak ukryty w kwiecie zapowiada śmierć kwiatu, pomyślała, otwierając drzwi. Zgodnie z harmonogramem, powinna być w Vollsjö o czwartej po południu. Była trzy minuty wcześniej. Poczeka, aż się ściemni, i wyciągnie go z pieca. Na wszelki wypadek założy mu kajdanki i knebel. Ale żadnej przesłony na oczy. Po tylu dniach spędzonych w ciemnościach może mieć problemy z przywyknięciem do światła, ale po paru

godzinach powinien widzieć normalnie. Chciała, żeby ją zobaczył. Ją i zdjęcia, dzięki którym zrozumie, co i dlaczego go spotkało.

Kilku rzeczy nie była pewna. Mogło się na przykład zdarzyć, że wskutek osłabienia Runfeldt nie utrzyma się na nogach. Dlatego z Dworca Centralnego w Malmö wzięła wózek bagażowy. Nikt nie widział, kiedy wkładała go do bagażnika. Jeszcze nie zdecydowała, czy go zwróci. W razie potrzeby będzie mogła przewieźć Runfeldta do samochodu.

Kolejne punkty harmonogramu były proste. Tuż przed dziewiątą wywiezie go do lasu, przywiąże do drzewa, które zawczasu wybrała, pokaże mu zdjęcia, udusi i odjedzie. Najpóźniej o północy będzie w łóżku. Kwadrans po piątej zadzwoni budzik. Kwadrans po siódmej rozpocznie pracę.

Uwielbiała swój harmonogram. Był doskonały. Nic nie mogło zawieść. Usiadła na krześle i patrzyła na piec. Królował pośrodku pokoju niczym kamień ofiarny. Matka by mnie zrozumiała, pomyślała. Nikt tego za mnie nie zrobi. Zło trzeba złem zwyciężyć. I zaprowadzać sprawiedliwość tam, gdzie jej nie ma.

Wyjęła harmonogram z kieszeni i spojrzała na zegarek.

Gösta Runfeldt umrze za trzy godziny i piętnaście minut.

*

Wieczorem 11 października Lars Olsson czuł, że nie jest w najlepszej formie. Do końca się wahał, czy trenować, czy dać sobie spokój. Nie tylko dlatego, że był zmęczony. W TV2 miał być film, który chciał obejrzeć. Doszedł do wniosku, że mimo późnej pory potrenuje po filmie. Lars Olsson mieszkał koło Svarte. Tu się urodził i chociaż miał ponad trzydzieści lat, ciągle nie wyprowadził się od rodziców. Był współwłaścicielem kopalni, to on wiedział najlepiej, jak ją obsługiwać. W tym tygodniu kopał rów pod nową instalację odwadniającą w Skarby.

Poza tym Lars Olsson kochał bieg na orientację. Żył po to, żeby przemierzać szwedzkie lasy z mapą i kompasem. Był członkiem drużyny z Malmö, która przygotowywała się teraz do dużych krajowych zawodów. Często się zastanawiał, dlaczego traci na to tyle czasu. Co to za sens latać po lesie z mapą i kompasem i szukać punktów kontrolnych? Często było zimno i mokro, bolało go całe ciało i nigdy nie był z siebie zadowolony. Czy naprawdę warto poświęcać czemuś takiemu życie?

Wiedział, że jest dobry. Miał świetnie wycucie terenu, był szybki i wytrzymały. Wielokrotnie wygrywali dzięki jego wkładowi na ostatnich odcinkach. Od udziału w kadrze narodowej dzielił go tylko jeden krok. Jeszcze nie stracił nadziei, że kiedyś będzie reprezentował kraj na międzynarodowych zawodach.

Obejrzał film. Był gorszy, niż się spodziewał. Parę minut po jedenastej wyszedł potrenować. Wbiegł do lasu graniczącego z dużymi posiadłościami Marsvinsholmu. W zależności od trasy miał do wyboru osiem lub pięć kilometrów. Ponieważ był zmęczony, a następnego dnia musiał wyjechać do pracy wcześniej rano, zdecydował się na krótszy dystans. Włożył latarkę na czoło i ruszył. W ciągu dnia padało, po każdej nawałnicy wychodziło słońce. Teraz było plus sześć stopni. Pachniała mokra ziemia. Pnie drzew połyskiwały w świetle latarki. W najgęstszej partii lasu była niewielka grań. Jeśli przez nią przebiegnie, skróci sobie drogę. Tak też postanowił zrobić. Zboczył ze ścieżki i ruszył ku wzniesieniu.

Nagle stanął jak wryty. W blasku latarki zobaczył człowieka. Nie od razu dotarło do niego, co widzi. Po chwili uświadomił sobie, że w odległości dziesięciu metrów od niego stoi przywiązany do drzewa, półnagi mężczyzna. Lars Olsson zmarł. Oddychał gwałtownie, bał się. Potem się rozejrzał. Latarka oświetlała drzewa i krzaki. Był sam. Ostrożnie postąpił kilka kroków naprzód. Mężczyzna wisiał bezwładnie na sznurach. Miał obnażony tors.

Lars Olsson nie musiał podchodzić bliżej. Widział, że mężczyzna nie żyje. Spojrzał na zegarek. Wskazywał dziewiętnaście po jedenastej.

Zawrócił i pobiegł do domu. Nigdy w życiu nie biegł tak szybko. Nie zdejmując latarki z czoła, zadzwonił na policję w Ystadzie z aparatu wiszącego na ścianie w kuchni.

Policjant, który odebrał telefon, uważnie go wysłuchał, po czym natychmiast odszukał w komputerze domowy numer Wallandera.

Było dziesięć minut przed północą.

Skania

12-17 października 1994

13

Kiedy zadzwonił telefon, Wallander jeszcze nie spał. Myślał o tym, że ojciec i Rydberg są na tym samym cmentarzu. Błyskawicznie chwycił za słuchawkę stojącego przy łóżku aparatu, żeby Linda się nie obudziła. Z uczuciem rosnącej bezsilności słuchał relacji dyżurnego policjanta. Informacje były skąpe. Pierwszy patrol jeszcze nie dotarł do lasu pod Marsvinsholmem. Istniała naturalnie możliwość, że nocny biegacz na orientację się pomylił, ale wydawało się to mało prawdopodobne. Zdaniem policjanta, był wzburzony, ale mówił bardzo rzeczowo. Wallander postanowił natychmiast się tam udać. Ubierał się najciszej jak umiał, mimo to Linda weszła do kuchni, kiedy siedział przy stole i pisał dla niej wiadomość.

– Co się stało? – spytała.

– Znaleziono w lesie martwego człowieka – odparł. – W takich wypadkach zawsze do mnie dzwonią.

Pokręciła głową.

– Nigdy się nie boisz?

Spojrzał na nią pytająco.

– Dlaczego miałbym się bać?

– Z powodu tych wszystkich, którzy umierają.

Raczej odgadł, niż zrozumiał, co próbowała mu powiedzieć.

– Nie mogę. To jest moja praca. Ktoś musi się tym zajmować.

Obiecał, że wróci na czas, żeby ją odwieźć na lotnisko. Dochodziła pierwsza. Dopiero w drodze do Marsvinsholmu pomyślał, że w lesie może być Gösta Runfeldt. Kiedy wyjechał z miasta, zadzwonił telefon. Z komendy. Patrol potwierdził zgłoszenie. W lesie był martwy mężczyzna.

– Czy udało się go zidentyfikować? – spytał Wallander.

– Chyba nie ma przy sobie dokumentów. Zdaje się, że jest prawie nagi. Źle to wygląda.

Wallander poczuł ucisk w żołądku.

– Będą na ciebie czekać na skrzyżowaniu – powiedział policjant. – Przy pierwszym zjeździe na Marsvinsholm.

Wallander zakończył rozmowę i docisnął pedał gazu. Już się niepokoił, co zobaczy.

Z daleka dostrzegł radiowóz i zahamował. W policjancie stojącym przy samochodzie rozpoznał Petersa. Opuścił szybę i popatrzył na niego pytająco.

– Nie wygląda to ładnie – powiedział Peters.

Wallander domyślał się, co to znaczy. Peters miał duże doświadczenie. Nie mówiłby tak bez powodu.

– Udało się go zidentyfikować?

– Prawie nic na sobie nie ma. Sam zobaczysz.

– A gdzie jest człowiek, który go znalazł?

– W lesie.

Peters wsiadł do radiowozu. Wallander ruszył za nim. Wjechali do lasu na południe od zamku. Przed wyrębem droga się skończyła.

– Ostatni odcinek musimy przejść na piechotę – poinformował Peters.

Wallander wyjął kalosze z bagażnika. Peters i młody policjant, którego Wallander prawie nie znał, ale wiedział, że nazywa się Bergman, mieli silne latarki. Szli ścieżką pod górę w stronę niewielkiej grani. Pachniało jesienią. Wallander pomyślał, że powinien włożyć cieplejszy sweter. Zmarznie, jeśli będzie musiał tu spędzić całą noc.

– Zaraz będziemy na miejscu – powiedział Peters.

Wallander uznał, że chciał go przygotować na czekający ich widok. Snopy latarek z makabryczną precyzją wyłowiły z ciemności półnagię mężczyznę przywiązanego do drzewa. Światło drżało. Wallander znieruchomiał. Gdzieś w pobliżu zawołał nocny ptak. Wolno ruszył przed siebie. Peters świecił mu pod nogi, żeby widział, gdzie stawia stopy. Głowa mężczyzny opadła na piersi. Wallander przyklęknął. Mimo że się domyślał, kto to jest, chciał zobaczyć jego twarz. I uzyskał potwierdzenie. Zdjęcia, które oglądał w mieszkaniu Gösty Runfeldta były wprawdzie zrobione kilka lat temu, ale nie miał żadnych wątpliwości. Gösta Runfeldt nie pojechał do Nairobi. Teraz wiedzieli, co się stało. Nie żył,

przywiązany do drzewa.

Wallander wyprostował się i cofnął o krok. Nie miał żadnych wątpliwości i w innej sprawie. Śmierć Holgera Erikssona i Gösty Runfeldta łączył język, którym posługiwał się morderca. Był ten sam, mimo doboru innych słów. Dół z palami i drzewo. To nie mógł być przypadek.

Odwrócił się do Petersa.

– Przystępujemy do akcji – powiedział.

Peters skinął głową. Wallander przypomniał sobie, że zostawił telefon w samochodzie. Poprosił Bergmana, żeby go przyniósł i przy okazji wziął latarkę ze schowka w desce rozdzielczej.

– Gdzie jest ten człowiek, który go znalazł? – spytał później.

Peters skierował latarkę w bok. Na kamieniu siedział mężczyzna w dresie i podpierał głowę dłońmi.

– Nazywa się Lars Olsson – powiedział Peters. – Mieszka w pobliżu.

– Co robił w lesie w środku nocy?

– Uprawia bieg na orientację.

Wallander skinął głową. Peters dał mu swoją latarkę. Wallander podszedł do mężczyzny, który szybko na niego spojrzał, kiedy snop światła oświetlił mu twarz. Był bardzo blady.

Wallander przedstawił się i usiadł na kamieniu obok. Był zimny. Mi-mowolnie zadrżał.

– A więc to pan go znalazł?

Lars Olsson o wszystkim mu opowiedział. O kiepskim filmie w telewizji. O swoich nocnych treningach. O tym, jak się zdecydował na skrót. I jak mężczyzna nagle znalazł się w świetle jego latarki.

– Podał pan bardzo dokładną godzinę – zauważył Wallander, przypominając sobie rozmowę z dyżurnym policjantem.

– Spojrzałem na zegarek – odparł Lars Olsson. – Mam taki nawyk. Albo przywarę. Ile razy dzieje się coś ważnego, patrzę na zegarek. Gdybym mógł, popatrzylibym wtedy, kiedy się rodziłem.

Wallander skinął głową.

– Jeśli dobrze pana rozumiem, biega pan tutaj prawie każdego wieczora. Trenuje pan w ciemnościach.

– Wczoraj też biegałem, ale wcześniej. Zrobiłem dwie trasy. Najpierw dłuższą. Potem krótszą, na przełaj.

– Która była godzina?

– Między wpół do dziesiątej a dziesiątą.

– I wtedy niczego pan nie zauważył?

– Nie.

– A czy mógł go pan nie zobaczyć?

Lars Olsson zastanawiał się. Potem pokręcił głową.

– Zawsze przebiegam koło tego drzewa. Zobaczyłbym.

No to tyle wiemy, pomyślał Wallander. Blisko trzy tygodnie Gösta Runfeldt był gdzie indziej. Żywy. Zginął w ciągu ostatniej doby.

Nie miał więcej pytań. Wstał z kamienia. W lesie pojawiły się snopy światła.

– Proszę zostawić swój adres i numer telefonu – poprosił. – Odezwiemy się do pana.

– Kto może coś takiego robić? – spytał Lars Olsson.

– Też się nad tym zastanawiam – odparł Wallander.

Odszedł od Larsa Olssona. Zwrócił latarkę Petersowi, kiedy dostał swoją latarkę i komórkę. Bergman spisywał dane Larsa Olssona, a Peters rozmawiał przez telefon z komendą. Wallander głęboko wciągnął powietrze i podszedł do przywiązanego mężczyzny. Zdziwił się, że obcując ze śmiercią, w ogóle nie myślał o ojcu. W głębi duszy znał powód. Doświadczał tego wielokrotnie. W nieboszczykach nie było już nic ludzkiego. Kiedy się przezwyciężyło pierwsze nieprzyjemne uczucie, martwy człowiek stawał się martwym przedmiotem. Wallander delikatnie dotknął karku Gösty Runfeldta. Był zimny. Nie spodziewał się niczego innego. Ustalenie godziny zgonu przy stale zmieniającej się temperaturze powietrza nie należało do najłatwiejszych zadań. Wallander patrzył na tors mężczyzny. Odcień skóry też nic mu nie powiedział o tym, jak długo tu był. Nie dostrzegł śladów okaleczeń. Dopiero kiedy oświetlił szyję, zobaczył sine przebarwienia. Mogłoby to wskazywać na powieszenie. Potem oglądał sznury. Mężczyzna był nimi opasany od ud po górne żebra. Nie wpijały się zbyt mocno. To go zdziwiło. Cofnął się o krok i oświetlił całe ciało. Obszedł drzewo. Uważał, gdzie stawia stopy. Zakładał, że Peters zabronił Bergmanowi kręcić się tutaj bez potrzeby. Larsa Olssona nie było. Peters ciągle rozmawiał przez telefon. Wallanderowi doskwierał brak ciepłego swetra. Powinien wozić zapasowy sweter w samochodzie. Tak jak kalszone. Zapowiadała się długa noc.

Próbował sobie wyobrazić, co się stało. Niepokoiły go luźno związane sznury. Pomyślał o Holgerze Erikssonie. Niewykluczone, że morderstwo Gösty Runfeldta rozwiąże obie sprawy. Muszą się tylko nauczyć widzieć

podwójnie. Śledztwo cały czas będzie przebiegać dwutorowo. Wallander miał jednak świadomość, że może się stać dokładnie odwrotnie. Wzrośnie dezorientacja. Trudniej będzie znaleźć punkt centralny, zaplanować nad wszystkimi wątkami śledztwa i właściwie je interpretować.

Na moment zgasił latarkę i rozmyślał w ciemnościach. Peters bez przerwy rozmawiał przez telefon. Bergman stał w pobliżu jak nieruchomy cień. Gösta Runfeldt wisiał na luźno zawiązanym sznurze.

Czy to początek, środek czy koniec? Czy jest tak źle, że mamy następnego seryjnego mordercę? I jeszcze trudniejszy do rozwiązania splot przyczyn?

Nie znał odpowiedzi. Nie miał pojęcia. Za wcześnie. Na wszystko było za wcześnie.

W oddali dał się słyszeć odgłos nadjeżdżających samochodów. Peters wyszedł im na spotkanie. Wallander pomyślał o Lindzie. Miał nadzieję, że śpi. Cokolwiek się stanie, odwiezie ją na lotnisko. Nagle ogarnął go smutek z powodu ojca. Poza tym tęsknił za Bajbą. I był zmęczony. Przepracowany. Zniknęła energia, którą tryskał po powrocie z Rzymu. Nic z niej nie zostało.

Wyteżył wszystkie siły, żeby odpędzić ponure myśli. Przyszli Martinsson i Hansson, a w chwilę później Ann-Britt Höglund i Nyberg. Za nimi pojawił się personel karetki, technicy, Svedberg i na końcu lekarz. Przypominali źle zorganizowaną karawanę, która zabłądziła. Wallander zebrał najbliższych współpracowników. Reflektor podłączony do przenośnego generatora rzucał upiorne światło na martwego mężczyznę. Wallander przypominał sobie o makabrycznym przeżyciu, kiedy patrzyli na zwłoki Holgera Erikssona. Miejsce, choć inne, było podobne do poprzedniego. Morderca wybierał określoną scenerię.

– To Gösta Runfeldt – oznajmił Wallander. – Nie ma wątpliwości. Trzeba jednak obudzić Wanę Andersson i przywieźć ją tutaj. Nie da się tego uniknąć. Musimy jak najszybciej potwierdzić formalnie tożsamość denata. Ale możemy go odwiązać, żeby oszczędzić jej tego widoku.

Potem zrelacjonował wypowiedź Larsa Olssona.

– Runfeldt zaginął blisko trzy tygodnie temu – kontynuował. – Jeśli się nie mylę i jeśli Lars Olsson ma rację, nie żyje od niespełna dwudziestu czterech godzin. W każdym razie nie było go pod tym drzewem wcześniej. Gdzie się przez ten czas podziewał? Nie wierzę w zbieg okoliczności. Mamy do czynienia z tym samym sprawcą, który zamordował

Holgera Erikssona. Musimy się teraz dowiedzieć, co łączyło ofiary.

Właściwie są trzy śledztwa w jednym. Holger Eriksson, Gösta Runfeldt i obaj razem.

– A jeśli nie znajdziemy żadnego związku? – spytał Svedberg.

– Prędzej czy później znajdziemy – odparł stanowczo Wallander. – Obydwa morderstwa zostały zaplanowane w sposób, który wyklucza przypadkowy wybór ofiary. Nie zrobił tego szaleniec. Ci mężczyźni zginęli z określonych powodów.

– Gösta Runfeldt raczej nie mógł być homoseksualistą – powiedział Martinsson. – Miał żonę i dwoje dzieci.

– Mógł być biseksualistą – skwitował Wallander. – Za wcześnie na takie rozważania. Mamy pilniejsze sprawy na głowie.

Rozeszli się. Nie potrzebowali wielu słów, żeby przystąpić do pracy. Wallander stanął koło Nyberga, który czekał, aż lekarz skończy oględziny.

– No i znowu się to stało – odezwał się zmęczonym głosem.

– Tak – przyznał Wallander. – Jeszcze trochę musimy wytrzymać.

– Wczoraj postanowiłem wziąć dwa tygodnie urlopu, kiedy dorwiemy zabójcę Holgera Erikssona. Chciałbym pojechać na Wyspy Kanaryjskie. Może mało w tym polotu, ale tam cieplej.

Rzadko Nyberg wdawał się w prywatne pogawędki. Sprawiał wrażenie zawiedzionego, że podróż przesuwana na czas bliżej nieokreślony. Był wyczerpany, pracował ponad miarę. Wallander postanowił jak najszybciej pomówić z Lisą Holgersson. Nie mieli prawa tak go eksploatować.

W momencie, kiedy się nad tym zastanawiał, przyjechała Lisa Holgersson. Rozmawiała z Hanssonem i Ann-Britt Höglund.

Od początku ma co robić, pomyślał Wallander. Po tym morderstwie mass media oszaleją. Bjork nie radził sobie z takim napięciem. Zobaczymy, czy ona to wytrzyma.

Mąż Lisy Holgersson pracował w międzynarodowej firmie komputerowej. Mieli dwoje dorosłych dzieci. Po przeprowadzce zamieszkali w Hedeskodze, na północ od Ystadu. Wallander jeszcze nie był u niej w domu i nie poznał męża. Miał nadzieję, że potrafi ją wspierać. Wsparcie będzie Lisie Holgersson bardzo potrzebne.

Lekarz wstał z kucek. Wallander spotkał go wcześniej, ale nie mógł sobie przypomnieć nazwiska.

– Wygląda na to, że został uduszony – powiedział.

– Nie powieszony?

Lekarz wyciągnął rękę.

– Uduşony. Widać to po charakterze obrażeń. Na szyi są odciski kciuków.

Silny mężczyzna, pomyślał Wallander. Dobrze wytrenowany, który nie zawaha się zabić gołymi rękami.

– Kiedy to się stało? – spytał.

– Nie można tego stwierdzić. W ciągu ostatniej doby. Raczej nie wcześniej. Musisz poczekać na opinię lekarza sądowego.

– Możemy go zdjąć?

– Ja już skończyłem – odparł lekarz.

– A ja mogę zacząć – wymruczał Nyberg.

Podeszła do nich Ann-Britt Höglund.

– Jest Wania Andersson – poinformowała. – Czeka w samochodzie.

– Jak przyjęła wiadomość? – spytał Wallander.

– To straszne budzić kogoś taką wiadomością. Ale odniosłam wrażenie, że nie była zaskoczona. Chyba się tego obawiała.

– Tak jak ja – stwierdził Wallander. – Ty chyba też?

W milczeniu skinęła głową.

Nyberg rozwiązał sznury. Ciało Gösty Runfeldta ułożono na noszach.

– Przeprowadź ją – powiedział Wallander. – A potem może wracać do domu.

Wania Andersson była bardzo blada. Miała na sobie czarne ubranie. Trzymała je pod ręką? Popatrzyła na twarz zmarłego, zaczerpnęła powietrza i pokiwała głową.

– Czy może go pani zidentyfikować jako Göstę Runfeldta? – spytał Wallander i jęknął w duchu, słysząc, jak nieudolnie się wyraża.

– Bardzo zmizerniał – wyszeptwała.

Wallander nadstawił uszu.

– Co ma pani na myśli? – spytał.

– Ma zapadnięte policzki. Trzy tygodnie temu tak nie wyglądał.

Wallander wiedział, że śmierć może drastycznie zmienić twarz człowieka. Ale Wani Andersson chodziło chyba o coś innego.

– Chce pani powiedzieć, że schudł?

– Tak. Bardzo zmizerniał.

Uznał, że to ważne. Nie umiał tego jednak zinterpretować.

– Nie będzie nam już pani potrzebna – powiedział. – Odwieziemy

panią do domu.

Popatrzyła na niego bezradnie.

– Co ja zrobię z kwaciarnią? – spytała. – Ze wszystkimi kwiatami?

– Jutro może być zamknięta. To na początek. Niech pani nie myśli, co będzie potem.

W milczeniu pokiwała głową. Ann-Britt Höglund odprowadziła ją do radiowozu. Wallander zastanawiał się nad tym, co powiedziała. Na blisko trzy tygodnie Gösta Runfeldt znika bez śladu. Kiedy go odnajdują – przywiązanego do drzewa i być może uduszonego – jest niewytłumaczalnie chudy. Wallander wiedział, o czym to świadczy: był więziony.

Stał bez ruchu i wsłuchiwał się w tok swoich myśli. Można to porównać do sytuacji wojennej. Żołnierze biorą jeńców.

Przerwała mu Lisa Holgersson. Idąc do niego, potknęła się o kamień i niewiele brakowało, żeby się przewróciła. Już teraz może ją przygotować na to, co ich czeka.

– Czy ty nie marzniesz? – spytała.

– Zapomniałem cieplejszego swetra – odparł Wallander. – Niektórych rzeczy człowiek się nigdy nie nauczy.

Wskazała na nosze. Göstę Runfeldta zabierano do karawanu, który zaparkował przy wyrębie.

– Co o tym myślisz?

– Zrobił to ten sam człowiek, który zamordował Holgera Erikssona. Nie ma cienia wątpliwości.

– Zdaje się, że został uduszony.

– Nie jestem skory do wyciągania przedwczesnych wniosków, ale mogę sobie wyobrazić, jak się to odbyło. Żył, kiedy go przywiązywano do drzewa. Może był nieprzytomny. W każdym razie tutaj został uduszony i porzucony. Nie stawiał oporu.

– Skąd wiesz?

– Sznur był luźno zawiązany. Gdyby chciał, mógłby się uwolnić.

– Ale czy to nie świadczy o tym, że się szarpał i próbował stawiać opór?

Dobre pytanie, pomyślał Wallander. Lisa Holgersson jest z całą pewnością policjantką.

– Niewykluczone – odparł. – Ale nie sądzę. Wania Andersson powiedziała, że bardzo zmizerniał.

– Nie widzę związku.

– Gwałtownemu wychudzeniu towarzyszy na ogół utrata sił.

Zrozumiała.

– Wisi na sznurach – podjął Wallander. – Sprawca nie ma zamiaru ukrywać swojego czynu. Ani ofiary. To nasuwa skojarzenia z tym, co się stało z Holgerem Erikssonem.

– Dlaczego tutaj? Dlaczego przywiązuje człowieka do drzewa? Po co ta brutalność?

– Kiedy poznamy odpowiedź na te pytania, być może zrozumiemy, dlaczego w ogóle do tego doszło.

– Masz jakieś przemyślenia?

– Niejedno. Wydaje mi się, że powinniśmy teraz pozwolić Nybergowi i jego ludziom pracować w spokoju. Przeanalizowanie wszystkiego w komendzie przyniesie więcej korzyści niż pałętanie się po lesie. O zmęczeniu nie wspominając. Nic więcej już tu nie zobaczymy.

Nie miała zastrzeżeń. O drugiej zostawili Nyberga i jego techników. Zaczęło mżyć i zerwał się wiatr. Wallander odchodził ostatni.

Co teraz? Co dalej? Nie mamy motywu, nie mamy podejrzanych. Jest tylko dziennik Haralda Berggrena. Zginął obserwator ptaków i miłośnik kwiatów. Zostali zamordowani z wystudiowanym okrucieństwem. Niemal demonstracyjnie.

Próbował sobie przypomnieć słowa Ann-Britt Höglund. O czymś wyraźnie męskim. Sprawily, że sprawca zaczął mu się kojarzyć z kimś o wojskowej przeszłości. Harald Berggren był najemnikiem, czyli kimś więcej niż zwykły żołnierz. Nie walczył ani w obronie swojego kraju, ani dla jakiejś sprawy. Zabijał za miesięczną pensję.

W każdym razie mamy punkt wyjścia, pomyślał. Będziemy się tego trzymać, dopóki się nie rozleci.

Poszedł się pożegnać z Nybergiem.

– Czy mamy szukać czegoś szczególnego? – spytał Nyberg.

– Nie. Z wyjątkiem tego, co przypomina okoliczności zabójstwa Holgera Erikssona.

– Moim zdaniem, wszystko je przypomina. Może oprócz pali.

– Chcę na jutro rano ściągnąć patrole z psami.

– To pewnie jeszcze tu będę – skwitował ponuro Nyberg.

– Porozmawiam o tobie z Lisą – zapewnił Wallander, mając nadzieję, że choć trochę go pocieszy.

– Nie warto.

– Próbować zawsze warto.

Spotkali się w komendzie za kwadrans trzecia. Wallander ostatni wszedł do sali zebrań. Widząc blade, zmęczone twarze kolegów, uznał, że musi im przede wszystkim dostarczyć zastrzyk świeżej energii. Z doświadczenia wiedział, że w trakcie każdego śledztwa przychodzi taki moment, w którym zanika wiara we własne możliwości. Tym razem pojawił się wyjątkowo wcześnie.

Przydałaby się nam spokojna jesień, pomyślał. Nie zdążyliśmy odechnąć po letnich wydarzeniach.

Usiadł. Hansson podał mu kawę.

– To nie będzie łatwe – zaczął. – Stało się to, czego się w głębi duszy obawialiśmy. Gösta Runfeldt nie żyje. Zabił go najprawdopodobniej ten sam człowiek, który zamordował Holgera Erikssona. Nie wiemy, co to oznacza. Nie wiemy, czy nie szykują się następne, równie przykre niespodzianki. Nie wiemy, czy nie czeka nas sytuacja podobna do tej, z którą mieliśmy do czynienia w lecie. Chciałbym jednak od razu przestrzec przed wyciąganiem innych paraleli niż ta, że ten sam sprawca zaatakował ponownie. Tamten wypadek i ten wiele różni. Więcej, niż je łączy.

Przerwał, dając im czas na ewentualne komentarze. Nie mieli nic do powiedzenia.

– Musimy działać wielokierunkowo – podjął. – Bezstronnie, ale zdecydowanie. Musimy odszukać Haralda Berggrena. Musimy się dowiedzieć, dlaczego Gösta Runfeldt nie pojechał do Nairobi i dlaczego zamówił specjalistyczną aparaturę podsłuchową. Musimy znaleźć związek między Erikssonem i Runfeldtem, choć wydaje się, że nic ich nie łączyło. Ofiar nie wybrano jednak przypadkowo, więc musi być jakiś punkt styczny.

Nadal nie mieli uwag. Wallander postanowił zakończyć zebranie. Najbardziej im teraz trzeba snu. Spotkają się za kilka godzin.

Rozeszli się.

Wiatr i deszcz przybrały na sile. Spiesząc przez mokry parking do samochodu, Wallander pomyślał o Nybergu i jego technikach. I o tym, co usłyszał od Wanii Andersson. Że Gösta Runfeldt zmizerniał. Wiedział, że to ważne. Nic innego nie przychodziło mu do głowy poza uwięzieniem. Ale gdzie? Dlaczego? I przez kogo?

Tej nocy Wallander położył się na kanapie w pokoju. Miał wstać za kilka godzin. Kiedy wrócił z zebrania w komendzie, u Lindy było cicho. Obudził się zlany potem. Dręczył go jakiś koszmar, który z trudem usiłował odtworzyć w pamięci. Śnił mu się ojciec, byli w Rzymie i nagle coś go przestraszyło. Co? Rozpłynęło się w ciemnościach. Śmierć? Może była obecna już podczas ich podróży? Usiadł na kanapie i okręcił się kocem. Dochodziła piąta. Zaraz zadzwoni budzik. Siedział ociężały i nieruchomy. Zmęczenie ćmiło jak ból. Musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby wstać i pójść do łazienki. Prysznic nieco go ożywił. Zrobił śniadanie i za kwadrans szósta obudził Lindę. Przed wpół do siódmej wyjechali na lotnisko. Była niewyspana i niewiele mówiła. Ocknęła się dopiero kilka kilometrów przed Sturupem, kiedy skręcił w E65.

- Co się stało w nocy? – spytała.
 - Ktoś znalazł w lesie martwego mężczyznę.
 - Nie możesz powiedzieć nic więcej?
 - Pewien człowiek trenował bieg na orientację i prawie się potknął o nieboszczyka.
 - Kto to był?
 - Biegacz czy nieboszczyk?
 - Nieboszczyk.
 - Był kwiaciarzem.
 - Popęłnił samobójstwo?
 - Niestety nie.
 - Niestety? Co masz na myśli?
 - Został zamordowany. A to oznacza dla nas mnóstwo pracy. Już widzieli przed sobą żółty terminal lotniska.
 - Nie rozumiem, jak ty to wytrzymujesz – odezwała się po chwili.
 - Sam tego nie rozumiem. Muszę. Ktoś musi.
 - Czy myślisz, że byłabym dobrą policjantką?
 - Sądziłem, że masz inne plany – odparł zaskoczony.
 - Bo mam. Odpowiedz na pytanie!
 - Nie wiem. Pewnie byłabyś.
- Wallander zatrzymał się na parkingu. Miała z sobą tylko plecak, który

wyjął z bagażnika. Kiedy chciał ją odprowadzić, pokręciła głową.

– Wracaj do domu – powiedziała. – Ledwie trzymasz się na nogach ze zmęczenia.

– Muszę pracować. Ale rzeczywiście jestem zmęczony.

Potem ogarnął ich smutek. Wspominali jego ojca, a jej dziadka.

– W samochodzie zastanawiałam się nad tym, że nie będziemy żyć – rzekła. – To dziwne.

Wymruczał coś w odpowiedzi. Pożegnali się. Obiecała, że kupi automatyczną sekretarkę. Patrzył, jak znika za szklanymi drzwiami.

Potem siedział w samochodzie i myślał o tym, co powiedziała. Czy nie to najbardziej przeraża w śmierci? Że nie będziemy żyć?

Włączył silnik i odjechał. Krajobraz wydawał się równie posępny jak śledztwo, które prowadzili. Jeden mężczyzna wisi przebity palami. Inny stoi przywiązany do drzewa. Czy można sobie wyobrazić bardziej odrażającą śmierć? Naturalnie widok ojca leżącego pośród obrazów też nie był piękny. Musi się zobaczyć z Bajbą. Jeszcze tego wieczora do niej zadzwoni. Miał dosyć samotności. Nękała go dostatecznie długo. Rozwiedziony od pięciu lat, zamieniał się w stare, kudłate, stroniące od ludzi psisko. Nie chciał tego.

Chwilę po ósmej był w komendzie. Poszedł po kawę i zadzwonił do Gertrudy. Miała wyjątkowo pogodny głos. Kristina jeszcze nie wyjechała. Ponieważ Wallander siedział po uszy w śledztwie, postanowiły same rozdysonować skromny dobytek po ojcu. Składał się przede wszystkim z domu w Loderupie. Nie było jakichś większych długów. Dużo wcześniej Gertruda spytała go, czy na czymś mu szczególnie zależy. Odpowiedział przecząco, ale potem nagle zmienił zdanie i wybrał z płócien stojących pod ścianami atelier obraz z głuszcem. Nie wiedzieć czemu, nie zdecydował się na ten, który ojciec kończył w chwili śmierci. Na razie trzymał go w komendzie. Jeszcze nie miał pomysłu, gdzie go powiesi. Jeśli w ogóle to robi.

Kiedy zakończył rozmowę, przejrzał sprawozdanie Ann-Britt Höglund z przesłuchania listonoszki, która dostarczała pocztę Holgerowi Erikssonowi. Było zwięzłe napisane, bez zbędnych szczegółów. Widocznie policjanci nowych czasów lepiej opanowali tę umiejętność niż jego rówieśnicy.

Nie znalazł tam nic, co mogłoby mieć bezpośrednie znaczenia dla śledztwa. Po raz ostatni Holger Eriksson wywiesił tabliczkę na skrzynce

z prośbą o kontakt kilka miesięcy temu. O ile pamiętała, chodziło o jakieś proste sprawy dotyczące wpłat pieniężnych. Niczego dziwnego nie zaobserwowała. W obejściu wszystko wyglądało po staremu. Nie widziała w okolicy żadnych obcych samochodów ani kręcących się ludzi. Wallander odłożył sprawozdanie i zapisał w kołonotatniku, czym trzeba się w pierwszym rzędzie zająć. Ktoś musi dokładnie przepytac Anitę Lagergren z biura podróży w Malmö. Kiedy Gösta Runfeldt zamówił wycieczkę? Jak miała przebiegać? Tak jak w wypadku Holgera Erikssona, muszą gruntownie prześledzić jego życie. Koniecznie trzeba porozmawiać z dziećmi. Poza tym Wallander chciał mieć więcej informacji o sprzęcie, który Gösta Runfeldt zamówił w firmie Secur z Borasu. Do czego był mu potrzebny? Po co kwiaciarzowi takie rzeczy? Odpowiedzi na te pytania pozwolą im zrozumieć, co się stało.

Odsunął kołonotatnik i położył rękę na słuchawce. Wahał się. Było kwadrans po ósmej. Nyberg mógł spać. Ale nie miał wyjścia. Wybrał numer jego komórki. Odezwał się natychmiast. Był w lesie, daleko od łóżka. Wallander spytał, jak idą oględziny miejsca zbrodni.

– Są psy – odparł Nyberg. – Poszły tropem sznurów do wyrębu. Nic dziwnego, bo to jedyna droga. Możemy przyjąć, że Gösta Runfeldt nie dotarł tu na piechotę. Musiał być jakiś samochód.

– Co ze śladami opon?

– Trochę tego jest. Ale na razie nie mogę powiedzieć nic więcej.

– Coś jeszcze?

– W zasadzie nie. Sznur pochodzi z duńskiego zakładu powroźniczego.

– Duńskiego?

– Podejrzewam, że można go kupić prawie wszędzie, gdzie sprzedają sznury. Wygląda na całkiem nowy. Nabyty w określonym celu.

Wallander się wzdrygnął. Potem zadał pytanie, z którego powodu zadzwonił do Nyberga.

– Czy odkryłeś jakieś ślady wskazujące na to, że stawiał opór, kiedy był przywiązywany do drzewa? Albo że się próbował uwolnić?

– Nie – bez wahania odparł Nyberg. – Po pierwsze, nie znalazłem w pobliżu żadnych śladów walki. Ziemia powinna być zryta. Po drugie, nie ma otarć ani na sznurze, ani na drzewie. Stał spokojnie.

– Jak to tłumaczysz?

– Są chyba tylko dwie możliwości. Kiedy go przywiązywano, albo już nie żył, albo był nieprzytomny. Nie sądzę, żeby się na to dobrowolnie

zgodził.

– Jest trzecia możliwość – powiedział Wallander po namyśle. – Gösta Runfeldt mógł być zbyt słaby, żeby się bronić.

Nyberg przyznał mu rację. Może to najbardziej prawdopodobne.

– Jeszcze coś – podjął Wallander. – Wiem, że nie znasz odpowiedzi. Ale przecież różne rzeczy sobie wyobrażamy. Nikt nie zgaduje częściej niż policjanci. Mimo że zawsze stanowczo temu zaprzeczamy. Czy była tam tylko jedna osoba?

– Myślałem o tym. Dużo przemawia za tym, że powinno być więcej osób. To nie takie proste zaciągnąć człowieka do lasu i przywiązać. Ale mam wątpliwości.

– Dlaczego?

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

– Wróćmy do rowu w Lödinge. Co tam myślałeś?

– To samo. Że powinno być więcej osób. Ale nie jestem pewien.

– Podzielał twoje odczucie. I wcale mi się nie podoba.

– Tak czy inaczej, mamy do czynienia z siłaczem. Wiele na to wskazuje.

– A co poza tym?

– Dwie stare puszki po piwie i tips. To wszystko.

– Tips?

– Kobiety naklejają sobie coś takiego na paznokcie. Ale mógł tu leżeć od dawna.

– Prześpij się kilka godzin.

– A niby kiedy? – z irytacją skwitował Nyberg.

Wallander szybko zakończył rozmowę. Ledwie odłożył słuchawkę, zadzwonił telefon.

– Mogę przyjść? – spytał Martinsson. – O której zebranie?

– O dziewiątej. Mamy czas.

Zorientował się, że Martinsson wpadł na jakiś trop. Poczuł rosnące napięcie. Bardzo by się przydał prawdziwy przełom w śledztwie.

Martinsson usiadł na krześle dla gości i od razu przeszedł do rzeczy.

– Myślałem o najemnikach. I o dzienniku Haralda Berggrena. Kiedy się dzisiaj obudziłem, przypomniał mi się pewien gość, który był w Kongu w tym samym czasie co Harald Berggren.

– Jako najemnik? – zdziwił się Wallander.

– Nie. Był w szwedzkim oddziale wojsk ONZ. Rozbrajali Belgów w Ka-

tandze.

Wallander pokręcił głową.

– Miałem wtedy dwanaście, trzynaście lat – powiedział.

– Nic nie pamiętam. Prócz tego, że Dag Hammarskjöld zginął w katastrofie lotniczej.

– Ja się ledwie zdążyłem urodzić. A coś tam pamiętam ze szkoły.

– I co z tym gościem?

– Kilka lat temu chodziłem na rozmaite zebrania liberałów. Kończyły się zwykle czymś w rodzaju spotkań towarzyskich przy kawie. Tyle jej piłem, że wysiadł mi żołądek.

Wallander zabębnił palcami po blacie.

– Na jednym z zebrań siedziałem koło gościa, który miał około sześćdziesiątki. Nie wiem, jak to się stało, że zaczęliśmy o tym rozmawiać. W każdym razie powiedział mi, że był kapitanem i adiutantem generała von Horna, który dowodził szwedzką jednostką w Kongu. I wspominał o najemnikach.

Wallander słuchał z coraz większym zainteresowaniem.

– No i kiedy się dzisiaj obudziłem, zadzwoniłem w parę miejsc i w końcu się udało. Jeden z moich dawnych kolegów partyjnych wiedział, o kogo mi chodzi. Kapitan nazywa się Olof Hanzell, jest na emeryturze i mieszka w Nybrostrandzie.

– Dobrze – skomentował Wallander. – Musimy jak najszybciej złożyć mu wizytę.

– Już się z nim skontaktowałem. Jeśli tylko może być w czymś pomocny, chętnie z nami porozmawia. Mówił do rzeczy i twierdzi, że ma znakomitą pamięć.

Martinsson położył na biurku kartkę z numerem telefonu.

– Musimy wszystko sprawdzić – powiedział Wallander.

– A to nasze zebranie będzie krótkie.

Martinsson wstał i ruszył do wyjścia.

– Przeglądałeś gazety? – spytał w drzwiach.

– Kiedy miałem to zrobić?

– Bjork by się wkurzył. Po tym, co się stało z Holgerem Erikssonem, ludzie z Lödinge i okolic zaczęli się domagać powołania gwardii obywatelskiej.

– Mówią o tym od zawsze – zauważył z odrazą Wallander. – Nie ma się czym przejmować.

– Nie byłbym taki pewien. Dzisiejsze gazety przynoszą coś nowego.

– Co?

– Już się nie wypowiadają anonimowo. Są ich nazwiska i zdjęcia. Nigdy dotąd czegoś takiego nie było. Mówienie o gwardii obywatelskiej nie jest już niczym nagannym.

Wallander przyznał Martinssonowi rację. Nie mógł jednak uwierzyć, że chodzi o coś więcej niż zwyczajny niepokój spowodowany okrutną zbrodnią. Co potrafił zrozumieć.

– Jutro będzie gorzej – stwierdził. – Kiedy opinia publiczna dowie się o Goście Runfeldcie. Chyba powinniśmy przygotować Lisę Holgersson na to, co nas czeka.

– Jakie są twoje wrażenia? – spytał Martinsson.

– Myślisz o Lisie Holgersson? Wspaniale się spisuje.

Martinsson wrócił do pokoju. Był bardzo zmęczony. Szybko się zesta-
rzał w policji.

– Wydawało mi się, że to, co się wydarzyło latem, było wyjątkiem – powiedział. – Okazuje się, że nie.

– Podobieństwa są znikome. Nie możemy przeprowadzać paraleli tam, gdzie ich nie ma.

– Myślę nie o tym, tylko o przemocy. Nie dość, że się ludzi zabija, to jeszcze trzeba ich dręczyć.

– Wiem. Ale nie mam na to żadnego wpływu.

Martinsson wyszedł. Wallander zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Postanowił, że jeszcze tego dnia sam pojedzie do emerytowanego kapita-
na Olofa Hanzella.

Tak jak zakładał, zebranie trwało krótko. Mimo braku snu wszyscy sprawiali wrażenie naładowanych energią i zawziętych. Wiedzieli, że stoją przed skomplikowanym śledztwem.

Przyszedł również Per Åkeson, żeby wysłuchać podsumowania Wal-
landera. Miał niewiele pytań.

Rozdzielili zadania i omówili najpilniejsze sprawy. Na razie nie poru-
szali kwestii dodatkowych posiłków. Lisa Holgersson oddała im do dys-
pozycji kilku policjantów, zwalniając ich z dotychczasowych zadań. Mniej więcej godzinę później, kiedy zebranie dobiegało końca, wszyscy mieli aż nadto pracy.

– Jest jeszcze coś – powiedział Wallander. – Musimy się liczyć z tym, że mass media poświęcą dużo miejsca tym zabójstwom. To, co obserwu-

jemy teraz, to dopiero początek. Mieszkańcy okolicznych wiosek znowu zaczęli mówić o organizowaniu nocnych patroli i gwardii obywatelskiej. Poczekamy i zobaczymy, jak się to rozwinie. Na razie za kontakty z prasą będzie odpowiadać Lisa i ja. Tak będzie najprościej. Byłbym wdzięczny, gdyby Ann-Britt też mogła brać udział w konferencjach prasowych.

Dziesięć po dziesiątej skończyli. Wallander zamienił jeszcze kilka słów z Lisą Holgersson. Postanowili zwołać konferencję na wpół do siódmej. Chciał przez chwilę porozmawiać z Perem Åkesonem, ale kiedy wyszedł na korytarz, już go nie było. U siebie w pokoju zadzwonił pod numer, który zostawił mu Martinsson. Jednocześnie przypomniał sobie, że nie zwrócił Svedbergowi notatki. Odebrał Olof Hanzell. Miał przyjemny głos. Wallander przedstawił się i spytał, czy mógłby złożyć mu wizytę jeszcze tego przedpołudnia. Kapitan Hanzell nie miał nic przeciwko temu i wyjaśnił, któredy powinien jechać. Kiedy Wallander wyszedł z komendy, znowu się przejaśniło. Ciągle wiało, ale zza postrzępionych chmur wyglądało słońce. Powinien wozic w samochodzie ciepły sweter. Mimo że się spieszył do Nybrostrandu, zatrzymał się w śródmieściu przed biurem pośrednictwa w obrocie nieruchomościami. Przeglądał oferty wywieszane w witrynie. Jeden dom był godny uwagi. Gdyby miał więcej czasu, poprosiłby o ulotkę informacyjną. Zapamiętał numer oferty i wsiadł do samochodu. Zastanawiał się, czy Linda doleciała do Sztokholmu, czy ciągle czeka na Sturupie.

Potem ruszył na wschód, do Nybrostrandu. Za boczną drogą po lewej prowadzącą na pola golfowe skręcił w prawo i zaczął wypatrywać Skrakvagen¹, przy której stał dom Olofa Hanzella. Wszystkie pobliskie ulice miały ptasie nazwy. Szczególny zbieg okoliczności. Szukał zabójcy obserwatora ptaków. Na Skrakvagen mieszkał ktoś, kto być może będzie mógł im pomóc w jego znalezieniu.

Nie od razu udało mu się dotrzeć pod właściwy adres. Zaparkował, pchnął furtkę i podszedł do drzwi willi. Choć mogła liczyć nie więcej niż dziesięć lat, wyglądała na podupadłą. Pomyślał, że w takim domu nigdy by się nie czuł dobrze. Otworzył mu mężczyzna w dresie. Miał krótkie siwe włosy i mały wąsik. Był w dobrej kondycji fizycznej. Z uśmiechem wyciągnął rękę na powitanie. Wallander przedstawił się.

– Żona zmarła kilka lat temu – zaczął Olof Hanzell. – Od tego czasu

mieszkam sam. Nie jest może najlepiej wysprzątane, ale zapraszam!

Ledwie Wallander wszedł do przedpokoju, od razu zwrócił uwagę na duży afrykański bęben.

Olof Hanzell zauważył to.

– Rok w Kongu to była podróż mojego życia. Nigdy tam nie wróciłem. Dzieci były małe, żona nie chciała. A potem było za późno.

Zaprowadził Wallandera do salonu. Na stole stały filiżanki do kawy. Na ścianach wisiały pamiątki z Afryki. Wallander usiadł na kanapie. Chętnie napije się kawy. Nie pogardziłby też jakąś przekąską, bo był głodny.

Olof Hanzell przyniósł talerz sucharków.

– Sam je robię – pochwalił się. – To odpowiednie zajęcie dla starego wojskowego.

Wallander nie miał czasu na luźne pogawędki. Wyjął z kieszeni fotografię trzech mężczyzn i wręczył ją Hanzellowi nad stołem.

– Na początek chciałbym spytać, czy rozpoznaje pan którąś z tych osób. Mogę dodać, że zdjęcie zostało zrobione w Kongu w tym samym czasie, kiedy były tam szwedzkie oddziały oenzetowskie.

Olof Hanzell wstał i poszedł po okulary. Wallander przypomniał sobie o optyku. Musi się do niego jak najszybciej zgłosić. Hanzell stanął przy oknie i długo patrzył na zdjęcie. Wallander wsłuchiwał się w ciszę wypełniającą dom. Czekał. Wreszcie Hanzell bez słowa położył zdjęcie na stole i opuścił salon. Wallander zjadł sucharka. Już miał sprawdzić, gdzie się podział Hanzell, kiedy ten wrócił. W ręku trzymał album fotograficzny. Podszedł do okna i zaczął przeglądać. Wallander czekał. Hanzell znalazł to, czego szukał, i podał album Wallanderowi.

– Proszę spojrzeć na zdjęcie na samym dole po lewej – powiedział. – Nie jest, niestety, ładne. Ale powinno pana zainteresować.

Wallander drgnął. Rzędem leżeli martwi żołnierze. Zakrwawione twarze, odstrzelone ramiona i zmasakrowane torsy. Byli czarni. Za nimi stali dwaj biali mężczyźni z karabinami w dłoniach. Przypominało to scenę z polowania. Żołnierze byli ich trofeum.

Bez trudu rozpoznał jednego z białych. Pozował przed termitierą na fotografii, którą Wallander znalazł w okładce dziennika Haralda Berggre-na. Stał z lewej strony. To bez wątplenia ten sam mężczyzna.

– Wydawało mi się, że gdzieś go widziałem – odezwał się Hanzell. – Ale naturalnie nie mogłem być pewien. Odszukanie właściwego albumu

zajął mi trochę czasu.

– Kto to jest? – spytał Wallander. – Terry O'Banion czy Simon Marchand?

– Simon Marchand – odparł Olof Hanzell, nie kryjąc zdziwienia. – Przyznam, że bardzo jestem ciekaw, skąd pan to wie.

– Wyjaśnię w swoim czasie. Proszę mi teraz powiedzieć, jak wszedł pan w posiadanie tego zdjęcia.

Olof Hanzell usiadł.

– Czy orientuje się pan, co się wtedy działo w Kongu?

– Nie bardzo. Raczej wcale.

– Wobec tego zacznę od krótkiego wprowadzenia. Wydaje mi się konieczne, żeby to lepiej zrozumieć.

– Proszę się nie spieszyć.

– W roku 1953 członkami ONZ były cztery niepodległe państwa afrykańskie. Siedem lat później ich liczba wzrosła do dwudziestu sześciu. Ni mniej, ni więcej znaczyło to tyle, że w tamtym okresie na całym kontynencie wrzało. Dekolonizacja weszła w swoją najbardziej dramatyczną fazę. Co chwila nowe państwa proklamowały niepodległość. Porody bywały ciężkie, ale nie aż tak jak w Kongu Belgijskim. W roku 1959 rząd belgijski odstąpił od rozłożonego na lata planu dekolonizacji i ustalono datę przejęcia pełni władzy przez Afrykanów na 30 czerwca 1960. W miarę zbliżania się tego dnia nasilały się rozruchy. Różne plemiona walczyły o swoje, codziennie dochodziło do aktów przemocy. Prezydentem został doświadczony polityk Kasavubu, a premierem – Lumumba. To drugie nazwisko przypuszczalnie pan słyszał.

Wallander z wahaniem skinął głową.

– Przez parę dni wydawało się, że mimo wszystko uda się pokojowe przejście od państwa kolonialnego do niepodległego. Ale już po kilku tygodniach żołnierze Force Publique, regularnej armii, wszczęli bunt przeciwko belgijskim oficerom. W ich obronie interweniowały belgijskie jednostki spadochronowe. Wkrótce w kraju zapanował chaos. Kasavubu i Lumumba nie byli w stanie kontrolować sytuacji. Południowo-wschodnia prowincja Katanga – najbogatsza dzięki licznym złożom mineralnym – ogłosiła secesję i na jej czele stanął Moise Czombe. Wtedy Kasavubu i Lumumba zażądali pomocy ONZ. Ówczesny sekretarz generalny Dag Hammarskjöld bardzo szybko wysłał wojska, między innymi oddziały szwedzkie. Nasze zadania miały charakter wyłącznie policyjny. Belgo-

wie, którzy zostali w Kongu i wspierali Czombego, wynajęli za pieniądze wielkich spółek górniczych różnej maści najemników. I tak dochodzimy do tej fotografii. – Hanzell przerwał i wypił łyk kawy. – Może to daje jakieś wyobrażenie o niezwykle napiętej i skomplikowanej sytuacji.

– Przypuszczam, że panowało niesamowite zamieszanie – powiedział Wallander, niecierpliwie czekając na dalszy ciąg.

– W Katandze walczyło kilkuset najemników. Pochodzili z wielu państw. Między innymi z Francji, Belgii i Algierii. Piętnaście lat po drugiej wojnie światowej nie brakowało Niemców, którzy nie przyjęli do wiadomości takiego jej zakończenia. Mścili się na Bogu ducha winnych Afrykańczykach. Znalazło się też trochę Skandynawów. Paru zmarło i zostali tam pochowani, ale nikt już nie wie dokładnie, gdzie. Kiedyś do szwedzkiej kwatery wojsk ONZ przyszedł pewien Afrykańczyk i przyniósł dokumenty i zdjęcia poległych najemników. Ale wśród nich nie było Szwedów.

– To dlaczego przyszedł do szwedzkiej jednostki?

– Bo uchodziliśmy za miłych i hojnych. Chciał nam to sprzedać. Bóg jeden wie, skąd to wziął.

– I pan to kupił?

Hanzell skinął głową.

– Powiedzmy, że dokonaliśmy handlu wymiennego. Wydaje mi się, że zapłaciłem za karton tych papierów równowartość dziesięciu koron. Większość wyrzuciłem. Ale zachowałem niektóre zdjęcia. Między innymi to.

Wallander zdecydował się na kolejny krok.

– Jeden z mężczyzn na fotografii, którą panu pokazałem, jest Szwedem. Nazywa się Harald Berggren. Zgodnie z zasadą eliminacji, musi to być albo ten w środku, albo ten z prawej. Czy nazwisko Berggren coś panu mówi?

Hanzell zastanawiał się. Po chwili przecząco pokręcił głową.

– Nie. Ale to o niczym nie świadczy.

– Dlaczego?

– Wielu najemników zmieniało nazwiska. Nie tylko Szwedzi. Na czas obowiązywania kontraktu przybierali inne nazwiska. Po jego wygaśnięciu, jeśli, rzecz jasna, udało im się ująć z życiem, wracali do starych nazwisk.

– Czy to znaczy, że Harald Berggren mógł się w Kongu inaczej nazy-

wać?

– Tak.

– I że mógł pisać dziennik pod własnym nazwiskiem, podczas gdy to przybrane funkcjonowało jak pseudonim?

– Tak.

– I mógł zginąć pod innym nazwiskiem?

– Tak.

Wallander spojrzał badawczo na Hanzella.

– Innymi słowy, nie da się ustalić, czy Harald Berggren żyje, czy umarł. Może nie żyć pod jednym nazwiskiem i żyć pod drugim.

– Najemnicy są powściągliwi. Co chyba zrozumiało.

– I jednoznaczne z tym, że znalezienie kogoś takiego może graniczyć z cudem?

Olof Hanzell skinął głową. Wallander patrzył na sucharki.

– Wbrew opinii wielu moich byłych kolegów – powiedział Hanzell – uważałem, że najemnicy zasługują na pogardę. Zabijali dla pieniędzy. Nawet jeśli twierdzili, że walczą z pobudek ideologicznych. O wolność. Przeciwko komunizmowi. Tymczasem rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Zabijali, jak leci. Wykonywali rozkazy tych, którzy najlepiej płacili.

– Pewnie niełatwo im było wrócić do normalnego życia.

– Sporej liczbie nigdy się to nie udało. Żyli w cieniu, na marginesie społeczeństwa. Albo zapijali się na śmierć. Niektórzy od początku byli zaburzeni.

– Co ma pan na myśli?

– Sadyści i psychopaci – bez wahania odparł Olof Hanzell.

Wallander pokiwał głową.

Harald Berggren istniał i nie istniał. Czy mógł mieć jakikolwiek udział w tej układance? Bardzo wątpliwe.

Znalazł się w martwym punkcie. Nie wiedział, co dalej.

15

Wallander został w Nybrostrandzie do późnego popołudnia. Ale nie spędził aż tylu godzin w willi przy Skrakvagen. Pożegnał się z Olofem

Hanzellem o pierwszej. Był w rozterce. I co teraz? Zamiast wrócić do Ystadu, pojechał nad morze. Po chwili wahania zdecydował się na przechadzkę. Może podczas spaceru uda mu się wszystko dokładnie przeanalizować. Ale kiedy na brzegu przeniknął go chłodny jesienny wiatr, rozmyślił się, poszedł do samochodu, położył się na maksymalnie opuszczonym siedzeniu pasażera, zamknął oczy i zaczął odtwarzać wszystko, co się wydarzyło, poczynawszy od tego przedpołudnia dwa tygodnie temu, kiedy w komendzie pojawił się Sven Tyren, żeby zgłosić zaginięcie Holgera Erikssona, a skończywszy na 12 października, kiedy mieli na głowie dwa morderstwa.

Przywoływał w pamięci jedno wydarzenie po drugim. Rydbergowi zawdzięczał tę oto bezcenną wiedzę, że chronologia nie przesądza o rzeczywistych zależnościach przyczynowo-skutkowych. Holger Eriksson i Gösta Runfeldt zostali zamordowani. Co się naprawdę stało? Czy motywem była zemsta? Czy chodziło o zysk, którego przejawów nie dostrzegali?

Otworzył oczy i popatrzył na zerwaną linę flagową trzepoczącą na porwistym wietrze. Holgera Erikssona ktoś nadział na ostre pale, które pieczołowicie wbił w dno rowu. Göstę Runfeldta najpierw przetrzymywał, a potem udusił.

Wallandera niepokoiło dużo szczegółów. Choćby manifestowanie okrucieństwa. Albo więzienie Gösty Runfeldta przed jego zamordowaniem. Zastanawiał się nad elementarnymi punktami zaczepienia. Sprawca musiał znać Holgera Erikssona i Göstę Runfeldta. Co do tego nie powinno być żadnych wątpliwości. Wiedział o zainteresowaniach Holgera Erikssona i o wycieczce Gösty Runfeldta do Nairobi. Od tego mogli wyjść. Poza tym mordercy nie zależało na zatarciu śladów zbrodni. Wręcz przeciwnie, chciał, by ofiary odnaleziono.

Po co się coś demonstruje? Żeby ktoś to zauważył. Czy o tym myślał morderca? Ale co zamierzał pokazać? Że właśnie ci dwaj mężczyźni nie żyją? Nie tylko to. Chciał, by nikt nie wątpił, że zginęli w męczarniach i że ich śmierć była precyzyjnie zaaranżowana.

To tylko hipoteza, pomyślał z rosnącym niesmakiem. Gdyby się potwierdziła, morderstwo Holgera Erikssona i Gösty Runfeldta przekraczałoby możliwości jego percepcji. Nawet jeśli nie byłoby kolejnych ofiar, to z pewnością by się okazało, że Holger Eriksson, Gösta Runfeldt i ich zabójca należeli do jakiejś wspólnoty. Na przykład brali udział

w afrykańskiej wojnie jako najemnicy.

Nagle naszła go ochota na papierosa. Mimo że kilka lat temu bezboleśnie skończył z nałogiem, czasami chciał do niego wrócić. Tak jak teraz. Usiadł z tyłu. Punkt siedzenia to punkt widzenia. Po chwili zapomniał o papierosach. Przede wszystkim muszą znaleźć jakieś związki Holgera Erikssona z Göstą Runfeldtem. Mogą być niezauważalne, ale z pewnością istnieją. Najpierw powinni zebrać o nich jak najwięcej informacji. Z pozoru dużo ich dzieliło. W pierwszym rzędzie wiek. Należeli do różnych pokoleń. Holger Eriksson mógłby być ojcem Gösty Runfeldta. Ale gdzieś ich życiorysy się przecinały. I na tym powinni się skoncentrować. Wallander nie widział innej możliwości.

Zadzwoił telefon. Ann-Britt Höglund.

– Czy coś się stało? – zapytał.

– Nie, dzwonię z czystej ciekawości.

– Rozmowa z kapitanem Hanzellem była pożyteczna. Okazuje się, że Harald Berggren może dzisiaj występować pod innym nazwiskiem. W pisemnych albo ustnych umowach najemnicy często je zmieniali.

– To nam utrudni poszukiwania.

– W pierwszej chwili też tak pomyślałem. Że to igła w stogu siana. Ale wcale nie musi tak być. Ilu ludzi zmienia nazwisko? Prędzej czy później uda nam się to ustalić.

– Gdzie jesteś?

– Nad morzem. W Nybrostrandzie.

– Co robisz?

– Myślę – odparował zbyt ostro, jakby nie wiedzieć czemu uznał, że musi się bronić.

– No to nie przeszkadzam.

– Wcale mi nie przeszkadzasz. Za chwilę wracam do Ystadu. Po drodze zajrzę do Lödinge.

– W jakimś konkretnym celu?

– Nie, chciałbym odświeżyć pamięć. Potem zahaczę o mieszkanie Runfeldta. Mniej więcej o trzeciej. Byłoby dobrze, gdyby mogła tam przyjść Wania Andersson.

– Załatwione.

Wallander uruchomił silnik i pojechał do Lödinge. Nie domyślał wszystkiego do końca, ale coś tam pchnął naprzód. Wiedział, jaki kierunek powinni obrać. Choć sonda, którą zapuścił, okazała się głębsza, niż

przypuszczał.

Ciut minął się z prawdą, informując Ann-Britt Höglund, że zajrzy do obejścia Holgera Erikssona, żeby odświeżyć sobie pamięć. Chciał obejrzeć jego dom tuż przed ponowną wizytą w mieszkaniu Runfeldta w celach czysto porównawczych. Żeby wyłowić ewentualne różnice i podobieństwa.

Przed zagrodą Holgera Erikssona stały dwa samochody. Kto to może być? Fotoreporterzy poświęcający swój czas na robienie ponurych jesien-nych zdjęć z miejsca zbrodni? Wszystko się wyjaśniło, kiedy wszedł na podwórze. Zastał tam znajomego adwokata z Ystadu i dwie kobiety. Młodsza była w jego wieku.

– Jestem egzekutorem testamentu Holgera Erikssona – oznajmił Bjurman, wyciągając rękę na powitanie. – W komendzie uzyskałem informację, że policja zakończyła oględziny.

– Niczego nie zakończymy, dopóki nie schwytemy sprawcy – skwitował Wallander. – Ale nie mamy nic przeciwko temu, żeby państwo obejrzeli dom.

Przypomniał sobie, że Bjurman rzeczywiście jest egzekutorem testamentu Erikssona i że Martinsson się z nim kontaktował.

Bjurman przedstawił go dwóm nieznanym kobietom. Starsza z odrazą uściśnęła mu dłoń, jakby spoufalanie się z policjantami uwłaczało jej godności. Wyczulony na tym punkcie Wallander od razu się zjeżył. Młodsza kobieta była sympatyczna.

– Pani Martensson i pani von Fessler są z Muzeum Kultury w Lundzie – wyjaśnił Bjurman. – Holger Eriksson zapisał muzeum większość swojego majątku. Sporządził dokładną listę mienia ruchomego. Właśnie zamierzaliśmy wszystko przejrzeć.

– Proszę dać mi znać, gdyby czegoś brakowało – powiedział Wallander. – Nie będę państwu przeszkadzał. Zostanę tu tylko przez chwilę.

– Czy policja naprawdę nie znalazła mordercy? – spytała starsza kobieta o nazwisku von Fessler.

Wallander odczytał w jej słowach źle skrywaną krytykę.

– Nie – odparł. – Policja nie znalazła.

Uznał, że musi zakończyć tę rozmowę, zanim się na dobre zdenerwuje. Odwrócił się i wszedł do domu. Żeby się odizolować i nie słyszeć głosów dobiegających z podwórza, zamknął drzwi. Pod nogami przemknęła mu mysz i schowała się za kufrem na ubrania. Jesień, pomyślał. Polne myszy

szukają czterech ścian. Zbliża się zima.

Powoli i w skupieniu obchodził dom. Nie rozglądał się za niczym szczególnym, chciał jak najwięcej zapamiętać. Zajął mu to ponad dwadzieścia minut. Kiedy wyszedł, Bjurman i kobiety byli w jednym z dwóch pozostałych budynków. Postanowił ulotnić się bez słowa. Spojrzał na pole. Wrony już nie hałasowały nad rowem. Zatrzymał się przy samochodzie. Bjurman coś powiedział. Nie mógł sobie przypomnieć, co to było. Wrócił na podwórze, otworzył drzwi do pomieszczenia gospodarczego i przywołał Bjurmana.

– Co pan powiedział o testamencie? – spytał.

– Że Holger Eriksson zapisał większość majątku Muzeum Kultury w Lundzie.

– Większość? Czyli nie wszystko?

– Legat w wysokości stu tysięcy koron trafi gdzie indziej.

– Gdzie?

– Do kościoła w parafii Berg. W Svenstaviku. Do wykorzystania zgodnie z decyzją rady parafialnej.

Wallander nigdy nie słyszał o tej miejscowości.

– Czy Svenstavik jest w Skanii? – zapytał z wahaniem.

– W południowej Jamtlandii. Kilkadziesiąt kilometrów od granicy z Harjedalen.

– Co Holger Eriksson miał wspólnego ze Svenstavikiem? Myślałem, że urodził się w Ystadzie.

– Niestety, nie wiem. Holger Eriksson był bardzo skryty.

– Nie uzasadnił tej darowizny?

– Testament Holgera Erikssona jest nienaganny, zwięzły i rzetelny. Nie zawiera motywacji natury uczuciowej. Zgodnie z jego ostatnią wolą kościół w Svenstaviku ma otrzymać sto tysięcy koron. I tak się stanie.

Wallander nie miał więcej pytań. Wsiadł do samochodu i zadzwonił do komendy. Odebrała Ebba. Właśnie z nią chciał rozmawiać.

– Znajdź numer telefonu do pastoratu w Svenstaviku – powiedział. – Albo może w Ostersundzie. To chyba najbliższe miasto.

– Gdzie jest ten Svenstavik? – zapytała.

– Nie wiesz? W południowej Jamtlandii.

– Oj, jakiś ty obeznany.

Wallander domyślił się, że go przejrzała, więc się przyznał, że się dowiedział od Bjurmana.

– Jak będziesz miała ten numer, odezwij się. Jadę teraz do mieszkania Gösty Runfeldta.

– Lisa Holgersson koniecznie chce z tobą pomówić. Bez przerwy wydzwaniają dziennikarze. Konferencja prasowa jest przesunięta na wpół do siódmej wieczorem.

– To mi odpowiada.

– Dzwoniła twoja siostra. Chciała zamienić z tobą kilka słów, zanim wróci do Sztokholmu.

Nagle i dotkliwe przypomnienie o śmierci ojca. Nie mógł się dać ponieść uczuciom. Nie teraz.

– Zadzwoń do niej. Ale najważniejszy jest pastorat w Svenstaviku.

I pojechał do Ystadu. Po drodze zatrzymał się przed kioskiem na hamburgera. Był bez smaku. Już miał wsiąść do samochodu, ale zmienił zamiar i zamówił kiełbasę. Jadł w pośpiechu, jakby robił coś zakazanego i bał się, że ktoś go na tym przyłapie. Potem udał się na Vastra Vallgatan. Przed domem Gösty Runfeldta stał stary samochód Ann-Britt Höglund.

Wiał porywisty wiatr.

Wallander kulił się z zimna, szybko przecinając ulicę.

Kiedy zadzwonił do mieszkania Runfeldta, drzwi otworzył Svedberg.

– Ann-Britt Höglund musiała pojechać do domu – wyjaśnił. – Jedno z dzieci zachorowało. Jej samochód nie chciał zapalić, więc wzięła mój. Niedługo powinna wrócić.

Wallander wszedł do salonu.

– Czyżby Nyberg już skończył? – spytał zdziwiony.

– Nic nie wiesz? – odpowiedział pytaniem Svedberg.

– O czym?

– O tym, co mu się przytrafiło.

– Nic nie wiem. Co mu się przytrafiło?

– Pośliznął się na płamie ropy przed komendą i upadł tak niefortunnie, że zerwał sobie ścięgno w lewej stopie.

Jest w szpitalu. Powiedział, że może pracować, ale musi mieć kulę. Był dosadny i, oczywiście, wściekły.

Wallander pomyślał o Svenie Tyrenie, który zaparkował cysterne przed wejściem do komendy. Postanowił nic o tym nie mówić.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Przyszła Wania Andersson. Była bardzo blada. Wallander skinął na Svedberga, który od razu zniknął w gabinecie

Gösty Runfeldta. Zaprowadził Wanę Andersson do salonu. Obecność w tym mieszkaniu wyraźnie ją przerażała. Zawahała się, kiedy poprosił, żeby usiadła.

– Wiem, że to nieprzyjemne – powiedział. – Ale nie spotkalibyśmy się tutaj, gdyby to nie było absolutnie konieczne.

Skinęła głową. Wallander wątpił jednak, czy go zrozumiała. Tak jak trudno było zrozumieć wszystko, co się stało: to, że Gösta Runfeldt nie pojechał do Nairobi i że został znaleziony martwy w lesie koło Marsvinsholmu.

– Była tu pani już wcześniej – zaczął Wallander. – I ma pani dobrą pamięć. Zapamiętała pani na przykład kolor jego neseseru.

– Znaleźliście go?

Wallander uświadomił sobie, że nawet nie zaczęli szukać. Kompletnie mu to wyleciało z głowy. Przeprosił Wanę Andersson i poszedł do Svedberga, który metodycznie przepatrywał regał.

– Słyszałeś coś o neseserze Runfeldta?

– Miał neseser?

Wallander pokręcił głową.

– Nieważne. Porozmawiam z Nybergiem.

Wrócił do salonu. Wania Andersson siedziała nieruchomo na kanapie. Z pewnością chciałaby stąd jak najszybciej wyjść, pomyślał. Jakby wdychanie powietrza w tym miejscu przychodziło jej z ogromnym trudem.

– O neseserze jeszcze porozmawiamy – powiedział. – Teraz chciałbym prosić, żeby się pani rozejrzała po mieszkaniu i zastanowiła nad tym, czy czegoś nie brakuje.

Spojrzała na niego przerażona.

– Skąd miałabym to wiedzieć? Byłam tu zaledwie kilka razy.

– Może się jednak zdarzyć, że coś się pani rzuci w oczy. To ważne. Wszystko jest ważne, jeśli mamy znaleźć zabójcę. Pani na pewno też tego chce.

Wybuchnęła płaczem. Choć Wallander się tego spodziewał, był zaskoczony. W drzwiach pojawił się Svedberg. Jak zwykle w podobnych sytuacjach, Wallander nie miał pojęcia, co robić. Ciekawe, czy dzisiejszych aspirantów uczy się pocieszania płaczących. Przy okazji zapyta o to Ann-Britt Höglund.

Svedberg przyniósł z łazienki chusteczkę higieniczną. Wania Andersson przestała płakać równie nagle, jak zaczęła.

– Przepraszam – wyszeptała. – Ale to takie trudne.
– Wiem – powiedział Wallander. – Nie ma za co przepraszać. Wydaje mi się, że ludzie płaczą zdecydowanie za rzadko.

Popatrzyła na niego.

– Ja też – dodał.

Po chwili podniosła się z kanapy. Mogła zaczynać.

– Niech się pani nie spieszy – poradził Wallander. – Proszę sobie przypomnieć, jak tu było za pani ostatniej bytności, kiedy przysłała pani podlać kwiaty.

Przyglądał się jej. Usłyszał, że Svedberg klnie w gabinecie. Poszedł do niego i położył palec na ustach. Svedberg kiwnął głową. Zrozumiał. Wallander często myślał o tym, że ważne momenty w skomplikowanych śledztwach zdarzają się albo podczas rozmów, albo w absolutnej ciszy. Niejednokrotnie tego doświadczył. Teraz chodziło o zachowanie ciszy. Widział, że Wania Andersson bardzo się stara.

Niestety, bez rezultatu.

Usiadła na kanapie w salonie i pokręciła głową.

– Wszystko wygląda jak zwykle. Nie widzę, żeby czegoś brakowało albo żeby coś się zmieniło.

Wallander nie był zaskoczony. Zauważyłby, gdyby podczas przepatrywania mieszkania nagle się zatrzymała.

– Czy nic więcej pani sobie nie przypomniała? – zapytał.

– Myślałam, że jest w Nairobi. Podlewałam mu kwiaty i zajmowałam się kwaciarnią.

– Jedno i drugie robiła pani wspaniale. Dziękuję, że pani przysłała. Na pewno znowu się odezwiemy.

Odprowadził ją do drzwi. Ledwie wyszła, Svedberg wychynął z toalety.

– Chyba niczego nie brakuje – powiedział Wallander.

– On mi wygląda na kogoś skomplikowanego. W gabinecie jest przedziwna mieszanka bałaganu i pedantycznego porządku. Porządek dotyczy kwiatów. W życiu nie myślałem, że jest tyle książek o orchideach. Za to w papierach ma niesamowity bajzel. W księgach rachunkowych za rok 1994 znalazłem deklarację podatkową z 1969. Wykazał zawrotny dochód w wysokości trzydziestu tysięcy koron.

– Ciekawe, ile myśmy wtedy zarabiali. Pewnie dużo mniej. Wydaje mi się, że dostawaliśmy około dwóch tysięcy miesięcznie.

Zastanawiali się w milczeniu nad swoimi pensjami sprzed lat.

– Szukaj dalej – powiedział po chwili Wallander.

Svedberg wrócił do gabinetu. Wallander stanął przy oknie i patrzył na port. Otworzyły się drzwi wejściowe. To na pewno Ann-Britt Höglund, bo miała klucze.

Wyszedł do przedpokoju.

– Mam nadzieję, że to nic poważnego?

– Jesienne przeziębienie. Mąż jest gdzieś w Indochinach. Ratuje mnie sąsiadka.

– Często o tym myślałem. Wydawało mi się, że uczynne sąsiadki zniknęły pod koniec lat pięćdziesiątych.

– Może i tak. Ale mnie się poszczęściło. Ona ma około pięćdziesiątki i jest bezdietna. Poza tym nie robi tego za darmo. I czasami odmawia.

– I jak sobie wtedy radzisz?

Wzruszyła ramionami.

– Improvizuję. Jeśli potrzebuję kogoś wieczorem, staram się załatwić opiekunkę do dzieci. Sama nie wiem, jak mi się to udaje sklecić do kupy. A jak się nie udaje, spóźniam się do pracy. Nie sędzę, żeby mężczyźni rozumieli, ile jest komplikacji, kiedy na przykład któreś z dzieci zachoruje.

– Pewnie nie rozumieją. Może moglibyśmy przyznać twojej sąsiadce jakieś wyróżnienie.

– Zamierza się przeprowadzić. Wolę nie myśleć, co wtedy będzie.

Milczeli.

– Była tu? – spytała po chwili Ann-Britt Höglund.

– Tak, przyszła i poszła. Wygląda na to, że nic nie zniknęło z mieszkania. Ale Wania Andersson przypomniała mi o neseserze Gösty Runfeldta. Przyznaję, że kompletnie o tym zapomniałem.

– Ja też. Ale o ile wiem, nie było go w lesie. Rozmawiałam z Nybergiem chwilę przedtem, kiedy skrzył stopę.

– No tak, czyli przez jakiś czas będzie w fatalnym humorze.

– Zaproszę go na kolację – powiedziała wesoło Ann-Britt Höglund. – Lubi gotowaną rybę.

– Skąd wiesz?

– Bo już kiedyś u mnie był. To bardzo miłe towarzystwo przy kolacji. Mówi dosłownie o wszystkim z wyjątkiem pracy.

Wallander zastanawiał się, czy i jego można by uznać za miłe towarzystwo przy kolacji. Na pewno stara się nie rozmawiać o pracy. Ciekawe,

kiedy ostatnio ktoś go zaprosił na kolację? To było tak dawno, że nie mógł sobie przypomnieć.

– Są już córka i syn Runfeldta – poinformowała Ann-Britt Höglund. – Hansson się nimi zajął.

Weszli do salonu. Wallander patrzył na zdjęcie żony Gösty Runfeldta.

– Powinniśmy się dowiedzieć, co się stało – powiedział.

– Utonęła.

– Przydałoby się więcej szczegółów.

– Hansson wie, o co chodzi. Zazwyczaj jest bardzo dociekliwy. Na pewno spyta ich o mamę.

Hansson miał dużo złych stron. Ale bez wątpienia potrafił rozmawiać ze świadkami i gromadzić niezbędne informacje. Na przykład o dzieciach, kiedy przesłuchiwał rodziców, lub – tak jak teraz – o rodzicach.

Wallander zrelacjonował przebieg spotkania z Olofem Hanzellem. Słuchała z uwagą. Sporo rzeczy pominął. Najważniejsze było to, że Harald Berggren mógł obecnie żyć pod innym nazwiskiem. Wspomniał jej o tym wcześniej w rozmowie telefonicznej. Zorientował się, że o tym myślała.

– Jeśli zarejestrował zmianę nazwiska, możemy to sprawdzić w urzędzie patentowo-rejestrowym – zaproponowała.

– Wątpię, żeby najemnik wybrał taki formalny sposób. Ale, naturalnie, sprawdzimy to. To i wszystko inne. Co będzie uciążliwe.

Potem opowiedział o przypadkowym spotkaniu z kobietami z Lundu i z Bjurmanem przed domem Holgera Erikssona.

– Kiedyś zwiedzaliśmy z mężem Norrlandię – powiedziała. – Pamiętam, że przejeżdżaliśmy przez Svenstavik.

Wallander coś sobie przypomniał i wyjął z kieszeni komórkę.

– Ebba miała mi podać numer telefonu do pastoratu.

No tak, komórka była wyłączona. Wkurzył się na własne niedbalstwo. Ann-Britt Höglund daremnie próbowała powstrzymać uśmiech. Wiedział, że zachował się bezmyślnie, i wybrał numer do komendy. Zanotował go na marginesie gazety długopisem Ann-Britt Höglund. Ebba rzeczywiście dzwoniła do niego wielokrotnie.

Do salonu wszedł Svedberg z plikiem papierów w rękę. Wallander zobaczył, że to przekazy pieniężne.

– Chyba coś mamy – powiedział Svedberg. – Wygląda na to, że Gösta Runfeldt wynajmował lokal na Harpegatan. Raz w miesiącu płacił ko-

morne. Poza tym nie przechowywał tych przekazów razem z rachunkami i kwitami mającymi związek z kwiaciarnią.

- Harpegatan? – spytała Ann-Britt Höglund. – Gdzie to jest?
- Niedaleko Nattmanstorgu – odparł Wallander. – W śródmieściu.
- Czy Wania Andersson mówiła coś o tym lokalu?
- Pytanie, czy o nim wiedziała. Zaraz to sprawdzę.

Wallander poszedł do kwiaciarni. Skulił się i wstrzymywał oddech na porywistym wietrze. Wania Andersson była sama. Znów odurzył go intensywny zapach kwiatów. Pomyślał o podróży do Rzymu i o ojcu, którego już nie ma, i wypełniło go bolesne uczucie bezdomności. Szybko je stłumił. Jest policjantem. Nie ma czasu na żalobę. Nie teraz.

– Chciałbym pani zadać tylko jedno pytanie – zaczął. – Na które z pewnością może pani od razu odpowiedzieć twierdząco lub przecząco.

Zwróciła ku niemu bladą i przestraszoną twarz. Pomyślał, że niektórzy sprawiają wrażenie zawsze przygotowanych na najgorsze. Tak jak Wania Andersson. Ale przecież nie mógł mieć do niej o to pretensji.

– Czy coś pani wiadomo o tym, żeby Gösta Runfeldt wynajmował lokal na Harpegatan? – spytał.

Pokręciła głową.

– Jest pani pewna?

– Gösta nie miał żadnego innego lokalu prócz tej kwiaciarni.

Wallanderowi nagle zaczęło się spieszyć.

– Tylko tyle chciałem wiedzieć.

Kiedy wrócił do mieszkania Runfeldta, Svedberg i Ann-Britt Höglund zdążyli zebrać wszystkie klucze, jakie tylko udało im się znaleźć. Wsiedli do samochodu Svedberga i pojechali na Harpegatan. Zwyczajna czynszowa kamienica. Na liście lokatorów nie było nazwiska Runfeldta.

– Z przekazów pieniężnych wynika, że chodzi o pomieszczenie piwniczne – zauważył Svedberg.

Zeszli pół piętra niżej. Wallander poczuł kwaskowaty zapach zimowych jabłek. Svedberg zaczął próbować klucze. Dwunasty pasował. Stanęli w korytarzu i patrzyli na szereg stalowych drzwi pociągniętych czerwoną farbą.

Ann-Britt znalazła te właściwe.

– Myślę, że to tutaj – powiedziała.

Wallander i Svedberg podeszli do niej. Na drzwiach była nalepka z motywem kwiatowym.

– Orchidea – skonstatował Svedberg.

– Sekretne pomieszczenie – powiedział Wallander.

Svedberg zajął się kluczami. Wallander zauważył dodatkowy zamek.

W końcu coś zaskoczyło. Wallander czuł narastające napięcie. Svedberg manipulował przy następnych zamkach. Kiedy zostały mu tylko dwa klucze, popatrzył na nich i skinął głową.

– Wchodzimy – powiedział Wallander.

Svedberg otworzył drzwi.

16

Opadł go strach.

Trochę za późno. Svedberg już otworzył drzwi. Wallander czekał na eksplozję. Skończyło się na tym, że Svedberg, obmacując dłonią ścianę i pomrukując, szukał kontaktu. Później Wallander musiał przyznać, że jego strach był żenujący. Niby dlaczego Runfeldt miałby zabezpieczać piwnicę ładunkami wybuchowymi?

W końcu Svedberg znalazł kontakt i zapalił światło. Rozglądali się. Małe okna na poziomie ulicy były okratowane również od środka. Pewnie Gösta Runfeldt sam to sfinansował.

Wystrój typowo biurowy. Szafy na dokumenty, biurko, telefon, faks, kopiarka. Na stoliku pod ścianą ekspres do kawy i kilka filiżanek na ręczniku.

– Wejdziemy czy poczekamy na Nyberga? – spytał Svedberg, zakłócając Wallanderowi tok myśli.

Nie spieszył się z odpowiedzią. Próbował zrozumieć swoje pierwsze wrażenia. Dlaczego Gösta Runfeldt wynajął tę piwnicę i kwity opłat za jej wynajem trzymał w innym miejscu niż księgi rachunkowe? Dlaczego Wania Andersson nic o tym nie wiedziała? I w końcu pytanie najważniejsze: Do czego mu ten lokal służył?

– Nie ma łóżka – zauważył Svedberg. – Więc sekretne miłosne gniazdko chyba odpada.

– Żadna kobieta nie czułaby się tutaj romantycznie – stwierdziła nie bez sceptycyzmu Ann-Britt Höglund.

Wallander milczał. Dlaczego Gösta Runfeldt ukrywał istnienie tego

biura? Bo nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że to jest biuro. Obrzucił wzrokiem ściany. Zobaczył jeszcze jedne drzwi. Skinął na Svedberga. Svedberg podszedł i nacisnął klamkę. Otwarte. Zajrzał do środka.

– Wygląda jak ciemnia fotograficzna – powiedział. – Wyposażona we wszystko, co trzeba.

Wallander pomyślał, że powód, dla którego Runfeldt wynajmował ten lokal, może być bardzo prosty i zrozumiały. Robił dużo zdjęć. Widzieli je u niego w mieszkaniu. Bogata kolekcja orchidei z całego świata. Ludzi fotografował rzadko, przeważnie decydował się na czarno-białe odbitki, mimo że śliczne kolory kwiatów powinny zachęcać fotografa do ich wiernego odtworzenia.

Wallander i Ann-Britt Höglund zajrzeli Svedbergowi przez ramię. Rzeczywiście. Mała ciemnia fotograficzna. Wallander uznał, że nie muszą czekać na Nyberga. Sami przeszukają pomieszczenia.

Przede wszystkim rozglądał się za neseserem. Nie znalazł. Usiadł przy biurku i przerzucał leżące na nim papiery. Svedberg i Ann-Britt Höglund zajęli się szafami. Wallander przypomniał sobie jak przez mgłę, że dawno temu, któregoś wieczora zakrapianego whisky, Rydberg podzielił się z nim refleksją, że policjant niewiele się różni od rewizora. Obaj poświęcają dużo czasu na wertowanie papierów. Jeśli to prawda, to właśnie kontrolują księgi nieboszczyka, w których, niczym na utrzymanym w tajemnicy koncju, powinny być informacje o lokalu biurowym przy Harpegatan w Ystadzie.

Powysuwał szuflady. W górnej leżał laptop. Wallander miał słabe pojęcie o obsłudze. Często prosił o pomoc, kiedy musiał coś sprawdzić na swoim komputerze w komendzie. Wiedział, że Svedberg i Ann-Britt Höglund dobrze sobie z tym radzą i traktują komputery jako oczywiste narzędzie pracy.

– Zobaczmy, co tu jest – powiedział, kładąc laptop na blacie.

Wstał z krzesła, ustępując miejsca Ann-Britt Höglund. W ścianie koło biurka było gniazdko. Ann-Britt Höglund podniosła pokrywę i włączyła komputer. Po chwili zapalił się monitor. Svedberg nie odstępował szafy z dokumentami.

– Żadnych kodów ani haseł – wymruczała.

Wallander pochylił się nad nią tak nisko, że poczuł dyskretny zapach perfum. Pomyślał o swoich oczach. Nie może dłużej zwlekać. Musi mieć okulary.

– O, książka adresowa – powiedziała.

– Zobacz, czy jest Harald Berggren.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Myślisz?

– Nic nie myślę. Nie zaszkodzi sprawdzić.

Svedberg zostawił szafę w spokoju i stanął obok Wallandera. Po chwili Ann-Britt Höglund przecząco pokręciła głową.

– Holger Eriksson? – zaproponował Svedberg.

Też nic.

– Spróbuj na chybił trafił – powiedział Wallander.

– Lennart Skoglund. Otworzyć?

– Przecież to Nacka! – wykrzyknął Svedberg.

Spojrzeli na niego, nic nie rozumiejąc.

– Był taki znany piłkarz Lennart Skoglund – wyjaśnił Svedberg. – Miał ksywkę „Nacka”. Nie słyszeliście o nim?

Wallander skinął głową. Ann-Britt Höglund nic o nim nie wiedziała.

– Skoglund to popularne nazwisko – powiedział Wallander. – Przyjrzyjmy mu się.

Otworzyła. Wallander zmrużył oczy i odczytał krótką notkę: „Lennart Skoglund. Początek – 10 czerwca 1994. Koniec – 19 sierpnia 1994. Bez sankcji. Sprawa umorzona”.

– Co to jest? – spytał Svedberg. – Sprawa umorzona? Jaka sprawa?

– My też moglibyśmy coś takiego napisać – zauważyła Ann-Britt Höglund.

W tym momencie Wallander znalazł ewentualne wyjaśnienie. Pomyślał o sprzęcie, który Gösta Runfeldt zamówił w firmie wysyłkowej z Borasu, o ciemni i sekretnym biurze. Choć wydawało się to nieprawdopodobne, było całkiem możliwe.

Wyprostował się.

– Rodzi się pytanie – zaczął – czy Gösta Runfeldt nie miał innych zainteresowań prócz orchidei i czy nie był, jak to się mówi, prywatnym detektywem. – Mimo wielu wątpliwości postanowił podjąć ten trop. – Wydaje mi się, że mam rację. Spróbujcie mnie przekonać, że tak nie jest. Dokładnie wszystko przeszukajcie. Pamiętajcie o Holgerze Erikssonie. Niech jedno z was się skontaktuje z Wanią Andersson. Niewykluczone, że mogła coś widzieć albo słyszeć o czymś, co ma związek z tą detektywistyczną działalnością. Ja pojedę do komendy i porozmawiam

z dziećmi Gösty Runfeldta.

– A co z konferencją prasową o wpół do siódmej? – spytała Ann-Britt Höglund. – Obiecałam, że przyjdę.

– Będzie lepiej, jeśli zostaniesz tutaj.

Svedberg chciał dać Wallanderowi kluczyki do swojego samochodu.

– Nie, dziękuję. – Wallander pokręcił głową. – Wezmę swój. Przyda mi się trochę ruchu.

Ledwie wyszedł na ulicę, od razu pożałował tej decyzji. Wiał przenikliwy wiatr i było coraz chłodniej. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie powinien najpierw pójść do domu po cieplejszy sweter. Ale zrezygnował. Szkoda czasu. Poza tym odczuwał niepokój. Dokonali nowych odkryć, które nie pasowały do układanki. Dlaczego Gösta Runfeldt był prywatnym detektywem? Szybko przeszedł przez miasto i wsiadł do samochodu. Strzałka poziomu paliwa pokazywało zero, świeciła się czerwona lampka. Nie zawracał sobie jednak głowy tankowaniem. Gnał go niepokój.

Był w komendzie parę minut przed wpół do piątej. Ebba dała mu plik kartek z numerami telefonów. Włożył go do kieszeni kurtki i kiedy wszedł do swojego pokoju, skontaktował się z Lisą Holgersson. Potwierdziła, że konferencja jest o wpół do siódmej. Obiecał się tym zająć, choć bez entuzjazmu. Irytowały go natarczywe i insynuujące pytania dziennikarzy. Kilka razy do najwyższych kręgów policyjnych w Sztokholmie wpłynęły skargi pod jego adresem. Wallander uświadamiał sobie wtedy, że jest znany nie tylko w gronie najbliższych kolegów. Stał się jednym z policjantów ogólnokrajowych. Na dobre i na złe.

Wallander poinformował ją o wynajmowanych przez Göstę Runfeldta pomieszczeniach piwnicznych na Harpegatan, zachowując na razie dla siebie hipotezę o jego detektywistycznej działalności. Kiedy zakończył rozmowę z Lisą Holgersson, zadzwonił do Hanssona. Była u niego córka Runfeldta. Postanowili spotkać się na chwilę na korytarzu.

– Syna odesłałem – powiedział Hansson. – Zatrzymał się w hotelu „Selkgarden”.

Wallander skinął głową. Wiedział, gdzie to jest.

– No i?

– Tyle, co nic. Potwierdził, że Gösta Runfeldt był pasjonatem orchidei.

– A matka?

– Nieszczęśliwy wypadek. Chcesz szczegóły?

– Nie teraz. Co mówi córka?

– Właśnie miałem zacząć. Sporo czasu zajęła mi rozmowa z synem. Staram się to robić gruntownie. Aha, syn mieszka w Arvice, a córka w Eskilstunie.

Wallander spojrział na zegarek. Za kwadrans piąta. Powinien się przygotować do konferencji prasowej. Ale parę minut może poświęcić córce Runfeldta.

– Chciałbym jej zadać kilka pytań. Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu?

– A czemu miałbym mieć?

– Te pytania mogą cię trochę zaskoczyć. Później ci wszystko wyjaśnię.

Weszli do pokoju Hanssona. Na krzesła dla gości siedziała młoda kobieta. Miała nie więcej niż dwadzieścia trzy, góra dwadzieścia cztery lata. Chyba była podobna do ojca. Wstała na jego widok. Uśmiechnął się i podał jej rękę. Hansson oparł się o futrynę, Wallander zajął jego miejsce przy biurku. Zauważył, że krzesło jest całkiem nowe. Ciekawe, jak mu się udało to załatwić. Jego było w opłakanym stanie.

Hansson zanotował na kartce imię i nazwisko: „Lena Lonnerwall”. Wallander zerknął na Hanssona, który skinął głową. Potem zdjął kurtkę i położył ją na podłodze obok krzesła. Córka Runfeldta cały czas go obserwowwała.

– Chciałbym zacząć od wyrazów współczucia – powiedział. – Proszę przyjąć moje kondolencje.

– Dziękuję.

Była opanowana. Ulżyło mu, że nie wybuchnie płaczem.

– Nazywa się pani Lena Lonnerwall i mieszka pani w Eskilstunie – podjął. – Jest pani córką Gösty Runfeldta.

– Tak.

– Pozostałymi danymi personalnymi, których podanie jest, niestety, konieczne, zajmie się inspektor Hansson. Ja mam tylko kilka pytań. Czy jest pani mężatką?

– Tak.

– Gdzie pani pracuje?

– Jestem trenerem koszykówki.

Wallander zastanawiał się nad jej odpowiedzią.

– Czy to znaczy, że uczy pani gimnastyki?

– To znaczy, że jestem trenerem koszykówki.

Wallander pokiwał głową. Dalsze pytania zostawił Hanssonowi. Nigdy dotąd nie spotkał trenera koszykówki płci żeńskiej.

– Czy pani ojciec był kwiaciarzem?

– Tak.

– Przez całe życie?

– W młodości pływał. Ale po ślubie z mamą zrezygnował z tego.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, pani matka utonęła.

– Tak.

Moment wahania, który poprzedził jej odpowiedź, nie uszedł uwagi Wallandera. Wzmógł czujność.

– Kiedy to się stało?

– Mniej więcej dziesięć lat temu. Miałam wtedy trzynaście lat.

Zauważyłam, że jest spięta. Ostrożnie posuwał się naprzód.

– Czy mogłaby pani powiedzieć coś więcej? Jak to się stało i gdzie?

– A jaki to ma związek z moim tatą?

– Do podstawowych rutyn policyjnych należy między innymi ustalenie chronologii – oznajmił Wallander, siląc się na autorytatywny ton.

Hansson wytrzeszczył na niego oczy.

– Niewiele wiem – odparła.

Akurat, pomyślał. Nie chcesz o tym mówić.

– Proszę powiedzieć to, co pani wie.

– Była zima. Rodzice pojechali na niedzielną wycieczkę do Almhultu. Mama wpadła do przerębla. Tata próbował ją ratować, ale się nie udało.

Wallander tkwił nieruchomo na krześle. Myślał o tym, co przed chwilą usłyszał. Coś ocierało się o prowadzone przez nich śledztwo. Nie chodziło o Göstę Runfeldta, tylko o Holgera Erikssona. Wpadł do rowu i nadział się na pale. Matka Leny Lonnerwall wpadła do przerębla. Policyjny instynkt podpowiadał Wallanderowi, że jest tutaj jakiś związek. Ale na czym miałyby polegać? I dlaczego kobieta po drugiej stronie biurka nie chciała mówić o śmierci matki?

Nie zajmował się już nieszczęśliwym wypadkiem, tylko przeszedł do zasadniczej kwestii.

– Pani tata był kwiaciarzem. Poza tym pasjonowały go orchidee.

– Odkąd pamiętam, zawsze opowiadał nam o kwiatach. Mnie i bratu.

– Dlaczego był takim miłośnikiem orchidei?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Dlaczego czymś się pasjonujemy? Czy można na to odpowiedzieć?

Wallander pokręcił głową.

– Czy wiedziała pani, że ojciec był prywatnym detektywem?

Hansson drgnął. Wallander nie spuszczał oczu z Leny Lonnerwall. Sprawiała wrażenie autentycznie zaskoczonej.

– Mój tata miałby być prywatnym detektywem?

– Tak. Wiedziała pani o tym?

– To nie może być prawda.

– Dlaczego?

– Nic nie rozumiem. Nawet nie wiem, co to znaczy. Czyżby w Szwecji byli prywatni detektywi?

– To już inna sprawa. W każdym razie pani ojciec poświęcał czas na działalność detektywistyczną.

– Jak Ture Sventon²? To jedyny szwedzki detektyw, jakiego znam.

– Komiksy możemy sobie darować. Mówię poważnie.

– Ja też. Pierwsze słyszę, żeby się tata czymś takim zajmował. A co robił?

– Za wcześnie na odpowiedź.

Wallander już nie wątpił w jej szczerść. Istniała, naturalnie, i taka możliwość, że się pomylił co do przesłanek, ale w głębi duszy w to nie wierzył. Nie byli jeszcze w stanie przewidzieć konsekwencji odkrycia tajnego lokalu Gösty Runfeldta ani ich wpływu na dalszy bieg śledztwa. Możliwe, że Harpegatan doprowadzi ich do innych tajnych pomieszczeń. Wallander czuł jednak, że to potrzęsęło całym śledztwem. Jakby doszło do ledwie zauważalnego podziemnego wstrząsu. Coś zostało wprowadzone w ruch.

Wstał z krzesła.

– To wszystko – powiedział i wyciągnął rękę na pożegnanie. – Jeszcze się zobaczymy.

Popatrzyła na niego z powagą.

– Kto to zrobił?

– Nie wiem. Ale jestem przekonany, że złapiemy zabójcę lub zabójców pani ojca.

Hansson wyszedł z nim na korytarz.

– Prywatny detektyw? Czy to miał być żart?

– Nie. Znaleźliśmy tajne biuro Runfeldta. Więcej potem.

Hansson skinął głową.

– Ture Sventon nie jest z komiksu – powiedział chwilę później – tylko z cyklu książek.

Ale Wallandera już nie było. Przyniósł sobie kawę do pokoju i zamknął drzwi. Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę i odłożył na widełki. Najchętniej zrezygnowałby z udziału w konferencji prasowej. Miał dużo innych spraw na głowie. Z grymasem niechęci przysunął kołonoatnik i zapisał najważniejsze informacje, które mógł przekazać prasie.

Odchylił się na krześle i spojrzał w okno. Wiatr szalał.

Jeśli morderca posługuje się określonym językiem, pomyślał, może warto mu odpowiedzieć. Jeśli chciał pokazać innym, co robi, możemy dać mu do zrozumienia, że widzieliśmy i że się nie przestraszyliśmy.

Zanotował parę rzeczy i poszedł do Lisy Holgersson. Podzielił się z nią swoimi przemyśleniami. Wysłuchała go z uwagą i skinęła głową. Zrobią tak, jak zaproponował.

Konferencję zwołano w największej sali zebrań. Wallander miał uczucie, jakby cofnął się czas. Wtedy, latem, opuścił wrzaskliwą gromadę dziennikarzy, rozjuszony do żywego. Zauważył sporo znajomych twarzy.

– Cieszę się, że się tego podjąłeś – szepnęła Lisa Holgersson.

– Jest, jak jest – odparł. – Ktoś musi to zrobić.

– Ja tylko zagaję. Reszta należy do ciebie.

Weszli na podium pod krótszą ścianą. Lisa Holgersson przywitała zebranych i oddała głos Wallanderowi, który zauważył, że już zaczyna się pocić.

Dokładnie omówił okoliczności zabójstwa Holgera Erikssona i Gösty Runfeldta. Przedstawił niektóre szczegóły i zaznaczył, że to najbardziej brutalne przestępstwa, z jakimi on i jego koledzy kiedykolwiek mieli do czynienia. Zataił jedynie działalność detektywistyczną Gösty Runfeldta i nie wspominał o tym, że poszukują Haralda Berggrena, byłego najemnika biorącego przed laty udział w afrykańskiej wojnie.

Powiedział za to coś, co uzgodnił wcześniej z Lisą Holgersson. Że policja ma wyraźne ślady i dysponuje poszlakami. Wiedzą, na czym stoją, ale dla dobra śledztwa niczego nie mogą na razie ujawnić.

Przyszło mu to do głowy w chwili, gdy śledztwo drgnęło, poruszone głębokim podziemnym wstrząsem. Myśl była bardzo prosta. Podczas trzęsienia ziemi ludzie uciekają jak najdalej od epicentrum. Sprawca lub sprawcy chcieli, żeby wszyscy dostrzegli sadyzm ich zbrodni i staranne

ich zaplanowanie. Prowadzący śledztwo mogli teraz potwierdzić, że to zobaczyli. Mogli również udzielić dokładniejszej odpowiedzi. Tej mianowicie, że zobaczyli więcej, niż powinni.

Wallander chciał wprawić sprawcę w ruch. Łatwiej zauważyć zdobyczą, która nie siedzi cicho i nie kryje się we własnym cieniu, tylko się przemieszcza.

Zdawał sobie sprawę, że to może nie wypalić, że sprawca może się stać niewidzialny, ale uważał, że warto spróbować.

Poza tym Lisa Holgersson przystała na upublicznienie tej półprawdy.

Nie mieli żadnych śladów. Dysponowali jedynie fragmentaryczną wiedzą, która nie układała się w żadną spójną całość.

Wallander skończył i czekał na pytania. Na większość był przygotowany. Odpowiadał na nie wielokrotnie i będzie je słyszał tak długo, jak długo pozostanie w policji.

Zaczął się niecierpliwić. Lisa Holgersson dała mu znak, że pora kończyć. Wtedy podniósł rękę mężczyzna siedzący w kącie sali. Wallander go nie zauważył i już miał wszystkim podziękować, kiedy Lisa Holgersson zwróciła mu uwagę, że jest jeszcze jedno pytanie.

Mężczyzna wstał.

– Jestem z „Anmarkaren”. Mam jedno pytanie.

Wallander szukał w pamięci. Nigdy nie słyszał o „Anmarkaren”. Zniecierpliwił się jeszcze bardziej.

– Przepraszam, z jakiej pan jest gazety?

– „Anmarkaren”.

Na sali zapanował lekki niepokój.

– Przyznam, że pierwszy raz słyszę o tej gazecie. Jakie pytanie chciał pan zadać?

– „Anmarkaren” ma długą tradycję. – Mężczyzna wydawał się niezruszony. – Pismo o tej nazwie powstało na początku dziewiętnastego wieku i zajmowało się problematyką społeczną. Nasz pierwszy numer po długiej przerwie powinien się wkrótce ukazać.

– Tylko jedno pytanie. Kiedy wyjdzie pierwszy numer, odpowiem na dwa.

Sala się ożywiła. Mężczyzna ani drgnął. Miał w sobie coś z kaznodziei. Wallander zaczął się zastanawiać, czy „Anmarkaren” nie będzie przypadkiem gazetą religijną. Kryptoreligijną. Nowa religia dotarła również do Ystadu. Soderslatt został zdobyty, teraz przyszła kolej na Osterlenden.

– Jaki jest stosunek ystackiej policji do pomysłu powołania gwardii obywatelskiej przez mieszkańców Lödinge? – zapytał mężczyzna.

Wallander nie widział jego twarzy.

– Nie słyszałem, żeby w Lödinge zamierzano popełnić jakieś zbiorowe głupstwo.

– Nie tylko w Lödinge – podjął mężczyzna. – Istnieją plany powołania do życia ogólnokrajowego ruchu społecznego, z organem naczelnym włącznie. Gwardia obywatelska pełniłaby funkcję policji ludowej, ochraniałaby obywateli i zajmowała się tym, czego normalna policja nie robi albo z czym sobie nie radzi. Zaczęto by od Ystadu i okolic.

Na sali zaległa cisza.

– Czym Ystad zasłużył sobie na taki zaszczyt? – spytał Wallander, nie bardzo wiedząc, czy ma traktować mężczyznę z „Anmarkaren” poważnie.

– W ciągu kilku miesięcy doszło do kilku brutalnych zabójstw. Trzeba przyznać, że śledztwo prowadzone latem zakończyło się schwytaniem sprawcy, ale teraz wszystko wskazuje na to, że sytuacja się powtórzy. Ludzie chcą żyć nie tylko w pamięci innych. Szwedzka policja stała się bezsilna wobec przestępczości, która zaczyna wpełzać ze swoich nor. Jedyne gwardia obywatelska jest w stanie rozwiązać problem bezpieczeństwa.

– Branie prawa w swoje ręce nigdy niczego nie rozwiązało – powiedział Wallander. – ystadzka policja ma tylko jedną odpowiedź. Jasną i jednoznaczną. Każdą prywatną inicjatywę powołania służb porządkowych uznamy za bezprawną i będziemy ją zwalczać.

– Czy to znaczy, że jest pan przeciwnikiem gwardii obywatelskiej? – spytał mężczyzna w kącie sali.

Dopiero teraz Wallander zobaczył jego bladą, szczupłą twarz. Postara się ją zapamiętać.

– Tak – odparł. – To znaczy, że jesteśmy przeciwni wszelkim próbom organizowania gwardii obywatelskiej.

– Czy nie jest pan ciekaw, co na to powiedzą mieszkańcy Lödinge?

– Może i jestem. Ale nie zmienimy stanowiska w tej sprawie.

Potem szybko zakończył konferencję.

– Myślisz, że on mówił poważnie? – spytała Lisa Holgersson, kiedy zostali sami w sali zebrań.

– Może. Powinniśmy mieć oko na to, co się dzieje w Lödinge. Jeśli lu-

dzie zaczynają się otwarcie domagać gwardii obywatelskiej, to znaczy, że coś się zmieniło. I że możemy mieć problemy.

Była siódma. Wallander poszedł do siebie, żeby pomyśleć w spokoju. Nie pamiętał, kiedy ostatnio miał tak mało czasu na analizę wydarzeń i przebiegu śledztwa.

Zadzwoił telefon. Natychmiast podniósł słuchawkę. To był Svedberg.

– Jak się udała konferencja prasowa? – zapytał.

– Trochę gorzej niż zwykle. Co u was?

– Chyba powinieś przyjechać. Znaleźliśmy aparat fotograficzny z filmem w środku. Nyberg tu jest. Chcemy wywołać film.

– Czy możemy przyjąć za pewnik, że prowadził podwójne życie i dorabiał sobie jako prywatny szpicel?

– Tak. Poza tym możemy przyjąć coś jeszcze.

Wallander czekał w napięciu.

– Że na filmie są zdjęcia jego ostatniego klienta.

– Już jadę.

Wyszedł z komendy na porywisty wiatr. Po niebie pędziły chmury. Idąc do samochodu, zastanawiał się, czy wędrowne ptaki przelatują podczas tak silnego wiatru.

Po drodze zatankował benzynę. Czuł pustkę. Ciekawe, kiedy znajdzie czas na obejrzenie swojego przyszłego domu. I na to, by pomyśleć o ojcu. Ciekawe, kiedy przyjedzie Bajba.

Spojrzał na zegarek. Czy to czas mija, czy jego życie? Był zbyt zmęczony, żeby to rozstrzygnąć.

Włączył silnik. Było za dwadzieścia pięć ósma. Chwilę później zaparkował na Harpegatan i zszedł do piwnicy.

17

Patrzyli w napięciu na wyłaniające się zdjęcie. Wallander, stojąc w ciemni obok kolegów, nie wiedział, czego się właściwie spodziewa. Z powodu czerwonego światła miał wrażenie, że czekają na coś nieprzyzwoitego. Nyberg skakał na kuli. Ann-Britt Höglund poinformowała Wallandera szeptem, że ich technik jest w wyjątkowo zręcznym humorze.

Kiedy Wallander siedział na konferencji prasowej, koledzy zrobili

postępy. Z całą pewnością Gösta Runfeldt działał jako prywatny detektyw. Po spisie klientów sądząc, parał się tym co najmniej od dziesięciu lat. Najstarsze notki pochodziły z września 1983 roku.

– Nie był zbyt aktywny – powiedziała Ann-Britt Höglund. – Miał nie więcej niż siedem, osiem zleceń w roku. Można by pomyśleć, że się tym bawił w czasie wolnym.

Svedberg zrobił orientacyjny wykaz rodzajów zleceń.

– Około pięćdziesięciu procent dotyczy niewierności jednego z partnerów – stwierdził, zaglądając do notatek. – Co dziwne, najczęściej mężczyźni podejrzewają swoje kobiety.

– Dlaczego dziwne? – spytał Wallander.

Svedberg nie znalazł żadnych sensownych argumentów.

– Myślałem, że jest odwrotnie – powiedział. – Ale co ja mogę o tym wiedzieć.

Przeszło czterdziestoletni Svedberg nie miał żony i nigdy nie wspominał o żadnych związkach męsko-damskich. Wydawał się zadowolony z kawalerskiego stanu.

Wallander dał mu znak, żeby kontynuował.

– Co najmniej dwa zlecenia w roku dostawał od przedsiębiorców podejrzewających pracowników o kradzież. Są też zlecenia dosyć niejasne. Wszystko razem układa się w monotony obraz. Nie prowadził szczegółowych zapisków. W każdym razie sporo brał za te usługi.

– No to już wiemy, skąd miał pieniądze na kosztowne podróże zagraniczne – stwierdził Wallander. – Za wycieczkę do Nairobi, na którą nie pojechał, zapłacił blisko trzydzieści tysięcy koron.

– Ostatnio też miał zlecenie – powiedziała Ann-Britt Höglund.

Położyła na biurku kalendarz. Wallander nie spojrzał. Znów pomyślał o okularach, których do tej pory nie załatwił.

– Najbardziej typowe – kontynuowała. – Osoba podająca się za „panią Svensson” podejrzewa męża o zdradę.

– Tutaj, w Ystadzie? – spytał Wallander. – Czy pracował też gdzie indziej?

– W 1987 przyjął zlecenie z Markarydu – wyjaśnił Svedberg. – Dalej na północ się nie zapuszczał. Działał wyłącznie na terenie Skanii. W 1991 był dwa razy w Danii i raz w Kilonii. Nie zdążyłem się wczytać w szczegóły, w każdym razie chodziło o maszynistę z jakiegoś promu, który rzekomo romansował z koleżanką kelnerką. Podejrzenia jego żony,

mieszkającej w Skanorze, najwyraźniej się potwierdziły.

– Ale poza tym pracował w okolicach Ystadu?

– Niezupełnie – odparł Svedberg. – W południowej i wschodniej Skanii.

– Czy znaleźliście nazwisko Erikssona? – spytał Wallander.

Ann-Britt Höglund spojrzała na Svedberga, który pokręcił głową.

– Berggrena?

– Też nie.

– A czy trafiliście na jakiś ślad, który mógłby wskazywać na związek między Holgerem Erikssonem i Göstą Runfeldtem?

Nie trafili. Ale przecież musi być jakiś związek, pomyślał Wallander. Dwóch różnych sprawców to niedorzeczność.

Tak jak dwie przypadkowe ofiary. Z całą pewnością coś je łączy, tylko jeszcze tego nie odkryliśmy.

– Nie rozumiem go – przyznała Ann-Britt Höglund. – Bez wątpienia uwielbia kwiaty. A jednocześnie poświęca się pracy detektywa.

– Ludzie rzadko są tacy, jak nam się wydaje – odparł Wallander, zastanawiając się, czy i jego to dotyczy.

– Poza tym nieźle na tym zarabiał – dodał Svedberg. – Jeśli się nie mylę, nie deklarował tych dochodów. Czyżby dlatego utrzymywał tę działalność w tajemnicy? Żeby go nie capnął urząd skarbowy?

– Wątpię – powiedział Wallander. – Prywatny detektyw to w oczach większości dosyć szemrany fach.

– Albo dziecinny – wtrąciła Ann-Britt Höglund. – Zabawa dla mężczyzn, którzy nigdy nie dorośli.

Wallander miał ochotę zaoponować. Ale nie wiedział, co powiedzieć.

Zdjęcie przedstawiało mężczyznę na tle czegoś, czego nie potrafili zidentyfikować. Miał około pięćdziesiątki i rzadkie, krótko obcięte włosy. Nyberg przypuszczał, że zrobiono je z dużej odległości. Niektóre negatywy były nieostre, co mogło świadczyć o tym, że Gösta Runfeldt korzystał z bardzo czułego teleobiektywu.

– Pani Svensson skontaktowała się z nim dziewiątego września – powiedziała Ann-Britt Höglund. – Czternastego i siedemnastego września Runfeldt zanotował, że „pracuje nad zleceniem”.

– Zaledwie kilka dni przed podróżą do Nairobi – zauważył Wallander.

Wyszli z ciemni. Nyberg usiadł przy biurku i przeglądał teczki ze zdjęciami.

– Kim jest pani Svensson? – spytał Wallander.

– Jego notki są niejasne – powiedział Svedberg. – Wygląda na lakonicznego detektywa. Nie ma nawet adresu pani Svensson.

– Jak prywatny detektyw zdobywa klientów? – zainteresowała się Ann-Britt Höglund. – Muszą przecież wiedzieć o jego istnieniu.

– Widziałem ogłoszenia w gazetach – powiedział Wallander. – Może nie w „Ystads Allehanda”, ale w ogólnokrajowych. Na pewno jest jakiś sposób, żeby dotrzeć do pani Svensson.

– Rozmawiałem z tutejszym dozorcą – odezwał się Svedberg. – Myślał, że Runfeldt ma w piwnicy jakiś magazyn. Nie zauważył, żeby ktoś go odwiedzał.

– Pewnie spotykał się z klientami gdzie indziej – skonstatował Wallander. – A to biuro było tajemnicą jego życia.

W milczeniu zastanawiali się nad jego słowami. On tymczasem myślał, co jest teraz najważniejsze. Jednocześnie nie mógł zapomnieć o konferencji prasowej. Niepokoiło go to, co powiedział mężczyzna z „Anmarkaren”. Czy rzeczywiście zaczyna się tworzyć ogólnokrajowa gwardia obywatelska? Jeśli tak, od samosądów dzielił ich tylko krok. Miał ochotę podzielić się swoim niepokojem z Ann-Britt Höglund i Svedbergiem, ale zrezygnował. Pomówią o tym na najbliższym zebraniu. Właściwie Lisa Holgersson powinna to zrobić.

– Musimy znaleźć panią Svensson – powiedział Svedberg. – Ale jak?

– Musimy i znajdziemy – stwierdził Wallander. – Posadzimy człowieka przy telefonie i przejrzymy od początku wszystkie papiery. Ona gdzieś jest. Na pewno. Zajmijcie się tym, a ja porozmawiam z synem Runfeldta.

Wjechał na Osterleden. Wiało bez przerwy. Miasto wydawało się wyludnione. Skręcił w Hamngatan i zaparkował przed pocztą. Żałośnie musiał wyglądać. Policjant w cienkim sweterku zмага się z jesiennym wiatrem w opustoszałym szwedzkim mieście. Szwedzki wymiar sprawiedliwości, pomyślał. Tyle z niego zostało. Przemarznięci policjanci w lichych sweterkach.

Przy Sparbanken skręcił w lewo, gdzie mieścił się hotel „Sekelgarden”. W recepcji siedział młody mężczyzna i coś czytał. Wallander skinął głową.

– Dzień dobry – powiedział chłopiec.

Wallander uświadomił sobie, że go zna. Po chwili przypomniał sobie, że to najstarszy syn jego byłego szefa, Bjorka.

- Kopeę lat. Co u taty?
- Źle się czuje w Malmö.

Nie czuje się źle w Malmö, pomyślał Wallander. Czuje się źle w roli szefa.

– Co czytasz? – spytał.

– O fraktalach.

– O fraktalach?

– To takie pojęcie matematyczne. Studiuję w Lundzie. Tutaj pracuję dorywczo.

– Nieźle. Nie będę wynajmował pokoju. Chciałbym porozmawiać z jednym z gości. Z Bo Runfeldtem.

– Przed chwilą przyszedł.

– Gdzie moglibyśmy usiąść?

– Dzisiaj prawie nikogo nie ma. Może w jadalni – powiedział chłopiec i wskazał w stronę korytarza.

– Będę tam czekał. Zadzwoń do jego pokoju i powiedz, że jestem.

– Czytałem o tym w gazetach. Jak to się dzieje, że jest coraz gorzej?

Wallander popatrzył na niego z zainteresowaniem.

– Co masz na myśli?

– Brutalność. Co innego mógłbym mieć na myśli?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego tak jest. Chociaż na dobrą sprawę nie wierzę w to, co teraz mówię. Bo przecież wiem. Wszyscy wiemy, dlaczego.

Syn Bjorka chciał kontynuować rozmowę, ale Wallander podniósł dłoń i wskazał telefon. Potem poszedł do jadalni. Dlaczego jest gorzej? Brutalniej? I dlaczego nie miał ochoty odpowiadać na to pytanie? Szwecja, w której dorastał, nie została zbudowana na tak stabilnym podłożu, jak im się wydawało. Stała na mokradłach. Już wtedy nowe osiedla opisywano jako nieludzkie. Jak można było wymagać od mieszkających tam ludzi zachowania człowieczeństwa? Ci, którzy czuli się w swoim kraju niepotrzebni albo wręcz niemile widziani, zaczęli reagować agresją i pogardą. Wallander wiedział, że nie ma bezsensownej przemocy. Ma ona sens dla tych, którzy się jej dopuszczają. Dopiero kiedy przyjmie się tę prawdę do wiadomości, będzie można liczyć na zahamowanie tego procesu i na ewentualną poprawę.

Czy w przyszłości są jakieś szanse, żeby funkcjonować w charakterze policjanta? Wielu jego kolegów poważnie zastanawiało się nad zmianą

pracy. Martinsson mówił o tym wielokrotnie, Hanssonowi wyrwało się jeden raz, kiedy zrobili sobie przerwę na kawę. A Wallander parę lat temu wyciął z gazety ogłoszenie o wolnym etacie szefa ochrony w dużej firmie w Trelleborgu.

Ciekawe, co o tym myśli Ann-Britt Höglund. Jest jeszcze młoda. Może pracować w policji przez najbliższe trzydzieści lat.

Przy okazji ją o to spyta. Żeby zrozumieć, jak on sam ma temu podołać.

Wiedział, że obraz, który odmalowuje, ma luki. W ostatnich latach coraz więcej młodych ludzi wstępowało do policji. Tendencja wzrostowa nadal się utrzymywała. Wallander nabierał przekonania, że to wszystko kwestia pokoleniowa.

Miał niejasne uczucie, że się nie myli. Na początku lat dziewięćdziesiątych w ciepłe letnie wieczory siadywał z Rydbergiem na balkonie i rozmawiali o tym, jacy powinni być policjanci w przyszłości. Kontynuowali ten temat podczas choroby Rydberga i w ostatnich dniach jego życia. Nigdzie nie postawili kropki. Czasami się różnili. Ale obaj byli zgodni, że w tym zawodzie liczy się przede wszystkim umiejętność odczytywania znaków czasu, rozumienie procesów społecznych i zachodzących zmian.

Wallander już wtedy myślał, że nie ma racji w jednym decydującym punkcie: Obecnie wcale nie było trudniej być policjantem niż kiedyś.

Jemu było trudniej. Ale to nie to samo.

Usłyszał kroki w korytarzu. Podniósł się, żeby przywitać Bo Runfeldta na stojąco. Bo Runfeldt, wysoki i przystojny, mógł mieć dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem lat. Mocno uścisnął jego dłoń. Kiedy usiedli, Wallander skonstatował, że jak zwykle zapomniał kołnотatnika. Nie był też pewien, czy ma przy sobie długopis. Zastanawiał się, czyby nie poprosić syna Bjorka o papier i coś do pisania. Nie. Postara się zapamiętać. Ale zirytowało go własne niedbalstwo. Było niewybaczalne.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – zaczął Wallander.

Bo Runfeldt skinął głową. Miał intensywnie niebieskie oczy, które lekko mrużył. Wallander pomyślał, że może jest krótkowidzem.

– Wiem, że odbył pan dłuższą rozmowę z moim kolegą, inspektorem Hanssonem – powiedział Wallander. – Ale ja też chciałbym panu zadać kilka pytań.

Bo Runfeldt milczał. Wallander zauważył, że ma przenikliwe spojrze-

nie.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, mieszka pan w Arvice i jest pan rewidentem.

– Pracuję w Price Waterhouse – powiedział Bo Runfeldt.

Ton jego głosu świadczył o tym, że nie ma problemów z wysławianiem się.

– To niezbyt szwedzka nazwa.

– Price Waterhouse jest jedną z największych na świecie firm rewizyjnych. Łatwiej byłoby wymienić te państwa, w których nas nie ma.

– Ale pan pracuje w Szwecji?

– Nie zawsze. Często mam zlecenia w Afryce i w Azji.

– Potrzebują tam rewidentów ze Szwecji?

– Nie, nie ze Szwecji, tylko z Price Waterhouse. Kontrolujemy sporo projektów pomocowych. Sprawdzamy, czy pieniądze trafiają pod właściwy adres.

– I trafiają?

– Różnie to bywa. Czy ma to jakiś związek ze śmiercią mojego ojca?

Wallander zauważył, że Bo Runfeldt słabo ukrywa to, że rozmowa z policjantem uwłacza jego godności. Normalnie Wallander by się wkurzył, zwłaszcza że kilka godzin wcześniej został podobnie potraktowany. Ale w towarzystwie Bo Runfeldta czuł się niepewnie i coś go powstrzymało przed daniem upustu swojej złości. Ciekawe, czy nie odziedziczył tej służalczości po ojcu. Nieraz się płaszczyl przed mężczyznami w lśniących amerykańskich samochodach, którzy przyjeżdżali kupować jego obrazy. Nigdy dotąd o tym nie myślał. Poczucie mniejszej wartości, ukryte pod cienką warstwą demokratycznego werniksu.

Przyglądał się niebieskookiemu mężczyźnie.

– Pana ojciec został zamordowany – powiedział. – To ja decyduję, które pytania są ważne.

Bo Runfeldt wzruszył ramionami.

– Muszę przyznać, że nie wiem zbyt dużo o pracy policji.

– Rozmawiałem dzisiaj z pańską siostrą. Jednemu z pytań, które jej zadałem, przypisuję szczególną wagę. Chciałbym je teraz postawić panu. Czy wiedział pan, że ojciec był nie tylko kwaciarzem, ale także prywatnym detektywem?

Bo Runfeldt siedział bez ruchu. Po chwili wybuchnął śmiechem.

– Już dawno nie słyszałem czegoś równie idiotycznego.

- Idiotyczne czy nie, ale to prawda.
- Prywatny detektyw?
- Prywatny szpicel, jeśli pan woli. Miał biuro. Przyjmował różne zlecenia. Zajmował się tym od co najmniej dziesięciu lat.

Bo Runfeldt zdał sobie sprawę, że Wallander wie, co mówi. Był autentycznie zdumiony.

- Rozpoczął swoją działalność mniej więcej w tym czasie, kiedy utonęła pańska matka.

Wallander znowu miał podobne uczucie jak podczas spotkania z siostrą Bo Runfeldta. Ledwie dostrzegalna zmiana na twarzy, jakby wszedł na teren, od którego powinien trzymać się z daleka.

- Wiedział pan, że ojciec wybiera się do Nairobi – podjął. – Kiedy mój kolega skontaktował się z panem telefonicznie, był pan zaskoczony, że ojciec nie dotarł na lotnisko Kastrup.

- Rozmawiałem z nim w przeddzień wyjazdu.

- Jaki był?

- Jak zwykle. Mówił o podróży.

- Nie zauważył pan żadnych oznak niepokoju?

- Nie.

- Na pewno się pan zastanawiał, co się stało. Czy znajduje pan jakiś prawdopodobny powód, dla którego ojciec mógłby dobrowolnie zrezygnować z podróży? Albo wyprowadzić pana w pole?

- Nie widzę żadnego sensownego wyjaśnienia.

- Wygląda na to, że się spakował i opuścił mieszkanie. Potem wszystkie ślady się urywają.

- Pewnie ktoś na niego czekał.

- Kto? – zapytał po chwili Wallander.

- Nie wiem.

- Czy pański ojciec miał wrogów?

- O ile mi wiadomo, już nie.

Wallander drgnął.

- Co pan rozumie przez „już nie”?

- To, co mówię. Nie sądzę, żeby miał jeszcze jakichś wrogów.

- Mógłby pan to uściślić?

Bo Runfeldt wyjął z kieszeni papierosa. Wallander zauważył, że lekko drży mu ręka.

- Ma pan coś przeciwko temu, jeśli zapalę?

– Nic a nic.

Wallander czekał na dalszy ciąg. Czuł, że zbliża się do czegoś ważnego.

– Nie wiem, czy ojciec miał wrogów – powiedział Bo Runfeldt. – Ale znałem kogoś, kto miał powody, żeby go nie lubić.

– Kto to jest?

– Moja matka.

Bo Runfeldt spodziewał się następnego pytania. Ale nie padło. Wallander milczał.

– Ojciec uwielbiał orchidee – podjął Bo Runfeldt. – Mnóstwo o nich wiedział. Można powiedzieć, że był badaczem samoukiem. Poza tym wyróżniał się czymś jeszcze.

– Czym?

– Brutalnością. Przez wszystkie lata małżeństwa bił matkę. Czasami tak dotkliwie, że musiała szukać pomocy w szpitalu. Próbowaliśmy ją namówić, żeby go zostawiła, ale nic z tego nie wyszło. Bił ją, potem był zrozpaczony, a ona mu ulegała. Ten koszmar skończył się dopiero z jej śmiercią, kiedy utonęła.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, wpadła do przerębla.

– Wiem tyle samo co pan. Tak mi powiedział ojciec.

– Ale pan nie jest o tym przekonany?

Bo Runfeldt rozgniół na wpół wypalonego papierosa w popielniczce.

– Może zawczasu wyrąbała ten przerębel? Może miała już wszystkiego dosyć?

– Czy istniała taka ewentualność?

– W ostatnich latach życia matka kilka razy mówiła o samobójstwie. Ale nie dawaliśmy temu wiary. Z reguły samobójstwa wydają się nierealne dla tych, którzy powinni widzieć i rozumieć, co się dzieje.

Wallander pomyślał o rowie z palami i podpiłowanych deskach. Gösta Runfeldt był brutalny. Bił żonę. Wallander doszukiwał się ukrytych znaczeń w słowach Bo Runfeldta.

– Nie oplakuję ojca – stwierdził Bo Runfeldt. – Nie wydaje mi się, żeby siostra go oplakiwała. Zadręczył matkę na śmierć.

– Czy wobec was nie był brutalny?

– Nigdy. Tylko wobec niej.

– Dlaczego ją bił?

– Nie wiem. Nie powinno się źle mówić o zmarłych, ale ojciec był po-

tworem.

Wallander zastanawiał się.

– Czy nie myślał pan o tym, że ojciec mógł zabić matkę? Że to nie był nieszczęśliwy wypadek?

– Często tak myślałem – bez wahania odparł Bo Runfeldt. – Ale, naturalnie, nie da się tego udowodnić. Nie ma świadków. Tamtego zimowego dnia byli na lodzie sami.

– Jak się nazywa to jezioro?

– Stångsjön. Niedaleko Älmhultu. W południowej Smalandii.

Wallander miał wrażenie, że śledztwo chwyciło się za gardło. Pojawiło się dużo pytań, ale nie było nikogo, komu można by je zadać.

– Czy mówi panu coś nazwisko Berggren? Harald Berggren?

– Nie, nic – odpowiedział po namyśle Bo Runfeldt. – Ale mogę się mylić. To popularne nazwisko.

– Czy pański ojciec kiedykolwiek miał kontakt z najemnikami?

– Nic o tym nie wiem. Pamiętam, że często mi opowiadał o Legii Cudzoziemskiej, kiedy byłem dzieckiem. Mojej siostrze nie.

– A co opowiadał?

– Że to przygoda i że swego czasu marzył o tym, żeby się zaciągnąć. Ale jestem pewien, że nie miał nic wspólnego ani z Legią, ani z najemnikami.

– Czy słyszał pan o Holgerze Erikssonie?

– O tym mężczyźnie, który został zamordowany tydzień wcześniej od ojca? Czytałem w gazetach. Ale, o ile wiem, ojciec go nie znał. Naturalnie, mogę się mylić. Nie byliśmy w bliskich kontaktach.

Wallander skinął głową.

– Jak długo zostanie pan w Ystadzie?

– To zależy od tego, jak szybko uda nam się załatwić formalności pogrzebowe i zdecydować, co zrobić z kwiaciarnią.

– Możliwe, że jeszcze się odezwę – powiedział Wallander i wstał.

Wyszedł z hotelu. Dochodziła dziewiąta. Był głodny. Wiatr tarmosił mu kurtkę. Stanął za rogiem i zastanawiał się, co dalej. Na początek powinien coś zjeść, a potem znaleźć chwilę na zebranie myśli. Splatające się z sobą śledztwa ruszyły. Istniało jednak ryzyko, że mogą stracić grunt pod nogami. Gdzieś w półmroku przecinały się losy Holgera Erikssona i Gösty Runfeldta. Niewykluczone, że byłem tuż obok tego punktu, pomyślał, ale go przegapiłem.

Wsiadł do samochodu i pojechał do komendy. Z samochodu zadzwonił do Ann-Britt Höglund. Nadal przeszukiwali biuro. Nyberga wysłali do domu, bo bardzo bolała go stopa.

– Wracam do komendy po interesującej rozmowie z synem Runfeldta – poinformował Wallander. – Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć.

– Grzebanie się w papierach nie wystarczy. Przyda się ktoś, kto myśli.

Nie wiedział, czy nie powiedziała tego z ironią, ale się tym nie przejął.

Hansson przeglądał w swoim pokoju materiały śledcze. Wallander stanął w drzwiach z kubkiem kawy w ręku.

– Gdzie są protokoły ekspertyz sądowo-lekarskich? – spytał. – Na pewno już przyszły. Przynajmniej te o Holgerze Erikssonie.

– U Martinssona. Chyba coś o tym wspominał.

– Czy on jeszcze jest?

– Nie. Skopiował jakiś rejestr na dyskietkę i miał nad tym popracować w domu.

– Czy zabieranie takich materiałów do domu jest dozwolone?

– Nie wiem. Mnie to nie dotyczy, bo nie mam komputera. Całkiem możliwe, że to dzisiaj przewinienie służbowe.

– Niby co?

– No, brak komputera w domu.

– Jeśli tak, jedziemy na jednym wózku. Chciałbym obejrzeć te protokoły jutro rano.

– Jak poszło z Bo Runfeldtem?

– Zaraz to wszystko spiszę. W każdym razie powiedział kilka ważnych rzeczy. A poza tym mamy całkowitą pewność, że Gösta Runfeldt część swojego czasu poświęcał na praktyki detektywistyczne.

– Wiem. Dzwonił Svedberg.

Wallander wyjął telefon z kieszeni.

– Co robiliśmy, zanim mieliśmy komórki? Prawie zapomniałem.

– To samo co teraz. Tyle że dłużej to trwało. Szukaliśmy budek telefonicznych. Częściej siedzieliśmy w samochodach. Ale robiliśmy dokładnie to samo.

Idąc do siebie, skinął głową kilku policjantom z porządkowej, którzy wychodzili ze stołówki. Usiadł na krześle, po dziesięciu minutach zdjął kurtkę i przysunął kołonożnik.

Gruntowne podsumowanie domniemanych okoliczności zabójstw zajęło mu ponad dwie godziny. Starał się nawigować dwoma statkami

jednocześnie. Cały czas szukał punktu styczności, którego istnienia był pewien. Kiedy po jedenastej odłożył długopis i odchylił się na krzesło, nie miał już nic do dodania.

Nie wątpił, że związek musi być, po prostu jeszcze go nie znaleźli.

Raz po raz wracał myślami do spostrzeżenia poczynionego przez Ann-Britt Höglund. Że w sposobie działania sprawcy było coś demonstracyjnego. Śmierć Holgera Erikssona na bambusowych palach. Przywiązanie Gösty Runfeldta do drzewa i uduszenie go.

Coś widzę, pomyślał. Ale nie rozumiem, co. Kiedy zgasił światło, zbliżała się północ. Stał w ciemnościach.

Miał przeczucie, niejasny lęk, że sprawca znowu uderzy. Podsumowując przebieg wydarzeń, wyłowił jeden jedyny sygnał. Było w nich coś niedokończonego. Nie wiedział, co, ale nie miał wątpliwości.

18

Czekała do wpół do trzeciej. Z doświadczenia wiedziała, że o tej porze wkrada się zmęczenie. Przywołała w pamięci te noce, kiedy pracowała na trzecią zmianę. Zawsze tak było. Między drugą a czwartą miała największą ochotę na drzemkę.

Od dziewiątej wieczorem czekała w schowku na bieliznę. Tak jak poprzednio weszła do szpitala frontowymi drzwiami. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Ot, pielęgniarka, której się spieszy. Może miała coś do załatwienia w mieście? Albo poszła po coś do samochodu? Nie rzucała się w oczy, ponieważ nie było w niej nic niezwykłego. Zastanawiała się nad przebraniem. Może powinna włożyć perukę? Ale zrezygnowała. Byłby to przejaw przesadnej ostrożności. W schowku na bieliznę, gdzie zapach wypranych, wymaglowanych prześcieradeł przypomniawszy jej o dzieciństwie, miała dużo czasu na myślenie. Siedziała w ciemnościach, choć nic by się nie stało, gdyby zapaliła światło. Po północy wyjęła latarkę, tę samą, której używała w pracy, i przeczytała ostatni list od matki. Był niedokończony, tak jak wszystkie przekazane jej przez Françoise Bertrand. Ale w ostatnim liście matka zdecydowała się opowiedzieć o tym, co kryło się za jej próbą samobójczą. Zrozumiała, że nigdy nie wyzbyła się gorczy.

„Dryfuję po świecie jak beżpański statek – pisała. – Jak skazany na wieczną tułaczkę Latający Holender, który musi odpokutować za cudze grzechy. Myślałam, że z czasem nabiorę dystansu, że wspomnienia zbledną i raz na zawsze odpłyną. Teraz wiem, że tak się nie stanie. Dopiero śmierć położy im kres. A ponieważ jeszcze nie chcę umierać, wybieram pamięć”.

List był pisany w przeddzień przyjazdu do francuskich zakonnicy, dzień przed wyłonieniem się z mroku cieni, które ją zabiły.

Przeczytała do końca i zgasila latarkę. Było bardzo cicho. Dwa razy ktoś przeszedł korytarzem. Schowek znajdował się na częściowo tylko użytkowanym oddziale.

Miała dużo czasu. W harmonogramie widniały trzy dni wolne. Dopiero za czterdzieści dziewięć godzin stawi się w pracy. O siedemnastej czterdzieści cztery. Wykorzysta te dni. Dotychczas wszystko szło zgodnie z planem. Kobiety popełniały błędy, kiedy myślały jak mężczyźni. Wiedziała o tym od dawna. Zresztą zdążyła to już udowodnić.

Coś jej jednak nie dawało spokoju. Burzyło harmonogram. Śledziła wszystkie doniesienia prasowe, słuchała wiadomości w radiu i oglądała serwisy informacyjne na różnych kanałach. Nie ulegało wątpliwości, że policja nic nie wie. O to jej zresztą chodziło. Nie zamierzała zostawiać żadnych śladów, udało jej się oszukać tropiące psy. Ale teraz lekko ją irytowała ta nieudolność. Nigdy nie zrozumieją, co się stało. Jej łamigłówki przejdą do historii. Policja zawsze jednak będzie podejrzewać o te przestępstwa mężczyznę. Nie chciała, żeby tak było.

Siedząc w ciemnym schowku na bieliznę, korygowała swoje plany. Wprowadzi drobne poprawki, które w żaden sposób nie wpłyną na zmiany w harmonogramie. Zawsze istniał pewien margines, nawet jeśli nie było go widać na pierwszy rzut oka.

Przyda łamigłówce twarzy.

O wpół do trzeciej opuściła schowek. Na korytarzu było pusto. Poprawiła fartuch i ruszyła schodami na wyższe piętro, na oddział położniczy. Na dyżurze jak zwykle będą tylko cztery osoby. Sprawdziła to wcześniej, pytając o pewną kobietę, która – o czym wiedziała – wróciła już wraz z dzieckiem do domu. Zerknęła przy okazji przez ramię pielęgniarki na grafik i zobaczyła, że wszystkie pokoje są zajęte. Dlaczego kobiety rodzą dzieci na przełomie jesieni i zimy? Choć nie mogła tego zrozumieć, znała odpowiedź. Bo w dalszym ciągu nie one o tym decydowały.

Zatrzymała się przed przeszklonymi drzwiami oddziału położniczego i wpatrywała się w kantorek. Uchyliła drzwi. Cisza. Położne i pielęgniarki były zajęte. Potrzebuje niespełna piętnastu sekund, żeby znaleźć się w pokoju kobiety, której zamierzała złożyć wizytę. Przypuszczalnie na nikogo się nie natknie, ale ponieważ nie mogła mieć całkowitej pewności, włożyła na prawą dłoń odpowiednio spreparowaną rękawiczkę. Zrobiła ją sama, wypełniając ołowiem, którego kształt dostosowała do wypukłości kłykci. Otworzyła drzwi. W kantorku nie było nikogo, gdzieś grało radio. Szybko i bezgłośnie dotarła do właściwego pokoju i wśliznęła się do środka.

Pacjentka nie spała. Zdjęła rękawiczkę i wsunęła ją do tej samej kieszeni, w której był list od matki. Usiadła na krawędzi łóżka. Kobieta była bardzo blada, wyraźnie zaznaczał się jej brzuch. Ujęła jej dłoń.

– Zdecydowałaś się? – spytała.

Leżąca skinęła głową. Nie zdziwiło jej to. Poczowała coś w rodzaju triumfu. Nawet najbardziej upodlane kobiety mają szanse normalnie żyć.

– Eugen Blomberg – wyszeptała w odpowiedzi. – Mieszka w Lundzie. Pracuje na uniwersytecie. Nie potrafię wyjaśnić, czym się zajmuje.

Poklepała ciężarną po rękę.

– Dowiem się – powiedziała. – Nie przejmuj się tym.

– Nienawidzę go.

– Słusznie go nienawidzisz.

– Gdybym mogła, tobym go zabiła.

– Wiem. Ale nie możesz. Pomyśl o dziecku.

Schyliła się, pogłaskała ją po policzku, wstała i znów włożyła rękawiczkę. Zabawiła tu góra dwie minuty. Ostrożnie otworzyła drzwi. Ani śladu położnych i pielęgniarek. Ruszyła do wyjścia.

Właśnie mijała kantorek, kiedy w jego drzwiach pojawiła się jakaś starsza kobieta. Przypuszczalnie jedna z położnych. Cóż, pech. Nic nie mogła na to poradzić.

Przyspieszyła kroku. Położna coś do niej mówiła. Chciała jak najszybciej dopaść drzwi, ale się nie udało. Starsza kobieta dogoniła ją, chwyciła za ramię i spytała, kim jest i co tu robi. Że też kobiety muszą być takie uciążliwe, pomyślała ze smutkiem, błyskawicznie się odwróciła i wymierzyła cios dłonią w rękawiczkę. Nie był mocny, uważała, żeby nie trafić w skroń, celowała w policzek, żeby ogłuszyć i żeby się uwolnić. Położna z jękiem osunęła się na podłogę. Już miała odejść, kiedy poczuła na

łydce zaciskające się ręce. No tak, uderzyła zbyt lekko. W tym samym momencie usłyszała skrzypienie jakichś drzwi w głębi. Sytuacja zaczynała się wymykać spod kontroli. Kiedy wierzgnęła nogą i pochyliła się, żeby zadać kolejny cios, starsza kobieta drapnęła ją w twarz. Uderzyła w skroń, nie zastanawiając się nad skutkami, otworzyła przeszklone drzwi i puściła się biegiem. Czuła, że paznokcie rozorały jej policzek. Nikt za nią nie wołał. Wytarła twarz rękawem. Na białym materiale wykwitły plamy krwi. Włożyła rękawiczkę do kieszeni i zdjęła drewniaki, żeby szybciej biec. Zastanawiała się, czy w szpitalu nie ma jakiegoś wewnętrznego systemu alarmowego. Nie było. Wyszła bez żadnych problemów, nikogo po drodze nie spotkała. W samochodzie, kiedy oglądała twarz we wstecznym lusterku, stwierdziła, że zadrapania są bardzo powierzchowne.

Nie wszystko poszło po jej myśli. Nie zawsze można na to liczyć. Najważniejsze, że nakłoniła przyszłą matkę do wyjawienia nazwiska mężczyzny, który przysporzył jej tylu nieszczęść.

Eugen Blomberg.

Miała dwie doby na rozpoznanie, sporządzenie planu i opracowanie harmonogramu. Zresztą nie było pośpiechu. Wszystko w swoim czasie. Przypuszczała, że tydzień w zupełności jej wystarczy.

Piec był pusty. Czekał.

*

W czwartek rano kilka minut po ósmej grupa śledcza stawiła się w sali zebrań. Wallander zaprosił również Pera Åkesona. Miał zaczynać, kiedy zauważył, że jednej osoby brakuje.

– A gdzie jest Svedberg? – spytał, zdziwiony.

– Był i wyszedł – poinformował Martinsson. – W nocy ktoś został napadnięty w szpitalu. Mówił, że powinien szybko wrócić.

Wallander miał jakieś mętne skojarzenia związane ze Svedbergiem i ze szpitalem.

– To potwierdzałoby konieczność zaangażowania większej liczby osób – stwierdził Per Åkeson. – Niestety, nie możemy z tym dłużej zwlekać. Wallander wiedział, o co mu chodzi. Nie pierwszy raz on i Per Åkeson różnili się w kwestii dodatkowych posiłków.

– Rozważymy to na końcu – zdecydował. – Tymczasem skupmy się na tym, co się ostatnio wydarzyło w tym zagmatwanym śledztwie.

– Kilka razy dzwoniłi ze Sztokholmu – powiedziała Lisa Holgersson. – Nie muszę chyba mówić, kto. Te brutalne zabójstwa źle wpływają na wizerunek sympatycznych policjantów z prowincji.

Wesołość przemieszana z rezygnacją. Nikt nie skomentował rewelacji Lisy Holgersson. Martinsson głośno ziewnął.

– Wszyscy jesteście zmęczeni – zareagował Wallander. – Brak snu to nasze przekleństwo. Przynajmniej okresowo...

W tym momencie otworzyły się drzwi. Wszedł Nyberg i przykuśtykał do stołu. Wallander wiedział, że kontaktował się telefonicznie z laboratorium kryminalistycznym w Linköpingu.

– Jak noga? – spytał.

– Lepsze to niż tajlandzkie pale bambusowe.

Wallander popatrzył na niego badawczo.

– Wiemy, że są z Tajlandii?

– Wiemy. Za pośrednictwem domu handlowego w Bremie importujemy bambusowe wędki i takiż materiał do wystroju wnętrz. Rozmawiałem z ichnim przedstawicielem na Szwecję. Rocznie sprowadza się ponad sto tysięcy takich drągów. Nie do końca wiadomo, skąd. Ale w Linköpingu zaoferowali pomoc w ustaleniu, od kiedy u nas są. Bambus nadaje się do eksportu po iluś tam latach.

Wallander skinął głową.

– Coś jeszcze?

– W sprawie Erikssona czy Runfeldta?

– Jednego i drugiego.

Nyberg otworzył notatnik.

– Deski z kładki zostały kupione w markecie budowlanym w Ystadzie. Nie wiem, czy to powód do radości. Na miejscu zbrodni nie ma nic, co by nas ewentualnie mogło zadowolić. Morderca przypuszczalnie skorzystał z leśnej drogi za pagórkami z ptasią wieżą. Jeśli przyjechał samochodem. Co wydaje się prawdopodobne. Zrobiliśmy odciski wszystkich opon. Ale miejsce zbrodni wysprzątało do czysta.

– A dom?

– Problem polega na tym, że nie wiemy, czego szukać. Niby wszystko jest w porządku. Włamanie, które denat zgłosił rok temu, jest jednym wielkim znakiem zapytania. Na odnotowanie może jedynie zasługiwać

fakt, że przed kilkoma miesiącami Holger Eriksson zamontował dwa dodatkowe zamki.

– Co może świadczyć o tym, że się bał – skomentował Wallander.

– Myślałem o tym – przyznał Nyberg. – Ale okazuje się, że wszyscy fundują sobie dodatkowe zamki. Nastaly czasy drzwi przeciwpancernych.

Wallander popatrzył po kolegach.

– Co mówią sąsiedzi? – spytał. – Jaki był Holger Eriksson? Kto miałby powód, żeby go zabić? Harald Berggren? Musimy się nad tym zastanowić.

Potem Wallander będzie wspominał to zebranie jako niekończącą się wspinaczkę. Każdy przedstawił rezultaty swoich dokonań i rozstali się ze świadomością, że do przełomu daleko. Holger Eriksson jawił się jako nieosiągalny szczyt. Ledwie do czegoś się dokopali, to coś okazywało się pustką. Stok się wydłużał, rosła stromizna. Nikt nic nie widział, nikt nie znał sprzedawcy samochodów, miłośnika ptaków i poety. Wallander zaczął dojrzewać do konkluzji, że się pomylił. Holger Eriksson przypadkiem trafił na przypadkowego mordercę zabijającego dla czystej przyjemności, który przypadkiem upatrzył sobie jego rów i podpłował mu kładkę. Ale w głębi duszy w to nie wierzył. Sprawca przekazywał precyzyjne komunikaty, pozbył się Holgera Erikssona z wiadomą sobie logiką i konsekwencją. Jaką? Tego nie wiedział.

Kiedy Svedberg wrócił ze szpitala, utknęli w martwym punkcie. Później Wallander uznał, że wybawił ich z opresji. Bo kiedy usiadł przy stole i po dłuższej chwili udało mu się wreszcie uporządkować notatki, mieli wrażenie, że drzwi śledztwa zaczynają się uchylać.

Na wstępie Svedberg przeprosił za spóźnienie i Wallanderowi nie wypadało nie spytać, co się stało w szpitalu.

– To bardzo dziwne – odparł Svedberg. – Tuż przed trzecią w nocy na oddziale położniczym pojawiła się pielęgniarka. Położna Ylva Brink, moja kuzynka, miała akurat dyżur. Ponieważ nie rozpoznała pielęgniarki, chciała się dowiedzieć, co i jak. I wtedy oberwała czymś w rodzaju kastetu. Kiedy odzyskała przytomność, pielęgniarki już nie było. Zrobiło się potworne zamieszanie. Nikt nie miał pojęcia, co robiła na ich oddziale ta obca kobieta. Nie widziała jej ani jedna pacjentka. Rozmawiałem z personelem. Wszystkie panie były, rzecz jasna, zszokowane.

– A co z twoją kuzynką? – spytał Wallander.

– Doznała wstrząsu mózgu.

Wallander zamierzał wrócić do Holgera Erikssona, ale Svedberg mu w tym przeszkodził.

– Co dziwniejsze – powiedział, nerwowo drapiąc się po łysinie – ta pielęgniarka już tam raz była. Tydzień temu. Ylva akurat miała wtedy dyżur. I jest pewna, że to ta sama kobieta udawała pielęgniarkę.

Wallander zmarszczył czoło. Nareszcie sobie przypomniał o zapiskach Svedberga, które od tygodnia leżały na jego biurku.

– Tydzień temu rozmawiałeś z Ylvą Brink i zrobiłeś notatki.

– Ale je wyrzuciłem, bo nic takiego się nie stało i uznałem, że nie ma się czym przejmować. Mamy przecież ważniejsze sprawy.

– To bardzo nieprzyjemne – odezwała się Ann-Britt Höglund. – Fałszywa pielęgniarka chodzi nocą po oddziale położniczym i nie waha się użyć przemocy. Coś w tym musi być.

– Kuzynka nieźle ją opisała. Jest dobrze zbudowana i bardzo silna.

Wallander nie wspomniał, że ma zapiski Svedberga na swoim biurku.

– To dziwne – przyznał. – Jakie kroki podejmie szpital?

– Na razie zatrudnią firmę ochroniarską i zobaczą, czy fałszywa pielęgniarka znowu się pojawi.

Zostawili wydarzenia ostatniej nocy. Wallander patrzył na Svedberga przygnębiony, przekonany, że dodatkowo spotęguje się wrażenie, że śledztwo stoi w miejscu. Ale się pomylił. Svedberg miał nowe wiadomości.

– W zeszłym tygodniu rozmawiałem z byłym pracownikiem Holgera Erikssona – zaczął. – Nazywa się Ture Karlhammar, ma siedemdziesiąt trzy lata i mieszka w Svarte. Napisałem raport, może czytaliście. Przeszło trzydzieści lat sprzedawał samochody u Holgera Erikssona. Ubolewał nad tym, co się stało. Twierdził, że o Holgerze Erikssonie nie można powiedzieć złego słowa. Żona Karlhammara parzyła w tym czasie kawę. Drzwi do kuchni były otwarte. Nagle weszła do pokoju, postawiła tacę na stole tak gwałtownie, że bryznęła śmietanka, wyzywała Erikssona od łajdaków i poszła.

– I co dalej? – spytał zdziwiony Wallander.

– Naturalnie zrobiła się kłopotliwa sytuacja. Ale Karlhammar obstawał przy swoim. A kiedy chciałem porozmawiać z żoną, okazało się, że jej nie ma.

– Jak to nie ma?

– Wsiadła do samochodu i odjechała. Potem kilka razy do nich dzwoniłem, ale nikt nie odpowiadał. Dzisiaj rano przyszedł list od żony Karlhammara. Przeczytałem przed wyjściem do szpitala. Bardzo interesująca lektura. Jeśli to prawda, co ona pisze.

– Streść – powiedział Wallander. – A potem skopiuj ten list.

– Twierdzi, że Holger Eriksson miał sadystyczne skłonności. Źle traktował podwładnych. Szykanował tych, którzy chcieli od niego odejść. Ciągłe powtarza, że może podać mnóstwo przykładów na to, że to wszystko prawda. – Svedberg sięgnął po list. – Píše, że nie szanował ludzi. Był twardy i pazerny. Pod koniec nadmienia, że często jeździł do Polski. Podobno miał tam jakieś kobiety, które, zdaniem pani Karlhammar, też mogłyby niejedno o nim powiedzieć. Ale to oczywiście mogą być plotki. Skąd miałyby wiedzieć, co Holger Eriksson robił w Polsce?

– I nie ma żadnych sugestii o jego homoseksualizmie? – spytał Wallander.

– Podróże do Polski świadczyłyby raczej o czymś innym.

– Karlhammar, rzecz jasna, nic nie słyszał o Haraldzie Berggrenie.

– Nie.

Wallander poczuł potrzebę rozprostowania kości. Informacje zawarte w liście były ważne. Pomyślał, że po raz drugi tego dnia dowiaduje się o brutalności ofiar.

Zarządził krótką przerwę na przewietrzenie sali. Per Åkeson został.

– Sudan już załatwiony – powiedział. Wallander poczuł ukłucie zazdrości. Per Åkeson podjął decyzję i nie bał się wyjazdu. Dlaczego on tego nie zrobi? Dlaczego zadowala się szukaniem domu? Teraz, kiedy ojca już nie ma, nic go nie wiąże z Ystadem. Linda radzi sobie sama.

– Nie potrzebują tam policjantów do pilnowania porządku wśród uchodźców? Mam pewne doświadczenia z pracy w Ystademie.

Per Åkeson roześmiał się.

– Mogę popytać. Szwedzcy policjanci wchodzą w skład różnych cudzoziemskich jednostek ONZ. Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś złożył podanie.

– W tej chwili śledztwo stoi na przeszkodzie, ale później, kto wie? Kiedy jedziesz?

– Po Bożym Narodzeniu.

– A co z żoną?

Per Åkeson rozłożył ręce.

– Chyba się cieszy, że przez jakiś czas nie będzie musiała mnie oglądać.

– A ty? Też się cieszysz, że nie będziesz jej oglądał?

– Tak – odparł po chwili wahania. – Ten wyjazd to wspaniała rzecz. Czasem myślę sobie, że może już nie wrócę. I nie popłynę do Indii Zachodnich żaglówką, którą sam zbudowałem. Nawet o tym nie marzyłem. Ale będę w Sudanie. Co dalej, nie wiem.

– Wszyscy marzą o ucieczce. Każdy u nas szuka jakichś rajskich ustro- ni. Niekiedy mam wrażenie, że nie poznaję własnego kraju.

– Może ja też uciekam? Ale Sudan to nie raj.

– Dobrze robisz, że próbujesz. Mam nadzieję, że się odezwiesz. Będzie mi ciebie brakowało.

– Z jednej rzeczy się cieszę. Że będę pisał prywatne listy, które nie mają nic wspólnego z moim stanowiskiem służbowym. Przy okazji sprawdzę, ilu mam przyjaciół i kto mi odpowie.

Przerwa dobiegła końca. Martinsson, jak zwykle zdjęty niepokojem, że się przeziębii, zamknął okna. Usiedli.

– Wstrzymajmy się z podsumowaniem – zaczął Wallander. – Przejdźmy do Gösty Runfeldta.

Ann-Britt Höglund opowiedziała o piwnicy na Harpegatan i detektyw- stycznym zacięciu Runfeldta. Kiedy ona, Svedberg i Nyberg nie mieli już nic do dodania i wszyscy obejrzeni zdjęcia wywołane przez Nyberga, Wallander zrelacjonował przebieg rozmowy z synem Runfeldta. Za- uważył, że koledzy są o wiele bardziej skupieni niż na początku tego roz- wlekłego zebrania.

– Nie mogę się wyzbyć uczucia, że jesteśmy blisko czegoś rozstrzy- gającego – powiedział. – Nadal szukamy punktu styczności. Co to zna- czy, że Holger Eriksson i Gösta Runfeldt są uważani za ludzi brutalnych? I dlaczego wychodzi to na jaw dopiero teraz?

Przerwał, dając im czas na komentarze lub pytania. Milczeli.

– Powinniśmy zacząć drążyć głębiej – podjął. – O całej masie rzeczy musimy wiedzieć dużo więcej. Wszystkie materiały trzeba będzie przeni- cować na wylot. Martinsson się tym zajmie. Poza tym niektóre sprawy są ważniejsze od innych. Myślę między innymi o utonięciu żony Runfeldta. Mam wrażenie, że to może być istotne. Następnie dar Holgera Erikssona dla kościoła w Svenstaviku. Sam się tym zajmę. Nie da się uniknąć podróży. Na przykład nad jezioro koło Almhultu, gdzie zginęła żona

Runfeldta. Już mówiłem, że jest w tym coś dziwnego. Wiem, że mogę się mylić, ale powinniśmy to sprawdzić. Nie wykluczam także wizyty w Svenstaviku.

– Gdzie to jest? – spytał Hansson.

– W południowej Jamtlandii. Kilkadziesiąt kilometrów od granicy z Harjedalen.

– Co Holgera Erikssona łączyło z tą miejsciną? Chyba pochodził ze Skanii?

– Musimy się tego dowiedzieć. Dlaczego nie zapisał pieniędzy któremuś kościołowi z tych stron? Dlaczego wybrał akurat tamten? Na pewno jest jakiś konkretny powód.

Nikt nie miał zastrzeżeń. Dalej będą szukać igły w stogu siana. Nie liczyli na cud. Wiedzieli, że czeka ich żmudna, wymagająca cierpliwości praca.

Po kilku godzinach Wallander postanowił poruszyć problem dodatkowego personelu. Przypomniał sobie, że powinien coś powiedzieć o propozycji skorzystania z pomocy psychologa.

– Nie mam nic przeciwko posiłkom – stwierdził. – Dużo rzeczy musimy posprawdzać, a to wymaga czasu.

– Zajmę się tym – powiedziała Lisa Holgersson.

Per Åkeson w milczeniu skinął głową. Wallander nie pamiętał, żeby Per Åkeson kiedykolwiek powtórzył coś, co raz zostało powiedziane. Pomyślał, że to być może duża zaleta na jego przyszłym stanowisku w Sudanie.

– Mam natomiast wątpliwości, czy rzeczywiście potrzebujemy psychologa, który by nam zaglądał przez ramię – podjął, kiedy uzgodnili kwestię posiłków. – Przyznaję, że Mats Ekholm, który był tu w lecie, to dobry partner do rozmów. Przedstawiał sensowne argumenty i rozmaite punkty widzenia. Nie były wprawdzie rozstrzygające, ale miały swoją wartość. Teraz sytuacja jest inna. Proponuję, żebyśmy wysłali mu materiał śledczy i poprosili o uwagi. Myślę, że to na razie powinno wystarczyć. A gdyby się wydarzyło coś dramatycznego, wrócimy do tej propozycji.

I w tym punkcie nikt nie miał zastrzeżeń.

Skończyli zebranie po pierwszej. Wallander szybko opuścił komendę i pojechał na lunch do śródmiejskiej restauracji. Długie zebranie nieco go odmózdzyło. Jedząc, zastanawiał się nad nowymi elementami śledztwa.

Ponieważ ciągle wracał myślami do wypadku na jeziorze sprzed dziesięciu lat, postanowił zawierzyć intuicji. Po lunchu zadzwonił do hotelu „Sekelgarden”. Bo Runfeldt był w pokoju. Wallander poprosił recepcjonistę o przekazanie wiadomości, że przyjdzie tuż po drugiej. Potem pojechał do komendy i zabrał do siebie Martinssona i Hanssona. Poleciał Hanssonowi, żeby się skontaktował ze Svenstavikiem.

– O co mam zapytać?

– Dlaczego Holger Eriksson zrobił ten zapis w testamencie? Dlaczego chce dać pieniądze właśnie im? Czy chce odpuszczenia grzechów? Jeśli tak – jakich? A gdyby zaczęli się powoływać na tajemnicę służbową, to powiedz, że potrzebujemy tych informacji, żeby zapobiec kolejnym morderstwom.

– Naprawdę mam spytać o odpuszczenie grzechów?

Wallander parsknął śmiechem.

– Dowiedz się jak najwięcej. Ja pojedę do Almhultu z Bo Runfeldtem. Poproś Ebbę, żeby zarezerwowała dla nas jakieś pokoje.

Martinsson był sceptyczny.

– Co spodziewasz się tam znaleźć, patrząc na jezioro?

– Nie wiem. Ale przynajmniej będę miał czas, żeby porozmawiać z Bo Runfeldtem. Czuję, że kryją się tam ważne dla nas informacje, które uda nam się poznać, jeśli tylko będziemy dostatecznie wytrwali. Musimy skrobać tak mocno, żeby przebić się przez skorupę. Poza tym ktoś tam chyba był, kiedy doszło do tego wypadku. Chciałbym, żebyście zadzwonili do kolegów z Almhultu. Wypadek sprzed dziesięciu lat. Córka, trenerka koszykówki, poda wam dokładną datę. Utonięcie. Odezwę się, jak tylko tam dotrę.

Ciągle wiało, kiedy szedł do samochodu. Pojechał do „Sekelgarden”. Bo Runfeldt czekał na niego obok recepcji.

– Proszę zabrać wierzchnie okrycie – powiedział Wallander. – Zrobimy sobie wycieczkę.

Bo Runfeldt przyglądał mu się wyczekująco.

– Dokąd?

– Powiem, kiedy będziemy w samochodzie.

Chwilę później opuścili Ystad. Dopiero za zjazdem na Hóór Wallander powiedział, dokąd jadą.

Ledwie minęli zjazd na Hóór, znowu się rozpadało. Już wtedy Wallander zaczął wątpić w sens przedsięwzięcia. Czy podróż do Almhultu naprawdę jest warta zachodu? Czy w utonięciu, do którego doszło dziesięć lat temu, znajdzie coś podejrzanego, co może mieć znaczenie dla śledztwa?

Ale w głębi duszy nie wątpił. Nie spodziewał się rozwiązania, tylko kroku naprzód.

Bo Runfeldt, kiedy usłyszał, dokąd jada, zirytował się. Czy to żart? Co tragiczna śmierć matki ma wspólnego z zamordowaniem ojca? Wallander nie odpowiedział od razu, czekał na najbliższy dodatkowy pas ruchu, żeby wyprzedzić tir, który obryzgiwał szybę błotem.

– Pan i pańska siostra niechętnie o tym mówicie – zaczął. – Oczywiście, mogę to zrozumieć. O tragicznym wypadku nie opowiada się bez potrzeby. Proszę mi jednak wytłumaczyć, dlaczego nie wierzę, żeby to właśnie było powodem waszego milczenia? Jeśli uzyskam zadowalające wyjaśnienie, natychmiast wracamy. Przypominam, że nie ukrywał pan brutalności ojca.

– Tym samym udzieliłem odpowiedzi.

Wallander dostrzegł ledwie wyczuwalną zmianę w głosie Bo Runfeldta. Pojawiła się nutka zmęczenia; już się nie bronił.

Jechali przez monotonny krajobraz.

– Matka myślała o samobójstwie?

– Dziwne, że nie zrobiła tego wcześniej – po dłuższej chwili odparł Bo Runfeldt. – Nawet pan sobie nie wyobraża, w jakim piekle musiała żyć. Ani pan, ani ja. Nikt.

– Dlaczego się nie rozwiodła?

– Bo groził, że ją zabije, jeśli go zostawi. Nie miała żadnych powodów, żeby mu nie wierzyć. Nieraz bił ją tak dotkliwie, że trafiała do szpitala. Nic o tym nie wiedziałem. Dopiero później wszystkiego się domyśliłem.

– Lekarz jest zobowiązany powiadamiać policję, jeśli podejrzewa akty przemocy.

– Zawsze miała jakąś wymówkę. I była przekonująca. Żeby go chronić, nie wahała się poniżyć samej siebie. Potrafiła na przykład powiedzieć, że

przewróciła się po pijanemu. Mimo że nie brała alkoholu do ust. Ale lekarze, naturalnie, o tym nie wiedzieli.

Bo Runfeldt umilkł, kiedy wyprzedzali autobus. Wallander zauważył, że jego pasażer jest spięty. Najwyraźniej bał się jazdy samochodem.

– Myślę, że dzieci powstrzymywały ją przed samobójstwem – podjął, kiedy autobus został daleko za nimi.

– To całkiem naturalne – przyznał Wallander. – Wróćmy jednak do tego, co powiedział pan wcześniej. Że ojciec groził matce. Mężczyźni maltretujący kobiety przeważnie nie mają zamiaru ich zabijać. Chcą je w ten sposób kontrolować. Zdarza się, że uderzą za mocno i kończy się to śmiercią. Do zabójstwa najczęściej dochodzi na innym tle. To krok dalej.

– Czy jest pan żonaty? – dość nieoczekiwanie zapytał Bo Runfeldt.

– Byłem.

– Czy bił pan żonę?

– Dlaczego miałbym to robić?

– Tak tylko pytam.

– Nie rozmawiamy o mnie.

Bo Runfeldt zamilkł. Jakby chciał dać Wallanderowi czas do namysłu. Z całą wyrazistością przypomniał sobie tę scenę ze swojego małżeństwa, kiedy przyłożył Monie w nedorzecznym i niekontrolowanym ataku szalu. Upadła, uderzając głową o futrynę, i na kilka sekund straciła przytomność. Niewiele brakowało, żeby spakowała walizkę i odeszła. Linda była wtedy malutka. Wallander prosił i błagał. Rozmawiali przez całą noc. W końcu została. To zdarzenie wryło mu się w pamięć. Nie bardzo jednak pamiętał, co je sprowokowało. O co się pokłócili? Dlaczego tak się wściekł? Nie wiedział. Wyparł to. Niemal niczego innego tak się nie wstydził w swoim życiu. Nie chciał, by mu o tym przypominano.

– Wróćmy do tego dnia sprzed dziesięciu lat – powiedział po chwili. – Co się stało?

– Była niedziela, początek lutego, a dokładnie piąty lutego osiemdziesiątego czwartego roku. Ładny chłodny dzień. Zazwyczaj jeździli w niedziele na wycieczki. Spacerowali po lesie albo nad morzem. Albo chodzili po zamarzniętych jeziorach.

– Brzmi idyllicznie. Jak to się ma do tego, o czym pan wspominał wcześniej?

– Rzecz jasna, nie była to idylla, tylko jej przeciwieństwo. Mama za-

wsze się panicznie bała. Nie przesadzam. Od dawna strach zdominował jej życie. Była psychicznie wyniszczona. Jeśli ojciec miał ochotę na niedzielną przechadzkę, to się na nią wybierali. Groźba użycia pięści bez przerwy wisiała w powietrzu. Jestem pewien, że on nie widział jej lęku. Sądził, że wybaczała mu każdy akt przemocy i zapominała o wszystkim. Podejrzewam, że w swoich napaściach na nią widział jedynie chwilową impulsywność. Nic więcej.

– Chyba rozumiem. I co się wtedy stało?

– Nie wiem, dlaczego wybrali się akurat do Smalandii. Zaparkowali na leśnej drodze. Śnieg nie był zbyt głęboki. Poszli nad jezioro, łód nagle się załamał i mama wpadła do wody. Nie udało mu się jej wyciągnąć, wrócił do samochodu i pojechał po pomoc. Kiedy ją znaleźli, naturalnie już nie żyła.

– Jak się pan o tym dowiedział?

– Ojciec zadzwonił do mnie. Byłem wtedy w Sztokholmie.

– Co pan zapamiętał z tej rozmowy?

– Był wstrząśnięty.

– W jaki sposób?

– Można być wstrząśniętym na kilka sposobów?

– Płakał? Był w szoku? Proszę opisać to dokładniej.

– Nie, nie płakał. Miewał łzy w oczach tylko wtedy, kiedy opowiadał o rzadkich okazach orchidei. Odniosłem wrażenie, że próbuje mnie przekonać, że zrobił wszystko, co tylko mógł, żeby ją uratować. Ale to przecież oczywiste, że próbuje się pomóc temu, kto jest w potrzebie, prawda?

– Co jeszcze mówił?

– Prosił, żebym zawiadomił siostrę.

– Więc najpierw zadzwonił do pana?

– Tak.

– Co było potem?

– Przyjechaliśmy do Skanii. Tak jak teraz. Pogrzeb odbył się tydzień później. Rozmawiałem przez telefon z policjantem. Powiedział, że łód okazał się nadspodziewanie kruchy. Matka nie była ani duża, ani ciężka.

– Tak powiedział? Że łód okazał się nadspodziewanie kruchy?

– Mam pamięć do szczegółów. Może dlatego, że jestem rewidentem.

Wallander pokiwał głową. Przydrożna tabliczka informowała, że zbliżają się do kawiarni. Podczas krótkiego postoju Wallander zapytał Runfeldta o jego pracę. Słuchał jednym uchem, odtwarzał w myślach

przebieg ich rozmowy w samochodzie. Padło w niej coś ważnego. Ale co? Kiedy szykowali się do wyjścia, w jego kieszeni zabrzączała komórka. Dzwonił Martinsson. Bo Runfeldt odszedł na bok.

– Wygląda na to, że mamy pecha – powiedział. – Jeden policjant, który pracował dziesięć lat temu w Almhulcie, zmarł, a drugi przeprowadził się do Orebro, kiedy przeszedł na emeryturę.

Wallander poczuł zawód. Bez rzetelnego źródła informacji ich podróż niemal straciła sens.

– Nawet nie wiem, jak trafić nad jezioro – stwierdził.

– Czy nie ma kierowcy karetki? Albo strażaków, którzy ją wyciągnęli spod lodu?

– Odnalazłem mężczyznę, który pomógł Goście Runfeldtowi. Dostałem jego nazwisko i adres. Problem polega na tym, że nie ma telefonu.

– Naprawdę są w tym kraju ludzie, którzy obywają się bez telefonu?

– Najwyraźniej. Masz coś do pisania?

Wallander szukał po kieszeniach. Jak zwykle nie miał ani papieru, ani długopisu. Bo Runfeldt wręczył mu pióro w złotej obsadce i wizytówkę.

– Nazywa się Jacob Hoslowski – powiedział Martinsson.

– To ktoś w rodzaju miejscowego dziwaka. Mieszka sam niedaleko jeziora. Stångsjön leży na północ od Almhultu. Rozmawiałem z miłą pracownicą urzędu gminnego. Przy wjeździe do miasteczka jest tablica informacyjna. Nie umiała mi dokładnie wyjaśnić, jak dojechać do Jacoba Hoslowskiego. Musisz zapytać kogoś z mieszkańców.

– Co z noclegiem?

– Macie zarezerwowane pokoje w hotelu IKEI.

– Czy IKEA nie sprzedaje mebli?

– Owszem. Ale jest również właścicielem hotelu. „Zajazd IKEA”.

– Co poza tym?

– Wszyscy są bardzo zajęci. Chyba Hamrén przyjedzie ze Sztokholmu, żeby nam pomóc.

Wallander pamiętał dwóch policjantów z centrali, którzy wspierali ich w lecie. Nie miał nic przeciwko ich ponownej obecności.

– A Ludvigsson?

– Miał wypadek samochodowy i leży w szpitalu.

– Coś poważnego?

– Nie wiem, spytam. Ale nie sądzę.

Wallander zakończył rozmowę i oddał pióro Bo Runfeldtowi.

– Wygląda na drogie – zauważył.

– Rewident w firmie takiej jak Price Waterhouse to jedna z najlepszych posad – wyjaśnił Bo Runfeldt. – Przynajmniej pod względem zarobków i widoków na przyszłość. Mądrzy rodzice doradzają dzisiaj swoim dzieciom, żeby wybrały zawód rewidenta.

– Jaka jest średnia pensja?

– Większość pracowników powyżej określonego poziomu podpisuje indywidualne kontrakty. Są objęte tajemnicą.

Wallander domyślił się, że pensje na pewno są bardzo godziwe. Jak wszystkich, zdumiewały go rozmaite doniesienia na temat poziomu płac i wysokości odpraw. On, policjant kryminalny z wieloletnim doświadczeniem, zarabiał marnie. Gdyby się zdecydował na pracę w prywatnym sektorze ochroniarskim, dostawałby co najmniej dwa razy tyle. Ale się nie zdecydował. Pozostanie na dotychczasowej posadzie przynajmniej dopóty, dopóki będzie w stanie utrzymać się z pensji. Często myślał, że obraz Szwecji można przyrównać do różnych rodzajów kontraktów.

Byli w Almhulcie o piątej. Bo Runfeldt spytał, czy naprawdę muszą tutaj nocować. Wallander nie potrafił udzielić przekonującej odpowiedzi. Właściwie Bo Runfeldt mógłby jeszcze tego wieczora wrócić do Malmö. Stwierdził jednak, że pójdą nad jezioro dopiero następnego dnia, ponieważ niedługo się ściemni. Chciał, żeby Runfeldt mu towarzyszył.

Wallander zainstalował się w hotelu i od razu postanowił odnaleźć Jacoba Hosłowskiego. Przyjrzał się lokalizacji Stangsjón, zaznaczonego na tablicy informacyjnej przed wjazdem do Almhultu. Zapadał zmierzch. Skręcił w lewo, po chwili jeszcze raz w lewo. Był w gęstym lesie. Daleko od krajobrazów Skanii. Zobaczył mężczyznę naprawiającego furtkę, zatrzymał się i spytał, jak trafić do domu Jacoba Hosłowskiego. Uzyskał odpowiedź i ruszył przed siebie. W silniku coś zazgrzytało. Pomyślał, że niedługo czeka go wymiana samochodu. Ciekawe, skąd weźmie na to pieniądze. Tego peugeota kupił niespełna rok temu, kiedy poprzedni samochód, też peugeot, spalił się pewnej nocy na E65. Przypuszczalnie znowu kupi peugeota. Z wiekiem coraz wyraźniej dawała o sobie znać siła przyzwyczajenia.

Zahamował przed boczną drogą. Jeśli dobrze zrozumiał objaśnienia mężczyzny, powinien skrócić w prawo i przejechać mniej więcej osiemset metrów. Droga była w fatalnym stanie. Po stu metrach poddał się i wycofał. Obawiał się, że utknie na dobre. Wysiadł i żeby nie tracić

ciepła, szybko ruszył naprzód. Szumiały drzewa.

Dom stał tuż przy leśnej drodze. Stara chata zagrodnika. Na podwórzu poniewierały się wraki samochodów. Na pniaku siedział kogut i patrzył na niego. W jednym oknie się świeciło. Wallander zauważył, że to lampa naftowa. Zastanawiał się, czy nie odłożyć tej wizyty do jutra. Nie. Odbył długą podróż, nie ma co tracić czasu. Kogut siedział nieruchomo. Zapukał. Po chwili usłyszał odgłos kroków. Drzwi się otworzyły i stanął w nich niespełna czterdziestoletni mężczyzna. Był młodszy, niż Wallander przypuszczał.

Wallander przedstawił się.

– Jacob Hosłowski – odparł mężczyzna z ledwie zauważalnym obcym akcentem.

Śmierdział z brudu. Długie włosy i broda były zmierzwione i zaniedbane.

Wallander zaczął oddychać przez usta.

– Czy mógłbym zabrać panu kilka minut? Przyjechałem z Ystadu.

Hosłowski uśmiechnął się i zrobił miejsce.

– Proszę wejść. Wpuszczam wszystkich, którzy pukają do moich drzwi.

Wallander wszedł do ciemnej sieni i od razu niemal się potknął o kota. Okazało się, że cały dom jest ich pełen. Nigdy w życiu nie widział tylu kotów naraz. Przypomniało mu się Forum Romanum. Tyle że tutaj smród był nie do zniesienia. Szeroko otworzył usta, zanim zdobył się na pierwszy oddech. Wszedł za Jacobem Hosłowskim do większego pokoju, jednego z dwóch w tej starej chacie. Były tam tylko materace, poduszki, sterty książek i stół, na którym stała lampa naftowa. I koty. Wszędzie. Wallander miał wrażenie, że czujnie się w niego wpatrują i że w każdej chwili mogą się na niego rzucić.

– Rzadko spotyka się domy, w których nie ma elektryczności – skostatował Wallander.

– Żyję poza czasem – odparł Hosłowski. – W następnym życiu będę kotem.

Wallander skinął głową.

– Ach, tak – powiedział bez przekonania. – Jeśli dobrze zrozumiałem, mieszkał pan tutaj również dziesięć lat temu.

– Mieszkam tutaj, odkąd opuściłem czas.

– A kiedy opuścił pan czas? – zapytał, zdając sobie sprawę z niejednoznaczności tego pytania.

– Bardzo dawno temu.

Domyślał się, że na bardziej wyczerpującą odpowiedź nie ma co liczyć. Z pewnym wysiłkiem usiadł na poduszce. Miał nadzieję, że nie jest przesiąknięta kocimi szczynami.

– Dziesięć lat temu w Stangsjón utonęła kobieta – powiedział. – Ponieważ takie wypadki nie zdarzają się często, może pan sobie to przypomina. Mimo że żyje pan poza czasem.

Wallander zauważył, że Hosłowski – wariat albo opętany jakimiś proroczymi wizjami – pozytywnie przyjął jego słowa o beczasowej egzystencji.

– Stało się to pewnej zimowej niedzieli – dodał Wallander. – Według posiadanych przez nas informacji, ktoś szukał u pana pomocy.

Hosłowski pokiwał głową. Pamiętał.

– Jakiś mężczyzna dobijał się do drzwi. Chciał skorzystać z telefonu.

Wallander rozejrzył się po pokoju.

– Ale pan nie ma telefonu.

– A z kim miałbym rozmawiać?

Wallander skinął głową.

– I co było dalej?

– Odesłałem go do najbliższego sąsiada. Tam jest telefon.

– Nie zaprowadził go pan?

– Poszedłem nad jezioro, żeby zobaczyć, czy mogę ją wyciągnąć.

– Czy mężczyzna, który dobijał się do drzwi, był bardzo zdenerwowany?

– Może.

– To znaczy?

– Przypominam sobie, że jego opanowanie nie bardzo przystawało do sytuacji.

– Czy zauważył pan coś jeszcze?

– Nie pamiętam. To się rozgrywało w innym wymiarze kosmicznym, który od tamtej pory wiele razy się zmienił.

– No dobrze, poszedł pan nad jezioro. I co potem?

– Lód błyszczał. Zobaczyłem przerębel. Podszedłem, ale w wodzie nic nie było.

– Podszedł pan? Nie bał się pan, że lód się załamie?

– Wiem, gdzie jest nośny. Poza tym w razie potrzeby umiem się wyzbyć własnego ciężaru.

Z szaleńcem rozsądnie się nie porozmawia, pomyślał z rezygnacją Wallander.

– Czy mógłby pan opisać przerębel?

– Musiał go wyrąbać jakiś wędkarz. Potem zamarzło, ale lód nie zdążył zgęstnieć.

Wallander zastanawiał się.

– Czy ci, co łowią na błystkę, nie robią mniejszych otworów?

– Ten był czworokątny. Może ktoś go wyrznął?

– Czy w Stangsjön łowi się na błystkę?

– W tym jeziorze jest mnóstwo ryb. Ja też wędkuję, ale nie zimą.

– Stał pan koło przerębła, nic pan nie widział. I co pan zrobił?

– Rozebrałem się i wszedłem do wody.

Wallander wpatrywał się w Hoslowskiego.

– Dlaczego, na Boga?

– Pomyślałem, że wycuję ją stopami.

– Mógł pan zamrznąć.

– W razie potrzeby staję się niewrażliwy na mróz albo upał.

Wallander doszedł do wniosku, że powinien był przewidzieć taką odpowiedź.

– Ale nie wycuł jej pan?

– Nie. Podciągnąłem się na lód i ubrałem. Potem przybiegli ludzie. I przyjechał samochód z drabinami. Wtedy odszedłem.

Wallander z mozołem podniósł się z niewygodnej poduszki. Smród był nieznośny. Nie miał więcej pytań i nie chciał bez potrzeby przedłużyć wizyty. Jednocześnie nie mógł zaprzeczyć, że Jacob Hoslowski okazał mu przychyłność i był uprzejmy.

Wyszli na podwórko.

– Później ją wyciągnęli – powiedział. – Mój sąsiad opowiada mi o tym, o czym jego zdaniem powinienem wiedzieć. Bardzo miły człowiek. Między innymi uważa, że muszę znać wszystkie poczynania miejscowego towarzystwa strzeleckiego. Mniej ważne jest dla niego to, co się dzieje na świecie. Dlatego niewielkie mam o tym pojęcie. Mógłbym spytać, czy obecnie nie toczy się jakaś większa wojna?

– Większa nie – odparł Wallander. – Ale dużo małych.

Hoslowski pokiwał głową.

– Mój sąsiad mieszka bardzo blisko. Nie widać stąd jego domu. Może jakieś trzysta metrów. Ziemskie odległości trudno oszacować.

Wallander podziękował i odszedł. Było ciemno. Oświetlał sobie drogę latarką. Wśród drzew pobłyskiwało światło. Pomyślał o Jacobie Hoslowskim i jego kotach.

Zatrzymał się przed stosunkowo nową willą. Obok stał samochód z napisem „Usługi rurociągowie”. Zadzwoił do drzwi. Otworzyły się gwałtownie, jakby Wallander był ostatni w nieprzebranym korowodzie natrętów. Na progu stanął bosonogi mężczyzna w białym podkoszulku. Miał sympatyczną twarz. W głębi dał się słyszeć krzyk dziecka. Wallander krótko wyjaśnił, kim jest.

– Hoslowski pana przysłał? – zapytał z uśmiechem mężczyzna.

– Skąd pan wie?

– Czuję po zapaszku. Proszę wejść. To się przewietrzy.

Wallander udał się za roślącym mężczyzną do kuchni. Krzyki dziecka dobiegały z piętra. Gdzieś grał telewizor. Rune Nilsson instalował rurociągi. Wallander podziękował za kawę i powiedział, w jakiej sprawie przyszedł.

– Takich rzeczy się nie zapomina – odparł Rune Nilsson. – Byłem wtedy kawalerem. Stał tu jeszcze stary dom, który potem rozebrałem i zbudowałem nowy. Czy to się naprawdę wydarzyło dziesięć lat temu?

– Dziesięć bez niespełna czterech miesięcy.

– Załomotał do drzwi. Był środek dnia.

– Jak się zachowywał?

– Był zdenerwowany. Ale opanowany. Zadzwoił pod numer alarmowy. W tym czasie ubrałem się i poszliśmy skrótem przez las. Często wtedy wędkowałem.

– Czy cały czas był opanowany? Co mówił?

– Że lód się załamał i wpadła do wody.

– Podobno był dosyć gruby.

– Z lodem nigdy nic nie wiadomo. Mogą być niewidoczne szczeliny albo cieńsze warstwy. Chociaż było to trochę dziwne.

– Jacob Hoslowski powiedział, że przerębel miał kształt czworokąta. Że ktoś mógł go wyrznać.

– Kształtu nie pamiętam. W każdym razie był duży.

– Ale wszędzie wokół lód mocno trzymał. Nie bał się pan tam wchodzić? Pan, taki roślony mężczyzna?

Rune Nilsson pokiwał głową.

– Dużo o tym później myślałem – powiedział. – Przerębel nagle się

otwiera i kobieta wpada do wody. Dlaczego nie udało mu się jej wyciągnąć?

– Jak to tłumaczył?

– Mówił, że próbował, ale bardzo szybko zniknęła pod lodem.

– Rzeczywiście tak było?

– Znaleźli ją kilka metrów od przerębla. Nie poszła na dno. Widziałem, jak ją wyciągali. Nigdy tego nie zapomnę. Nie mogłem zrozumieć, że tak dużo ważyła.

Wallander spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Co to znaczy, że „tak dużo ważyła”?

– Znałem Nygrena, ówczesnego policjanta. Już nie żyje. Powiedział mi, że mąż twierdził, jakoby ważyła prawie osiemdziesiąt kilo. To by wyjaśniało, dlaczego łód się załamała. Nigdy tego nie mogłem pojąć. Myślę, że każdy się zastanawia nad nieszczęśliwymi wypadkami. Nad tym, co się stało. I jak można było tego uniknąć.

– Tak, zapewne – przyznał Wallander i wstał. – Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas. Chciałbym, żeby jutro pokazał mi pan to miejsce.

– Pójdziemy po wodzie?

Wallander uśmiechnął się.

– To nie będzie konieczne. Może Jacob Hosłowski ma takie zdolności.

Rune Nilsson pokręcił głową.

– To miły człowiek. On i jego koty. Ale szalony.

Wallander wracał leśną drogą. W oknie Jacoba Hosłowskiego paliła się lampa naftowa. Rune Nilsson obiecał, że o ósmej rano będzie w domu. Uruchomił samochód i pojechał do Almhultu. Silnik pracował bez zarzutu. Wallander zgłodniał. Wypadałoby zaproponować Bo Runfeldtowi wspólne zjedzenie kolacji. Podróż nie okazała się bezcelowa.

Kiedy dotarł do hotelu, w recepcji czekała na niego wiadomość. Bo Runfeldt wynajął samochód i pojechał do Vaxjö. Miał tam przyjaciół i tam zamierzał spędzić noc. Obiecał wrócić do Almhultu wcześniej rano. Wallander lekko się zirytował. Runfeldt mógł mu być potrzebny. Został numer telefonu do Vaxjö, ale Wallander nie widział powodów, żeby do niego dzwonić. Jednocześnie ulżyło mu, że ma cały wieczór dla siebie. Wziął prysznic i przypomniało mu się, że nie zabrał szczoteczki do zębów. Ubrał się, znalazł otwarty sklep, kupił to, czego potrzebował, a potem zjadł kolację w pizzerii, obok której przypadkiem przechodził. Bez przerwy myślał o utonięciu. Stopniowo zaczynał się wyłaniać

w miarę sensowny obraz. Wrócił do hotelu. Przed dziewiątą zadzwonił do Ann-Britt Höglund. Miał nadzieję, że jej dzieci już śpią. Zrelacjonował pokrótce, co się wydarzyło. Był ciekaw, czy udało im się odszukać panią Svensson, przypuszczalnie ostatnią klientkę Gösty Runfeldta.

– Jeszcze nie – powiedziała Ann-Britt Höglund. – Ale się uda.

Zakończył rozmowę. Potem włączył telewizor i nieobecny myślami, słuchał programu publicystycznego. I nie wiedzieć kiedy, zasnął.

Obudził się wyspany kilka minut po szóstej rano. O wpół do ósmej był po śniadaniu, zapłacił za pokój i usiadł obok recepcji. Chwilę później przyszedł Bo Runfeldt. Żaden nie wspomniał o Vaxjö.

– Pojedziemy nad jezioro – powiedział Wallander – w którym utonęła pana matka.

– Czy ta podróż warta była zachodu? – spytał z irytacją Bo Runfeldt.

– Tak. I pańska obecność miała decydujące znaczenie. Bez względu na to, co pan o tym myśli.

Oczywiście nie była to prawda, ale stanowczość Wallandera sprawiła, że Bo Runfeldt spoważniał, a może nawet uwierzył.

Rune Nilsson czekał na nich. Poszli ścieżką przez las. Było bezwietrznie. Temperatura w okolicach zera. Pod stopami twarda ziemia. Przed nimi rozpościerały się wody podłużnego jeziora. Rune Nilsson wskazał na punkt gdzieś pośrodku. Bo Runfeldt wydawał się niemile dotknięty. Wallander podejrzewał, że jest tutaj po raz pierwszy.

– Trudno sobie wyobrazić jezioro skute lodem – powiedział Rune Nilsson. – Zimą wszystko wygląda inaczej. Inaczej ocenia się odległość. To, co w lecie jest daleko, w zimie może być tuż-tuż. Albo odwrotnie.

Wallander stanął na brzegu ciemnej wody. Wydało mu się, że obok kamienia przepływa mała rybka. Bo Runfeldt zapytał Nilssona o głębokość jeziora. Wallander nie dosłyszał odpowiedzi.

Co się stało? Czy Gösta Runfeldt zawczasu postanowił utopić żonę tamtej niedzieli? Pewnie tak. W jakiś sposób spreparował przerebel. W taki sam sposób, w jaki ktoś nadpiłował kładkę Holgera Erikssona. I więził Göstę Runfeldta.

Wallander dosyć długo patrzył na jezioro. Ale widział jedynie swoje wewnętrzne obrazy.

Wrócili tą samą drogą. Przy samochodzie pożegnali się z Nilssonem.

Wallander pomyślał, że będą w Ystadzie przed dwunastą. Ale się pomylił. Zaraz za Almhultem silnik odmówił posłuszeństwa. Wallander za-

dzwonił do miejscowego przedstawiciela swojej firmy serwisowej. Mężczyzna, który zjawił się po dwudziestu minutach, stwierdził, że awaria jest poważna i nie da się jej usunąć od ręki. Nie pozostawało nic innego, jak zostawić samochód i wrócić pociągiem do Malmö. Mężczyzna podwiózł ich na stację. Kiedy Wallander załatwiał z nim różne formalności, Bo Runfeldt poszedł po bilety. Okazało, że kupił miejsca w pierwszej klasie. Wallander nic nie powiedział. Pociąg do Malmö przez Hässleholm odjechał o 9.44. Wallander zadzwonił do komendy i poprosił, żeby ktoś odebrał ich w Malmö, ponieważ nie było żadnego sensownego połączenia z Ystadem. Ebba obiecała tego dopilnować.

– Czy policja naprawdę nie ma lepszych samochodów? – spytał Bo Runfeldt, kiedy pociąg ruszył. – A gdyby to się stało podczas jakiejś akcji?

– To mój prywatny samochód – powiedział Wallander. – Radiowozy są w o wiele lepszym stanie.

Za oknem przesuwał się krajobraz. Wallander myślał o Jacobie Holskim i jego kotach. I o tym, że Gösta Runfeldt przypuszczalnie zamordował żonę. Nie wiedział, co to oznacza. Teraz Gösta Runfeldt też był martwy. Brutalny mężczyzna, który prawdopodobnie dopuścił się zabójstwa, został pozbawiony życia w równie okrutny sposób.

Najbardziej naturalnym motywem byłaby zemsta.

Ale kto się mści i za co? I jak pasuje do tej układanki Holger Eriksson?

Jego rozmyślania przerwała konduktorka. Uśmiechnęła się i z wyraźnym skanskim akcentem poprosiła o bilet. Miał uczucie, że patrzy na niego tak, jakby go znała. Może widziała jego zdjęcie w gazecie?

– Kiedy będziemy w Malmö? – spytał.

– O dwunastej piętnaście. A w Hässleholmie o jedenastej trzynaście.

I poszła.

Rozkład jazdy miała w małym palcu.

20

Przed dworcem głównym czekał Peters. Bo Runfeldt chciał zostać kilka godzin w Malmö. Po południu miał przyjechać do Ystadu, żeby przejrzeć z siostrą dobytek ojca i zdecydować, co zrobić z kwiaciarnią.

Wallander usiadł z tyłu i spisywał na kolanie to, co się wydarzyło w Almhulcie. W długopis i niewielki notes zaopatrzył się na dworcu w Malmö. Małomówny Peters, widząc, że Wallander jest zajęty, nie odezwał się ani razu. Był słoneczny wietrzny dzień. 14 października. Od pogrzebu ojca nie minął tydzień. Wallander podejrzewał, a raczej się obawiał, że żałoba i proces wychodzenia z niej jeszcze się nie rozpoczęły.

Pojechali prosto do komendy. Wallander zjadł w pociągu kilka absurdalnie drogich kanapek i mógł zrezygnować z lunchu. Zatrzymał się przy recepcji i opowiedział Ebbie o awarii samochodu. Jej dobrze utrzymane pv jak zwykle stało na parkingu.

– Będzie mi potrzebny nowy samochód – skonstatował Wallander. – Nie da się tego uniknąć. Tylko skąd ja wezmę pieniądze?

– To straszne, że mamy takie niskie pensje. Lepiej o tym nie myśleć.

– No nie wiem. Od niemyślenia nie będą wyższe.

– Może podpisałeś jakiś tajny kontrakt gwarantujący zawrotną odprawę.

– Wszyscy mają zagwarantowane odprawy. Prócz ciebie i mnie.

Idąc do siebie, zaglądał do pokoi kolegów. Zastał jedynie Nyberga, który urzędował na końcu korytarza. Rzadko tam bywał. Przy biurku stała kula.

– Jak stopa? – spytał Wallander.

– Jest, jak jest – odburknął Nyberg.

– Czy nie znaleźliście przypadkiem neseseru Runfeldta?

– W lesie koło Marsvinsholmu go nie ma. Psy by wytropiły.

– Odkryliście coś nowego?

– Zawsze coś odkrywamy. Ale nie zawsze wiemy, czy te odkrycia mają jakiś związek z prowadzonym śledztwem. Porównujemy odciski opon z drogi za pagórkami Holgera Erikssona z tymi, które zdjęliśmy w lesie. Wątpię, czy będziemy mogli coś ustalić z całkowitą pewnością. W obu miejscach było mokre gliniaste podłoże.

– Czy o czymś jeszcze powinienem wiedzieć?

– O małpiej głowie. To znaczy o ludzkiej głowie. Dostaliśmy wyczerpujące informacje z Muzeum Etnograficznego ze Sztokholmu. Zrozumiałem z tego mniej więcej połowę. W każdym razie są przekonani, że głowa pochodzi z Konga Belgijskiego, czyli z dzisiejszego Zairu. Przypuszczają, że ma od czterdziestu do pięćdziesięciu lat.

– To by się zgadzało – powiedział Wallander.

- Muzeum chciałoby ją mieć w swoich zbiorach.
- Musi o tym zdecydować zwierzchnictwo po zakończeniu śledztwa.

Nyberg spojrział pytająco na Wallandera.

- Złapiemy tych, którzy to zrobili?

– Musimy.

Nyberg skinął głową.

– Powiedziałeś „zrobili” – zauważył Wallander. – Kiedy rozmawialiśmy o tym wcześniej, byłeś zdania, że sprawca jest jeden.

- Powiedziałem „zrobili”?

– Tak.

– W dalszym ciągu myślę, że chodzi o jedną osobę. Ale nie umiem wytłumaczyć, dlaczego tak myślę.

Wallander już miał odejść, kiedy Nyberg go zatrzymał.

– Udało nam się wyciągnąć z firmy przesyłkowej „Secur” z Borasu listę zamówień Gösty Runfeldta. Nie licząc aparatury podsłuchowej i pędzelka magnetycznego, zaopatrywał się u nich trzy razy. Firma nie działa od zbyt dawna. Kupił lornetkę z noktowizorem, parę latarek i kilka innych rzeczy bez znaczenia. Nic nielegalnego. Latarki znaleźliśmy na Harpegatan, ale lornetki nie ma ani tam, ani na Vastra Vallgatan.

Wallander się zastanawiał.

– Może chciał ją zabrać do Nairobi i spakował do neseseru? Czy orchidee ogląda się potajemnie późną nocą?

- Tak czy owak, lornetki nie znaleźliśmy.

Wallander poszedł do swojego pokoju. Zrezygnował z kawy. Usiadł przy biurku i przeczytał zapiski, które zrobił w drodze z Malmö do Ystadu. Szukał podobieństw i różnic między dwoma morderstwami. Obaj mężczyźni uchodzili za brutalnych. Holger Eriksson źle traktował swoich pracowników, a Gösta Runfeldt maltretował żonę. Obaj zostali zamordowani w wyrafinowany sposób. Wallander nadal uważał, że Runfeldt był więziony. To jedyne sensowne wyjaśnienie jego długiej nieobecności. Eriksson z kolei od razu poszedł na spotkanie śmierci. Tu była różnica, ale nie do końca. Wallander dostrzegał pewne ledwie uchwytnie cechy wspólne. Dlaczego Runfeldta więziono? Dlaczego sprawca zwlekał z zabiciem go? Odpowiedzi mogło być wiele. Z jakiegoś powodu zdecydował się czekać. Tu nasuwały się następne pytania: Czy sprawca nie miał możliwości, by natychmiast go zamordować? Jeśli tak, to dlaczego? Czy uwięzienie Runfeldta stanowiło część planu i chodziło o to, żeby głodze-

niem doprowadzić go do całkowitej utraty sił?

Wracał ten sam motyw. Zemsta. Zemsta za co? Jeszcze nie trafili na żaden wyraźny ślad.

Wallander zaczął się zastanawiać nad sprawcą. Mówili o tym, że przypuszczalnie mają do czynienia z jednym silnym mężczyzną. Oczywiście mogli się mylić, sprawców mogło być kilku, ale Wallander w to nie wierzył. Coś w planowaniu zabójstw wskazywało na jednego człowieka.

Staranne przygotowanie to jeden z powodów. Gdyby sprawca nie działał sam, mniej byłoby tak dopracowanych szczegółów.

Wallander odchylił się na krześle. Próbował zrozumieć własny niepokój, który go ani przez chwilę nie opuszczał. Nie dostrzegał czegoś w ogólnym obrazie. Albo całkowicie błędnie to interpretował. Co to było?

Godzinę później przyniósł sobie kawę i zadzwonił do optyka, który wcześniej daremnie na niego czekał. Nie wyznaczono mu nowego terminu. Mógł przyjść, kiedy zechce. Po dwukrotnym przeszukaniu kurtki znalazł numer telefonu do mechanika w Almhulcie w kieszeni spodni. Naprawa miała go słono kosztować. Ale jeśli chciał w ogóle myśleć o sprzedaży, musi zapłacić.

Po rozmowie z mechanikiem zadzwonił do Martinssona.

– Nie wiedziałem, że wróciłeś – powiedział Martinsson. – Jak ci poszło w Almhulcie?

– Chciałbym o tym pomówić. Czy jest ktoś jeszcze?

– Przed chwilą widziałem Hanssona. Umówiliśmy się na piątą.

– No to poczekamy do piątej.

Odłożył słuchawkę i nagle pomyślał o Jacobie Hosłowskim i jego kochankach. Ciekawe, kiedy znajdzie czas na szukanie domu. Zaczął podejrzewać, że nigdy. Miał coraz więcej pracy. Przedtem zdarzały się spokojniejsze okresy. Ale to już przeszłość. I nic nie zapowiadało zmian na lepsze. Nie wiedział, czy dlatego, że rośnie przestępczość; w każdym razie przemoc bywała czasem dużo brutalniejsza, śledztwa dużo bardziej skomplikowane. Poza tym w działaniach operacyjnych brało udział coraz mniej policjantów, coraz więcej ludzi siedziało w administracji. Większość zaczynała organizować pracę mniejszości. Wallander nie wyobrażał sobie siebie wyłącznie za biurkiem. Tkwienie tam, tak jak teraz, traktował jako chwilową przerwę w normalnych rutynowych zajęciach. Nigdy by nie wykryli żadnego sprawcy, przesiadując w czterech ścianach

komendy. Technika kryminalistyczna, choć nieustannie się rozwija, nigdy nie zastąpi pracy w terenie.

Wrócił myślami do Almhultu. Co się wydarzyło dziesięć lat temu na skutym lodem jeziorze? Czy Gösta Runfeldt zaaranżował nieszczęśliwy wypadek? Przemawiały za tym pewne poszlaki. Nie zgadzało się zbyt dużo szczegółów. Bez większego wysiłku powinni wyciągnąć z archiwum materiały dochodzeniowe. Prawdopodobnie były niestaranne, ale trudno o to obwiniać zajmujących się tą sprawą policjantów. Bo niby co mieli podejrzewać? Dlaczego w ogóle mieliby nabrać jakichkolwiek podejrzeń?

Wallander podniósł słuchawkę, jeszcze raz zadzwonił do Martinssona i poprosił, żeby ściągnął z Almhultu kopię materiałów dotyczących utonięcia.

– Dlaczego sam tego nie zrobiłeś? – zdziwił się Martinsson.

– Bo z nikim od nich nie rozmawiałem. Siedziałem za to na podłodze w towarzystwie niezliczonej ilości kotów i pewnego mężczyzny, który, jeśli zechce, może nic nie ważyć. Kopia przydałaby się jak najszybciej.

Zakończył rozmowę, zanim Martinsson zdążył go o cokolwiek zapytać. Była trzecia. Spojrzał w okno. Pogoda dopisywała. Postanowił nie czekać i od razu pójść do optyka. Mieli się spotkać o piątej, do tego czasu i tak niewiele by działał. Poza tym czuł ćmiący ból w skroniach. Włożył kurtkę i wyszedł z komendy. Ebba rozmawiała przez telefon. Zostawił jej kartkę z wiadomością, że wróci o piątej. Na parkingu wypatrywał swojego samochodu, zanim sobie przypomniał, co i jak. Spacer do śródmieścia zajął mu dziesięć minut. Optyk miał sklep na Stora Ostergatan nieopodal Pilgrand. Czekał kilka minut na wizytę, przeglądał gazety. W jednej zamieszczono jego zdjęcie, zrobione przeszło pięć lat temu. Ledwie siebie rozpoznał. Na rozkładówce obszerne teksty o morderstwach. „Policja podąża wyraźnym tropem”. Tak właśnie powiedział, co nie było prawdą. Zastanawiał się, czy zabójca czyta gazety. Czy śledzi ich ruchy? Jego uwagę zwrócił jeszcze jeden artykuł, który czytał z rosnącym zdumieniem. Popatrzył na zdjęcia. Dziennikarz z „Anmarkaren”, pisma, które jeszcze nie zaczęło wychodzić, miał rację. W Ystadzie zebrano się trochę ludzi z całego kraju, żeby powołać do życia gwardię obywatelską. Wypowiadali się bez ogródek. Jeśli zajdzie taka potrzeba, nie zawahają się złamać prawa. Popierają działania policji. Ale nie akceptują wprowadzanych cięć i redukcji. A przede wszystkim nie akceptują chwiejności prze-

pisów prawnych. Wallander odczuwał coraz większy niesmak i gorycz. Rzeczywiście coś się zmieniło. Rzecznicy uzbrojonej gwardii obywatelskiej wyszli z cienia.

Już się nie ukrywali. Prócz nazwisk były także ich zdjęcia. Zjechali do Ystadu, żeby stworzyć ogólnokrajową organizację.

Wallander odłożył gazetę. Będziemy walczyć na dwóch frontach, pomyślał. To coś znacznie poważniejszego od wszystkich ugrupowań neonazistowskich, które wbrew powszechnej opinii nie stanowiły wielkiego zagrożenia. O gangach motocyklowych nie wspominając.

Przysłała jego kolej. Miał przed oczyma jakiś dziwaczny aparat i wpatrywał się w rozmazane litery. Zaniepokoił się, że zaczyna ślepnąć. Nic nie widział. Ale kiedy optyk włożył mu na nos okulary i podał gazetę – w której też był artykuł o gwardii obywatelskiej i jej przyszłym ogólnokrajowym zarządzie – mógł bez najmniejszego wysiłku wszystko przeczytać. Na chwilę zapomniał o przykrym uczuciu wywołanym doniesieniami prasowymi.

– Potrzebne panu okulary do czytania – uprzejmie poinformował optyk. – To normalne w pana wieku. Plus półtora będzie w sam raz. Co kilka lat będzie pan musiał wzmacniać ostrość.

Potem Wallander wybierał oprawki. Zdumiał się, słysząc ceny. Ale kiedy się dowiedział, że są dużo tańsze, plastikowe, natychmiast się na nie zdecydował.

– Ile par? – spytał optyk. – Dwie? Jedną będzie pan miał w zapasie.

Wallander pomyślał o wiecznie wsiąkających długopisach. Na samą myśl, że miałby nosić okulary na sznurku, robiło mu się niedobrze.

– Pięć par – zaordynował.

Była dopiero czwarta. Choć wcześniej tego nie planował, postanowił zajrzeć do biura pośrednictwa w obrocie nieruchomościami, przed którego witryną zatrzymał się kilka dni temu i oglądał domy na sprzedaż. Tym razem wszedł do środka, usiadł przy stole i studiował oferty. Wybrał dwie. Dostał kopie i obiecał, że się odezwie w sprawie oglądania. Nadal miał trochę czasu. Uznał, że powinien skorzystać z okazji i pójść do księgarni przy Stortorget, żeby uzyskać odpowiedź na pytanie, które nie dawało mu spokoju od śmierci Holgera Erikssona. Znajomy księgarz był w magazynie mieszczącym się w podziemiach. Wallander zastał go pośród skrzyń z materiałami dla szkół, które właśnie rozpakowywał. Przywitali się.

– Ciągłe jesteś mi winien dziewiętnaście koron – powiedział księgarz i uśmiechnął się.

– Za co?

– W lecie zerwaliście mnie o szóstej rano, bo potrzebna wam była mapa Dominikany. Policjant, który po nią przyjechał, zapłacił mi sto koron. A kosztowała sto dziewiętnaście.

Wallander wsunął dłoń pod kurtkę, żeby wyjąć portfel.

Księgarz podniósł rękę.

– Moja strata. Potraktuj to jako żart.

– Czy możesz mi powiedzieć, kto czytał wiersze Holgera Erikssona? Sam finansował ich wydanie.

– Rzecz jasna, był amatorem, ale całkiem niezłym. Kłopot polegał na tym, że potrafił dobrze pisać tylko o ptakach. Ilekroć próbował się zmierzyć z inną tematyką, zawsze ponosił porażkę.

– Kto kupował jego wiersze?

– W mojej księgarni nie sprzedawał dużo egzemplarzy. Tak zwana miejscowa twórczość nie przynosi żadnych dochodów. Ale ma swoją wartość.

– Kto je kupował?

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Może turyści, którzy przyjeżdżają do Skanii? Miłośnicy ptaków. Albo kolekcjonerzy literatury prowincjonalnej.

– Ptaki... Czyli nigdy nie napisał czegoś, co mogłoby ludzi oburzyć.

– Oczywiście, że nie – zdumiał się księgarz. – Czy ktoś coś takiego twierdzi?

– Nie, po prostu chciałem to wiedzieć.

Wallander opuścił księgarnię i ruszył pod górkę do komendy.

Kiedy Wallander zajął swoje stałe miejsce przy stole i włożył okulary, w sali zebrania zapanowała ogólna wesołość. Ale nikt nic nie powiedział.

– Kogo nie ma? – spytał.

– Svedberga – odparła Ann-Britt Höglund. – Nie wiem, gdzie jest.

Ledwie zdążyła dokończyć zdanie, Svedberg pojawił się w drzwiach. Wallander od razu się zorientował, że ma coś nowego.

– Znalazłem panią Svensson – powiedział. – Czyli, jeśli się nie mylimy, ostatnią klientkę Gösty Runfeldta.

– Dobrze – skwitował Wallander, czując narastające napięcie.

– Pomyślałem, że mogła przyjść do kwaciarni – podjął Svedberg – żeby się skontaktować z Runfeldtem. Wziąłem zdjęcia, które

wywołaliśmy, i Wania Andersson przypomniała sobie, że jedno z nich widziała w pomieszczeniu na zapleczu. Zdjęcie mężczyzny. Kobieta o nazwisku Svensson kilka razy była w kwiaciarni. Raz chciała wysłać komuś kwiaty. Cała reszta poszła gładko. Bez problemu udało się odszukać adres i numer telefonu. Pojechałem tam. Pani Svensson mieszka na Byabacksvagen w Sövestadzie, gdzie sprzedaje własne warzywa. Kiedy pokazałem jej zdjęcia, potwierdziła, że wynajęła Göstę Runfeldta w charakterze prywatnego detektywa.

– Dobrze – powtórzył Wallander. – Co jeszcze mówiła?

– Była zajęta, miała w domu rzemieślników. Pomyślałem, że wspólnie powinniśmy się przygotować do tej rozmowy.

– Chciałbym się z nią zobaczyć jeszcze dzisiaj – powiedział Wallander. – Streszczajmy się.

Zebranie trwało około pół godziny. W trakcie weszła Lisa Holgersson. Wallander zdał relację z wyprawy do Almhultu, którą podsumował konstatacją, że być może Gösta Runfeldt zamordował żonę. Poczekają na kopię materiałów dochodzeniowych, a potem zastanowią się, co dalej.

Kiedy skończył, zaległa cisza. Wszyscy uznali, że może mieć rację. Cokolwiek by to oznaczało.

– Ta podróż była potrzebna – powiedział po chwili Wallander. – Myślę, że wyjazd do Svenstaviku również może przynieść wymierne rezultaty.

– A po drodze warto byłoby zahaczyć o Gavle – wtrąciła Ann-Britt Höglund. – Poprosiłam dobrego znajomego ze Sztokholmu, żeby kupił mi w specjalnej księgarni kilka numerów „Terminatora”. Dzisiaj je dostałam. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie.

– Co to za gazeta? – spytał Wallander, któremu coś się obilo o uszy.

– Wychodzi w USA. Można by ją uznać za słabo zakamuflowane pi-semko fachowe dla tych, którzy chcieliby zostać najemnikami, osobistymi ochroniarzami lub szukają jakichś żołnierskich poruczeń. To odstręczająca gazeta. Bardzo rasistowska. Znalazłam tam interesujące ogłoszenie. Pewien człowiek z Gavle pisze, że może załatwić zlecenia dla „mężczyzn chętnych do walki i wolnych od przesądów”. Zadzwoiłam do kolegów z Gavle. Wiedzieli, kto to jest, ale nigdy się z nim nie zetknęli. Ich zdaniem, ma on rozległe kontakty z byłymi szwedzkimi najemnikami.

– To może być ważne – przyznał Wallander. – Musimy z nim porozma-

wiać. Na pewno uda się połączyć podróż do Svenstaviku i do Gavle.

– Spojrzałam na mapę. Można polecieć do Ostersundu i wynająć samochód albo poprosić o pomoc kolegów.

Wallander zamknął kołnотatnik.

– Postaraj się to załatwić. Jeśli to możliwe, na jutro.

– Jutro jest sobota – zauważył Martinsson.

– Ci, których chciałbym spotkać, mogą ze mną porozmawiać nawet w sobotę – powiedział Wallander. – Nie mamy czasu do stracenia. Proponuję zakończyć zebranie. Kto jedzie ze mną do Sovestadu?

Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, Lisa Holgersson zastukała ołówkiem w stół.

– Chwileczkę. Może nie wiecie, że w mieście zebrali się ludzie, którzy chcą założyć ogólnokrajową gwardię obywatelską. Uważam, że powinniśmy w miarę szybko wypracować wspólne stanowisko w tej sprawie.

– Główny Zarząd Policji wydał mnóstwo okólników dotyczących tak zwanej gwardii obywatelskiej – powiedział Wallander. – Myślę, że ci ludzie świetnie się orientują, jaki jest stosunek szwedzkiego prawodawstwa do prywatnego wymiaru sprawiedliwości.

– Z pewnością – odrzekła Lisa Holgersson. – Ale mam nieodparte przekonanie, że coś się zaczyna zmieniać. Podejrzewam, że już wkrótce członek takiej grupy na przykład zastrzeli złodzieja, po czym wszyscy będą się nawzajem kryć.

Wallander wiedział, że ona ma rację. Nie mógł się jednak w to angażować, kiedy mieli na głowie dwa morderstwa.

– Odłóżmy tę sprawę do poniedziałku – zaproponował. – Zgadzam się, że to ważne. Ba, na dłuższą metę wręcz zasadnicze, jeśli nie chcemy dominacji ludzi bawiących się w policjantów.

Lisę Holgersson zadowolili ta odpowiedź. Wallanderowi miała towarzyszyć Ann-Britt Höglund i Svedberg. Była szósta, kiedy wyruszyli do Sövestadu. Zachmurzyło się, wieczorem lub w nocy pewnie się rozpada. Pojechali samochodem Ann-Britt Höglund. Wallander usiadł z tyłu. Ni stąd, ni zowąd zaczął się zastanawiać, czy po wizycie u Jacoba Hosłowskiego ciągle nie zalatuje od niego kotami.

– Maria Svensson – zaczął Svedberg – ma trzydzieści sześć lat i zajmuje się uprawą warzyw. Jeśli dobrze ją zrozumiałem, nie stosuje żadnych chemicznych trucizn.

– Nie spytałeś, dlaczego skontaktowała się z Runfeldtem?

– Nie, poprzestałem na tym, że potwierdziła ten kontakt.

– Zapowiada się bardzo interesująco – powiedział Wallander. – W swojej policyjnej karierze nigdy nie spotkałem kogoś, kto prosiłby o pomoc prywatnego detektywa.

– To było zdjęcie mężczyzny – włączyła się Ann-Britt Höglund. – Czy ona jest mężatką?

– Powiedziałem wszystko, co wiem – odparł Svedberg. – Teraz wiemy równie dużo.

– Równie mało – poprawił go Wallander. – Właściwie tyle, co nic.

Po dwudziestu minutach dotarli do Sövestadu. Kiedyś, przed laty, Wallander zdejmował tutaj wisielca. Pamiętał o tym, ponieważ to było jego pierwsze samobójstwo. Zrobiło mu się przykro.

Svedberg zatrzymał się przed posesją, na której stały dom, szklarnia i sklep. Na tabliczce widniał napis: „Warzywa Svensson”. Wysiedli z samochodu.

– Tu mieszka – poinformował Svedberg. – Chyba już zamknęła sklep.

– Kwiaty i warzywa – powiedział Wallander. – Czy to coś znaczy? Czy to tylko zbieg okoliczności?

Nie spodziewał się odpowiedzi. I słusznie. Kiedy byli w połowie alejki, drzwi się otworzyły.

– Oho – zauważył Svedberg – Maria Svensson czekała na nas.

Wallander patrzył na kobietę stojącą na podeście schodów. Miała na sobie dzinsy, białą bluzkę i drewniaki. W jej wyglądzie było coś nieokreślonego. Zwrócił uwagę na całkowity brak makijażu. Svedberg ich przedstawił, weszli do środka i rozgościli się w salonie. Wallanderowi przeleciało przez głowę, że nawet w jej domu było coś nieokreślonego. Jakby nie dbała o to, jak mieszka.

– Może napiją się państwo kawy? – spytała Maria Svensson.

Odmówili.

– O czym pani zapewne wie, chcielibyśmy lepiej poznać stosunki łączące panią z Göstą Runfeldtem – zaczął Wallander.

Popatrzyła na niego zdumiona.

– Moje stosunki z Runfeldtem?

– To znaczy prywatnego detektywa ze swoim klientem – uściślił Wallander.

– Ach, tak.

– Gösta Runfeldt został zamordowany. Dopiero po pewnym czasie

udało nam się ustalić, że oprócz kwaciarstwa praktykował jako prywatny detektyw. – Wallander lekko się zjeżył, słysząc, jak się wystawia. – Na początek chciałbym spytać, jak go pani znalazła.

– Przeczytałam ogłoszenie w „Arbetet”. To było w lecie.

– Jak nawiązała pani z nim kontakt?

– Przyszłam do kwaciarni i tego samego dnia spotkaliśmy się w jednej z ystadzkich kawiarni przy Stortorget. Nazwy nie pamiętam.

– Jaką pani miała do niego sprawę?

– Wolałabym nie odpowiadać na to pytanie.

Zareagowała z wyjątkową stanowczością, co zdziwiło Wallandera.

– Wydaje mi się, że powinna pani odpowiedzieć – stwierdził.

– Proszę mi wierzyć, że nie ma to nic wspólnego z jego śmiercią. Tak jak wszyscy, jestem tym zszokowana i przerażona.

– O ewentualnych powiązaniach zdecyduje policja. Jeśli odpowie pani tu i teraz, wszystko, co nie ma związku ze śledztwem, zostanie między nami. Jeśli zaprosimy panią na formalne przesłuchanie, niewykluczone, że to i owo trafi do mass mediów.

Długo milczała. Wallander położył przed nią zdjęcie, które wywołali na Harpegatan. Spojrzała na nie obojętnie.

– Czy to pani mąż? – spytał Wallander.

Przez chwilę wpatrywała się w mężczyznę, po czym parsknęła śmiechem.

– Nie, to nie jest mój mąż. Ale to on ukradł mi kogoś bardzo bliskiego. Wallander nic nie rozumiał.

Ann-Britt Höglund nie miała wątpliwości.

– Jak ona się nazywa?

– Annika.

– I ten mężczyzna was poróżnił?

Maria Svensson spoważniała.

– Nabrałam takich podejrzeń. Nie miałam pojęcia, co robić, i wtedy pomyślałam o prywatnym detektywie. Musiałam wiedzieć, czy nie chce mnie porzucić dla jakiegoś mężczyzny. W końcu dotarło do mnie, że tak właśnie zrobiła. Powiedział mi o tym Gösta Runfeldt. Następnego dnia napisałam do Anniki, że nie chcę jej więcej widzieć.

– Kiedy to było? – spytał Wallander. – Kiedy Runfeldt pani o tym powiedział?

– Dwudziestego albo dwudziestego pierwszego września.

– I potem już się nie kontaktowaliście?
– Nie. Wysłałam mu honorarium przekazem.
– Jakie zrobił na pani wrażenie?
– Był niezwykle uprzejmy. I uwielbiał orchidee. Chyba się dobrze rozumieliśmy, bo wydawał się równie powściągliwy jak ja.
– Mam jeszcze jedno pytanie. Czy wyobraża sobie pani jakiś powód, dla którego został zamordowany? Może powiedział coś takiego, na co pani zwróciła uwagę?
– Nie. Długo nad tym myślałam.
Wallander popatrzył na kolegów i wstał.
– Nie będziemy już pani zawracać głowy. Obiecuję, że nic nie wyjdzie na jaw.
– Dziękuję. Wolałabym nie stracić klientów.
Pożegnali się w progu. Zamknęła drzwi, zanim wyszli na ulicę.
– O co jej chodziło z tymi klientami? – spytał Wallander.
– Wieśniacy są konserwatywni – odparła Ann-Britt Höglund. – Wielu ciągle uważa lesbijki za coś plugawego. Dlatego tak jej zależy, żeby to się nie wydało.
Wsiadli do samochodu. Wallander pomyślał, że niedługo zacznie padać.
– Jakie wnioski? – spytał Svedberg.
– Nie cofnęliśmy się ani nie posunęli naprzód – stwierdził Wallander. – Prawda o tych morderstwach jest bardzo prosta. Nic nie wiemy na pewno. Mamy trochę luźnych wątków, ale żadnego wyraźnego tropu. Nic nie mamy.
Siedzieli w milczeniu. Wallander czuł się przez moment winny. Jakby wbił śledztwu nóż w plecy. Ale powiedział, jak jest.
Nie mieli żadnego tropu.
Nic. Absolutnie nic.

21

Tej nocy Wallander miał sen.
Szedł z ojcem. Lato się skończyło, była rzymska jesień. O czymś rozmawiali, nie pamiętał, o czym. Nagle ojciec zniknął. Błyskawicznie. Był

przy nim, a w sekundę później pochłonał go uliczny tłum.

Obudził się ze zdrygnięciem. Sen wydawał się przejrzysty i jasny. Opłakiwał ojca, ubolewał, że nie dokończą ledwie rozpoczętej rozmowy. Nie mógł o to obwiniać zmarłego ojca. Mógł obwiniać siebie.

Już mu się nie udało zasnąć. Musiał zresztą wcześniej wstać.

Poprzedniego dnia, kiedy wrócili do komendy po wizycie u Marii Svensson, czekała na niego wiadomość, że nazajutrz o 7.00 wylatuje ze Sturupu. O 9.50 miał być – po międzyładowaniu na Arlandzie – w Ostersundzie. Zorientował się, że sobotni wieczór może spędzić w Svenstaviku albo w Gavle. Na Froson obiecali podstawić mu samochód. Mógł wybrać miejsce noclegu. Popatrzył na mapę Szwecji, która wisiała na ścianie tuż obok powiększonej mapy Skanii, i wpadł na pewien pomysł. Ze swojego pokoju zadzwonił do Lindy. Po raz pierwszy usłyszał automatyczną sekretarkę. Nagrał się. Spytał, czy mogłaby przyjechać do Gavle, podróż pociągiem zajmie jej niewiele ponad dwie godziny, i zostać tam na noc. Potem wyruszył na poszukiwania Svedberga. Znalazł go w siłowni. W piątkowe wieczory Svedberg zwykł korzystać z sauny. Poprosił, żeby mu zarezerwował dwa pokoje w dobrym hotelu w Gavle z soboty na niedzielę.

I poszedł do domu. A potem przyśniła mu się rzymska ulica w jesiennej szacie.

O szóstej podjechała zamówiona taksówka. Na lotnisku odebrał bilety. W sobotni rano samolot do Sztokholmu był wypełniony zaledwie do połowy. Z Arlandy do Ostersundu odlecieli punktualnie. Wallander nigdy nie był w Ostersundzie. Bardzo rzadko wyprawiał się dalej niż do Sztokholmu. Cieszył się z tej podróży. Między innymi pozwalała mu nabrać dystansu do snu, który śnił ostatniej nocy.

W Ostersundzie było rześko. Pilot poinformował ich, że jest plus jeden stopień. Inaczej odczuwa się tutaj chłód, pomyślał, idąc do terminalu lotniska. I nie pachnie gliną. Jechał przez most. Miał piękny widok na miasto położone tuż nad wodami Storsjon. Skręcił na południe. Odprężające uczucie siedzieć w wynajętym samochodzie i sunąć przez nieznaną krajobraz.

O wpół do dwunastej dotarł do Svenstaviku. Svedberg przekazał mu wiadomość, że ma się spotkać z Robertem Melanderem, z którym kontaktował się adwokat Bjurman. Melander mieszkał w czerwonym domu nieopodal starego gmachu sądu, gdzie obecnie mieściło się między inny-

mi Stowarzyszenie Oświatowe Robotników. Wallander zaparkował przed sklepem ICA. Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że stary gmach sądu znajduje się po drugiej stronie nowo wybudowanego centrum handlowego. Wysiadł z samochodu. Było pochmurno, ale nie padało. Wszedł na podwórko Roberta Melandera. Przy psiej budzie leżał szpic. Drzwi były otwarte. Wallander zapukał. I nic. Nagle usłyszał jakiś dźwięk. Obszedł dobrze utrzymany drewniany dom, za którym na dużej działce rosły kartofle i porzeczki. Wallander zdziwił się, widząc porzeczki. Nie przypuszczał, że można je spotkać tak daleko na północy. Mężczyzna w butach z cholewami obcinał gałęzie leżącego na ziemi drzewa. Zauważył Wallandera, natychmiast odłożył piłę i uśmiechnął się. Byli mniej więcej w tym samym wieku.

– Przypuszczam, że jest pan policjantem z Ystadu – powiedział wyraźnym dialektem Melander i wyciągnął rękę na powitanie. – Kiedy pan wyruszył? Wczoraj wieczorem?

– Nie. Dzisiaj. Przyleciałem samolotem.

– Błyskawicznie. Byłem w Malmö w latach sześćdziesiątych. Myślałem, żeby się na jakiś czas tam przeprowadzić. Miałbym pracę w stoczni.

– Kockums. Już jej nie ma.

– Niczego już nie ma... Pamiętam, że podróż samochodem zajęła mi cztery dni.

– Ale się pan nie przeprowadził.

– Nie – odparł Melander radośnie. – Było pięknie i bardzo miło, ale nie czułem się tam u siebie. Jeśli miałbym gdzieś wyjechać, to tylko na północ, nie na południe. Nawet śniegu tam nie macie.

– Czasami mamy. I wtedy sypie bez umiaru.

– W domu czeka posiłek. Żona jest w pracy. Pracuje w przychodni zdrowia. Ale wszystko przygotowała.

– Ładnie tutaj.

– Bardzo ładnie. Tak jest zawsze. Rok w rok.

Usiedli przy stole w kuchni. Wallander porządnie podjadł. Melander okazał się wspaniałym gawędziarzem. Miał mnóstwo rozmaitych zajęć. Między innymi zimą prowadził kursy tańca ludowego. Dopiero przy kawie Wallander przeszedł do rzeczy.

– Naturalnie, byliśmy zaskoczeni – powiedział Melander. – Sto tysięcy koron to duża suma. W dodatku przekazana przez nieznaną osobę.

– Nikt nie wie, kim jest Holger Eriksson?

– Nie. To bardzo dziwne. Sprzedawca samochodów ze Skanii. Zamordowany. Próbowaliśmy się zorientować, co i jak. Zamieściliśmy w różnych gazetach wzmiankę o nim. Ale nikt się nie odezwał.

Wallander wziął ze sobą fotografię Holgera Erikssona, tę, którą znalazł w szufladzie jego biurka. Robert Melander bacznie się jej przyglądał. Nawet podczas nabijania i zapalania fajki. W Wallandera wstąpiła nadzieja. Płonna.

– Niestety. – Melander pokręcił głową. – Mam dobrą pamięć do twarzy. Nigdy go nie widziałem. Może ktoś inny go rozpozna.

– Czy nazwisko Runfeldt coś panu mówi? – spytał Wallander. – Gösta Runfeldt.

Melander zastanawiał się przez chwilę.

– To nie jest nazwisko z naszych stron. Nie wygląda mi też ani na przybrane, ani na wymyślone.

– A Harald Berggren?

Melanderowi zgasła fajka. Położył ją na stole.

– Może. Muszę zadzwonić.

Telefon stał na parapecie w dużej wnęce okiennej. Wallander czuł rosnące napięcie. Niczego bardziej nie pragnął niż ustalenia tożsamości autora dziennika pisanego w Kongu.

Melander rozmawiał z kimś o imieniu Nils.

– Mam gościa ze Skanii – powiedział. – Nazywa się Kurt Wallander i jest policjantem. Chciałby coś wiedzieć o niejakiem Haraldzie Berggrenie. Nikt taki chyba w Svenstaviku nie mieszka, ale czy przypadkiem nie leży na naszym cmentarzu?

Otucha powoli zaczęła opuszczać Wallandera. Chociaż nawet martwy Harald Berggren może im pomóc.

Melander wysłuchał odpowiedzi, po czym spytał, jak Artur się czuje po wypadku. Wallander domyślił się, że stan jego zdrowia się nie zmienił.

Melander usiadł przy stole.

– Nils Enman opiekuje się cmentarzem. Jest tam nagrobek Haralda Berggrena. Nils ma niewielkie doświadczenie. Jego poprzednik też spoczywa na tym cmentarzu. Może pójdziemy zobaczyć?

Wallander wstał. Melandera zdziwił ten pośpiech.

– Ktoś kiedyś powiedział, że Skańczycy są nierychliwi. Ale to nie doty-

czy pana.

– Mam swoje nawyki.

Spacerowali w czystym jesiennym powietrzu. Robert Melander witał się ze wszystkimi, których spotkał. Weszli na cmentarz.

– Powinien być bliżej lasu – poinformował Melander.

Wallander szedł za nim i myślał o swoim ostatnim śnie.

Śmierć ojca wydawała się nierzeczywista. Jakby to jeszcze do niego nie dotarło.

Melander zatrzymał się przed nagrobkiem z żółtą inskrypcją. Nic z tego. Ten Harald Berggren zmarł w 1949 roku. Melander zauważył reakcję Wallandera.

– To nie on? – spytał.

– Nie. To z całą pewnością nie on. Człowiek, o którego mi chodzi, w sześćdziesiątym trzecim był wśród żywych.

– Jeśli szuka go policja, to chyba popełnił jakieś przestępstwo? – zainteresował się Melander.

– Nie bardzo wiem. To dosyć skomplikowane. Często szukamy ludzi, którzy nie weszli w konflikt z prawem.

– No to przyjechał pan tu na próżno. Nasz kościół otrzymał hojny dar. Ale nie wiemy, z jakiego powodu, i nie znamy darczyńcy.

– Musi być jakieś wytłumaczenie.

– Czy nie miałyby pan ochoty obejrzeć kościoła? – dość nieoczekiwanie spytał Melander, jakby chciał podnieść Wallandera na duchu.

Wallander skinął głową.

– Jest piękny – dodał Melander. – Tutaj wzięliśmy ślub.

Weszli do kościoła. Drzwi nie były zamknięte. Przez boczne okna wpadało światło.

– Tak, bardzo tu ładnie – przyznał Wallander.

Melander uśmiechnął się.

– Nie wydaje mi się, żeby pan był religijny.

Wallander nie odpowiedział. Usiadł w ławce. Melander stał w przejściu. Wallander był przekonany, że musi być jakieś wytłumaczenie. Holger Eriksson na pewno nie ofiarowałby takiej sumy bez powodu. Ważnego powodu.

– Holger Eriksson pisał wiersze – powiedział Wallander. – Był, jak to się mówi, wiejskim poetą.

– Tutaj też tacy są. Jeśli mam być szczery, nie zawsze im to najlepiej

wychodzi.

– Poza tym interesowały go ptaki. Próbował śledzić ich nocne przeloty w drodze na południe. Nie mógł ich widzieć, ale wiedział, że są nad nim. Może je słyszał? Szum tysięcy skrzydeł.

– Znam paru, którzy hodują gołębie. Ale ornitologa mieliśmy tylko jednego.

– Mieliście?

Melander usiadł w ławce po drugiej stronie przejścia.

– To była przedziwna historia – powiedział. – Historia bez zakończenia. – Roześmiał się. – Prawie jak pańska.

– Znajdziemy sprawcę. Na ogół nam się to udaje. A co to za historia?

– W połowie lat sześćdziesiątych przyjechała tutaj pewna Polka. Nikt nie wiedział, skąd. Pracowała w pensjonacie. Wynajmowała pokój. Stroniła od ludzi. Bardzo szybko nauczyła się języka, ale nie miała przyjaciół. Potem kupiła dom. Byłem wtedy dość młody. Bardzo mi się podobała. I interesowała się ptakami. Na poczcie mówili, że przychodziły do niej listy i pocztówki z całej Szwecji. Z informacjami o zaobrączkowanych puchaczach i Bóg wie o czym jeszcze. Ona też prowadziła bardzo bogatą korespondencję. Nie miała sobie równych w całej gminie. Sklep specjalnie dla niej kupował widokówki tam, gdzie nie było na nie chętnych. Motyw nie miał znaczenia.

– Skąd pan to wszystko wie?

– W małej mieścinie wie się niejedno, czy się tego chce, czy nie. Tak to już jest.

– I co było potem?

– Zniknęła.

– Zniknęła?

– Jak to się mówi? Przepadła jak kamień w wodę.

Wallander nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

– Wyjechała stąd?

– Sporo podróżowała, ale zawsze wracała. Pewnego popołudnia, to było w październiku, poszła na spacer i od tamtej pory nikt jej nie widział. Często spacerowała. Dużo się o tym pisało. Nie spakowała walizek. Kiedy nie pojawiła się w pensjonacie, parę osób poszło do niej do domu. Nikogo nie było. Wszyscy zaczęli jej szukać. Ale bez rezultatu. To się stało mniej więcej dwadzieścia pięć lat temu. Nic nie udało się ustalić. Chodziły słuchy, że ktoś ją widział w Ameryce Południowej albo

w Alingsasie. Albo że jej duch błąka się w lesie pod Ratansbyn.

– Jak się nazywała?

– Krista Haberman.

Wallander coś sobie przypominał. Swego czasu gazety rozpisywały się o „pięknej Polce”.

– Więc korespondowała z obserwatorami ptaków – powiedział po namyśle. – I czasami ich odwiedzała.

– Tak.

– Czy zachowała się ta korespondencja?

– Parę ładnych lat temu uznano ją za zmarłą. I nagle przyjechał jakiś jej krewniak z Polski. Wszystkie jej rzeczy zniknęły. A dom rozebrano i postawiono w tym miejscu inny.

Wallander skinął głową. Miał zbyt wygórowane oczekiwania co do listów i kartek.

– Pamiętam to zdarzenie jak przez mgłę – przyznał. – Czy nigdy nie było żadnych spekulacji ani poszlak? Na przykład, że popełniła samobójstwo albo padła ofiarą przestępstwa?

– Naturalnie, krążyło dużo plotek. Myślę, że policjanci zrobili dobrą robotę. Byli tutejsi, potrafili odróżnić czczą paplaninę od sensownych wypowiedzi. Mówiło się o podejrzanych samochodach. O tym, że w nocy ktoś ją potajemnie odwiedzał. Ale nikt nie wiedział, co robiła podczas swoich podróży. Nigdy nie udało się tego wyjaśnić. Po prostu zniknęła. Jeśli żyje, jest dwadzieścia pięć lat starsza. Wszyscy się starzeją. Zaginie ni też.

Znowu to samo, pomyślał Wallander. Wraca przeszłość. Przyjeżdżam tu, żeby się dowiedzieć, dlaczego Holger Eriksson zapisał w testamencie darowiznę dla kościoła w Svenstaviku, a dowiaduję się, że mieszkała tutaj miłośniczka ptaków, która dwadzieścia pięć lat temu zniknęła bez śladu. Może jednak otrzymałem odpowiedź na moje pytanie. Mimo że nie rozumiem jej sensu.

– Materiały dochodzeniowe powinny być w Ostersundzie – powiedział Melander. – Na pewno są opasłe.

Wyszli z kościoła. Wallander zauważył ptaka siedzącego na cmentarnym murze.

– Słyszał pan o dzięciole średnim? – spytał.

– Jak sama nazwa wskazuje, to jeden z gatunków dzięcioła. Czy on przypadkiem nie wymarł w Szwecji?

– Jest na wymarciu. U nas nie ma go od piętnastu lat.

– Może go kiedyś widziałem – powiedział z wahaniem Melander. – Ale dzięcioły są obecnie rzadkie. Wycięto mnóstwo starych drzew, gdzie najczęściej przebywały. Nie licząc, rzecz jasna, słupów telegraficznych.

Poszli do centrum handlowego i zatrzymali się przy samochodzie Wallandera. Było wpół do trzeciej.

– Jedzie pan dalej? – spytał Melander. – Czy wraca pan do Skanii?

– Jadę do Gavle. Ile mi to zajmie czasu? Trzy, cztery godziny?

– Raczej pięć. Nie ma tam śniegu, nie jest ślisko, droga jest dobra, ale to prawie czterysta kilometrów.

– Dziękuję za pomoc. I za pyszne jedzenie.

– Nie odpowiedziałem na pana pytania.

– Może pan odpowiedział. To się okaże.

– Sprawę zaginięcia Kristy Haberman prowadzi starszy policjant – powiedział Melander. – Aż do emerytury. Później też nie dawała mu spokoju. Podobno mówił o tym nawet tuż przed śmiercią.

– Bywa i tak. Jeśli będzie pan w moich stronach, proszę mnie odwiedzić.

– Moje drogi prowadzą na północ, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Byłbym wdzięczny za kontakt, gdyby wyszedł na jaw powód, dla którego Holger Eriksson podarował pieniądze waszemu kościołowi.

– Bardzo dziwne. Rozumiałbym to, gdyby miał okazję widzieć ten kościół. Naprawdę jest piękny.

– Ma pan rację. Gdyby tu był, też mógłbym to zrozumieć.

– Może kiedyś tędy przejeżdżał? O czym nikt nie wiedział?

– Albo wiedziała tylko jedna osoba.

Melander spojrzał na Wallandera.

– Ma pan coś konkretnego na myśli?

– Tak. Ale nie wiem, jakie to może mieć znaczenie.

Uścisnęli sobie ręce na pożegnanie. Wallander wsiadł do samochodu i odjechał. We wstecznym lusterku widział patrzącego za nim Melandera.

Mknął przez niekończące się lasy.

Kiedy dotarł do Gavle, było ciemno. Odszukał hotel, który załatwił mu Svedberg. W recepcji dowiedział się, że Linda już jest.

Wypatrzyli niewielką restaurację, gdzie mimo soboty było pustawo i spokojnie. Ponieważ Linda przyjechała i oboje znaleźli się w obcym

mieście, Wallander postanowił podzielić się z nią swoimi planami na przyszłość.

Ale najpierw rozmawiali o jego ojcu, a jej dziadku.

– Często myślałem o waszych dobrych stosunkach – przyznał Wallander. – Może byłem zazdrosny? Patrząc na was, widziałem coś, co pamiętałem z własnego dzieciństwa, co później raz na zawsze zniknęło.

– Może różnica dwóch pokoleń robi swoje. Nie ma nic niezwykłego w tym, że dziadkowie lepiej się dogadują z wnukami niż rodzice z dziećmi.

– Skąd wiesz?

– Widzę to po sobie. Moi przyjaciele mówią to samo.

– Do dzisiaj nie wiem, dlaczego nigdy nie pogodził się z tym, że zostałem policjantem. Żeby mi przynajmniej podał jakieś argumenty. Albo zaproponował coś innego.

– Dziadek był bardzo szczególny. I chimeryczny. Ciekawe, co ty byś powiedział, gdybym całkiem poważnie zaczęła myśleć o pracy w policji.

Wallander roześmiał się.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Już raz dotknęliśmy tego tematu.

Wyszli z restauracji. Termometr przed sklepem żelaznym wskazywał minus dwa stopnie. Potem usiedli w jednym z hotelowych pomieszczeń i Wallander zaczął dyskretnie sondować jej aktorskie ambicje. Natychmiast zrozumiał, że Linda nie chce o tym mówić. W każdym razie nie teraz. Zaniechał dalszych pytań. Trochę się jednak zaniepokoił. Linda wielokrotnie zmieniała swoje zainteresowania. Zdaniem Wallandera, zbyt szybko i zbyt pochośnie.

Nalała sobie herbaty z termosu, po czym ni stąd, ni zowąd zapytała go, dlaczego życie w Szwecji jest takie trudne.

– Czasami myślę sobie – powiedział – że powodem może być to, że przestaliśmy cerować skarpety.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Mówię poważnie. W czasach mojej młodości w Szwecji nadal cerowało się skarpety. Nawet uczyłem się tego w szkole. Aż nagle z dnia na dzień przestano je cerować. Dziurawe skarpety po prostu się wyrzucało. Przeobraziło się całe społeczeństwo. Zdzieranie i wyrzucanie stało się powszechnie obowiązującą regułą. O tych, którzy obstawali przy cerowaniu, ani się nie mówiło, ani nie słyszało. Nie miałyoby to większego znaczenia, gdyby przemiany dotyczyły wyłącznie skarpet. Tymczasem

objęły wszystko inne. Aż wytworzyło się coś w rodzaju niewidzialnej, acz stale obecnej moralności. Myślę, że zaczęliśmy inaczej patrzeć na dobro i zło, na to, czego możemy się dopuścić wobec innych. Wszystko stało się dużo trudniejsze. Coraz więcej ludzi, zwłaszcza młodych, takich jak ty, ma uczucie, że są we własnym kraju niepotrzebni albo niechciani. Jak na to reagują? Agresją i pogardą. Najbardziej przerażające jest to, że jesteśmy dopiero na początku tego procesu. Będzie coraz gorzej. Dorasta kolejne pokolenie, które będzie o wiele brutalniejsze. Ono już nie pamięta tych czasów, kiedy cerowało się skarpety, kiedy nie wyrzucaliśmy ani skarpet, ani ludzi.

Wallander nie miał już nic więcej do dodania. Zauważył, że Linda czeka na ciąg dalszy.

– Może nie wyrażam się zbyt jasno – powiedział.

– Nie bardzo. Ale chyba się domyślam, o co ci chodzi.

– Niewykluczone, że się myślę. Może zawsze przeszłość wydawała się lepsza od teraźniejszości.

– Nie słyszałam, żeby dziadek był tego zdania.

Wallander pokręcił głową.

– Dziadek żył w swoim świecie. Malując, decydował o wschodach i zachodach słońca. Zawsze wisiało nad ścierniskiem. Mógł być głuszec, mogło go nie być. I tym się zajmował przez blisko pięćdziesiąt lat. Czasami wydaje mi się, że nie wiedział, co się dzieje poza czterema ścianami jego domu. Że otoczył się niewidzialnym terpentynowym murem.

– Nie masz racji. Dziadek dużo wiedział.

– Wobec tego ukrywał to przede mną.

– I pisał wiersze.

Wallander popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Pisał wiersze?

– Kiedyś kilka mi pokazał. Może je potem spalił.

– Ty też piszesz wiersze?

– Nie wiem, czy to są wiersze, ale od czasu do czasu coś piszę. Dla siebie. A ty?

– Nie. W moim świecie są policyjne raporty i szczegółowe ekspertyzy sądowo-lekarskie. O okólnikach Głównego Zarządu Policji nie wspominając.

Błyskawicznie zmieniła temat. Później przyszło mu do głowy, że sobie to wcześniej obmyśliła.

– Co z Bajbą? – spytała.
– Z Bajbą wszystko w porządku. Ale co z nami, tego nie wiem. Mam nadzieję, że przyjedzie i że zechce tu zamieszkać.
– A co by robiła w Szwecji?
– Byłaby ze mną – odpowiedział, zdziwiony.
Linda wolno pokręciła głową.
– Dlaczego nie? – spytał.
– Nie gniewaj się, ale chyba rozumiesz, że nie jesteś łatwy we współżyciu.
– Czyżby?
– Pomyśl o mamie. Dlaczego wybrała inne życie?
Wallander milczał. Miał niejasne przeczucie, że doznał niesprawiedliwości.
– No i jesteś zły – powiedziała.
– Nie. Nie jestem zły.
– Tylko?
– Nie wiem. Zmęczony.
Wstała z krzesła i usiadła przy nim na kanapie.
– Nie chodzi o to, że cię nie lubię – wyjaśniła. – Po prostu zaczynam dorosnąć i nasze rozmowy nie będą takie jak dawniej.
Pokiwał głową.
– Jeszcze się nie przyzwyczaiłem. To nie takie proste.
Potem obejrzeli film w telewizji. Linda musiała wracać do Sztokholmu następnego dnia wcześniej rano. Wallander mniej więcej wiedział, co będzie dalej. Będą się spotykać w wolnych chwilach i Linda zawsze będzie mówić, co myśli.
Pożegnali się na hotelowym korytarzu tuż przed pierwszą.
Leżąc w łóżku, Wallander długo się zastanawiał, co stracił, a co zyskał. Nie miał już dziecka. Linda stała się dorosła.
O siódmej wspólnie zjedli śniadanie, a potem odprowadził ją na stację. Kiedy stali na peronie i czekali na pociąg, który miał kilkuminutowe opóźnienie, nagle się rozplakała. Nie wiedział, co robić. Nic nie zapowiadało takiej reakcji.
– Co ci jest? – spytał. – Stało się coś?
– Tęsknię za dziadkiem – wyznała. – Śni mi się każdej nocy.
Wallander objął ją.
– Mnie też – powiedział.

Przyjechał pociąg. Wallander został do jego odjazdu. Peron był prze-
rażliwie opustoszały. Przez moment poczuł się zapomniany, może zagu-
biony; całkowicie bezsilny. Zastanawiał się, jak się z tym upora.

22

W hotelu czekała na niego wiadomość. Dzwonił Robert Melander ze
Svenstaviku. Wallander poszedł do swojego pokoju i wybrał numer. Ode-
brała żona. Przedstawił się i skorzystał z okazji, żeby podziękować za
pyszne jedzenie.

Melander przejął słuchawkę.

– Wczoraj ciągle myślałem o różnych rzeczach – zaczął. – I zadzwo-
niłem do byłego naczelnika poczty, Ture Emmanuelssona. Potwierdził,
że Krista Haberman regularnie dostawała kartki ze Skanii. Wydaje mu
się, że z Falsterbo. Nie wiem, czy to ważne, ale chciałem panu o tym po-
wiedzieć. Prowadziła rozległą ptasią korespondencję.

– Jak mnie pan tu znalazł?

– To proste, zatelefonowałem do ystadzkiej komendy.

– Skanor i Falsterbo słyną ze spotkań obserwatorów ptaków. To jedy-
ne sensowne wytłumaczenie, dlaczego otrzymywała stamtąd tak dużo
kartek. Dziękuję za fatygę.

– Trudno się nie zastanawiać, czemu sprzedawca samochodów zapisu-
je pieniądze naszemu kościołowi.

– Prędzej czy później poznamy odpowiedź. Ale to może potrwać.
Dziękuję za telefon.

Po zakończeniu rozmowy Wallander nadal siedział na krześle. Nie
było jeszcze ósmej. Pomyślał o nagłym uczuciu bezsilności, które nim
zawładnęło na peronie. Że stoi przed czymś nie do pokonania. Pomyślał
o wczorajszej rozmowie z Lindą i o tym, co usłyszał od Melandera. Jest
w Gavle służbowo. Samolot odlatywał za sześć godzin. Wynajęty sa-
mochód miał zostawić na Arlandzie. Wyjął z torby papiery. Ann-Britt
Höglund napisała, żeby zaczął od kontaktu z inspektorem Stenem Wenn-
grenem. Został uprzedzony, że Wallander do niego zadzwoni, powinien
być w domu w niedzielę. Poza tym podała namiary na autora ogłoszeń
zamieszczanych w piśmie legionistów. Nazywał się Johan Ekberg

i mieszkał na Brynasie. Wallander podszedł do okna. Ponury jesienny dzień. Zaczęło padać. Ciekawe, czy przestanie, czy do chłodnego deszczu dołączy śnieg. Ciekawe, czy samochód ma zimowe opony. Przede wszystkim myślał o tym, co on właściwie robi w Gavle. Jakby z każdym krokiem oddalał się od punktu centralnego, którego położenia wprawdzie nie znał, ale przecież gdzieś był.

Znów miał uczucie, że coś przegapił, coś opacznie zrozumiał albo źle zinterpretował. Dlaczego taka demonstracyjna brutalność? Co chce powiedzieć sprawca?

Język mordercy. Szyfr, którego nie potrafił złamać.

Potrząsnął głową, ziewnął i spakował torbę. Ponieważ nie wiedział, o czym miałyby rozmawiać ze Stenem Wenngrenem, postanowił od razu pojechać do Johana Ekberga. Może zdobędzie jakieś rozeznanie w tym mrocznym świecie żołnierzy gotowych się sprzedać każdemu, kto dobrze zapłaci. Wziął torbę i zwolnił pokój. Zapłacił rachunek w recepcji i spytał, jak trafić na Sodra Faltskarsgatan na Brynasie. Zjechał windą do podziemnego garażu, wszedł do samochodu i znów ogarnęła go bezsilność. Czyżby miał się rozchorować? Czuł się dobrze, nie był nawet szczególnie zmęczony.

Doszedł do wniosku, ma to związek z ojcem. Że w ten sposób reaguje na to, co się stało. Żałoba. Próba dostosowania się do nowej, dramatycznie zmienionej rzeczywistości.

Nie znalazł innego wytłumaczenia. Linda reagowała po swojemu. Jego nękały powracające ataki bezsilności.

Włączył silnik i wyjechał z garażu. Mimo że recepcjonista udzielił mu dokładnych wskazówek, już na początku zabłądził. W mieście ziało niedzieloną pustką. Miał wrażenie, że krąży w labiryncie. Trafił po dwudziestu minutach. Było wpół do dziesiątej. Zatrzymał się przed czynszówką w starym osiedlu na Brynasie. Zastanawiał się, czy najemnicy długo śpią w niedziele i czy Johan Ekberg jest najemnikiem. Jego ogłoszenia w „Terminatorze” wcale nie musiały oznaczać, że odbył zasadniczą służbę wojskową.

Wallander siedział w samochodzie i patrzył na kamienicę. Padał deszcz. Październik to miesiąc beznadziejności. Wszystko stawało się szare. Blakły kolory jesieni.

Przez moment miał ochotę wszystko rzucić i wracać do Skanii. Równie dobrze mógłby poprosić któregoś z kolegów, żeby zadzwonił do Johana

Ekberga. Albo sam mógłby zadzwonić. Jeśli zaraz stąd wyjedzie, może zdąży na wcześniejszy samolot do Sturup.

Oczywiście tego nie zrobił. Nigdy nie udało mu się zwalczyć w sobie kaprała, który pilnował jego obowiązkowości. Nie przyjechał tu na koszt podatników tylko po to, żeby siedzieć w samochodzie i gapić się na deszcz. Wsiadł i przeciął ulicę.

Johan Ekberg mieszkał na ostatnim piętrze. W budynku nie było windy. Ktoś grał na akordeonie jakąś skoczną melodię. Ktoś śpiewał. Wallander przystanął na schodach i słuchał. To był szot. Uśmiechnął się. Akordeonista na pewno nie wpatruje się tępo w przygnębiający deszcz, pomyślał i ruszył dalej.

Drzwi Johana Ekberga były zaopatrzone w stalowe listwy i dodatkowe zamki. Wallander nacisnął dzwonek. Czuł, że ktoś mu się przygląda przez judasza. Zadzwonił jeszcze raz, dając do zrozumienia, że nie zamierza ustąpić. Drzwi się uchyliły. Przytrzymał je łańcuch. W ciemnym przedpokoju stał wysoki mężczyzna.

– Szukam Johana Ekberga – powiedział Wallander. – Jestem policjantem kryminalnym z Ystadu. Chciałbym z panem porozmawiać, jeśli to pan jest Ekberg. O nic pana nie podejrzewamy. Po prostu potrzebuję paru informacji.

– Nie rozmawiam z policją – odparł mężczyzna ostrym, niemal piskliwym głosem. – Ani z Gavle, ani skądkolwiek.

Wallander zapomniał o bezsilności. Błyskawicznie zareagował na nieprzychylność Ekberga. Odbył długą podróż i nie da się odprawić z kwitkiem. Wyjął legitymację.

– Prowadzę śledztwo w sprawie dwóch morderstw w Skanii – oświadczył. – Przypuszczalnie czytał pan o tym w gazetach. Nie przyjechałem tutaj, żeby wdawać się w dyskusje przed pańskimi drzwiami. Ma pan prawo mnie nie wpuścić. Ale ja wrócę. Tyle że wtedy będzie pan musiał pojechać ze mną na komendę w Gavle. Niech pan wybiera.

– Co chce pan wiedzieć?

– Nie zamierzam rozmawiać przez szparę w drzwiach.

Drzwi się zamknęły i otworzyły. Ekberg zdjął łańcuch.

W przedpokoju rozbłysła lampa. To zaskoczyło Wallandera. Celowo została tak zamontowana, żeby świecić przychodzącym prosto w oczy. Wallander wszedł za mężczyznę do salonu. Jeszcze nie widział jego twarzy. Zastony były zaciągnięte, paliły się lampy. Wallander miał wrażenie,

jakby czas cofnął się do lat pięćdziesiątych. Była tu szafa grająca. Połyskiwały neonowe światełka. Wurlitzer. Na ścianach wisiały plakaty filmowe, jeden z Jamesem Deanem, pozostałe z różnych obrazów wojennych. *Men in action*. Amerykańscy marines walczą na japońskich wybrzeżach. Prócz plakatów wisiały bajonety, miecze, stara broń kawaleryjska. Poza tym stała kanapa i fotele z czarnej skóry.

Johan Ekberg patrzył na niego. Miał krótkie włosy, mógłby pochodzić z jednego z plakatów. Był w szortach khaki i białym podkoszulku. Na ramionach tatuaże. Muskularne ciało. Wallander podejrzewał, że ma przed sobą kulturystę.

Ekberg czujnie mu się przyglądał.

– Czego pan chce?

Wallander pytającym gestem wskazał na fotel. Ekberg skinął głową. Wallander usiadł. Zastanawiał się, czy Ekberg już był na świecie, kiedy Harald Berggren brał udział w odrażającej wojnie w Kongu.

– Ile ma pan lat? – zapytał.

– Przyjechał pan aż ze Skanii, żeby o to spytać?

Irytował go ten człowiek. I nie próbował tego ukryć.

– Między innymi – odparł. – Jeśli nie będzie pan odpowiadał na moje pytania, porozmawiamy w komendzie.

– Czy jestem podejrzany o popełnienie jakiegoś przestępstwa?

– A popełnił je pan? – zareplikował Wallander, wiedząc, że łamie wszystkie obowiązujące przepisy.

– Nie.

– No to zacznijmy od początku. Ile ma pan lat?

– Trzydzieści dwa.

Miał rację. Hammarskjöld zginął w katastrofie lotniczej pod Ndolą rok przed narodzinami Ekberga.

– Przyszedłem tutaj, żeby porozmawiać o szwedzkich najemnikach – powiedział. – Wiem, że afiszuje się pan swoimi znajomościami, zamieszczając ogłoszenia w „Terminatorze”.

– To chyba nie jest niezgodne z prawem. Zamieszczam je również w „Combat & Survival” i „Soldier of Fortune”.

– Wcale tego nie twierdzę. Rozmowa pójdzie nam znacznie szybciej, jeśli poprzestanie pan na udzielaniu odpowiedzi.

Ekberg usiadł i zapalił. Wallander zwrócił uwagę, że pali papierosy bez filtra i używa tego typu zapalniczki na benzynę, jaką pamiętał ze sta-

rych filmów. Zastanawiał się, czy Johan Ekberg nie żyje przypadkiem w innym czasie.

– Szwedzcy najemnicy – powtórzył. – Od kiedy to się zaczęło? Od wojny w Kongu na początku lat sześćdziesiątych?

– Trochę wcześniej.

– To znaczy?

– Na przykład od wojny trzydziestoletniej.

Wallander nie był pewien, czy Ekberg z niego nie drwi.

Uznał jednak, że nie powinien się sugerować wyglądem Ekberga ani jego obsesją na punkcie lat pięćdziesiątych. Skoro byli wielbiciele orchidei, mogli być również miłośnicy i znawcy najemników. Poza tym coś sobie przypominał ze szkoły, że w wojnie trzydziestoletniej walczyły armie złożone z najemnych żołnierzy.

– Ograniczmy się do czasów po drugiej wojnie światowej – powiedział Wallander.

– Zaczniemy może od tego, że w drugiej wojnie światowej Szwedzi walczyli jako ochotnicy we wszystkich jednostkach militarnych. Byli Szwedzi w mundurach niemieckich, rosyjskich, japońskich, amerykańskich, angielskich i włoskich.

– Ochotniczy zaciąg to chyba nie to samo.

– Chodzi mi o wolę walki. Nigdy nie brakowało Szwedów gotowych stać pod bronią.

Tego rodzaju zuchowatość zwykła cechować ludzi o wielkoszwedzkich urojeniach. Obrzucił spojrzeniem ściany, żeby sprawdzić, czy nie przeoczył jakichś symboli nazistowskich. Nie.

– Zostawmy ochotników – powiedział po chwili. – Interesują mnie najemnicy.

– Legia Cudzoziemska. To klasyczny punkt wyjścia. Szwedzi zawsze tam byli. Wielu leży pochowanych na pustyni.

– Od wojny w Kongu zaczęło się coś innego, prawda?

– Nie brało w niej udziału zbyt wielu Szwedów. Kilku walczyło po stronie Katangi.

– Kto?

Ekberg popatrzył na niego zdziwiony.

– Pyta pan o nazwiska?

– Nie, chciałbym wiedzieć, co to za ludzie.

– Rezerwiści, paru policjantów wyrzuconych ze służby. Trochę poszu-

kiwaczy przygód. Kilku przeświadczonych o słuszności misji.

- Jakiej misji?
- Przeświadczonych o słuszności walki z komunizmem.
- Przecież zabijali niewinnych Afrykańczyków.

Ekberg znów miał się na baczności.

– Nie muszę odpowiadać na pytania o poglądy polityczne. Znam swoje prawa.

– Nie chodzi mi o pana poglądy. Chcę wiedzieć, kim byli i dlaczego zostali najemnikami.

Ekberg czujnie mu się przyglądał.

– Dlaczego chce pan to wiedzieć? To moje jedyne pytanie. I chciałbym usłyszeć odpowiedź.

Wallander nie miał nic do stracenia.

– Możliwe, że były szwedzki najemnik ma coś wspólnego przynajmniej z jednym morderstwem – powiedział bez ogródek. – Stąd te pytania. Pana odpowiedzi mogą być ważne.

Ekberg ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Napije się pan czegoś? – spytał.
- Na przykład czego?
- Whisky? Piwa?

Była dopiero dziesiąta rano. Pokręcił głową. Mimo że nie miałby nic przeciwko piwu.

– Nie, dziękuję.

Ekberg wstał i po chwili wrócił ze szklaneczką whisky.

– Gdzie pan pracuje? – spytał Wallander.

Odpowiedź Ekberga go zdumiała. Nie wiedział, czego się spodziewał, ale na pewno nie tego, co usłyszał.

– Prowadzę firmę konsultingową, która świadczy usługi w sektorze personalno-administracyjnym. Zajmuję się udoskonalaniem metod rozwiązywania konfliktów.

– To ciekawe.

Wallander nie był pewny, czy Ekberg z niego nie kpi.

– Poza tym mam pakiet akcji, które obecnie idą w górę, i jestem wypłacalny.

Wallander uznał, że Ekberg mówi prawdę. Wrócił do najemników.

- Dlaczego tak bardzo interesują pana najemnicy?
- Bo reprezentują dużo najlepszych cech naszej kultury, które niestety

zanikają.

Wallandera odrzuciła ta odpowiedź. Co gorsza, Ekberg święcie w to wierzył. Jak to możliwe? Zastanawiał się, czy inni mężczyźni mający swoje pakiety akcji też noszą takie tatuaże jak Ekberg. Czy w przyszłości o szwedzkich finansach i gospodarce będą decydować kulturyści, posiadacze prawdziwych szaf grających?

– Jak sobie załatwili kontrakty ci, którzy wyjechali do Konga?

– Były takie bary w Brukseli. I w Paryżu. Wszystko odbywało się bardzo dyskretnie. Do tej pory tak się odbywa. Zwłaszcza po tym, co się stało w Angoli w siedemdziesiątym piątym.

– A co się stało?

– Część najemników nie wycofała się w porę. Zostali wzięci do niewoli i po wojnie nowy reżim wytoczył im proces. Większość skazano na śmierć przez rozstrzelanie. To było wyjątkowo okrutne. I kompletnie niepotrzebne.

– Dlaczego dostali karę śmierci?

– Bo byli żołnierzami zaciężnymi. A co to za różnica. Żołnierze zawsze są z takiego albo innego zaciągu.

– Ale nie mieli z tą wojną nic wspólnego. Byli z zewnątrz. Walczyli dla zarobku.

Ekberg zignorował komentarz Wallandera. Jakby był poniżej jego godności.

– Powinni byli opuścić teren walk na czas, ale stracili dwóch szefów kompanii. Samolot, który miał ich zabrać, wylądował w innym miejscu w głębi buszu. Mieli pecha. Około piętnastu trafiło do niewoli. Spora grupa wyszła z tego cało. Większość przedostała się do południowej Rodezji. Pod Johannesburgiem stoi pomnik ku czci rozstrzelanych w Angoli. Na uroczystość odsłonięcia zjechali się najemnicy z całego świata.

– Czy wśród rozstrzelanych byli Szwedzi?

– Głównie Brytyjczycy i Niemcy. Rodziny miały czterdzieści osiem godzin na zabranie ciał. Prawie nikt tego nie zrobił.

Wallander pomyślał o pomniku pod Johannesburgiem.

– Innymi słowy, wszystkich najemników łączą bardzo silne więzi.

– Każdy odpowiada za siebie, ale oczywiście tworzą wspólnotę.

– Może wielu zostaje najemnikami właśnie dlatego, że szuka wspólnoty.

– Na pierwszym miejscu są pieniądze. Na drugim przygoda. A na trze-

cim wspólnota. W tej kolejności.

– A więc prawda jest taka, że zabijają za pieniądze? Ekberg skinął głową.

– Naturalnie. Najemnicy nie są potworami. Są ludźmi. Wallander czuł coraz większy niesmak. Ekberg wierzył w każde słowo, które wypowiadał. Wallander dawno nie spotkał kogoś równie pewnego swoich racji. Żołnierze gotowi zabić za odpowiednią sumę kogokolwiek nie są potworami. Przeciwnie, świadczy to o ich człowieczeństwie. Według Johana Ekberga.

Wallander wyjął kopię zdjęcia i pchnął ją do Ekberga po szklanym blacie stołu.

– Na ścianach ma pan plakaty filmowe – powiedział. – A to jest autentyk. To zdjęcie zrobiono w byłym Kongu Belgijskim przeszło trzydzieści lat temu. Zanim się pan urodził. Są na nim trzech najemnicy. Jeden jest Szwedem.

Ekberg pochylił się i wziął fotografię. Wallander czekał.

– Poznaje pan któregoś z nich? – spytał po chwili. Wymienił Terry’ego O’Baniona i Simona Marchanda.

Ekberg pokręcił głową.

– To nie muszą być ich prawdziwe nazwiska. Mogli pod nimi występować jako najemnicy.

– Ja znam wyłącznie takie nazwiska – stwierdził Ekberg.

– Ten pośrodku jest Szwedem.

Ekberg wstał i zniknął w sąsiednim pokoju. Wrócił ze szkłem powiększającym.

– Nazywa się Harald Berggren – powiedział Wallander. – I przyjechałem tu z jego powodu.

Ekberg w milczeniu studiował zdjęcie.

– Harald Berggren – powtórzył Wallander. – Zna go pan? Pisał dziennik podczas tej wojny. Wie pan, kto to jest?

Ekberg odłożył zdjęcie i szkło powiększające.

– Oczywiście, że wiem.

Wallander drgnął. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi.

– Gdzie on teraz jest?

– Nie żyje. Zmarł siedem lat temu.

Wallander brał pod uwagę taką ewentualność. Mimo to poczuł zawód, że stało się to tak dawno.

– Jak?

– Popełnił samobójstwo. To nic niezwykłego w wypadku ludzi o dużej odwadze, którzy walczyli z bronią w rękę w trudnych warunkach.

– Dlaczego popełnił samobójstwo?

Ekberg wzruszył ramionami.

– Myślę, że miał dosyć.

– Dosyć czego?

– A czego można mieć dosyć, odbierając sobie życie? Samego życia. Nudy. Zmęczenia na widok własnej twarzy, którą się codziennie rano ogląda w lustrze.

– Jak się to odbyło?

– Mieszkał w Sollentunie, pod Sztokholmem. Którejś niedzieli włożył pistolet do kieszeni, pojechał autobusem do pętli, wysiadł, poszedł do lasu i się zastrzelił.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Po prostu wiem. W każdym razie nie może mieć nic wspólnego z zabójstwem w Skanii. Chyba że jest duchem albo podłożył minę, która dopiero teraz wybuchła.

Wallander nie zabrał ze sobą zapisków Haralda Berggrena. Może to był błąd.

– Jego dziennik z Konga znaleźliśmy w kasie pancерnej jednego z zamordowanych mężczyzn. Nazywał się Holger Eriksson i był sprzedawcą samochodów. Czy to nazwisko coś panu mówi?

Ekberg pokręcił głową.

– Na pewno?

– Mojej pamięci nic nie dolega.

– Jak by pan wytłumaczył fakt, że dziennik był właśnie tam?

– Nie wiem.

– Jak by pan wytłumaczył fakt, że ci dwaj mężczyźni znali się od przeszło siedmiu lat?

– Spotkałem Haralda Berggrena tylko raz, rok przed jego śmiercią. Mieszkałem wtedy w Sztokholmie. Przyszedł do mnie któregoś wieczora. Nie mógł sobie znaleźć miejsca. Mówił, że czekając na udział w następnej wojnie, jeździ po kraju i pracuje po miesiącu to tu, to tam. Miał przecież zawód.

Wallander przeoczył taką możliwość. Mimo że Berggren wspomniał o tym na jednej z pierwszych stron dziennika.

– Chodzi panu o to, że był mechanikiem samochodowym?
Ekberg po raz pierwszy się zdziwił.

– Skąd pan wie?
– Przeczytałem w jego dzienniku.
– Sprzedawca samochodów mógł potrzebować dodatkowego mecha-
nika. Możliwe, że Harald był w Skanii i wszedł w kontakt z Erikssonem.
Wallander pokiwał głową. Tak, to prawdopodobne.

– Czy Harald Berggren był homoseksualistą?
Ekberg uśmiechnął się.

– Zdecydowanym.
– Czy to typowe wśród najemników?
– Ani typowe, ani nietypowe. Przypuszczam, że w policji też się zda-
rzają.

– A wśród konsultantów w dziedzinie rozwiązywania konfliktów?
Ekberg wstał, podszedł do szafy grającej i uśmiechnął się do Wallande-
ra.

– Zdarzają się – odparł.
– Ogłasza się pan w „Terminatorze”, proponując swoje usługi, ale nie
pisze pan, o jakie usługi chodzi.

– Pośredniczę w kontaktach.
– Jakiego rodzaju?
– Różni pracodawcy mogą być atrakcyjni.
– Zlecenia wojenne?
– Czasami. Ochrona osobista, ochrona transportów. Różnie. Gdybym
chciał, mógłbym zalać szwedzkie gazety niesamowitymi historiami.

– Ale pan tego nie robi.
– Klienci mi ufają.
– Ja nie jestem z prasy.
Ekberg usiadł w fotelu.

– Na przykład szef południowoafrykańskiej partii nazistowskiej Ter-
re’Blanche ma dwóch szwedzkich ochroniarzy. Ale jeśli ogłosi to pan pu-
blicznie, wszystkiemu zaprzeczę.

– Nic nie powiem.

Wallander nie miał więcej pytań. Jeszcze nie wiedział, co znaczą in-
formacje uzyskane od Ekberga.

– Czy mógłbym zatrzymać zdjęcie? – spytał Ekberg. – Do mojej małej
kolekcji.

– Proszę bardzo – odparł Wallander i wstał. – Oryginał jest u nas.

– A negatyw?

– Też chciałbym to wiedzieć.

Już za progiem uświadomił sobie, że nie zadał jeszcze jednego pytania.

– Dlaczego pan to robi?

– Dostaję kartki z całego świata. I to wszystko.

– Wątpię. Zadzwoń do pana, jeśli będę miał jakieś dodatkowe pytania.

Ekberg skinął głową i zamknął drzwi.

Wallander wyszedł na ulicę. Padał deszcz ze śniegiem. Była jedenasta. Wsiadł do samochodu. Nie miał już w Gavle nic do roboty. Harald Berggren nie zabił Holgera Erikssona ani Gösty Runfeldta. Ewentualny trop okazał się bańką mydlaną.

Trzeba zacząć od początku, pomyślał. Wrócić do punktu wyjścia. Skreślamy Haralda Berggrena. Zapominamy o zmniejszonych głowach i dziennikach. I co wtedy? Na pewno można jakoś odszukać Haralda Berggrena wśród byłych pracowników Holgera Erikssona. I ustalić, czy Eriksson był homoseksualistą.

Penetracja pierwszej warstwy nic nie przyniosła. Musi pokopać głębiej.

Uruchomił silnik i pojechał na Arlandę. Przed Uppsalą przestało padać. Nie od razu znalazł miejsce, w którym miał zostawić samochód. O drugiej siedział na kanapie w hali odlotów i rozkojarzony przeglądał zostawioną przez kogoś popołudniówkę.

Samolot wystartował punktualnie. Ledwie się uniósł w powietrze, Wallander zasnął. Obudził go ucisk w uszach, kiedy schodzili do lądowania na Sturupie. Ze zdumieniem zauważył, że jego sąsiadka ceruje skarpety. Pomyślał, że powinien zadzwonić do Almhultu i spytać, co z jego samochodem. Do Ystadu będzie musiał wziąć taksówkę.

Ale w hali przylotów dostrzegł Martinssona. Na pewno coś się stało. Znowu? Nie, wszystko, tylko nie to.

– Co się stało? – zapytał.

– Powinieneś mieć włączoną komórkę. Nie ma z tobą żadnego kontaktu.

Wallander wstrzymał oddech.

– Znaleźliśmy neseser Gösty Runfeldta – powiedział Martinsson.

- Gdzie?
- Leżał byle jak ukryty przy drodze do Hooru.
- Kto go znalazł?
- Ktoś, kto się zatrzymał za potrzebą. Otworzył go. W środku były papiery z nazwiskiem Runfeldta. Czytał o tym morderstwie, więc od razu do nas zadzwonił. Nyberg teraz tam jest.
- Dobrze, pomyślał Wallander. Mamy jakiś ślad.
- No to jedźmy – powiedział.
- Nie chciałbyś najpierw wpaść do domu?
- Nie. Akurat tego nie chcę. Poszli do samochodu Martinssona. Wallanderowi nagle zaczęło się spieszyć.

23

Neserer leżał w tym samym miejscu, w którym został znaleziony. Na skraju szosy. Zaciekawieni kierowcy zatrzymywali się na widok dwóch radiowozów i grupki ludzi.

Nyberg na klęczkach zabezpieczał ślady i na coś pokazywał. Jeden z jego pomocników trzymał kulę.

– Jak Norrlandia? – spytał Nyberg, podnosząc głowę.

– Żadnego neserera nie znalazłem – powiedział Wallander. – Ale tam jest pięknie. I zimno.

– Przy odrobinie szczęścia będziemy mogli ustalić, od kiedy neserer tu leży. Wydaje mi się, że to może być ważne.

Neserer był zamknięty. Wallander nie zauważył ani plakietki z adresem, ani reklamy biura podróży.

– Rozmawialiście z Wanią Andersson?

– Już tu była – odparł Martinsson. – Rozpoznała neserera. Otworzyliśmy go. Na wierzchu leżała lornetka z noktowizorem. To na pewno neserer Gösty Runfeldta.

Wallander się zastanawiał. Znajdowali się na drodze numer trzystaście, na południe od Eneborga, z pobliskiej krzyżówki można było skręcić do Lödinge albo nad Krageholmssjon, niedaleko Marsvinsholmu. Innymi słowy, byli mniej więcej pośrodku dwóch miejsc zbrodni. Albo w trójkącie, którego wierzchołek stanowiło Ystad. Wszystko jest niemal

tuż-tuż, pomyślał. Niewidzialny punkt środkowy mamy w zasięgu ręki.

Neserer leżał po prawej stronie szosy. Ten, kto go tu podrzucił, mógł przyjechać z Ystadu albo z okolic Marsvinsholmu. Rozwagał obie możliwości. Nyberg miał rację. Bardzo by im pomogła wiedza o tym, jak długo neserer tu leżał.

– Kiedy możemy go zabrać? – spytał.

– W ciągu godziny – poinformował Nyberg. – Niedługo skończę.

Wallander skinął na Martinssona i pojechali do komendy. Już w drodze z lotniska powiedział, że dzięki podróży do Svenstaviku i Gavle mają jasność przynajmniej w jednej sprawie. Nadal nie znają powodów, dla których Holger Eriksson ofiarował pieniądze kościołowi w Jamtlandii, ale wiedzą, że Harald Berggren nie żyje. Wallander nie wątpił w prawdziwość Ekberga. Berggren nie miał bezpośredniego związku ze śmiercią Holgera Erikssona. Mogą jednak sprawdzić, czy u niego pracował. Nie naprowadzi ich to zapewne na ślad sprawcy, ale nawet mniej istotne puzzle śledztwa powinny trafić na właściwe miejsce, żeby powstała sensowna całość. Harald Berggren jest takim puzzlem.

– Może Holger Eriksson dorywczo zatrudniał byłych najemników? – powiedział Martinsson. – Może po Haraldzie Berggrenie pracował u niego ktoś, kto nie pisał dziennika, i ten ktoś nagle postanowił zastawić pułapkę na Erikssona. Z takiego lub innego powodu.

– Naturalnie nie da się tego wykluczyć, tylko jak wytłumaczyć to, co spotkało Göstę Runfeldta?

– Tego jeszcze nie wiemy. Może właśnie na nim powinniśmy się skoncentrować?

– Eriksson zginął pierwszy, ale to o niczym nie świadczy. Brakuje nam nie tylko motywów. Brakuje nam punktu wyjścia.

Martinsson milczał. Przejeżdżali przez Sovestad.

– Dlaczego neserer Runfeldta leżał akurat przy tej szosie? – spytał po chwili. – Przecież wybierał się do Kopenhagi. To nie ten kierunek. Marsvinsholm byłby po drodze. Co się właściwie stało?

– Też chciałbym to wiedzieć.

– Przeszukaliśmy jego samochód. Miał miejsce parkingowe za domem. Opel, rocznik dziewięćdziesiąty trzeci. Wszystko wydaje się w porządku.

– Kluczyki?

– Były w mieszkaniu.

Wallander przypomniał sobie, że nie dostał odpowiedzi, czy Runfeldt

zamówił taksówkę w przeddzień wyjazdu.

– Hansson rozmawiał z taxi. Tak, zamówił taksówkę na piątą rano. Do Malmö. Odnotowali to jako trefny kurs. Kierowca czekał na dole. Myśleli, że Runfeldt zasnął. Zadzwonili do niego, ale nikt nie odbierał, i taksówkarz odjechał. Hansson powiedział, że osoba, z którą rozmawiał, udzieliła mu szczegółowych informacji.

– To mi wygląda na dobrze przygotowaną akcję.

– I udział więcej niż jednej osoby.

– Ktoś znał plany Runfeldta. Wiedział, że wyjeżdża wcześniej rano. Kto mógł o tym wiedzieć?

– Lista jest bardzo skromna. Zdaje się, że Ann-Britt Höglund ją zrobiła. Wiedziała o tym Anita Lagergren z biura podróży i dzieci Runfeldta. Córnica nie znała godziny, tylko dzień. I to właściwie wszystko.

– A Wania Andersson?

– Okazuje się, że nie.

Wallander wolno pokręcił głową.

– Wiedział o tym ktoś jeszcze – powiedział – kogo nie ma na tej liście i tego kogoś szukamy.

– Zaczęliśmy przeglądać rejestr jego klientów. Z rozmaitych danych wynika, że miał w sumie czterdzieści zleceń. Czyli niezbyt dużo. Cztery rocznie. Niewykluczone, że to jeden z nich.

– Naturalnie możesz mieć rację. Musimy się temu dokładnie przyjrzeć. To dosyć żmudna praca.

– Mam coraz silniejsze przeczucie, że cała ta sprawa zajmie nam bardzo dużo czasu.

Wallander podzielał w duchu opinię Martinssona.

– Pozostaje nam nadzieja, że się mylisz. Choć to raczej mało prawdopodobne.

Dojeżdżali do Ystadu. Było wpół do szóstej.

– Dzieci Runfeldta chcą sprzedać kwaciarnię – powiedział Martinsson.

– Złożyli ofertę Wanii Andersson, ale wątpię, czy będzie ją na to stać.

– Od kogo o tym wiesz?

– Od Bo Runfeldta. Zadzwonął do nas i spytał w imieniu siostry i swoim, czy mogą wyjechać z Ystadu po pogrzebie.

– A kiedy jest pogrzeb?

– W środę.

– Niech jadą. Skontaktujemy się z nimi w razie potrzeby.

Skręcili na parking przed komendą.

– Rozmawiałem z mechanikiem z Almhultu – powiedział Martinsson. – Samochód będzie gotowy w połowie przyszłego tygodnia. Niestety, sporo zapłacisz. Ale może już o tym wiesz? Ma ci go dostarczyć do Ystadu.

Hansson siedział u Svedberga. Wallander pokrótce zreferował rezultaty swojej podróży. Hansson mocno się przeziębził. Wallander zaproponował, żeby poszedł do domu.

– Lisa Holgersson też jest chora – powiedział Svedberg. – Złapała grype.

– Już się zaczęło? – zdziwił się Wallander. – No to możemy mieć spore problemy.

– Ja jestem tylko przeziębiony – zapewnił Hansson. – Do jutra mi przejdzie.

– Dzieci Ann-Britt Höglund też chorują – dodał Martinsson. – Ale jutro wraca jej mąż.

Wallander poprosił, żeby dali mu znać, kiedy przywiozą neseser Runfeldta. Przedtem chciał napisać sprawozdanie z podróży i ewentualnie zebrać rachunki potrzebne do sporządzenia kosztorysu. Ale idąc do swojego pokoju, rozmyślił się i wrócił do kolegów.

– Mogę pożyczyć samochód? – spytał. – Uwinę się w pół godziny.

Miał do wyboru kilka kluczyków. Wybrał Martinssona.

Ściemniło się. Niebo było bezchmurne. Zapowiadała się chłodna noc. Może temperatura spadnie poniżej zera. Zaparkował przed kwiaciarnią na Vastra Vallgatan i poszedł do domu Runfeldta. W oknach jego mieszkania paliło się światło. Przypuszczał, że są tam dzieci Runfeldta, które muszą wszystko przejrzeć i spakować albo wyrzucić. Podsumowanie życia kogoś, kto odszedł. Pomyślał o ojcu, o Gertrudzie i Kristinie. W ogóle się nie pojawił w Loderupie, żeby im pomóc w przeglądaniu jego rzeczy. Nie było tego dużo i poradziły sobie bez niego, ale powinien był się przynajmniej pokazać. Nie wiedział, czy powodował nim smutek, czy brak czasu.

Zatrzymał się przed frontowymi drzwiami domu Runfeldta. Ulica była pusta. Chciał przemyśleć ewentualny przebieg wydarzeń. Rozejrzał się, przeszedł przez ulicę i znów się rozejrzał.

Runfeldt wychodzi. Kiedy dokładnie, nie wiadomo. Jeśli wieczorem albo w nocy, to nie ma z sobą neseseru. Ma go rano. Ulica jest pusta. Stawia neseser na chodniku. Z której strony nadjeżdża taksówka? Czeka

przed drzwiami czy po drugiej stronie ulicy? Coś się dzieje. Runfeldt znikła. Neseser odnajduje się przy szosie pod Hoorem, a Runfeldt, martwy, w pobliżu Marsvinsholmu.

Wallander obejrzał wnętrza przy drzwiach od frontu i z tyłu. Były płytkie, nikt się tam nie mógł schować. Spojrzał na latarnie. Świeciły się. Samochód, pomyślał. Przed drzwiami stoi samochód. Runfeldt wychodzi na ulicę i człowiek, który czeka na niego w samochodzie, wysiada. Gdyby Runfeldt się przestraszył, mógłby zacząć krzyczeć. Wtedy usłyszałby go ten spostrzegawczy sąsiad. A może się tylko zdziwił. Nieznajomy podchodzi do niego i powala na ziemię? Grozi mu?

Wallander przypomniał sobie reakcję Wanii Andersson w lesie. Runfeldt bardzo zmizerniał. Na pewno był gdzieś przetrzymywany i głodzony. Nieznajomy na siłę wpycha go do samochodu albo wlecze, jeśli jest nieprzytomny. Potem Runfeldt znikła. Neseser leży na skraju drogi.

Kiedy Wallander zobaczył neseser, pomyślał, że został podrzucony w takim miejscu, żeby można go było znaleźć. Czyli znowu demonstracja.

Podszedł do drzwi i zaczął od początku.

Runfeldt wychodzi z domu. Cieszy się na tę podróż. Leci do Afryki, żeby popatrzeć na orchidee.

Ulicą przejechał samochód i zakłócił tok jego myśli. Wallander spacerował przed drzwiami. Załóżmy, że dziesięć lat temu Runfeldt zamordował żonę. Odpowiednio wcześniej wyrąbał przeręb. Był brutalny. Bił matkę swoich dzieci. Z pozoru sympatyczny kwiaciarz, miłośnik orchidei, ma pojechać do Nairobi. Wszyscy, z którymi rozmawiał przed podróżą, jednogłośnie zaświadcniają o jego nieklamanej radości. Miły mężczyzna i potwór w jednej osobie.

Wallander przedłużył spacer do kwiaciarni. Włamanie. Plamy krwi na podłodze. Ktoś włamuje się do kwiaciarni w tym samym czasie, kiedy znikła Runfeldt. Nic nie ginie. Ani jeden kwiatek. Jest tylko krew.

Zrezygnowany, pokręcił głową. Coś mu umknęło. Pod pierwszą warstwą kryła się druga. Gösta Runfeldt. Miłośnik orchidei i potwór. Holger Eriksson. Obserwator ptaków, poeta, sprzedawca samochodów, znany z brutalnego traktowania ludzi.

Łączy ich brutalność, pomyślał. A dokładniej, skrywana brutalność. W wypadku Runfeldta znacznie staranniej niż w wypadku Erikssona. Ale są podobieństwa.

Wrócił do drzwi.

Runfeldt wychodzi na ulicę. Stawia walizkę. I co dalej? Czeką na taksówkę. Ale kiedy taksówka przyjeżdża, jego już nie ma.

Wallander zatrzymał się w pół kroku. Runfeldt czeka na zamówioną taksówkę. Czy mogła przyjechać inna taksówka? Przecież Runfeldt nie wie, jaki samochód przyjedzie. I nie zna kierowcy. Wsiada. Kierowca wkłada neseser do bagażnika i udają się w kierunku Malmö. Ale nie dojeżdżają dalej niż do Marsvinsholmu.

Czy mogło tak być? Czy Runfeldt był przetrzymywany gdzieś w pobliżu lasu, w którym został znaleziony? Tymczasem jego neseser leży przy drodze pod Hoorem. Zupełnie gdzie indziej. Niedaleko domu Holgera Erikssona.

Wallander uświadomił sobie, że nic już nie wymyśli. Nie bardzo wierzył w tę fałszywą taksówkę. Na dobrą sprawę nie wiedział, w co ma wierzyć. Tylko jedno nie ulegało wątpliwości. To, co się wydarzyło przed domem Runfeldta, zostało starannie zaplanowane. Przez kogoś, kto wiedział o jego podróży do Nairobi.

Wallander wrócił do komendy. Przed wejściem zobaczył niechlujnie zaparkowany samochód Nyberga. Czyli neseser już jest.

Położyli neseser na ceracie na stole w sali zebrania. Był zamknięty. Nyberg, Svedberg i Hansson pili kawę. Wallander domyślił się, że czekali na niego. Martinsson rozmawiał przez telefon z którymś ze swoich dzieci. Wallander zwrócił mu kluczyki do samochodu.

– Jak długo neseser tam leżał? – spytał Nyberga.

Jego odpowiedź go zaskoczyła.

– Góra dwa dni. Maksimum trzy.

– Co oznacza, że dosyć długo przeleżał gdzie indziej – zauważył Hansson.

– Rodzi się pytanie – powiedział Wallander – dlaczego sprawca pozbył się go dopiero teraz?

Nie znali odpowiedzi. Nyberg włożył plastikowe rękawice i otworzył neseser. Już miał wyjąć leżące na wierzchu ubranie, kiedy Wallander go powstrzymał. Pochylił się nad stołem. Nie wiedział, co zwróciło jego uwagę.

– Czy mamy zdjęcia? – spytał.

– Otwartego neseseru? Nie – odparł Nyberg.

– To je zrobimy.

Wallander był pewien, że zaintrygowało go coś w sposobie spakowania. Ale co?

Nyberg przyniósł aparat. Ponieważ bolała go noga, poprosił Svedberga, żeby wszedł na krzesło i pstryknął kilka zdjęć.

Potem rozpakowali neseser. Wallander widział przed sobą mężczyznę, który wybierał się do Afryki z lekkim bagażem. Nie było tam żadnych zaskakujących rzeczy. W przegródce znaleźli dokumenty podróżne i pokaźną sumę w dolarach. Na dnie neseseru leżały notatniki, literatura o orchideach i aparat fotograficzny. Oglądali wszystko w milczeniu. Wallander próbował dociec, co zwróciło jego uwagę. Nyberg wyjął z kosmetyczki słoik tabletek.

– Malariaprofylax – przeczytał głośno. – Gösta Runfeldt wiedział, co mu będzie potrzebne w Afryce.

Wallander patrzył na opróżniony neseser. Zauważył, że coś przywarło do podszewki pokrowca. Nyberg to odczepił. Niebieska plakietka na imię i nazwisko.

– Może Gösta Runfeldt bywał na kongresach – powiedział Nyberg.

– W Nairobi miał fotografować orchidee – przypomniał Wallander. – Może została z poprzedniej podróży.

Przez papierową serwetkę ujął plakietkę za agrafkę i przyglądał się jej z bliska. Poczuł zapach perfum. To mu dało do myślenia. Podsunął ją Svedbergowi pod nos.

– Poznajesz ten zapach?

– Woda po goleniu? Wallander pokręcił głową.

– Nie. Perfumy.

Wąchali po kolei. Prócz przeziębionego Hanssona. Doszli do wniosku, że to perfumy. Damskie. Wallander miał wrażenie, że poznaje plakietkę.

– Czy ktoś z was już kiedyś ją widział? – spytał.

– Zdaje się, że we wszystkich instytucjach i urzędach w naszym województwie noszą takie identyfikatory – odpowiedział Martinsson. – Na przykład pracownicy szpitala.

Wallander przyznał mu rację.

– Coś tu się nie zgadza – powiedział. – Plakietka, która pachnie damskimi perfumami, w neseserze Gösty Runfeldta, spakowanym na podróż do Afryki.

W tym momencie uświadomił sobie, co zwróciło jego uwagę, kiedy otworzyli neseser.

– Ściągnijcie Ann-Britt Höglund. Bez względu na chore dzieci. Może jej wspinała sąsiadka będzie mogła ją zastąpić na pół godziny. Policja pokryje koszty.

Martinsson wybrał numer. Rozmowa trwała bardzo krótko.

– Przyjedzie – powiedział.

– Po co ci ona? – zainteresował się Hansson.

– Chcę, żeby coś zrobiła z neseserem. Nic więcej.

– Mamy go spakować? – spytał Nyberg.

– Nie. Chodzi mi o to, żeby to ona go spakowała.

Patrzyli na niego podejrzliwie, ale o nic nie pytali. Hansson wytarł nos. Nyberg usiadł na krześle, żeby odciążyć bolącą stopę. Martinsson zniknął w swoim pokoju; pewnie chciał zadzwonić do domu. Wallander wyszedł z sali zebrań, stanął przed mapą ystadzkiego okręgu policyjnego i studiował połączenia między Marsvinsholmem, Lödinge i Ystadem. Zawsze gdzieś jest jakieś centrum, pomyślał. Oś różnych zdarzeń, która ma swój odpowiednik w rzeczywistości. Przestępca wbrew pozorom rzadko wraca na miejsce zbrodni, natomiast co najmniej dwa razy przecina ten środkowy punkt.

Ann-Britt Höglund szybko szła korytarzem. Wallandera ogarnęły wyrzuty sumienia, że kazał jej przyjść. Dużo lepiej niż kiedyś rozumiał jej problemy. Bardzo często sama musiała się zajmować dziećmi. Uważał jednak, że tym razem miał ważny powód.

– Czy coś się stało? – spytała.

– Wiesz, że znaleźliśmy neseser Runfeldta?

– Tak.

Weszli do sali zebrań.

– To, co tu leży, było w neseserze – wyjaśnił Wallander. – Chciałbym, żebyś włożyła rękawiczki i wszystko spakowała.

– W jakiś szczególny sposób?

– W sposób, który jest naturalny dla ciebie. Kiedyś wspomniałaś, że zawsze pakujesz męża. Innymi słowy, masz doświadczenie.

Zabrała się do pracy. Wallander był wdzięczny, że nie zadawała zbędnych pytań. Obserwowali ją. Wprawnie i pewnie wybierała i wkładała rzeczy do neseseru. Skończyła i cofnęła się o krok.

– Opuścić pokrywę?

– Nie trzeba.

Oglądali rezultat. Potwierdziły się przypuszczenia Wallandera.

– Skąd wiedziałaś, jak Runfeldt się spakował? – zdziwił się Martinsson.

– Wstrzymajmy się z komentarzami – przerwał mu Wallander. – Zauważyłem, że w stołówce siedzi policjant z drogówki. Dajcie go tutaj.

Po chwili do sali wszedł Laurin. W tym czasie opróżnili neseser. Laurin był zmęczony. Wallanderowi obito się o uszy, że mieli przeprowadzić tej nocy jakąś dużą akcję trzeźwości na drogach. Wallander poprosił go o włożenie rękawiczek i spakowanie neseseru. Laurin też nie zadawał pytań. I bardzo starannie obchodził się z ubraniami. Potem Wallander mu podziękował i Laurin wyszedł.

– Zupełnie inaczej – stwierdził Svedberg.

– Nie zamierzam niczego udowadniać – powiedział Wallander. – Nie sądzę, żeby to było możliwe. W każdym razie kiedy Nyberg otworzył neseser, miałem wrażenie, że coś jest nie tak. Jakby go pakowała kobieta. Zawsze mi się wydawało, że mężczyźni i kobiety robią to inaczej.

– Wania Andersson? – rzucił Hansson.

– Nie. Z całą pewnością neseser spakował Gösta Runfeldt.

Ann-Britt Höglund pierwsza zrozumiała, co on ma na myśli.

– Chodzi ci o to, że neseser został później przepakowany przez kobietę?

– Niczego nie twierdzę, po prostu głośno się zastanawiam. Neseser leżał przy drodze od paru dni. Gösta Runfeldt zaginął dużo wcześniej. Gdzie był wtedy neseser? To mogłoby tłumaczyć dziwne braki w garderobie.

Nikt prócz Wallandera o tym nie pomyślał. Ale od razu się połapali, w czym rzecz.

– W neseserze nie ma slipów – kontynuował. – Gösta Runfeldt pakuje się na wyjazd do Afryki i nie zabiera ani jednej pary slipów.

– To nieprawdopodobne – przyznał Hansson.

– I oznaczałoby, że ktoś go przepakował – dodał Martinsson. – Na przykład kobieta, która usunęła bieliznę osobistą Runfeldta.

Wallander czuł narastające napięcie wśród kolegów.

– Jest jeszcze coś – powiedział wolno. – Z jakiegoś powodu znikają slipy i pojawia się jeden obcy przedmiot. – Wskazał na niebieską plakietkę.

– Powąchaj ją – poprosił Ann-Britt Höglund.

– Dyskretne damskie perfumy.

W sali zaległa cisza. Po raz pierwszy śledztwo wstrzymało oddech.

– Czy to znaczy, że w te potworności zamieszana jest kobieta? – odezwał się po chwili Nyberg.

– Nie możemy tego wykluczyć – odparł Wallander. – Nawet jeśli nic za tym nie przemawia. Z wyjątkiem neseseru.

Tym razem cisza zapadła na dłużej.

Było wpół do ósmej. Niedziela 16 października.

*

Znalazła się przy wiadukcie kilka minut po siódmej. Przytupywała na zimnie. Ten, na kogo czekała, pojawi się dopiero za pół godziny, może nawet później. Ale od dawna przychodziła przed czasem. Z niemiłym dreszczem przypominała sobie te momenty, kiedy się spóźniała, kazała na siebie czekać i rozmaici ludzie wlepiali w nią oczy.

To się już nigdy nie powtórzy. Żyła według harmonogramu, w którym uwzględniała minimalne odstępstwa.

Była spokojna. Mężczyzna, który niebawem pojawi się pod wiaduktem, nie zasługiwał na to, by żyć. Nie czuła do niego nienawiści. Mogła ją odczuwać tylko ta kobieta, której przysporzył tyle nieszczęść. Stała w ciemnościach, gotowa zrobić to, co konieczne.

Zastanawiała się jedynie nad tym, czy nie powinna tego odłożyć. Piec był wprawdzie pusty, ale w przyszłym tygodniu miała dosyć skomplikowany grafik i nie chciała, żeby mężczyzna umarł w piecu. Uznała, że musi to załatwić błyskawicznie. Nie miała wątpliwości, jak. Kobieta, która opowiedziała jej o swoim losie i wreszcie wymieniła jego nazwisko, wspomniała o wannie. Mówiła, jakie to uczucie znaleźć się pod wodą, tracić oddech, balansować na granicy życia i śmierci.

Pomyślała o szkółce niedzielnej. Na grzeszników czeka ogień piekielny. Nadal nie wyzbyła się lęku. Nikt nie wie, jak mierzy się grzech. Nikt nie wie, kiedy powinna spaść kara. Nigdy nie rozmawiała o swoim lęku z matką. Zastanawiała się nad ostatnimi sekundami jej życia. Algierska policjantka Françoise Bertrand napisała, że wszystko odbyło się bardzo szybko. Że nie cierpiała. Ledwie była świadoma tego, co się stało. Ale skąd mogła o tym wiedzieć? Czy nie próbowała jej oszczędzić trudnej do zniesienia prawdy?

Po wiadukcie przejechał pociąg. Liczyła wagony. Potem zapadła cisza.

Grzesznik nie zginie w ogniu, pomyślała, ale w wodzie.

Spojrzała na zegarek. Zauważyła, że poluzowały się sznurowadła tenisówek. Pochyliła się i porządnie je zawiązała. Miała silne palce. Mężczyzna, którego od kilku dni obserwowała, był niski i tęgawy. Nie sprawi jej żadnych problemów. Raz-dwa się z tym upora.

Pod wiaduktem na przeciwległym chodniku zobaczyła mężczyznę z psem. Jego kroki niosły się echem. Scena niczym z jakiegoś starego czarno-białego filmu. Zrobiła rzecz najprostszą. Udawała, że na kogoś czeka. Była pewna, że jej nie zapamięta. Przez całe życie uczyła się niewidzialności. Dopiero teraz zrozumiała, że przygotowywała się do czegoś, o czym wcześniej nie mogła wiedzieć.

Mężczyzna z psem odszedł. Zaparkowała samochód po drugiej stronie wiaduktu. Mimo że znajdowała się w centrum Lundu, ruch był niewielki. Do tej pory prócz mężczyzny z psem zauważyła jedynie jakiegoś rowerzystę. Czuliła, że jest gotowa. Wszystko powinno pójść gładko.

W końcu go zobaczyła. Szedł po tej samej stronie ulicy, po której stała. Gdzieś przejechał samochód. Skuliła się, jakby ją rozboleł brzuch. Mężczyzna zatrzymał się przy niej i spytał, czy nic jej nie dolega. Osunęła się na kolana. Zareagował zgodnie z jej oczekiwaniami. Kiedy się nad nią pochylił, powiedziała, że dostała ataku mdłości i spytała, czy mógłby ją podprowadzić do samochodu. Wziął ją pod ramię. Zawisła na nim całym ciężarem. Z trudem ją podtrzymywał. Tak jak przypuszczała, nie był siłaczem. Oparł ją o samochód i zapytał, czy mógłby jej jeszcze jakoś pomóc. Nie. Kiedy otworzył jej drzwi, szybko sięgnęła po szmatę. Zawinęła w nią torebkę foliową z eterem. W kilka sekund nasączyła nim szmatę, odwróciła się i mocno przycisnęła mu ją do twarzy. Szarpał się, ale była silniejsza. Kiedy zaczął wiotczeć, otworzyła tylne drzwi i bez najmniejszych problemów ułożyła go na siedzeniu. Potem usiadła za kierownicą. Przejechał samochód, po chwili przemknął rowerzysta. Pochyliła się przez oparcie fotela i jeszcze raz przytknęła mu szmatę do twarzy. Wkrótce stracił przytomność. Zanim się ocknie, powinna być u celu.

Pojechała przez Svaneholm i Broddę. Skręciła na przybrzeżny kemping, wyłączyła światła i wysiadła. Nasłuchiwała. Głucha cisza. Przyczepy kempingowe były puste. Wyciągnęła nieprzytomnego mężczyznę i położyła go na ziemi. Z bagażnika wyjęła worek. Ciężarki uderzyły o kamienie. Wepchnięcie go do worka zajęło jej więcej czasu, niż

zakładała.

Zawlekła worek na koniec niewielkiego pomostu. Gdzieś w ciemnościach zafurkotał ptak. Teraz pozostało jej tylko czekać. Zapaliła papierosa. W nikłym blasku zobaczyła swoją dłoń. Nie drżała.

Mniej więcej po dwudziestu minutach mężczyzna zaczął się budzić.

Pomyślała o wannie z opowieści kobiety. I o topionych kotach. Zamknięte w workach, ciągle żywe, desperacko walczyły o oddech i życie.

Zaczął krzyczeć. Szamotał się. Zgasił papierosa na pomoście.

W głowie czuła pustkę.

Po chwili zepchnęła nogą worek do jeziora i odeszła.

24

Siedzieli w komendzie przez całą noc. Był już poniedziałek. Wallander wysłał do domu Hanssona, a potem Nyberga. Ci, którzy zostali, zaczęli od początku analizować poszczególne etapy śledztwa, do czego dał asumpt neseser. Leżał przed nimi na stole, dopóki nie skończyli. Później Martinsson go zamknął i zaniósł do swojego pokoju.

Omawiali wszystko po kolei, wychodząc z założenia, że nic, co dotąd zrobili, nie było daremne. Odczuwali potrzebę szerszego spojrzenia, a jednocześnie skoncentrowania się na różnych szczegółach w nadziei, że odkryją coś istotnego, co im wcześniej umknęło.

Ale nic takiego nie znaleźli. Nic przełomowego. Przebieg wydarzeń był niejasny, związki między nimi mętne, a motywy nieznane. Powtórka doprowadziła ich do punktu wyjścia.

Dwaj mężczyźni zginęli z rąk tego samego sprawcy, zamordowani w okrutny, brutalny sposób.

Kwadrans po północy Wallander postawił kropkę. Wcześniej rano mieli ustalić kolejność czynności dochodzeniowych. Przede wszystkim powinni się zastanowić, czy w związku z odnalezieniem neseseru nie należałoby wprowadzić jakichś zmian.

Ann-Britt Höglund tylko dwa razy na kilka minut opuściła salę zebrań. Wallander przypuszczał, że dzwoniła do sąsiadki opiekującej się jej dziećmi. Kiedy skończyli, poprosił ją, żeby na chwilę została. I od razu tego pożałował. Nie powinien jej zatrzymywać. Bez słowa usiadła i cze-

kali, dopóki inni nie wyjdą.

– Chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobiła – zaczął. – Chciałbym, żebyś popatrzyła na wszystko z kobiecej perspektywy. Żebyś przejrzała materiał dochodzeniowy z takim nastawieniem, że szukamy kobiety. I żebyś wzięła pod uwagę dwie możliwości. Pierwsza – że działa sama. Druga – że jest w to zamieszana.

– Chodzi ci o to, że mogą być co najmniej dwie osoby?

– Tak. Z których jedna to kobieta.

Skinęła głową.

– Zrób to jak najszybciej – podjął. – Najlepiej dzisiaj. Jeśli masz inne pilne rzeczy na głowie, przekaz je komuś innemu.

– Wydaje mi się, że dzisiaj przyjeżdża Hamrén ze Sztokholmu i dwóch kolegów z Malmö. Mogę im coś podrzucić.

Wallander nie miał już nic do dodania. A mimo to nie ruszyli się z miejsca.

– Naprawdę myślisz, że to kobieta? – spytała.

– Nie wiem. Oczywiście nie wolno przypisywać nadmiernego znaczenia neseserowi i perfumom, ale nie mogę nie brać pod uwagę, że to śledztwo od początku się nam wymyka. Już kiedy patrzyliśmy na bambusowe pale, na których wisiał Eriksson, powiedziałaś coś, o czym często myślę.

– Że to wyglądało jak demonstracja?

– Że morderca ma swój język. Że oglądaliśmy coś, co przypominało działania wojenne. Na Holgerze Erikssonie dokonano egzekucji, zastawiając pułapkę jak na dzikiego zwierza.

– Może to jest wojna...

Wallander spojrzał na nią uważnie.

– To znaczy?

– Może nie powinniśmy się w tym doszukiwać Bóg wie czego. W doły z palami chwyta się dzikie zwierzęta albo się je zastawia na wrogów podczas wojny.

Wallander uznał, że to może być ważne.

– Mów dalej.

Przygryzła wargę.

– Sąsiadka nie może już dłużej siedzieć przy dzieciach, a ja nie mogę jej zatrzymać. Kiedy do niej dzwoniłam, była zła. Nie ma znaczenia, ile jej zapłacę.

Wallander nie chciał przerywać tej rozmowy. Na moment ogarnęła go irytacja. Na jej dzieci, a może na męża, którego nigdy nie było w domu. Ale natychmiast tego pożałował.

– Możemy kontynuować u mnie – zaproponowała.

Widział, że jest blada i bardzo zmęczona. Nie powinien jej naciskać. Mimo to przyjął zaproszenie. Pojechali jej samochodem przez wyludnione ulice. Sąsiadka czekała na nią w drzwiach. Ann-Britt Höglund mieszkała w nowym domu na zachodnich przedmieściach. Wallander przedstawił się i wziął na siebie odpowiedzialność za jej późny powrót.

Usiedli w salonie. Był tu nie po raz pierwszy. Nie ulegało wątpliwości, że jeden z domowników często podróżuje. Na ścianach wisały liczne pamiątki. Nic jednak nie wskazywało na obecność policjantki. Czuł autentyczne ciepło, którego u niego, na Mariagatan, kompletnie brakowało. Spytała, czy się czegoś napije. Odmówił.

– Pułapka na dzikie zwierzęta i wojna – przypomniał. – Na tym skończyliśmy.

– Są mężczyźni, którzy polują, mężczyźni, którzy są żołnierzami. Widzimy to, co widzimy, poza tym znajdujemy zasuszoną głowę i dziennik napisany przez najemnika. Patrzymy i interpretujemy.

– Jak interpretujemy?

– Jeśli morderca posługuje się określonym językiem, możemy go odczytać.

Wallander przypomniał sobie, co mówiła Linda, próbując mu wyjaśnić, na czym polega aktorstwo. Trzeba czytać między wierszami, szukać podtekstów.

Podzielił się tym z Ann-Britt Höglund.

– Może źle się wyraziłam – powiedziała, kiwając głową – ale myślę podobnie. Wszystko zobaczyliśmy, wszystko zinterpretowaliśmy i nic to nie dało.

– Widzimy tylko tyle, ile chce nam pokazać morderca?

– Może nas wabi, żebyśmy patrzyli nie tam, gdzie trzeba.

Wallander zastanawiał się. Myślał wyjątkowo klarownie.

Zmęczenie zniknęło. Trop, który podjęli, mógł być rozstrzygający. Do tychczas kołatał się w jego świadomości, ale nie był w stanie go pochwycić.

– Chodzi ci o to, że demonstracja to tylko manewr, który ma odwrócić naszą uwagę – powiedział. – Czy tak?

– Tak.

– Mów dalej.

– Prawda może być całkiem inna.

– Czyli?

– Tego nie wiem. Ale jeśli nam się wydaje, że myślimy prawidłowo, po czym się okazuje, że tak nie jest, powinniśmy to odwrócić.

– Rozumiem. Rozumiem i zgadzam się z tobą.

– Kobieta nie nadziewa mężczyźni na pale ani nie przywiązuje ich do drzewa, żeby potem udusić gołymi rękami.

Wallander przez dłuższą chwilę milczał. Ann-Britt Höglund poszła na górę i po kilku minutach była z powrotem. Zauważył, że zmieniła buty.

– Od początku czuliśmy, że oba morderstwa starannie zaplanowano – powiedział. – Rodzi się pytanie, czy ta staranność nie obejmuje innych przygotowań.

– Nie wyobrażam sobie, żeby kobieta mogła zrobić coś podobnego. Ale teraz tego nie wykluczam.

– Twoje wnioski będą miały duże znaczenie. Chyba powinniśmy o tym pomówić z Matsem Ekholmem.

– Z kim?

– Z tym psychologiem, który był u nas w lecie.

Pokręciła głową z rezygnacją.

– Jestem wykończona. Zapomniałam jego nazwiska.

Wallander wstał. Była pierwsza.

– Zobaczmy się za kilka godzin. Mogłabyś zadzwonić po taksówkę?

– Weź mój samochód. Chętnie się przejdę, żeby mi się rozjaśniło w głowie. – Dała mu kluczyki. – Mąż niedługo wróci. Wszystko będzie prostsze.

– Wiem, jak ci ciężko. Kiedy Linda była mała, zawsze była Mona. Bo-
daj ani razu nie musiałem się zwalniać z pracy.

Odprowadziła go do samochodu. Była pogodna noc. Temperatura poniżej zera.

– Nie żałuję – powiedziała.

– Czego?

– Że wybrałam ten zawód.

– Może tego nie wiesz, ale jesteś dobrą policjantką. Bardzo dobrą.

Ucieszyła się. Skinął głową, wsiadł do samochodu i odjechał.

W poniedziałek 17 października Wallander obudził się z ćmiącym

bólem głowy. Leżąc, zastanawiał się, czy się przypadkiem nie przeziębził. Nie zauważył jednak żadnych wyraźnych symptomów. Zaparzył kawę i połknął tabletkę przeciwbólową. Zerwał się wiatr. Z okna w kuchni widział gęste chmury, które w nocy zasnuły całą Skanię. Ociepliło się. Termometr wskazywał plus cztery stopnie.

Kwadrans po siódmej był w komendzie. Przyniósł sobie kawę do pokoju. Na biurku zastał wiadomość od kolegi z Goteborga, z którym współpracował w sprawie przemytu samochodów do byłych państw bloku wschodniego. Przez chwilę trzymał kartkę w ręku, po czym wrzucił ją do szuflady, przysunął kołonotatnik i zaczął szukać długopisu. Przy okazji natknął się na zapiski Svedberga. Ciekawe, ile razy zapomniał mu je oddać.

Zirytowany, wyszedł na korytarz. Drzwi do pokoju Svedberga były otwarte. Położył zapiski na jego biurku, wrócił do siebie i najbliższe pół godziny spędził na sporządzeniu listy najpilniejszych pytań. Jednocześnie postanowił zrelacjonować na najbliższym zebraniu swoją nocną rozmowę z Ann-Britt Höglund.

Za kwadrans ósma rozległo się pukanie do drzwi. W progu stanął Hamrén ze sztokholmskiego wydziału zabójstw. Przywitali się. Wallander go lubił. Świetnie im się pracowało w lecie.

– Tak szybko? – zdziwił się Wallander. – Myślałem, że będziesz później.

– Przyjechałem już wczoraj – odparł Hamrén. – Nie mogłem wytrzymać.

– Co tam w Sztokholmie?

– To samo co tutaj. Tylko na większą skalę.

– Nie wiem, gdzie będziesz siedział.

– To już załatwione. W pokoju Hanssona.

– Spotykamy się za pół godziny.

– Mam co czytać.

Hamrén wyszedł. Wallander położył rękę na słuchawce, żeby zadzwonić do ojca. Drgnął. Ogarnął go przejmujący smutek. Pojawił się nagle i równie nagle przeminął. Już nie miał ojca. Nie mógł do niego zadzwonić. Ani dzisiaj, ani jutro. Nigdy.

Znieruchomiał na krześle. Bał się, że gdzieś go zaboli.

Po chwili wybrał numer. Gertruda odebrała natychmiast. Na pytanie, jak się czuje, rozplakała się. Coś uwięzło mu w gardle.

- Żyję z dnia na dzień – powiedziała, kiedy się uspokoiła.
- Postaram się wpaść po południu, ale nie będę mógł dłużej zostać.
- Myślałam o wielu rzeczach. Między innymi o tobie i twoim ojcu, którego bardzo słabo znałam.
- Tak jak ja. Może wspólnie uda nam się stworzyć w miarę spójną całość.

Wiedział, że przypuszczalnie nie zdąży pojechać do Loderupu. Dlaczego powiedział, że się postara? Przecież Gertruda będzie na niego czekać. Zawsze sprawiam komuś zawód, pomyślał z rezygnacją.

Rozeźlony, złamał długopis i cisnął go do kosza. Jakiś kawałek wylądował na podłodze. Poczęstował go kopniakiem. Najchętniej by stąd uciekł. Zastanawiał się, kiedy ostatnio rozmawiał z Bajbą. Nie dzwoniła do niego. Czyżby ich związek powoli umierał naturalną śmiercią? Kiedy znajdzie czas, żeby obejrzeć przyszły dom i kupić psa?

Czasami nienawidził swojego zawodu. Tak jak teraz.

Podszedł do okna. Wiatr, jesienne chmury i ptaki odlatujące do ciepłych krajów. Pomyślał o Perze Åkesonie. Zdecydował się na wyjazd. Zdecydował się na zmianę w swoim życiu.

Późnym latem na plaży w Skagenie Bajba powiedziała, że bogaty Zachód marzy o wielkim żaglowcu, który mógłby przewieźć cały kontynent na Karaiby. Krach państw Europy Wschodniej otworzył jej oczy. Na Łotwie istniały wyspy szczęśliwe i autentyczna radość. Zdała sobie sprawę, że ubóstwo nie jest czymś wyjątkowym również w krajach dobrobytu, które od niedawna mogła odwiedzać. Wielki żaglowiec mógł się pojawić na oceanie niezaspokojenia i pustki.

Wallander pomyślał o sobie jak o zapomnianym lub pełnym wątpliwości wędrownym ptaku. Nie, to idiotyczne. Musi zadzwonić do Bajby jeszcze tego wieczora.

Było kwadrans po ósmej. Poszedł do sali zebrań. Prócz Hamréna zjechali dwaj policjanci z Malmö, których Wallander zobaczył po raz pierwszy. Augustsson i Hartman. Lisa Holgersson przywitała gości, po czym spojrzała na Wallandera i skinęła głową.

Zaczął tak, jak to sobie zaplanował, od rozmowy z Ann-Britt Höglund po eksperyment z pakowaniem neseseru. Wyczuł wahanie zebranych. Niczego innego się nie spodziewał.

- To jedna z wielu możliwości. Ponieważ wiemy tyle, co nic, nie możemy niczego wykluczyć. – Skinął na Ann-Britt Höglund. – Popro-

siem koleżankę o przeanalizowanie wszystkich wątków z kobiecej perspektywy. Dotąd tego nie robiliśmy, ale w tym wypadku nie zawadzi spróbować.

Potem wywiązała się burzliwa dyskusja. Wallander to też przewidział. Prym wiódł Hansson, który czuł się już znacznie lepiej. Mniej więcej w połowie zebrania przyszedł Nyberg. Po raz pierwszy bez kuli.

Wallander napotkał jego wzrok. Miał wrażenie, że chce coś powiedzieć. Ale kiedy spojrzął na niego pytająco, Nyberg pokręcił głową.

Wallander przysłuchiwał się dyskusji, ale się w niej zanadto nie udzielał. Zauważył, że Hansson wyraża się jasno i dobrze argumentuje. To ważne, żeby jak najszybciej każdy mógł zaprezentować własny pogląd.

O dziewiątej zrobili krótką przerwę. Svedberg pokazał Wallanderowi zamieszczone w gazecie zdjęcie nowo powstałej gwardii w Lödinge. Inne miejscowości w Skanii wydawały się iść za jej przykładem. Lisa Holgersson dowiedziała się o tym z telewizyjnych wiadomości poprzedniego wieczora.

– Niedługo będziemy mieć gwardię obywatelską w całym kraju – stwierdziła. – Wyobraźcie sobie ludzi bawiących się w policjantów, których będzie dziesięć razy więcej od nas.

– Kto wie, czy to nieuniknione – zauważył Hamrén. – Możliwe, że przestępstwo zawsze było czymś intratnym. Dzisiaj różnica polega na tym, że udaje się je udowodnić.

Za dziesięć procent dochodów szarej strefy moglibyśmy zatrudnić trzy tysiące policjantów.

Wallander uznał ten rząd wielkości za czystą abstrakcję, ale Hamrén obstawał przy swoim.

– Liczy się co innego – kontynuował. – Czy chcemy takiego społeczeństwa? Lekarze domowi – to jedno. Ale domowi policjanci? Wszędzie policjanci? Ludzie podzieleni na rozmaite sektory bezpieczeństwa? Klucze i kody, żeby móc odwiedzić swoich rodziców?

– Nie potrzeba nam aż tylu dodatkowych policjantów – powiedział Wallander. – Potrzeba nam innych policjantów.

– Albo innego społeczeństwa – wtrącił Martinsson. – W którym nie ma bajońskich odpraw i panuje większa solidarność.

Jego słowa niechęć zabrzmiały jak deklaracja przedwyborcza. Ale Wallander domyślał się, o co Martinssonowi chodzi. Niepokoił się o dzieci. Martwił się, że wejdą w kontakt z dilerami narkotyków, że coś im się

stanie.

Usiadł koło Nyberga, który na krok nie ruszył się od stołu.

– Wydawało mi się, że chciałeś coś powiedzieć – zaczął.

– A, to drobiazg. Pamiętasz, że w lesie pod Marsvinsholmem znalazłem tips?

– Który, twoim zdaniem, był tam od dawna?

– Żadnym moim zdaniem. Po prostu nie wykluczałem takiej możliwości. Ale teraz myślę, że nie leżał tam długo.

Wallander przywołał Ann-Britt Höglund.

– Używasz tipsów? – spytał.

– Nie na co dzień – odparła. – Ale, oczywiście, je mam.

– Dobrze się trzymają?

– Są dość łamliwe.

Wallander pokiwał głową.

– Uznałem, że powinieneś o tym wiedzieć – skostatował Nyberg.

Do sali zebrań wszedł Svedberg.

– Dzięki za notatki – powiedział. – Ale mogłeś je wyrzucić.

– Rydberg mawiał, że wyrzucanie notatek kolegów to niewybaczalny grzech – przypomniał mu Wallander.

– Rydberg mówił dużo rzeczy.

– I często miał rację.

Svedberg nigdy się nie zgadzał z Rydbergiem. Nawet teraz, mimo że Rydberg od kilku lat nie żył.

Po przerwie podzielili się zadaniami, uwzględniając Hamréna i policjantów z Malmö. Za kwadrans jedenasta Wallander postanowił zakończyć zebranie. Zadzwoił telefon. Odebrał Martinsson, bo siedział najbliżej. Wallander zgłódnił. Może jednak znajdzie chwilę czasu, żeby się spotkać z Gertrudą. Zauważył, że Martinsson podnosi rękę. Umilkli. Martinsson słuchał w skupieniu, po czym spojrzał na Wallandera. Wallander natychmiast zrozumiał, że coś się stało. Nie, tylko nie to, pomyślał. To ponad nasze siły, nie poradzimy sobie.

Martinsson odłożył słuchawkę.

– Nieboszczyk w Krageholmssjon – powiedział. Wallander uznał, że to nie musi mieć żadnego związku z poszukiwanym przez nich mordercą. Utonięcia nie były niczym wyjątkowym.

– Gdzie? – spytał.

– Koło kempingu. Leży przy pomoście. Wallanderowi za wcześnie

ulżyło. Martinsson miał coś jeszcze do dodania.

– Jest w worku.

No i znowu się stało, pomyślał Wallander. Poczł ucisk w żołądku.

– Kto o tym zawiadomił? – spytał Svedberg.

– Kempingowiec. Dzwonił z komórki. Był wstrząśnięty. Mówił tak, jakby mi wymiotował w ucho.

– Chyba nikt tam teraz nie kempinguje – powiedział Svedberg.

– Przyczepy stoją przez cały rok – wyjaśnił Hansson. – Wiem, gdzie to jest.

Wallander miał wrażenie, że nie panuje nad sytuacją. Najchętniej rzuciłby to wszystko i uciekł. Może Ann-Britt Höglund wyczuła jego nastrój. W każdym razie pomogła mu.

– Jedźmy tam – powiedziała, wstając.

– Tak – zgodził się Wallander. – Najlepiej pojechać od razu. Wallander wsiadł do samochodu Hanssona, który znał to miejsce. Inni ruszyli za nimi. Hansson prowadził szybko i byle jak. Wallander zapierał się stopami. Zadzwoił telefon. Per Åkeson chciał z nim rozmawiać.

– Czego ja się dowiaduję? – zaczął. – Znowu się to stało?

– Za wcześniej na odpowiedź. Ale istnieje takie ryzyko.

– Dlaczego?

– Gdyby nie worek, można byłoby to uznać za nieszczęśliwy wypadek albo samobójstwo. Zwłoki w worku to morderstwo. Nic innego.

– Jasna cholera!

– Można tak powiedzieć.

– Informuj mnie o wszystkim. Gdzie teraz jesteś?

– Jedziemy nad Krageholmssjon. Powinniśmy być na miejscu za dwadzieścia minut.

Zakończyli rozmowę. Wallander pomyślał, że jadą w kierunku miejsca, gdzie znaleźli neseser. Krageholmssjon znajdowało się niedaleko trójkąta, który wytyczył w wyobraźni.

Hansson najwyraźniej zastanawiał się nad tym samym.

– Jezioro leży pomiędzy Lödinge i lasem pod Marsvinsholmem – zauważył. – Wszędzie jest blisko.

Wallander chwycił za telefon i zadzwonił do Martinssona, który jechał tuż za nimi.

– Co jeszcze mówił ten człowiek z kempingu? – spytał. – I jak on się nazywa?

- Chyba nie wymienił nazwiska. W każdym razie jest ze Skanii.
- Skąd wiedział, że w worku są zwłoki? Otworzył go?
- Z worka wystawała obuta stopa.

Mimo marnej jakości połączenia Wallander usłyszał lekką odrazę w głosie Martinssona. Zakończył rozmowę.

W Sovestadzie skręcili w lewo. Wallander pomyślał o klientce Gösty Runfeldta. Wszędzie coś przypominało o tych makabrycznych wydarzeniach. Jeśli istniał jakiś centralny punkt, to było nim Sovestad.

Wody jeziora połyskiwały między drzewami. Wallander próbował się przygotować na czekający ich widok.

Ledwie wjechali na opuszczony kemping, podbiegł do nich jakiś mężczyzna. Wallander wysiadł z samochodu, zanim Hansson zdążył zaparkować.

- Tam na dole – wyjąkał mężczyzna.

Wallander wolno ruszył nad jezioro. Z daleka zauważył, że koło pomostu coś pływa. Martinsson dołączył do niego, po czym zatrzymał się przed pomostem. Inni koledzy czekali. Wallander ostrożnie wszedł na pomost. Lekko ugięły się deski. Poniżej brązowa zimna woda. Wzdrygnął się.

Z worka wystawała stopa w brązowym sznurowanym bucie. Przez dziurę w nogawce spodni prześwitywała biała skóra.

Wallander odwrócił się i przywołał Nyberga. Hansson rozmawiał z mężczyzną, który ich zawiadomił, Martinsson stał przed pomostem, Ann-Britt Höglund w głębi, na uboczu. Jak na zdjęciu, pomyślał Wallander. Skamieniała rzeczywistość. Nic więcej się już nie stanie.

Jego rozmyślania przerwał Nyberg. Rzeczywistość ożyła. Wallander przykucnął, Nyberg poszedł w jego ślady.

– Worek jutowy – stwierdził Nyberg. – One są bardzo mocne. Ale ten ma dziurę. Pewnie jest stary.

Wallander chciałby przyznać mu rację; niestety, Nyberg się pomylił. Tę dziurę zrobił zawiązany w worku mężczyzna. Napierał na włókna, aż się rozerwały. Oznaczało to tylko jedno. Mężczyzna żył, kiedy go wrzucano do jeziora.

Wallander zaczerpnął powietrza. Mdlilo go i czuł zawroty głowy.

Nyberg spojrzał na niego badawczo.

Wallander raz po raz nabierał tchu. W końcu powiedział, o czym myślał.

– To on zrobił tę dziurę. Żył, kiedy go wrzucano do wody.
– Egzekucja? – spytał Nyberg. – Porachunki między różnymi grupami przestępczymi?

– Oby. Ale nie sądzę.

– Ten sam człowiek?

– Na to wygląda.

Wallander podniósł się z pewnym wysiłkiem. Zesztywniały mu kolana. Wrócił na brzeg. Nyberg został na pomoście. Przyjechali technicy. Wallander podszedł do Ann-Britt Höglund. Stała w towarzystwie Lisy Holgersson. Po chwili zebrali się wszyscy. Mężczyzna, który zauważył worek, siedział na kamieniu z głową w dłoniach.

– To może być ten sam sprawca – zaczął Wallander. – Tym razem utopił swoją ofiarę.

Grupę przeszył dreszcz niesmaku.

– Musimy powstrzymać tego szaleńca – powiedziała Lisa Holgersson. – Co się właściwie dzieje w tym kraju?

– Rów z palami – podjął Wallander. – Drzewo i uduszenie. A teraz topielec.

– W dalszym ciągu myślisz, że mogła to zrobić kobieta? – dość agresywnie spytał Hansson.

Wallander też sobie zadał to pytanie. Co on naprawdę myśli? W kilka sekund wszystkie wydarzenia przeleciały mu przez głowę.

– Nie – odparł po chwili – nie myślę. Nie chcę tak myśleć. Ale to mogła zrobić kobieta. Albo kobieta jest w to jakoś zamieszana. – Popatrzył na Hanssona. – Pytanie jest źle postawione. Nie chodzi o to, co ja myślę, tylko o to, co się dzieje w tym kraju.

Wallander poszedł na brzeg jeziora. Do pomostu podpływał samotny łąbędź. Bezgłośnie sunął po ciemnej wodzie.

Wallander długo mu się przyglądał, po czym zaciągnął suwak kurtki i wrócił do Nyberga, który już przystąpił do pracy.

Skania

17 października – 3 listopada 1994

25

Nyberg ostrożnie rozciął worek. Wallander wszedł na pomost równocześnie z lekarzem, który właśnie przyjechał. Chciał zobaczyć twarz nieboszczyka.

Nie znał go. Nigdy wcześniej go nie widział. Zresztą niczego innego się nie spodziewał. Mężczyzna miał od czterdziestu do pięćdziesięciu lat.

Wallander patrzył na niego przez niespełna minutę. Dłużej nie był w stanie. Bez przerwy kręciło mu się w głowie.

Nyberg przeszukiwał kieszenie denata.

– Ma na sobie drogi garnitur – stwierdził. – Buty też nie są tanie.

Kieszenie były puste. Ktoś zadbał o to, żeby odsunąć w czasie ustalenie tożsamości. Sprawca musiał sobie zdawać sprawę, że ciało dosyć szybko zostanie znalezione. Nie zamierzał go ukrywać przed światem.

Martwy mężczyzna leżał obok worka, pod którym rozesłano plandekę. Nyberg przywołał Wallandera.

– To jest bardzo dobrze wyliczone – powiedział. – Można by sądzić, że morderca korzystał z wagi. Albo zna się na balaście.

– Czyli?

Nyberg pokazał na oblamowania wewnątrz worka.

– Wszystko zostało starannie przygotowane. Tu są wszyte ciężarki, które miały zapewnić dwie rzeczy. Po pierwsze, małą poduszkę powietrzną, a po drugie, niezatapialność. Wyliczenia są tak skrupulatne, że ktoś, kto ten worek spreprował, musiał wiedzieć, ile waży przyszła ofiara. Z dokładnością do czterech, pięciu kilogramów.

Wallander zmusił się do wysiłku umysłowego, choć na samą myśl o tym, jak zginął ten człowiek, zbierało mu się na wymioty.

– Ta mała poduszka powietrzna dawała gwarancję, że on utonie?

– Nie jestem lekarzem – odparł Nyberg. – W każdym razie, kiedy go wrzucali do wody, żył. To morderstwo.

Lekarz badający zwłoki usłyszał, o czym mówią, podniósł się z klęczek i podszedł do nich. Pomost lekko się zakołysał.

– Oczywiście, za wcześnie na jakiegokolwiek wnioski – powiedział – możemy przyjąć, że utonął.

– Nie utonął – zaprzeczył Wallander. – Został utopiony.

– O tym, czy to wypadek, czy morderstwo, zdecyduje policja. Ja mogę tylko stwierdzić zmiany fizjologiczne.

– A obrażenia zewnętrzne? Siniaki? Rany?

– Żeby na to odpowiedzieć, trzeba go rozebrać. W każdym razie na odsłoniętych częściach ciała niczego takiego nie zauważyłem. Wszystko wykaże ekspertyza sądowo-lekarska.

Wallander skinął głową.

– Daj mi znać, jak tylko znajdziesz ślady przemocy.

Lekarz wrócił do pracy. Wallander spotkał go kilka razy wcześniej, ale nie mógł sobie przypomnieć nazwiska.

Zszedł z pomostu i zebrał najbliższych współpracowników. Hansson zakończył rozmowę z mężczyzną, który zauważył worek w wodzie.

– Nie znamy jego tożsamości – powiedział Wallander. – Nie wiemy, kto to jest. Musimy to jak najszybciej ustalić. Bez tego nie ruszymy z miejsca. Zaczynajcie od przejrzenia rejestru osób poszukiwanych.

– Bardzo możliwe, że jeszcze nikt nie zgłosił jego zaginięcia – włączył się Hansson. – Nils Goransson, człowiek, który znalazł zwłoki, był nad jeziorem wczoraj po południu. Pracuje na trzy zmiany w zakładzie mechanicznym w Svedali i często tu przyjeżdża, bo ma kłopoty ze snem. Kiedy wczoraj wyszedł na pomost, worka nie było. A to znaczy, że ktoś go wrzucił w nocy albo wieczorem.

– Albo dzisiaj rano – dodał Wallander. – O której Goransson tu był?

Hansson przeglądał notatki.

– Kwadrans po ósmej. Skończył pracę o siódmej. W drodze nad jezioro zatrzymał się, żeby zjeść śniadanie.

– No to już wiemy, że nie upłynęło dużo czasu. To może nam pomóc. Najtrudniej będzie go zidentyfikować.

– Mógł być wrzucony w innym miejscu – zauważył Nyberg.

Wallander pokręcił głową.

– Nie leżał długo w wodzie. Nie ma tu jakichś silnych prądów.

Martinsson nerwowo kopał piasek, jakby marzył.

– Czy to na pewno ten sam sprawca? – spytał. – Wydaje mi się, że to wygląda inaczej.

Wallander nie miał cienia wątpliwości.

– Na pewno. Proponuję, żebyśmy przyjęli takie założenie. Oczywiście w razie potrzeby rozglądając się na boki.

Potem ich odprawił. Nie mieli już nic do roboty nad jeziorem.

Odjechali. Wallander patrzył na wodę. Łabędź odpłynął. Na pomoście pracowali technicy. Widział karetkę, radiowozy, blokady. Miał uczucie nierzeczywistości. Część przyrody opasana plastikowymi taśmami, wydzielającymi miejsce zbrodni. Gdziekolwiek się pojawiał, zastawał martwych ludzi. Mógł szukać spojrzeniem łabędzia, ale na pierwszym planie był nieboszczyk wyjęty z worka.

Pomyślał, że w gruncie rzeczy płacą mu za coś, czego nie można znieść. W dodatku marnie płacą. Plastikowe taśmy wiły się przez jego życie jak węże.

Podszedł do Nyberga, który akurat rozprostowywał plecy.

– Znaleźliśmy niedopałek – powiedział. – To wszystko. Przynajmniej na pomoście. Pobieżnie obejrzelśmy piasek, żeby sprawdzić, czy nie ma śladów wleczenia worka. Nie ma. Człowiek, który go niósł, jest silny. Chyba że przyszedł z ofiarą na pomost i potem wepchnął ją do worka.

Wallander pokręcił głową.

– Przyjmijmy, że niósł worek. Razem z zawartością.

– Myślisz, że powinniśmy przeczesać dno drapaczem?

Wallander miał wątpliwości.

– Chyba nie. Przywieziono go tu samochodem. Był nieprzytomny. Potem ktoś go wrzucił w worku do jeziora i odjechał.

– No to sobie na razie darujemy.

– Powiedz, co widzisz.

Nyberg wykrzywił się.

– To może być ten sam sprawca. Przemoc, okrucieństwo. Mimo że stosuje różne warianty.

– Myślisz, że mogłaby to zrobić kobieta?

– Myślę to, co ty. Nie chcę w to wierzyć. Ale czy kobieta byłaby w stanie unieść osiemdziesiąt kilo? Jakie kobiety to potrafią?

– Nie znam żadnej. Ale na pewno są takie.

Nyberg wrócił do pracy. Wallander schodził z pomostu, kiedy nagle

zauważył samotnego łabędzia. Żałował, że nie ma przy sobie kawałka chleba. Łabędź skubał coś przy brzegu. Wallander podszedł bliżej. Łabędź zasyczał i odpłynął.

Poprosił kolegę z radiowozu, żeby go podrzucił do Ystadu.

Stało się to, czego się najbardziej obawiał. Sprawca działał dalej. Nie znają jego planów, nie wiedzą, czy to dopiero początek, czy koniec tego, co sobie postanowił. Nie mają też pojęcia, czy morduje z premedytacją, czy jest szalony.

To nie może być kobieta, pomyślał Wallander. Przeczyłoby to rozsądkowi. Kobiety zabijają bardzo rzadko. Jeśli już, ich morderstwa nie są ani dobrze zaplanowane, ani tak okrutne.

To na pewno mężczyzna, jeden albo kilku. Nie rozwiążemy tego, dopóki nie znajdziemy powiązań między ofiarami. Teraz są trzy. Teoretycznie mamy większe możliwości. Ale nic nie wyjdzie na jaw samo z siebie.

Oparł policzek o szybę. Brunatny krajobraz z szarym odcieniem. Wciąż zielona trawa. Traktor na polu.

Holger Eriksson wisiał na palach, Gösta Runfeldt był przywiązany do drzewa i uduszony, a tego mężczyznę wrzucono do Krageholmssjön, żeby utonął.

Motyw sam się nasuwał. Zemsta. W niesamowicie przesadzonej postaci. Za co mści się sprawca? U podstaw musiało być coś wyjątkowo odrażającego, skoro ofiary miały do samego końca pełną świadomość tego, co się z nimi dzieje.

Przypadek nie wchodzi w grę. Wszystko jest starannie obmyślane. Ofiary wybrane. Zatrzymał się przy tej myśli. Sprawca wybiera. Wybiera spośród kogo?

Kiedy przyjechał do komendy, czuł potrzebę kontynuowania tych rozważań, zanim spotka się z kolegami. Zdjął słuchawkę z widełek, odsunął na bok karteluszki z zapisanymi numerami telefonów i położył nogi na stercie okólników Głównego Zarządu Policji.

Największy problem stanowiła kobieta. Czy kobieta mogła być zamieszana w te morderstwa? Próbował sobie przypomnieć te sytuacje, w których miał do czynienia z przestępczyniami. Nie było ich dużo. Chyba pamiętał wszystkie. Mniej więcej piętnaście lat temu złapał kobietę w średnim wieku, która została później skazana za zabójstwo. Zabiła swojego brata, który od dzieciństwa ją prześladował i napastował.

W końcu nie wytrzymała i strzeliła do niego z jego broni. Chciała go tylko postraszyć. Ale była kiepskim strzelcem, pocisk trafił w klatkę piersiową i brat zmarł na miejscu. W pozostałych wypadkach kobiety działały impulsywnie i w obronie własnej. Dotyczyło to ich mężów albo mężczyzn, których bezskutecznie usiłowały odprawić. Często miał w tym swój udział alkohol.

W swojej policyjnej karierze nie spotkał kobiety, która zaplanowałaby zbrodnię. W każdym razie nie tak skrupulatnie.

Wstał i podszedł do okna.

Dlaczego nie mógł się wyzbyć myśli, że tym razem jest w to zamieszana kobieta? Nie potrafił na to odpowiedzieć. Nie wiedział, czy chodzi mu wyłącznie o kobietę, czy kobietę w towarzystwie mężczyzny. Nic nie przemawiało ani za pierwszą, ani za drugą ewentualnością. Wyrwało go z myśli pukanie do drzwi.

– Lista zaraz będzie gotowa – powiedział Martinsson.

Wallander nic nie rozumiał. Był myślami gdzie indziej.

– Jaka lista?

– Poszukiwanych – odparł zdziwiony Martinsson.

Wallander skinął głową.

– No to do roboty – powiedział, wypychając Martinssona na korytarz.

Kiedy zamknęli się w sali zebrań, uczucie bezsilności zniknęło. Wbrew swoim zwyczajom nie usiadł. Jakby nawet na to nie miał czasu.

– No i? – spytał.

– W Ystadzie nikt nie zgłaszał zaginięć w ostatnich tygodniach – poinformował Svedberg. – Ci, których poszukujemy już od jakiegoś czasu, nas nie interesują. To dwie nastolatki i chłopak, którzy uciekli z ośrodka dla uchodźców. Chłopak przypuszczalnie jest w drodze do Sudanu.

Wallander pomyślał o Perze Åkesonie.

– No dobrze, a inne miejscowości?

– Dwie osoby z Malmö – powiedziała Ann-Britt Höglund. – Ale to też odpada. W jednym wypadku wiek mógłby się zgadzać, ale poszukiwany pochodzi z południowych Włoch. Nasz denat nie wyglądał na Włocha.

Przejrzeni zgłoszenia z okolic Ystadu. Wallander uznał, że jeśli zajdzie taka potrzeba, przenicują całą Szwecję i pozostałe kraje skandynawskie. Mogli jedynie mieć nadzieję, że mężczyzna mieszkał niedaleko Ystadu.

– W Lundzie wczoraj późnym wieczorem żona zgłosiła zaginięcie męża – powiedział Hansson. – Nie wrócił ze spaceru. Wiek by się zga-

dzał. Pracuje na tamtejszym uniwersytecie.

Wallander z wahaniem pokręcił głową.

– Wątpię. Ale, oczywiście, musimy to sprawdzić.

– Jak tylko zdobędą jego zdjęcie, prześlą je faksem.

Wallander usiadł. W tym momencie do sali wszedł Per Åkeson. Wallander nie był zachwycony. Niełatwo dokonywać podsumowań, z których nic nie wynika. Dochodzenie ugrzęzło na amen. I ani drgnęło.

A teraz mieli jeszcze jedną ofiarę.

Wallanderowi było przykro. Jakby to z jego winy nie wpadli na żaden trop. Nikt się nie obijał, harowali z zawziętą determinacją. Policjanci zebrani w tej sali byli zdolni i oddani swojej pracy.

Wallander stłumił irytację spowodowaną obecnością Pera Åkesona.

– Przychodzisz w samą porę – powiedział. – Właśnie chciałem podsumować naszą aktualną pozycję.

– Czy w ogóle jest jakaś pozycja? – spytał Per Åkeson.

Wallander wiedział, że w tych słowach nie było złośliwości ani krytyki. Ci, którzy nie znali Pera Åkesona, mogli opacznie odczytać jego obcesowość. Ale Wallander pracował z nim od wielu lat i rozumiał, że Åkeson daje w ten sposób wyraz swojemu zaniepokojeniu i z pewnością zrobi wszystko, żeby im pomóc. Hamrén spojrzał na Pera Åkesona z niechęcią. Wallander był ciekaw, jak się wysławiają sztokholmscy prokuratorzy, z którymi miał do czynienia.

– Zawsze jest jakaś pozycja – odparł Wallander. – Teraz też. Tyle że bardzo niejasna. Część śladów jest już nieaktualna. Myślę, że musimy wrócić do punktu wyjścia. Nie możemy jeszcze powiedzieć, co oznacza to kolejne morderstwo. Oczywiście jest na to za wcześnie.

– Czy to ten sam sprawca? – spytał Per Åkeson.

– Tak sądzę.

– Dlaczego?

– Sposób działania. Brutalność. Okrucieństwo. Worek to, naturalnie, nie to samo co zaostrzone pale bambusowe, ale można by powiedzieć, że jest to wariacja na jeden temat.

– A co z podejrzeniami, że mógł się za tym kryć pewien najemnik?

– Ustaliliśmy, że Harald Berggren nie żyje od siedmiu lat. Per Åkeson nie miał więcej pytań.

Drzwi ostrożnie się uchylily. Asystentka przyniosła przefaksowane zdjęcie.

– Przyszło z Lundu – powiedziała i zamknęła drzwi.

Wszyscy skupili się wokół Martinssona, który odebrał faks.

Wallander wstrzymał oddech. Nie było wątpliwości. Tego mężczyznę wyłowili z Krageholmssjon.

– Dobrze – powiedział cicho Wallander. – Znacznie zmniejszyliśmy przewagę mordercy.

Usiedli.

– Kto to jest? – spytał Wallander. Hansson miał porządek w papierach.

– Eugen Blomberg, lat pięćdziesiąt jeden, pracownik naukowy na uniwersytecie w Lundzie, prowadzi badania mające jakiś związek z mlekiem.

– Z mlekiem? – zdziwił się Wallander.

– Tak tu jest napisane. „Wpływ alergii na mleko na choroby jelita”.

– Kto zgłosił jego zaginięcie?

– Żona. Kristina Blomberg. Mieszka na Siriusgatan. Wallander czuł, że muszą optymalnie wykorzystać czas, żeby jeszcze trochę zmniejszyć niewidzialną przewagę przestępcy.

– Jedziemy do Lundu – zdecydował i wstał. – Zawiadom kolegów, że go zidentyfikowaliśmy. Niech się skontaktują z jego żoną, żebym mógł się z nią spotkać. Pracuje tam u nich w kryminalnej Kalle Birch. Znamy się. Pogadaj z nim.

– Chcesz z nią rozmawiać przed ostatecznym potwierdzeniem jego tożsamości?

– Ktoś inny może go zidentyfikować. Ktoś z uniwersytetu. Jakiś badacz mleka. Poza tym trzeba jeszcze raz przejrzeć wszystkie materiały o Erikssonie i Runfeldcie. Może gdzieś się pojawia Eugen Blomberg. Dużo mamy dzisiaj do zrobienia. Wallander zwrócił się do Pera Åkesona:

– Można chyba powiedzieć, że nasza pozycja się zmieniła.

Per Åkeson w milczeniu skinął głową.

Wallander poszedł po kurtkę i kluczyki do radiowozu. Wyjechał z Ystadu kwadrans po drugiej. Zastanawiał się, czy nie postawić koguta na dachu. Ale dał temu spokój. To niczego nie przyspieszy.

W Lundzie był o wpół do czwartej. Przy rogatek czekał na niego radiowóz i pojechali na Siriusgatan, leżącej w willowej dzielnicy miasta na wschód od centrum. Radiowóz zatrzymał się u wylotu ulicy. Z zaparkowanego nieopodal samochodu wysiadł Kalle Birch. Poznali się kilka lat temu w Tylosandzie pod Halmstadem na konferencji zorganizowanej dla

przedstawicieli południowego okręgu. Chodziło o poprawę współpracy operacyjnej w ich regionie. Wallander niechętnie wziął w tym udział. Zrobił to na wyraźny rozkaz ówczesnego szefa, Bjorka. Na lunchu przypadkiem usiadł obok Bircha. Okazało się, że mają wspólne zainteresowania operowe. Od tamtej pory czasami się kontaktowali. Wallander słyszał z różnych stron, że Birch jest zdolnym policjantem, ale niekiedy miewa depresje. Teraz wydawał się w dobrym humorze. Podali sobie ręce.

– Właśnie zostałem wprowadzony w sprawę. Kolega Blomberga już jedzie, żeby zidentyfikować zwłoki. Przekażą nam wiadomość telefonicznie.

– A wdowa?

– Nic nie wie. Uznaliśmy, że to byłoby przedwcześnie.

– Tak, ale utrudni jej przesłuchanie. Będzie w szoku.

– Nic na to nie poradzimy. – Birch pokazał na kafejkę po przeciwnej stronie ulicy. – Możemy tam poczekać. Poza tym jestem głodny.

Wallander jeszcze nie jadł lunchu. Usiedli w kafejce, zamówili kanapki i kawę. Wallander streścił Birchowi sytuację.

– To mi przypomina wydarzenia z lata – skomentował Birch.

– Podobieństwo jest tylko takie, że w obu wypadkach morderca zabił więcej niż jedną osobę.

– Co to za różnica między skalpowaniem a topieniem ludzi żywcem?

– Nie potrafię tego sformułować – powiedział Wallander z wahaniem – ale bardzo duża.

Birch zostawił tę kwestię.

– Chyba nigdy coś takiego nam się nie śniło, kiedy zaczynaliśmy pracę w policji.

– Nie bardzo pamiętam, co sobie właściwie wyobrażałem – przyznał Wallander.

– Mieliśmy tu takiego starszego komisarza. Od dawna nie żyje. Nazywał się Karl-Oscar Fredrick Wilhelm Sunesson. To niemal legendarna postać. Przynajmniej w Lundzie. On wszystko przewidział. Ostrzegał nas, swoich młodszych kolegów, że przemoc będzie coraz brutalniejsza. I wyjaśniał, dlaczego. Mówił, że szwedzki dobrobyt to starannie zamaskowane trzęsawisko, w którym proces gnicia jest nieunikniony. Dokonywał analiz ekonomicznych i tłumaczył nam związki między różnymi typami przestępczości. Poza tym, co bardzo rzadko się zdarza, nigdy nie wyrażał się źle o ludziach. Owszem, krytykował polityków, miażdżył ar-

gumentami projekty zmian w policji, ale nie wątpił, że kryły się za tym dobre, choć niejasne intencje. Mawiał, że dobre chęci, którym nie towarzyszy rozsądek, mogą spowodować poważniejsze katastrofy niż działania wynikające ze złej woli lub głupoty. Wtedy niewiele z tego rozumiałem. Ale dzisiaj rozumiem.

Wallander pomyślał o Rydbergu. Równie dobrze Birch mógł mówić o nim.

– Ale to nie daje odpowiedzi na pytanie, o czym myśleliśmy, wybierając zawód policjanta.

Wallander nie poznał opinii Bircha, bo zadzwonił telefon. Birch słuchał w milczeniu.

– Został zidentyfikowany – powiedział po zakończeniu rozmowy. – Nie ma wątpliwości, że to Eugen Blomberg.

– Chodźmy.

– Jeśli chcesz, możesz poczekać, dopóki nie powiadomię żony. To bywa przykre.

– Nie, wolę pójść z tobą, niż siedzieć tu bezczynnie. Przy okazji wyrobię sobie jakieś zdanie o jej stosunku do męża.

Kobieta, która otworzyła drzwi, była niezwykle opanowana i od razu zrozumiała przyczynę ich wizyty. Wallander stanął na uboczu, kiedy Birch informował ją o śmierci męża. Usiadła na brzegu krzesła, jakby się chciała zaprzeć stopami, i w milczeniu pokiwała głową. Przypuszczalnie miała tyle lat co mąż, ale wyglądała poważniej, jakby się przedwcześnie postarzała. Była bardzo szczupła, miała mocno napiętą skórę na policzkach. Wallander patrzył na nią ukradkiem. Nie załamała się. Przynajmniej na razie.

Birch skinął na Wallandera. Powiedział tylko tyle, że znaleźli zwłoki jej męża w Krageholmssjon. Resztę zostawił Wallanderowi.

– Krageholmssjon znajduje się w ystadzkim rejonie policyjnym – dodał. – Dlatego jest ze mną kolega z Ystadu. Nazywa się Kurt Wallander.

Kristina Blomberg podniosła głowę. Kogoś Wallanderowi przypominała. Ale nie pamiętał, kogo.

– Znam pana twarz – powiedziała. – Chyba ze zdjęć w gazetach.

– Możliwe – odparł Wallander i usiadł na krześle naprzeciwko niej.

Birch dyskretnie się wycofał, zajmując dotychczasową pozycję Wallandera.

Cichy, gustownie umeblowany dom. Wallander nie wiedział, czy w rodzinie są dzieci. I takie było jego pierwsze pytanie.

– Nie – odparła. – Nie mamy dzieci.

– A z poprzedniego małżeństwa?

Zauważył jej wahanie. Odpowiedziała po ledwie dostrzegalnej zwłóce.

– Nie. W każdym razie ja nie mam.

Wallander wymienił spojrzenia z Birchem. On też zwrócił uwagę na jej niepewność, mimo że odpowiedź na to pytanie nie powinna nastęrczać żadnych trudności.

Wallander powoli posuwał się naprzód.

– Kiedy ostatni raz widziała pani męża?

– Wczoraj wieczorem. Jak zwykle wyszedł na spacer.

– Czy wie pani, gdzie chodził?

Pokręciła głową.

– Przeważnie wracał po godzinie. Nie wiem, gdzie chodził.

– Czy wczoraj wieczorem wszystko było po staremu?

– Tak.

Wallander znów wyczuł cień niepewności.

– A więc nie wrócił. I co pani wtedy zrobiła?

– O drugiej w nocy zawiadomiłam policję.

– Ale nie mógł na przykład pójść do kogoś z wizytą?

– Miał niewielu przyjaciół. Zanim skontaktowałam się z policją, zadzwoniłam do nich. Nic nie wiedzieli.

Spojrzała na niego. Nadal była opanowana. Wallander uznał, że nie może dłużej czekać.

– Pani męża znaleziono w Krageholmssjon. Ustaliliśmy, że został zamordowany. Musiałem pani to powiedzieć. Ubolewam nad tym, co się stało.

Wallander patrzył na jej twarz. Nie jest zaskoczona, pomyślał. Ani jego śmiercią, ani tym, że został zamordowany.

– Naturalnie zależy nam na schwytaniu sprawcy lub sprawców. Czy nie domyśla się pani, kto to mógł zrobić? Czy mąż miał wrogów?

– Nie wiem. Bardzo słabo go znałam.

Zaniepokoiła go ta odpowiedź. Zastanawiał się.

– Nie wiem, jak mam to rozumieć – przyznał po chwili.

– Czy to takie trudne? Bardzo słabo znałam męża. Kiedyś wydawało mi się, że go znam. Ale to było dawno.

– Co się stało? Co wpłynęło na tę zmianę?

Pokręciła głową. Wallander wyczuwał jakąś nutkę goryczy. Czekał.

– Nic się nie stało – stwierdziła. – Oddaliliśmy się od siebie. Mieszkamy pod jednym dachem, ale każde w swoim pokoju. On ma swoje życie, a ja swoje. – Poprawiła się. – On miał swoje życie. Ja mam swoje.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, mąż pracował na uniwersytecie.

– Tak.

– I zajmował się alergiami. Zgadza się?

– Tak.

– Pani też tam pracuje?

– Nie, jestem nauczycielką.

Wallander skinął głową.

– Nie wie pani, czy mąż miał wrogów?

– Nie wiem.

– I miał niewielu przyjaciół, czy tak?

– Tak.

– Nie domyśla się pani, kto chciałby pozabawić go życia? I dlaczego?

Miała napiętą twarz. Wydawało mu się, że go przejrzała na wylot.

– Prócz siebie nikogo takiego nie widzę – odparła. – Ale ja go nie zabiłam.

Wallander przyglądał się jej w milczeniu.

Birch podszedł do nich.

– Dlaczego mogłaby go pani zabić? – spytał.

Wstała z krzesła i ściągnęła z siebie bluzkę tak gwałtownie, że się podarła. Wallander i Birch nie mieli pojęcia, o co chodzi. Potem wyciągnęła ramiona. Były pokryte bliznami.

– Za to – powiedziała – i za wiele innych rzeczy, o których nie chcę mówić.

Wyszła z pokoju z podartą bluzką w rękę. Wallander i Birch spojrzeli na siebie.

– Maltretował ją – odezwał się Birch. – Myślisz, że ona to zrobiła?

– Nie. To nie ona.

Czekali w milczeniu. Po kilku minutach wróciła. Miała na sobie koszulę, którą wypuściła na spódnicę.

– Nie opłakuję go – przyznała. – Nie wiem, kto to zrobił. I chyba nie chcę wiedzieć. Ale rozumiem, że musicie go schwytać.

– Tak – powiedział Wallander. – Musimy. I potrzebujemy wszelkiej

możliwej pomocy.

Popatrzyła na niego. Na jej twarzy malowała się bezradność.

– Nic o nim nie wiedziałam. Nie mogę wam pomóc.

Wallander był przekonany, że mówi prawdę. Nie mogła im pomóc. Tak jej się przynajmniej wydawało. Bo kiedy zobaczył jej ramiona, wyzbył się resztek wątpliwości.

Wiedział, że szukają kobiety.

26

Kiedy wyszli z domu przy Siriusgatan, zaczęło padać. Zatrzymali się koło samochodu Wallandera. Wallander był niespokojny, spieszyło mu się.

– Po raz pierwszy spotkałem świeżo upieczoną wdowę, która nie przejęła się śmiercią męża – powiedział z odrazą Birch.

– Powinniśmy to sobie zakarbować w pamięci.

Nie rozwijał tego wątku. Skupił się na tym, co trzeba zrobić w ciągu najbliższych godzin. Nie opuszczało go uczucie, że mają mało czasu.

– Musimy przejrzeć jego rzeczy w domu i na uniwersytecie – powiedział. – To, rzecz jasna, wasze zadanie, ale chciałbym, żeby był przy tym ktoś od nas. Nie wiemy, czego szukamy. Może jednak wspólnie uda się szybciej do czegoś dojść.

Birch skinął głową.

– Ty nie zostaniesz?

– Nie. Ściągnę tu Martinssona i Svedberga.

Wallander wziął komórkę z samochodu i wybrał numer ystadzkiej policji. Pokrótce wyjaśnił Martinssonowi, co i jak, i uzyskał zapewnienie, że natychmiast ruszają w drogę. Powiedział, żeby się skontaktowali z Birchem z komendy w Lundzie. Musiał przeliterować nazwisko. Birch uśmiechnął się.

– Powiniennem zostać – przyznał Wallander – ale nie mogę. Muszę przejrzeć materiał dochodzeniowy. Wydaje mi się, że znajdę w nim wyjaśnienie zabójstwa Blomberga. Wyjaśnienie wszystkich trzech zabójstw. Że coś przeoczyliśmy, jakbyśmy błędzili w podziemnych grotach.

– Byłoby dobrze, gdyby udało nam się nie dopuścić do kolejnych morderstw – zauważył Birch. – Wystarczy nam tych, które mamy.

Pożegnali się i Wallander pojechał do Ystadu. Co jakiś czas przetaczały się nawalnice. Jakiś samolot schodził do lądowania na Sturupie. Wallander po raz nie wiadomo który przebiegał myślami materiałem dochodzeniowym. Zastanawiał się, co zrobi, kiedy będzie na miejscu.

Za kwadrans szósta zaparkował przed komendą. W recepcji spytał Ebbę, czy jest Ann-Britt Höglund.

– Ona i Hansson wrócili godzinę temu.

Wallander zastał Ann-Britt Höglund w jej pokoju. Rozmawiała przez telefon. Dał jej znać, żeby się nie spieszyła.

Czekał na korytarzu. Wszedł, jak tylko usłyszał, że odkłada słuchawkę.

– Chodźmy do mnie. Musimy wszystko gruntownie przeanalizować.

– Zabrać coś?

Pokazała na papiery rozłożone na biurku.

– Chyba nie. Gdybyśmy czegoś potrzebowali, zawsze możesz przynieść.

Wallander zadzwonił do centrali i powiedział, żeby nikogo nie łączyć. Nie określił czasu. Muszą się uporać z tym, co sobie zaplanował.

– Prosiłem cię, żebyś wszystko przejrzała pod kątem jakichś kobiecych śladów.

– Zrobiłam to.

– Zaczniemy od początku. Jestem pewien, że musi gdzieś być jakiś moment przełomowy. Po prostu jeszcze go nie zauważyliśmy. Poruszyliśmy się w przód i w tył i patrzyliśmy w innym kierunku. Teraz obstaję przy tym, że jest w to zamieszana kobieta.

– Dlaczego tak sądzisz?

Opowiedział o rozmowie z Kristiną Blomberg. O tym, jak zdarła z siebie bluzkę i pokazała blizny od pobicia.

– Mówisz o kobiecie maltretowanej, nie o morderczynie.

– Może to jedno i to samo – powiedział Wallander. – Za każdym razem muszę się upewniać, czy się nie mylę.

– Od czego zaczniemy?

– Od początku. Jak w bajce. Najpierw ktoś zastawił na Holgera Eriksa pułapkę, wkopując pale bambusowe. Wyobraź sobie, że to kobieta. Co widzisz?

– Że nie jest to niemożliwe. Nie wymagało to szczególnego wysiłku.

- Dlaczego wybrała akurat ten sposób działania?
- Żeby stworzyć wrażenie, że sprawcą jest mężczyzna.

Wallander zastanawiał się nad jej słowami.

- A więc chciała nas naprowadzić na fałszywy trop?

– Niekoniecznie. Może chciała zademonstrować odpłatę za przemoc. Coś w rodzaju bumerangu. Albo jedno i drugie.

– Motyw – powiedział po namyśle. – Kto chciał zabić Holgera Erikssona?

– Mniej tutaj możliwości niż w wypadku Gösty Runfeldta. O Holgerze Erikssonie ciągle niewiele wiemy. Prawie tyle, co nic. To bardzo dziwne. Jakby nie było żadnego wglądu w jego życie. Wstęp surowo wzbroniony.

Nie wątpił, że powiedziała coś ważnego.

- Co masz na myśli?

– Że o człowieku, który miał osiemdziesiąt lat i całe życie spędził w Skanii, powinniśmy wiedzieć coś więcej. W dodatku był osobą dobrze znaną. Tymczasem wiemy zaskakująco mało.

- Dlaczego?

– Nie wiem.

- Czy ludzie boją się o nim mówić?

– Nie.

- No to o co chodzi?

– Szukaliśmy najemnika. Okazało się, że nie żyje. Dowiedzieliśmy się, że najemnicy często występują pod przybranymi nazwiskami. Pomyślałam, że mogło tak być w wypadku Holgera Erikssona.

- Jak? Że był najemnikiem?

– Raczej nie, ale mógł występować pod przybranym nazwiskiem. To by jakoś tłumaczyło naszą znikomą wiedzę o jego życiu prywatnym. Że od czasu do czasu bywał kim innym.

Wallander przypomniał sobie, że pierwsze tomiki poetyckie Holger Eriksson wydał pod pseudonimem. Dopiero późniejsze podpisywał własnym nazwiskiem.

– Trudno mi w to uwierzyć – powiedział. – Przede wszystkim dlatego, że nie widzę żadnego sensownego powodu. Po co komu przybrane nazwisko?

- Żeby coś ukryć, nie dać się na czymś przyłapać.

Wallander popatrzył na nią.

- Występował pod innym nazwiskiem, bo był homoseksualistą? W cza-

sach kiedy lepiej było to utrzymywać w tajemnicy?

– Można sobie wyobrazić takie wytłumaczenie.

Wallander skinął głową. Wahał się.

– Dar dla kościoła w Jamtlandii – powiedział. – To musi coś znaczyć. Jaki miał powód? I jeszcze ta zaginiona Polka. Pod jednym względem jest wyjątkowa. Zastanawiałaś się nad tym?

Ann-Britt Höglund pokręciła głową.

– To jedyna kobieta – podjął Wallander – jaka pojawia się w materiałach, które zebraliśmy o Holgerze Erikssonie. Dlatego wydaje się kimś szczególnym.

– Przysłali nam z Ostersundu materiały dochodzeniowe w sprawie jej zaginięcia. Ale chyba nikt nie miał czasu do nich zajrzeć. Poza tym to rzecz peryferyjna. Nie dysponujemy żadnymi dowodami, że znała Holgera Erikssona.

Wallander natychmiast podjął decyzję.

– To prawda – powiedział. – Musimy się tym błyskawicznie zająć, żeby sprawdzić, co ich łączyło.

– Kto ma to zrobić?

– Hansson. Najszybciej z nas czyta i od razu wyłapuje istotne rzeczy.

Zapisała to.

– Gösta Runfeldt był brutalny – powiedział Wallander. – To fakt. W tym przypomina Holgera Erikssona. I Eugena Blomberga. Gösta Runfeldt bił żonę. Blomberg też. Dokąd nas to prowadzi?

– Że mamy trzech mężczyzn, którzy dopuszczali się aktów przemocy. I przynajmniej dwóch maltretowało kobiety.

– Nie. Niezupełnie. Wiemy, że dwóch maltretowało kobiety. Ale może to również dotyczyć trzeciego, Holgera Erikssona.

– Krista Haberman?

– Na przykład. Poza tym nie możemy wykluczyć, że Gösta Runfeldt zamordował żonę. Wcześniej przygotował przerebel. Wpadła i utonęła.

Czuli, że coś zaskoczyło. Wallander cofnął się w czasie.

– Dół z palami – powiedział. – Co o nim wiemy?

– Starannie przygotowany. Śmiertelna pułapka.

– Nie tylko. To także sposób gwarantujący powolne umieranie. – Sięgnął po dokument leżący na biurku. – Według lekarza sądowego z Lundu Holger Eriksson wisiał na palach przez kilka godzin, zanim zmarł. – Odłożył kartkę z niesmakiem. – Teraz Gösta Runfeldt. Wychu-

dzony, przywiązany do drzewa i uduszony. O czym to świadczy?

– Ze sprawca go więził. I że zginął inaczej.

Wallander podniósł rękę. Umilkła. Myślał. Przypomniał sobie Stångsjön. Żonę Runfeldta wyciągnęli spod lodu.

– Śmierć pod lodem zawsze wydawała mi się najstraszniejsza ze wszystkiego, co może spotkać człowieka – powiedział. – Widzisz światło i nie możesz się wydostać.

– Uwieszenie pod lodem.

– To właśnie mam na myśli.

– Chodzi ci o to, że ktoś mści się w sposób podobny do tego, jaki stosowały jego ofiary?

– Mniej więcej. W każdym razie to jedna z możliwości.

– Jeśli tak, to Eugen Blomberg zginął podobnie jak żona Runfeldta.

– Wiem. Może do tego dojdziemy.

Mówili o neseserze. Wallander zwrócił uwagę na tips, który Nyberg znalazł w lesie pod Marsvinsholmem.

Przeszli do Blomberga. Wzór się powtórzył.

– Miał się utopić, ale nie za szybko. Żeby zdawał sobie sprawę, co się z nim dzieje.

Wallander odchylił się na krześle i patrzył na nią.

– Powiedz, co widzisz.

– Coraz wyraźniejszy motyw zemsty. Jest czymś w rodzaju prawdopodobnego wspólnego mianownika. Mężczyzn stosujących przemoc wobec kobiet spotyka w odwecie wyrafinowana męska przemoc. Żeby poczuli własne ręce na swoim ciele.

– Dobrze to ujęłaś – zauważył Wallander. – Mów dalej.

– Przy okazji sprawca ukrył swoją płęć. Dużo czasu zajęło nam dopuszczenie do siebie takiej myśli, że kobieta mogłaby mieć z tym cokolwiek wspólnego. A jak o tym pomyśleliśmy, od razu to odrzuciliśmy.

– Co przemawia przeciwko udziałowi kobiety?

– Ciągłe za mało wiemy. Kobiety używają przemocy niemal wyłącznie w obronie własnej albo dzieci. Nie ma w tym nic z planowania. Działają instynktownie. Normalnie kobieta nie wkopuje pali do rowu, nie więzi mężczyzn ani nie wrzuca ich w workach do jeziora.

Wallander spojrział na nią badawczo.

– Powiedziałaś „normalnie”.

– Bo jeśli rzeczywiście robi to kobieta, to musi być chora.

Wallander wstał i podszedł do okna.

– Jest coś jeszcze, co może zburzyć ten dom, który próbujemy zbudować. Że ona nie mści się za siebie, tylko za innych. Żona Gösty Runfeldta nie żyje. Żona Eugena Blomberga na pewno tego nie zrobiła. Holger Eriksson nie ma kobiety. Jeśli motywem jest zemsta i jeśli stoi za tym kobieta, wychodziłoby na to, że mści się za inne kobiety. To brzmi niedorzecznie. Jeśli rzeczywiście tak jest, nigdy dotąd z czymś podobnym się nie spotkałem.

– Może ich być więcej – z wahaniem powiedziała Ann-Britt Höglund.

– Anioły śmierci? Grupa kobiet? Sekta?

– Mało prawdopodobne.

– Owszem, mało. – Usiadł na krześle. – Chciałbym, żebyś jeszcze raz przejrzała wszystkie materiały, próbując znaleźć przekonujące powody, które wykluczałyby udział kobiety.

– Czy nie lepiej poczekać, dopóki nie zbierzemy więcej informacji o Blombergu?

– Może i tak. Ale chyba nie mamy tyle czasu.

– Myślisz, że znowu zaatakuje?

Wallander chciał jej odpowiedzieć najrzetelniej, jak umiał.

– Nie ma tu żadnego początku – odezwał się po dłuższym namyśle. – W każdym razie niczego takiego nie udało nam się dostrzec. Nie ma też żadnych przesłanek sugerujących wyraźny koniec. To się może powtórzyć. A my nawet nie wiemy, w którą stronę patrzeć.

W tym miejscu się zatrzymali. Wallander zaczął się niecierpliwie, że Martinsson i Svedberg nie dają znaku życia. Uświadomił sobie, że sam zablokował swój telefon, i zadzwonił do centrali. Ani Martinsson, ani Svedberg się nie odezwali. Poprosił, żeby ich łączyć. Ale tylko ich.

– Włamanie – powiedziała nagle Ann-Britt Höglund. – Do kwiaciarni i domu Erikssona. Gdzie jest ich miejsce w tej układance?

– I plamy krwi na podłodze. Wydawało mi się, że znalazłem wyjaśnienie, ale teraz nic już nie wiem.

– Zastanawiałam się nad tym.

Wallander zauważył, że to dla niej ważne, i skinął głową, żeby kontynuowała.

– Musimy odróżnić to, co widzimy, od tego, co się naprawdę stało. Holger Eriksson zgłosił włamanie, mimo że nic nie zginęło. Dlaczego je zgłosił?

– Też o tym myślałem. Mógł być wstrząśnięty, że ktoś się do niego włamał.

– Wobec tego to nie pasuje do wzoru.

Wallander nie od razu zrozumiał, o co jej chodzi.

– Ktoś mógł się włamać nie po to, żeby coś ukraść, tylko żeby go za-
niepokoić.

– Pierwsze ostrzeżenie? – spytał. – O tym myślisz?

– Tak.

– A kwiaciarnia?

– Gösta Runfeldt opuszcza mieszkanie. Może ktoś go wywabia. Wcześniej rano wychodzi przed dom i czeka na taksówkę. Potem ginie bez śladu. Może poszedł do kwiaciarni? To przecież niedaleko. Załedwie kilka minut drogi. Neseser zostawił przed drzwiami albo wziął z sobą. Nie był ciężki.

– Po co miałyby iść do kwiaciarni?

– Nie wiem. Może czegoś zapomniał.

– Myślisz, że ktoś go tam napadł?

– To może niezbyt sensowne, ale tak właśnie pomyślałam.

– Nie mniej sensowne niż inne możliwości. – Spojrzał na nią. – Sprawdzili, czy na podłodze mogła być krew Runfeldta?

– Chyba nie. To moja wina.

– Gdybyśmy się zajmowali tym, kto odpowiada za błędy w śledztwach, na nic innego nie starczyłoby nam czasu. Pewnie nie zostały żadne ślady?

– Porozmawiam z Wanią Andersson.

– Zrób to. Dla pewności.

Ann-Britt Höglund wyszła z pokoju. Wallander czuł zmęczenie. Był zadowolony z tej rozmowy, a jednocześnie coraz bardziej niespokojny. Ani na milimetr nie przybliżyli się do punktu centralnego, nadal brakowało im tropów, które naprowadziłyby ich na właściwe tory.

Na korytarzu rozległ się czyjś poirytowany głos. Potem zaczął myśleć o Bajbie. Kiedy usiłował wrócić do śledztwa, nieoczekiwanie wyobraził sobie psa, którego chciałby kupić. Poszedł po kawę. Ktoś go spytał, czy znajdzie czas na wystawienie opinii o stosowności przyjęcia przez towarzystwo lokalne nazwy „Przyjaciele Siekiery”. Nie, nie znajdzie. Usiadł w swoim pokoju. Deszcz ustał. Nad wieżą ciśnień wisiała nieruchomo gruba warstwa chmur.

Zadzwoił telefon. Martinsson. Wallander próbował wychwycić w jego głosie jakieś oznaki niepokoju. Nic takiego nie słyszał.

– Svedberg przed chwilą wrócił z uniwersytetu – poinformował Martinsson. – O Eugenie Blombergu można by nieco złośliwie powiedzieć, że zlewał się ze ścianą. Nie był też żadnym wybitnym naukowcem od alergii na mleko. Miał jakieś luźne kontakty z kliniką dziecięcą w Lundzie. Od lat nie miał żadnych dokonań, prowadził badania na dość elementarnym poziomie. Tak przynajmniej twierdzi Svedberg. Ale co on może wiedzieć o alergii na mleko?

– Do rzeczy – zniecierpliwiał się Wallander.

– Był kompletnie pozbawiony zainteresowań. Ślęczał wyłącznie nad tym swoim mlekiem. I tyle. W ogóle tego nie rozumiem. Aha, z jednym wyjątkiem.

Wallander czekał.

– Zdaje się, że miał kogoś na boku. Znalazłem kilka listów. Podpisane inicjałami K.A. Ciekawe jest to, że spodziewała się dziecka.

– Skąd wiesz?

– Z listów. Z ostatniego listu wynika, że była w ostatniej fazie ciąży.

– Jaką ma datę?

– Nie ma daty. Ale wymienia tytuł filmu, który oglądała w telewizji i który jej się podobał. Jeśli się nie mylę, był pokazywany jakiś miesiąc temu. Możemy to naturalnie sprawdzić.

– Gdzie mieszka?

– Nie wiadomo.

– Nawet nie wiadomo, czy jest z Lundu?

– Nie. Ale chyba pochodzi ze Skanii. Sporo wyrażeń na to wskazuje.

– Rozmawiałeś z wdową?

– Właśnie chciałem cię spytać, czy wypada. Może powinienem poczekać.

– Porozmawiaj. Nie możemy czekać. Poza tym wydaje mi się, że ona coś o tym wie. Jak najszybciej musimy mieć nazwisko i adres tej kobiety. Odezwij się, jak tylko się czegoś dowiesz.

Potem Wallander siedział z ręką na słuchawce. Ogarnęło go przykre uczucie. Słowa Martinssona przypomniały mu o czymś, co miało związek ze Svedbergiem. Ale co to było?

W drzwiach stanął Hansson i powiedział, że jeszcze tego wieczora postara się przejrzeć część materiałów z Ostersundu.

– Jest tego jedenaście kilo – stwierdził. – Żebyś wiedział.

– Ważyłeś?

– Ja nie, tylko Jetpak. Jedenaście kilo i trzydzieści deka. Interesują cię koszty przesyłki?

– Raczej nie.

Hansson odszedł. Wallander czyścił paznokcie i myślał o czarnym labradorze śpiącym przy jego łóżku. Było za dwadzieścia ósma. Martinsson nie dawał znaku życia. Zadzwoił Nyberg z informacją, że jedzie do domu.

Wallander zastanawiał się później, o co mu właściwie chodziło. Że w razie czego można go łapać w domu? Czy chciał mieć święty spokój?

W końcu odezwał się Martinsson.

– Spała – wyjaśnił. – Głupio było mi ją budzić. Dlatego to tyle trwało.

Wallander tego nie skomentował. On nie miałby żadnych obiekcji.

– I co powiedziała? – spytał.

– Miałaś rację. Wiedziała, że mąż ma inne kobiety. Ta nie była pierwsza. Ale inicjały K.A. nic jej nie mówią.

– Może wie, gdzie ona mieszka.

– Nie. Jestem skłonny jej wierzyć.

– Na pewno by coś wiedziała, gdyby wyjeżdżał.

– Spytałem o to. Nigdzie nie wyjeżdżał. Poza tym nie miał samochodu. Nie miał nawet prawa jazdy.

– Czyli jest gdzieś niedaleko. K.A. Musimy ją odszukać. Wszystko inne na razie odłóż. Jest tam Birch?

– Przed chwilą pojechał do komendy.

– A gdzie Svedberg?

– Miał porozmawiać z kimś, kto podobno najlepiej znał Eugena Blomberga.

– Niech się przede wszystkim dowie, kim jest kobieta o inicjałach K.A.

– Nie jestem pewien, czy go złapię. Zapomniał zabrać komórkę.

Wallander zaklął.

– Wdowa musi wiedzieć, kto był najlepszym przyjacielem jej męża. Niech Svedberg to załatwi.

– Zobaczę, co się da zrobić.

Ledwie Wallander odłożył słuchawkę, oświeciło go, o czym zapomniał. Wybrał numer do komendy w Lundzie. Miał szczęście. Niemal od razu połączył się z Birchem.

- Chyba coś mamy – zaczął.
- Martinsson rozmawiał z Ehrenem – powiedział Birch. – Zrozumiałem, że szukamy kobiety, która może mieć inicjały K.A.
- Żadne „może”. Ma takie inicjały. Karin Andersson, Katarina Alstrom, nie wiem, tak czy inaczej, musimy ją znaleźć. Jeden szczegół jest dosyć istotny.
- Chodzi ci o wzmiankę w jednym z listów, że niedługo urodzi? Birch szybko myślał.
- Tak – potwierdził Wallander. – Trzeba się skontaktować z oddziałem położniczym w Lundzie i sprawdzić, czy nie mieli tam kobiety o inicjałach K.A.
- Osobiście się tym zajmę. To zawsze jest trochę drażliwe. Wallander zakończył rozmowę. Spociał się. Nareszcie coś się ruszyło. Wyszedł na korytarz. Nikogo. Zadzwoił telefon. Drgnął. Ann-Britt Höglund. Była w kwiaciarni Runfeldta.
- Nie ma żadnych śladów krwi – powiedziała. – Wania Andersson sama je zmyła.
- A szmata?
- Niestety, wyrzuciła. A śmieci oczywiście już zabrano. Wallander wiedział, że do analizy krwi niewiele trzeba. Tyle, co nic.
- Buty. W jakich była butach? Może na podeszwie jest jakaś plamka.
- Zapytam. Wallander czekał.
- Była w drewniakach – powiedziała Ann-Britt Höglund.
- Przywieź je tutaj. I zadzwoń po Nyberga. Jest w domu. Powinien przynajmniej stwierdzić, czy jest na nich krew.
- W drzwiach pojawił się Hamrén. Z niezapaloną fajką w ręku. Wallander prawie go nie widywał. Ciekawe, czym się zajmowali dwaj policjanci z Malmö.
- Przejąłem badanie ewentualnych powiązań między Erikssonem i Runfeldtem – powiedział Hamrén. – Na razie nic nie znalazłem. Ich drogi chyba nigdy się nie skrzyżowały.
- Ale musimy to doprowadzić do końca. Jestem pewien, że te sprawy gdzieś się spotkają.
- A Blomberg?
- Też znajdzie swoje miejsce w układance. Nie wyobrażam sobie innej

możliwości.

– Od kiedy to praca policji polega na wyobrażeniach? – spytał z uśmiechem Hamrén.

– Naturalnie, masz rację. Ale nie wolno nam tracić nadziei.

– Idę zapalić. To oczyszcza mózg.

Było parę minut po ósmej. Wallander czekał na wiadomość od Svedberga. Przyniósł sobie kawę i kilka herbatników. Zadzwoił telefon. Pomyłka. O wpół do dziewiątej stanął w drzwiach stołówki i tępo patrzył w telewizor. Piękne zdjęcia z Komorów. Zastanawiał się, gdzie leży ten archipelag. Za kwadrans dziewiąta usiadł w swoim pokoju. Zadzwoił Birch. Zaczęli sprawdzać nazwiska kobiet, które urodziły w ostatnich dwóch miesiącach lub urodzą w ciągu dwóch najbliższych miesięcy. Na razie nie znaleźli żadnej o inicjałach K.A.

Po zakończeniu rozmowy Wallander uznał, że może iść do domu. Próbował złapać Martinssona, ale bez powodzenia. Po chwili odezwał się Svedberg. Było dziesięć po dziewiątej.

– Nie ma nikogo o inicjałach K.A... – poinformował. – Tak przynajmniej twierdzi rzekomo najlepszy przyjaciel Blomberga.

– No to już wiemy – skwitował Wallander, nie ukrywając rozczarowania.

– Wracam do domu.

Wallander odłożył słuchawkę i natychmiast ją podniósł. Dzwonił Birch.

– Niestety, nie ma nikogo o inicjałach K.A. To miarodajne informacje.

– Cholera. Zastanawiali się.

– Mogła urodzić gdzie indziej – powiedział Birch.

– Masz rację. Jutro zaczniemy szukać dalej. Nareszcie sobie przypomniał, co takiego kojarzyło mu się ze Svedbergiem. Notatka, która przez pomyłkę zaplątała się między jego papiery. Chodziło o jakieś nocne zajścia na oddziale położniczym w Ystadzie. Napaść? Fałszywa pielęgniarka?

Zadzwoił do Svedberga.

– Gdzie jesteś?

– Dopiero przed Staffanstorpem.

– Przyjeźdź do komendy. Musimy coś sprawdzić.

– Dobrze.

Po czterdziestu dwóch minutach, za pięć dziesiąta, Svedberg pojawił

się w drzwiach pokoju Wallandera.

Wallander już zaczął wątpić w swoje przemyślenia. Zbyt dużo przemawiało za tym, że coś mu się przywidziało.

27

Dopiero kiedy zatrzasnęły się za nim drzwi, dotarło do niego, co się stało. Podszedł do samochodu, usiadł za kierownicą i na głos wymówił swoje imię i nazwisko: Åke Davidsson.

Od tej chwili Åke Davidsson będzie bardzo samotny. Nie spodziewał się, że kobieta, z którą wprawdzie nie dzielił wspólnego domu, ale od lat był związany, pewnego dnia go wyrzuci.

Rozpłakał się. Nic nie rozumiał. Ale ona była zdecydowana. Poprosiła, żeby sobie poszedł i nigdy więcej nie wracał. Poznała innego mężczyznę, który być może z nią zamieszka.

Dochodziła północ. Był poniedziałek 17 października. Wiedział, że nie powinien prowadzić w ciemnościach. Miał zbyt słaby wzrok. Mógł korzystać z samochodu wyłącznie za dnia i w specjalnych okularach. Zmrużył oczy. Ledwie rozróżniał kontury drogi. Ale nie mógł tutaj stać przez całą noc. Musi wracać do Malmö.

Uruchomił silnik i wjechał na jezdnię. Niewiele widział. Może będzie łatwiej na głównej szosie. Teraz musi się wydostać z Lödinge.

Ale się nie wydostał. W ciemnościach wszystkie drogi wyglądały podobnie. O wpół do pierwszej uświadomił sobie, że zabłądził. Znalazł się na jakimś podwórzu i kiedy zaczął zawracać, zauważył w świetle reflektorów jakiś cień. Ktoś do niego szedł. Poczuł ulgę. Będzie mógł zapytać o drogę.

Otworzył drzwi i wysiadł z samochodu.

Svedberg w kwadrans odszukał notatkę. Kiedy stawił się w komendzie tuż przed dziesiątą, Wallander wyraził się bardzo jasno.

– To może być pudło – powiedział. – Szukamy kobiety o inicjałach K.A., która niedawno urodziła albo wkrótce urodzi gdzieś w Skanii. Myśleliśmy, że w Lundzie. Niestety, nie. Może u nas. Jeśli się nie mylę, ystadzki oddział położniczy jest słynny również poza granicami Szwecji dzięki specjalnym metodom, które stosuje. Pewnej nocy dzieje się tam

coś dziwnego. Po jakimś czasie to się powtarza. Niewykluczone, że strzelam w ciemno, ale chcę wiedzieć, co się wydarzyło.

Svedberg przyniósł notatkę.

– Moja kuzynka – zaczął – tak zwana daleka kuzynka, Ylva Brink, która jest położną na tym oddziale, przyszła do mnie i powiedziała, że w nocy pojawiła się u nich jakaś kobieta. Ylva była tym zaniepokojona.

– Dlaczego?

– Bo to nienormalne, żeby w nocy kręciły się tam obce osoby.

– Przyjrzyjmy się temu bliżej. Kiedy to się stało po raz pierwszy?

– Z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego września.

– Ponad dwa tygodnie temu. I była zaniepokojona.

– Przyszła po dyżurze. Porozmawiałem z nią chwilę. Wtedy zrobiłem tę notatkę.

– A potem to się powtórzyło?

– Z dwunastego na trzynastego października. Przypadkiem Ylva też pracowała tamtej nocy. I została zaatakowana. Poszedłem tam rano.

– Co się stało?

– Znowu przyszła ta nieznajoma kobieta. Ylva próbowała ją zatrzymać i została uderzona. Powiedziała, że miała takie uczucie, jakby ją koń kopnął.

– Nigdy przedtem nie widziała tej kobiety?

– Nie.

– Miała na sobie fartuch?

– Tak. Ale Ylva była pewna, że nie jest u nich zatrudniona.

– Skąd mogła to wiedzieć? W szpitalu pracuje dużo ludzi, których nie zna.

– Była pewna. Niestety, nie spytałem, dlaczego.

– Jakaś kobieta interesuje się oddziałem położniczym między dwudziestym dziewiątym września a dwunastym października – powiedział po namyśle. – Przychodzi w nocy i nie waha się uderzyć położnej. Co tam robiła?

– Ylva też się nad tym zastanawiała.

– I nie znalazła odpowiedzi?

– Za każdym razem sprawdzały oddział. Wszystko było jak zwykle.

Wallander spojrzął na zegarek. Za kwadrans jedenasta.

– Zadzwoń do swojej kuzynki. Jeśli śpi, będziemy ją musieli obudzić.

Svedberg skinął głową. Wallander pokazał na swój telefon. Svedberg,

roztargniony i zapominalski, miał znakomitą pamięć do numerów. Wykręcił. Nikt nie odbierał.

– Jeśli nie ma jej w domu, to znaczy, że pracuje – powiedziała, odkładając słuchawkę.

Wallander natychmiast się podniósł.

– Tym lepiej. Nie byłem na położniczym od urodzin Lindy.

– Starego oddziału już nie ma. Wszystko tam pozmieniali.

Po paru minutach zajechali przed szpital samochodem Svedberga. Wallander przypomniał sobie pewną noc sprzed kilku lat, kiedy obudził się z silnym bólem piersi i myślał, że to zawał. Oddział ratunkowy mieścił się wówczas gdzie indziej. Wszystko wyglądało inaczej. Zadzwo-nili. Wkrótce pojawił się nocny stróż. Wallander pokazał legitymację. Udali się schodami na położniczy. Stróż uprzedził o ich wizycie. W drzwiach na oddział czekała starsza kobieta.

– To moja kuzynka – przedstawił ją Svedberg. – Ylva Brink.

Wallander przywitał się. W głębi dostrzegł pielęgniarkę. Ylva Brink za-prowadziła ich do kantorka.

– Na razie jest dosyć spokojnie – powiedziała. – Ale w każdej chwili to się może zmienić.

– Wobec tego przejdę do rzeczy – zaczął Wallander. – Wiem, że dane o pacjentach są poufne. Nie zamierzam łamać tej zasady. Chciałbym je-dynie wiedzieć, czy między dwudziestym dziewiątym września i dwuna-stym października nie leżała tutaj kobieta o inicjałach K.A. Ka jak Karin i A jak Andersson.

Na twarzy Ylvy Brink odmalował się niepokój.

– Czy coś się stało?

– Nie. Muszę tylko kogoś zidentyfikować. Nic więcej.

– Nie mogę udzielać takich informacji. Są poufne. Chyba że rodząca wyrazi pisemną zgodę na ich udostępnianie. Myślę, że dotyczy to również inicjałów.

– Prędeż czy później ktoś mi na to odpowie. Problem polega na tym, że muszę to wiedzieć już teraz.

– Niestety, nie mogę pomóc.

Svedberg, który dotąd siedział cicho, zmarszczył czoło.

– Jest tu gdzieś toaleta? – spytał.

– Za rogiem.

Svedberg skinął na Wallandera.

– Chciałeś pójść do toalety. Skorzystaj z okazji.

Wallander zrozumiał i wyszedł z kantorka.

Odczekał w toalecie pięć minut. Kiedy wrócił, Ylvy Brink nie było. Svedberg pochylał się nad jakimiś papierami leżącymi na biurku.

– Co jej powiedziałaś? – spytał Wallander.

– Żeby nie kompromitowała rodziny. I że może za to dostać rok więzienia.

– Za co?

– Za utrudnianie wykonywania obowiązków służbowych.

– Chyba niczego takiego nie ma?

– Ale ona o tym nie wie. Tu są wszystkie nazwiska. Powinniśmy się z tym szybko uwinąć.

Przejrzeni listę. Nie było kobiety o inicjałach K.A. Wallander tego się właśnie obawiał. Pudło.

– Może to nie inicjały – głośno zastanawiał się Svedberg. – Może K.A. znaczy coś innego?

– Na przykład co?

– Tu jest Katarina Taxell. K.A. to może tylko skrót od Katarina.

Wallander popatrzył na nazwisko. Jeszcze raz przejrzał listę. Nie było nikogo innego z kombinacją liter K.A. Żadnej Karin ani Karoliny. Ani przez K, ani przez C.

– Może masz rację – powiedział z wahaniem. – Zapisz adres.

– Tu są tylko imiona i nazwiska. Poczekaj na mnie przed szpitalem. Jeszcze raz porozmawiam z Ylvą.

– Poprzestań na kompromitacji rodziny. Nic nie mów o więzieniu. Mogą być z tego nieprzyjemności. Chcę wiedzieć, czy Katarina Taxell nadal tu jest, czy ktoś ją odwiedzał i czy coś ją wyróżnia. Ale najważniejszy jest adres.

– To trochę potrwa. Ylva odbiera poród.

– Jeśli trzeba, będę czekał przez całą noc.

Poczęstował się sucharkiem i wyszedł. Karetka przywiozła pijanego i zakrwawionego mężczyznę. Nazywał się Niklasson i prowadził skład złomu pod Ystadem. Na ogół był trzeźwy. Ale kiedy zdarzały mu się okresy ostrego picia, często wdawał się w bójki.

– Co z nim? – spytał znajomego sanitariusza.

– Niklasson jest wytrzymały. Wyjdzie z tego. Bili się w Sandskogen.

Wallander poszedł na parking. Ochłodziło się. Pomyślał, że powinni

sprawdzić, czy w Lundzie nie było jakiejś Karin albo Katariny. Birch może się tym zająć. Było wpół do dwunastej. Pociągnął za klamkę samochodu Svedberga. Zamknięte. Zastanawiał się, czy nie wrócić i poprosić go o kluczyki. Nie wiadomo, jak długo będzie tu czekał. Ale zrezygnował.

Krążył po parkingu.

Nagle znowu był w Rzymie. Przed nim, w pewnej odległości, ojciec wędrował nocą ku nieznanemu. Syn śledzi ojca. Schody Hiszpańskie, potem fontanna. Błysk w jego oczach. Starszy mężczyzna w Rzymie. Sam. Czy wiedział, że wkrótce umrze? Że to jego ostatnia szansa na podróż do Włoch?

Wallander zatrzymał się. Coś ścisnęło go za gardło. Kiedy będzie miał czas, żeby uporać się z żałobą? Życie miota nim na wszystkie strony. Niedługo skończy pięćdziesiąt lat. Jest jesień. Noc. A on chodzi na tyłach szpitala i marznie. Najbardziej obawiał się tego, że przestanie cokolwiek rozumieć z tego życia. I co wtedy? Wcześniejsza emerytura? Prostsza praca? A może strawi piętnaście lat na objeżdżaniu szkół z pogadankami o narkotykach i zagrożeniach na drodze?

Dom, pomyślał. I pies. I Bajba. Taka odmiana jest konieczna. Od tego zacznę, a potem zobaczymy, jak mi się ułoży. Zawsze jestem przeciążony pracą. Nie dam rady, jeśli wszystko będę ciągnął sam.

Minęła północ. Chodził po parkingu. Karetka odjechała. Cisza, spokój. Dużo rzeczy powinien przemyśleć. Ale był zbyt zmęczony. Mógł tylko czekać i chodzić, żeby nie zmarznąć.

Svedberg wyszedł o wpół do pierwszej. Maszerował różnym krokiem. Wallander podejrzewał, że zdobył jakieś wiadomości.

– Katarina Taxell mieszka w Lundzie – oznajmił.

Wallander czuł rosnące napięcie.

– Jest tu jeszcze?

– Urodziła piętnastego października i wróciła do domu.

– Masz adres?

– Nie tylko. Wiem, że jest samotna. Nie podała nazwiska ojca dziecka. Poza tym nikt jej tu nie odwiedzał.

Wallander wstrzymał oddech.

– To może być ona – powiedział po chwili. – To musi być ona. K.A.

Pojechali do komendy. Tuż przed wjazdem na parking Svedberg gwałtownie zahamował, żeby nie przejechać zabłąkanego w mieście

zająca.

Usiedli w chwilowo pustej stołówce. Gdzieś grało radio. W dyżurce zadzwonił telefon. Wallander nalał sobie kawy bez cukru.

– Jest mało prawdopodobne, żeby to ona włożyła Blomberga do worka – powiedział Svedberg i podrapał się po łysinie łyżeczką do kawy. – Świeżo upieczone matki raczej nie zabijają.

– Jeśli moja hipoteza jest słuszna, stanowi ogniwo pośrednie pomiędzy Blombergiem i osobą, która ma dla nas największe znaczenie.

– Chodzi ci o tę pielęgniarkę, która uderzyła Ylvę?

– Wyłącznie o nią.

Svedberg usiłował śledzić tok myśli Wallandera.

– Nikomu nieznaną pielęgniarkę przychodzi na oddział położniczy ystadzkiego szpitala, żeby się z nią spotkać.

– Tak.

– Ale dlaczego w nocy? Dlaczego nie w porze odwiedzin? Chyba są jakieś określone godziny, kiedy można całkiem zwyczajnie wejść i nikt tego nigdzie nie odnotowuje.

Pytanie Svedberga było rozstrzygające. Jeśli Wallander nie znajdzie na nie rozsądnej odpowiedzi, nie ruszą z miejsca.

– Nie chciała, żeby ktoś ją zobaczył – powiedział. – To jedyne logiczne wytłumaczenie.

Svedberg nie ustępował.

– Kto? Bała się, że zostanie rozpoznana? Nie chciała, żeby ją zobaczyła Katarina Taxell? Poszła do szpitala w nocy, żeby popatrzeć na śpiącą kobietę?

– Nie wiem. I przyznaję, że to dziwne.

– Według mnie, jest tylko jedno wyjaśnienie. Gdyby się pojawiła w dzień, ktoś mógłby ją rozpoznać.

Wallander zastanawiał się nad sugestią Svedberga.

– Że rozpoznałby ją ktoś z pierwszej albo drugiej zmiany? – spytał.

– Trudno zakładać, że po prostu preferuje wizytę na oddziale położniczym w nocy. A przy okazji nokautuje moją kuzynkę, która nic jej nie zrobiła.

– Może jest inne wyjaśnienie.

– Jakie?

– Że może przyjść tylko w nocy.

Svedberg w zamyśleniu pokiwał głową.

- Jasne. Ale dlaczego?
- Tu jest kilka ewentualności. Na przykład jej miejsce zamieszkania, rodzaj pracy, chęć utrzymania tych wizyt w tajemnicy...
- Svedberg odsunął kubek z kawą.
- Te wizyty są na pewno ważne. Była dwa razy.
- Możemy zrobić coś w rodzaju harmonogramu. Zjawia się w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego września. Wtedy, kiedy ci, którzy pracują, są maksymalnie zmęczeni i najmniej spostrzegawczy. Zostaje kilka minut i wychodzi. Dwa tygodnie później mamy powtórkę. Tyle że tym razem Ylva Brink próbuje ją zatrzymać. Kobieta powala ją na ziemię i rozpływa się bez śladu.
- A parę dni później Katarina Taxell rodzi.
- Kobieta już się nie pokazuje, mamy za to kolejną ofiarę, Eugena Blomberga.
- Czy mogłaby za tym stać pielęgniarka?
- Popatrzyli na siebie w milczeniu.
- Wallander nagle sobie uświadomił, że zapomniał poprosić Svedberga, by spytał Ylvę Brink o pewien istotny szczegół.
- Pamiętasz tę plakietkę, którą znaleźliśmy w neseserze Gösty Runfeldta? Taką, jakich używa personel szpitalny.
- Svedberg skinął głową.
- Zadzwoń na położniczy – powiedział Wallander – i zapytaj Ylvę, czy ta kobieta nie miała czegoś takiego.
- Svedberg wstał i podszedł do ściennego telefonu. Odebrała koleżanka Ylvy Brink. Svedberg czekał. Wallander napił się wody. Svedberg zadał pytanie. To była krótka rozmowa.
- Tak – powiedział – miała identyfikator. Za pierwszym i za drugim razem.
- Udało jej się odczytać nazwisko?
- Nie jest pewna, czy w ogóle tam coś było.
- Wallander zastanawiał się.
- Pierwszy mogła zgubić. Skądś wytrzasnęła fartuch. A przy okazji zdobyła inną plakietkę.
- Znalezienie odcisków palców w szpitalu graniczy z cudem – powiedział Svedberg. – Ciągłe się tam sprząta. Poza tym nie wiemy, czy cokolwiek dotykała.
- Gdyby była w rękawiczkach, Ylva zwróciłaby na to uwagę.

Svedberg popukał się w czoło łyżeczką do kawy.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, ta kobieta chwyciła Ylvę w chwili zadawania ciosu.

– Chwyciła za ubranie. A na ubraniu nic nie znajdziemy. – Na moment ogarnęło go zniechęcenie. – Porozmawiamy z Nybergiem. Może dotykała łóżka Katariny Taxell? Musimy sprawdzić. A nuż będą na nim te same odciski palców co na neseserze Gösty Runfeldta? To byłoby coś. Może znajdziemy je u Holgera Erikssona i Eugena Blomberga.

Svedberg podsunął mu kartkę z adresem Katariny Taxell. Miała trzydzieści trzy lata i prowadziła własną firmę. Mieszkała w śródmieściu Lundu.

– Pojedziemy tam o siódmej rano – zdecydował Wallander. – Ponieważ siedzieliśmy nad tym pół nocy, równie dobrze możemy kontynuować. A teraz powinniśmy się kilka godzin przespać.

– To dziwne. Najpierw szukamy najemnika. A teraz pielęgniarce.

– Przypuszczalnie fałszywej pielęgniarce.

– Tego nie wiemy. To, że Ylva jej nie poznała, o niczym nie świadczy.

– Masz rację. Nie możemy wykluczać takiej możliwości.

Wallander wstał.

– Odwiozę cię do domu – zaproponował Svedberg. – Co z twoim samochodem?

– Powinienem pomyśleć o nowym. Ale nie wiem, skąd wezmę na to pieniądze.

Do pokoju szybkim krokiem wszedł dyżurny policjant.

– Wiedziałem, że tu jesteście – powiedział. – Chyba coś się stało.

Wallander poczuł ucisk w żołądku. Tylko nie znowu. Nie mamy rady.

– Na poboczu między Sovestadem a Lödinge leży ciężko ranny mężczyzna. Zauważył go kierowca ciężarówki. Nie wiemy, czy potrącił go samochód, czy został narażony na inną przemoc. Karetka jest już w drodze. Pomyślałem, że ponieważ to niedaleko Lödinge...

Nie dokończył zdania. Svedberg i Wallander wyszli z pokoju.

Dojechali w momencie, kiedy sanitariusze kładli rannego na noszach. Wallander spotkał jednego z nich przed szpitalem.

– Mijamy się nocą jak statki – zauważył znajomy sanitariusz.

– Czy to był wypadek drogowy? – spytał Wallander.

– Jeśli tak, to sprawca zbiegł. Ale wygląda to na innego rodzaju przemoc.

Wallander rozglądał się. Na drodze nikogo nie było.

– Kto się tu kręci po nocy?

Mężczyzna miał mocno pokierszowaną twarz. Cicho rzeził.

– Jedziemy – powiedział sanitariusz. – Musimy się spieszyć. Może ma jakieś obrażenia wewnętrzne.

Karetka zniknęła. Obejrzeliby miejsce znalezienia mężczyzny w świetle reflektorów samochodu Svedberga. Chwilę potem przyjechał nocny patrol z Ystadu. Svedberg i Wallander niczego nie zauważyli. Zwłaszcza śladów hamowania. Svedberg powiedział policjantom z patrolu o zdarzeniu i wrócił z Wallanderem do Ystadu. Zerwał się wiatr. Svedberg odczytał temperaturę. Plus trzy stopnie.

– To chyba coś innego – powiedział Wallander. – Zostaw mnie przed szpitalem i jedź do domu, żeby się trochę przespać. Przynajmniej jeden z nas będzie mniej zmęczony.

– Skąd cię zabrać?

– Z Mariagatan. O szóstej. Martinsson wcześniej wstaje. Zadzwoń do niego i powiedz, co się stało. Niech porozmawia z Nybergiem o plakietce. I poinformuj go, że będziemy w Lundzie.

Po raz drugi tej nocy Wallander znalazł się pod oddziałem ratunkowym szpitala. Rannego właśnie opatrywano. Usiadł i czekał. Był wykończony. Ani się obejrzał, kiedy zasnął.

Obudził go czyjś głos wymawiający jego nazwisko. W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest. Śnił mu się Rzym. Chodził ciemnymi ulicami i szukał ojca.

Przed nim stał lekarz. Wallander natychmiast oprzytomniał.

– Wyjdzie z tego. Ale został dotkliwie pobity.

– Więc to nie był wypadek drogowy?

– Nie. Pobicie. Ze wstępnych badań wynika, że obyło się bez obrażeń wewnętrznych.

– Czy miał przy sobie jakieś dokumenty?

Lekarz podał mu kopertę. Wallander wyjął portfel, w którym między innymi było prawo jazdy. Mężczyzna nazywał się Åke Davidsson. Mógł prowadzić tylko w okularach.

– Czy mogę z nim porozmawiać?

– Radziłbym się wstrzymać.

Wallander postanowił zlecić przesłuchanie mężczyzny Hanssonowi albo Ann-Britt Höglund. Jeśli to ciężkie pobicie, będą mogli się tym zająć

w drugiej kolejności. Teraz nie mieli na to czasu.

Wallander wstał.

– Znaleźliśmy przy nim coś, co chyba pana zainteresuje – powiedział lekarz, wręczając mu kartkę papieru.

Wallander przeczytał skreślone rozstrzelonymi literami zdanie: „Złodziej unieszkodliwiony przez nocnych stróżów”.

– Jakich nocnych stróżów?

– Pisały o tym gazety – powiedział lekarz. – Myślę o gwardii obywatelskiej. Mogą się chyba nazwać nocnymi stróżami, prawda?

Wallander z niedowierzaniem wpatrywał się w tekst.

– Przemawiałoby za tym to – kontynuował lekarz – że przyczepili mu tę kartkę zszywaczem.

– W głowie się nie mieści.

– Tak. W głowie się nie mieści, że to zaszło tak daleko.

Wallander nie zadzwonił po taksówkę. Ruszył pieszo wyludnionymi ulicami. Myślał o Katarinie Taxell i Åke Davidssonie, któremu przypięto wiadomość.

W mieszkaniu zdjął buty i kurtkę i położył się na kanapie. Nastawił budzik, ale nie mógł zasnąć. Na dokładkę rozboleła go głowa. Poszedł do kuchni i rozpuścił parę tabletek w szklance wody. Za oknem kołysała się na wietrze uliczna latarnia. Wrócił na kanapę i drzemał niespokojnie, dopóki nie rozdzwięczał budzik. Czuł jeszcze większe zmęczenie. Opłukał twarz zimną wodą, zmienił koszulę i czekając, aż zaparzy się kawa, zadzwonił do Hanssona. Odebrał po dłuższej chwili. Domyślił się, że go zerwał z łóżka.

– Nie przejrzałem jeszcze wszystkich materiałów z Ostersundu – powiedział Hansson. – Siedziałem do drugiej w nocy. Zostało mi około czterech kilo.

– Później o tym pomówimy – przerwał Wallander. – Chcę, żebyś pojechał do szpitala i porozmawiał z niejakim Åke Davidssonem. Późnym wieczorem albo w nocy napadli go w okolicach Lödinge ludzie, którzy prawdopodobnie należą do jakiejś gwardii obywatelskiej. Zajmij się tym.

– A co z Ostersundem?

– Musisz to ciągnąć równocześnie. Jadę ze Svedbergiem do Lundu. Więcej dowiesz się potem.

Zakończył rozmowę, zanim Hansson zdążył zadać jakieś pytania.

Nie miałyby siły na nie odpowiadać.

O szóstej Svedberg zajechał przed jego dom. Wallander zobaczył go z okna w kuchni, gdzie stał z kubkiem kawy w ręku.

– Skontaktowałem się z Martinssonem – powiedział Svedberg, kiedy Wallander wsiadł do samochodu. – Poprosi Nyberga, żeby się zajął plakiem.

– Wie, do jakich wniosków doszliśmy?

– Chyba tak.

– Jedźmy.

Wallander odchylił się na fotelu i zamknął oczy. Najlepsze, co mógł zrobić, to zasnąć.

Katarina Taxell mieszkała w czynszowej kamienicy przy placu, którego nazwy Wallander nie znał.

– Zadzwońmy po Bircha – zdecydował. – Żeby potem nie było jakiejś awantury.

Svedberg zastał go w domu i oddał słuchawkę Wallanderowi. Birch obiecał przyjechać w ciągu dwudziestu minut. Czekali na niego w samochodzie. Niebo było szare. Nie padało. Wiatr przybrał na sile. Kiedy Birch zaparkował obok, Wallander streścił mu przebieg i wynik rozmowy z Ylvą Brink. Birch słuchał z uwagą. I z wahaniem.

Weszli do kamienicy. Katarina Taxell mieszkała na drugim piętrze, po lewej stronie.

– Nie będę się wtrącał – powiedział Birch.

Svedberg nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Stała w nich kobieta w szlafroku. Miała podkrążone ze zmęczenia oczy. Wallander pomyślał, że przypomina mu Ann-Britt Höglund.

Uprzejmie się przywitał. Dostrzegł zmianę na jej twarzy, kiedy powiedział, że jest policjantem z Ystadu. W małym, ciasnym mieszkaniu wszędzie można było zauważyć, że niedawno urodziła dziecko. Wallander przypomniał sobie, jak wyglądał jego dom po narodzinach Lindy. W salonie stały jasne drewniane meble. Wallander zwrócił uwagę na leżącą na stole broszurę. *Produkty do włosów Taxell*. Już wiedział, czym się zajmuje jej firma.

– Przepraszam, że przychodzimy tak wcześnie – zaczął, kiedy usiedli.
– Ale ta sprawa nie mogła czekać.

Wahał się, co dalej. Siedziała naprzeciwko i nie spuszczała z niego wzroku.

– Niedawno urodziła pani dziecko na oddziale położniczym w Ystadzie

– powiedział.

– Piętnastego o trzeciej po południu. To chłopiec.

– Gratuluję.

Svedberg i Birch przyłączyli się do gratulacji.

– Chciałbym spytać – podjął Wallander – czy mniej więcej dwa tygodnie wcześniej, w nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego września, ktoś nie złożył pani wizyty.

Patrzyła na niego obojętnie.

– Kto?

– Pielęgniarka, której być może pani wcześniej nie widziała?

– Znałam wszystkie pielęgniarki z nocnej zmiany.

– Ta sama kobieta przysłała ponownie dwa tygodnie później. Przypuszczamy, że do pani.

– W nocy?

– Tak. Po drugiej.

– Nikt mnie nie odwiedzał. Poza tym spałam. Wallander pokiwał głową. Birch stał za kanapą, Svedberg siedział na krześle pod ścianą. Nagle zaległa głucha cisza. Czekali na to, co powie Wallander. Najpierw musiał zebrać myśli. Zmęczenie nie minęło. Powinien spytać, dlaczego tak długo leżała na położniczym i czy ciąża była z komplikacjami, ale dał temu spokój.

Ważne było co innego. Nie uszło to jego uwagi. Katarina Taxell nie mówiła prawdy. Nie miał wątpliwości, że widziała się z tą kobietą i że ją zna.

28

Nagle rozległ się krzyk dziecka.

Katarina Taxell wyszła do sąsiedniego pokoju. Wallander właśnie zdecydował, jak kontynuować rozmowę. Był przekonany, że nie powiedziała prawdy. Już od pierwszej chwili wydawała mu się dziwnie śliska. Dzięki latom doświadczeń, kiedy uczył się rozróżniać kłamstwo od prawdy, niemal bezbłędnie potrafił wyczuć fałsz. Stanął przy oknie obok Bircha. Svedberg się do nich przyłączył. Pochylili się ku sobie.

– Nie mówi prawdy – szepnął Wallander, nie odrywając oczu od

drzwi.

Koledzy nic nie zauważyli. Nie mieli pewności, ale nie mieli też zastrzeżeń.

– To może trochę potrwać – kontynuował – ale nie ustąpię, ponieważ w mojej ocenie jej świadectwo jest rozstrzygające. Ona zna tę kobietę. Jestem o tym przekonany bardziej niż kiedykolwiek.

Birch zaczynał powoli rozumieć.

– Chcesz powiedzieć, że za tym wszystkim stoi ta kobieta? Że to ona morduje?

Niemal się przeraził własnych słów.

– Niekoniecznie – odparł Wallander. – Ale gdzieś blisko punktu centralnego naszego śledztwa jest kobieta. Nie mam cienia wątpliwości. Możliwe, że przesłania coś, co kryje się głębiej. Dlatego musimy jak najszybciej do niej dotrzeć. Musimy się dowiedzieć, kto to jest.

Dziecko umilkło. Svedberg i Wallander szybko wrócili na miejsca. Po minucie Katarina Taxell usiadła na kanapie. Wallander zauważył, że jest bardzo czujna.

– Wróćmy do oddziału położniczego w Ystadzie – powiedział uprzejmie. – Mówi pani, że pani spała. I że nikt pani w nocy nie odwiedzał.

– Tak.

– Mieszka pani w Lundzie. Ale zdecydowała się pani na poród w Ystadzie.

– Odpowiadają mi tamtejsze metody.

– Znam je. Moja córka urodziła się w Ystadzie.

Nie zareagowała. Wallander zrozumiał, że chce wyłącznie udzielać odpowiedzi na pytania i że z własnej woli niczego nie powie.

– Zadam pani kilka pytań natury osobistej. Ponieważ nie jest to przesłuchanie, może pani nie odpowiadać. Ale uprzedzam, że może będziemy zmuszeni zabrać panią do komendy i formalnie przesłuchać. Przyszliśmy tutaj, ponieważ szukamy informacji o wyjątkowo brutalnych przestępstwach.

Nie reagowała. Nie spuszczała z niego wzroku. Jakby chciała zajrzeć mu do głowy. Poczł się nieswojo.

– Zrozumiała pani?

– Zrozumiałam. Nie jestem głupia.

– Czy zgadza się pani na osobiste pytania?

– Nie wiem, dopóki ich nie usłyszę.

- Wygląda na to, że mieszka pani sama. Nie jest pani mężatką?
- Nie.

Odpowiedziała szybko i stanowczo. Mocno, pomyślał Wallander. Jakby podczas wymierzania ciosu.

- Czy mogę spytać, kto jest ojcem dziecka?
- Na to nie odpowiem. To moja sprawa. I dziecka.
- Jeśli ojciec padł ofiarą przemocy, sprawa jest chyba nie tylko pani.
- Znaczyłoby to, że wiecie, kto jest ojcem. Ponieważ nie wiecie, pytanie wydaje się niedorzeczne.

Wallander przyznał jej rację. Z jej głową było wszystko w porządku.

- Zapytam inaczej – podjął. – Czy zna pani Eugena Blomberga?
- Tak.
- Jaki to rodzaj znajomości?
- Znam go.
- Czy wie pani, że został zamordowany?
- Tak.
- Skąd pani o tym wie?
- Z dzisiejszej porannej gazety.
- Czy to on jest ojcem dziecka?
- Nie.

Dobrze kłamie, pomyślał Wallander. Ale niezbyt przekonująco.

- Czy pani i Eugen Blomberg mieliście romans?
- Tak.
- Ale to nie on jest ojcem dziecka?
- Nie.
- Jak długo trwał ten związek?
- Dwa i pół roku.
- Musieliście go utrzymywać w tajemnicy, ponieważ Eugen Blomberg był żonaty.
- Okłamał mnie. Dowiedziałam się o tym dużo później.
- I co pani wtedy zrobiła?
- Zerwałam z nim.
- Kiedy to było?
- Mniej więcej rok temu.
- I potem nigdy się nie spotkaliście?
- Nie.

Wallander przeszedł do ataku.

– Znaleźliśmy u niego listy, które pani do niego pisała jeszcze parę miesięcy temu.

Nie dała się wytrącić z równowagi.

– Pisaliśmy do siebie, ale się nie widywaliśmy.

– To dosyć dziwne.

– On pisał. Ja tylko odpisywałam. Chciał, żebyśmy się zobaczyli. Ale nie chciałam.

– Dlatego, że poznała pani innego mężczyznę?

– Dlatego, że miałam urodzić dziecko.

– I nie chce pani podać nazwiska ojca dziecka?

– Nie.

Wallander zerknął na Svedberga. Wpatrywał się w podłogę. Birch wyglądał przez okno. Wallander wiedział, że intensywnie się przysłuchują.

– Kto, pani zdaniem, mógł zabić Eugena Blomberga?

Wallander zapytał z naciskiem. Birch poruszył się, zaskrzypiała podłoga. Svedberg przeniósł wzrok na swoje dłonie.

– Nie wiem, kto chciałby jego śmierci.

Dziecko znowu się odezwało. Szybko się podniosła i wyszła. Wallander popatrzył na kolegów. Birch pokręcił głową. Wallander oceniał sytuację. Przesłuchiwanie w komendzie matki trzydniowego dziecka przysporzyłoby problemów. Poza tym nie była o nic podejrzana. Podjął decyzję. Znowu stanęli przy oknie.

– Na tym zakończę – wyszeptał. – Ale obserwujcie ją. Zdaje się, że jej firma sprzedaje produkty do pielęgnacji włosów. Chcę wiedzieć o niej wszystko, co tylko da się zdobyć.

Chcę wiedzieć wszystko o jej rodzicach, przyjaciółkach, co robiła poprzednio. Przejrzyjcie wszelkie możliwe rejestry. Musimy znać każdy szczegół.

– Zajmiemy się tym – powiedział Birch.

– Svedberg zostanie w Lundzie. Potrzebny jest ktoś wprowadzony we wszystkie morderstwa.

– Wolałbym wrócić do domu – przyznał Svedberg. – Wiesz, że nie czuję się najlepiej poza Ystadem.

– Wiem – stwierdził Wallander. – Ale teraz nic na to nie poradzę. Jak będę w Ystademie, poproszę, żeby ktoś cię zmienił. Nie możemy bez potrzeby jeździć tam i z powrotem.

Katarina Taxell nagle stanęła w drzwiach. Z dzieckiem na ręku. Wallander uśmiechnął się. Podeszli do niej. Svedberg, który uwielbiał dzieci, zaczął gaworzyć do chłopczyka.

Wallander zauważył coś dziwnego. Wrócił myślami do dnia, kiedy Linda była noworodkiem i Mona ją nosiła. Ile razy on brał małą na ręce, zawsze się bał, że ją upuści.

Już wiedział. Katarina Taxell nie przytulała dziecka. Jakby nie było jej.

Zrobiło mu się przykro. Ale tego nie okazał.

– Nie będziemy dłużej przeszkadzać. Na pewno jeszcze się odezwiemy.

– Mam nadzieję, że złapiecie tę osobę, która zamordowała Eugena – powiedziała.

Wallander spojrział na nią i skinął głową.

– Tak. Wyjaśnimy to. Obiecuję pani.

Wyszli na ulicę. Wiatr przybrał na sile.

– Co o niej myślisz? – spytał Birch.

– Nie mówi prawdy, ale chyba nie kłamie – odparł Wallander.

Birch patrzył na niego zdziwiony.

– Jak mam to rozumieć? Że jednocześnie kłamie i nie kłamie?

– Mniej więcej. Ale nie wiem, co to znaczy.

– Zwróciłem uwagę na pewien szczegół – odezwał się Svedberg. – Powiedziała „tę osobę”, a nie „tego”.

Wallander pokiwał głową. Też to zauważył. Miała nadzieję, że złapią „tę osobę”, która zamordowała Eugena Blomberga.

Birch odniósł się do tego sceptycznie.

– Czy to musi coś znaczyć?

– Nie – stwierdził Wallander. – Ale obaj to wychwyciliśmy, Svedberg i ja. A to może coś znaczyć.

Ustalili, że Wallander wróci do Ystadu samochodem Svedberga i jak najszybciej podeśle do Lundu zmiennika.

– To ważne – przypomniał Birchowi. – Musimy się dowiedzieć, kim jest ta kobieta, która odwiedziła Katarinę Taxell w szpitalu. Pobita położna podała nam dosyć dobry rysopis.

– Opisz ją – powiedział Birch. – Może będzie chciała odwiedzić Katarinę Taxell w jej domu.

– Bardzo wysoka. Ylva Brink ma sto siedemdziesiąt cztery centymetry. Ta kobieta miała około stu osiemdziesięciu. Proste ciemne włosy średniej

długości, niebieskie oczy, spiczasty nos, wąskie wargi. Dobrze zbudowana, ale nie gruba. Mały biust. Siła uderzenia świadczy o tym, że jest silna. Kto wie, czy nie trenuje.

– Pasuje do wielu osób – skonstatował Birch.

– Jak wszystkie rysopisy. Ale wystarczy trafić na właściwą i od razu wiadomo, że o nią chodzi.

– Czy coś powiedziała? Jaki miała głos?

– Nie odzywała się. Tylko ją uderzyła.

– Czy Ylva Brink zwróciła uwagę na zęby?

Wallander spojrział na Svedberga. Svedberg pokręcił głową.

– Czy była umalowana?

– W normie.

– A dłonie? Czy miała tipsy?

– Nie. Ylva powiedziała, że na pewno by zauważyła.

Birch coś sobie zanotował.

– Zobaczymy, co uda nam się zdziałać. Obserwacja musi być dyskretna. Na pewno będzie się miała na baczności.

Pożegnali się. Svedberg dał Wallanderowi kluczyki do samochodu.

Jadąc do Ystadu, zastanawiał się, dlaczego Katarina Taxell nie chciała się przyznać, że dwukrotnie odwiedziła ją nocą w szpitalu jakaś kobieta. Jaka? Kto to jest? Co ją łączy z Katariną Taxell i Eugenem Blombergiem? Jak wyglądają ogniwa tego łańcucha zbrodni?

Niepokoił się, że porusza się w złym kierunku. Że zbacza z kursu i płynie ku podwodnym skałom, co musi się zakończyć katastrofą.

Tym dręczył się najbardziej. To spędzało mu sen z powiek, przyprawiało o katar żołądka. Z maksymalną prędkością steruje ku zagładzie. Już mu się to kiedyś przydarzyło. Wszystkie wątki śledztwa rozsypały się i nie pozostało nic innego, jak zacząć od początku. To był jego błąd.

O wpół do dziesiątej zaparkował przed ystadzką komendą.

– Zrobiło się potworne zamieszanie – powiedziała Ebba.

– Co się stało?

– Lisa Holgersson chce cię zobaczyć. Chodzi o tego mężczyznę znalezionego w nocy przy drodze.

– Porozmawiam z nią.

Wallander poszedł tam od razu. Drzwi do jej pokoju były otwarte. W środku siedział blady Hansson. Lisa Holgersson była mocno wzburzona.

Wskazała na krzesło.

– Posłuchaj, co Hansson ma do powiedzenia.

Wallander zdjął kurtkę i usiadł.

– Dzisiaj rano odbyłem dłuższą rozmowę z Åke Davidssonem – zaczął Hansson.

– Jak się czuje? – spytał Wallander.

– Lepiej, niż wygląda. Ale i tak jest źle.

Potem Wallander pomyślał, że Hansson ani trochę nie przesadził. Słuchał go ze zdziwieniem i rosnącym oburzeniem. Hansson był konkretny i wyrażał się jasno. Miarka się przebrała. Do tego jesiennego przedpołudnia Wallander nie wierzył, że coś podobnego może się wydarzyć. Stało się i będą musieli z tym żyć. Szwecja nieustannie się zmieniała. Procesy zachodziły w ukryciu, można je było rozpoznać dopiero poniewczasie. Wallander miewał niekiedy wrażenie, że społeczeństwem wstrząsają skurcze. Przynajmniej kiedy na nie patrzył z perspektywy policjanta.

Opowieść Hanssona o Åke Davidssonie wstrząsnęła świadomością Wallandera.

Åke Davidsson miał etat w zarządzie opieki społecznej w Malmö. Był częściowo niezdolny do pracy z powodu wady wzroku. Po wielu latach udało mu się zdobyć prawo jazdy, które obowiązywało w ograniczonym zakresie. Od końca lat siedemdziesiątych Åke Davidsson pozostawał w związku z pewną kobietą z Lödinge. Ostatniego wieczora doszło do zerwania. Zwykle Åke Davidsson nocował w Lödinge, ponieważ nie miał pozwolenia na prowadzenie samochodu po zmroku. Tym razem musiał się za kierownicą. Zabłądził. I kiedy chciał spytać o drogę, pobił go ochotniczy nocny patrol, który powstał w Lödinge. Uznali go za złodzieja i nie przyjęli do wiadomości jego wyjaśnień. Zgubił okulary, może ktoś je rozgniół. Pobili go do nieprzytomności, ocknął się dopiero wtedy, kiedy sanitariusze kładli go na noszach.

– Åke Davidsson to spokojny człowiek, który prócz wady wzroku ma wysokie ciśnienie. Rozmawiałem z jego kolegami z Malmö. Są głęboko wstrząśnięci. Jeden z nich powiedział coś, o czym Åke Davidsson nie wspomniał. Może dlatego, że jest nieśmiały.

Wallander słuchał w skupieniu.

– Åke Davidsson jest oddanym i bardzo aktywnym członkiem Amnesty International. Nie wiem, czy od tej chwili ta organizacja nie powinna się

zainteresować Szwecją. Jeśli nie uda się zapobiec powstawaniu brutalnych nocnych patroli i tworzeniu gwardii obywatelskiej.

Wallanderowi odjęło mowę. Było mu niedobrze, rozsadzała go wściekłość.

– Przywódcą tych typów – kontynuował Hansson – jest niejaki Eskil Bengtsson, który prowadzi w Lödinge firmę przewozową.

– Musimy położyć temu kres – stwierdziła Lisa Holgersson. – Wiem, że siedzimy po uszy w sprawach o morderstwa, ale musimy przynajmniej opracować jakiś plan działania.

– Ten plan już istnieje – powiedział Wallander i wstał. – Jest bardzo prosty. Pojedziemy po Eskila Bengtssona. A potem będziemy zgarniać wszystkich, którzy mają coś wspólnego z tą gwardią. Åke Davidsson ich zidentyfikuje.

– Przecież on prawie nic nie widzi – zauważyła Lisa Holgersson.

– Ludzie, którzy źle widzą, mają często świetny słuch. Jeśli dobrze zrozumiałem, podczas tego zajścia toczyła się rozmowa.

– Zastanawiam się, czy to nie za mało... Jaki właściwie mamy dowód?

– Według mnie, nie – powiedział Wallander. – Ale, oczywiście, możesz mi wydać rozkaz pozostania w komendzie.

Pokręciła głową.

– Jedź. Im szybciej, tym lepiej.

Wallander skinął na Hanssona. Zatrzymali się na korytarzu.

– Potrzebne mi dwa wozy patrolowe. – Wallander znacząco popukał Hanssona po ramieniu. – Pojedziemy z kogutami i na sygnale. Nie zaszkodziłoby, gdybyśmy poinformowali o tym gazety.

– Nie bardzo możemy – powiedział zakłopotany Hansson.

– Oczywiście, że nie możemy. Wyjazd za dziesięć minut. W samochodzie porozmawiamy o materiałach z Ostersundu.

– Został mi jeszcze kilogram. Niesamowite dochodzenie. Okazuje się, że po ojcu przejął je syn.

– W samochodzie – przerwał Wallander. – Nie tutaj.

Kiedy Hansson odszedł, Wallander ruszył do recepcji i zamienił kilka słów z Ebbą. Skinęła głową i obiecała, że to załatwi.

Pięć minut później z kogutami i na sygnale opuścili miasto.

– Pod jakim zarzutem zatrzymamy właściciela firmy przewozowej Eskila Bengtssona? – spytał Hansson.

– Ciężkiego pobicia i podżegania do użycia siły. Poza tym przewieźli

Davidssona na pobocze, a to można by podciągnąć pod uprowadzenie.

– Będziesz miał na karku Pera Åkesona.

– To wcale nie jest takie pewne.

– Mam uczucie, jakbyśmy jechali po naprawdę groźnych ludzi.

– Tak, to prawda. Oni są groźni. Nie wyobrażam sobie większego zagrożenia dla praworządności w naszym kraju.

Zatrzymali się przed domem Eskila Bengtssona, tuż za rogatkami. Na podwórzu stały dwie ciężarówki i koparka. Ujadał pies.

– Bierzemy go – powiedział Wallander.

Zanim zdążyli zapukać, otworzył drzwi potężny mężczyzna o wydętym brzuchu. Wallander rzucił spojrzenie na Hanssona. Hansson skinął głową.

– Komisarz Wallander z policji ystadzkiej. Proszę włożyć kurtkę. Pojedzie pan z nami.

– Dokąd?

Wallanderowi zaczęły puszczać nerwy. Hansson to zauważył i chwycił go za ramię.

– Do Ystadu – odparł Wallander z wymuszonym spokojem. – Dobrze pan wie, dlaczego.

– Nic nie zrobiłem.

– Zrobił pan aż nadto. Jeśli nie weźmie pan kurtki, pojedzie pan bez niej.

U boku męża pojawiła się niska szczupła kobieta.

– O co chodzi?! – zawołała rozziewającym głosem. – Co on takiego zrobił?!

– Nie wtrącaj się – burknął Eskil Bengtsson i wepchnął ją do mieszkania.

– Załóż mu kajdanki – powiedział Wallander.

Hansson wpatrywał się w niego tępo.

– Po co?

Wallander stracił cierpliwość. Dostał parę kajdanek od jednego z policjantów w radiowozie, kazał Eskilowi Bengtssonowi wyciągnąć ręce i założył mu kajdanki. Odbyło się to tak szybko, że Bengtsson nie zdążył zareagować. W tym momencie błysnął flesz.

– Skąd, do cholery, prasa wie, że tu jesteśmy? – spytał Hansson.

– Ty mi to powiedz. – Pomyślał, że na Ebbie można polegać. – Jedziemy.

Kobieta wyszła z domu, przypadła do Hanssona i zaczęła go okładać pięściami. Fotograf robił zdjęcia. Wallander doprowadził Eskila Bengtssona do samochodu.

– Nie ujdzie wam to na sucho – powiedział Eskil Bengtsson.

Wallander uśmiechnął się.

– Owszem. Ale to nic w porównaniu z tym, co was czeka. Może od razu zaczniemy od nazwisk, co? Kto tam jeszcze był tej nocy?

Eskil Bengtsson milczał. Wallander wepchnął go do radiowozu.

Hansson zdołał się uwolnić od rozjuszony kobiety. Rozorała mu policzek do krwi.

– Powinno się ją trzymać w psiej klatce – powiedział, trzęsąc się z wściekłości.

– Ruszamy – powiedział Wallander. – Wsiadaj do drugiego samochodu i jedź do szpitala. Chcę wiedzieć, czy Åke Davidsson słyszał jakieś nazwiska. I czy widział Eskila Bengtssona.

Hansson skinął głową. Do Wallandera podszedł fotograf.

– Dostaliśmy anonimowy przeciek – wyjaśnił. – Co się dzieje?

– Wczoraj wieczorem kilka osób stąd napadło i ciężko pobiło niewinnego człowieka. Podobno utworzyli coś w rodzaju gwardii obywatelskiej. Mężczyzna zabłądził, ale oni uznali go za złodzieja i omal go nie zabili.

– Kim jest ten gość w radiowozie?

– Podejrzany o współudział. Poza tym wiemy, że to jeden z inicjatorów tej tragedii. W Szwecji nie będzie żadnych gwardii obywatelskich. Ani w Skanii, ani gdziekolwiek indziej.

Fotograf chciał zadać jeszcze jedno pytanie, ale Wallander go powstrzymał.

– Reszta na konferencji prasowej – powiedział. – Jedziemy.

Poprosił o włączenie syren. Przed domem zatrzymało się sporo samochodów z ciekawskimi. Wallander usiadł z tyłu obok Eskila Bengtssona.

– To co, zaczniemy od nazwisk? – spytał. – Zaoszczędzimy na czasie.

Eskil Bengtsson nie odpowiedział. Wallander poczuł od niego silny odór potu.

Po trzech godzinach Eskil Bengtsson przyznał się do współudziału w pobiciu Åke Davidssona. Potem wszystko poszło bardzo szybko. Eskil Bengtsson wymienił nazwiska trzech innych mężczyzn. Wallander polecił ich natychmiast zatrzymać. Samochód Åke Davidssona, ukryty w opuszczonej maszynowni na polu, już ściągnęli do komendy. Kilka minut po

trzeciej Wallander przekonał Pera Åkesona o zasadności aresztowania czterech mężczyzn. Potem udał się do sali, w której zebrało się trochę dziennikarzy. Lisa Holgersson zdążyła ich poinformować o wydarzeniach ostatniej nocy. Tym razem Wallander cieszył się na spotkanie z prasą. Dokładnie omówił przebieg zajścia.

– Prokurator zdecydował o tymczasowym aresztowaniu czterech osób – powiedział później. – Nie ma wątpliwości, że są winne pobicia. Co gorsza, to nie musieli być akurat ci ludzie. W tym prywatnym oddziale w Lödinge jest jeszcze pięć albo sześć innych osób. Postawili się ponad prawem. I jakie to przyniosło skutki? Niewiele brakowało, żeby zamordowali człowieka z wadą wzroku, który po prostu zabłądził. Czy tego chcemy? Czy chcemy, żeby skrzywienie w prawo albo w lewo łączyło się ze śmiertelnym niebezpieczeństwem? Żebyśmy byli traktowani jak złodzieje, gwałciciele i zabójcy? Dobitniej chyba nie da się tego ująć. Część osób, które namówiono do udziału w tych nielegalnych i groźnych grupach, może nie rozumie, w co się wdała. Jeśli się natychmiast wycofają, nikt nie będzie miał do nich pretensji. Ale ci, którzy są w pełni świadomi tego, co robią, nie zasługują na obronę. Tak jak ci czterej aresztowani mężczyźni. Można mieć nadzieję, że wysokość kar odstraszy innych.

Wallander mówił z przekonaniem. Wywarło to wrażenie na dziennikarzach, którzy nie zarzucili go pytaniami. Interesowało ich jedynie potwierdzenie pewnych szczegółów. Ann-Britt Höglund i Hansson stanęli w końcu sali. Wallander szukał wśród zgromadzonych dziennikarza z „Anmarkaren”. Nie było go.

Po półgodzinie skończyli konferencję prasową.

– Dobrze to rozegrałeś – powiedziała Lisa Holgersson.

– Nie było innego sposobu – odparł Wallander.

Ann-Britt Höglund i Hansson zamarkowali oklaski. Wallander nie miał powodu do radości. Był głodny. I potrzebował świeżego powietrza. Spojrzał na zegarek.

– Dajcie mi godzinę. Spotkamy się o piątej. Svedberg jeszcze nie wrócił?

– Już jedzie.

– Kto go zmienia?

– Augustsson.

– Kto? – zdziwił się Wallander.

– Jeden z policjantów z Malmö.

Wypadło mu to nazwisko z głowy.

– O piątej – powtórzył. – Mamy dużo pracy.

Zatrzymał się w recepcji i podziękował Ebbie za pomoc.

Uśmiechnęła się.

Poszedł do śródmieścia. Wiał silny wiatr. Usiadł w kafejce przy dworcu autobusowym i zjadł dwie kanapki. Zaspokoił najgorszy głód. W głowie czuł pustkę. Przeglądał jakiś podarty tygodnik. Wracając do komendy, kupił hamburgera.

Wrzucił serwetkę do kosza i zaczął myśleć o Katarinie Taxell. Eskil Bengtsson już dla niego nie istniał. Wiedział jednak, że nie unikną konfrontacji z różnymi lokalnymi gwardiami. To, co się przytrafiło Åke Davidssonowi, było zaledwie początkiem.

Dziesięć po piątej siedzieli w sali zebrania. Wallander zaczął od omówienia wszystkiego, czego do tej pory zdołali się dowiedzieć o Katarinie Taxell. Słuchali go w skupieniu. Po raz pierwszy miał uczucie, że są coraz bliżej przełomu w śledztwie. Umocnił go w tym Hansson.

– Materiał dochodzeniowy dotyczący Kristy Haberman jest ogromny – powiedział. – Miałem za mało czasu, żeby go dokładnie przejrzeć, i niewykluczone, że coś istotnego przeoczyłem. W każdym razie znalazłem coś, co może nas zainteresować. – Wertował notatki. – „Na początku drugiej połowy lat sześćdziesiątych Krista Haberman trzy razy była w Skanii – przeczytał. – Kontaktowała się z obserwatorem ptaków z Falsterbo. Dużo później, wiele lat od jej zaginięcia, policjant Fredrik Nilsson jedzie z Ostersundu do Falsterbo, żeby porozmawiać z tym mężczyzną. Zapisał, że całą drogę odbył pociągiem. Mężczyzna, Erik Gustav Tandvall, bez żadnych obiekcji opowiada o wizytach Kristy Haberman. Można przypuszczać, że mieli romans. Policjant Nilsson z Ostersundu nie doszukuje się w tym wszystkim niczego podejrzanego. Związek Haberman i Tandvalla skończył się na długo przed jej zniknięciem. Tandvall z całą pewnością nie ma z tym nic wspólnego. Zostaje raz na zawsze wykluczony z dalszego dochodzenia”. – Popatrzył na zgromadzonych przy stole kolegów. – Nazwisko Tandvall wydało mi się znajome. Poza tym jest rzadkie. Miałem uczucie, że gdzieś się z nim zetknąłem. W końcu sobie przypomniałem. Było na liście pracowników Holgera Erikssona.

W sali zaległa cisza. Napięcie rosło. Hansson znalazł istotny związek.

– Sprzedawca samochodów miał na imię nie Erik – podjął – tylko Gote. Gote Tandvall. Tuż przed naszym zebraniem udało mi się ustalić,

że to syn Erika. Erik Tandvall zmarł dwa lata temu, syna jeszcze nie zlokalizowałem.

Hansson umilkł.

– Innymi słowy – powiedział po chwili Wallander – Holger Eriksson mógł poznać Kristę Haberman, która potem zniknęła bez śladu. Krista Haberman mieszkała w Svenstaviku. I tamtejszemu kościołowi Holger Eriksson zapisał w testamencie donację.

Milczeli.

Zdawali sobie sprawę, co to znaczy.

Nareszcie coś się zaczęło kleić.

29

Tuż przed północą Wallander doszedł do wniosku, że na nic już nie mają siły. Siedzieli od dziesięć po piątej i robili tylko krótkie przerwy, żeby wywietrzyć salę.

Hansson dokonał wyłomu, którego potrzebowali. Istniał związek. Zaczęły się wyłaniać kontury osoby poruszającej się jak cień między trzema ofiarami. Mimo że nadal nie formułowali żadnego motywu, mieli przeczucie, że są na obrzeżach wydarzeń, których wspólnym mianownikiem jest zemsta.

Wspólnie posuwali się naprzód po trudnym do sforsowania terenie. Hansson wskazał im kierunek. Ciągle jednak nie mieli mapy.

Nie opuszczały ich wątpliwości. Czy na pewno się nie mylą? Czy przedziwne zaginięcie sprzed wielu lat, w związku z którym dwaj już nieżyjący policjanci z Jamtlandii zużyli kilogramy papieru, może im pomóc w odnalezieniu sprawcy wbijającego między innymi zaostrzone pale bambusowe?

Wątpliwości rozwiały się kilka minut po szóstej, kiedy na salę wszedł Nyberg. W ogóle nie zawracał sobie głowy zajmowaniem stałego miejsca przy stole. Wydawał się podekscytowany. Nie przypominali sobie, żeby kiedykolwiek był w takim stanie.

– Na pomoście leżał niedopałek – powiedział. – Mamy odcisk palca.

Wallander popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Odcisk palca na niedopałku? To chyba niemożliwe.

– Dopisało nam szczęście. Jasne, że to zazwyczaj niemożliwe. Ale są wyjątki. Bo to był skręt.

Zapadła cisza. Najpierw Hansson znalazł prawdopodobne ogniwo łączące Holgera Erikssona z zaginioną przed laty kobietą, a teraz Nyberg przynosi wiadomość, że ten sam odcisk jest na neseserze Runfeldta i tam, gdzie znaleźli Blomberga.

Ciut za dużo w tak krótkim czasie. Śledztwo, które się wlekło, niemal pozbawione sterowności, ruszyło z kopyta.

Nyberg usiadł.

– Sprawca pali papierosy – powiedział Martinsson. – Dwadzieścia lat temu dużo trudniej byłoby go odszukać. Dzisiaj pali znacznie mniej ludzi.

Wallander pokiwał głową w roztargnieniu.

– Musimy skrzyżować te morderstwa – powiedział. – Trzy ofiary to co najmniej dziewięć kombinacji. Odciski palców, czas, wszystko, co świadczyłoby o istnieniu wspólnego mianownika. – Rozejrzał się po sali. – Przydałby się dokładny harmonogram. Wiemy, że osoba lub osoby, które za tym stoją, cechuje niesamowita brutalność. W sposobie zabijania dopatryliśmy się pewnej demonstracji, ale nie zdołaliśmy odczytać języka mordercy. Jego kodu. Mamy mgliste przecucie, że sprawca do nas mówi. On, ona albo oni. Nie wiemy, co próbują nam przekazać. Czy istnieje w tym wszystkim jakiś inny wzór, którego dotąd nie zauważyliśmy?

– Na przykład zabija tylko podczas pełni? – spytał Svedberg. – O to chodzi?

– Tak. O symboliczną pełnię. Co by to mogło być? Czy coś takiego istnieje? Niech ktoś z was zrobi zestawienie godzin i dat. Może zyskamy dodatkową wskazówkę.

Martinsson obiecał się tym zająć. Wallander słyszał, że na własną rękę ściągnął kilka programów komputerowych opracowanych przez kwaterę główną FBI w Waszyngtonie. Przypuszczał, że Martinsson zamierza z nich teraz skorzystać.

Potem zastanawiali się nad punktem centralnym. Ann-Britt Höglund wyświetliła fragment mapy sztabowej. Wallander stanął obok ekranu.

– Zaczyna się w Lödinge – powiedział i pokazał na mapie.

– Skądś pojawia się jakiś człowiek i obserwuje Holgera Erikssona. Możemy przyjąć, że ma samochód i korzysta z drogi za pagórkami z pta-

się wieżą. Niewykluczone, że rok wcześniej włamał się do jego domu, ale nic nie ukradł. Może chciał go ostrzec. Tego nie wiemy. Zresztą to mógł być ktoś inny. – Wskazał na Ystad. – Gösta Runfeldt cieszy się na wyjazd do Nairobi, gdzie będzie studiował rzadkie odmiany orchidei. Wszystko jest gotowe. Neser spakowany, pieniądze wymienione, bilety odebrane. Nawet zamówił taksówkę. Ale podróż nie dochodzi do skutku. Gösta Runfeldt na trzy tygodnie przepada bez śladu. – Przesunął palec na las pod Marsvinsholmem, na zachód od Ystadu. – Znajduje go mężczyzna trenujący nocny bieg na orientację. Runfeldt jest przywiązany do drzewa. Udużony. Schudł. Musiał być gdzieś przetrzymywany. Na razie mamy dwa morderstwa w dwóch różnych miejscach, przy czym Ystad stanowi coś w rodzaju punktu środkowego. – Przesunął palec na północny wschód.

– Przy szosie na Sjobo, niedaleko drogi, która prowadzi do posesji Holgera Erikssona, znajdujemy neser Gösty Runfeldta. Leży w widocznym miejscu. Od razu nasuwa się wniosek, że umieszczono go tam, gdzie z pewnością zostanie zauważony. Rodzi się pytanie: Dlaczego właśnie tam? Czy to miejsce jest poręczne dla sprawcy? Tego nie wiemy. W każdym razie ta kwestia jest ważniejsza, niż sądziliśmy.

– Przesunął palec na południowy zachód. – Tutaj, w Krageholmssjon, znajdujemy zwłoki Eugena Blomberga. Mamy do czynienia z niewielkim obszarem. Między poszczególnymi punktami jest trzydzieści, czterdzieści kilometrów. Niespełna pół godziny drogi samochodem. – Usiadł. – Spróbujmy się zastanowić, o czym to świadczy.

– O znajomości terenu – odparła Ann-Britt Höglund. – Miejsce w lesie pod Marsvinsholmem zostało dobrze wybrane. Neser leżał w miejscu niezabudowanym. Nikt nie mógł zobaczyć zatrzymanego się samochodu.

– Skąd wiesz? – spytał Martinsson.

– Bo to sprawdziłam.

Martinsson umilkł.

– Albo się zna jakiś teren, albo się go poznaje – powiedział Wallander.
– Jak jest w tym wypadku?

Nie byli zgodni. Hansson uważał, że zapoznanie się z tymi okolicami nie powinno przysparzać żadnych trudności. Svedberg twierdził, że zwłaszcza wybór miejsca, w którym znaleźli Göstę Runfeldta, świadczy o znakomitej orientacji w terenie.

Wallander się wahał. Wcześniej wydawało mu się, że sprawca nie jest z tych stron. Teraz nie był tego pewien.

Nie doszli do porozumienia. Obie możliwości powinni brać pod uwagę. Nie odkryli także punktu centralnego. Wyznaczony liniijką i cyrklem, wypadłby gdzieś w pobliżu podrzuconego neseseru Runfeldta. Ale to ich nie posuwało dalej.

Ciągle wracali do neseseru. Dlaczego leżał na poboczu? Dlaczego został przepakowany? Nie potrafili też wyjaśnić braku bielizny osobistej. Hansson spekulował, że może Runfeldt niczego pod spodem nie nosił, ale, naturalnie, nie potraktowali tego poważnie. Musiało być inne wytłumaczenie.

O dziewiątej wieczorem zrobili przerwę na wietrzenie. Martinsson zniknął w swoim pokoju, żeby zadzwonić do domu. Svedberg włożył kurtkę i wyszedł na krótki spacer. Wallander udał się do toalety i opłukał twarz. Spojrzał w lustro. Odniósł wrażenie, że po śmierci ojca wygląda inaczej. Nie zdołał jednak dociec, na czym ta zmiana polega. Pokręcił głową do swojego odbicia. Niedługo musi wszystko przemyśleć. Ojca nie było od kilku tygodni. Wciąż nie całkiem to do niego docierało. Miał niejasne wyrzuty sumienia. Pomyślał o Bajbie. Tak mu na niej zależało, a w ogóle do niej nie dzwoni.

Nierzadko wątpił, żeby policjant mógł łączyć swój zawód z czymkolwiek innym. Co, naturalnie, nie było prawdą. Martinssonowi świetnie się układało w rodzinie. Ann-Britt Höglund praktycznie sama wychowywała dwójkę dzieci. Nie radził sobie z tym Wallander jako osoba prywatna, a nie Wallander policjant.

Ziewnął do swojego odbicia w lustrze. Usłyszał, że koledzy zaczynają się schodzić. Teraz powinni się zająć majaczą w tle kobietą. Muszą ją zobaczyć i ustalić, jaką rolę w tym wszystkim odgrywa.

Kiedy zamknął drzwi do sali zebrania, od tego zaczął.

– Gdzieś w tle majaczy kobieta – powiedział. – Chcę, żebyśmy się skupili tylko na tym, tak długo jak wytrzymamy. Mówimy o motywie zemsty. Ale jesteśmy mało konkretni. Czy to znaczy, że źle myślimy? Że patrzemy w złą stronę? A może istnieje zupełnie inne wytłumaczenie?

Choć nastrój był apatyczny, słuchali go w skupieniu.

Wrócił do Katariny Taxell z Lundu.

– Urodziła dziecko w Ystadzie. Dwa razy ktoś ją odwiedził w nocy. Mimo że zaprzecza, jestem pewien, że nieznamą kobieta była właśnie

u niej. Katarina Taxell kłamie. Dlaczego? Kim jest ta kobieta? Dlaczego Katarina Taxell nie chce ujawnić jej tożsamości? I ona, i przebrana pielęgniarka to pierwsze kobiety w tym śledztwie. Możemy chyba przyjąć, że ojcem dziecka jest Eugen Blomberg. Myślę, że Katarina Taxell kłamie również w tej sprawie. Podczas rozmowy z nią w Lundzie miałem wrażenie, że nie powiedziała ani jednego słowa prawdy. Nie wiem, dlaczego. W każdym razie musimy się liczyć z tym, że jest ważnym kluczem do tej płataniny.

– Dlaczego jej nie zatrzymujemy? – spytał zapalczywie Hansson.

– Na jakiej podstawie? Poza tym jest młodą matką i nie możemy jej traktować, jak nam się podoba. Zresztą nie wydaje mi się, żeby powiedziała coś nowego, gdybyśmy ją posadzili na krześle w komendzie. Możemy dotrzeć do prawdy w inny sposób, obserwować ją, szukać w jej pobliżu.

Hansson bez przekonania pokiwał głową.

– W otoczeniu Eugena Blomberga mamy także wdowę po nim – podjął Wallander. – Dostarczyła nam przydatnych informacji, ale najważniejsze jest to, że go nie opłakuje. Bił ją. Sądząc po bliznach, od dłuższego czasu. Pośrednio potwierdziła jego romans z Katariną Taxell, ponieważ przyznała, że mąż zawsze miał związki pozamałżeńskie.

Wypowiadając ostatnie słowa, pomyślał, że przemawia jak starej daty pastor kościoła niezależnego. Ciekawe, jakiego zwrotu użyłaby Ann-Britt Höglund.

– Założmy, że szczegóły dotyczące Blomberga stanowią pewien wzór – kontynuował. – Jeszcze do tego wrócimy. – Cofnął się w czasie. – Gösta Runfeldt był z całą pewnością brutalny. Zaświadcza o tym jego dzieci. Za miłośnikiem orchidei ukrywał się zupełnie inny człowiek. Najmował się również jako prywatny detektyw. Dlaczego? Szukał napięcia? Nie wystarczyły mu orchidee? Tego nie wiemy. Można jedynie podejrzewać, że miał dość złożoną naturę. – Przeszedł do żony. – Pojechałem nad jezioro pod Almhultem, nie bardzo wiedząc, czego szukać. Nie mam żadnych dowodów, ale wydaje mi się, że Runfeldt zabił żonę. Przypuszczalnie nigdy się nie dowiemy, co się tam naprawdę wydarzyło. Główne osoby nie żyją. Świadców nie ma. Mimo to podejrzewam, że musiał o tym wiedzieć ktoś spoza rodziny. Ponieważ nie dysponujemy żadnymi konkretnymi, powinniśmy przyjąć, że to, co spotkało Runfeldta, ma jakiś związek ze śmiercią jego żony. – Przystąpił do omówienia przebiegu wydarzeń. –

Runfeldt wybiera się do Afryki. Ale tam nie jedzie. Coś staje na przeszkodzie. Znika. Nie wiemy, jak, ale możemy dosyć dokładnie określić czas. Nie znamy przyczyn włamania do kwiaciarni. Nie wiemy, gdzie był przetrzymywany. Miejsce podrzucenia neseseru może, naturalnie, stanowić jakąś wskazówkę geograficzną. Możemy chyba postawić hipotezę, że przepakowała go ta sama kobieta, która wypaliła skręta na pomoście, z którego zepchnięto Blomberga.

– To mogły być dwie osoby – przerwała mu Ann-Britt Höglund. – Ta, która pali, zostawiła odciski palców na neseserze, a druga przepakowała neseser.

– Masz rację – przyznał Wallander. – Wprowadzam poprawkę. Była tam co najmniej jedna osoba.

Spojrzał na Nyberga.

– Szukamy – poinformował Nyberg. – U Holgera Erikssona zdjęliśmy mnóstwo odcisków palców. Na razie żaden nie pasuje.

Wallander nagle sobie o czymś przypomniał.

– Czy na plakietce, którą znaleźliśmy w neseserze Runfeldta, były jakieś odciski?

Nyberg pokręcił głową.

– A powinny być – powiedział Wallander, zdziwiony.

– Przecież identyfikatory wpina się i zdejmuje palcami.

Nie potrafili tego wyjaśnić.

– Na razie zbliżyliśmy się do pewnej liczby kobiet, z których jedna pozostaje w tle – kontynuował Wallander. – Powtarza się wątek molestowania. Być może doszło także do morderstwa, którego nie wykryto. Musimy sobie zadać pytanie: Kto o tym wiedział? Kto miał powód do zemsty? Jeśli oczywiście motywem jest zemsta.

Svedberg podrapał się w szyję.

– Mamy dwa zamknięte dochodzenia. Nie tylko w Almhulcie, ale i w Ostersundzie.

Wallander skinął głową.

– Pozostaje Holger Eriksson. Jeszcze jeden brutalny mężczyzna. Dzięki niemałym wysiłkom albo raczej dużemu szczęściu udało nam się odnaleźć kobietę również w jego otoczeniu. Polkę, która zaginęła blisko trzydzieści lat temu.

– Popatrzyl po kolegach. – Innymi słowy, istnieje pewien wzór. Brutalni mężczyźni, bite, zaginione bez wieści lub zamordowane kobiety i cień,

który wszystko śledzi. Tym cieniem może być kobieta paląca papierosy.

Hansson wypuścił ołówek z dłoni i pokręcił głową.

– Mimo wszystko udział kobiety wydaje się mało prawdopodobny. Musiałyby mieć niesamowitą siłę i makabryczną wyobraźnię, żeby mordować w taki wyrafinowany sposób. Skąd mogłaby wiedzieć, co się przytrafiło tym kobietom? Była albo jest ich przyjaciółką? Jak się przecięły ich drogi?

– Odpowiedź na te pytania ma przypuszczalnie decydujące znaczenie – powiedział Wallander. – Jak te osoby weszły z sobą w kontakt? Gdzie ich szukać? Wśród mężczyzn czy wśród kobiet? Sprzedawca samochodów, miejscowy poeta i obserwator ptaków, miłośnik orchidei, prywatny detektyw i kwiaciarz, i wreszcie naukowiec od alergii, pozbawiony jakichkolwiek zainteresowań. A może powinniśmy zacząć od kobiet? Młoda matka, która kłamie w sprawie ojca dziecka. Kobieta, która dziesięć lat temu utonęła w Stångsjön. Osiadła w Jamtlandii Polka, miłośniczka ptaków, która zaginęła blisko trzydzieści lat temu. I nieznanajoma, która zakrada się do ystadzkiego szpitala i bije położną. Gdzie są punkty styczne?

Zapadła cisza. Próbowali znaleźć odpowiedź. Wallander czekał. Miał nadzieję, że któreś z nich wyciągnie jakiś nieoczekiwany wniosek. Rydberg często powtarzał, że prowadzący śledztwo powinien przede wszystkim stymulować kolegów do niekonwencjonalnego myślenia. Ciekawe, czy mu się to udało.

Ann-Britt Höglund przerwała ciszę.

– W niektórych grupach zawodowych dominują kobiety. A skoro szukamy pielęgniarki, fałszywej albo prawdziwej, służba zdrowia wydaje się dobrym miejscem nawiązywania kontaktów.

– Poza tym pacjenci przyjeżdżają z różnych stron – włączył się Martinsson. – Jeśli poszukiwana przez nas osoba pracuje na przykład w pogotowiu, na pewno się zetknęła z wieloma pobitymi kobietami. Nie znały się wcześniej. Ale ona wiedziała, kim są, miała dostęp do kart chorobowych.

Wallander uznał, że Ann-Britt Höglund i Martinsson mogli mieć rację.

– Nie wiemy, czy jest pielęgniarką – powiedział. – Wiemy tylko tyle, że nie pracuje na oddziale położniczym w Ystadzie.

– A dlaczego nie miałyby pracować na innym oddziale? – zauważył Svedberg.

Wallander wolno pokiwał głową. Czy to rzeczywiście mogło być takie proste? Pielęgniarka z ystadzkiego szpitala?

– To łatwo sprawdzić – powiedział Hansson. – Nawet jeśli karty pacjentów są święte, ściśle tajne i poufne, powinniśmy zdobyć informację, czy nie zgłosiła się do pogotowia z powodu pobicia żona Gösty Runfeldta. I Krista Haberman.

Wallander odwrócił perspektywę.

– Czy Runfeldt i Eriksson kiedykolwiek byli oskarżeni o pobicie? Jeśli tak, mielibyśmy się czego trzymać.

– Są jeszcze inne możliwości – wtrąciła Ann-Britt Höglund, jakby chciała podać w wątpliwość swoją poprzednią sugestię. – Są inne miejsca zdominowane przez kobiety. Poza tym istnieją grupy kryzysowe dla kobiet. Nawet policjantki ze Skanii mają własną sieć.

– Zbadamy wszystkie ewentualności – powiedział Wallander. – To zajmie dużo czasu. Musimy zdawać sobie sprawę, że śledztwo jest wielokierunkowe. Dużo jest odniesień do przeszłości. Wiem, że przeglądanie starych materiałów wymaga sporo wysiłku, ale nie widzę innego wyjścia.

Przez dwie godziny, do północy, opracowywali różne strategie działania. Ponieważ komputerowe poszukiwania Martinssona nie przyniosły jak dotąd żadnych nowych informacji o związkach między trzema ofiarami, postanowili wykorzystać inne sposoby ich zdobycia.

O północy utknęli.

Hansson zadał ostatnie pytanie, którego wszyscy się spodziewali.

– Czy to się powtórzy?

– Nie wiem – odparł Wallander. – Obawiam się, że to możliwe. Mam wrażenie, że czegoś tu jeszcze brakuje. O nic mnie nie pytajcie. Opieram się na czymś tak nieprofesjonalnym jak przeczucie. Albo intuicja.

– Też mam pewne przeczucie – z zaskakującą stanowczością odezwał się Svedberg. – Jeśli sprawca mści się na mężczyznach źle traktujących kobiety, może nas czekać seria niekończących się morderstw.

Wallander nie mógł odmówić Svedbergowi racji. Sam próbował nie dopuszczać do siebie tej myśli.

– Jest takie ryzyko – przyznał. – Dlatego musimy jak najszybciej złapać mordercę.

– Posiłki – przypomniał milczący od dwóch godzin Nyberg. – Inaczej sobie nie poradzimy.

– Tak – zgodził się Wallander. – Zdaję sobie sprawę, że będą nam po-

trzebne. Zwłaszcza po naszych dzisiejszych ustaleniach. Nie będziemy w stanie dać z siebie więcej niż do tej pory.

Hamrén podniósł rękę. Siedział przy końcu stołu w towarzystwie kolegów z Malmö.

– Chciałbym podkreślić – powiedział – że bodaj po raz pierwszy spotykam się z taką wydajnością i sprawnością tak niewielkiej liczby osób. Byłem u was latem, więc wiem, że to nie jest wyjątek. Jeśli zwrócicie się o posiłki, żaden rozumny człowiek wam nie odmówi.

Policjanci z Malmö zgodnie przytaknęli.

– Porozmawiam o tym z Lisą Holgersson – powiedział Wallander. – Postaram się, żeby nam podesłali parę kobiet. Choćby dla poprawy nastroju.

Nieco się rozluźnili. Wallander wstał. Trzeba wiedzieć, kiedy zakończyć zebranie. Teraz był odpowiedni moment. Nic więcej już nie dziająca. Potrzebują snu.

Poszedł do siebie po kurtkę. Przejrzał coraz pokaźniejszą stertę kartecek z numerami telefonów. Zamiast włożyć kurtkę i wyjść, usiadł. Kroki na korytarzu umilkły. Opuścił lampę nad blat biurka. Pokój tonął w półmroku.

Było w pół do pierwszej. Nie zastanawiając się, chwycił za słuchawkę i zadzwonił do Bajby. Tak jak on, kładła się o różnych porach. Odebrała niemal natychmiast. Nie spała. Jak zwykle próbował wychwycić z tonu jej głosu, czy się cieszy z jego telefonu. Nigdy tego nie wiedział zawczasu. Tym razem wydawało mu się, że zachowuje rezerwę. Poczł się niepewnie. Chciał gwarancji, że wszystko jest w porządku. Spytał, jak się czuje, i wspomniał o wyczerpującym śledztwie. Zadała mu kilka pytań. Potem na łączach między Ystadem i Rygą zagościła cisza.

– Kiedy przyjedziesz? – zapytał po dłuższej chwili.

Jej odpowiedź zaskoczyła go. Choć nie powinna.

– Naprawdę chcesz, żebym przyjechała?

– Dlaczego miałbym nie chcieć?

– Bo prawie wcale do mnie nie dzwonisz. A kiedy dzwonisz, mówisz, że nie masz czasu na rozmowy ze mną. To jak miałbyś czas, żeby się ze mną spotkać?

– Tak nie jest.

– A jak?

Nie wiedział, dlaczego tak zareagował. Ani wtedy, ani później. Nie

udało mu się powstrzymać impulsu i rzucił słuchawkę na widełki. Przez chwilę wpatrywał się w telefon, po czym wstał i wyszedł. Mijając centralkę, pożałował. Ale wiedział, że Bajba nie odbierze, gdyby teraz zadzwonił. Na tyle ją znał.

Owionęło go nocne powietrze. Zauważył znikający przy wieży ciśnieniomierz. Było chłodno i pogodnie. Środa 19 października.

Nie rozumiał swojej reakcji. Co by było, gdyby rozmawiali w cztery oczy?

Pomyślał o zamordowanych mężczyznach. Jakby dopiero teraz sobie uświadomił, że w otaczającej go brutalności kryła się jakaś część jego samego. Jakby miał w tym swój udział.

Różnica polegała wyłącznie na stopniu intensywności.

Pokręcił głową. Rano zadzwoni do Bajby. Wtedy odbierze. I zrozumie. Ją także zmęczenie potrafiło przyprawić o irytację. Wówczas była jego kolej na wyrozumiałość.

Dochodziła pierwsza. Może powinien poprosić kolegów z nocnego patrolu, żeby go odwieźli do domu. Ruszył na piechotę przez wyludnione miasto. Gdzieś z piskiem opon przejechał samochód. Potem zaległa cisza.

Siedzieli blisko siedem godzin. Właściwie nic się nie wydarzyło. A mimo to wieczór obfitował w wydarzenia. „Jasność rodzi się pomiędzy”, powiedział kiedyś porządnie pijany Rydberg. Wallander, choć równie nietrzeźwy, zrozumiał. I zapamiętał. Siedzieli u Rydberga na balkonie. Pięć, może sześć lat temu. Rydberg jeszcze nie chorował. Był czerwcowy wieczór, przed nocą świętojańską, chyba coś oblewali.

Jasność rodzi się pomiędzy.

Był na wysokości szpitala. Po chwili wahania podszedł do drzwi oddziału ratunkowego i zadzwonił. Usłyszał czyjś głos, przedstawił się i spytał, czy tej nocy ma dyżur Ylva Brink. Miała.

Czekała na niego przed przeszklonymi drzwiami. Dostrzegł niepokój na jej twarzy. Uśmiechnął się, ale niewiele to dało. Może jego uśmiech nie przypominał uśmiechu? Albo światło było nieodpowiednie.

Weszli na oddział. Spytała, czy napije się kawy.

Pokręcił głową.

– Ja tylko na chwilę. Ma pani dużo pracy?

– Tak. Ale chwilę znajdę. Jeśli to nie może poczekać do jutra.

– Pewnie może. Ale właśnie wracałem do domu.

Pielęgniarka, która weszła do kantorka zaraz po nich, zatrzymała się

na widok Wallandera.

– To może poczekać – powiedziała i zniknęła.

Wallander oparł się o biurko. Ylva Brink usiadła na krześle.

– Na pewno myślała pani o tej kobiecie, która panią uderzyła – zaczął Wallander. – Kim jest. Co tu robiła. Dlaczego tak się zachowywała. Dokładnie ją pani opisała, ale może coś jeszcze przyszło pani do głowy. Jakiś szczegół.

– Ma pan rację, dużo o tym myślałam. Ale powiedziałam wszystko, co zapamiętałam.

– A kolor oczu?

– Nie widziałam jej oczu.

– Oczy przeważnie się pamięta.

– To się odbyło bardzo szybko.

Wierzył jej.

– Mogła się jakoś szczególnie poruszać. Mogła mieć szramę na rękę. Człowiek składa się z mnóstwa rozmaitych szczegółów. Wydaje nam się, że pamięć jest ulotna. W gruncie rzeczy jest całkiem inaczej. Można by to porównać do przedmiotu, który bardzo powoli zanurza się w wodzie. Tak działa nasza pamięć.

Pokręciła głową.

– To się odbyło tak szybko – powtórzyła. – Powiedziałam wszystko. Naprawdę się starałam.

Wallander nie spodziewał się właściwie niczego innego.

– Co ona zrobiła? – spytała.

– Uderzyła panią. Szukamy jej. Może mieć ważne dla nas informacje. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Na zegarze ściennym było dwadzieścia siedem po pierwszej. Uścisnął jej rękę na pożegnanie i wyszli z kantorka.

Nagle Ylva Brink zatrzymała się.

– Może jest coś jeszcze.

– Co?

– Wtedy o tym nie myślałam. Wtedy, kiedy do niej podeszłam i kiedy mnie uderzyła.

– Co to takiego?

– Używała dość specjalnych perfum.

– To znaczy?

Popatrzyła na niego niemal błagalnie.

- Nie mam pojęcia. Jak można opisać zapach?
- Wiem, że to jedna z najtrudniejszych rzeczy, ale proszę spróbować.
- Niestety – powiedziała po chwili. – Nie znajduję odpowiednich słów.

W każdym razie był specjalny. Ostry.

- Jak woda po goleniu?

Zdumiała się.

- Skąd pan wiedział?

– Tak tylko pomyślałem.

– Chyba niepotrzebnie to powiedziałam, bo nie umiem tego lepiej wyrazić.

- Przeciwnie, to się może okazać ważne.

Rozstali się przy przeszklonych drzwiach. Wallander zjechał na dół windą i opuścił szpital. Szedł szybko. Musi się przespać.

Jeśli z plakietki nie wywietrzał zapach perfum, poproszą Ylvę Brink, żeby ją powąchała. Mimo że już teraz znał odpowiedź.

To ten sam zapach. Szukają kobiety, która używa specjalnych perfum. Ciekawe, czy kiedykolwiek ją znajdą.

30

Skończyła pracę o 7.35. Zdjęta nagłym niepokojem, spieszyła się. W Malmö było chłodno i wilgotno. Poszła na parking. Normalnie od razu wróciłaby do domu, żeby się wyspać, ale teraz musiała pojechać do Lundu. Wrzuciła torbę na tylne siedzenie i usiadła za kierownicą. Zauważyła, że pocą jej się dłonie.

Nie mogła mieć pełnego zaufania do Katariny Taxell. Była zbyt miękka. Istniało ryzyko, że nie dochowa tajemnicy. Pomyślała, że wystarczy ją musnąć, żeby miała siniaki.

Mimo że od początku żywiła takie obawy, uważała, że ma ją pod kontrolą. Teraz nie była już taka pewna.

Muszę ją stamtąd zabrać, pomyślała. Przynajmniej dopóki nie nabierze dystansu do tego, co się stało.

Nie powinna mieć z tym żadnych problemów. Zaburzenia psychiczne związane z porodem nie były niczym wyjątkowym.

Kiedy przyjechała do Lundu, zaczęło padać. Niepokój jej nie opusz-

czał. Zaparkowała na bocznej ulicy i ruszyła w kierunku placu, przy którym mieszkała Katarina Taxell. Nagle się zatrzymała i powoli cofnęła, jakby zobaczyła jakiegoś drapieżnika. Przywarła do ściany i patrzyła na kamienicę Katariny Taxell.

Przed drzwiami stał samochód. Ktoś w nim siedział. Chyba dwóch mężczyzn. Ani przez chwilę nie wątpiła, że to policjanci. Katarina Taxell była pod obserwacją.

Ogarnęła ją panika. Czowała, jak pała jej twarz. Mocniej zabiło serce. Myśli pierzchały na wszystkie strony jak spłoszone zwierzęta w pomieszczeniu, w którym nagle zapalono światło. Co powiedziała Katarina Taxell? Dlaczego jej pilnują?

A może to przywidzenie? Stała nieruchomo i próbowała się spokojnie zastanowić. Katarina Taxell z całą pewnością nic nie powiedziała. Gdyby to zrobiła, nie pilnowaliby jej, tylko od razu zabrali. Czyli nie jest jeszcze za późno. Przypuszczalnie nie ma zbyt dużo czasu, ale go nie potrzebuje. Wiedziała, jak to załatwić.

Zapaliła papierosa, którego skręciła w nocy. Według harmonogramu, co najmniej godzinę za wcześnie. Pozwoliła sobie na odstępstwo. Ale ten dzień będzie szczególny. Nic na to nie poradzi.

Jeszcze przez kilka minut patrzyła na samochód przed drzwiami.

Potem zgasiła papierosa i szybko odeszła.

*

Wallander obudził się w środę tuż po szóstej rano. Nie wypoczął. Miał zbyt duży deficyt snu. Bezsilność kładła się na jego świadomości jak ołowiany ciężarek. Leżał bez ruchu z otwartymi oczami. Człowiek to zwierzę, które żyje, żeby sobie radzić, pomyślał. A ja już dłużej nie mogę.

Usiadł na brzegu łóżka. Czuł chłód podłogi pod stopami. Popatrzył na paznokcie u nóg. Powinien je obciąć. Potrzebował generalnego remontu. Miesiąc wcześniej był w Rzymie i zbierał siły. Już je zużył. Wyczerpały się w niespełna cztery tygodnie. Wstał z wysiłkiem i poczłapał do łazienki. Zimna woda podziałała na niego jak policzek. Nie po raz pierwszy zmuszała go do takiego funkcjonowania. Wytarł się, włożył szlafrok i poszedł do kuchni. Zawsze ta sama rutyna. Woda na kawę, okno, termometr. Padał deszcz. Plus cztery stopnie. Jesień. Ziab zagościł na dobre. Ktoś z komendy mówił o długiej zimie. Obawiał się tego.

Z kawą i poranną gazetą usiadł przy kuchennym stole. Na pierwszej

stronie było zdjęcie z Lödinge. Wypił parę łyków. Pierwszy i najwyższy próg zmęczenia miał już za sobą. Jego poranki przypominały niekiedy tor przeszkód. Popatrzył na zegarek. Pora zadzwonić do Bajby.

Odebrała po drugim sygnale. Wiedziała, że teraz będzie inaczej.

– Jestem zmęczony – zaczął tonem usprawiedliwienia.

– Wiem. Ale moje pytanie jest aktualne.

– Czy chcę, żebyś przyjechała?

– Tak.

– Niczego bardziej nie chcę.

Wierzyła mu. I powiedziała, że może uda jej się za parę tygodni. Na początku listopada. Jeszcze dzisiaj zorientuje się, co i jak.

Nie rozmawiali długo. Żadne z nich nie przepadało za telefonami. Pijąc kawę, pomyślał, że tym razem musi z nią poważnie pomówić. O tym, czy przeprowadzi się do Szwecji. O nowym domu. Może wspomni także o psie.

Długo siedział przy stole. Nawet nie otworzył gazety. Dopiero o wpół do ósmej zaczął się ubierać. Nie od razu znalazł w szafie ostatnią czystą koszulę. Musi zarezerwować czas na pranie. Szykował się do wyjścia. Zadzwoił telefon. Mechanik z Almhultu. Kiedy usłyszał, ile wynosi koszt naprawy, zrobiło mu się gorąco. Nic jednak nie powiedział. Mechanik obiecał podstawić samochód do Ystadu tego samego dnia. Brat nim przyjedzie i wróci pociągiem. Wallander zapłaci tylko za bilet kolejowy.

Wyszedł na ulicę. Deszcz był bardziej rześisty, niż przypuszczał. Wybrał numer komendy. Ebba obiecała zorganizować radiowóz. Zjawił się w ciągu pięciu minut. O ósmej Wallander był już w swoim pokoju.

Ledwie zdjął kurtkę, wszystko zaczęło się dziać jednocześnie.

W drzwiach stanęła Ann-Britt Höglund. Była bardzo blada.

– Słyszałeś? – spytała.

Wallander drgnął. Znowu? Następny zamordowany?

– Przed chwilą przyszedłem – odparł. – O co chodzi?

– Napadli na córkę Martinssona.

– Terese?

– Tak.

– Co się stało?

– Zaatakowali ją przed szkołą. Jeśli dobrze zrozumiałam Svedberga, ma to coś wspólnego z tym, że Martinsson jest policjantem.

Wallander popatrzył na nią obojętnie.

– Czy to coś poważnego?
– Szarpali ją i bili pięściami po głowie. Kopali. Nie odniosła fizycznych obrażeń, ale jest w szoku.

– Kto to zrobił?

– Uczniowie. Z wyższych klas.

Wallander usiadł na krześle.

– Jasna cholera! Dlaczego?

– Nie znam szczegółów. Ale wygląda na to, że uczniowie też rozmawiają o gwardii obywatelskiej. Że policja nic nie robi. Że się poddaliśmy.

– I rzucają się na córkę Martinssona?

– Tak.

Wallander poczuł ucisk w gardle. Terese miała trzynaście lat. Martinsson bez przerwy o niej mówił.

– Dlaczego napadają na niewinne dziecko? – spytał.

– Nie czytałeś gazet?

– Nie.

– Ludzie wypowiadają się o Eskilu Bengtssonie i innych. Uważają, że ich aresztowanie to naruszenie prawa. Podobno Åke Davidsson stawiał opór. Gazety zamieściły duże reportaże, zdjęcia i nagłówki: „Po czyjej stronie jest policja?”

– Nie muszę tego czytać – powiedział Wallander z niesmakiem. – Co się dzieje w tej szkole?

– Hansson jest na miejscu. Martinsson zabrał córkę do domu.

– I zrobili to chłopcy z jej szkoły?

– O ile nam wiadomo, tak.

– Jedź tam – zdecydował Wallander – i dowiedz się tyle, ile się tylko da. Porozmawiaj z chłopcami. Ja wolę się tam nie pokazywać, bo mógłbym się wkurzyć.

– Wystarczy Hansson.

– Mimo to chcę, żebyś tam była. Oczywiście, że Hansson wystarczy, ale zależy mi na tym, żebyś się po swojemu spróbowała zorientować, co się naprawdę stało i dlaczego. Im więcej nas tam będzie, tym lepiej. Niech wiedzą, że traktujemy to bardzo poważnie. Ja pojedę do Martinssona. Wszystko inne może na razie poczekać. Nie ma nic gorszego niż zabicie policjanta. Na drugim miejscu jest atakowanie jego dzieci.

– Podobno inni uczniowie przyglądali się i śmiali.

Wallander podniósł rękę. Nie chciał tego słuchać. Wstał

i chwycił kurtkę. Wyszli na korytarz.

– Eskil Bengtsson i inni dzisiaj wychodzą – poinformowała Ann-Britt Höglund. – Ale Per Åkeson wniesie oskarżenie.

– Ile dostaną?

– Okoliczni mieszkańcy już organizują zbiórkę pieniędzy, gdyby trzeba było zapłacić grzywnę. Ale miejmy nadzieję, że posiedzą. Przynajmniej niektórzy.

– Co z Åke Davidssonem?

– Jest już w domu.

Wallander zatrzymał się i popatrzył na nią.

– A co by było, gdyby go zabili? Też dostaliby karę grzywny?

Nie spodziewał się żadnej odpowiedzi.

Radiowóz podrzucił Wallandera pod skromny dom Martinssonów położony w dzielnicy willowej na wschodnich obrzeżach miasta. Wallander nie odwiedzał ich zbyt często. Państwo Martinssonowie z wielkim oddaniem pielęgowali ogródek. Zadzwoił do drzwi. Otworzyła żona, Maria. Miała zaczerwienione oczy. Terese była ich najstarszym dzieckiem. Prócz niej mieli dwóch chłopców. Jeden z nich, Rickard, stał tuż za matką. Wallander uśmiechnął się i pogłaskał go po głowie.

– Jak się czuje? – spytał. – Właśnie się dowiedziałem i od razu przyjechałem.

– Siedzi na łóżku i płacze. Chce rozmawiać tylko z tatą.

Wallander wszedł do mieszkania, zdjął kurtkę i buty. Jedna skarpetka była dziurawa. Maria spytała, czy napije się kawy. Tak, chętnie. Na schodach pojawił się Martinsson. Zwykle się uśmiechał, ale tym razem Wallander dostrzegł w jego twarzy rozgoryczenie. I lęk.

– Usłyszałem, co się stało – powiedział Wallander – i jestem.

Usiedli w salonie.

– Jak ona się czuje?

Martinsson pokręcił głową. Wallander miał wrażenie, że za chwilę się rozpłacze. Pierwszy raz byłby świadkiem jego łez.

– Składam wymówienie – oznajmił Martinsson. – Jeszcze dzisiaj porozmawiam z Lisą.

Wallander nie wiedział, co powiedzieć. Rozumiał wzburzenie Martinssona. Zareagowałby tak samo, gdyby coś podobnego spotkało Lindę.

Jednak musiał temu zapobiec. W żadnym razie Martinsson nie powinien się poddawać. Uznał, że tylko on może go nakłonić do zmiany zda-

nia.

Ale nie teraz. Martinsson był w szoku.

Maria przyniosła kawę. Martinsson pokręcił głową. Nie miał ochoty.

– To nie jest tego warte – powiedział. – Nie wtedy, kiedy przenosi się na rodzinę.

– Tak. Nie jest.

Martinsson milczał. Wallander też. Chwilę później Martinsson poszedł na górę. Wallander nie mógł w tej sytuacji nic zrobić.

Maria odprowadziła go do drzwi.

– Pozdrów Terese ode mnie – powiedział Wallander.

– Czy znowu się na nas rzucą?

– Nie. Wiem, że to może dziwnie zabrzmieć, jakbym chciał z tego zajścia zrobić niegroźny nieszczęśliwy wypadek, ale chodzi mi o to, że nie powinniśmy tracić z oczu właściwych proporcji. Żebyśmy nie wyciągali pochopnych wniosków. Ci chłopcy byli zaledwie parę lat starsi od Terese. Nie mieli nic złego na myśli. Chyba nie bardzo wiedzą, co robią. A wszystko dlatego, że tacy ludzie jak Eskil Bengtsson i inni z Lödinge postanowili zorganizować gwardię obywatelską i szczują przeciwko policji.

– Wiem. W naszej okolicy też się o tym mówi.

– Rozumiem, że kiedy narażone są nasze dzieci, kierujemy się emocjami. Ale mimo wszystko musimy zachować rozsądek.

– Skąd się bierze ta przemoc?

– Nie ma złych ludzi. Wydaje mi się, że wyjątki zdarzają się bardzo rzadko. Są złe warunki i to one rodzą przemoc. I właśnie z takimi warunkami powinniśmy walczyć.

– Czy będzie coraz gorzej?

– Możliwe – odparł Wallander z wahaniem. – W każdym razie trzeba to zmienić, bo nie jest prawdą, że mamy coraz więcej złych ludzi.

– Coraz trudniej się u nas żyje.

– Tak.

Uścisnął jej rękę na pożegnanie i wszedł do czekającego radiowozu.

– Jak się czuje Terese? – zapytał kolega za kierownicą.

– Martwi się. Jej rodzice też.

– Czy można się nie wkurzyć?

– Nie. A może można?

Wallander pojechał do komendy. Hansson i Ann-Britt Höglund jeszcze

nie wrócili ze szkoły Terese. Lekko się zirytował, słysząc, że Lisa Holgersson jest w Sztokholmie. Już została poinformowana, co się stało, i miała być w Ystadzie po południu. Wallander odszukał Svedberga i Hamréna. Nyberg zdejmował odciski palców w domu Holgera Erikssona. Policjanci z Malmö robili swoje, każdy gdzie indziej. Wallander usiadł ze Svedbergiem i Hamrénem w sali zebrań. Byli wstrząśnięci tym, co spotkało córkę Martinssona. Po krótkiej rozmowie rozeszli się. Po przedniego wieczora dokonali podziału zadań.

Wallander zadzwonił do Nyberga.

– No i jak? – spytał.

– Nie najlepiej. Znaleźliśmy jeden niewyraźny odcisk na ptasiej wieży. Pod poręczą. Niewykluczone, że zostawił go Holger Eriksson. Ciągłe szukamy.

Wallander zastanawiał się.

– Myślisz, że morderca był na wieży?

– Czemu nie? To chyba prawdopodobne.

– Masz rację. Może będą i niedopałki.

– Gdyby były, od razu byśmy je znaleźli.

Wallander zrelacjonował przebieg ostatniej rozmowy z Ylvą Brink.

– Plakietka jest w torebce foliowej – powiedział Nyberg. – Jeśli Ylva Brink ma dobry węch, powinna wyczuć zapach.

– Musimy to załatwić jak najszybciej. Zadzwoń do niej. Svedberg poda ci jej domowy numer.

Nyberg nie miał zastrzeżeń. Wallander zauważył na biurku jakiś nowy dokument. Urząd Patentowo-Rejestracyjny informował, że Harald Berggren nie dokonał formalnej zmiany nazwiska. Wallander odsunął to od siebie. Była dziesiąta. Deszcz padał nieprzerwanie. Pomyślał o ostatnim zebraniu i znów odczuł niepokój. Czy na pewno są na właściwym tropie? Czy zmierzają na manowce? Stanął przy oknie i patrzył na wieżę ciśnień. Katarina Taxell jest naszym najważniejszym śladem. Widziała tę kobietę. Dwa razy odwiedziła ją nocą na oddziale położniczym. Czego od niej chciała?

Podszedł do biurka i zadzwonił do Lundu. Po dziesięciu minutach udało mu się skontaktować z Birchchem.

– Cisza i spokój – powiedział Birch. – Była u niej jedynie starsza kobieta, którą zidentyfikowaliśmy jako jej matkę. Katarina wyszła z domu tylko raz, żeby zrobić zakupy. W tym czasie matka opiekowała się dziec-

kiem. Sklep spożywczy jest w pobliżu. Kupiła dużo gazet. I to wszystko.

– Pewnie chciała poczytać o morderstwie. Czy może się domyślać, że ją obserwujemy?

– Raczej nie. Jest spięta, ale nie rozgląda się na boki. Chyba nic nie zauważyła.

– To ważne.

– Cały czas wymieniamy ludzi.

Wallander pochylił się nad biurkiem i otworzył kołonoatnik.

– Co z rozpoznaniem? Co o niej wiemy?

– Ma trzydzieści trzy lata. Osiemnaście lat młodsza od Blomberga.

– To jej pierwsze dziecko. Trochę późno. Kobiety, którym się spieszy, może nie zwracają nadmiernej uwagi na różnicę wieku. Ale prawie nic o tym nie wiem.

– Według niej, to nie Blomberg jest ojcem dziecka.

– Kłamie – powiedział Wallander i lekko się zdziwił, skąd mu się wzięła taka pewność. – Masz coś jeszcze?

– Katarina Taxell urodziła się w Arlovie. Ojciec, inżynier zatrudniony w rafinerii cukru, osierocił ją, kiedy była mała. Zginął w wypadku pod Landskroną. W jego samochód uderzył pociąg. Nie ma rodzeństwa. Wychowywała ją matka. Po śmierci ojca przeprowadziły się do Lundu. Matka pracowała na pół etatu w bibliotece. Katarina Taxell była dobrą uczennicą. Podjęła studia na uniwersytecie. Geografia i szwedzki. Dosyć rzadka kombinacja. Potem wyższa szkoła pedagogiczna. Została nauczycielką i jednocześnie otworzyła małą firmę sprzedającą rozmaite preparaty do pielęgnacji włosów. Wynika z tego, że jest dosyć obrotna. Oczywiście, nie mamy jej w naszych rejestrach. Wydaje się całkiem zwyczajna.

– Szybko się uwinęliście – pochwalił go Wallander.

– Zrobiłem tak, jak powiedziałaś. Zaangażowałem w to dużo ludzi.

– Przypuszczalnie o niczym nie wie, bo gdyby się zorientowała, że mamy ją na oku, zaczęłaby się oglądać.

– Zobaczymy, jak długo to potrwa. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy jej trochę przycisnąć.

– Też o tym myślałem.

– Zgarnąć ją?

– Nie. Przyjadę do Lundu i jeszcze raz z nią porozmawiamy.

– O czym? Jeśli nie będziesz miał sensownych pytań, zaczniesz coś po-

dejrzwać.

– Coś wymyślę. Umawiamy się przed jej domem o dwunastej.

Wallander pokwitował odbiór samochodu i opuścił Ystad. Na lotnisku w Sturupie zjadł kanapkę i jak zwykle zżymał się na ceny.

Próbował ułożyć kilka pytań do Katariny Taxell. Nie może się przecież powtarzać. Postanowił, że zacznie od Eugena Blomberga. Został zamordowany i zbierają wszelkie możliwe informacje na jego temat. Katarina Taxell jest jedną z wielu osób przepytywanych w tej sprawie.

Za kwadrans dwunasta z trudem znalazł wolne miejsce postojowe w śródmieściu Lundu. Nareszcie przestało padać. Kiedy układał pytania do Katariny Taxell, zobaczył Bircha.

– W wiadomościach usłyszałem o Martinssonie i jego córce – powiedział. – To straszne.

– A co nie jest straszne?

– Jak ona się czuje?

– Miejmy nadzieję, że z czasem o wszystkim zapomni. Ale Martinsson postanowił złożyć wymówienie i muszę temu jakoś zapobiec.

– Jeśli naprawdę tak uważa, nic go nie powstrzyma.

– Chyba nie. W każdym razie chciałbym się upewnić, czy wie, co robi.

– Kiedyś oberwałem kamieniem w głowę – powiedział Birch. – Tak się wściekłem, że dopadłem sukinkota. Okazało się, że kiedyś zapuszkowałem jego brata. Uznał, że ma prawo mi przywalić.

– Policjant to policjant. Tak się przynajmniej wydaje tym od rzucania w nas kamieniami.

Birch zmienił temat.

– O czym chcesz z nią mówić?

– O Eugenie Blombergu. Jak się poznali. Zależy mi na tym, żeby odniosła wrażenie, że zadaję takie same pytania wszystkim jego znajomym. Czysta rutyna.

– Co ci to da?

– Nie wiem. Ale myślę, że to bardzo ważne. Przy okazji może coś wypłynie.

Weszli do kamienicy. Wallandera opanowało nagłe przecucie, że nie wszystko jest w porządku. Zatrzymał się na schodach.

Birch popatrzył na niego.

– Co jest?

– Nie wiem. Pewnie nic.

Weszli na drugie piętro i Birch nacisnął dzwonek. Czekali. Nacisnął jeszcze raz. Dzwonki niosły się echem w mieszkaniu. Spojrzeli po sobie. Wallander uchylił pocztową kłapkę w drzwiach. Cisza.

Birch znowu zadzwonił. Długie, powtarzające się sygnały. Nikt nie otwierał.

– Musi być w domu – powiedział. – Nikt mi nie zgłaszał, że wyszła.

– Wobec tego ulotniła się kominem.

Zbiegli po schodach. Birch gwałtownie otworzył drzwi radiowożu. Mężczyzna za kierownicą czytał gazetę.

– Wyszła? – spytał Birch.

– Nie, jest w domu.

– Akurat.

– Są tu jakieś tylne drzwi? – spytał Wallander.

– Nic nam o tym nie wiadomo.

– To nie jest odpowiedź – warknął Birch. – Albo są, albo ich nie ma.

Wpadli do kamienicy i zbiegli pół piętra w dół. Drzwi do piwnicy były zamknięte.

– Gdzie znajdziemy dozorcę? – spytał Wallander.

– Nie mamy na to czasu.

Birch obejrzał zawiasy. Były przerdzewiałe.

– Nie zaszkodzi spróbować – mruknął Wallander, po czym wziął rozbieg i rzucił się na drzwi.

Puścili.

– Wiesz, co to znaczy złamanie regulaminu?

Wallander nie wyczuł ironii w komentarzu Bircha. Weszli.

Na końcu korytarza były kolejne drzwi.

– Aha, więc tędy wyszła – skonstatował Birch. – I nikt tego nie sprawdził.

– Nie musiała wychodzić.

Birch zrozumiał.

– Samobójstwo?

– Nie wiem. Ale musimy się tam jak najszybciej dostać. Nie możemy czekać na ślusarza.

– Przeważnie udaje mi się sforsować takie zamki. Potrzebuję tylko kilku narzędzi.

Birch wrócił zadyszany po niespełna pięciu minutach. Wallander ledwie zdążył wrócić pod drzwi Katariny Taxell i nacisnąć dzwonek. Sąsiad,

starszy mężczyzna, spytał, co się dzieje. Poirytowany Wallander wyjął legitymację i podetknął mu ją pod nos.

– Bylibyśmy wdzięczni, gdyby pan natychmiast zamknął drzwi – warknął. – Dopóki nie powiemy, kiedy można je otworzyć.

Staruszek błyskawicznie się wycofał. Wallander usłyszał odgłos łańcucha.

Birch uporał się z zamkiem w pięć minut. W mieszkaniu nikogo nie było.

Birch pokręcił głową.

– Ktoś za to odpowie.

– To mi przypomina Berlinga – zauważył Wallander. – On też wyszedł tylnymi drzwiami, kiedy ochroniarze czekali od frontu, prawda?

Obeszli mieszkanie. Wallander miał wrażenie, że ewakuacja odbyła się w pośpiechu. Przystanął przed wózkiem dziecięcym i czymś w rodzaju rozkładanego leżaka.

– Ktoś po nią przyjechał – powiedział. – Naprzeciwko jest stacja benzynowa. Może widzieli kobietę z małym dzieckiem.

Birch natychmiast wyszedł. Wallander został i próbował sobie wyobrazić, co się mogło stać. Dlaczego kobieta z nowo narodzonym dzieckiem wymyka się z mieszkania? Ponieważ skorzystała z tylnych drzwi, musiała wiedzieć, że jest obserwowana.

Ona albo ktoś inny, pomyślał Wallander.

Ktoś mógł to zauważyć, a potem do niej zadzwonił i zorganizował transport.

Usiadł na krześle w kuchni. Czy Katarina Taxell i jej dziecko są w niebezpieczeństwie? Czy ich ucieczka była dobrowolna?

Gdyby się broniła, pomyślał, ktoś by to zauważył. A więc wyjechała dobrowolnie. Dlaczego? Nie chciała odpowiadać na pytania policji.

Stanął przy oknie. Birch rozmawiał z jednym z pracowników stacji benzynowej. W tym momencie zadzwonił telefon. Wallander drgnął. Poszedł do salonu i po drugim sygnale podniósł słuchawkę.

– Katarina? – usłyszał kobiecy głos.

– Nie ma jej. A kto pyta?

– Z kim mówię? Jestem matką Katariny.

– Nazywam się Kurt Wallander. Jestem z policji. Nie ma ani Katariny, ani jej dziecka.

– To niemożliwe.

– Niestety. Nie wie pani, gdzie mogła się podziać?

– Nie wyjechałaby bez uprzedzenia.

Wallander natychmiast podjął decyzję.

– Proszę tu przyjechać. O ile wiem, mieszka pani w pobliżu.

– Zajmie mi to około dziesięciu minut. – Była zaniepokojona. – Co się stało?

– Na pewno jest jakieś sensowne wyjaśnienie. Pomówimy o tym, kiedy pani przyjdzie.

Odkładając słuchawkę, usłyszał Bircha.

– Mamy szczęście – powiedział Birch. – Rozmawiałem z gościem, który pracuje na stacji benzynowej. Przytomny chłopak, ma oczy nie od parady. – Wyjął poplamione ropą zapiski. – Między dziewiątą a dziesiątą rano, bliżej dziesiątej, zatrzymał się czerwony golf. Z domu tylnymi drzwiami wyszła kobieta z dzieckiem na ręku. Wsiadła i odjechała.

Wallander czuł narastające napięcie.

– Kto prowadził?

– Kierowca nie wyszedł z samochodu.

– A więc nie wiemy, czy to była kobieta, czy mężczyzna?

– Zapytałem o to. I otrzymałem interesującą odpowiedź. Samochód odjechał w taki sposób, jakby za kierownicą siedział mężczyzna.

Wallander się zdziwił.

– To znaczy?

– Ruszył z piskiem opon.

Wallander zrozumiał.

– Czy zwrócił uwagę na coś jeszcze?

– Nie. Ale może z niewielką pomocą coś sobie przypomni. Jak wspominałem, ma oczy nie od parady.

Wallander powiedział, że matka Katariny Taxell jest w drodze.

– Co mogło się stać? – spytał po chwili Birch.

– Nie wiem.

– Czy jest w niebezpieczeństwie?

– Myślałem o tym. Nie sędzę. Ale, oczywiście, mogę się mylić.

Weszli do salonu. Na podłodze leżała niemowlęca skarpetka. Wallander rozejrzał się. Birch poszedł za jego spojrzeniem.

– Gdzieś tutaj musi być rozwiązanie – powiedział Wallander. – Coś, co pomoże nam odnaleźć kobietę, której szukamy. A razem z nią znajdziemy Katarinę Taxell. Tutaj jest wskazówka, którą mamy iść. Musimy do

niej dotrzeć, żeby się nie błąkać po omacku.

Birch milczał.

Usłyszeli trzask w zamku. A więc miała klucz. Po chwili do salonu weszła matka Katariny Taxell.

31

Wallander został w Lundzie. Z każdą godziną utwierdzał się w swoich przeczuciach, że Katarina Taxell doprowadzi ich do zabójcy trzech mężczyzn. Szukali kobiety, która była w to poważnie zamieszana, nie wiedzieli, czy działała sama, i nie znali motywów, jakie nią powodowały.

Rozmowa z matką Katariny Taxell nic nie wniosła. Pani Taxell zaczęła nerwowo krążyć po mieszkaniu, myśląc, że znajdzie córkę i wnuka. W końcu wpadła w taki popłoch, że musieli jej zapewnić opiekę lekarską. Wallander był pewien, że nie wie, gdzie jest córka. Natychmiast zadzwonili do kilku przyjaciółek, które wymieniła. Żadna nic nie wiedziała. Wallander nie ufał jednak temu, co usłyszał przez telefon. Poprosił Bircha, żeby odwiedził je w domu. Katarina Taxell zaginęła. Wallander nie wątpił, że matka dobrze zna towarzystwo córki. Była autentycznie zaniepokojona. Gdyby tylko mogła, powiedziałyby, gdzie się podziała Katarina.

Wallander poszedł na stację benzynową. Poprosił dwudziestoczteroletniego Jonasa Hadera, żeby jeszcze raz zrelacjonował swoje spostrzeżenia. Wallander uznał, że ma do czynienia ze świadkiem doskonałym. Jonas Hader bez przerwy wszystkiemu się przyglądał, jakby jego obserwacje w każdej chwili mogły się przydać w charakterze decydującego zeznania. Czerwony golf zaparkował przed domem w tym samym momencie, w którym wyjeżdżał ze stacji samochód dostawczy z gazetami. Kierowca był przekonany, że odjechał o wpół do dziesiątej. Jonas Hader zapamiętał dużo szczegółów, między innymi to, że na tylnej szybie golfu była sporej wielkości nalepka. Ponieważ stał za daleko, nie mógł dostrzec ani motywu, ani napisu. Powtórzył, że golf ruszył z piśkiem opon, tak jakby go prowadził mężczyzna. Niestety, nie widział, kto siedział za kierownicą. Padał deszcz, pracowały wycieraczki. Nic by

nie zobaczył, nawet gdyby się nie wiadomo jak starał. Był natomiast przekonany, że Katarina Taxell miała na sobie jasnozielony płaszcz, niosła dużą torbę marki Adidas i dziecko owinięte w niebieski kocyk. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Wyszła z domu w tej samej chwili, w której podjechał golf. Ktoś otworzył jej od środka tylne drzwi. Położyła dziecko, wstawiła torbę do bagażnika i usiadła z tyłu od strony ulicy. Kierowca ruszył z piskiem opon, zanim zdążyła zamknąć drzwi. Jonas Hader nie dostrzegł numeru rejestracyjnego. Wallander odniósł wrażenie, że bardzo mu na tym zależało. Jonas Hader nie miał jednak wątpliwości, że czerwony golf zatrzymał się w tym miejscu tylko ten jeden raz.

Wallander wrócił do mieszkania Katariny Taxell z takim uczuciem, jakby uzyskał potwierdzenie czegoś. Ale czego? Że to była ucieczka? Od jak dawna była planowana? I po co? Birch zdążył porozmawiać z kolegami z obstawy. Wallanderowi zależało na odpowiedzi, czy nie zauważyli w pobliżu jakiejś kobiety. W przeciwieństwie do Jonasa Hadera policjanci poczynili wyjątkowo mało spostrzeżeń. Koncentrowali się na drzwiach, którymi wchodzili i wychodzili jedynie mieszkańcy. Wallander chciał, żeby ustalili tożsamość każdej osoby, którą zauważyli. W kamienicy było czternaście rodzin. Przez całe popołudnie policjanci biegali po schodach i wszystkich sprawdzali. Dzięki temu Birch dotarł do interesującego świadka. Dwa piętra nad Katariną Taxell mieszkał emerytowany muzyk, były fagocista w orkiestrze symfonicznej w Helsingborgu. Wedle relacji Bircha, scharakteryzował swoje życie jako „stanie godzinami przy oknie, patrzenie na deszcz i słuchanie melodii, których już nigdy nie zagra”. Melancholik i samotnik. Tego ranka zauważył kobietę po drugiej stronie placu. Nagle się zatrzymała, cofnęła kilka kroków, przez chwilę stała bez ruchu i patrzyła na kamienicę, po czym się odwróciła i odeszła. Kiedy Birch podzielił się tymi informacjami z Wallanderem, Wallander od razu pomyślał, że to mogła być poszukiwana przez nich kobieta. Chciała tu przyjść, ale zobaczyła samochód, który oczywiście nie powinien parkować przed drzwiami. Wybrała się z wizytą do Katariny Taxell. Tak jak w szpitalu.

Wallander energicznie wziął się do pracy. Poprosił Bircha, żeby jeszcze raz skontaktował się z przyjaciółkami Katariny Taxell i zapytał, czy któraś z nich chciała tego ranka odwiedzić Katarinę i jej nowo narodzone dziecko. Nie. Potem Birch usiłował wydobyć od emerytowanego fago-

cisty rysopis kobiety. Starszy mężczyzna wiedział z całą pewnością tylko tyle, że to była kobieta i że przyszła około ósmej. Nie mogli jednak polegać na tej ostatniej informacji, ponieważ każdy z trzech zegarków w jego mieszkaniu wskazywał inną godzinę.

Energia Wallandera wydawała się niewyczerpana. Posyłał Bircha w różne miejsca, traktując go jak podwładnego, czego Birch nie miał mu za złe, a sam zaczął metodycznie przeszukiwać mieszkanie Katariny Taxell. Wcześniej poprosił Bircha o ściągnięcie techników kryminalnych, żeby zabezpieczyli odciski palców. Potem je porównają z tymi, które zdjął Nyberg. Był w stałym kontakcie telefonicznym z Ystadem. Cztery razy rozmawiał z Nybergiem. Ylva Brink powąchała plakietkę, z której nie do końca wywietrzał zapach perfum, i miała wątpliwości. Możliwe, że tamtej nocy, kiedy została uderzona, czuła te same perfumy, ale nie była pewna. Nadal nie zdobyli niczego konkretnego.

Dwa razy rozmawiał z Martinssonem. Za każdym razem dzwonił do niego do domu. Terese była wystraszona i przybita. Martinsson równie stanowczo obstawał przy wymówieniu. Wallander wymógł na nim obietnicę, że poczeka z tym przynajmniej do jutra. Mimo że Martinsson mógł myśleć wyłącznie o córce, Wallander zdał mu szczegółową relację. Był pewien, że Martinsson go słucha, choć nie miał wielu uwag. Wiedział, że musi informować Martinssona o przebiegu śledztwa, żeby nie podjął decyzji, której później miałyby żałować. Kilka razy rozmawiał z Lisą Holgersson. Hansson i Ann-Britt Höglund podjęli bardzo stanowcze działania w szkole Terese. W gabinecie dyrektora przesłuchali po kolei trzech chłopców, którzy brali w tym udział, skontaktowali się także z ich rodzicami i nauczycielami. Według Ann-Britt Höglund, z którą Wallander zamienił kilka słów, Hansson znakomicie sobie poradził, informując wszystkich zebranych uczniów o tym zajściu. Uczniowie byli oburzeni, nie chcieli mieć nic wspólnego z tymi trzema chłopcami i, jej zdaniem, ta sytuacja nie powinna się powtórzyć. Eskil Bengtsson wraz z innymi wyszedł z aresztu. Per Åkeson miał wnieść oskarżenie. To, co się przytrafiło córce Martinssona, być może skłoni niektórych do racjonalnego myślenia. Ann-Britt Höglund miała przynajmniej taką nadzieję. Wallander wątpił. Przypuszczał, że nieraz będą musieli poświęcać swój czas i siły na zwalczanie rozmaitych prywatnych gwardii.

Najważniejszą wiadomość przekazał mu Hamrén, który przejął część obowiązków Hanssona. Tuż po trzeciej po południu zlokalizował Gote

Tandvalla i natychmiast zadzwonił do Wallandera.

– Ma sklep z antykami w Simrishamnie – powiedział. – Jeśli dobrze zrozumiałem, kupuje je, jeżdżąc po całym kraju, i czasem eksportuje, między innymi do Norwegii.

– Czy to jest legalne?

– Nie sądzę, żeby było nielegalne. Chodzi pewnie o to, że tam są wyższe ceny. Ale, naturalnie, to zależy, co to są za antyki.

– Złóż mu wizytę. Nie mamy czasu do stracenia. I tak jesteśmy dosyć rozproszeni. Pojeźdź do Simrishamnu. Przede wszystkim potrzebujemy potwierdzenia, czy rzeczywiście coś łączyło Holgera Erikssona z Kristą Haberman. Co, oczywiście, wcale nie znaczy, że Gote Tandvall nie ma innych interesujących nas informacji.

Trzy godziny później Hamrén znowu zadzwonił. Siedział w samochodzie pod Simrishamnem. Widział się z Gote Tandvallem. Wallander czekał w napięciu.

– Gote Tandvall jest bardzo stanowczy – powiedział. – I ma wyjątkowo wybiórczą pamięć. Niektórych rzeczy nie mógł sobie przypomnieć. O innych mówił niezwykle konkretnie.

– Krista Haberman?

– Pamiętał ją. Odniosłem wrażenie, że była bardzo ładna. Według niego, Holger Eriksson na pewno ją znał. Spotkali się co najmniej dwa razy. Między innymi wczesnym rankiem przy Falsterbo, gdzie obserwowali powracające gęsi albo żurawie.

– Czy on też jest obserwatorem ptaków?

– Nie, ojciec go tam ciągnął.

– Najważniejsze już wiemy.

– To się rzeczywiście trzyma kupy. Krista Haberman i Holger Eriksson.

Wallandera ogarnęło przykre uczucie. Z przerażającą jasnością zdał sobie sprawę, co się mogło wydarzyć.

– Wracaj do Ystadu – powiedział – i przejrzyj materiały dotyczące jej zaginięcia. Kiedy i gdzie widziano ją po raz ostatni. I zrób podsumowanie tej części dochodzenia.

– Zdaje się, że masz coś konkretnego na myśli.

– Zaginęła. Nigdy jej nie odnaleziono. O czym to świadczy?

– Że nie żyje.

– Nie tylko. Nie zapominaj, że mamy do czynienia ze sprawami, gdzie mężczyźni i kobiety padli ofiarą najokrutniejszej przemocy, jaką tylko

można sobie wyobrazić.

– Chodzi ci o to, że została zamordowana?

– Hansson streścił mi przebieg prowadzonego wtedy dochodzenia. Cały czas brano pod uwagę morderstwo, ale ponieważ niczego nie można było udowodnić, skupiono się na innych powodach zaginięcia. Bardzo słusznie. Żadnych pochopnych wniosków, wszystkie drzwi otwarte, dopóki któryś nie uda się zamknąć. Może się teraz do nich zbliżamy.

– Zabił ją Holger Eriksson?

Wallander zorientował się, że Hamrén nigdy wcześniej o tym nie pomyślał.

– Nie wiem. Ale od tej chwili nie możemy wykluczać takiej możliwości.

Hamrén obiecał zrobić podsumowanie.

Wallander zakończył rozmowę i opuścił mieszkanie Katariny Taxell. Był głodny. Usiadł w pobliskiej pizzerii i rzucił się na jedzenie. Jadł za szybko, rozboleł go brzuch. Potem nie pamiętał, czy mu smakowało.

Spieszył się. Z niepokojem przeczuwał, że coś się niebawem wydarzy. Ponieważ nic nie wskazywało na to, żeby łańcuch morderstw miał się przerwać, musieli walczyć z czasem. Przypomniał sobie, że Martinsson podjął się sporządzenia harmonogramu. Gdyby nie Terese, byłby już gotowy. Wracając do mieszkania Katariny Taxell, uznał, że to nie może czekać. Wszedł pod wiatę na przystanku autobusowym i zadzwonił do Ystadu. Miał szczęście, że zastał Ann-Britt Höglund. Rozmawiała z Hamrénem i wiedziała, że Krista Haberman i Holger Eriksson się znali. Wallander poprosił ją o zrobienie harmonogramu.

– Nie wiem, czy to jest ważne. Ale mamy słabą orientację, jak ona się przemieszcza. Może dzięki harmonogramowi zobaczymy coś na kształt geograficznego centrum.

– Teraz mówisz „ona”.

– Tak. Ale nie wiemy, czy jest sama i jaka jest jej rola.

– Jak myślisz, co się stało z Katariną Taxell?

– Uciekła. Odbyło się to bardzo szybko. Ktoś zauważył, że jej dom jest pod obserwacją. Uciekła, bo ma coś do ukrycia.

– Czy mogła zamordować Eugena Blomberga?

– Katarina Taxell jest ogniwem w łańcuchu. Jeśli w ogóle są jakieś ogniwa, które dadzą się połączyć. Nie jest ani na jego początku, ani na

końcu. Nie wyobrażam sobie, żeby mogła kogokolwiek zabić. Przypuszczalnie znalazła się w grupie maltretowanych kobiet.

Ann-Britt Höglund była szczerze zdziwiona.

– Ona też była maltretowana? Nic nie wiedziałam.

– Nie musiała być bita ani kaleczona nożem, ale wydaje mi się, że mogła być maltretowana inaczej.

– Psychicznie?

– Mniej więcej.

– Przez Blomberga?

– Tak.

– I mimo to urodziła jego dziecko? Jeśli, zgodnie z twoją oceną, to on jest ojcem.

– Widziałem, jak trzyma swoje dziecko. Nie wyglądała na zachwyconą. Ale, oczywiście, mamy dużo luk. Nasza praca polega na układaniu w całość prowizorycznych rozwiązań. Zmuszamy ciszę do mówienia i słowa do objaśniania ukrytych znaczeń. Nicujemy wszystko na wylot, stawiamy na głowie, żeby w końcu postawić na nogach.

– Nikt nam tego nie mówił w szkole policyjnej. Czy nie proponowano ci serii wykładów?

– Nie. Nie umiem mówić przed ludźmi.

– Umiesz, umiesz, tylko nie chcesz się do tego przyznać. Poza tym wydaje mi się, że masz na to ochotę.

– Tak czy inaczej, teraz to nieaktualne.

Zastanawiał się nad tym, co powiedziała. Czy rzeczywiście miałby ochotę mówić do świeżo upieczonych policjantów? Dotąd myślał, że jego niechęć jest prawdziwa. Teraz zaczął w to wątpić.

Wyszedł spod wiaty. Bez przerwy padał deszcz. Zerwał się wiatr. Metodycznie przeszukiwał mieszkanie Katariny Taxell. W kartonie, głęboko w szafie, znalazł pamiętniki. Zaczęła pisać w wieku dwunastu lat. Ze zdziwieniem zauważył, że na okładce jest piękna orchidea. Z niespożytą energią prowadziła pamiętnik jako nastolatka i kobieta dorosła. Ostatni, jaki znalazł, pochodził z roku 1993 i kończył się na sierpniu. Wallander był pewien, że gdzieś jest dalszy ciąg. Skorzystał z pomocy Bircha, który uporał się z odpytywaniem mieszkańców kamienicy.

Birch znalazł klucze do piwnicy Katariny Taxell. Wallander przejrzał wszystko w godzinę. Tam też nie było pamiętnika. Musiała go zabrać ze sobą. Pewnie włożyła do torby Adidas, którą, jak zauważył Jonas Hader,

wrzuciła do bagażnika czerwonego golfa.

W końcu został mu sekretarzyk. Wcześniej tylko pobieżnie przepatrzył szufladki. Usiadł na starym krześle o poręczach z wyrzeźbionymi smoczymi głowami. Pulpit stanowiły opuszczane drzwiczki. Na górze stały fotografie w ramach. Mała Katarina Taxell siedzi na trawie obok dużego psa i patrzy prosto w obiektyw. We włosach ma kokardę. W tle białe meble ogrodowe. Niewyraźne postaci. Ktoś w białym kapeluszu. Słońce pada ukośnie z lewej strony. Na drugiej fotografii Katarina Taxell z matką i ojcem. Inżynier z rafinerii cukru ma wąsy i sprawia wrażenie pewnego siebie. Katarina Taxell jest do niego podobna. Wallander odwrócił zdjęcie. Żadnej daty. Zrobiono je w zakładzie fotograficznym w Lundzie. Kolejne zdjęcie. Maturalne. Biała czapka, kwiaty na szyi. Katarina Taxell jest dużo szczuplejsza i blada. Żyje w innym świecie. Wreszcie stara fotografia o spłowiałych konturach. Nadmorski pejzaż. Para staruszków wpatruje się w aparat.

W głębi stoi na kotwicy trójmasztowiec ze zwiniętymi żaglami. Pomyślał, że to zdjęcie mogło być zrobione na Olandii pod koniec dziewiętnastego wieku. Babcia i dziadek Katariny Taxell. Tutaj też nic nie znalazł na odwrocie. Odstawił zdjęcie. Żadnego mężczyzny, pomyślał. Brak Blomberga można zrozumieć. Ale nie ma też fotografii ojca jej dziecka. A przecież powinna być. Czy to coś znaczy? Wszystko coś znaczy. Tylko co? Wysuwał kolejno szufladki sekretarzyka. Listy, dokumenty, rachunki, świadectwa szkolne. Miała najwyższe oceny z geografii, a najniższe z fizyki i matematyki. Zdjęcia z automatu: trzy dziewczęce twarze, przytulone, wykrzywione. Na innym zdjęciu siedzą roześmiane na ławce na Stroget w Kopenhadze. Katarina Taxell z prawej. Listy. Kilka z roku 1972. Znaczek z galeonem wojennym „Waza”. Jeśli sekretarzyk skrywa najgłębsze tajemnice Katariny Taxell, to ona ich zwyczajnie nie ma. Nijakie życie. Bez pasji, letnich przygód na wyspach greckich i tak dalej. Jest tylko najwyższy stopień z geografii. Zajął się trzema większymi szufladami. Nigdzie nie było pamiętnika. Ani kalendarzy. Z niemiłym uczuciem grzebał się w cudzych wspomnieniach. Życie Katariny Taxell nigdzie nie odcisnęło wyraźnego śladu. Nie widział jej. A czy ona się widziała?

Odsunął krzesło i zamknął ostatnią szufladę. Nic. Zmarszczył czoło. Coś się nie zgadzało. Jeśli błyskawicznie zdecydowała się uciec, w co nie wątpił, nie miała czasu na zabranie wszystkiego, co chciałaby ukryć

przed światem. Pamiętnik na pewno trzymała gdzieś pod ręką. Nawet gdyby się paliło, zdążyłaby go ocalić. Ale w życiu każdego człowieka niemal zawsze istniały jakieś nieuporządkowane karty. Tu nie było nic. Wstał i ostrożnie odsunął sekretarzyk od ściany. Też nic. Zamyślony, usiadł na krześle. Coś widział. Dopiero teraz to sobie uświadomił. Nie fotografie. Nie listy. Co to było? Świadectwa szkolne? Umowa najmu? Wyciągi z karty kredytowej? Nie.

Został tylko sam mebel, pomyślał. Sekretarzyk. Wreszcie sobie przypomniał. Coś było nie tak z szufladkami. Wszystkie powyciągał i zajrzał do środka. Nic. Powkładał je na miejsce. Wysunął najwyższą po lewej stronie. Potem następną. I wtedy to zauważył. Szufladki miały różną głębokość. Wyjął płytszą i odwrócił. Z tyłu była skrytka. Otworzył ją.

Rozkład jazdy pociągów na trasie Malmö – Sztokholm z wiosny 1991 roku.

Powymmował pozostałe szufladki. Znalazł jeszcze jedną skrytkę. Była pusta.

Odchylił się na krześle i patrzył na rozkład jazdy. Jakie mógł mieć znaczenie? Dlaczego był w skrytce? Na pewno nie trafił tam przez pomyłkę.

Birch wszedł do pokoju.

– Spójrz na to – powiedział Wallander.

Birch stanął za jego plecami.

– Był w skrytce.

– Rozkład jazdy?

Wallander pokręcił głową.

– Nic z tego nie rozumiem.

Zaczął kartkować rozkład, strona po stronie. Birch przysunął sobie krzesło i usiadł obok. Nic, żadnych zapisków ani zagnieceń. Dopiero na przedostatniej stronie coś zauważył. Birch też. Przejazd z Nassjó do Malmö był podkreślony. Nassjó – 16.00, Lund – 18.42, Malmö – 18.57.

Nassjó – 16.00. Wallander zerknął na Bircha.

– Czy to ci coś mówi?

– Nic.

Wallander odłożył rozkład.

– Czy Katarina Taxell ma coś wspólnego z Nassjó? – zapytał Birch.

– O ile wiem, nie. Ale to, oczywiście, możliwe. Nasz największy problem polega na tym, że wszystko wydaje się prawdopodobne. Nie potra-

fimy wyróżnić żadnych szczegółów ani związków, które można by od razu skreślić albo uznać za mniej istotne.

Wallander dostał kilka torebek plastikowych od technika, który szukał odcisków palców nienależących do Katariny Taxell ani jej matki. Włożył rozkład jazdy do jednej z nich.

– Wezmę to – powiedział. – Jeśli pozwolisz.

Birch wzruszył ramionami.

– Nie przyda ci się, gdybyś chciał wracać pociągiem. Jest nieaktualny od trzech i pół roku.

– Rzadko jeżdżę pociągami.

– To bywa relaksujące. Wolę pociąg od samolotu. Ma się chwilę dla siebie.

Wallander pomyślał o swojej ostatniej podróży pociągiem. Z Almhultu do Malmö. Birch miał rację. Udało mu się wtedy zdrzemnąć.

– Nic już nie zdziałamy. Powinienem się zbierać do Ystadu.

– Nie będziemy szukać Katariny Taxell i jej dziecka?

– Jeszcze nie.

Wyszli z mieszkania. Birch zamknął drzwi na klucz. Podmuchy zimnego wiatru. Deszcz niemal ustał. Było za kwadrans dziewiąta. Pożegnali się przy samochodzie Wallandera.

– Co z obserwacją domu? – spytał Birch.

Wallander zastanawiał się.

– Zostaw. Tylko tym razem nie zapomnijcie o tylnym wyjściu.

– Co się, według ciebie, może stać?

– Nie wiem. Ale zdarza się, że ludzie, którzy znikają, mogą wrócić.

Wyjechał z miasta. Do samochodu wdzierała się jesień. Włączył ogrzewanie. Mimo to marzył.

Co teraz? Katarina Taxell zniknęła. Po długim dniu w Lundzie wracał do Ystadu ze starym rozkładem jazdy pociągów w plastikowej torebce.

Mimo wszystko zrobili krok naprzód. Holger Eriksson znał Kristę Haberman. Ustalili pewne podobieństwa między trzema zamordowanymi mężczyznami. Odruchowo docisnął pedał gazu. Chciał jak najszybciej wiedzieć, do jakich wniosków doszedł Hamrén. Przed boczną drogą na Sturup zatrzymał się w zatoczce przystanku autobusowego i zadzwonił do komendy. Złapał Svedberga. Najpierw spytał o Terese.

– Ma duże wsparcie szkoły – powiedział Svedberg. – Zwłaszcza ze strony uczniów. Ale to naturalnie trochę potrwa, zanim przyjdzie do siebie.

- A Martinsson?
- Jest przygnębiony. Chce rzucić pracę w policji.
- Wiem. Ale to jeszcze nic pewnego.
- Chyba tylko ty możesz go przekonać.
- I zrobię to.

Potem spytał, czy wydarzyło się coś ważnego. Svedberg był słabo zorientowany. Przed chwilą przyszedł do komendy. Spotkał się z Perem Åkesonem, żeby pomógł im ściągnąć materiały dochodzeniowe w sprawie utonięcia żony Gösty Runfeldta.

Wallander poprosił go, żeby powiadomił wszystkich o zebraniu. O dziesiątej.

- Widziałeś Hamréna? – spytał na koniec.
- Siedzi z Hanssonem nad materiałami o Kriście Haberman. Podobno powiedziałaś, że to pilne.
- O dziesiątej – powtórzył Wallander. – Byłoby świetnie, gdyby się do tego czasu z tym uwinęli.
- Mają do dziesiątej znaleźć Kristę Haberman?
- Niezupełnie. Ale prawie.

Wallander położył telefon na fotelu obok. Siedział w ciemnościach. Pomyślał o skrytce, sekretnej szufladce Katariny Taxell, w której był stary rozkład jazdy.

Nic nie rozumiał. Ani w ząb.

Spotkali się o dziesiątej. Brakowało tylko Martinssona. Omówili wydarzenia tego ranka. Wszyscy wiedzieli, że Martinsson postanowił złożyć wymówienie.

– Porozmawiam z nim – obiecał Wallander. – Chcę się dowiedzieć, czy naprawdę obstaje przy tej decyzji. Jeśli tak, oczywiście nikt go nie powstrzyma.

Następnie Wallander zdał relację z pobytu w Lundzie. Zastanawiali się wspólnie, dlaczego Katarina Taxell uciekła. I czy nie udałoby się namierzyć czerwonego samochodu. Ile czerwonych golfów jeździ w Szwecji?

– Kobieta z noworodkiem nie może zniknąć bez śladu – powiedział Wallander. – Powinniśmy się zdobyć na cierpliwość i robić swoje. – Popatrzył na Hanssona i Hamréna.

– Zaginięcie Kristy Haberman. Dwadzieścia siedem lat temu.

Hansson skinął na Hamréna.

– Chciałeś znać szczegóły zaginięcia – zaczął. – Ostatni raz była wi-

dziana w Svenstaviku w niedzielę dwudziestego drugiego października sześćdziesiątego siódmego roku. Szła przez wieś. Byłeś tam, więc możesz to sobie wyobrazić. Tyle że centrum od tamtego czasu trochę przebudowano. Ostatni widział ją drwal. Jechał na rowerze od strony stacji. Było za kwadrans piąta po południu. Ciemno. Ale ona szła oświetloną drogą. Nie miał wątpliwości, że to ona. Potem nikt jej już nie widział. Kilku świadków twierdzi, że tego dnia wieczorem przejechał przez wieś jakiś obcy samochód. To wszystko.

– Czy wymieniali markę samochodu? – spytał po chwili Wallander.

Hamrén szukał w papierach. Pokręcił głową i wyszedł. Wrócił z kolejnym plikiem akt. Milczeli. W końcu znalazł.

– Jeden ze świadków, niejaki Johansson, mówi, że to był granatowy chevrolet. Jest tego pewien, bo kiedyś jeździła w Svenstaviku taksówka tej samej marki. Tyle że jasnoniebieska.

Wallander skinął głową.

– Svenstavik i Lödinge leżą daleko od siebie – powiedział wolno. – Jeśli się nie mylę, Holger Eriksson sprzedawał w tym okresie chevrolety.

W sali zaległa cisza.

– Zastanawiam się, czy nie mogło być tak, że Holger Eriksson pojechał do Svenstaviku – podjął – i wrócił z Kristą Haberman. Czy Holger Eriksson mieszkał wtedy w tym samym domu? – spytał Svedberga.

Svedberg przytaknął.

Wallander rozejrzał się po sali.

– Holger Eriksson wisiał na palach – powiedział. – Jeśli morderca pozabawia życia swoje ofiary w taki sposób, który ma przypominać o ich występkach, można z tego wyciągnąć bardzo nieprzyjemny wniosek. – Chciałby się mylić. – Chyba zaczniemy przeczesywać grunty Holgera Erikssona. Nie wiem, czy nie jest tam gdzieś pogrzebana Krista Haberman.

Było za dziesięć jedenasta. Środa 19 października.

32

Z samego rana pojechali do obejścia Holgera Erikssona.

Wallander, Nyberg, Hamrén i Hansson. Wallander przyjechał swoim

peugeotem, który wrócił z Almhultu. Zatrzymali się przed wjazdem do pustego domostwa, które przypominało we mgle samotny statek bez takielunku.

W czwartek 20 października nadciągnęła znad morza gęsta mgła i za-
legła nad Skanią. Umówili się o wpół do siódmej, ale wszyscy się
spóźnili z powodu niemal zerowej widoczności. Wallander zjawił się
ostatni. Wsiadając z samochodu, pomyślał, że wyglądają jak grupka
myśliwych. Brakowało im tylko strzelb. Mieli przed sobą nieprzyjemne
zadanie. Gdzieś na posesji Holgera Erikssona są przypuszczalnie zwłoki
zamordowanej kobiety. Jeśli cokolwiek znajdą, to kości. Nic więcej.
Minęło dwadzieścia siedem lat.

Mógł się, rzecz jasna, mylić. Hipoteza o tym, co się stało z Kristą Ha-
berman, nie należała ani do zanadto śmiałych, ani do niedorzecznych,
ale do jej potwierdzenia było bardzo daleko.

Przywitali się, dygocząc z zimna. Hansson wziął plany geodezyjne po-
sesji. Ciekawe, jak zareagowałoby Muzeum Kultury w Lundzie, gdyby
znaleźli szczątki. Pewnie wzrosłaby popularność tej posiadłości,
pomyślał posepnie, żadna atrakcja turystyczna nie dorówna miejscu
zbrodni.

Rozłożyli plany na masce samochodu Nyberga.

– W sześćdziesiątym siódmym teren był mniejszy – poinformował
Hansson. – Dopiero w połowie lat siedemdziesiątych Holger Eriksson do-
kupił kawał ziemi na południu.

Wallander zauważył, że to redukuje zasięg ich poszukiwań o jedną
trzecią, ale i tak zostaje dużo gruntów. Nigdy ich nie przekopią. Muszą
się zastanowić nad innymi metodami.

– Mgła nam przeszkadza – powiedział. – Myślałem, że na początek
obejdziemy cały teren. Wydaje mi się, że niektóre części będzie można
wykluczyć. Zakładam, że miejsce pochówku wybiera się z dużą staran-
nością.

– Wybiera się takie miejsce, gdzie, zdaniem zabójcy, nikt nie będzie
szukał – stwierdził Nyberg. – Są badania w tej sprawie. Oczywiście ame-
rykańskie, ale wydają się wiarygodne.

– To duży teren – wtrącił Hamrén.

– Dlatego natychmiast musimy go okroić – powiedział Wallander. –
Zgadzam się z Nybergiem. Nie sądzę, żeby Holger Eriksson zakopał
Kristę Haberman byle gdzie. Jeśli, oczywiście, ją zamordował. Nie wy-

obrażam sobie, żeby ktokolwiek chciał mieć nieboszczyka przed drzwiami. Z wyjątkiem ludzi obłąkanych. Ale Holgera Erikssona to raczej nie dotyczy.

– Poza tym są tam kocie łby – zauważył Hansson. – Całe podwórze możemy chyba wykluczyć.

Wallander zastanawiał się, czy nie powinni wrócić do Ystadu i przyjechać tutaj, kiedy mgła opadnie. Ponieważ było bezwietrznie, mogła się utrzymywać przez cały dzień. Zdecydował, że poświęcą godzinę na wyrobienie sobie ogólnego poglądu.

Poszli do ogrodu za domem. Mokłą ziemię zaścielały spadłe zgniłe jabłka. Z drzewa poderwała się sroka. Rozglądali się. Tu też nie, pomyślał Wallander. Człowiek z miasta, który ma ogródek, może zakopałby zwłoki pod drzewkiem owocowym albo pod krzakiem. Ale nie zrobiłby tego ktoś, kto mieszka na wsi.

Podzielił się swoimi spostrzeżeniami. Nie mieli uwag.

– Pies nic nie wywęszy? – spytał Hamrén.

– Nie po dwudziestu siedmiu latach – odparł Nyberg.

Glina zbrylała się pod podszwami. Szli wąskim niezaoranym pasmem trawy, wytyczającym granicę posesji Holgera Erikssona. Z ziemi wystawała zardzewiała brona. Wallander z przykrością myślał o ich zadaniu. Mgła i szara wilgotna gleba dodatkowo go przygnębiały. Lubił te okolice, tu się urodził i mieszkał, ale mógłby się obyć bez jesieni. Zwłaszcza bez takich dni jak ten.

Doszli do stawu. Obwód wynosił około stu metrów. Hansson pokazał to miejsce na planie.

– Woda utrzymuje się przez cały rok – poinformował Nyberg. – Pośrodku jest od dwóch do trzech metrów głębokości.

– Oczywiście, to całkiem prawdopodobne – powiedział Wallander. – Obciążyć zwłoki i zatopić.

– W worku – dodał Hansson. – Tak jak Eugena Blomberga.

Wallander skinął głową. Znów lustrzane odbicie. Ale nie był pewien.

– Ciało mogłoby wypłynąć. Czy Holger Eriksson wybrałby staw, mając do dyspozycji tysiące metrów kwadratowych gruntów? Nie bardzo w to wierzę.

– Kto uprawiał tę ziemię? – spytał Hansson. – Na pewno nie on. Nie wydzierżawił jej. Nieuprawiana ziemia zarasta, a ta jest zadbana.

Hansson wiedział, co mówi. Wychował się na podystadzkiej wsi.

- To ważne – przyznał Wallander. – Musimy się tego dowiedzieć.
- A przy okazji uzyskamy odpowiedź w innej kwestii – zauważył Hamrén. – Czy coś się zmieniło. Mógł się na przykład pojawić jakiś pagórek. Z jednego miejsca usuwa się ziemię, w drugim jej przybywa. Nie myślę o grobie. Ale na przykład o drenowaniu. Albo czymś innym.
- Interesują nas wydarzenia sprzed blisko trzydziestu lat – przypomniał Nyberg. – Kto by to pamiętał?
- Nigdy nic nie wiadomo – powiedział Wallander. – Musimy to sprawdzić.
- Trzydzieści lat to szmat czasu – włączył się Hansson.
- Kilka osób mogło uprawiać tę ziemię.
- Porozmawiamy ze wszystkimi – odparł Wallander. – Jeśli ich znajdziemy. Jeśli żyją.

Wallander przypomniał sobie, że widział w domu Holgera Erikssona kilka starych fotografii posiadłości, zrobionych z lotu ptaka. Poprosił Hanssona, żeby ściągnął kogoś z Muzeum Kultury w Lundzie z kluczami.

- Nie wydaje mi się, żeby ktoś tam był kwadrans po siódmej rano.
- Zadzwoń do Ann-Britt Höglund – polecił Wallander.
- Niech się skontaktuje z egzekutorem testamentu Erikssona. Może jeszcze nie oddał kluczy.
- Może adwokaci wcześniej wstają – powiedział bez przekonania Hansson i wybrał numer.
- Chcę jak najszybciej obejrzyć te zdjęcia lotnicze. Poszli dalej. Hansson rozmawiał z Ann-Britt Höglund.

Schodzili łagodnym zboczem. Mgła nie zrzędła. Gdzieś zawarczał traktor. Po chwili umilkł. Zabrzęczała komórka Hanssona. Ann-Britt porozumiała się z adwokatem. Już nie miał kluczy. Nie udało jej się nikogo złapać w Lundzie, ale będzie próbować. Wallander pomyślał o dwóch kobietach, które spotkał tydzień temu. Z niesmakiem przypomniał sobie wyniosłą szlachciankę.

Po dwudziestu minutach dotarli do kolejnego punktu granicznego. Hansson wskazał go na planie. Byli w części południowo-zachodniej. Grunty położone na południu ich nie interesowały. Holger Eriksson kupił je w 1976 roku. Poszli na wschód. Zbliżali się do rowu i pagórka z ptasią wieżą. Wallander poczuł narastającą niechęć. Wydawało mu się, że kole-dzy zareagowali podobnie.

Tak wygląda moje życie, pomyślał. Moje życie policjanta u schyłku

dwudziestego wieku. Wczesny ranek, jesień, mgła, wilgotny chłód. Czterech mężczyzn tapla się w glinie. Podchodzą do niepojętej pułapki na drapieźniki, w której na egzotycznych bambusowych palach wisiał człowiek. Poza tym szukają grobu Polki zaginionej od dwudziestu siedmiu lat.

Będę chodził w tej glinie, dopóki nie padnę. W innych miejscach ludzie pochylają się nad kuchennym stołem i planują najróżniejsze akcje obronne. Ten, kto zabłądzi we mgle, ryzykuje życie.

Złapał się na tym, że rozmawia w myślach z Rydbergiem. Rydberg w ostatnim okresie choroby przesiadywał na balkonie. Widział ten balkon. Unosił się we mgle jak statek powietrzny. Ale Rydberg milczał. Słuchał i jak zwykle krzywo się uśmiechał. Twarz naznaczona cierpieniem.

Doszli do rowu. Wallander na końcu. Kawałek policyjnej taśmy przyczepił się do obsuniętej deski kładki. Nieposprzątane miejsce zbrodni, pomyślał. Pali bambusowych nie było. Ciekawe, gdzie się je przechowuje. W podziemiach komendy? W laboratorium kryminalistycznym w Linköpingu? Ptasia wieża ledwie była widoczna we mgle.

Zaczęła w nim dojrzewać pewna myśl. Odszedł na bok, poślizgnął się, niewiele brakowało, żeby się przewrócił. Nyberg wpatrywał się w rów. Hamrén i Hansson cicho rozmawiali o jakimś szczególe na planach geodezyjnych.

Ktoś obserwuje Holgera Erikssona i jego posiadłość, pomyślał Wallander. Ktoś, kto wie, co się stało z Kristą Haberman, która zaginęła dwa lata temu i którą uznano za zmarłą. Jest gdzieś tutaj pochowana. Dni Holgera Erikssona są policzone. Ktoś szykuje mu inny grób. Wbijają zaostrome pale. Jeszcze jeden grób w glinie.

Podszedł do Hamréna i Hanssona. Nyberg gdzieś się rozplątał. Podzielił się swoimi myślami.

– Jeśli sprawca rzeczywiście jest dobrze poinformowany, musiał wiedzieć, gdzie została pochowana Krista Haberman. Nieraz mówiliśmy, że morderca ma swój język i że próbuje nam coś przekazać. Tylko częściowo odczytaliśmy jego kod. Holger Eriksson został zgładzony z demonstacyjną brutalnością. Miał być odnaleziony. Możliwe, że wybór tego miejsca stanowi wskazówkę dla nas, gdzie powinniśmy szukać dalej. Właśnie tutaj. I wtedy odnajdziemy Kristę Haberman.

Nyberg wyłonił się z mgły. Wallander powtórzył to, co przed chwilą

powiedział kolegom. Uznali, że może mieć rację. Podeszli do wieży. Drzewa u podnóża pagórka spowijała mgła.

– Za dużo tam korzeni – stwierdził Nyberg. – Zagajnik jest mało prawdopodobny.

Zawrócili. Dochodziła ósma. Mgła nie rzedła. Zadzwoniła Ann-Britt Höglund z wiadomością, że klucze są w drodze. Byli zmarznięci i przemoczeni. Wallander nie chciał ich przetrzymywać bez potrzeby. Hansson miał się dowiedzieć, kto uprawiał ziemię Holgera Erikssona.

– Interesuje nas jakaś nagła zmiana dwadzieścia siedem lat temu – podkreślił Wallander. – Tylko nic nie mów, że szukamy zwłok, bo to grozi inwazją.

Hansson skinął głową. Zrozumiał.

– Wszystko przepatrzymy jeszcze raz, kiedy mgła opadnie – podjął Wallander. – Ale wydaje mi się, że mamy już jakieś rozeznanie.

Kiedy odjechali, Wallander wsiadł do samochodu i włączył ogrzewanie. Nie działało. Niesamowicie kosztowna naprawa najwyraźniej nie obejmowała ogrzewania. Ciekawe, kiedy będzie miał czas i pieniądze na zmianę samochodu. I ile go jeszcze czeka awarii.

Pomyślał o kobietach. Krista Haberman, Eva Runfeldt, Katarina Taxell i ta czwarta. Co je łączy? Czuł, że rozwiązanie jest na wyciągnięcie ręki. Patrzył, ale nie widział.

Molestowane, być może zamordowane kobiety. Duża rozpiętość czasowa.

Nasuwał się jeszcze jeden wniosek. Nie ogarniali całości. Wydarzenia, które próbowali zrozumieć, były częścią czegoś znacznie większego. To dobrze, że znaleźli powiązania między tymi kobietami, ale muszą brać pod uwagę i taką ewentualność, że te powiązania są przypadkowe. Ktoś dokonywał wyboru. Czym się kierował? Sprzyjającymi okolicznościami? Holger Eriksson mieszkał sam. Nie miał przyjaciół. Nocami wypatrywał ptaków. Łatwy cel. Gösta Runfeldt wybierał się w daleką dwutygodniową podróż, żeby podziwiać orchidee. Też mieszkał sam. Eugen Blomberg wychodził co wieczór na samotny spacer.

Wallander pokręcił głową. Nie wiedział, czy myśli dobrze czy źle.

W samochodzie było zimno. Wysiadł, żeby się trochę poruszać. Lada moment powinny być klucze. Poszedł na podwórze. Kiedy przyjechał tu pierwszy raz, nad rowem krążyło stado wron. Spojrzał na ręce. Opaleniźna zniknęła. Wspomnienie słońca nad Villa Borghese odeszło w niebyt.

Tak jak ojciec.

Wpatrywał się we mgłę. Dom był bardzo zadbane. Siedział tam kiedyś mężczyzna, który się nazywał Holger Eriksson, i pisał wiersze o ptakach. O samotnym locie ksyka. O zagrożonym wyginięciem dziecko średnim. Pewnego dnia wsiada do granatowego chevroleta i jedzie do Jamtlandii. Gnany namiętnością? Czy z innego powodu? Krista Haberman była ładna. W bogatych materiałach dochodzeniowych z Ostersundu znajdowało się jej zdjęcie. Czy pojechała z nim dobrowolnie? Na pewno. Są w Skanii. Ona znika. Holger Eriksson mieszka sam. Kopie grób. Nikt nie trafia na jego ślad. Aż do chwili, kiedy Hansson odnajduje Tandvalla i nieujawnione dotąd powiązania.

Patrzył na pustą psią klatkę. W pierwszej chwili nie uświadamiał sobie, o czym myśli. Obraz Kristy Haberman powoli się rozwiął. Zmarszczył czoło. Dlaczego nie było tu psa? Nikt się nad tym wcześniej nie zastanawiał. Od kiedy nie ma psa? Czy to ma jakieś znaczenie? Chciałby poznać odpowiedź.

Przed domem zahamował samochód. Po chwili na podwórzu pojawił się młody człowiek. Góra dwadzieścia lat.

– Czy to pan jest tym policjantem, który czeka na klucze?

– Tak.

Chłopiec przyglądał się mu z wahaniem.

– Skąd mogę wiedzieć? Może pan być kimkolwiek.

Wallander się zirytował. Uznał jednak, że podejrzliwość chłopca jest uzasadniona. Był upapwany gliną po pas. Wyjął legitymację. Chłopiec skinął głową i wręczył mu pęk kluczy.

– Dopilnuję, żeby wróciły do Lundu – powiedział Wallander.

Chłopiec pospiesznie odszedł. Wallander usłyszał pisk opon. Przypomniał sobie, co mówił Jonas Hader o czerwonym golfie przed domem Katariny Taxell. Czy kobiety nie ruszają z piskiem opon? Mona prowadziła szybciej niż ja. Bajba zawsze mocno wciska pedał gazu. Ale nie ruszają z piskiem opon.

Otworzył drzwi i wszedł. Zapalił światło w przedpokoju. Zalatywało stęchlizną. Usiadł na stołku i zdjął zabłocone buty. Ze zdumieniem zauważył, że wiersz o dziecku średnim wciąż leży na biurku. Od 21 września. Jutro minie miesiąc. Czy są bliżsi rozwiązania? Musieli wyjaśnić dwa inne morderstwa. Jedna kobieta zaginęła. Druga być może była gdzieś tutaj pochowana.

Stał bez ruchu. Mgła za oknem nie rzedła. Czuł się nieswojo. Miał wrażenie, że przyglądają mu się wszystkie przedmioty w pokoju. Podszedł do ściany, na której wisały dwa zdjęcia lotnicze, jedno czarno-białe, drugie kolorowe. Wyjął z kieszeni okulary. Tym razem pamiętał, żeby je zabrać. Czarno-białe zrobiono w 1949 roku, czyli dwa lata przed kupieniem „Samotni” przez Holgera Erikssona. Wyblakłe kolorowe było z 1965 roku. Odsunął zasłonkę, żeby wpuścić więcej światła, i nagle zobaczył sarnę w ogrodzie. Podniosła łeb, spojrzała na niego i wróciła do skubania trawy. Wallander nie ruszał się. Wydawało mu się, że nigdy nie zapomni tej sarny. Nie wiedział, jak długo na nią patrzył. W końcu coś ją spłoszyło, nasłuchiwała, skoczyła w bok i zniknęła. Wrócił do zdjęć. Wykonał je ten sam zakład fotograficzny. Samolot nadleciał od południa. Wszystkie szczegóły były bardzo wyraźne. W 1965 roku Holger Eriksson jeszcze nie zbudował wieży. Ale był pagórek. Rów też. Zmrużył oczy. Nie dopatrzył się kładki. Zdjęcie zrobiono wczesną wiosną. Ziemia była zaorana. Nie zauważył żadnej roślinności. Staw. Kępa drzew przy wąskiej drodze dzielącej pola. Zmarszczył czoło. Nie pamiętał tych drzew. Dzisiaj i tak by ich nie zobaczył z powodu mgły. Ale nie przypominał ich sobie z wcześniejszych wizyt. Były bardzo wysokie. Powinien zwrócić na nie uwagę. Samotna kępa drzew na polu. Zaczął się przyglądać zabudowaniom. Między 1949 a 1965 rokiem wymieniono dach i jeden budynek rozebrano, przypuszczalnie chlew. Poszerzyła się droga dojazdowa. I to wszystko. Zdjął okulary i spojrzał w okno. Sarny nie było. Usiadł w skórzanym fotelu. W ciszy. Chevrolet jedzie do Svenstaviku. Wraca do Skanii z kobietą. Kobieta znika. Dwadzieścia siedem lat później ginie mężczyzna, który być może przyjechał po nią do Svenstaviku.

Siedział w ciszy przez pół godziny. Pomyślał, że szukają co najmniej trzech kobiet: Kristy Haberman, Katariny Taxell i właścicielki czerwonego golfa, która czasami nosi tipsy i pali skręty.

A może szukają dwóch kobiet? Może Krista Haberman żyje? Gdyby tak było, miałyby dzisiaj sześćdziesiąt pięć lat. Kobieta, która uderzyła Ylvę Brink, jest dużo młodsza.

To się nie zgadzało. Jak większość innych rzeczy.

Popatrzył na zegarek. Za kwadrans dziewiąta. Wstał i wyszedł. Ciągłe gęsta mgła. Pomyślał o pustej psiej klatce. Potem zamknął drzwi na klucz i odjechał.

O dziesiątej Wallanderowi udało się zebrać wszystkich kolegów

z wyjątkiem Martinssona, który obiecał przyjść po południu. Rano był w szkole Terese. Ann-Britt Höglund poinformowała, że zadzwonił do niej wczoraj późno wieczorem. Miała wrażenie, że był pijany, co do niego niepodobne. Wallander poczuł lekką zazdrość. Dlaczego Martinsson zadzwonił do niej, a nie do niego? Przecież tyle lat pracowali razem.

– Ciągle ma zamiar złożyć wymówienie – powiedziała. – Ale chyba chciał, żebym się sprzeciwiła.

– Porozmawiam z nim – skwitował Wallander.

Zamknęli się w sali zebrań. Na końcu przyszedł Per Åkeson i Lisa Holgersson. Wallander miał uczucie, że przed chwilą zakończyli jakąś naradę.

– W całym kraju dyskutuje się o gwardii obywatelskiej – zaczęła Lisa Holgersson, kiedy na sali zapadła cisza. – Od dzisiaj wszyscy wiedzą o Lödinge. Zwrócono się do mnie z pytaniem, czy Kurt może wziąć udział w telewizyjnym programie publicystycznym. Dzisiaj wieczorem. Z Goteborga.

– Nigdy w życiu – odparł Wallander, przerażony. – Co miałbym tam robić?

– Już odmówiłam w twoim imieniu – powiedziała z uśmiechem. – Ale coś za coś.

Wallander podejrzewał, że ma na myśli wykłady w szkole policyjnej.

– Debata jest bardzo burzliwa – kontynuowała. – Możemy tylko mieć nadzieję, że wyniknie z niej coś dobrego, że nareszcie zaczną się mówić o narastającej niepewności dotyczącej prawa i jego przestrzegania.

– W najlepszym razie może skłoni nasze szefostwo do odrobiny samokrytyki – zauważył Hansson. – Policja wcale nie jest bez winy, że do tego doszło.

– O czym myślisz? – zainteresował się Wallander, ponieważ Hansson rzadko wdawał się w dyskusje o policji.

– Myślę o wszystkich skandalach – odparł Hansson – w które byli zamieszani policjanci. To się zawsze zdarzało, ale nie tak często jak teraz.

– Nie możemy tego ani przeceniać, ani bagatelizować – włączył się Per Åkeson. – Niestety, stopniowo przesuwają się granice tego, co policja i sądy uważają za przestępstwo. To, za co się skazało kogoś wczoraj, dzisiaj może zostać uznane za błażostkę niewartą zachodu. Moim zdaniem, to uwłącza poczucie sprawiedliwości, które zawsze było silne w naszym kraju.

– Jedno łączy się z drugim – powiedział Wallander. – Szczerze wątpię, czy publiczna debata nad gwardią obywatelską coś zmieni. Choć bardzo bym tego chciał.

– Tak czy inaczej, zamierzam wnieść oskarżenie – podjął Per Åkeson. – Udowodnię, że cztery osoby dopuściły się czynnej napaści. Przynajmniej trzy powinny dostać wyroki skazujące. Co do czwartej nie jestem pewien. Prokurator generalny chce być informowany o sprawie na bieżąco. To dosyć zaskakujące, ale świadczy o tym, że ktoś na górze traktuje to poważnie.

– Åke Davidsson udzielił bardzo rozsądnego wywiadu „Arbetet” – wtrącił Svedberg. – Poza tym wyszedł z tego bez większego szwanku.

– No to pozostaje Terese i jej ojciec – powiedział Wallander. – I chłopcy ze szkoły.

– Czy Martinsson chce się zwolnić? – spytał Per Åkeson. – Słyszałem takie pogłoski.

– Taka była jego pierwsza reakcja – odparł Wallander. – Dość naturalna i zrozumiała. Ale nie jestem pewien, czy to zrobi.

– Jest dobrym policjantem – przyznał Hansson. – Czy on o tym wie?

– Tak – powiedział Wallander. – Ale nie wiadomo, czy to wystarczy. Na jego decyzję mogą mieć wpływ inne czynniki. Na przykład niesamowite przeciążenie pracą.

– Wiem – stwierdziła Lisa Holgersson. – Niestety, będzie jeszcze gorzej.

Wallander przypomniał sobie, że miał porozmawiać z Lisą Holgersson o nadmiarze obowiązków Nyberga. Zapisał to sobie w kołonotatniku.

– Wrócimy do tego później – powiedział.

– Chciałam was tylko o tym poinformować. I jeszcze jedno. Wasz poprzedni szef, Bjork, życzy wam powodzenia i ubolewa nad tym, co spotkało córkę Martinssona.

– Wiedział, kiedy odejść – burknął Svedberg. – Co od nas dostał na pożegnanie? Spinning? Gdyby tu został, nigdy by z niego nie skorzystał.

– Teraz też się nie nudzi – zauważyła Lisa Holgersson.

– Bjork był w porządku – powiedział Wallander. – Ale musimy przejść do rzeczy.

Zaczęli od harmonogramu, który przygotowała Ann-Britt Höglund. Obok kołonotatnika Wallander położył plastikową torebkę z rozkładem jazdy, który znalazł w sekretarzystce Katariny Taxell.

Ann-Britt Höglund jak zwykle się postarała. Zestawiła wszystkie daty i godziny, które miały związek z różnymi wydarzeniami. Słuchając jej, Wallander pomyślał, że on nigdy by się z tego rzetelnie nie wywiązał. Na pewno zrobiłby to niedbale. Nie ma identycznych policjantów. Jest z nas prawdziwy pożytek dopiero wtedy, kiedy każdy może się wykazać swoimi najmocniejszymi stronami.

– Nie dostrzegam żadnego wzoru – powiedziała Ann-Britt Höglund, zbliżając się do końca swojej analizy. – Lekarze sądowi z Lundu ustalili, że zgon Holgera Erikssona nastąpił późnym wieczorem dwudziestego pierwszego września. Nie wiem, na jakiej podstawie, w każdym razie są tego pewni. Gösta Runfeldt zginął w nocy. Pora by się zgadzała, ale to nie prowadzi do żadnych sensownych wniosków. Nie zgadzają się dni tygodnia. Jeśli dodamy do tego dwie wizyty na oddziale położniczym w Ystadzie i zabójstwo Eugena Blomberga, może uzyskamy coś na kształt fragmentu jakiegoś wzoru.

Przerwała i popatrzyła na zebranych. Chyba jej nie zrozumieli.

– To niemal czysta matematyka – podjęła. – Wydaje się, że sprawca działa według wzoru, którego wyznacznikiem jest nieregularność. Dwudziestego pierwszego września umiera Holger Eriksson. W nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego września Katarina Taxell ma gościa na oddziale położniczym. Jedenastego października umiera Gösta Runfeldt. W nocy z dwunastego na trzynastego października gość wraca na oddział położniczy i nokautuje kuzynkę Svedberga. Siedemnastego października umiera Eugen Blomberg. Naturalnie, można by jeszcze dodać dzień, w którym prawdopodobnie zniknął Gösta Runfeldt. Brak regularności jest zaskakujący, ponieważ wszystko inne zostało zaplanowane co do minuty i starannie przygotowane. Sprawca wszywa ciężarki do worka, uwzględniając wagę przyszłej ofiary. Albo przyjmujemy, że interwały czasowe nie mają znaczenia, albo uznamy, że ta nieregularność jest czymś spowodowana. A jeśli tak, to czym.

– Jeszcze raz – poprosił Wallander. – Tylko powoli.

Powiedziała jeszcze raz. Tym razem zrozumiał.

– Nie musi w tym być przypadkowości – zakończyła. – Wolałabym w to nie wchodzić. W każdym razie nieregularność może się powtarzać. Ale nie musi.

Wallander miał już w miarę jasny obraz.

– Załóżmy, że się powtarza – powiedział. – Jak byś to zinterpretował?

wała? Co na to wpływa?

– Może być kilka odpowiedzi. Sprawca nie mieszka w Skanii, ale regularnie tu przyjeżdża. Jego zawód wymaga pracy w określonych dniach i porach. Albo istnieje jakiś inny powód.

– Chodzi ci o to, że powtarzają się zgromadzone dni wolne? I byłoby to widać wyraźniej, gdybyśmy mogli prześledzić jeszcze jeden miesiąc?

– Całkiem możliwe. Sprawca pracuje według stałego podziału godzin. Inaczej mówiąc, dni wolne nie zawsze wypadają w soboty i w niedziele.

– To może być ważne. – Wallander wahał się. – Ale trudno mi w to uwierzyć.

– Poza tym niewiele udało mi się odczytać na podstawie tych danych. Ten ktoś cały czas się wymyka.

– To, czego nie możemy ustalić, też jest jakąś informacją

– powiedział Wallander i podniósł plastikową torebkę. – Skoro rozmawiamy o harmonogramach, w skrytce w sekretarzyku Katariny Taxell znalazłem rozkład jazdy pociągów intercity z wiosny dziewięćdziesiątego pierwszego roku. Został podkreślony jeden przejazd. Z Nassjów o szesnastej. Pociąg odchodził codziennie. – Przesunął torebkę do Nyberga. – Od-ciski palców.

Potem podzielił się przemyśleniami o Kriście Haberman i zrelacjonował poranną wizytę we mgle. Na sali dał się wyczuć nastrój powagi.

– Kiedy mgła opadnie i Hansson sprawdzi, kto uprawiał ziemię i czy po roku sześćdziesiątym nie zaszły tam jakieś drastyczne zmiany, powinniśmy przystąpić do przeczesywania terenu.

Zaległa cisza. Wszyscy zastanawiali się nad słowami Wallandera.

– Wydaje się to niewiarygodne, a jednocześnie niesamowicie sugestywne – po dłuższej chwili odezwał się Per Åkeson. – Musimy poważnie potraktować tę ewentualność.

– Byłoby dobrze, gdyby nikt się o tym nie dowiedział

– wtrąciła Lisa Holgersson. – Ludzie uwielbiają stare niewyjaśnione zaginięcia.

Podjęli decyzję.

Wallander chciał jak najszybciej zakończyć zebranie. Czekają ich mnóstwo pracy.

– Katarina Taxell zniknęła – powiedział. – Odjechała czerwonym golfem. Nie wiemy, kto siedział za kierownicą. Odbyło się to w pośpiechu. Jej matka chce, żebyśmy wszczęli poszukiwania. Nie możemy odmówić,

ponieważ jest najbliższym członkiem rodziny, ale uważam, że powinniśmy się z tym wstrzymać przynajmniej przez jeden dzień.

– Dlaczego? – spytał Per Åkeson.

– Sądzę, że ona się odezwie. Oczywiście nie do nas, tylko do matki. Katarina Taxell wie, że matka się martwi. Zadzwoń, żeby ją uspokoić. Ale raczej nie powie, gdzie jest i z kim. – Wallander zwrócił się teraz do Pera Åkesona: – Chciałbym, żeby ktoś był u matki Katariny Taxell i nagrał rozmowę. Na pewno do niej dojdzie.

– Jeśli już nie doszło – zauważył Hansson i wstał. – Daj mi numer do Bircha.

Dostał go od Ann-Britt Höglund i szybko wyszedł z sali.

– To już chyba wszystko – powiedział Wallander. – Zbieramy się o piątej. Jeśli do tego czasu nic się nie wydarzy.

Wallander poszedł do swojego pokoju. Zadzwoił telefon. Martinsson. Spytał, czy nie mogliby się spotkać u niego o drugiej. Wallander obiecał, że będzie. Potem opuścił komendę i udał się na lunch do „Continentalu”. Właściwie nie było go na to stać, ale miał mało czasu i porządnie zgłodniał. Usiadł przy stoliku pod oknem. Skinieniem głowy witał się z przechodzącymi obok ludźmi. Było mu przykro, że nikt się nie zatrzymał, żeby złożyć mu kondolencje z powodu śmierci ojca. Wiadomość o czyjejś śmierci szybko się rozchodzi. Ystad to małe miasto. Poza tym był nekrolog w gazecie. Zamówił halibuta i niskoprocentowe piwo. Młoda kelnerka czerwieniła się za każdym razem, kiedy na nią spojrzał. Zastanawiał się ze współczuciem, jak znosi taką pracę.

O drugiej zadzwonił do drzwi Martinssona. Usiedli w kuchni. Martinsson był sam w domu. Wallander zapytał o Terese. Wróciła do szkoły. Wallander po raz pierwszy widział kolegę w takim stanie. Był blady, przybity, zniechęcony.

– Co ja mam robić? – zapytał.

– A co mówi twoja żona? Co mówi Terese?

– Oczywiście, żebyśmy nie składał wymówienia. To ja chcę to wszystko rzucić.

Wallander czekał. Ale Martinsson nic już nie powiedział.

– Jak pamiętasz – zaczął Wallander – kiedy kilka lat temu zabiłem człowieka pod Kasebergą, a potem przejechałem innego na Olandsbron, przez półtora roku nie było mnie w pracy. Też chciałem się wycofać. Ale zginął adwokat Torstensson i wszystko się zmieniło. Zamiast złożyć

wymówienie, wróciłem do zawodu.

Martinsson skinął głową.

– I nie żałuję. Mogę ci dać tylko jedną radę. Nie rób niczego pochopnie. Wstrzymaj się z ostateczną decyzją, popracuj jeszcze przez jakiś czas, a potem wybierzesz. Nie chodzi o to, żebyś o wszystkim zapomniał. Proszę cię tylko o cierpliwość. Brakuje nam ciebie. Jesteś dobrym policjantem. Łatwo to zauważyć, kiedy cię z nami nie ma.

Martinsson rozłożył ręce.

– Nie przesadzaj. Wiem, że coś tam umiem, ale nie próbuj mi wmawiać, że jestem niezastąpiony.

– Ciebie nikt nie zastąpi. O tym mówię.

Wallander spodziewał się długiej rozmowy. Martinsson przez kilka minut milczał. Potem wstał, wyszedł z kuchni i wrócił w kurtce.

– Idziemy? – spytał.

– Tak. Mamy dużo pracy.

W drodze do komendy Wallander zrelacjonował Martinssonowi ostatnie wydarzenia. Martinsson słuchał i nie komentował.

W recepcji zatrzymała ich Ebba. Ponieważ nie przywitała się z Martinssonem, Wallander domyślił się, że coś się musiało stać.

– Ann-Britt Höglund was szuka – powiedziała. – To bardzo ważne.

– O co chodzi?

– Niejaka Katarina Taxell zadzwoniła do matki.

Wallander popatrzył na Martinssona.

A więc miał rację.

Poszło szybciej, niż się spodziewał.

33

Zdążyli.

Birch w porę pojawił się z magnetofonem. Godzinę później taśma z Lundu była w Ystadzie. Zebrali się w pokoju Wallandera. Svedberg włączył magnetofon.

W dużym napięciu wysłuchali rozmowy Katariny Taxell z matką. Trwała krótko. Katarina Taxell powiedziała tylko to, co uznała za konieczne, pomyślał Wallander.

Odsłuchali jeszcze raz. Svedberg dał Wallanderowi słuchawki.

„— Mama? To ja.

— O mój Boże. Gdzie jesteś? Co się stało?

– Nic się nie stało. Czujemy się dobrze.

– Gdzie jesteś?

– U przyjaciela.

– U kogo?

– U przyjaciela. Chciałam tylko powiedzieć, że wszystko jest dobrze.

– Co się stało? Dlaczego zniknęłaś?

– Wy tłumaczę ci to kiedy indziej.

– U kogo jesteś?

– Nie znasz jej.

– Nie rozłączaj się. Jaki jest numer do ciebie?

– Już kończę. Zadzwoiłam tylko dlatego, żebyś się nie martwiła”.

Matka chciała jeszcze coś powiedzieć, ale Katarina Taxell odłożyła słuchawkę. Dialog składał się z trzynastu replik.

Przesłuchali taśmę co najmniej dwadzieścia razy. Svedberg spisał tę rozmowę.

– Interesuje nas jedenasta replika – powiedział Wallander.

– „Nie znasz jej”. Co ma na myśli?

– To, co mówi – odparła Ann-Britt Höglund.

– Nie o to mi chodzi. „Nie znasz jej” można rozumieć dwojako. Albo matka nigdy jej nie spotkała. Albo nie zdaje sobie sprawy, ile ta „ona” znaczy dla Katariny Taxell.

– Pierwsza wersja wydaje się bardziej prawdopodobna – powiedziała Ann-Britt Höglund.

– Chciałbym, żebyś się myliła. To by nam ułatwiło identyfikację.

Podczas ich wymiany zdań Nyberg słuchał dialogu matki z córką ze słuchawkami na uszach. Dosyć głośno.

– Coś tam stuka w tle – powiedział.

Wallander włożył słuchawki. Nyberg miał rację. Gdzieś w głębi rozlegały się jakieś głuche, powtarzające się dźwięki. Wsłuchiwali się w nie kolejno. Nie wiedzieli, co to może być.

– Gdzie ona jest? – spytał Wallander. – Dokądś dojechała. Siedzi w domu tej kobiety, która ją zabrała, a w tle coś stuka.

– Może niedaleko jest plac budowy – po raz pierwszy odezwał się Martinsson.

– To jedna z możliwości – zgodził się Wallander.

Słuchali. Tak, bez wątpienia coś stuknęło.

– Wyślemy taśmę do Linköpingu – zdecydował Wallander. – Niech zrobią analizę. Identyfikacja tych odgłosów może nam pomóc.

– Ile placów budowy jest w Skanii? – zainteresował się Hamrén.

– To może być co innego – powiedział Wallander – co ewentualnie naprowadzi nas na jej ślad.

Nyberg zabrał taśmę i wyszedł.

– Od tej chwili musimy się skupić na trzech sprawach – kontynuował Wallander. – Niektóre wątki na razie odkładamy na bok. Po pierwsze, trzeba dowiedzieć się jak najwięcej o Katarinie Taxell. Kim jest? Kim była? Jej przyjaciele. Jej życie. Po drugie, trzeba ustalić, gdzie ona jest. U kogo? – Zrobił krótką pauzę. – Po trzecie, będziemy przeczesać posesję Holgera Erikssona. Ale z tym musimy się wstrzymać, dopóki Hansson nie wróci z Lödinge.

Nikt nie miał zastrzeżeń. Rozeszli się. Wallander miał pojechać do Lundu i chciał wziąć ze sobą Ann-Britt Höglund. Było późne popołudnie.

– Masz opiekunkę do dzieci? – spytał, kiedy zostali sami w pokoju.

– Tak. Na szczęście sąsiadka potrzebuje pieniędzy.

– Jak ciebie na to stać? Nie zarabiasz kroci.

– Mnie nie stać. Ale mąż ma przyzwoitą pensję. To nas ratuje. Można nam tylko pozazdrościć.

Wallander powiadomił Bircha, że przyjeżdżają. Pojechali samochodem Ann-Britt Höglund. Wallander nie miał zaufania do swojego peugeota. Mimo kosztownej naprawy.

Krajobraz powoli tonął w zapadającym zmroku. Po polach hulał zimny wiatr.

– Zaczniemy od matki – powiedział. – Potem pojedziemy do mieszkania Katariny Taxell.

– Czego się spodziewasz? Już je przeszukiwałeś. Wiem, że jesteś dokładny.

– Może niczego. A może zauważę między dwoma szczegółami jakiś związek, który przeoczyłem.

Jechała szybko.

– Czy ruszasz z piskiem opon? – spytał Wallander.

Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem.

– Czasami. Czemu pytasz?

- Zastanawiam się, czy to kobieta prowadziła czerwonego golfa.
 - A co? Nie wiemy tego na pewno?
 - Nie. Prawie niczego nie wiemy na pewno.
- Spojrzał w boczną szybę. Mijali zamek w Marsvinsholmie.
- Za to coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że ona jest sama
 - odezwał się po chwili. – Że nie ma przy niej żadnego mężczyzny. Niko-
go. Że szukamy tylko jej.
 - Chcesz powiedzieć, że wbiła pale bambusowe, udusiła Runfeldta
i wrzuciła Blomberga do jeziora?
 - Na samym początku mówiliśmy o języku mordercy. Że chce nam coś
przekazać. Że w jego działaniu jest coś z demonstracji. Pamiętasz?
 - Tak.
 - Zastanawia mnie to, że widzieliśmy dobrze, ale wyciągaliśmy błędne
wnioski.
 - Że kobieta zachowuje się jak mężczyzna?
 - Że jej metody powinny zwrócić naszą uwagę na brutalnych
mężczyzn.
 - Że powinniśmy myśleć o brutalności ofiar?
 - Właśnie. Oprawiliśmy w ramki nie ten obraz.
 - Ale cała trudność polega na tym, że mogłaby się tego dopuścić ko-
bieta. Nie chodzi mi o siłę fizyczną. Na przykład mój mąż wcale nie jest
silniejszy ode mnie. Niełatwo mu mnie pokonać na rękę.
- Wallander spojrzał na nią zdziwiony. Roześmiała się.
- Można się rozrywać na różne sposoby.
- Skinął głową.
- Pamiętam, że w dzieciństwie mocowałem się z mamą na palce. Ale
chyba zawsze wygrywałem.
 - Może dawała ci wygrywać.
- Skęcili na Sturup.
- Nie wiem, co powoduje tą kobietą – powiedział Wallander – ale wy-
daje mi się, że nigdy z kimś takim się nie zetknęliśmy.
 - Kobieta potwór?
 - Może. Ale niekoniecznie.
- Zadzwoił telefon. Wallander odebrał. Birch chciał im udzielić
wskazówek, jak trafić do domu matki Katariny Taxell.
- Jak ona ma na imię? – spytał Wallander.
 - Hedwig. Hedwig Taxell.

Birch obiecał ją uprzedzić o ich wizycie. Wallander zakładał, że powinni być na miejscu za pół godziny.

Otaczał ich zmrok.

Birch czekał przed wejściem. Hedwig Taxell mieszkała w skrajnym szeregowcu na obrzeżach Lundu. Wallander podejrzewał, że domy pochodzą z pierwszej połowy lat sześćdziesiątych. Rzędy szuflad o płaskich dachach, a między nimi małe podwórka. Gdzieś czytał, że takie dachy nie wytrzymały obfitych opadów śniegu.

– Niewiele brakowało, a nie zdążyłbym zainstalować magnetofonu – powiedział Birch.

– Szczęście jak dotąd nam nie dopisywało – odparł Wallander. – Co myślisz o Hedwig Taxell?

– Martwi się o córkę i wnuka. Ale jest trochę spokojniejsza.

– Pomoże nam czy będzie chronić córkę?

– Wydaje mi się, że po prostu chce wiedzieć, gdzie jest Katarina.

Birch zaprowadził ich do salonu. Wallander miał dziwne uczucie, że ten pokój przypomina mu mieszkanie Katariny Taxell. Hedwig Taxell przywitała się z nimi. Birch trzymał się na uboczu. Hedwig Taxell była blada, miała rozbiegane oczy. Wallandera to nie zdziwiło. Słuchając taśmy, wychwycił jej lęk. Dlatego zależało mu na obecności Ann-Britt Höglund. Miała talent do uspokajania ludzi. Hedwig Taxell nie okazywała czujności. Chyba była zadowolona, że nie jest sama. Usiedli.

– Pani Taxell – zaczął Wallander, który jak zwykle przygotował sobie wcześniej pierwsze pytanie. – Potrzebujemy pani pomocy w kilku kwestiach dotyczących Katariny.

– A cóż ona może wiedzieć o tych okropnych morderstwach? Przecież niedawno urodziła dziecko.

– Nie sądzimy, żeby w jakikolwiek sposób była w to zamieszana. Po prostu musimy zebrać informacje ze wszystkich możliwych źródeł.

– Co ona ma z tym wspólnego?

– Mamy nadzieję, że pani nam na to odpowie.

– Odszukajcie ją. Naprawdę nie wiem, co się stało.

– Nic jej nie grozi – powiedział Wallander, nie najlepiej ukrywając wahanie.

– Nigdy dotąd tak się nie zachowywała.

– Czy nie domyśla się pani, gdzie ona może być?

– Nie. Nic z tego nie rozumiem.

– Czy Katarina ma wielu znajomych?
– Nie. Ale ma kilku oddanych przyjaciół.
– Może jest ktoś taki, z kim widywała się niezbyt często. Może kogoś niedawno poznała?

– Kogo?

– Albo odnowiła jakąś starą znajomość.

– Wiedziałabym o tym. Łączą nas dobre stosunki. Dużo lepsze, niż to się na ogół zdarza między matkami i córkami.

– Z pewnością nie miały panie przed sobą żadnych tajemnic, ale bardzo rzadko wiemy naprawdę wszystko o drugim człowieku. – Wallander silił się na cierpliwość. – Czy wie pani, kto jest ojcem dziecka?

Nie przypuszczał, że sprawi jej taką przykrość tym pytaniem.

Drgnęła.

– Nie chciała mi powiedzieć.

– Nie domyśla się pani?

– Nawet nie miałam pojęcia, że jest z jakimś mężczyzną.

– Ale o Eugenie Blombergu pani wiedziała?

– Tak. Nie lubiłam go.

– Dlaczego? Bo był żonaty?

– Dowiedziałam się o tym dopiero z nekrologu w gazecie. To był dla mnie szok.

– Dlaczego go pani nie lubiła?

– Był antypatyczny.

– Czy wiedziała pani, że bił Katarinę?

Była autentycznie przerażona. Wallander mógł jej tylko współczuć. Hedwig Taxell zawałił się świat. Zaczęło do niej docierać, jak niewiele wiedziała o córce. Że łącząca je zażyłość była fikcją. Lub prawie fikcją.

– On ją bił?

– Gorzej. Znęcał się na wiele sposobów.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Ale rozumiała, że mówi prawdę.

– Bardzo możliwe, że Eugen Blomberg jest ojcem. Mimo że ze sobą zerwali.

Wolno pokręciła głową. Wallander nie był pewien, czy znów się nie załamie. Spojrzał na Ann-Britt Höglund. Dała mu do zrozumienia, że może kontynuować. Birch ani drgnął.

– Chcielibyśmy porozmawiać z jej przyjaciółmi.

- Już z nimi rozmawialiście.
 - Wymieniła trzy nazwiska. Birch pokiwał głową.
 - I nikt poza tym?
 - Nikt.
 - Czy córka jest członkiem jakiegoś stowarzyszenia?
 - Nie.
 - Czy wyjeżdżała za granicę?
 - Zwykle jeździmy razem. Przeważnie w czasie ferii zimowych, w lutym. Byłyśmy na Maderze, w Maroku, w Tunezji.
 - Czy ma jakieś zainteresowania?
 - Dużo czyta. Lubi słuchać muzyki. Ale dużo czasu poświęca firmie. Ciężko pracuje.
 - Nic poza tym?
 - Czasami gra w badmintona.
 - Z kim? Z którąś z przyjaciółek?
 - Nie, z nauczycielką. Chyba nazywa się Carlman. Ale nigdy jej nie spotkałam.
 - Są w tej samej szkole?
 - Już nie. Były kilka lat temu.
 - Nie pamięta pani jej imienia?
 - Nie.
 - Gdzie grają?
 - Na Victoriastadion. To kilka kroków od jej domu.
- Birch dyskretnie wymknął się do przedpokoju. Wallander domyślał się, że postanowił odszukać panią Carlman. Wrócił po niespełna pięciu minutach i skinął na niego. Wallander wyszedł. Ann-Britt Höglund przejęła pałeczkę i próbowała ustalić, co Hedwig Taxell wiedziała o związku córki z Eugenem Blombergiem.
- Poszło jak z płotka – powiedział Birch. – Annika Carlman rezerwowała boisko i płaciła. Zapisałem adres. To niedaleko stąd. Lund nie jest dużym miastem.
 - Jedziemy – zdecydował Wallander i wrócił do salonu. – Annika Carlman. Mieszka na Bankgatan.
 - Pierwszy raz słyszę jej imię – przyznała Hedwig Taxell.
 - Zostawimy panie na chwilę same. Musimy z nią jak najszybciej porozmawiać.

Wsiedli do samochodu Bircha. Po dziesięciu minutach byli na miejscu.

Annika Carlman mieszkała w czynszowej kamienicy zbudowanej na początku dwudziestego wieku. Birch wcisnął guzik domofonu. Odezwał się męski głos. Birch się przedstawił. Weszli na drugie piętro. Mężczyzna czekał na nich w drzwiach.

– Jestem mężem Anniki – powiedział. – Czy coś się stało?

– Nic – odparł Birch. – Chcielibyśmy tylko zadać kilka pytań.

Zaprosił ich do środka. Mieszkanie było duże i eleganckie. Po chwili przyszła Annika. Była wysoka i miała na sobie dres.

– Policjanci chcą z tobą porozmawiać. Ale chyba nic się nie stało.

– Chcielibyśmy zadać kilka pytań dotyczących Katariny Taxell – powiedział Wallander.

Usiedli w pokoju, którego ściany przesłaniały regały z książkami. Wallander zaczął się zastanawiać, czy mąż Anniki Carlman też jest nauczycielem.

Od razu przystąpił do rzeczy.

– Jak dobrze zna pani Katarinę Taxell?

– Grywamy w badmintona. Ale się nie przyjaźnimy.

– Oczywiście wie pani, że urodziła dziecko?

– Tak, dlatego nie grałyśmy od pięciu miesięcy.

– A co potem?

– Ma się do mnie odezwać.

Wallander wymienił nazwiska trzech przyjaciółek Katariny Taxell.

– Nie znam ich. Spotykałyśmy się tylko na boisku.

– Od kiedy?

– Mniej więcej od pięciu lat. Uczyłyśmy w tej samej szkole.

– Czy można z kimś grać w badmintona przez pięć lat i w ogóle go nie znać?

– Oczywiście.

Wallander myślał, co dalej. Annika Carlman udzielała jasnych odpowiedzi, miał jednak wrażenie, że się od czegoś oddalają.

– Czy nigdy jej pani z nikim nie widziała?

– Z mężczyzną czy z kobietą?

– Zacznijmy od mężczyzny.

– Nie.

– Nawet wtedy, kiedy razem pracowałyście?

– Trzymała się na uboczu. Interesował się nią jeden z kolegów, ale traktowała go obojętnie, wręcz odpychająco. Ale dobrze sobie radziła

z uczniami. Była zdolna. Uparta i zdolna.

– A czy widziała ją pani z kobietą?

Wallander stracił jakąkolwiek nadzieję zaraz po zadaniu tego pytania. Okazało się, że za wcześnie.

– Tak, owszem. Mniej więcej trzy lata temu.

– Kto to był?

– Nie wiem, jak się nazywa. Ale wiem, co robi. To był bardzo dziwny zbieg okoliczności.

– Co robi?

– Co teraz robi, nie wiem, ale wtedy była kelnerką w wagonie restauracyjnym.

– Widziała pani Katarinę Taxell w pociągu?

– Nie. W mieście. Zauważyłam ją z inną kobietą. Szłam po drugiej stronie ulicy. Nie przywitałyśmy się. Kilka dni później pojechałam do Sztokholmu. Gdzieś za Alvestą poszłam do restauracyjnego. Kiedy miałam płacić, rozpoznałam w kelnerce znajomą Katariny.

– Czy powiedziała pani o tym Katarinie?

– Nie. Wypadło mi to z głowy. Czy to jest ważne?

Wallander pomyślał o rozkładzie jazdy, który znalazł w sekretarzyku.

– Może. Jaki to był dzień? I jaki pociąg?

– Nie pamiętam. To było trzy lata temu.

– Może ma pani stary kalendarz? Chcielibyśmy, żeby pani sobie przypomniała.

Mąż, który siedział w milczeniu i słuchał, podniósł się.

– Przyniosę kalendarz – powiedział. – Z dziewięćdziesiątego pierwszego czy drugiego?

Zastanawiała się.

– Z dziewięćdziesiątego pierwszego. To było w lutym albo w marcu.

Czekali kilka minut. Muzykę z głębi mieszkania zastąpiły dźwięki z telewizora. Mąż podał jej czarny kalendarz. Przerzuciła parę tygodni. Wkrótce znalazła.

– Pojechałam do Sztokholmu dziewiętnastego lutego. Pociąg odchodził o siódmej dwanaście rano. Trzy dni później wróciłam. Byłam u siostry.

– Nie widziała pani tej kobiety w drodze powrotnej?

– Nigdy więcej jej nie widziałam.

– Ale jest pani pewna, że to była ona? Ta sama kobieta, którą widziała pani na ulicy w Lundzie z Katariną?

– Tak.

Wallander popatrzył na nią z namysłem.

– Czy pani zdaniem coś jeszcze może być dla nas ważne?

Pokręciła głową.

– Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że nic nie wiem o Katarinie. W każdym razie dobrze gra w badmintona.

– Jak by ją pani opisała?

– To trudne. Jest osobą trudną do opisanie. Ma zmienny nastrój. Bywa przygnębiona. Ale wtedy, kiedy widziałam ją na ulicy z tą kelnerką, śmiała się.

– Jest pani pewna?

– Tak.

– Czy nic więcej pani sobie nie przypomina?

Wallander widział, że stara się im pomóc.

– Wydaje mi się, że tęskni za ojcem – powiedziała po chwili.

– Dlaczego pani się tak wydaje?

– Nie wiem, takie mam odczucie. Zmieniała się w towarzystwie starszych mężczyzn.

– To znaczy?

– Traciła coś ze swojego normalnego sposobu bycia. Stawała się mniej pewna.

Wallander zastanawiał się nad tym, co usłyszał. Ojciec Katariny zginął, kiedy była młoda. Ciekawe, czy odczucie Anniki Carlman mogło tłumaczyć związek Katariny z Eugenem Blombergiem.

Spojrzał na nią.

– Coś jeszcze?

– Nie.

Wallander skinął na Bircha i wstał.

– Wobec tego nie będziemy dłużej przeszkadzać.

– Bardzo mnie, rzecz jasna, interesuje, dlaczego policja zadaje pytania, jeśli nic się nie stało?

– Dużo się stało, ale nie z Katariną. To, niestety, jedyna odpowiedź, jakiej mogę udzielić.

Wyszli z mieszkania. Zatrzymali się na klatce.

– Musimy odszukać tę kelnerkę – powiedział Wallander. – Nikt nie mówił o Katarinie Taxell jako o osobie roześmianej. Pomijam zdjęcia z Kopenhagi sprzed wielu lat.

– SJ³ ma listy pracowników. Ale nie wiem, czy uda się coś ustalić jeszcze dzisiaj. Mimo wszystko minęły trzy lata.

– Musimy spróbować. Nie mogę, oczywiście, tego od ciebie żądać. Możemy się tym zająć w Ystadzie.

– Macie dosyć pracy. Załatwię to.

Birch był szczery. Nie traktował tego jako poświęcenia.

Podrzucił Wallandera pod dom Hedwig Taxell i pojechał do komendy, żeby zacząć poszukiwania kelnerki z pociągu. Wallander był ciekaw, czy to w ogóle wykonalne.

Już miał dzwonić do drzwi, kiedy zabręczała komórka. To Martinsson. Wallander zorientował się po jego głosie, że wydobywa się z przygnębienia. Szybciej, niż przypuszczał.

– Jak idzie? – spytał Martinsson. – Ciągłe jesteś w Lundzie?

– Próbujemy wytropić kelnerkę z pociągu.

Martinsson miał dość rozumu, żeby nie zadawać dalszych pytań.

– Tutaj trochę się wydarzyło – powiedział. – Svedberg odnalazł człowieka, który drukował tomiki poetyckie Holgera Erikssona. Jest bardzo stary, ale jary. Nie miał obiekcji, żeby powiedzieć, co myśli o Holgerze Erikssonie. Ciągłe musiał się upominać o pieniądze.

– Czy powiedział coś nowego?

– Po wojnie Holger Eriksson regularnie jeździł do Polski. Wykorzystywał tamtejszą biedę i kupował kobiety. A po powrocie chwalił się swoimi podbojami. Staruszek drukarz niczego nie owijał w bawełnę.

Wallander przypomniał sobie, co powiedział Sven Tyren podczas jednej z ich pierwszych rozmów. Teraz uzyskał potwierdzenie. Krista Haberman nie była jedyną Polką w życiu Holgera Erikssona.

– Svedberg się zastanawia, czy nie warto by się skontaktować z polską policją – powiedział Martinsson.

– Może i tak, ale na razie się wstrzymajmy.

– To jeszcze nie wszystko. Daję Hanssona.

W słuchawce zachrobotąło.

– Chyba wyrobiłem sobie dosyć jasny pogląd na to, kto uprawiał ziemię Holgera Erikssona – zaczął Hansson. – Jedna rzecz jest bardzo charakterystyczna.

– Jaka?

– Nieustannie kłótnie. Jeśli wierzyć informatorom, Holger Eriksson

miał niesamowitą umiejętność zyskiwania sobie nieprzyjaciół. Można by sądzić, że to była jego największa pasja.

– Ziemia – przerwał zniecierpliwiony Wallander.

Hansson spoważniał.

– Rów, w którym znaleźliśmy zwłoki Holgera Erikssona, został wykopany sporo lat temu. Nikt nie wiedział, do czego był Erikssonowi potrzebny. Na pewno nie do drenażu. A zbędnej gliny użyto do podwyższenia pagórka. Tego, na którym stoi wieża.

– Nie brałem pod uwagę rowu. Mało prawdopodobne, żeby miał coś wspólnego z grobem.

– Też mi się tak wydawało – przyznał Hansson – ale zmieniłem zdanie, kiedy się dowiedziałem, że rów został wykopany późną jesienią sześćdziesiątego siódmego roku. Rolnik, z którym rozmawiałem, był tego pewien.

Wallander od razu zrozumiał, co to oznacza.

– Czyli w tym samym czasie, kiedy zaginęła Krista Haberman.

– Mało tego, powiedział, że to było pod koniec października. Zapamiętał, bo trzydziestego pierwszego października sześćdziesiątego siódmego odbywało się w Lödinge wesele. To by się idealnie zgadzało w czasie ze zniknięciem Kristy Haberman. Jadą samochodem ze Svenstaviku. On ją zabija i zakopuje. Powstaje rów. Który w dodatku do niczego nie jest potrzebny.

– Dobrze.

– Jeśli ona tam leży, to wiem, gdzie powinniśmy szukać. Według tego rolnika, zaczęli kopać na południe od pagórka. Eriksson wynajął koparkę. Przez pierwsze dni pracował sam. Dopiero potem wynajął ludzi.

Wallander czuł coraz większy niesmak. Wolałby się mylić. Teraz jednak był pewien, że szczątki Kristy Haberman znajdują się gdzieś niedaleko miejsca, które ustalił Hansson.

– Zaczynamy jutro – zdecydował Wallander. – Przygotuj wszystko, co trzeba.

– Nie utrzymamy tego w tajemnicy.

– Musimy spróbować. Porozmawiaj z Lisą Holgersson, z Perem Åkesonem i z innymi.

– Jedno mnie zastanawia. Co nam to da, jeśli ją znajdziemy? Już teraz możemy przyjąć, że Holger Eriksson ją zabił, mimo że nigdy tego nie dowiedziemy. Jakie to będzie miało znaczenie dla naszego śledztwa?

Pytanie było uzasadnione.

– Przede wszystkim upewnimy się, że zmierzamy w dobrym kierunku i że motywem, który łączy te morderstwa, jest zemsta. Albo nienawiść.

– Ciągłe myślisz, że to kobieta?

– Tak. Coraz bardziej się w tym utwierdzam.

Zakończył rozmowę. Był pogodny wieczór. Poczł na twarzy lekki podmuch wiatru. Pomyślał, że powoli zbliżają się do punktu centralnego, którego szukał od miesiąca.

Nie wiedział, co tam znajdą.

Kobieta, którą próbował sobie wyobrazić, ciągle się wymykała.

Wydawało mu się, że w pewnym sensie ją rozumie.

Zapukał i wszedł.

*

Ostrożnie uchyliła drzwi. Dziecko spało na plecach w łóeczku, które kupiła tego samego dnia. Katarina Taxell zwinęła się na łóeczku tuż obok. Stała bez ruchu i patrzyła na nich. Miała wrażenie, że w dziecięcym łóeczku widzi siebie. Albo siostrę.

Nagle wszystko się rozmazało. Wszędzie była krew. Nie tylko dziecko rodzi się we krwi. Życie ma źródło we krwi wyciekającej z przeciętej skóry, krwi, która zachowała pamięć żył, w których płynęła. Widziała to bardzo wyraźnie. Mężczyzna pochylał się nad matką, która leżała na stole z rozrzuconymi nogami i krzyczała. Choć było to przeszło czterdzieści lat temu, przeszłość błyskawicznie wróciła. Przez całe życie próbowała od niej uciec. Na próżno. Wspomnienia zawsze ją dopadały.

Ale teraz nie musi się już ich obawiać. Matka nie żyje i ona może robić, co chce. A raczej to, co musi, żeby trzymać wspomnienia na dystans.

Zawrót głowy minął równie szybko, jak się pojawił. Podeszła do łóeczka i popatrzyła na śpiące dziecko. To nie jest jej siostra. To dziecko miało twarz. Jej siostra nie żyła tak długo, żeby cokolwiek mieć. To dziecko Katariny Taxell, a nie jej matki. Dziecko Katariny Taxell, które nigdy nie będzie cierpieć, którego nigdy nie będą prześladowały wspomnienia.

Uspokoila się. Wspomnienia odpłynęły. Już się na nią nie rzucały.

Postępuje słuszenie. Zapobiega temu, żeby ludzi dręczono w taki sposób, w jaki ją dręczono. Czyniących gwałt mężczyzn, których społeczeństwo nie karało, skazywała na najcięższą drogę. Przynajmniej

tak to sobie wyobrażała. Mężczyzna pozbawiony życia przez kobietę nigdy nie zrozumie, co się z nim dzieje.

Cisza. To jest najważniejsze. Miała rację, przywożąc ich tutaj. Spokojnie wyjaśniła, że to dla ich dobra. Eugen Blomberg utonął. Worek, o którym pisały gazety, to tylko niesprawdzone pogłoski i niepotrzebna przesada. Eugena Blomberga nie ma. Potknął się albo poślizgnął i utonął. Nie było w tym niczyjej winy. Los tak chciał. A los jest sprawiedliwy. Powtarzała to raz po raz i nareszcie Katarina Taxell zaczęła coś rozumieć.

Dobrze, że ją zabrała. Choć wczoraj była zmuszona przełożyć spotkanie z kobietami, które miały do niej przyjść w tym tygodniu. Odstępstwo od harmonogramu wprowadzało zamieszanie, miała kłopoty z zaśnięciem, ale nie było innego wyjścia. Nie da się zaplanować wszystkiego. Wbrew najszczerzym chęciom.

Dopóki Katarina z dzieckiem byli u niej, postanowiła nie opuszczać Vollsjö. Z ystadzkiego mieszkania wzięła najpotrzebniejsze rzeczy, służbowe ubrania i pudełko ze złożonymi karteczkami i zeszytem z nazwiskami. Teraz, kiedy Katarina i dziecko spali, nie musiała dłużej czekać. Wysypała kartki na piec, przemieszała i zaczęła rozkładać. Już na dziewiątej był krzyżyk. Otworzyła zeszyt i powoli przesuwiała palec po liście nazwisk. Numer dziewięć. Przeczytała nazwisko. Tore Grundén. Stała bez ruchu i patrzyła przed siebie. Pomału wyłaniała się jego postać. Najpierw niewyraźny cień, rozmazane kontury, potem twarz. Już go sobie przypomniwała. Wiedziała, kim jest i co zrobił.

To się wydarzyło ponad dziesięć lat temu. Przed świętami Bożego Narodzenia. Był wieczór. Pracowała wtedy na oddziale ratunkowym szpitala w Malmö. Przywieziona karetką kobieta już nie żyła. Był z nią mąż. Wstrząśnięty, ale opanowany. Od razu nabrała podejrzeń. Widziała to nieraz. Ponieważ kobieta zmarła, nie mogli nic zrobić. Odeszła na bok z jednym z policjantów i spytała, co się stało. To był tragiczny wypadek. Mąż wyprowadzał samochód z garażu, nie zauważył żony i przejechał ją. Jej głowa znalazła się pod tylnym kołem. Nie powinno było do tego dojść, ale doszło. Niepostrzeżenie uniosła prześcieradło i popatrzyła na zmarłą. Chociaż nie była lekarzem, odniosła wrażenie, że kobieta została przejechana kilka razy. Potem zaczęła badać tę sprawę. Okazało się, że kobieta kilka razy była w szpitalu. Raz spadła z drabiny. Innym razem przewróciła się w piwnicy i uderzyła głową o cementową posadzkę. Na-

pisała anonimowy list do policji, informując o morderstwie. Rozmawiała z obducentem. Lecz nic z tego nie wynikło. Mąż dostał karę grzywny albo wyrok w zawieszeniu za coś, co uznano za niezachowanie należytej ostrożności. I tyle. Podczas gdy kobieta została zamordowana.

Teraz wszystko się wyprostuje. Ale nikt nie przywróci życia zmarłej kobiecie.

Zaczęła planować, jak ma się to odbyć.

Ale nie mogła się skupić. Pomyślała o mężczyznach obserwujących karmienicę Katariny Taxell. Chcieli jej przeszkodzić. Będą próbowali się do niej zbliżyć za pośrednictwem Katariny. Może zaczęli podejrzewać, że za tym wszystkim kryje się kobieta? Na to liczyła. Najpierw uznają, że to mężczyzna. Potem opadną ich wątpliwości. W końcu wszystko obróci się wokół własnej osi i stanie się swoim przeciwieństwem.

Ale, naturalnie, nigdy jej nie znajdą. Przenigdy.

Popatrzyła na piec. Pomyślała o Tore Grundénie. Mieszka w Hässleholmie, a pracuje w Malmö.

Już wiedziała, jak to się odbędzie. To było niemal żenująco proste.

Może to zrobić w godzinach pracy. I za pieniądze.

34

Zaczęli kopać wcześniej rano w piątek 21 października. Światło było kiepskie. Wallander i Hansson wytyczyli taśmą pierwszy czworokąt. Policjanci w kombinezonach i kaloszach wiedzieli, czego szukają. Ich niechęć mieszała się z chłodnym powietrzem. Wallander miał uczucie, że jest na cmentarzu. Gdzieś natkną się być może na ludzkie szczątki. Miał tym wszystkim zarządzać Hansson, a on i Birch musieli jak najszybciej namierzyć kelnerkę, która wywołała uśmiech na twarzy Katariny Taxell.

Wallander został na gliniastym polu pół godziny, potem wrócił do samochodu i zadzwonił do Bircha. Złapał go w domu. Pił kawę. Poprzedniego wieczora Birchowi udało się ustalić, że być może w Malmö zdobędą nazwisko kelnerki. Postanowili się spotkać przed dworcem w Malmö.

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem z personalnym ze spółki Restauracje Pociągowe. – Birch parsknął śmiechem. – Zdaje się, że zadzwoniłem

w bardzo niestosownym momencie.

Wallander nie rozumiał.

– W trakcie stosunku. Bycie policjantem ma czasami rozrywkowe strony.

Wallander ruszył do Malmö. Ciekawe, skąd Birch wiedział, że przewał komuś stosunek. Po chwili skupił się na poszukiwanej kelnerce. W prowadzonym od miesiąca śledztwie pojawiła się czwarta kobieta. Po Kriście Haberman, Evie Runfeldt i Katarinie Taxell. Anonimowa kelnerka. Czy jest jeszcze jedna kobieta? Piąta? Czy to jej szukają? A może osiągną cel, odnajdując kelnerkę z pociągu? Czy to ona składała nocne wizyty na oddziale położniczym? Wątpił, żeby szukali kelnerki. Ewentualnie dzięki niej zrobią krok naprzód. Na więcej raczej nie liczył.

Za szybko przesuwiał się szary jesienny krajobraz. Z roztargnieniem pomyślał o zimie. Czy będzie surowa? Kiedy ostatnio był śnieg na Boże Narodzenie? Tak dawno, że nie pamiętał.

Przyjechał do Malmö. Miał szczęście, od razu znalazł wolne miejsce tuż przy wejściu na dworzec. Przez moment zastanawiał się, czyby się nie napić kawy, ale zrezygnował. Nie było na to czasu.

Zauważył Bircha po drugiej stronie kanału. Wchodził na most. Przepuszczalnie zaparkował przy rynku. Przywitali się. Birch miał na głowie za małą czapkę, był nieogolony i niewyspany.

– Zaczęliście kopać? – spytał.

– O siódmej.

– Znajdziecie ją?

– Bo ja wiem. Może.

Birch ponuro skinął głową i wskazał na dworzec.

– Spotkamy się z Karlem-Henrikiem Bergstradem. Zwykle przychodzi później, ale dla nas zrobi wyjątek.

– Czy to jemu przerwałś w niestosownym momencie?

– A żebyś wiedział.

Karl-Henrik Bergstrand przywitał ich w wydziale administracji SJ. Wallander przyglądał mu się z zainteresowaniem, próbując sobie wyobrazić inkryminowany moment. Doszedł do wniosku, że to jego własne nieistniejące współżycie seksualne nie daje mu spokoju.

Zawstydził się. Karl-Henrik Bergstrand miał około trzydziestki. Wallander podejrzewał, że reprezentuje nowy młody profil SJ. Przedstawili się.

– Wasza sprawa jest dość nietypowa – przyznał Bergstrand i uśmiechnął się. – Ale zobaczymy, co da się zrobić.

Zaprosił ich do przestronnego biura. Wallandera uderzyła jego pewność siebie. On w tym wieku prawie niczego nie był pewien.

Bergstrand usiadł za dużym biurkiem. Wallander oglądał meble. Może tu kryła się odpowiedź na pytanie, dlaczego ceny biletów kolejowych są takie wysokie.

– Szukamy osoby zatrudnionej w wagonie restauracyjnym – zaczął Birch. – Wiemy tylko tyle, że to kobieta.

– W Kolejowej Obsłudze Serwisowej pracują przeważnie kobiety – odparł Bergstrand. – Mężczyznę byłoby dużo łatwiej znaleźć.

Wallander uniósł rękę.

– Jak to się właściwie nazywa? Restauracje Pociągowe czy Kolejowa Obsługa Serwisowa?

– Można mówić tak albo tak.

Wallander spojrzał na Bircha.

– Nie znamy jej imienia ani nazwiska. Nie wiemy też, jak wygląda.

Bergstrand zdziwił się.

– Czy odnalezienie kogoś, o kim prawie nic się nie wie, jest rzeczywiście takie ważne?

– Czasami wręcz konieczne – zauważył Wallander.

– Wiemy, w którym pociągu pracowała – powiedział Birch i wręczył Bergstrandowi dane, które dostali od Anniki Carlman.

Bergstrand pokręcił głową.

– To było trzy lata temu.

– Owszem – potwierdził Wallander. – Ale zakładam, że SJ ma rejestr pracowników?

– W zasadzie nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. SJ jest koncernem, w którego skład wchodzi dużo spółek. Restauracje Pociągowe stanowią filię. Mają własną administrację. I to oni są władni udzielać tego typu informacji. Ale, naturalnie, w razie potrzeby współpracujemy ze sobą.

Wallander zaczynał tracić cierpliwość.

– Musimy sobie coś wyjaśnić. Nie szukamy tej kelnerki dla przyjemności. Tak się składa, że może nam pomóc w skomplikowanym śledztwie w sprawie morderstw. Nie ma znaczenia, kto odpowie na nasze pytania, chodzi o to, żeby zrobił to jak najszybciej.

Te słowa wywarły pożądany skutek. Bergstrand zrozumiał. Birch po-

patrzył na Wallandera z otuchą.

– Zakładam, że może pan znaleźć osobę, która udzieli nam odpowiedzi – kontynuował Wallander. – A my tymczasem poczekamy.

– Czy chodzi o morderstwa w okolicach Ystadu? – zainteresował się Bergstrand.

– Tak. I ta kelnerka może wiedzieć coś ważnego.

– Czy jest podejrzana?

– Nie. Nie jest podejrzana. Ani na pociągi, ani na kanapki nie padnie żaden cień.

Bergstrand wstał i wyszedł z pokoju.

– Wyglądał na nadętego – zauważył Birch. – Dobrze mu powiedziałaś.

– Byłoby jeszcze lepiej, gdyby przyniósł odpowiedź.

Czekając na Bergstranda, Wallander zadzwonił do Hanssona. Przekopali połowę czworokąta i nic.

– Niestety, już się to rozniosło – poinformował Hansson. – Zeszło się trochę ciekawskich.

– Trzymajcie ich na odległość. Więcej nie możemy zrobić.

– Nyberg chce z tobą rozmawiać. Chodzi o taśmę z nagraniem rozmowy Katariny Taxell z matką.

– Zidentyfikowali ten stukot?

– Jeśli dobrze zrozumiałem Nyberga, rezultat jest negatywny. Najlepiej sam z nim pogadaj.

– Naprawdę nic nie mogli powiedzieć?

– Ich zdaniem, ktoś stukał w podłogę albo w ścianę. Ale co to nam da? Wallander za wcześnie robił sobie nadzieję.

– Dziecko Katariny Taxell raczej możemy wykluczyć – kontynuował Hansson. – Namierzyliśmy specjalistę, który filtruje częstotliwości albo coś w tym rodzaju. Może uda mu się wytropić, czy Katarina Taxell dzwoniła z daleka, czy z okolic Lundu. Ale to podobno bardzo skomplikowane. Nyberg mówił, że zajmie co najmniej dwa dni.

– Trudno.

Wrócił Bergstrand. Wallander szybko zakończył rozmowę.

– To chwilę potrwa. Po pierwsze, chcecie mieć listę osób zatrudnionych trzy lata temu. Po drugie, w koncernie dużo się od tego czasu zmieniło. Wyjaśniłem, że to ważne. Restauracje Pociągowe pracują pełną parą.

– Poczekamy – skonstatował Wallander.

Bergstrand nie wydawał się zachwycony obecnością dwóch policjantów w swoim biurze. Ale nic nie powiedział.

– Czy kawa, jedna ze specjalności SJ, jest osiągalna również poza wagonem restauracyjnym? – spytał Birch.

Bergstrand opuścił pokój.

– Chyba nie ma zwyczaju podawania kawy – radośnie skomentował Birch.

Wallander milczał.

Bergstrand wniósł kawę na tacy, po czym się wymówił pilnym spotkaniem i zostawił ich samych. Wallander coraz bardziej się niecierpliwił. Pomyślał o Hanssonie. Może powinien poprosić Bircha, żeby sam poczytał na interesujące ich dane. Zdecydował, że posiedzi jeszcze pół godziny. I ani chwili dłużej.

– Próbowałem sobie to wszystko wyobrazić – odezwał się Birch. – Nigdy w życiu z czymś takim się nie zetknąłem. Czy to rzeczywiście możliwe, żeby stała za tym kobieta?

– Nie uciekniemy od tego, co już wiemy.

Jednocześnie powróciło uczucie, które od początku nie dawało mu spokoju. Bał się, że wywiódł śledztwo na manowce najeżone pułapkami. W każdej chwili mogła się pod nimi otworzyć zapadnia.

– Seryjne morderczynie to u nas rzadkość – powiedział po chwili Birch.

– Jeśli w ogóle jakieś były. Poza tym nie wiemy, czy to ona. Ślady prowadzą nas do niej albo do kogoś z jej otoczenia.

– I myślisz, że na co dzień serwuje kawę w pociągu na trasie Sztokholm – Malmö?

Birch miał spore wątpliwości.

– Nie – odparł Wallander. – Nie myślę, że serwuje kawę. Kelnerka to przypuszczalnie tylko czwarty krok.

Birch przestał pytać. Wallander spojrział na zegarek. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Hanssona. Niedługo minie pół godziny. Bergstrand był na spotkaniu. Birch zaczął czytać broszurę zachwalającą SJ. Wallander coraz bardziej się niecierpliwił.

Zajrzał Bergstrand.

– Chyba się z tym uporamy – powiedział pocieszająco. – Ale trochę to jeszcze potrwa.

– To znaczy?

Wallander nie krył irytacji. Niepotrzebnie, ale nic nie mógł poradzić.

– Może pół godziny. Przeglądają rejestry.

Wallander skinął głową.

Birch odłożył broszurę i zamknął oczy. Wallander podszedł do okna i patrzył na Malmö. Po prawej był terminal wodolotów. Czekał tam na Bajbę. Ile razy? Dwa. Miał wrażenie, że więcej. Usiadł. Zadzwoił do Hanssona. Ciągłe nic nie znaleźli. W dodatku zaczęło padać. Wallander wyobrażał sobie, jakie to deprymujące zajęcie.

Żeby to szlag trafił, pomyślał nagle. Prowadzę to śledztwo prosto w przepaść.

Birch pochrapywał. Wallander bez przerwy patrzył na zegarek.

Wrócił Bergstrand. Birch obudził się gwałtownie.

– Margareta Nystedt – oznajmił Bergstrand. – To jej szukacie. Tamtego dnia sama odpowiadała za obsługę pasażerów.

Wallander zerwał się z krzesła.

– Gdzie ona teraz jest?

– Nie wiem. Nie pracuje u nas mniej więcej od roku.

– Cholera!

– Ale mamy jej adres. Nie musiała się przeprowadzać tylko dlatego, że przestała pracować w Restauracjach Pociągowych.

Wallander capnął papier. Mieszkała w Malmö.

– „Carl Gustavs väg” – przeczytał. – Gdzie to jest?

– Przy Pildammsparken.

Na kartce był także numer telefonu. Ale Wallander postanowił nie dzwonić. Chciał tam od razu pojechać.

– Dziękuję za pomoc – powiedział. – Mam nadzieję, że wszystko się zgadza i że to ona obsługiwała tamten pociąg.

– SJ są znane z niezawodności. Dotyczy to także porządku w rejestrach osobowych. W całym koncernie.

Wallander nie zrozumiał związku. Ale nie miał czasu pytać.

– Jedziemy – powiedział do Bircha.

Pojechali samochodem Wallandera. Znalezienie Carl Gustavs väg zajęło im niespełna dziesięć minut.

Margareta Nystedt mieszkała na czwartym piętrze pięciopiętrowej kamienicy. Skorzystali z windy. Wallander zadzwonił, zanim Birch zdążył z niej wyjść. Czekali. Zadzwoił jeszcze raz. Nic. Zaklął w duchu, po czym zadzwonił do drzwi obok. Otworzyły się prawie natychmiast. Stał

w nich starszy mężczyzna w rozchełstanej koszuli. W ręku trzymał do połowy wypełniony kupon. Wallander przypuszczał, że ma to coś wspólnego z kłusakami. Wyjął legitymację.

– Szukamy Margarety Nystedt – powiedział.

– Co ona zrobiła? To bardzo miła młoda osoba. Jej mąż też.

– Potrzebujemy kilku informacji. Nie ma jej w domu. Nikt nie otwiera. Czy nie wie pan przypadkiem, gdzie możemy ją znaleźć?

– Pływa na wodolotach. Jest kelnerką.

Wallander popatrzył na Bircha.

– Dziękujemy za pomoc – powiedział Wallander. – Powodzenia w obstawianiu.

Dziesięć minut później zajechali pod terminal.

– Tu nie możemy zaparkować – zauważył Birch.

– Olewamy to.

Wallander miał uczucie, że biegnie. Gdyby się zatrzymał, upadłby.

Bardzo szybko dowiedzieli się, że Margareta Nystedt pracuje na „Springaren”, który przed chwilą wypłynął z Kopenhagi i będzie tu za pół godziny. Wallander w tym czasie przestawił samochód, a Birch czytał podartą gazetę w hali odpraw. Kierownik terminalu zaprosił ich do pokoju dla personelu. Zapytał, czy ma nawiązać łączność ze statkiem.

– Jak długo zostanie na lądzie? – spytał Wallander.

– Wraca do Kopenhagi następnym rejssem.

– To niemożliwe.

Kierownik obiecał się tym zająć. Wallander zapewnił go, że Margareta Nystedt nie jest o nic podejrzana.

Wyszedł z terminalu, kiedy wodolot przybijał do kei. Pasażerowie zmagali się z wiatrem. Zdziwił się, że tyle ludzi pływa po Sundzie w zwykły dzień powszedni. Czekał niecierpliwie. Za ostatnim pasażerem, mężczyzną o kulach, pojawiła się kobieta w stroju kelnerki. Rozmawiał z nią kierownik i coś jej pokazywał.

Margareta Nystedt zeszła na ląd. Krótkowłosa blondynka, młodsza, niż Wallander przypuszczał. Stała przed nim i splotła ramiona. Marzła.

– Czy to pan chciał ze mną rozmawiać? – spytała.

– Margareta Nystedt?

– Tak.

– Wejdźmy do środka. Nie musimy tu marznąć.

– Mam mało czasu.

– Więcej, niż pani myśli. Nie popłynie pani następnym rejssem.

Zatrzymała się w pół kroku.

– Dlaczego? Kto tak zdecydował?

– Muszę z panią porozmawiać. Ale proszę się nie niepokoić.

Wydawało mu się, że się przestraszyła. Zaczął podejrzewać, że się pomylił. Że to ona. Że już ma piątą kobietę i nie musi poznawać czwartej. Ale dość szybko uznał, że młoda i delikatna Margareta Nystedt nigdy by nie podołała temu fizycznie. W jej sylwetce było coś, co mówiło mu, że to nie jej szukają.

Weszli do terminalu i usiedli na wyświechtanych fotelach ze skaju w pomieszczeniu wypoczynkowym dla personelu. Birch przedstawił się. Podała mu rękę. Miała kruchą dłoń. Przypomina ptasią stopę, nie wie-dzieć czemu pomyślał Wallander.

Dawał jej dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem lat. Była w mini. Miała ładne nogi. Ostry makijaż. Jakby chciała coś zatuszować. Była nie-spokojna.

– Przepraszam, że kontaktujemy się z panią w ten sposób – zaczął Wallander – ale czasami niektóre rzeczy nie mogą czekać.

– Na przykład mój wodolot – powiedziała.

Jej głos zabrzmiał dziwnie twardo. Wallander się tego nie spodziewał. Nie wiedział, czego się właściwie spodziewał.

– To żaden problem. Rozmawiałem z pani przełożonym.

– Co ja takiego zrobiłam?

Wallander patrzył na nią z namysłem. Nie miała pojęcia, w jakiej sprawie do niej przyszli. Poczuł pod stopami zapadnięcie. Wahał się.

– Co ja takiego zrobiłam?

Wallander spojrzał na Bircha, który ukradkiem zerkał na jej nogi.

– Czy zna pani Katarinę Taxell? – zapytał Wallander.

– Wiem, kto to jest.

– Jak pani ją poznała? Co was łączy?

Margareta Nystedt drgnęła.

– Czy coś jej się stało?

– Nie. Proszę odpowiadać na pytania.

– Proszę odpowiedzieć na moje! Mam tylko jedno. Dlaczego mnie pan o nią pyta?

Był zbyt niecierpliwy. Za szybko przeszedł do rzeczy. Rozumiał jej agresję.

– Nic się Katarinie nie stało. Nie jest o nic podejrzana. Tak jak pani. Po prostu potrzebujemy o niej różnych informacji. Nic więcej nie mogę powiedzieć. Odpowie pani na moje pytania i spokojnie wróci do pracy.

Przyglądała mu się badawczo. Chyba nabrała do niego zaufania.

– Widywała się pani z nią mniej więcej trzy lata temu. Pracowała pani wtedy jako kelnerka w czymś o nazwie Restauracja Pociągowe.

Zdziwiła się, że o tym wie. Wallander odniósł wrażenie, że Margareta Nystedt ma się na baczności, i uważniej zaczął ją obserwować.

– Zgadza się? – spytał.

– Naturalnie. Dlaczego miałabym zaprzeczać?

– I znała pani Katarinę Taxell?

– Tak.

– Jak ją pani poznała?

– Pracowałyśmy razem. Wallander spojrzał na nią zaskoczony.

– Katarina Taxell jest nauczycielką.

– Zrobiła sobie przerwę.

Birch pokręcił głową. Nic o tym nie wiedział.

– Kiedy to było?

– Wiosną dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

– I zawsze pracowałyście razem?

– Nie, ale dość często.

– Spotykałyście się poza pracą?

– Rzadko. Nie byłyśmy przyjaciółkami. Dobrze się bawiłyśmy. Ale nic poza tym.

– Kiedy widziała ją pani ostatnio?

– Nasze kontakty się rozluźniły, kiedy przestała być kelnerką.

Wallander uznał, że mówi prawdę. Jej czujność zniknęła.

– Czy Katarina miała wtedy narzeczonego?

– Nie wiem.

– Mimo że razem pracowałyście i wspólnie spędzałyście wolny czas?

– Nigdy o nikim nie mówiła.

– I nie widziała jej pani w męskim towarzystwie?

– Nie.

– Czy przyjaźniła się z kimś?

Margareta Nystedt po namyśle wymieniła dobrze mu znane trzy nazwiska.

– Z nikim więcej?

– O ile wiem, z nikim.

– Czy słyszała pani nazwisko Blomberg? Eugen Blomberg. Zastanawiała się.

– To ten, którego zamordowano?

– Tak. Czy Katarina Taxell kiedykolwiek o nim mówiła? Spojrzała na niego z powagą.

– Czy ona to zrobiła? Wallander chwycił się tego pytania.

– Myśli pani, że mogłaby kogoś zabić?

– Nie. Zawsze była niezwykle spokojna.

Wallander nie bardzo wiedział, co dalej.

– Jeździliście na trasie Malmö – Sztokholm. Na pewno miałyście dużo pracy. Ale chyba ze sobą rozmawiałyście. Czy Katarina nigdy nie wspomniała o jakiejś innej przyjaciółce? To bardzo ważne.

Widział, że Margareta Nystedt stara się im pomóc.

– Nie. Niczego takiego nie pamiętam.

Wallander wyczuł, że na ułamek sekundy się zawahała.

– Może... – powiedziała.

– Co takiego?

– To było chyba pod koniec jej pracy. Chorowałam przez tydzień na grypę.

– I?

– Kiedy wróciłam, zmieniła się.

Wallander siedział jak na szpilkach. Birch też zrozumiał, że coś jest na rzeczy.

– To znaczy?

– Nie wiem, jak to wyjaśnić. Raz była przygnębiona, innym razem radosna.

– Proszę opisać to dokładniej. To może być bardzo ważne.

– Zwykle kiedy nie miałyśmy nic do roboty, siadałyśmy w kuchence, rozmawiałyśmy i przeglądałyśmy gazety. Ale kiedy wróciłam, było inaczej.

– Jak?

– Wychodziła.

Wallander czekał na ciąg dalszy, ale się nie doczekał.

– Wychodziła z wagonu restauracyjnego? – spytał. – Nie mogła przecież wysiąść z pociągu. I co robiła?

– Nie wiem.

– Nie zapytała jej pani? Zmieniła się. Już nie rozmawialiście ze sobą?
– Nie pamiętam, może zapytałam. W każdym razie nic mi nie powie-
działa. Wychodziła i tyle. Tak jakby się zamknęła w sobie.
– Czy mogła kogoś poznać w pociągu? Kogoś, kto bardzo często jeździł
na tej trasie?

– Nie wiem.

Wallander nie miał więcej pytań. Popatrzył na Bircha. Też nie miał.
Wodolot odbijał od brzegu.

– Ma pani teraz przerwę. Proszę się ze mną skontaktować, jeśli coś
jeszcze pani sobie przypomni.

Zapisał jej na kartce nazwisko i numer telefonu.

– Nic więcej nie pamiętam – powiedziała i wyszła.

– Z kim Katarina spotykała się w pociągu? – odezwał się po chwili
Birch. – Z pasażerem, który bez przerwy kursuje między Malmö i Sztok-
holmem? Poza tym kelnerki chyba nie obsługują przez cały czas tego sa-
mego pociągu. To jakiś absurd.

Wallander słuchał jednym uchem. Uchwycił się pewnej myśli, która
nie dawała mu spokoju. To nie mógł być pasażer, tylko ktoś, kto znajdo-
wał się w pociągu z tego samego powodu co ona. Po prostu tam praco-
wał.

Popatrzył na Bircha.

– Kto jeszcze pracuje w pociągu? – spytał.

– Maszynista.

– I?

– Konduktorzy. A raczej kierownicy pociągu.

Wallander skinął głową. Pomyślał o tym, co mówiła Ann-Britt
Höglund. Ciężki wzór. Nieregularnie powtarzające się dni wolne. Jak
podczas pracy w pociągu.

W skrytce był rozkład jazdy.

– Chyba wrócimy do Karla-Henrika Bergstranda – zdecydował Wallan-
der.

– Szukasz więcej kelnerów?

Nie odpowiedział. Już wychodził z budynku terminalu.

Karl-Henrik Bergstrand nie miał zachwyconej miny, widząc ponownie
Wallandera i Bircha. Wallander od razu przeszedł do rzeczy, niemal we-
pchnął Bergstranda do biura i wbił w fotel.

– W tym samym okresie – zaczął – wiosną dziewięćdziesiątego pierw-

szego roku była u was zatrudniona Katarina Taxell. U was albo w firmie sprzedającej kawę. Chciałbym, żeby dostarczył nam pan listę wszystkich konduktorów albo kierowników pociągu i maszynistów, którzy pracowali w tym samym czasie co Katarina Taxell. Interesuje mnie zwłaszcza jeden tydzień, kiedy Margareta Nystedt była na zwolnieniu lekarskim. Czy to jasne?

– Nie mówi pan tego poważnie – wybąkał Karl-Henrik Bergstrand. – Zebranie tych danych zajmie kilka miesięcy.

– Ma pan dwie godziny – poinformował uprzejmie Wallander. – Jeśli to będzie konieczne, poproszę komendanta głównego policji, żeby zadzwonił do swojego kolegi dyrektora generalnego SJ i poskarżył się na opieszałość urzędnika z Malmö, który nazywa się Bergstrand.

Karl-Henrik Bergstrand zrozumiał. I przyjął wyzwanie.

– Dobrze, zrobmy więc rzecz niemożliwą. Ale to musi potrwać kilka godzin.

– Byleby było najszybciej, jak się tylko da.

– Mogą panowie przenocować w jednym z naszych pokoi przy parowozowni albo w „Hotell Prize”, z którym mamy umowę.

– Nie. Proszę przesłać te dane faksem do komendy w Ystadzie.

– Pozwolę sobie zauważyć, że nie ma konduktorów „albo” kierowników pociągu – powiedział Bergstrand. – Są wyłącznie kierownicy pociągu. Jeden pełni funkcję naczelną. Posiłkujemy się strukturą wojskową.

Wallander pokiwał głową.

Opuścili dworzec. Dochodziło wpół do jedenastej.

– Myślisz, że to ktoś inny, kto pracował wtedy w SJ?

– Tak. To jedyne sensowne wyjaśnienie.

Birch włożył czapkę.

– A więc czekamy.

– Ty w Lundzie, ja w Ystadzie. Magnetofon niech jeszcze zostanie u Hedwig Taxell. Katarina może znowu się odezwać.

Pożegnali się przed dworcem. Wallander wsiadł do samochodu. Jadąc przez miasto, zastanawiał się, czy jest już blisko środkowego chińskiego pudełka. Co tam znajdzie? Próżnię? Nie wiedział. Był niespokojny.

Skręcił na stację benzynową przy ostatnim rondzie przed wjazdem na szosę ystadzką. Zatankował do pełna i poszedł zapłacić. Wracając do samochodu, usłyszał sygnał telefonu, który zostawił na przednim siedze-

niu. Otworzył drzwi i chwycił komórkę.

– Gdzie jesteś? – spytał Hansson.

– W drodze do Ystadu.

– Wydaje mi się, że powinieneś tu przyjechać.

Wallander drgnął. Niemal upuścił telefon.

– Znaleźliście ją?

– Chyba tak.

Wallander milczał.

Pojechał prosto do Lödinge.

Wiatr się wzmógł i zmieniał kierunek, dopóki nie obrał północnego.

35

Znaleźli kość udową.

Upłynie potem wiele godzin, zanim odkopią inne fragmenty szkieletu. Zimny przeszywający wiatr potęgował beznadziejność i ohydę sytuacji.

Kość udowa leżała na ceracie. Wallander pomyślał, że szybko się z tym uwinęli. Przekopali nie więcej niż dwadzieścia metrów kwadratowych, poza tym zdjęli zaledwie wierzchnią warstwę, kiedy łopata uderzyła w kość.

Lekarz obejrzał ją, dygocząc z zimna. Mógł powiedzieć tylko tyle, że to kość ludzka. Wallander nie potrzebował żadnych dodatkowych wyjaśnień. Nie wątpił, że to szczątki Kristy Haberman. Niech kopią dalej, może na podstawie innych części szkieletu będą mogli ustalić, jak została zabita. Czy Holger Eriksson ją udusił? Czy zastrzelił? Co się właściwie stało?

Wallander był zmęczony i smutny. Cóż z tego, że miał rację. Zetknął się z czymś przerażającym, wolałby o tym nic nie wiedzieć. Ale z napięciem czekał na wyniki poszukiwań Karla-Henrika Bergstranda. Po dwóch godzinach brodzenia w glinie z Hanssonem i kolegami wrócił do komendy. Opowiedział Hanssonowi o rozmowie z Margaretą Nystedt i zaskakującej informacji, że Katarina Taxell przez pewien czas była kelnerką na trasie Malmö – Sztokholm. Wtedy poznała kogoś, kto miał na nią bardzo duży wpływ. Wallander nie wiedział, czy to mężczyzna, czy kobieta. Był jednak pewien, że odnalezienie tej osoby zdecydowanie

przybliży ich do centrum, które zbyt długo im umykało.

W komendzie zebrał tych kolegów, których zastał, i powtórzył to, co pół godziny wcześniej mówił Hanssonowi. Teraz mogli tylko czekać na faks.

Zadzwoił Hansson z informacją o znalezieniu piszczeli. Wszystkich ogarnęło przykre uczucie. Wallander pomyślał, że teraz siedzą i czekają na czaszkę.

Nad Skanię nadciągała pierwsza jesienna burza. Wiatr gonił liście na policyjnym parkingu. Tkwili w sali zebrań, mimo że nie musieli niczego omawiać w grupie. Każdy miał na biurku mnóstwo spraw do załatwienia. Przede wszystkim powinni zmagazynować siły, pomyślał Wallander. Jeśli dane z Malmö okażą się przełomowe dla śledztwa, trzeba będzie dać z siebie wszystko w krótkim czasie. Dlatego odpoczywali, siedząc lub półleżąc na krzesłach. Zadzwoił Birch. Hedwig Taxell nie słyszała o Margarecie Nystedt. Nie potrafiła zrozumieć, jak mogła zapomnieć o pracy córki w pociągu. Birch zaznaczył, że jego zdaniem mówiła prawdę. Martinsson bez przerwy wychodził, żeby zadzwonić do domu. Wallander cicho rozmawiał z Ann-Britt Höglund. Podobno Terese czuje się dużo lepiej i Martinsson nie wspomina już o wymówieniu. Z tą sprawą muszą na razie poczekać, pomyślał. Najcięższe przestępstwa wymagały odłożenia na bok wszystkiego innego.

O czwartej zadzwonił Hansson. Natknęli się na środkowy palec. Chwilę potem doniósł, że mają czaszkę. Wallander spytał, czy nie chce, żeby go ktoś zmienił. Hansson nie widział takiej potrzeby. Lepiej poprzestać na jednym przeziębieniu.

Zimny prąd niesmaku przeszył salę zebrań, kiedy Wallander powiedział o czaszce Kristy Haberman. Svedberg błyskawicznie odłożył na wprost zjedzoną kanapkę.

Wallander już tego kiedyś doświadczył. Szkielet bez czaszki nic nie znaczył. Czaszka pozwalała się domyślić człowieka.

Siedzieli przy stole w nastroju męczącego oczekiwania niczym małe wysepki i od czasu do czasu wymieniali uwagi, przypominali sobie jakieś szczegóły, ktoś o coś pytał, ktoś odpowiadał i znowu zalegała cisza.

– Holger Eriksson musiał być dziwakiem – odezwał się nagle Svedberg. – Najpierw ściąga do Skanii Polkę. Bóg wie, co jej naobiecował. Małżeństwo? Majątek? Że zostanie baronową sprzedawcy samochodów? Potem prawie od razu ją zabija. Blisko trzydzieści lat później, kiedy czu-

je zbliżającą się śmierć, kupuje sobie odpust, przekazując pieniądze na rzecz kościoła w Jamtlandii.

– Czytałem jego wiersze – powiedział Martinsson. – Nie można mu odmówić pewnej wrażliwości.

– Na zwierzęta – wtrąciła Ann-Britt Höglund. – Na ptaki. Ale nie na ludzi.

Wallander przypomniał sobie pustą psią klatkę. No właśnie, od kiedy była pusta? Hamrén chwycił za telefon i zadzwonił do Svena Tyrena. Siedział w szoferce cysterny. Okazało się, że ostatni pies Holgera Erikssona nagle zdechł. Było to na kilka tygodni przed śmiercią Erikssona. Tyren usłyszał to od żony, której o psie opowiedziała listonoszka. Nie wiedział, na co zdechł. W każdym razie był dosyć stary. Wallander pomyślał, że ktoś go zabił, żeby nie szczekał. Może tego kogoś teraz szukają.

Mieli więc jeszcze jedno wyjaśnienie. Ale ciągle brakowało im podstawowych powiązań. Nie zdołali wyświetlić żadnych poważnych okoliczności.

O wpół do piątej Wallander zadzwonił do Malmö. Karl-Henrik Bergstrand powiedział, że ciągle pracują i niedługo będą mogli przesłać listę nazwisk ze wszystkimi informacjami, których zażądał Wallander.

Czekali. Zadzwonił dziennikarz z pytaniem, czego szukają na posesji Holgera Erikssona. Wallander wymówił się dobrym śledztwem. Uprzejmie. Lisa Holgersson towarzyszyła im niemal cały czas. Była z Perem Åkesonem w Lödinge. W przeciwieństwie do ich poprzedniego szefa, Bjorka, prawie w ogóle się nie odzywała. Wallander pomyślał, że Bjork skorzystałby z okazji, żeby ponarzekać na najnowsze okólniki Głównego Zarządu Policji i w sobie tylko wiadomy sposób powiązać je z prowadzonym śledztwem. Mimo że Bjork i Lisa Holgersson bardzo się różnili, oboje byli dobrzy.

Hamrén grał sam ze sobą w okręty, Svedberg szukał resztek włosów na łysinie, Ann-Britt Höglund siedziała z zamkniętymi oczami, Wallander od czasu do czasu się podnosił i spacerował po korytarzu. Był bardzo zmęczony. Zastanawiał się, czy mimo wszystko nie powinni wszcząć poszukiwań Katariny Taxell. Wahał się. Obawiał się, że mogą spłoszyć kobietę, która ją zabrała. W sali zebrań zadzwonił telefon. Szybko podszedł do drzwi. Svedberg odebrał. Wallander wymówił bezgłośnie „Malmö”. Svedberg pokręcił głową. To był Hansson.

– Tym razem wykopali żebro – poinformował Svedberg. – Czy on na-

prawdę musi dzwonić za każdym razem, kiedy się natkną na jakąś kość?

Wallander usiadł. Znów telefon. Svedberg chwycił za słuchawkę i po chwili przekazał ją Wallanderowi.

– Za kilka minut wyślemy faks – powiedział Karl-Henrik Bergstrand. – Chyba zdobyliśmy wszystkie dane, na których panu zależy.

– Dobra robota – pochwalił go Wallander. – Odezwę się, gdybyśmy potrzebowali dodatkowych informacji.

– Nie wątpię – odparł Karl-Henrik Bergstrand. – Odniosłem wrażenie, że pan nigdy nie daje za wygraną.

Skupili się przy faksie. Przyszedł po kilku minutach. Na liście było dużo więcej nazwisk, niż Wallander przypuszczał. Zrobili kopie i czytali w ciszy. Trzydzieści dwie osoby. W tym siedemnaście kobiet. Nieznane nazwiska. Skomplikowane zestawienia dyżurów nie miały końca. Wallander dopiero po dłuższej chwili znalazł interesujący ich tydzień, kiedy Margareta Nystedt była na zwolnieniu lekarskim. W tym czasie w pociągach obsługiwanych przez Katarinę Taxell pracowało jedenaście kobiet. Nie był pewien, czy dobrze odczytał wszystkie skróty i kody, jakimi opatrzone poszczególne osoby i ich grafiki dyżurów.

Na moment wróciła bezsilność. Czym prędzej ją zdławił.

– Mamy tu sporo ludzi – powiedział, stukając długopisem w blat stołu. – Jeśli się nie mylę, powinniśmy się skoncentrować na jedenastu kobietach. Prócz tego jest dwudziestu jeden mężczyzn. Zaczniemy od kobiet. Czy ktoś z was zetknął się z którymś z nazwisk?

Pochylili się nad listą. Nie, żadnego nie rozpoznali. Wallanderowi brakowało Hanssona. Miał najlepszą pamięć. Poprosił kolegę z Malmö, żeby zajął się podrzuceniem kopii Hanssonowi.

– Przystępujemy do pracy – podjął Wallander, kiedy policjant z Malmö opuścił salę zebrań. – Będziemy sprawdzać wszystkie kobiety. Przypuszczalnie trafimy na ślady łączące się bezpośrednio z naszym śledztwem. Podzielimy je między siebie. To będzie bardzo długi dzień.

Podzielili się i wyszli. Wallander zapomniał o uczuciu bezsilności. Zaczął się pościg. Czas oczekiwania nareszcie dobiegł końca.

Przed jedenastą Wallandera ogarnęły wątpliwości. Udało im się skreślić tylko dwa nazwiska. Jedna kobieta zginęła w wypadku samochodowym na długo przed zabójstwem Holgera Erikssona, druga trafiła na listę przez pomyłkę, w tym okresie była już zatrudniona jako pracownik administracyjny w Malmö. Pomyłkę zauważył Karl-Henrik Bergstrand

i natychmiast dał znać Wallanderowi.

Nie znaleźli żadnych punktów stycznych.

Do pokoju Wallandera weszła Ann-Britt Höglund.

– Co mam z nią zrobić? – spytała, wymachując jakąś kartką.

– Z kim?

– Z Anneli Olsson. Trzydzieści dziewięć lat, mężatka, czworo dzieci. Mieszka w Angelholmie. Mąż jest pastorem kościoła niezależnego. Była bufetową w hotelu w Angelholmie, potem się przekwalifikowała. Jeśli dobrze zrozumiałam, jest głęboko religijna. Pracuje w pociągu, opiekuje się rodziną i swój wolny czas poświęca na robotki ręczne i działalność misyjną. Co mam z nią zrobić? Wezwać na przesłuchanie i spytać, czy w ostatnim miesiącu nie zabiła przypadkiem trzech mężczyzn? Albo czy nie wie, gdzie się podziewa Katarina Taxell i jej nowo narodzone dziecko?

– Odłóż ją – zdecydował Wallander. – To też jest krok we właściwym kierunku.

O ósmej wrócił z Lödinge Hansson. Deszcz i wiatr uniemożliwiły dalsze prace. Stwierdził, że musi mieć do dyspozycji większą liczbę kopaczy, po czym natychmiast zabrał się do rozpracowywania dziewięciu kobiet. Wallander usiłował go wysłać do domu, żeby się przebrał w suche ubranie, ale Hansson kategorycznie odmówił. Przypuszczalnie chciał się jak najszybciej pozbyć przykrego uczucia z Lödinge, gdzie godzinami stał w glinie i uczestniczył w wydobywaniu szczątków Kristy Haberman.

Kilka minut po jedenastej Wallander poszukiwał telefonicznie krewnego niejakiej Wedin. W ciągu roku pięć razy zmieniała miejsce zamieszkania. Przeżyła trudny rozwód i większość czasu była na zwolnieniu lekarskim. Już miał zadzwonić do biura numerów, kiedy w drzwiach stanął Martinsson. Wallander odłożył słuchawkę. Zorientował się, że coś się stało.

– Chyba ją znalazłem – powiedział wolno. – Yvonne Ander. Lat czterdzieści siedem.

– Dlaczego myślisz, że to ona?

– Zacznijmy od tego, że mieszka w Ystadzie. Na Liregatan.

– I co jeszcze?

– Pod wieloma względami wydaje się dziwna. Wymyka się tak jak nasze śledztwo. Jej wykształcenie jest warte uwagi. Była młodszą pielęgniarką i pracowała w pogotowiu.

Wallander dość długo mu się przyglądał w milczeniu. Potem szybko się podniósł.

– Zbierz wszystkich – polecił. – Natychmiast.

Kilka minut później siedzieli w sali zebrań.

– Martinsson chyba ją znalazł – zaczął Wallander. – Mieszka w Ystadzie.

Martinsson zreferował wszystko, czego zdołał się dowiedzieć o Yvonne Ander.

– Ma czterdzieści siedem lat. Urodziła się w Sztokholmie. Przyjechała do Skanii piętnaście lat temu. Najpierw mieszkała w Malmö, potem przeprowadziła się do Ystadu. Od dziesięciu lat jest zatrudniona w SJ. Przepuszczalnie za młodu wykształciła się na pielęgniarkę i wiele lat pracowała w służbie zdrowia. Nie wiem, dlaczego zmieniła zawód. Poza tym była sanitariuszką w pogotowiu. Przez dłuższe okresy nigdzie nie pracowała.

– I co robiła? – spytał Wallander.

– Są spore luki.

– Czy jest zamężna?

– Nie.

– Rozwiedziona?

– Nie wiem. Nie ma dzieci. Chyba nigdy nie była mężatką. W każdym razie jej grafik pokrywa się z grafikiem Katariny Taxell. – Martinsson odłożył notatnik. – Jest coś jeszcze.

Chyba dlatego zwróciłem na nią uwagę. Jest aktywnym członkiem Stowarzyszenia Rekreacyjnego SJ w Malmö, gdzie trenuje sporty siłowe.

Na sali było jak makiem zasiał.

– A czy nie szukamy kobiety o dużej sile fizycznej? – zakończył Martinsson.

Wallander błyskawicznie ocenił sytuację.

– Odkładamy na razie pozostałe nazwiska i koncentrujemy się na Yvonne Ander. Zaczynaj od początku. Nie spiesz się.

Martinsson powtórzył to, co powiedział przed chwilą. Zadawali mu dodatkowe pytania. Na większość nie znał odpowiedzi. Wallander spojrział na zegarek. Za kwadrans dwunasta.

– Powinniśmy z nią jak najszybciej porozmawiać – zdecydował.

– Jeśli nie pracuje – powiedziała Ann-Britt Höglund. – Z grafiku wynika, że od czasu do czasu jeździ w nocy. Trochę to dziwne, bo kierownicy

pociągu pracują albo w dzień, albo w nocy. Ale może się myłę.

– Albo jest w domu, albo jej nie ma – skwitował Wallander.

– O czym mamy z nią rozmawiać? – przytomnie spytał Hamrén.

– Niewykluczone, że jest u niej Katarina Taxell – odparł Wallander. – Jeśli nie, będziemy mieć dobry pretekst. Hedwig Taxell się niepokoi. Od tego zaczniemy. Nie mamy przeciwko niej żadnych dowodów. Nie mamy nic. Przy okazji chciałbym zdobyć odciski palców.

– A więc nie organizujemy akcji – wtrącił Svedberg.

Wallander skinął na Ann-Britt Höglund.

– Pomyślałem, że oboje złożymy jej wizytę. Na wszelki wypadek możemy mieć jeden wóz w odwodzie.

– Na wypadek czego? – spytał Martinsson.

– Nie wiem.

– Czy to nie jest zbyt lekkomyślne? – powiedział Svedberg. – Przecież podejrzewamy ją o udział w morderstwach.

– Oczywiście weźmiemy broń – odparł Wallander.

Do uchylonych drzwi sali zebrania zapukał policjant z centrali.

– Przyszły wyniki wstępnych oględzin z Lundu – poinformował. – To szczątki kobiety i przeleżały w ziemi bardzo długo.

– No to już wiemy – stwierdził Wallander. – Możliwe, że wyjaśniliśmy przyczynę zaginięcia sprzed dwudziestu siedmiu lat.

Policjant odszedł.

– Myślę, że nic się nie stanie – odpowiedział Wallander na wątpliwość Svedberga.

– A jeśli nikogo nie będzie?

– Wejdziemy do mieszkania – odparł bez namysłu. – Gdyby nadchodziła, dostaniemy cynk od kolegów z drugiego samochodu. Będziemy w kontakcie telefonicznym. Chciałbym, żeby reszta tu została. Wiem, że jest późno. Ale nic na to nie poradzimy.

Nie mieli zastrzeżeń.

Wyruszyli z komendy kilka minut po północy. Wiatr osiągnął siłę sztormu. Wallander wsiadł do samochodu Ann-Britt Höglund. Martinsson i Svedberg tworzyli tylną straż. Liregatan znajdowała się w śródmieściu Ystadu. Zaparkowali przecnicę bliżej. Miasto było wyludnione. Zauważyli tylko jeden samochód. Chłopcy z nocnego patrolu. Ciekawe, pomyślał Wallander, jak by sobie poradziły podczas takiego sztormu mające powstać grupy rowerowe.

Yvonne Ander zajmowała jedno z trzech mieszkań w odrestaurowanym domu o elewacji z muru pruskiego. Drzwi wychodziły bezpośrednio na ulicę. Jej były pośrodku. Patrzyli na ścianę frontową. Paliło się tylko w oknie po lewej.

– Albo śpi – powiedział Wallander – albo jej nie ma. Musimy przyjąć, że jest.

Było dwadzieścia po dwunastej.

– Czy to na pewno ona? – spytała Ann-Britt Höglund.

Marzła i czuła się nieswojo. Czy dlatego, że ścigają kobietę?

– Tak – odpowiedział. – To ona.

Przeszli przez ulicę. Po lewej siedzieli w samochodzie Martinsson i Svedberg. Wyłączyli reflektory. Ann-Britt Höglund zadzwoniła. Wallander przytknął ucho do drzwi. W mieszkaniu rozbrzmiał dzwonek. Czekali w napięciu. Dał jej znać, żeby zadzwoniła jeszcze raz. I nic. Trzecia próba zakończyła się tak samo.

– Śpi? – zapytała Ann-Britt Höglund.

– Nie. Myślę, że nie ma jej w domu.

Nacisnął klamkę. Zamknięte. Cofnął się o krok i podniósł rękę. Po chwili zjawił się Martinsson, ekspert od bezszmerowego otwierania drzwi. Miał z sobą latarkę i pęk wytrychów. Wallander mu świecił. Po dziesięciu minutach Martinsson uporał się z zamkiem, wziął latarkę i wrócił do samochodu. Wallander rozejrzał się. Nikogo. Weszli do mieszkania i nasłuchiwali. W przedpokoju nie było okna. Wallander zapalił światło. Po lewej był salon, po prawej kuchnia, a na wprost wąskie schody prowadzące na piętro. Zaskrzypiały pod ich stopami. Na górze znajdowały się trzy sypialnie. W mieszkaniu nikogo nie było.

Dochodziła pierwsza. Czy powinni się liczyć się z tym, że właścicielka wróci w nocy? Uznał, że to mało prawdopodobne. Nic za tym nie przemawiało. Chyba nie będzie o tej porze odbywać podróży w towarzystwie Katariny Taxell i malutkiego dziecka.

Podszedł do przeszklonych drzwi jednej z sypialni. Balkon. Zastawiony dużymi donicami. Była w nich tylko ziemia. Żadnych kwiatów.

Na widok balkonu i donic zrobiło mu się przykro i czym prędzej zszedł do przedpokoju.

– Przyrowadź Martinssona – powiedział. – Svedberg niech wraca do komendy. Muszą szukać dalej. Wydaje mi się, że Yvonne Ander ma jeszcze jedno mieszkanie. Przypuszczalnie dom.

– A co z obserwacją na zewnątrz?

– Tej nocy tu nie przyjdzie. Ale, oczywiście, przydałby się jakiś samochód. Poproś Svedberga, żeby to załatwił.

Zanim wyszła, udał się do kuchni, zapalił światło nad zlewem, wyjął brudną filiżankę i owinął ją w papierowy ręcznik.

– Odciski palców – wyjaśnił. – Daj to Svedbergowi. Niech Nyberg się tym zajmie. To może być rozstrzygające.

Ruszył na górę. Słyszał trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Stał przez chwilę w ciemnościach, po czym nie wiedząc czemu wszedł do łazienki i powąchał pierwszy z brzegu ręcznik. Poczul słaby zapach perfum.

Coś mu przypominał. Próbował przywołać wspomnienie. Powąchał jeszcze raz. Całkiem niedawno zetknął się z tym zapachem. Ale gdzie?

Drgnął, słysząc trzask drzwi wejściowych. Po chwili na piętrze pojawił się Martinsson i Ann-Britt Höglund.

– Zaczynamy – powiedział Wallander. – Szukamy nie tylko dowodów na jej związek z morderstwami, ale także śladów przemawiających za tym, że ma drugie mieszkanie. Chciałbym wiedzieć, gdzie.

– A niby czemu miałyby je mieć? – spytał Martinsson.

Rozmawiali półszepem, jakby poszukiwana kobieta była w pobliżu i mogła ich usłyszeć.

– Katarina Taxell – rzucił Wallander. – I jej dziecko. Poza tym od początku zakładaliśmy, że Gösta Runfeldt był gdzieś przez trzy tygodnie przetrzymywany. Mam przecucie, że nie tutaj. Nie w centrum Ystadu.

Martinsson i Ann-Britt Höglund zostali na piętrze. Wallander zszedł do salonu, zaciągnął zasłony i zapalił kilka lamp. Stanął pośrodku i powoli się obracał. Właścicielka ma ładne meble, pomyślał. I pali. Na stoliku obok skórzanej kanapy zobaczył popielniczkę. Nie było w niej niedopałków, jedynie plamy popiołu. Na ścianach wisiały obrazy i zdjęcia. Martwa natura, kwiaty w wazonach. Nie najlepiej namalowane. W prawym dolnym rogu dostrzegł sygnaturę. „Anna Ander – ’58”. Ktoś z rodziny. Ander to rzadkie nazwisko. Znał je z historii kryminologii szwedzkiej, ale nie mógł sobie przypomnieć szczegółów. Na jednym ze zdjęć była skańska zagroda. Fotograf pewnie zrobił je z dachu albo z wysokiej drabiny. Wallander chodził po pokoju, próbując sobie wyobrazić właścicielkę. Bez powodzenia. Opuszczenie, pomyślał. Schludne, pedantyczne, opuszczone mieszkanie. Rzadko tu bywa. Spędza czas gdzie indziej.

Podszedł do biurka. Nieszczęlnym oknem wdzierał się do środka chłodny wiatr. Odsunął krzesło i usiadł. Zaczął od największej szuflady. Nie była zamknięta. Ulicą przejechał samochód. Światła reflektorów omiotły okno i zniknęły. W szufladzie leżały listy. Znalazł okulary. Pierwszy list był z Hiszpanii. Wysłany przez A. Ander. Od razu się zorientował, że jest od jej matki, Anny Ander. Opowiadała o swojej podróży. Na ostatniej stronie informowała, że wybiera się do Algierii. Pisała to w kwietniu 1993 roku. Odłożył list na kupkę. Na piętrze skrzyphiała podłoga. Wsunął rękę do końca szuflady. Nic prócz listów. Zaczął przepatrywać inne zakamarki biurka. Nawet papiery mogą sprawiać wrażenie opuszczonych, pomyślał. Nic nie zwróciło jego uwagi. Ta pustka nie jest naturalna. Był pewien, że mieszkała gdzie indziej. Przeszukiwał szuflady. Podłoga na piętrze skrzyphiała.

Było wpół do drugiej.

*

Zmęczona, jechała przez noc. Katarina była niespokojna. Musiała jej słuchać przez długie godziny. Często zastanawiała się nad słabością tych kobiet. Pozwalały się dręczyć, maltretować, mordować. Jeśli cudem przeżyły, bez przerwy się nad sobą użalały. Nie rozumiała ich. Pomyślała, że właściwie nimi gardzi. Bo nie stawiają oporu.

Była pierwsza. Zwykle o tej porze już spała. Za kilka godzin musi być w pracy. Planowała wprawdzie nocleg w Vollsjö, ale zmieniła zdanie. Przekonała Katarinę, żeby tam została jeszcze przez parę dni, może tydzień. Wieczorem znowu zadzwoni do matki. Ona usiądzie tuż obok. Nie z obawy, że Katarina powie coś, czego nie powinna. Po prostu chciała przy niej być.

Dziesięć po pierwszej dojechała do Ystadu.

Skręciła w Liregatan i instynktownie wyczuła niebezpieczeństwo. Zobaczyła samochód. Stał z wygaszonym reflektorami. Nie mogła zawrócić. Musiała go minąć. W środku siedziało dwóch mężczyzn. W swoim mieszkaniu dostrzegła światło. Zła, docisnęła pedał gazu. Za rogiem gwałtownie zahamowała. Znaleźli ją. Ci, którzy obserwowali dom Katariny Taxell. Teraz są u niej. Poczowała zawrót głowy. Ale się nie bała. Nic ich nie naprowadzi na ślad Vollsjö. Niczego się o niej nie dowiedzą. Mają tylko nazwisko.

Siedziała nieruchomo. Wiatr szarpał samochodem. Wyłączyła silnik i zgasiła światła. Musi wracać do Vollsjö. Nareszcie sobie uświadomiła

prawdziwy powód, dla którego tutaj przyjechała. Chciała sprawdzić, czy szukający jej mężczyźni nie wdarli się do jej mieszkania. Wciąż miała nad nimi przewagę. Nigdy jej nie złapią. Będzie dalej rozkładać kartki, dopóki w zeszycie nie zostanie ani jedno nieprzekreślone nazwisko.

Postanowiła jeszcze raz przejechać koło swojego domu. Samochód ciągle stał. Zatrzymała się dwadzieścia metrów dalej. Mimo nie najlepszego kąta widziała, że zasłony w jej mieszkaniu są zaciągnięte i w środku pali się światło. Szukają. Ale nic nie znajdują.

Oddaliła się powoli, bez typowego dla niej ruszania z piskiem opon.

W Vollsjö Katarina Taxell i jej dziecko spali. Nic się nie stanie. Wszystko się odbędzie zgodnie z planem.

*

Wallander zaczął przeglądać listy, kiedy usłyszał szybkie kroki na schodach. Wstał. Wszedł Martinsson, chwilę później pojawiła się Ann-Britt Höglund.

– Spójrz na to – powiedział Martinsson drżącym głosem i położył na biurku czarny zniszczony notes.

Wallander pochylił się nad nim. Rząd ponumerowanych nazwisk. Zmarszczył czoło.

– Przerzuć dwie strony – poprosił Martinsson.

Znow rząd nazwisk. Strzałki, skreślenia, poprawki. Jakby miał przed sobą jakiś brudnopis.

– Jeszcze dwie strony.

Martinsson nie krył wzburzenia.

Tym razem poprawek i skreśleń było mniej. I zobaczył pierwsze znane mu nazwisko. Runfeldt. Potem odszukał następne. Eriksson i Blomberg. Obok widniały daty.

Daty ich śmierci.

Popatrzył na Martinssona i Ann-Britt Höglund. Oboje byli bardzo bladi.

Wątpliwości się rozwiały. Trafili w dziesiątkę.

– W notesie jest przeszło czterdzieści nazwisk – powiedział Wallander.

– Czy wszystkich zamierzała pozbawić życia?

– W każdym razie wiemy, kto jest pierwszy w kolejce – stwierdziła Ann-Britt Höglund.

Tore Grundén. Przed jego nazwiskiem widniał czerwony wykrzyknik, ale za nazwiskiem nie było jeszcze daty śmierci.

– Na końcu jest luźna kartka – powiedziała Ann-Britt Höglund.

Pedantycznie sporządzone zapiski. Wallander pomyślał o charakterze pisma swojej ekszony. Okrągłe litery, równiutkie wiersze. Żadnych skreśleń. Ale co one miały znaczyć? Cyfry, nazwa miejscowości, Hässleholm, data i godzina. Jak z rozkładu jazdy. Sobota 22 października, 7.50.

– Co to, do cholery, jest?! – zirytował się Wallander. – Czy Tore Grundén wysiadzie w Hässleholmie o siódmej pięćdziesiąt?

– Może wsiądzie – powiedziała Ann-Britt Höglund.

Wallander dłużej się nie zastanawiał.

– Dzwoń do Bircha – zwrócił się do Martinssona. – Niech ci da numer do Karla-Henrika Bergstranda. Musi nam odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy Yvonne Ander będzie w pociągu, który się zatrzymuje w Hässleholmie o siódmej pięćdziesiąt.

Martinsson wyjął komórkę. Wallander wpatrywał się w notatnik.

– Wiemy, gdzie ewentualnie będzie dzisiaj rano – powiedziała Ann-Britt Höglund. – Ale gdzie jest teraz?

Wallander podniósł wzrok. Za Ann-Britt Höglund wisiały obrazy i zdjęcia. No tak, od razu powinien to skojarzyć. Zdjął ze ściany fotografię zagrody. Na odwrocie ktoś napisał atramentem: „Zagroda Hansa, Vol-lsjö 1965”.

– Tutaj mieszka. I przypuszczalnie tu teraz jest.

– Co robimy? – spytała Ann-Britt Höglund.

– Jedziemy po nią.

Martinsson skontaktował się z Birchem. Rozmowa była krótka.

– Porozumie się z Bergstrandem – poinformował Martinsson.

Wallander wziął notes.

– Ruszamy.

– Wiemy, gdzie jest ta zagroda? – spytała Ann-Britt Höglund.

– Znajdziemy ją w naszych rejestrach – powiedział Martinsson. – To kwestia dziesięciu minut.

Spieszyli się. Pięc po drugiej byli w komendzie. Odszukanie zagrody zajęło Martinssonowi więcej czasu, niż myślał. Uporał się z tym dopiero przed trzecią. Spojrzeli na mapę. Zagroda Hansa była na obrzeżach Vol-lsjö.

– Bierzemy broń? – spytał Svedberg.

– Tak – odparł Wallander. – Tylko pamiętajcie, że jest tam Katarina

Taxell i jej dziecko.

Do sali zebrania wszedł Nyberg. Rozczochrany, oczy przekrwione.

– Odcisk palca na filizance pokrywa się z tym, który zdjęliśmy z nese-seru i niedopałka – powiedział. – Na poręczy w ptasiej wieży był odcisk kciuka, więc nie wiem, czy zostawiła go ta sama osoba. Co dziwniejsze, pojawił się tam później. Jakby przyjechała jeszcze raz. Jeśli to ona. Kto to w ogóle jest?

– Yvonne Ander – odparł Wallander. – Zaraz ją zgarniemy. Czekamy tylko na wiadomość od Bergstranda.

– Czy naprawdę musimy czekać? – spytał Martinsson.

– Pół godziny. Nie dłużej.

Czekali. Martinsson poszedł sprawdzić, czy mieszkanie na Liregatan ciągle jest pod obserwacją.

Bergstrand zadzwonił po dwudziestu dwóch minutach.

– Yvonne Ander zaczyna dzisiaj pracę w Hässleholmie – poinformował.

– No to już wiemy.

Opuścili Ystad za kwadrans czwarta. Sztorm się nasilił.

Zanim wyjechali, Wallander zadzwonił do Lisy Holgersson i Pera Åke-sona.

Nie mieli zastrzeżeń.

Zdejną ją najszybciej, jak tylko się da.

36

Kilka minut po piątej otoczyli Zagrodę Hansa. Silna wichura przeszywała ich na wylot. Marzli. Szybko ustalili, że do środka wejdą Wallander i Ann-Britt Höglund. Inni mieli tak się ustawić, żeby zachować kontakt wzrokowy przynajmniej z jedną osobą.

Zaparkowali w bezpiecznej odległości od posesji i ostatni odcinek pokonali pieszo. Wallander od razu dostrzegł czerwonego golfa na podwórzu. Jadąc do Vollsjö, niepokoił się, czy przypadkiem nie odjechała. Na szczęście nie. Dom był ciemny i cichy. Wallander nie zauważył żadnych psów.

Błyskawicznie zajęli pozycje. Wallander poprosił Ann-Britt Höglund,

żeby przez walkie-talkie poinformowała kolegów, że wejdą za kilka minut.

Dlaczego? Na co czekają? Wallander milczał. Może chciał się przygotować? Dojrzeć wewnątrz? Albo potrzebował paru chwil, żeby wszystko przemyśleć? Miał poczucie nierzeczywistości. Od miesiąca ścigali umykający cień. Teraz są u celu. Koniec polowania. Musi się uwolnić od poczucia nierzeczywistości. Zwłaszcza wobec kobiety, którą mieli ująć. Właśnie na to potrzebował czasu. Dlatego poprosił o kilkuminutową zwłokę.

Stał z Ann-Britt Höglund pod osłoniętą od wiatru ścianą walącą się stodoły. Od drzwi budynku mieszkalnego dzieliło ich dwadzieścia pięć metrów. Czas płynął. Wkrótce zacznie świtać. Nie mogli dłużej czekać.

Wallander zgodził się na zabranie broni, ale nie chciał, żeby musieli jej użyć, zwłaszcza że w domu była Katarina Taxell i malutkie dziecko.

Wszystko powinno się udać. Najważniejsze, żeby zachowali spokój.

– Idziemy – powiedział. – Zawiadom ich.

Szeptem przekazywała wiadomość przez walkie-talkie. Odebrali i potwierdzili. Wyciągnęła pistolet.

Wallander pokręcił głową.

– Włóż do kieszeni. I pamiętaj, gdzie go masz.

Dom spowijała cisza. Wallander ruszył przodem. Wichura szalała w najlepsze. Rzucił okiem na zegarek. Dziewiętnaście po piątej. Yvonne Ander powinna już wstać i szykować się do pracy. Stanęli przed drzwiami. Wallander głęboko wciągnął powietrze, zapukał i cofnął się o krok, zaciskając dłoń na pistolecie w prawej kieszeni kurtki. Nic. Zapukał po raz drugi i nacisnął klamkę. Zamknięte. Zapukał po raz trzeci.

Zaniepokoił się. Uderzył pięścią w drzwi. Bez rezultatu. Coś było nie tak.

– Włamujemy się – powiedział. – Przekaż dalej. Czy ktoś ma łom?

Ann-Britt Höglund była opanowana. Odwróciła się plecami do wiatru. Wallander nie spuszczał wzroku z okien. Svedberg przyniósł łom i szybko się wycofał. Wallander wyważył drzwi. Puściły na wysokości zamka. W przedpokoju paliło się światło. Odruchowo wyciągnął broń. Ann-Britt Höglund zrobiła to samo. Przykucnął i wszedł do środka. Ann-Britt za nim.

– Policja! – krzyknął. – Szukamy Yvonne Ander.

Odpowiedziała mu cisza. Krzyknął jeszcze raz i ostrożnie ruszył dalej.

Wróciło poczucie nierzeczywistości. Wpadł do przestronnego salonu, z pistoletem gotowym do strzału. Nikogo. Opuścił broń. Ann-Britt Höglund była tuż za drzwiami. Paliły się lampy. Pośrodku wznosił się piec.

Nagle w głębi otworzyły się drzwi. Wallander drgnął i podniósł pistolet, Ann-Britt Höglund przykłęknęła. Wyszła Katarina Taxell. Była w nocnej koszuli. Wyglądała na przestraszoną.

Wallander znów opuścił broń, Ann-Britt Höglund też. W tym momencie zdał sobie sprawę, że Yvonne Ander tu nie ma.

– Co się stało? – spytała Katarina Taxell.

– Gdzie jest Yvonne Ander?

– Chyba w drodze do pracy.

Wallander nie miał chwili do stracenia.

– Kto po nią przyjechał?

– Zawsze jeździ sama.

– Jej samochód stoi przed domem.

– Ona ma dwa samochody.

To takie proste, pomyślał.

– Dobrze się pani czuje? Pani i dziecko?

– A czemu mielibyśmy się źle czuć?

Wallander rozejrzał się po salonie. Potem poprosił Ann-Britt Höglund, żeby wezwała kolegów.

– I ściągnij tu Nyberga. Musimy przeszukać ten dom od strychu po piwnice.

Zmarznięci koledzy zebrali się w białym przestronnym salonie.

– Nie ma jej – poinformował Wallander. – Jedzie do Hässleholmu. W Hässleholmie wsiądzie pasażer o nazwisku Grundén. Tore Grundén to kolejna ofiara na jej liście.

– I zabije go w pociągu? – z niedowierzaniem spytał Martinsson.

– Nie wiem. Ale więcej morderstw nie będzie. Złapiemy ją.

– Powinniśmy uprzedzić kolegów z Hässleholmu – zauważył Hansson.

– Zrobimy to po drodze – powiedział Wallander. – Ty i Martinsson pojedziecie ze mną, a wy zajmiecie się przeszukiwaniem domu i porozmawiacie z Katariną Taxell.

Katarina Taxell stała pod ścianą, ledwie widoczna, rozmyta w siwym świetle.

Pojechali. Hansson usiadł za kierownicą. Martinsson chciał dzwonić

do Hässleholmu, ale Wallander go powstrzymał.

– Będzie lepiej, jeśli załatwimy to sami – wyjaśnił. – Gdyby doszło do jakiegoś zamieszania, wszystko może się zdarzyć. Mamy do czynienia z bardzo niebezpieczną kobietą. Także dla nas.

– To chyba oczywiste – stwierdził Hansson. – Przecież zabiła trzy osoby. Wbijają ludzi na pale, dusi i topi. Czy ktoś taki może nie być niebezpieczny?

– Nawet nie wiemy, jak ten Grundén wygląda – dodał Martinsson. – Wywołamy go przez głośniki, czy jak? Mam nadzieję, że ona będzie w służbowym ubraniu.

– Może – odparł Wallander. – Przekonamy się na miejscu. Wystawcie koguta. Mamy mało czasu.

Hansson prowadził szybko. W ocenie Wallandera powinni zdążyć.

Złapali gumę. Martinsson chciał dzwonić do kolegów z Hässleholmu. Choćby po to, żeby podesłali im sprawny samochód. Ale Wallander się nie zgodził. Zdążą. Na porywistym wietrze błyskawicznie zmienili koło i ruszyli dalej z zawrotną prędkością. Czas uciekał. Co dalej? – myślał Wallander. Nie wyobrażał sobie, żeby Yvonne Ander zabiła Tore Grundéna na peronie, na oczach setek pasażerów. To by się kłóciło z jej dotychczasowymi metodami działania. Uznał, że powinni zapomnieć o Grundénie, skupić się na odszukaniu kobiety w służbowym ubraniu i dyskretnie ją zatrzymać.

W Hässleholmie Hansson zabłądził, mimo że – jak twierdził – zna drogę. Wallanderowi puściły nerwy i zanim podjechali pod dworzec, zdążyli sobie powiedzieć parę słów do słuchu. Trzej faceci w sile wieku wyskakują z samochodu, jakby zamierzali obrabować okienko kasowe, pomyślał Wallander, albo w najlepszym razie zdążyć na pociąg. Zegar wskazywał 7.47. Przez głośniki coś zapowiadano. Wallander nie zrozumiał, czy interesujący ich pociąg wjeżdża na stację, czy już czeka. Próbował uspokoić Martinssona i Hanssona. Wyjdą na peron osobno, ale cały czas powinni zachowywać kontakt wzrokowy. Kiedy jeden z nich ją zauważy, dwaj pozostali szybko mają do niej podejść i poprosić, żeby udała się z nimi. Wiedział, że to moment krytyczny. Nie mieli pojęcia, jak Yvonne Ander zareaguje. Muszą być w pogotowiu i skupić się wyłącznie na sile własnych ramion. Powtórzył to kilka razy. Yvonne Ander nie używała broni. Powinni ją zatrzymać bez jednego wystrzału.

Na peronie hulał wiatr. Pociąg z Malmö jeszcze nie przyjechał.

Pasażerowie chronili się przed podmuchami sztormu. Zaskakująco dużo osób wybierało się tego ranka na północ. Wallander wszedł pierwszy, potem Hansson, na końcu Martinsson. Wallander od razu zauważył kierownika składu. Stał na peronie i palił papierosa. Nie dostrzegł żadnej kobiety w służbowym ubraniu. Zaczął się pocić. Szybko się rozejrzał, szukając wzrokiem kogoś, kto mógłby być Tore Grundénem. Nie miało to najmniejszego sensu. Grundén był tylko nazwiskiem w makabrycznym notatniku. Wymienił spojrzenia z Hanssonem i Martinssonem i rzucił okiem na budynek dworcowy. Pociąg wjeżdżał na peron. Coś było nie tak. Nie wierzył, żeby zaplanowała zabójstwo właśnie tutaj. Ale nie miał całkowitej pewności. Nieraz widział wyrachowanych morderców, którzy nagle tracili kontrolę nad sytuacją i wbrew wcześniejszym nawykom powodowali się impulsem. Pasażerowie schylili się po walizki. Kierownik pociągu zgasił papierosa. Wallander uznał, że nie ma wyjścia, musi go spytać, czy Yvonne Ander już jest w pociągu, czy zaszły jakieś zmiany. Pociąg stanął. Wallander przepychał się przez tłum, który rzucił się do wagonów, żeby się jak najszybciej schronić przed wiatrem. Wtedy dostrzegł samotnego mężczyznę i stojącą tuż obok kobietę w długim płaszczu. Z naprzeciwka nadjeżdżał inny pociąg. Wallander rzucił się przed siebie, roztrącając pasażerów. Hansson i Martinsson szli za nim, nie wiedząc, dokąd. Nagle kobieta chwyciła mężczyznę od tyłu i niemal go podniosła. Siódmym zmysłem przeczuł, że zamierza go wrzucić pod nadjeżdżający pociąg. Krzyknął. Mimo huku lokomotywy usłyszała go, bo na moment się zawahała. I ten moment wystarczył. Hansson i Martinsson, którzy dogonili Wallandera, pobiegli co sił, żeby ją zatrzymać. Puściła mężczyznę. Poły jej płaszcz podniósł wiatr. Wtedy Wallander zobaczył, że ma na sobie służbowe ubranie. Podniosła rękę i zerwała z głowy perukę, którą natychmiast pochwycił podmuch sztormu. Była krótko ostrzyżona. Tore Grundén nic nie rozumiał.

– Yvonne Ander! – zawołał Wallander. – Policja!

Martinsson wyciągnął rękę, żeby ją chwycić, ale nie zdążył. Powalony ciosem w lewy policzek, bezgłośnie osunął się na peron. Wallander usłyszał za plecami krzyk jednego z pasażerów. Hansson, widząc, co spotkało Martinssona, postanowił użyć broni. Za późno. Chwyciła go za kurtkę, kolanem uderzyła w krocze, na moment pochyliła się nad nim, po czym puściła się biegiem po peronie. Zrzuciła płaszcz, załopotał, po chwili porwał go wiatr. Wallander podszedł do kolegów. Martinsson był

nieprzytomny. Hansson jęczał z bólu. Kiedy podniósł wzrok, kobiety nie było. Rzucił się w pogoń. Zobaczył, że przecina tory. Nie dogoni jej. Poza tym nie wiedział, co z Martinssonem. Przystanął i zawrócił. Tore Grundén zniknął bez śladu. Nadbiegli pracownicy kolei. Nie rozumieli, skąd to nagłe zamieszanie.

Później Wallander zapamięta najbliższą godzinę jako niekończący się chaos. Chciał kilku rzeczy naraz, ale nikt go nie rozumiał. Jakby tego było mało, bez przerwy otaczał go wianuszek ciekawskich pasażerów. Na szczęście Hansson zaczął przychodzić do siebie. Ale Martinsson nie odzyskał przytomności i czekanie na karetkę doprowadziło Wallandera do takiego stanu wrzenia, że dopiero kilku zdezorientowanym policjantom z Hässleholmu udało się jako tako zapanować nad sytuacją. Martinsson porządnie oberwał. Kiedy zabierali go sanitariusze, Hansson zdążył się ocknąć i też pojechał do szpitala. Wallander wyjaśnił miejscowym kolegom, że chcieli zatrzymać kierowniczkę pociągu, ale im, niestety, uciekła. Ten pociąg właśnie odjeżdżał. Ciekawe, czy Tore Grundén do niego wszedł i czy zdawał sobie sprawę, że był o włos od śmierci? Wallander był przekonany, że nikt nie wie, o czym on mówi. Tylko dzięki jego służbowej legitymacji i stanowisku nie wyszedł na wariata.

Abstrahując od stanu zdrowia Martinssona, chciał wiedzieć, gdzie się podziała Yvonne Ander. Jeszcze na peronie skontaktował się z Ann-Britt Höglund. Zapewniła, że gdyby Yvonne Ander wróciła do Vollsjö, będą w pełnej gotowości. Jej mieszkanie w Ystadzie było pod obserwacją. Mimo to Wallander miał wątpliwości. Nie sądził, żeby się tam pojawiła. Wie, że depczą jej po piętach i że się nie poddadzą, dopóki jej nie złapią. Gdzie mogłaby się podziać? Bezplanowa ucieczka? Nie wykluczał tej możliwości, ale nie traktował jej poważnie. Yvonne Ander wszystko planowała. Poprosił Ann-Britt Höglund, żeby spytała Katarinę Taxell, czy Yvonne Ander nie ma jakiegoś dodatkowego miejsca schronienia.

– Wydaje mi się, że ona zawsze ma coś w odwodzie – powiedział. – Mogła o tym wspomnieć Katarinie.

– Może zatrzyma się u Katariny?

– Zadzwoń do Bircha. Niech to sprawdzi.

– Ma klucze do jej mieszkania. Wiem to od Katariny.

Radiowóz wskazał Wallanderowi drogę do szpitala. Hansson, z opuchniętą moszną, miał zostać na obserwacji. Martinsson nie odzyskał przytomności.

– Ma wstrząśnienie mózgu – powiedział lekarz. – Ktoś zadał mu silny cios.

– Owszem – odparł Wallander. – Kobieta.

Wyszedł ze szpitala. Gdzie ona jest? Coś nie dawało mu spokoju. Ależ tak! Nyberg bardzo wyraźnie podkreślił, że odcisk kciuka pojawił się na poręczy ptasiej wieży po fakcie. Kto wie, czy Yvonne Ander od czasu do czasu – tak jak on – nie szukała samotności? Takiego miejsca, w którym mogłaby dokonać pewnego podsumowania i podjąć decyzję? Tak starannie wszystko zaplanowała, jej harmonogram legł w gruzach...

Nie zaszkodzi sprawdzić.

Wiedział, że wstęp na posesję jest surowo wzbroniony, ale ponieważ Hansson zażądał posiłków, zakładał, że nadzorują ją dorywczo patrole samochodowe. Poza tym mógł tam dotrzeć inną drogą.

Wallander pożegnał się z policjantami, którzy nadal nie rozumieli, co zaszło na dworcu, obiecał, że w ciągu najbliższego tygodnia o wszystkim się dowiedzą, chodziło tylko o rutynowe zatrzymanie, które spełzło na niczym, ale nic wielkiego się nie stało, a koledzy, którzy muszą zostać w szpitalu, niedługo będą na nogach.

Wsiadł do samochodu i zadzwonił do Ann-Britt Höglund. Niczego nie tłumacząc, powiedział, że mają się spotkać przy bocznej drodze prowadzącej do posesji Holgera Erikssona.

Wallander dotarł do Lödinge po dziesiątej. Ann-Britt Höglund czekała przy samochodzie. Ostatni odcinek przejechali jego samochodem. Zaparkował sto metrów od posesji. Cały czas milczał. Popatrzyła na niego pytająco.

– Mogę się mylić – przyznał – ale być może ona wróci na ptasią wieżę. Przypomniał jej o tym, co powiedział Nyberg o odcisku kciuka.

– Co Yvonne Ander miałyby tu robić?

– Nie wiem. Jest ścigana. Musi coś postanowić.

Ledwie wysiedli z samochodu, trafili w objęcia silnego wiatru.

– Znaleźliśmy szpitalne ubranie – powiedziała – i slipy. Możemy przyjąć, że Gösta Runfeldt był przetrzymywany w Vollsjö. Co robimy, jeśli się okaże, że Yvonne Ander jest na wieży?

– Zdejmujemy. Obejdę pagórek, a ty pójdziesz ścieżką. Tym razem będziemy mieć broń na wierzchu.

– Wątpię, żeby tu przyszła – powiedziała Ann-Britt Höglund.

Wallander milczał. W duchu przyznał jej rację.

Zatrzymali się na podwórzu. Taśmy wytyczające miejsce poszukiwań Kristy Haberman zerwał wiatr. Ptasia wieża ostro odcinała się na tle jesiennego nieba.

– Poczekajmy – powiedział Wallander. – Powinna być lada moment.

– Ogłosiliśmy alarm w Skanii.

– Jeśli jej nie znajdziemy, będzie ścigana w całym kraju.

– Czym się kieruje?

– Chyba tylko ona zna odpowiedź. Kto wie, czy nie była maltretowana? Myślę, że jest bardzo samotna. I że upatruje sensu życia w zabijaniu w imieniu innych.

– No proszę, szukaliśmy najemnika, a teraz czekamy na kierownika pociągu.

– Z tym najemnikiem może nie do końca przesadziliśmy. Owszem, to kobieta i nie robi tego dla pieniędzy, ale jest coś, co przypomina o naszych wstępnych założeniach.

– Katarina Taxell poznała ją za pośrednictwem grupy kobiet, które spotykały się w Vollsjö. Ale po raz pierwszy zetknęły się w pociągu. Miałaś rację. Yvonne Ander zapytała Katarinę Taxell o siniak na skroni. Przejrzała ją. Pobił ją Eugen Blomberg. Potwierdziła, że Yvonne Ander wcześniej pracowała w szpitalu i w pogotowiu. Tam się napatrzyła na wiele maltretowanych kobiet. Potem nawiązywała z nimi kontakt i zapraszała do Vollsjö. Było to coś w rodzaju nieformalnej grupy kryzysowej. Poznała nazwiska mężczyzn, którzy się nad nimi znęcali. Nagle coś się wydarzyło. Katarina Taxell potwierdziła, że to Yvonne Ander odwiedziła ją w szpitalu. Za drugim razem podała jej nazwisko ojca dziecka. Był nim Eugen Blomberg.

– Tym samym podpisał na siebie wyrok śmierci. Myślę, że długo się do tego przygotowywała. Musiało się stać coś takiego, co uruchomiło tę lawinę. Nie wiemy, co.

– A czy ona to wie?

– Chyba tak. Jeśli nie jest szalona.

Czekali. Wiatr pojawiał się falami. Pod zagrodę podjechał radiowóz. Wallander poprosił, żeby przez jakiś czas się tu nie pokazywali. Nie podał powodu, ale był stanowczy.

Za kwadrans jedenasta Wallander delikatnie dotknął ramienia Ann-Britt Höglund.

– Jest – szepnął.

Na pagórku ktoś stał. To nie mógł być nikt inny jak Yvonne Ander. Rozejrzała się i zaczęła wchodzić na wieżę.

– Dotrę tam za dwadzieścia minut – powiedział Wallander. – Wtedy możesz ruszać.

– A co będzie, jeśli mnie zaatakuje? Muszę strzelać.

– Nie dopuszczę do tego.

Pobiegł do samochodu i pomknął drogą prowadzącą do pagórka. Nie miał odwagi dojechać do końca. Ostatni odcinek pokonał pieszo. Zadygotał się od szybkiego marszu. Zajął mu to więcej czasu, niż myślał. Na drodze stał czarny golf. W kieszeni kurtki odezwała się komórka. Zatrzymał się. To mogła być Ann-Britt Höglund.

– Gdzie jesteś? – zapytał Svedberg. – Co się, do cholery, dzieje?

– Nie mogę teraz rozmawiać. Jesteśmy na posesji Holgera Erikssona. Byłoby dobrze, gdybyś tu z kimś przyjechał. Na przykład z Hamrénem.

– Mam sprawę. Hansson zadzwonił z Hässleholmu. Obaj z Martinssonem czują się lepiej. Martinsson odzyskał przytomność. Hansson chciał wiedzieć, czy zaopiekowałeś się jego pistoletem.

– Jego pistoletem?

– Bo on go nie ma.

– Ja też nie mam.

– Chyba nie został na peronie?

W tym momencie Wallander zrozumiał. Zobaczył to przed sobą bardzo wyraźnie. Yvonne Ander chwyciła Hanssona za kurtkę, uderzyła kolaniem w krocze i szybko się nad nim pochylała. Wtedy właśnie zabrała pistolet.

– Jasna cholera! – krzyknął Wallander.

Zanim Svedberg zdążył cokolwiek powiedzieć, rozłączył się i wsunął komórkę do kieszeni. Naraził Ann-Britt Höglund na śmiertelne niebezpieczeństwo. Kobieta na wieży miała broń.

Biegł. Serce waliło mu jak młotem. Popatrzył na zegarek. Ann-Britt Höglund już jest na ścieżce. Zatrzymał się i wybrał numer jej komórki. Cisza. Przypuszczalnie zostawiła telefon w samochodzie. Ruszył dalej. Musi tam dotrzeć pierwszy.

Strach dodał mu skrzydeł. Był u podnóża pagórka. Ann-Britt Höglund pewnie doszła do rowu. Idź powoli, pomyślał. Przewróć się, poślizgnij, cokolwiek. Nie spiesz się. Wyciągnął broń i, potykając się, dotarł do ptasiej wieży. Zobaczył Ann-Britt Höglund. Zbliżała się z bronią w rękę.

Yvonne Ander jeszcze go nie zauważyła. Wrzasnął do Ann-Britt Höglund, żeby uciekała, bo kobieta jest uzbrojona, i wycelował pistolet w plecy stojącej na wieży Yvonne Ander.

W tym momencie gruchnął strzał. Ann-Britt Höglund drgnęła i osunęła się na ziemię. Wallander miał wrażenie, jakby go ktoś przeszył mieczem. Wpatrywał się w nieruchome ciało. Podejrzewał, że kobieta szybko się odwróciła. Uskoczył i zaczął do niej strzelać. Trafił za trzecim razem. Wypuściła broń Hanssona. Wallander pobiegł co sił do Ann-Britt Höglund, zsunął się do rowu i wygramolił po drugiej stronie. Leżała na plecach. Pomyślał, że nie żyje. Zginęła trafiona z pistoletu Hanssona i to była jego wina.

Nie widział innego wyjścia, jak się zastrzelić. Tam gdzie stał, kilka metrów od niej.

Nagle zauważył, że się poruszyła. Klęknął przy niej. Przód kurtki był we krwi. Bardzo blada, wpatrywała się w niego wylęknionym wzrokiem.

– Będzie dobrze – powiedział. – Będzie dobrze.

– Miała broń – wyszeptała. – Dlaczego o tym nie wiedzieliśmy?

Wallander płakał.

Później będzie pamiętał, że czekając na karetkę, modlił się do Boga, w którego właściwie nie wierzył. Jak we mgle widział Svedberga i Hamréna. Ann-Britt Höglund zabrano na noszach. On siedział w glinie. Brudny, samotny, zrozpaczony. Próbowali go podnieść, ale bez skutku. Fotograf, który jechał śladem karetki, zrobił mu zdjęcie. Tylko jedno, bo przegonił go rozjuszony Svedberg. Dzięki naciskom Lisy Holgersson nigdy nie zostało opublikowane.

Svedberg i Hamrén znieśli Yvonne Ander z wieży. Wallander trafił ją w udo. Silnie krwawiła, ale jej życiu nic nie zagrażało. Zabrała ją karetka. Svedbergowi i Hamrénowi udało się w końcu dźwignąć Wallandera i zaprowadzić pod dom.

Wtedy nadszedł pierwszy raport z ystadzkiego szpitala.

Ann-Britt Höglund została trafiona w brzuch. Rana była poważna. Stan pacjentki krytyczny.

Svedberg podwiózł Wallandera do samochodu, choć wcale nie był pewien, czy powinien mu na to pozwolić. Ale Wallander uważał, że nie ma powodów do obaw. Pojechał prosto do szpitala i czekał na korytarzu na kolejne wiadomości o Ann-Britt Höglund. Nie miał czasu się umyć. Dopiero po kilku godzinach, kiedy lekarze zapewnili go, że jej stan jest sta-

bilny, wyszedł ze szpitala.

Nagle po prostu go nie było. Zniknął. Svedberg się zaniepokoił. Ponieważ znał Wallandera, domyślił się, że chciał być sam.

Wallander opuścił szpital tuż przed północą. Wiatr nie ustępował, zapowiadała się zimna noc. Wsiadł do samochodu i pojechał na cmentarz. Odszukał w ciemnościach grób ojca. W głowie czuł kompletną pustkę. Koło pierwszej był w domu, długo rozmawiał z Bajbą przez telefon, po czym się rozebrał i wszedł do wanny.

Potem się ubrał i pojechał do szpitala. Kilka minut po trzeciej wszedł do pokoju, gdzie leżała Yvonne Ander. Była pod ścisłym nadzorem. Spała. Patrzył na jej twarz. Po chwili odszedł bez słowa.

Godzinę później był z powrotem. O świcie przysłała Lisa Holgersson. Skontaktowali się z mężem Ann-Britt Höglund. Jeszcze dzisiaj przyleci na Kastrup z Dubaju.

Nikt nie wiedział, czy Wallander rozumiał, co się do niego mówi. Nie ruchomo tkwił na krześle albo stał przy oknie. Kiedy pielęgniarka chciała mu przynieść kawę, wybuchnął płaczem i zamknął się w toalecie. Większość czasu przesiedział na krześle, wpatrując się w dłonie.

Kiedy mąż Ann-Britt Höglund lądował na Kastrup, lekarz przekazał wiadomość, na którą wszyscy czekali. Będzie żyła. Przypuszczalnie wróci do pełni sił. Miała szczęście. Ale czeka ją długi okres rekonwalescencji.

Wallander wysłuchał lekarza na stojąco, jakby odczytywano mu wyrok. Potem wyszedł i rozpląnął się na wietrze.

W poniedziałek 24 października Yvonne Ander aresztowano za morderstwa. Była nadal w szpitalu. Do nikogo nie odezwała się ani słowem, nawet do przydzielonego adwokata. Wallanderowi nie udało się jej przesłuchać. Patrzyła na niego i milczała. Wychodząc, odwrócił się w drzwiach i powiedział, że Ann-Britt Höglund wyzdrowieje. Miał wrażenie, że przyjęła to z ulgą, ba, z radością.

Martinsson był na zwolnieniu lekarskim z powodu wstrząśnienia mózgu. Hansson wrócił do pracy, ale przez kilka tygodni miał kłopoty z chodzeniem i siedzeniem.

Próbowali zrozumieć, co się właściwie stało. Nie udało im się znaleźć niezbitego dowodu, że na polu Holgera Erikssona wykopali szczątki Kristy Haberman. Co dziwne, brakowało jednej piszczeli. Nic nie przemawiało za tym, że mógł to być ktoś inny, ale nie potrafili tego udowodnić.

Wiedzieli swoje. Pęknięcie czaszki dostarczyło im informacji, w jaki

sposób Holger Eriksson pozbawił ją życia przeszło dwadzieścia pięć lat temu. Inne wydarzenia się wyklarowały, choć nie zawsze do końca. Na przykład, czy Gösta Runfeldt zabił swoją żonę, czy był to nieszczęśliwy wypadek? Tylko Yvonne Ander mogła udzielić odpowiedzi, ale nadal milczała. Prześledzili jej życie i jedynie po części udało im się dociec, kim była i dlaczego tak postępowała.

Pewnego popołudnia Wallander na zakończenie długiego zebrania podzielił się z kolegami pewną refleksją, która nie dawała mu spokoju.

– Po raz pierwszy zetknąłem się z kimś, kto jest mądry i szalony zarazem.

Nie wyjaśnił, co ma na myśli. Ale nikt nie wątpił, że był o tym głęboko przekonany.

Wallander codziennie odwiedzał w szpitalu Ann-Britt Höglund. Nie umiał się wyzbyć poczucia winy. Nie pomagały perswazje kolegów. Uznał, że ponosi odpowiedzialność za to, co się stało. Koniec kropka. Musi z tym żyć.

Yvonne Ander milczała. Któregoś wieczora Wallander ponownie zasiadł do lektury jej korespondencji z matką.

Dzień później odwiedził ją w areszcie. Wtedy zaczęła mówić.

Był 3 listopada 1994 roku.

Tego dnia rano okolice Ystadu ściał mróz.

Skania

4-5 grudnia 1994

Epilog

Po południu 4 grudnia Kurt Wallander rozmawiał z Yvonne Ander po raz ostatni. Nie wiedział, że ostatni, mimo że się nie umówili na kolejne spotkanie.

4 grudnia osiągnęli prowizoryczny koniec. Nagle nie było nic do dodania. Nic, o co mógłby zapytać. Dopiero wtedy to długie i skomplikowane śledztwo powoli przestało zaprzętać jego świadomość. Mimo że ujeli ją przeszło miesiąc temu, nadal tym żył. Nigdy dotąd w swojej wieloletniej policyjnej karierze nie czuł tak silnej potrzeby zrozumienia sprawcy. Przestępstwa stanowiły jedynie powierzchnię, która często była ściśle zespolona z głębszą warstwą. Ale zdarzało się, że pod powierzchnią kryły się przepaści. Tak było w wypadku Yvonne Ander. Ledwie Wallander przebił się przez powierzchnię, stawał nad przepaścią. Zdecydował, że musi się owiązać symboliczną liną i powoli opuszczać w dół, nie wiedząc, co tam znajdzie.

Najpierw trzeba było przełamać jej milczenie. Udało mu się po ponownej lekturze jej korespondencji z matką, którą pieczołowicie przechowywała. Wiedziony intuicją, czuł, że w ten sposób do niej dotrze. Nie pomylił się. Stało się to 3 listopada, przeszło miesiąc temu. Ciągłe się zadreślał z powodu Ann-Britt Höglund. Wiedział, że wyzdrowieje i zostanie jej jedynie blizna na brzuchu, ale nie opuszczało go dojmujące poczucie winy. Największe wsparcie przyniosła mu Linda. Mimo braku czasu przyjechała do Ystadu i zajęła się nim. Powtarzała z uporem, że niczemu nie jest winien, że to wyłącznie nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Dzięki niej zdołał jakoś przeżyć pierwsze najkoszmarniejsze tygodnie listopada. Nie licząc wysiłku, jaki wkładał w to, żeby się trzymać, cały swój czas poświęcał Yvonne Ander. Gdyby los tak chciał, mogła zabić

Ann-Britt Höglund. Tylko na początku, powodowany agresją, miał ochotę ją uderzyć. Potem wzięła górę chęć zrozumienia, kim ona jest. W końcu przełamał jej milczenie. Zaczęła mówić. Owiązał się liną.

Co znalazł na dnie przepaści? Długo nie był pewien, czy mimo wszystko nie jest szalona, czy nie słucha osoby zaburzonej, o chorobliwej fantazji. Nie ufał własnym ocenom, nie potrafił się wyzbyć podejrzliwości, ale cały czas towarzyszyło mu uczucie, że ona mówi prawdę. W połowie listopada jego wyobrażenia zatoczyły koło. Kiedy wrócił do punktu wyjścia, miał wrażenie, że patrzy na wszystko nowymi oczami. Już nie wątpił, że Yvonne Ander mówi prawdę. Mało tego, należała do wąskiego grona osób, które nigdy nie kłamią.

Przeczytał listy od jej matki. W ostatniej kupce znalazł dziwną wiadomość od algierskiej policjantki, Françoise Bertrand. Początkowo nie miał pojęcia, o co chodzi. Była dołączona do niedokończonych listów matki, które pisała rok temu w Algierii. Françoise Bertrand przesłała je Yvonne Ander w sierpniu 1993 roku. Wiele nocnych godzin się nad tym zastanawiał, aż w końcu zrozumiał. Matka Yvonne Ander, Anna Ander, została zamordowana wskutek tragicznego zbiegu okoliczności i algierska policja postanowiła to zatuszować. Pewnie ze względów politycznych i z powodu działających w kraju bojówek terrorystycznych, ale nie był w stanie tego ocenić. W każdym razie Françoise Bertrand w największej tajemnicy opisała to wydarzenie. Ponieważ Yvonne Ander ciągle milczała, opowiedział o tym Lisie Holgersson. Lisa Holgersson skontaktowała się z Wydziałem Głównym Policji Kryminalnej. Wallander przestał się tym chwilowo zajmować. Potem przeczytał wszystkie listy po raz drugi.

Wallander spotykał się z Yvonne Ander w areszcie. Powoli zaczęła sobie zdawać sprawę, że jej nie prześladowuje. Różnił się od innych mężczyzn, był zatopiony w sobie, chyba źle spał i dręczył go niepokój. Po raz pierwszy uznała, że naprawdę może zaufać mężczyźnie. O czym mu zresztą powiedziała podczas jednego z ich ostatnich spotkań.

Nigdy go o to nie spytała, ale wydawało się jej, że zna odpowiedź. Chyba nigdy nie uderzył kobiety. A jeśli nawet, to pewnie nie więcej niż jeden jedyny raz.

3 listopada zaczęło się schodzenie w dół. Tego dnia Ann-Britt Höglund pomyślnie przeszła trzecią, przedostatnią operację. W listopadzie Wallander wprowadził pewien zwyczaj. Po rozmowach z Yvonne Ander jechał do szpitala i opowiadał Ann-Britt Höglund o Yvonne Ander. Potrze-

bował rozmówcy, który pomógłby mu coraz niżej opuszczać się w przepaść. Nigdy nie zostawał długo.

Na początek spytał Yvonne Ander o Algierię. Co się tam stało? Kim jest Françoise Bertrand?

Do pokoju, w którym siedzieli naprzeciwko siebie przy stole, wpadało blade światło. Gdzieś grało radio i pracowała wiertarka. Nie zrozumiał jej pierwszych słów. Zabrzmiały jak grzmot przeszywający milczenie. Słuchał tylko barwy głosu, którą do tej pory wyłącznie sobie wyobrażał.

Potem zaczął słuchać tego, co miała do powiedzenia. Rzadko robił zapiski, nie korzystał z magnetofonu.

– Gdzieś jest człowiek, który zabił moją matkę. Kto go szuka?

– Nie ja. Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło. Jeśli szwedzki obywatel został zamordowany za granicą, mamy obowiązek zareagować.

Nie wspomniał o rozmowie sprzed paru dni z Lisą Holgersson. Już to sprawdzano.

– Nikt nie wie, kto ją zamordował – kontynuowała. – Padła ofiarą absurdalnego przypadku. Zabójcy jej nie znali. Ale to im w niczym nie przeszkadzało. Uznali, że mogą zabić kogokolwiek. Nawet niewinną kobietę, którą dopiero na stare lata było stać na podróże, wcześniej mogła tylko o nich marzyć.

Wyczuł w jej słowach gorycz i gniew. Nie próbowała tego ukrywać.

– Dlaczego zatrzymała się u zakonnicy? – spytał.

Podniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

– Jakim prawem czytał pan moje listy?

– Ponieważ są własnością kogoś, kto dokonał kilku brutalnych morderstw. W innej sytuacji oczywiście bym ich nie czytał.

Spuściła wzrok.

– Dlaczego zatrzymała się u zakonnicy? – powtórzył Wallander.

– Nie miała dużo pieniędzy. Szukała tanich noclegów. Nie mogła wiedzieć, że przypłaci to życiem.

– To się wydarzyło przeszło rok temu. Jak pani zareagowała na ten list?

– Nie miałam już żadnego powodu, żeby dłużej czekać. Czym mogłabym wytłumaczyć swoją bezczynność, skoro nikt się nie przejmuje.

– Czym się nie przejmuje?

Milczała.

– Czekać na co? – zapytał.

– Żeby ich zabić – odpowiedziała, nie patrząc na niego.

– Kogo?

– Tych, którzy mimo tego, co zrobili, byli na wolności.

A więc miał rację. List od Françoise Bertrand stał się czymś w rodzaju zapalnika. Cały czas nosiła się z myślą o zemście. Ale potrafiła nad tym zapanować. Potem tamy puściły. I wzięła sprawy w swoje ręce.

Właściwie coś podobnego stało się w Lödinge. Ona była jednoosobową gwardią obywatelską. Postawiła się ponad prawem i wymierzała sprawiedliwość.

– Czy chciała pani wymierzać sprawiedliwość? – spytał. – Czy chciała pani karać tych, którzy nigdy nie trafili przed sąd?

– Kto szuka człowieka, który zabił moją matkę? No, kto?

I znowu pogрузzyła się w milczeniu. Wallander cofnął się myślami do początków. W kilka miesięcy po otrzymaniu wiadomości z Algierii włamała się do domu Holgera Erikssona. To był pierwszy krok. Kiedy ją o to spytał, nie zdziwiła się. Była pewna, że o tym wiedział.

– Słyszałam, że ten handlarz samochodów zabił Kristę Haberman.

– Gdzie to pani słyszała?

– Powiedziała mi pewna Polka, która leżała w szpitalu w Malmö. Dawno temu.

– Pracowała pani wtedy w szpitalu?

– Pracowałam w różnych okresach. Często rozmawiałam z maltretowanymi kobietami. Jej przyjaciółka znała Kristę Haberman.

– Dlaczego włamała się pani do domu Holgera Erikssona?

– Żeby udowodnić samej sobie, że to jest możliwe. Poza tym szukałam śladów Kristy Haberman.

– Dlaczego wbiła pani pale? Dlaczego podpłowała pani kładkę? Czy znajoma Kristy Haberman podejrzewała, że zakopał jej zwłoki koło rowu?

Nie odpowiedziała. Ale Wallander wiedział swoje. On i koledzy byli na właściwym tropie, mimo że nie do końca to sobie uświadamiali. Yvonne Ander pozbawiała życia swoje ofiary z męską brutalnością. Podczas pięciu lub sześciu spotkań Wallander metodycznie wypytywał o okoliczności trzech zabójstw, o niejasne dotąd szczegóły i powiązania. Nadal nie korzystał z magnetofonu. Po każdym przesłuchaniu siadał w samochodzie i robił notatki z pamięci. Jedną kopię dostawał Per Åkesson, który przygotowywał akt oskarżenia, mający doprowadzić do trzy-

krotnego wyroku skazującego. Wallander czuł, że ciągle skrobie powierzchnię. Schodzenie w dół jeszcze się nie zaczęło. Zebrany materiał dowodowy wystarczał, żeby ją posłać do więzienia, ale żeby dotrzeć do prawdy, musiał sięgnąć dna przepaści.

Oczywiście miała zostać poddana badaniom psychiatrycznym. Wallander wiedział, że to nieuniknione, ale zależało mu na ich przesunięciu. Nikt się nie sprzeciwił. Rozumieli, że jeśli coś zmąci jej spokój, przypuszczalnie znowu zatopi się w milczeniu.

Tylko z nim była gotowa rozmawiać.

Posuwali się naprzód, krok po kroku, dzień po dniu. Poza murami aresztu dojrzewała jesień i powoli zbliżała się zima. Wallander nie dowiedział się, dlaczego Holger Eriksson pojechał po Kristę Haberman do Svenstaviku, po czym niemal natychmiast ją zabił. Może nie dostał tego, czego chciał, może kłótnia przerodziła się w przemoc.

Potem zajęli się Göstą Runfeldtem. Była przekonana, że utopił żonę w Stångsjön. Nawet jeśli tego nie zrobił, zasłużył na taki los. Bił ją tak dotkliwie, że pragnęła tylko śmierci. Ann-Britt Höglund słusznie podejrzewała, że Gösta Runfeldt został zaatakowany w kwiaciarni. Yvonne Ander, wiedząc o jego podróży do Nairobi, zwabiła go tam pod pretekstem kupna kwiatów na przyjęcie, które miało się odbyć następnego dnia rano. Uderzyła go, na podłodze rzeczywiście była krew Gösty Runfeldta. Zbita szyba miała skierować uwagę policji na włamanie.

Do tego momentu Wallander starał się ją zrozumieć i panował nad swoimi emocjami. Ale kiedy zaczęła opowiadać, co było dalej, wszystko w nim pękło. Rozebrała Göstę Runfeldta do bielizny, związała go i wsunęła do pieca. Kiedy nie mógł już dłużej kontrolować swoich potrzeb fizjologicznych, zdjęła mu slipy i podłożyła ceratę. Potem wiozła go do lasu. Osłabionego, przywiązała do drzewa i udusiła.

Wtedy Wallander zobaczył w niej potwora. Nie miało znaczenia, czy jest mężczyzną, czy kobietą. Cieszył się, że udało im się ją powstrzymać, zanim zdążyła zamordować Tore Grundéna i wszystkich pozostałych z tej makabrycznej listy.

I to był jej jedyny błąd. Nie spaliła notatnika, w którym robiła zapiski na brudno, żeby je następnie wprowadzić do głównego kajetu, który przechowywała w Vollsjo. Przyznała się do tego błędu. Nie potrafiła zrozumieć, jak to się mogło stać.

Wallander zastanawiał się później, czy przypadkiem nie chciała, żeby

istniał jakiś ślad. Może w głębi duszy pragnęła, żeby ktoś ją powstrzymał przed kontynuowaniem tego procederu. Ale nie był pewien. Raz mu się wydawało tak, a raz inaczej.

O Eugenie Blombergu nie miała dużo do powiedzenia. Przemieszała kartki, trafiła na tę z krzyżykiem. Przypadek zdecydował, kto będzie następny. Tak jak przypadek przesądził o śmierci jej matki.

Zazwyczaj Wallander pozwalał jej się wypowiadać swobodnie, tylko czasem zadawał pomocnicze pytania, ale w tym miejscu przerwał.

– Postąpiła pani tak samo jak zabójcy pani matki – powiedział. – Zdała się pani na przypadek.

– Tego nie można porównać. Wszyscy mężczyźni na mojej liście zasłużyli na swój los. Dałam im czas tymi kartkami. Przedłużyłam im życie.

Z odrazą pomyślał, że na swój ponury sposób ma rację, że jest w tym coś z prawdy, jej prawdy, bardzo szczególnej i trudnej do podważenia.

Przeglądając swoje przepisane notatki, doszedł do wniosku, że w jej opowieści, nadal niepełnej, kryje się szczere wyznanie.

Czy powiodły się jego zamiary? Później bardzo lakonicznie mówił o Yvonne Ander. Najczęściej odsyłał do notatek. Oczywiście nie były kompletne. Sekretarka, która je przepisywała, skarżyła się kolegom, że nie wszystko może odczytać.

Ułożyły się w swoisty testament Yvonne Ander, opowieść o ludzkim losie naznaczonym strasznymi doświadczeniami w dzieciństwie. Wallander nie mógł się opędzić od myśli, że czasy, w jakich jemu i Yvonne Ander przyszło żyć, zdominowało jedno pytanie: Co my robimy z naszymi dziećmi? Jej matka stale była bita przez ojczyma, który zastąpił jej ojca, ojciec zaś zbladł w jej pamięci, jak wyblakła, bezosobowa fotografia. Co gorsza, ojczym zmusił matkę do aborcji. Yvonne Ander nigdy nie poznała swojej siostry. Oczywiście nie wiedziała, czy to siostra, czy brat; dla niej to była siostra, którą wbrew woli matki brutalnie usunięto pewnej nocy na początku lat pięćdziesiątych. Zapamiętała tę noc jak krwawe piekło. Kiedy opowiadała o tym Wallanderowi, podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Matka leżała na kuchennym stole zasłanym prześcieradłem, pochylał się nad nią pijany lekarz, ojczym, przypuszczalnie też pijany, siedział w piwnicy. Odebrano jej siostrę, widziała przed sobą tylko ciemność, w której za każdym rogiem czaili się groźni mężczyźni, uosobienie przemocy.

Zamknęła te wspomnienia w sekretnym zakamarku serca. Zdobyła wykształcenie, została pielęgniarką, ale zawsze nosiła w sobie niejasne przekonanie, że kiedyś powinna pomścić siostrę, której nie mogła mieć, i matkę, której nie pozwolono jej urodzić. Słuchała wyznań maltretowanych kobiet, szukała martwych kobiet na gliniastych skańskich polach i w smalandzkich jeziorach, układała plany, wpisywała nazwiska do zeszytu, bawiła się kartkami papieru.

A potem jej matka została zamordowana.

Opisała to Wallanderowi niemal poetycko.

– Poczulałam łagodną falę przyływu – powiedziała. – Nic więcej. Uznałam, że już czas. Minął rok. Obmyślałam plany, ulepszałam harmonogram, który podtrzymywał mnie przy życiu. W końcu nocami zaczęłam kopać rów.

Nocami zaczęła kopać rów.

Może właśnie to zdanie najcelniej oddawało odczucia Wallandera, jakie wynosił z rozmów z Yvonne Ander tej jesieni.

Obraz czasów, w których żył.

Jaki rów on kopał?

Nie dowiedział się, dlaczego w połowie lat osiemdziesiątych nagle zmieniła zawód i podjęła pracę w pociągu. Rozumiał, że harmonogram był jej liturgią, porządkował jej świat, dyscyplinował. Nie widział jednak powodu, by tego dociekać. Pociąg stał się jej życiem. Może jedynym, może ostatnim. Czy miała poczucie winy? Per Åkeson wielokrotnie zadawał mu to pytanie. Lisa Holgersson rzadziej, a koledzy prawie wcale. Z wyjątkiem Ann-Britt Höglund, która wręcz domagała się odpowiedzi. Wallander przyznał, że nie wie.

– Yvonne Ander przypomina naciągniętą sprężynę – powiedział. – Nie umiem tego lepiej wyrazić.

4 grudnia Wallander nie miał już więcej pytań, Yvonne Ander nie miała nic więcej do dodania. Zeznanie było gotowe. Wallander sięgnął dna przepaści. Wystarczyło szarpnąć za niewidzialną linę i wrócić na powierzchnię. Teraz mogły się zacząć badania psychiatryczne. Adwokat, węsząc sensację, już zacierał ręce, tylko Wallander przeczuwał, co będzie dalej. Yvonne Ander zamilknie.

Na koniec, powodowany ciekawością, zapytał ją o dwa drobiazgi.

– Kiedy Katarina Taxell zadzwoniła do matki z Vollsjö, coś dudniło – powiedział. – Nie udało nam się rozpoznać tego dźwięku.

Spojrzała na niego zdziwiona. Po chwili na jej twarzy po raz pierwszy pojawił się uśmiech.

– Sąsiadowi popsuł się traktor na polu. Walił młotkiem, żeby coś obluźować w podwoziu. Czy to naprawdę było słycać?

Wallander przytaknął.

– Wydaje mi się, że się raz spotkaliśmy – powiedział. – W pociągu.

Skinęła głową.

– Za Almhultem spytałem panią, kiedy będziemy w Malmö.

– Od razu pana poznałam. Pana zdjęcia były latem w gazetach.

– Czy nie pomyślała pani, że jesteśmy na pani tropie?

– Nie. Dlaczego miałabym tak pomyśleć?

– Policjant z Ystadu wsiada do pociągu w Almhulcie. Co tam robił? Czy nie pojechał sprawdzić, jak zmarła żona Gösty Runfeldta?

Pokręciła głową.

– Nigdy o tym nie pomyślałam. Ale, naturalnie, powinnam była.

Wallander wstał, wymruczał słowa pożegnania i wyszedł.

Po południu jak zwykle był w szpitalu. Ann-Britt Höglund spała. Leżała na sali pooperacyjnej. Wallander uzyskał pokrzepiające informacje od sympatycznego lekarza. Wszystko poszło dobrze. Za pół roku będzie mogła wrócić do pracy.

Opuścił szpital kilka minut po piątej. Było już ciemno, minus dwa stopnie, bezwietrznie. Pojechał na cmentarz. Zwiędłe kwiaty na grobie ojca przymarzły do ziemi. Niespełna trzy miesiące temu byli w Rzymie. Wspominał tę podróż. Zastanawiał się, o czym ojciec myślał, udając się na samotny nocny spacer do Schodów Hiszpańskich i fontanny. I dlaczego tak błyszczały mu oczy.

Miał wrażenie, że Yvonne Ander i jego ojciec stoją na przeciwległych brzegach rzeki i machają do siebie dłonią. Mimo że nic ich nie łączyło. A może łączyło? Ciekawe, co on miał z nią wspólnego. Oczywiście nie znał odpowiedzi.

Tego wieczora przy grobie ojca skończyło się śledztwo. Musiał tylko coś przeczytać i podpisać. Sprawa była wyjaśniona, zamknięta. Badania psychiatryczne wykażą pełną poczytalność Yvonne Ander. Jeśli w ogóle lekarzom uda się cokolwiek z niej wydobyć. Potem zostanie skazana i przewieziona do Hinseberga. Będzie wszczęte dochodzenie w sprawie śmierci jej matki w Algierii. Ale to już go nie dotyczy.

W nocy z 4 na 5 grudnia spał bardzo źle. Rano postanowił obejrzeć

dom na północnych obrzeżach Ystadu. Poza tym chciał pojechać do Sjöbo, gdzie mieli na sprzedaż pewną liczbę labradorów. 7 grudnia wybierał się do Sztokholmu, żeby dzień później powiedzieć kilka słów o swoim zawodzie w szkole policyjnej. Nie miał pojęcia, czemu się zgodził, kiedy Lisa Holgersson znowu go o to nagabnęła. Leżąc w łóżku, zastanawiał się, o czym, do cholery, ma mówić i dlaczego udało się jej go przekonać.

Ale przede wszystkim myślał o Bajbie. Kilka razy wstawał, szedł do kuchni i wpatrywał się w rozhuśtaną latarnię za oknem.

Zaraz po powrocie z Rzymu, pod koniec września, uzgodnili, że przyjedzie nie później niż w listopadzie. Mieli się poważnie zastanowić nad jej przeprowadzką do Szwecji. Okazało się, że nagle coś jej wypadło, raz, potem drugi. Oczywiście były ku temu znakomite powody. Nie teraz, jeszcze nie. Wallander jej wierzył, ale nie do końca. Czyżby coś się między nimi popsuło, coś, czego nie zauważył? Bo nie chciał?

Tak czy inaczej, teraz miała przyjechać. 8 grudnia spotkają się w Sztokholmie. Przywita ją na Arlandzie zaraz po wykładzie w szkole policyjnej. Wieczorem zobaczą się z Lindą i następnego dnia pojedą do Skanii. Nie wiedział, jak długo zostanie. Ale tym razem poważnie porozmawiają o przyszłości, a nie tylko o tym, kiedy się znowu spotkają.

Noc z 4 na 5 grudnia to była długa noc. Ociepliło się. Ale meteorology zapowiadali śnieg. Wallander snuł się jak pokutująca dusza między łóżkiem a kuchennym oknem. Od czasu do czasu siadał przy stole, żeby naszkicować coś w rodzaju wstępu do tego, o czym miał mówić w Sztokholmie. Daremny trud. Cały czas jego świadomość zaprzętała Yvonne Ander i historia jej życia. Do tego stopnia, że Bajba zeszła na drugi plan.

Bardzo rzadko myślał o ojcu. Był już bardzo daleko. Wallander łapał się na tym, że nie pamięta wszystkich szczegółów jego pooranej zmarszczkami twarzy. Wtedy wpatrywał się w jego zdjęcie, żeby wspomnienia nie rozplynęły się na dobre. W listopadzie odwiedzał wieczorami Gertrudę. Dom w Loderupie wydawał się pusty. Atelier zimne i odpychające. Gertruda sprawiała wrażenie opanowanej. I samotnej. Jakby się pogodziła z tym, że umarł starszy człowiek i że nagła śmierć była dla niego lepsza niż powolne gaśnięcie spowodowane chorobą, która stopniowo pozbawiałaby go świadomości.

Może zasnął na kilka godzin o świcie, a może w ogóle nie zmrużył oka. W każdym razie o siódmej już był ubrany.

O wpół do ósmej pojechał do komendy. Silnik podejrzanie się dławził.

Tego dnia panował wyjątkowy spokój. Martinsson był przeziębiony, Svedberg niechętnie podjął się jakiegoś służbowego zadania w Malmö. Korytarz ział pustką. Wallander usiadł w swoim pokoju i czytał notatki z ostatniej rozmowy z Yvonne Ander. Na biurku leżał protokół przesłuchania Tore Grundéna, którego postanowiła wepchnąć pod pociąg na dworcu w Hässleholmie. Nie różnił się od pozostałych mężczyzn z jej makabrycznej listy śmierci. Tore Grundén, urzędnik bankowy, odbył nawet swego czasu karę za bicie kobiet. Przesłuchujący go Hansson dobitnie mu uświadomił, jak niewiele brakowało, by został rozszarpany na strzępy przez nadjeżdżający pociąg.

Wallander zauważył, że wśród kolegów istnieje zrozumienie dla postępów Yvonne Ander. Był zaskoczony. Przecież strzelała do Ann-Britt Höglund. Napadała i zabijała mężczyzn. Zachodził w głowę, jak to możliwe. Policjanci nie tworzyli raczej jakiejś oczywistej grupy zwolenników kobiety typu Yvonne Ander. Można by spytać, czy policja kiedykolwiek była szczególnie przyjaźnie nastawiona do kobiet. Wyjąwszy te o wyjątkowej odporności, jak Ann-Britt Höglund czy Lisa Holgersson.

Nabazgrał swój podpis i odłożył papiery. Było za kwadrans dziewiąta.

Dom, który miał obejrzeć, znajdował się na północnych obrzeżach miasta. Dwupiętrowy, murowany, stał pośrodku rozległego ogrodu. Miał dużo zakamarków i przybudówek. Z piętra był widok na morze. Wszedł do środka; dzień wcześniej dostał klucze od pośrednika. Poprzedni właściciel zabrał meble. Krążył po pokojach, otworzył drzwi na werandę i próbował sobie wyobrazić, że tutaj mieszka.

Ku jego zdumieniu przyszło mu to łatwiej, niż myślał. Najwyraźniej nie był nadmiernie przywiązany do Mariagatan. Zastanawiał się, czy Bajba dobrze by się tu czuła. Mówiła, że chciałaby się wyprowadzić z Rygi na wieś, ale niezbyt daleko od miasta.

Nie potrzebował dużo czasu na podjęcie decyzji. Kupi dom, jeśli Bajba się zgodzi. Cena wydawała się w miarę przystępna. Jeśli weźmie pożyczkę, powinien sobie poradzić.

Parę minut po dziesiątej udał się do pośrednika i zobowiązał się do udzielenia ostatecznej odpowiedzi w ciągu tygodnia. Następnie pojechał obejrzeć psa. Hodowla znajdowała się tuż za Sjóbo, przy drodze na Hóór. Wjechał na podwórze. Zewsząd dobiegało go szczekanie. Właścicielka była młoda i ku jego zaskoczeniu mówiła z wyraźnym góteborskim akcentem.

– Chciałbym popatrzeć na czarne labradory – powiedział.

Zaprowadziła go tam. Szczeniaki były z matką.

– Czy ma pan dzieci? – spytała.

– Dorosłe – odparł. – Czy to konieczne, żeby kupić szczeniaka?

– Ależ skąd. Po prostu nie ma lepszych psów dla dzieci.

Wallander powiedział, co i jak. Może kupi dom pod Ystadem. Jeśli się na to zdecyduje, chciałby mieć również psa. Jedno zależy od drugiego.

– Proszę się nie spieszyć. Zatrzymam dla pana jednego szczeniaka. Ale niezbyt długo. Mam dużo chętnych na labradory. Zawsze przychodzi taki dzień, kiedy muszę je sprzedać.

Wallander obiecał jej to samo co pośrednikowi. Odpowie w ciągu tygodnia. Osłupiał, słysząc cenę. Czy to możliwe, żeby pies kosztował aż tyle?

Ale nie zareagował. Wiedział, że jeśli dojdzie do skutku kupno domu, na pewno będzie miał psa. Wyszedł stamtąd o dwunastej. Kiedy znalazł się na głównej drodze, nie miał pojęcia, co dalej. Dokąd jechać? Nie spotka się z Yvonne Ander. Na razie nie mieli sobie nic więcej do powiedzenia. Jeszcze się zobaczą, ale nie teraz. Prowizoryczny koniec nadal obowiązywał. Może Per Åkeson poprosi go o dodatkowe szczegóły? Nie, raczej nie. Akt oskarżenia zawierał aż nadto dowodów.

Prawda była taka, że nie miał dokąd jechać. 5 grudnia praktycznie nikt go nie potrzebował.

Nie bardzo wiedząc czemu, udał się do Vollsjö i zaparkował przed Zagrodą Hansa. Dom należał do Yvonne Ander i przypuszczalnie nic się nie zmieni przez te wszystkie lata, kiedy będzie przebywać w więzieniu. Nie miała bliskich krewnych, nie licząc martwej siostry i zmarłej matki. A czy miała przyjaciół? Katarina Taxell była od niej zależna, Yvonne Ander wspierała ją, tak jak wspierała inne kobiety. Ciarki przeszły mu po plecach. Yvonne Ander nie miała ani jednej bliskiej osoby. Wyłoniła się z próżni i zabijała ludzi.

Wallander wysiadł z samochodu. Opuszczony dom. Zauważył, że jedno okno jest uchylone. A nie powinno. Ktoś mógłby się bez trudu włamać. Wdzięczny obiekt dla łowców trofeów. Wallander ustawił pod oknem ławkę i wszedł do środka. Nic nie wskazywało na obecność nieproszonych gości. Z niedbalstwa zapomnieli zamknąć okno. Spojrzał na piec. Tutaj przebiegała niewidzialna granica, poza którą nigdy nie będzie w stanie zrozumieć Yvonne Ander.

Śledztwo zakończone. Postawili krzyżyk na makabrycznej liście, odczytali język mordercy i ujęli go.

Dlatego czuł się zbędny. Nie był już potrzebny. Po powrocie ze Sztokholmu znowu zajmie się sprawą przemytu samochodów do byłych państw bloku wschodniego. Pewnie dopiero wtedy odzyska poczucie rzeczywistości.

W ciszy zadzwonił telefon. Po drugim sygnale uświadomił sobie, że dzwoni w kieszeni jego kurtki. Odebrał.

– Nie przeszkadzam? – spytał Per Åkeson. – Gdzie jesteś?

– W samochodzie – skłamał.

– Podejrzewam, że o tym nie wiesz. Nie będzie procesu.

Wallander nie rozumiał. W ogóle o tym nie pomyślał, a przecież powinien. Powinien być na to przygotowany.

– Yvonne Ander tej nocy popełniła samobójstwo – wyjaśnił Per Åkeson. – Wcześniej rano znaleziono ją martwą.

Wallander wstrzymał oddech.

– Nie wiedzieć jak, miała dostęp do tabletek – kontynuował Per Åkeson. – Niektórzy zaczną się, oczywiście, zastanawiać, czy przypadkiem nie dostała ich od ciebie.

Wallander nie odebrał tego jak zakamuflowanego pytania, ale mimo wszystko odpowiedział:

– Ja jej nie pomogłem.

– Odeszła w całkowitym spokoju. Tak postanowiła i dopięła swego. Zasnęła. Naturalnie, można ją zrozumieć.

– Można?

– Zostawiła list. Adresowany do ciebie. Mam go przed sobą.

Wallander w milczeniu pokiwał głową.

– Już jadę – powiedział. – Będę za pół godziny.

Stał przez chwilę z komórką w dłoni. Co czuł? Pustkę, cięń niesprawiedliwości. Coś jeszcze? Nie był pewien.

Sprawdził, czy dobrze zamknął okno, potem wyszedł z domu, zamykając drzwi na patentowy zamek.

Był pogodny grudniowy dzień. W pobliżu czaiła się zima.

Przyjechał do Ystadu po list. Pera Åkesona nie było, ale sekretarka wiedziała, o co chodzi. Wallander wszedł do jego pokoju. List leżał na biurku. Zabrał go, pojechał do portu i usiadł na ławce pod czerwonym budynkiem morskiej służby ratowniczej.

List był bardzo krótki. „Gdzieś w Algierii żyje mężczyzna, który zabił moją matkę. Kto go szuka?”

Tylko tyle. Miała ładny charakter pisma.

„Kto go szuka?”

Podpisała się pełnym imieniem i nazwiskiem. W prawym górnym rogu widniała data i godzina. „5 grudnia 1994, 02.44”.

Przedostatnia pozycja w jej harmonogramie, pomyślał. Ostatnią wpisał lekarz, podając przypuszczalną godzinę zgonu.

I to wszystko.

Koniec harmonogramu. Koniec życia.

Pożegnanie ujęte w formę pytania lub oskarżenia. Albo pytania i oskarżenia.

„Kto go szuka?”

Nie siedział długo na ławce, ponieważ było zimno. Powoli podarł list na kawałki i wrzucił do wody. Przypomniał sobie, że kilka lat temu w tym samym miejscu podarł nieudany list do Bajby. Też wrzucił go do wody.

Ale różnica była duża. Bajbę znów zobaczy. Niebawem.

Patrzył na znikające w wodzie strzępki papieru. Potem pojechał do szpitala odwiedzić Ann-Britt Höglund.

Może nareszcie coś się skończyło. Jesień w Skanii zbliżała się ku ziemi.

Posłowie

Dużo osób ma swój wkład, wielu należą się podziękowania. Bo Johanssonowi z Alafors, który zna świat ptaków i podzielił się ze mną swoją wiedzą. Danowi Israelowi, który czyta pierwszy, wyłapuje braki, podsuwa rozwiązania i nie szczędzi słów krytyki. Evie Stenberg za zdecydowany nadzór nad pracami korektorskimi. Malin Svard, która czuwała nad zgodnością harmonogramów, rzeczywistych i symbolicznych. Mai Hagerman za to, że opowiedziała o zmianach zachowań sąsiadek od lat pięćdziesiątych po czasy obecne.

Innym także należą się podziękowania.

Świat powieści cechuje wolność. Opisane wydarzenia mogły rzeczywiście mieć miejsce, ale mogły również wyglądać całkiem inaczej.

Dzięki wspomnianej wolności można przenieść jezioro, zmienić skrzyżowanie dróg i przebudować oddział położniczy. Albo dodać kościół, którego być może nie ma. Albo cmentarz.

Co też zrobiłem.

Henning Mankell Maputo, kwiecień 1996

¹ ulica Tracza (przyp. tłum.)

² Bohater dziewięciu humorystycznych opowiadań dla dzieci Åke Holmberga (przyp. tłum.)

³ Statens Järnvägar – Szwedzkie Koleje Państwowe (przyp. tłum.)

Redakcja: Anna Brzezińska
Korekta: Magdalena Stajewska, Jadwiga Przeczek, Jadwiga Piller, Elżbieta Jaroszek
Redakcja techniczna: Urszula Ziętek

Projekt graficzny serii: Marek Goebel
Na I stronie okładki wykorzystano fragment obrazu Louisa Janmota *Cauchemar* z cyklu *Le Poème de l'âme* (Musée des Beaux-Arts de Lyon / © Studio Basset)
Fotografia autora: 2 Lina Ikse Bergman

Wydawnictwo W.A.B.
02-502 Warszawa, Łowicka 31
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne
Piaseczno, Żółkiewskiego 7

ISBN 978-83-89291-53-0

Skład wersji elektronicznej: Aleksandra Łapińska / Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow